

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. Ps. 143.

ROK SZÓSTY. — TOM XXIII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1889.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1889.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pomnik Giordana Bruno. — Jego życie i pisma. — Allokucya papieska. — Deputacye i mowy. — Oburzenie protestantów i liberalów. — Protesty katolików. — Rozprawy w parlamencie francuskim o zniesieniu ambasady watykańskiej. — Programowa mowa Ferry'ego. — Odpowiedź hr. de Mun, Clemenceau, Gobleta i Kellera.

W liście datowanym z Caprery 20 czerwca 1876 r. Garibaldi cieszył się i mocno zachęcał do spełnienia rzuconego już wówczas projektu postawienia w Rzymie posagu Giordanowi Bruno, jako „protestu wolnej myśli przeciw klerykalnej ciemnocie”: „będzie to — pisał wódz rewolucjonistów włoskich — ostatni cios zadany budzie komedyantów, którzy obecnie używają wakacyj na prawym brzegu Tybru“. Dawny Garybaldeczyk, obecnie wszechwładny minister włoski, *Franciszek Crispi*, spełnił polecenie mistrza — i dziś naprzeciw Watykanu wznosi się pomnik mnicha-apostaty, jako widoczny znak zaciętej walki, wypowiedzianej przez rządzącą we Włoszech sektę, równie papieżstwu jak religii, równie wierze jak moralności, haniebnie przez Giordana Bruno zdeptanej. Crispi w jednej z ostatnich swych przemów oświadczył, że pomnik G. Bruno ma być odpowiedzią na kongresy katolickie; ale kongresy nie rozwinęły jeszcze swej wspaniałej akcyi, nie podniosły potężnego głosu za uciemieżonem papieżstwem, kiedy już Garibaldi cieszył się na samą myśl o tym ciosie, który ma być zadany „budzie wa-

tykańskich komedyantów“, kiedy przed paru laty szerzyć zaczęto pod niedwuznaczną opieką rządową formalny kult dla „boskiego Bruna, wroga kłamców, proroka nowej religii bez Boga i bez ołtarzów“. Posąg nolańskiego ateusza wystawiony w stolicy chrześcijaństwa, wielkie uroczystości przy odsłonięciu tego posągu w sam dzień Zesłania Ducha Świętego, to coś więcej niż odpowiedź na kongresy katolickie: to najwyższy wyraz nienawiści dla Chrystusa i Kościoła, zapowiedź sroższego niż dotąd, żadnymi już względami nie pohamowanego prześladowania. Tak wszędzie zrozumiano i tak musi być rozumiane z niebywałą manifestacyjną świetnością urządzone odsłonięcie pomnika G. Bruno, — i dla tego smutne te uroczystości tak bolesnem echem po całym świecie się odbiły, dla tego ta nowa cięższa od innych zniewaga, wyrządzona całemu Kościołowi, wszystkim wierzącym katolikom, ten wymierzony papiestwu, w kamieniu uwieczniony policzek nabral takiego rozgłosu i znaczenia.

Czem był *Bruno*, czem sobie zasłużył na apoteozę ze strony wszystkich nieprzyjaciół Kościoła? Na pytanie to odpowiada znakomity historyk *Weiss* w świeżo właśnie z powodu rzymskiego skandalu ogłoszonym studyum: „*G. Bruno* to jedna z najdziwniejszych postaci w historii włoskiej literatury, prawdziwa karykatura filozofa, poety, człowieka. Jako filozofa porównałby go chyba można z ośmieszonym *Theoprastem Bombasto Paracelso*: obydwaj zatrudniali się sztuką robienia złota, myśleli zupełnie na seryo o wynalezieniu kamienia mądrości. Jedno ze zdań *Giordana Bruno*, potępionych przez Papieża, było: „Chrystus był bardzo zręcznym czarodziejem“; inne brzmiało: „Duch św. nie jest czem innem, jak ogólną duszą całego świata“. Oto filozofia, w której *Bruno* nie może nawet sobie rościć prawa do zasługi oryginalności; jedyną chyba jego zasługą sposób wyrażania się ciemny, często wprost niezrozumiały. Nie lepszym, owszem stokroć gorszym był poeta; z pod wrzekomo poetycznego jego pióra płynęło raczej błoto niż wiersze. Komedia *Il Candelaio* przechodzi w niemoralności wszystko, co w tym względzie da się pomyśleć; szczęściem nikt mający choć źdźbелko artystycznego smaku nie potrafi pornograficznego tego utworu do końca przeczytać. Za jednym rzeczownikiem ciągnie się 20, nieraz 30 należących doń, mających go

blżej określić przymiotników; w chwili dobrego humoru wywołuje *Bruno* 50.000 dyabłów, opowiada o poświęconym oślim ogonie, wysła się na dowcip, pisząc *asinarcha* zamiast *gymnasiarcha*. A jakim był człowiekiem w życiu prywatnym, publicznym, jakiej uczył moralności? Jawnym i głośnym obrońcą wielożeństwa; upadłym mnichem-apostatą, którego kolejno wyrzucały z swych murów: Genewa i Paryż, Londyn i Frankfurt, Lugdun, Praga, Helmstädt, Marburg. Nieszczęśliwy ten człowiek sam sobie zbrzydnać wreszcie musiał, kiedy wrócił do Włoch, choć wiedział dobrze, co go tam czekało, choć wiedział, że obelgi przeciw „tryumfującej bestyi“, jak nazywał Papieża, że okropne bluźnierstwa przeciw Bogu, Zbawicielowi świata, Bogarodzicy, bluźnierstwa, które powtórzyć usta chrześcijańskie wzdrygają się, ściągnąć nań muszą w Rzymie surową karę. Komu wyrok wydany przeciw temu gorszycielowi wydaje się okrutnym, niech sobie przypomni, że spełniony on został w czasie, w którym w Anglii wyrywano wewnętrzności wszystkim, którzy kobiety nie chcieli uznać za swego Papieża; w Niderlandach rzucano szczurom na pożarcie katolików, wzdrygających się przed znieważeniem Najśw. Sakramentu; w czasie ogólnie przez wszystkie państwa przyjętych tortur i ćwierćowań. Niecny gorszyciel, który Boga, religię, obyczajność najhaniebniej znieważał, zasłużył na karę; a w ówczesnych czasach, w obec wielkości obrazy wyrządzonej religii i moralności, spalenie na stosie było jeszcze stosunkowo lekką karą¹.

¹ Zwłaszcza w obec tych słów znakomitego historyka nadzwyczaj humorystycznie brzmi artykuł umieszczony w Nr. 160 *Dziennika Polskiego* p. t.: „Uroczystość w Rzymie“. Wedle artykułu tego każdy katolik wierzy dziś w nowe pojęcia wszechbytu, jak je *Bruno* określił (sic!); genjusz wypędził apostatę z klasztoru, a pomnik dziś wystawiony tej ofierze fanatyzmu, to znak widomy, że wskazówki na zegarze dziejów cofnąć nie można i t. d. i t. d. Nie chcemy zrobić krzywdy Redakcyi i nie sądzimy, aby zabawny ten artykuł wyjść miał z pod pióra którego z jej członków; przetłumaczony on jest widocznie z jakiegoś zagranicznego, prawdopodobnie wiedeńskiego dziennika. Rozumiemy, że nawał pracy, a szczupłość sił redakcyjnych zmusić może do posilkowania się tłumaczeniami; w każdym razie Redakcja ma obowiązek czuwać i wiedzieć, co i skąd do szpalt jej dziennika się dostaje, aby później sama — jak np. w tym przypadku — nie musiała się rumienić za swą nieświadomość historyi, nieznaną i życia i pism opiewanego przez siebie bohatera; za frazes np., „że *Bruno* gotów był odwołać swe błędy przeciw religii, ale nie

Giordano Bruno był w ścisłym słowa tego znaczeniu zbrodniarzem, bo szerzył niemoralność, walczył z wiarą orężem wzbrowionym po dziś dzień jeszcze, już nie tylko przez prawodawstwa innych krajów, ale nawet przez prawodawstwo włoskie. Skądże i dlaczego tak manifestacyjnie urządzona apoteoza tego zbrodniarza, przybranego na wzgardę religii w habit zakonny, który splamił i sam ze siebie zrzucił; zbrodniarza, o którym dotychczas wiedziało ledwie niewielu uczonych? „Ponieważ postanowiono, skarżył się gorzko Papież w allokucyi z dnia 24 maja, podburzyć opinię publiczną przeciw naszej świętej apostołskiej Stolicy, wzniecać w tłumach ludu ogień nienawiści codziennymi, bezkarnymi oszczerstwami. I do tego już doszło, że w tem mieście, niemal przed naszymi oczami wolno bezbożności naigrawać się z religii Jezusa Chrystusa, że dla wyrządzenia Kościołowi wieczystej a krwawej obelgi, przyznane zostają zdrajcy wiary Chrystusowej zaszczyty cnocie należne“. Równie jawny i otwarcie głoszony cel, jak wszystkie przygotowania i cały przebieg wstrętnych tych uroczystości, wykazują aż za jasno prawdziwość słów papieskich. Parlament, mimo oporu kilku posłów, wysłał ze swego grona osobną deputacyę na odsłonięcie pomnika; niesłychane dotąd lekceważenie katolickich przekonań większości kraju, którego nie dopuścili się ani francuscy radykali, gdy szło o pomnik *Voltaire'a*, ani niemieccy protestanci, świętujący jubileusz *Lutra*. Rzymska rada miejska wzięła również udział w tych, jak je słusznie nazwano, „saturnaliach ateizmu“, chcąc widocznie stwierdzić w ten sposób słowa prezesa swego, margrabiego *Guiccioli*: „Rzym stał się stolicą kosmopolitycznej wolnomysłności“. Właściwą cechę i znaczenie tej wolnomysłności nacechował dobitnie radca miejski hr. *Vespigniani*:

„Decyzya powzięta przez syndyka obraża uczucia religijne znacznej większości mieszkańców i dla tego zasługuje na potępie-

chciał się zrzec swych filozoficznych pojęć“ (sic!). Dużo w ostatnim czasie czytaliśmy rzeczy nie do pojęcia i z powodu *G. Bruno*, ale ostatniemu temu frazesowi należy się bezwątpienia palma pierwszeństwa. Czy by nam może nie zechciał kiedy *Dziennik Polski* wytłumaczyć, jakie podkłada znaczenie, jeżeli w ogóle podkłada jakiekolwiek znaczenie pod słowo „religia“ i „filozoficzne pojęcie“; czy i jaki, zdaniem jego, zachodzi stosunek między pojęciami religijnymi a filozoficznymi?

nie. Rzeczywiście wystawienie pomnika *G. Bruno* jest wielką urzędową zniewagą, wyrządzoną religii katolickiej, a zatem religii państwowej; jest obelgą rzuconą w twarz czcigodnemu naczelnikowi Kościoła, któremu przecież prawa nasze gwarantują królewską nietykalność. W czasie całego peryodu, w którym stawiono ten pomnik, zdeptano najzupełniej nie tylko zasadę wolności myśli, na której cześć miał się wrzekomo posag ów wznieść, ale też najskromniejszą zasadę wolności rozpraw, wolności przedłożenia własnego swego zdania. Protestuję nadto i potępiam decyzję syndyka, ponieważ nieszczęśliwa ta kwestya przyczynia się do rozszerzenia po nad wszelką miarę przepaści, dzielącej obywateli tej samej ojczyzny z wielką dla niejże szkodą... Protestuję nakoniec, ponieważ syndyk w kwestyi tak ważnej, i co do której — jak to jest rzeczą publicznie wiadomą — wcale nie wszyscy radcy miejscy jednego są zdania, sam się rozporządził na własną rękę, wbrew wszelkim prawnym przepisom“.

Obok deputacyi parlamentarnej i wysłanej ukazem syndyka rady miejskiej, ciągnęły na *Campo dei Fiori* już wczesnym porankiem 9 czerwca w długiej procesyi deputacye wszystkich włoskich uniwersytetów i łóz wolnomularskich, garybaldowscy *Reduci* w czerwonych koszulach, liczne rewolucyjne i antyklerykalne stowarzyszenia z swemi godłami i sztandarami. Między tymi sztandarami, których liczbę kronikarze różnych gazet podają od 700 do 1970, zwracały na siebie uwagę czarne chorągwie komitetów *Brunoniskich*, również zupełnie czarna, olbrzymich rozmiarów chorągiew z wizerunkiem szatana, niesiona przez członków antyklerykalnego komitetu z Genui; chorągiew stowarzyszenia dawnych więźniów politycznych z obrazem wilczycy, rzucającej się na papieską tyarę. Pochód, w którym wzięło udział około 15.000 spędzonych z całych Włoch wolnomularzów i rewolucjonistów, odbywał się we względnym porządku i nigdzie nie przyszło do poważniejszych burd i zamieszek, dzięki zwłaszcza niesłychanemu rozwinięciu siły zbrojnej, gęstym policyjnym i wojskowym patrolom, które wciąż przebiegały ulice. Istotnie zdawać się mogło, że w Rzymie ogłoszony jest stan oblężenia. Wojsko otaczało pałac ministerstwa spraw wewnętrznych, silne oddziały wojskowe zajęły stanowisko przed ambasadą austriacką, papieską kancelaryą i na wszystkich większych

placach, około Watykanu snuły się bez przestanku silne patrole; a tymczasem reszta garnizonu stała w koszarach pod bronią, gotowa w każdej chwili do wymarszu. Sam Crispi, któremu o to chodziło, aby w dniu tym nie przyszło do poważniejszych wybryków, czuwał wspólnie ze swymi sekretarzami w pałacu ministerjalnym nad utrzymaniem porządku, — porządku, do którego, jak *Moniteur de Rome* się wyraża, zastosować się chyba dadzą słynne w historii słowa: „Porządek panuje w Warszawie“.

Mowy wypowiedziane po odsłonięciu pomnika były naturalnie jednym łańcuchem zniewag i obelg rzuconych w twarz papieżstwu, religii i Bogu. Margrabia *Guiccioli* nie zarumienił się dziękując „w imieniu Rzymu“ szlachetnym członkom komitetu uniwersyteckiego za wspianiałą, obecnie do skutku doprowadzoną myśl wystawienia pomnika wielkiemu myślicielowi, którego słuszenie Rzym cześci, bo Rzym cześci wszystko, co jest wielkiem, a zatem cześci męża, który dla zapewnienia tryumfu swym ideom, oddał swe życie w ofierze. „Komitet — mówił już wyraźniej, w dyplomatyczne frazesy się nie bawiąc, syndyk z Noli, *Vitali* — chciał złożyć hołd rozumowi, który w *Giordano Bruno* ma najwyższego swego przedstawiciela. Ludzkość pomnik ten stawiając odwróciła się od religii, a oddała cześć wiedzy“. Najważniejszą programową mowę wygłosił znany radykał *Bovio*, tłumacząc, jak uroczyste „religijne“ znaczenie ma odsłonięcie pomnika nolańskiego filozofa; jak stanowi ono epokę w dziejach świata, jest jutrenką nowej, świat cały obejmującej religii wolności: „Papieżstwo bardziej się smuci datą 9 czerwca, niż datą 20 września; dzień wrześniowy zakończył, dzień dzisiejszy rozpoczyna nową erę; wówczas Włochy weszły do Rzymu, kresu swej pielgrzymki, dzisiaj Rzym inauguruje religię myśli, kładzie węgielny kamień pod nową erę... Narody, które przybyły święcić z nami dzisiejszą uroczystość rozumieją doskonale, że jak dekret cesarski wydany w Medyolanie rachować kazał erę chrześcijańską od r. 313, tak w dniu dzisiejszym 9 czerwca za zgodą wolnych narodów święcimy początek religii myśli... Lecz czyż to rzeczywiście religia, czy czas i miejsce odpowiednio wybrane? Tutaj spalono rycerza wolności, a popioły jego nie rozbroiły dogmatu; tutaj zmartwychpowstaje, a religia myśli nie domaga się zemsty. Religia ta domaga się tolerancyi dla wszystkich nauk i kultów —

przedewszystkiem dla sprawiedliwości. Miasto kontemplacyi chcemy pracy; miasto zabobonnej wiary — naukowych badań; miasto posłuszeństwa — wolności zdania; miasto modlitwy — zwrócenia nam tego, co się nam należy. Naukowe wynalazki, międzynarodowe układy, powszechne wystawy, świadczące o pracy ludzkiej — oto dogmata tej religii. Nie ma ona proroków, lecz ma myślicieli. Świątynią jej jest świat cały... Tu w Rzymie, gdzie wszyscy bogowie mieli przytułek w Panteonie, tu można oznaczyć początek nowego lat tysiąca, w którym katolickość myśli ludzkiej zajmie miejsce katolickości jednego człowieka. Oto czas przez Brunona przygotowany, przepowiedziany... Nie myślę, nie chcę zaćmić sławy wielkiego tego dnia obelżywem słowem, rzuconem następcy Papieża Aldobrandiniego. Ale starzec ten, pierwsza ofiara — choć w inny zupełnie sposób od Brunona — wyznawanego przez siebie dogmatu, szczęśliwym być nie może. Dogmat więzi, zabija w jego ustach pozdrowienie, którem włoskie jego serce radeby przywitać włoską ojczyznę. Czuje on, że tutaj przed pomnikiem stanęły Włochy z całym cywilizowanym światem, że dziś rozpoczynają nową erę... O Rzymie, stolico świata, dziś pozyskałaś sobie prawo do nazwy stolicy katolicyzmu, nie z woli dogmatu, ale z jednomyślniej woli narodów!

Z mową *Bovia* szły o lepsze inne patetyczne przemowy; szły o lepsze odezwy i telegramy, nadesłane od licznych łóż wolnomularskich, antyklerykalnych i antychrześcijańskich kół i kólek. Cała ta uroczystość tak jawnie zresztą nosiła na sobie cechę nie tylko antykatolicką i antypapieską, ale wręcz antychrześcijańską, że wiele wprost wrogich Kościołowi, protestanckich, wolnomysłnych, nawet wolnomularskich organów uważało za stosowne przeciw niej zaprotestować. Tak np. berlińska *Kreuzzeitung* wystąpiła w imieniu wierzących protestantów przeciw nietaktownym adresom profesora *Haeckel'a* i „związku protestanckiego“ do komitetu pomnika *G. Bruno*, dziwiąc się słusznie, jak ludzie zowiący się chrześcijanami podać mogli ręce jawnej, pod żadną maską nie ukrywającej się niewierze. Być może, że pomnik wystawiony nolańskiemu mnichowi miał być na pierwszym miejscu demonstracją przeciw Watykanowi; w rzeczywistości jednak cała ta uroczystość zmieniła się w apoteozę niedowiarstwa, w protest liberalizmu, żydostwa i wolnomularstwa

przeciw wierze chrześcijańskiej. *Haeckel* kłania się przed *G. Bruno* jako przed ojcem panteizmu; wolnomularze i żydzi obierają go sobie za patrona, a związek protestancki ogłasza za bohatera „wolności wiary w Kościele“ człowieka, który bez ogródek odrzucał tajemnicę Trójcy Przen. Czyż to nie rzuca jasnego światła na prawdziwe usposobienie ludzi, wojujących wrzekomo tylko przeciw „średniowiecznemu zelotyzmowi i zbyt ciasnej ortodoksji“? „Prawdziwy liberalizm, pisze organ węgierskiej masoneryi *Pesti Hirlap*, przyznać musi słusność Papieżowi Leonowi XIII, uznać musi, że pod oczami jego odbywające się uroczyste i więcej niż półurzędowe odsłonięcie pomnika słynnego szydercy z wiary chrześcijańskiej jest krzyczącą, niepotrzebną, nieroztropnie obmyślaną obelgą“. „W gruncie rzeczy — stwierdza *Journal de Debats*, a ze zdaniem tem godzi się równie ministerjalny *Temps*, jak wszystkie poważniejsze republikańskie organa paryskie — cała, z taką pompą wystawiona komedia z posagiem *G. Bruno* była absolutnie niepotrzebną, fanatyczną prowokacją, wymierzoną przeciw Watykanowi; miała jedynie na celu dokuczyć Papieżowi. Sądząc po fanatyzmie, z jakim *Crispi* wojuje z Papieżem, to kto wie, czy gdyby to było w jego mocy, nie skazałby z przyjemnością na stos Leona XIII. Dziś to nie w modzie, ale przed paru wiekami z pewnością za nic by ręczyć nie można“.

Do tych głosów wyrwanych mimowolnem, rzec można, oburzeniem z ust, które zazwyczaj nie za, ale przeciw Kościołowi i Papieżowi się odzywają, dołączyły się energiczne protesty katolickich mężów, stowarzyszeń, pism z całego świata. Rzymskie dzienniki katolickie zamieszczały przez kilka dni z rzędu spisy tych protestów, a długie te kolumny najznakomitszych nazwisk, poważna liczba członków protestujących stowarzyszeń wymowniej-szemi są od wszelkich słów; samych tylko telegraficznych depesz nadeszło do Watykanu w przeciągu dni pięciu przeszło 60.000. W Hiszpanii podpisują jeszcze katolicy w tej chwili adres do Ojca św., wyrażający synowskie ubolewanie nad skandalem, którego widownią stało się miasto papieżów. Biskupi niemal całego świata nakazali ekspiacyjne nabożeństwo; mnóstwo wiernych, idąc za wskazówką swych pasterzy, przystępowało wszędzie do Komunii św.; w wielu dyccezjach odmawiano publicznie po kościołach różaniec

w dzień Zielonych Świątek dla przebłagania Boga i wyproszenia Ojcu św. pociechy w smutnym tym dniu apoteozy niewiary. Według wiadomości, podanej przez *Germanię*, miał cesarz Franciszek Józef wysłać do Papieża pismo kondolencyjne. Autentyczna to, czy nie autentyczna wiadomość, w każdym razie rwą się widocznie coraz częściej i liczniej, zbyt sztucznie nawiązane węzły potrójnego przymierza: w Rzymie łączono z powodu uroczystości *G. Bruno* w jednym okrzyku nienawiści Watykan i Austryę; nicby nie było dziwnego, gdyby w odpowiedzi na te bądź co bądź oryginalnie brzmiące okrzyki, którym rząd *Crispiego* nie był w stanie przeszkodzić, zechciano we Wiedniu sobie i Włochom przypomnieć, że Austria jest państwem ściśle katolickiem, i że z natury rzeczy o interesa katolickie, o bezpieczeństwo głowy Kościoła się troszczy.

We Francyi dzięki w części wystawie, w części żywej trwodze przed koalicją wszystkich niezadowolonych, zbierających się obecnie jeszcze pod hasłem *Boulangeryzmu*, walka przeciw Kościołowi toczy się obecnie z nieco mniejszą, niż przez ostatnie lata, zaciekłością. Wprawdzie przy rozprawach budżetowych znalazło się znowu paru radykałów, na pierwszym miejscu *Anatol de la Forge*, domagających się zniesienia ambasady watykańskiej, ale niesmaczna ta, od lat tyłu powtarzająca się komedia, sztucznie nawet obudzonego interesu tym razem nie wywołała. „O co wam chodzi? pytał biskup *Freppel*, kiedy już izba odrzuciła radykalny wniosek. O pokazanie zaciśniętej pięści katolicyzmowi. Niebezpieczna to zabawka, którą zamierzacie chyba zrobić przyjemność wszystkim wrogom Francyi a przyjaciółom Prus. Spytajmy z drugiej strony, jakie wrażenie sprawić musi podobny wniosek poparty 232 głosami, np. między katolikami austriackimi, i nie narażamy się trzpiotowato na utratę bardzo cennych sympatyj. Najlepszym dowodem mych słów, sposób postępowania stronnictwa radykalnego, kiedy jego członkowie zasiadają na ministeryalnych fotelach. Przez dziewięć miesięcy mieliście ministerstwo radykalne. Członkowie jego: p. *Floquet* i *Peytral* głosowali w r. 1884 za zniesieniem watykańskiej ambasady, a w r. 1889 nie postawili, lecz owszem sami go zwalczali. Czyny są najlepszym potępieniem słów nierozważnych. Zabawką tą zbyt już długo się bawicie i czasby jej koniec położyć. Ale stronnictwo radykalne nie

cofa się przed żadnym błędem; byleby mogło zadowolnić pożerającą je nienawiść religii, nie waha się wystawić pierwszorzędných interesów ojczyzny na najcięższe rany“. „Skrajna lewica, pisze ze swej strony *Temps* o tych rozprawach, okazała raz jeszcze, że głuchą jest na wszelkie nauki, ślepą na wszystkie napomnienia. ...Ambasador nasz w Watykanie ma przecież misję służenia i bronienia interesów francuskich, i nasz w tem interes raczej, niż interes Papieża, abyśmy nie opuszczali tego nad wyraz ważnego posterunku“.

Nasz w tem interes, powtórzyłby sobie również powinien rząd francuski, abyśmy się cofnęli na nieszczęsnej drodze laicyzacyi szkół, która całą Francję od ławki szkolnej dzieli na dwa wrogie obozy, i takie, zwłaszcza przy wyborach wymownemi cyframi się objawiające, między ludnością wywołała i wciąż wywołuje rozgoryczenie. W obronie nieszczęsnego tego dzieła, naigrawającego się z najprostszego pojęcia o wolności, wystąpił w parlamencie głośny twórca „artykułu VII“, znienawidzony dziś przez słuszną nemezis dziejową „Tonkińczyk“, *Juliusz Ferry*; chwalił w trzygodzinnej mowie zlaicyzowane szkoły, wywodził, że zbyt wiele one kraju nie kosztują, zaręczał, że Kościół katolicki we Francyi nie może się uskarżać na niesprawiedliwość lub prześladowanie. Ale jeżeli z jednej strony *Ferry* wystąpił gorąco w obronie laicyzacyi szkół, to z drugiej strony rozwijając cały swój program co do stosunku państwa do Kościoła, pragnąc widocznie w obec zbliżających się wyborów nie stanąć w zbyt złem świetle przed bądź co bądź chrześcijańską, konserwatywną ludnością, oświadczył się energicznie za zaprowadzeniem rzeczywistego religijnego pokoju, opartego na trwalszych, niż dotychczas podstawach:

„Trzy zwłaszcza sprawy mącą w naszym kraju pokój religijny: kwestya wolności zgromadzeń, budżetu wyznań i kwestya szkolna. Pierwsza z tych kwestyj stanowiła przed laty dziesięciu jeden z najburzliwszych epizodów naszej wojny religijnej, jak wyrażać się lubicie. Zdarza się czasami, że władze państwowe bronić się muszą; dlatego to musieliśmy w pewnej chwili zastosować do kongregacyj zakonnych istniejące prawa i dekreta. Nie chciałbym za nic w świecie wrócić na nowo do dawnej tej sprzeczki; wyznaję, że zgromadzenia zakonne rządzone być winny w czasie dzi-

siejszym prawodawstwem bardziej zastosowaniem do stanu naszych obyczajów, bardziej giętkiem, liberalniejszym od dekretów z r. 1792; zatem gotów jestem do ułożenia i przeprowadzenia wspólnie z wami nowego prawa o stowarzyszeniach... Co się tyczy budżetu wyznań, głośno za jego utrzymaniem się oświadczam... Przekonany jestem, że zniesienie tego budżetu nie przyczyniłoby się do uśmierzenia religijnych kłótni, lecz przeciwnie zapelniloby nimi najmniejsze nawet wnioski, przeniosłaby je do domowych ognisk, osłabiłoby państwo, wzmacniając tylko namiętności, stałoby się początkiem jednego z tych peryodów religijnych agitacji, który kończy się zawsze ostatecznie transakcją. Szukając długo a na próżno pokoju na tej niebezpiecznej drodze, wrócilibyśmy na końcu do jednego z tych półśrodków, jakim jest bądź co bądź w obecnym czasie konkordat, który dziś najpraktyczniej, w granicach możliwości rozwiązuje problem wzajemnych stosunków Kościoła i państwa“...

Znaczenie programowej mowy Ferryego jest jasne: oportuniści chcą w głębi duszy zwalczać Kościół i dlatego bądź co bądź chcą spoganić przyszłe pokolenia, obstając przy zlaicyzowanej szkole; z drugiej jednak strony potrzebują koniecznie względnego przy najmniej poparcia katolików przeciw radykałom i dlatego ofiarowują im pewną, nie zbyt zresztą znaczną sumę ustępstw, prawdziwą misę soczewicy, jak ironicznie się wyrażono. W ten sposób pojął wystąpienie wodza oportunistów równie *hr. de Mun*, przemawiający w imieniu prawicy, jak i dowódca lewicy *Clemenceau*: tak pierwszy, jak drugi, z wręcz odmiennych powodów, ale równie stanowczo zwrócili się przeciw Ferryemu. Czyś zapomniiał pan, pytał *de Mun*, o dawnych swych zbrodniach, jeśli sądzisz, że słowem twym uwierzymy? Sam wyznajesz, że dawnych czynów swych nie żałujesz, a czy może trzeba ci przypominać smutną historię twego życia; te krucyfiksy połamane w szkołach paryskich z rozkazu waszego prefekta *Herolda*, tych braci szkół chrześcijańskich, heroicznym bohaterów z czasów oblężenia Paryża z domów swych wypędzonych, te siostry siłą od łóżek chorych oderwane, te szkolne podręczniki, które miały uczyć dzieci nienawiści do całej przeszłości Francji... Dziś, przededniem wyborów, gdy czujecie, że kraj uwolnić się chce od nieznośnej waszej dyktatury, nie na rękę ci solidarność z radykałami i radbyś ją zerwać. Ale próżne to stara-

nia. Wojna religijna była węzłem łączącym was, cementem waszej zgody, dziś jest łańcuchem, w którego więzach jęczycie, palącą was suknią, w której pomrzecie“. — „*P. Ferry*, mówił znowu *Clemenceau*, zwrócił się do prawicy z propozycjami pokoju, ale propozycje to niejasne, bałamutne, bo zręczny mówca głosząc prawicę, bał się odstraszyć lewicy... Myśleć o zjednaniu sobie Kościoła katolickiego drogą ustępstw, postępowaniem skromnem i pokornem — niebezpieczna to chimera, bo nie Kościoła nie rozbroi. Lepsza wojna, choć nie przeczymy, że ciężką jest wojna ze stronnictwem, które rozporządza 40.000 ambon i 450 milionami dochodu... Uznaję potęgę Kościoła i dla tego powtarzam: dobrze by było zawrzeć z nim pokój, ale pragnienie to do spełnienia niepodobne, bo Kościół zmierza do powszechnego panowania nad ciałami i duszami, a my wywiesiliśmy wysoko sztandar wolności sumienia... Więc nie o pokój, lecz o walce i zwycięstwie nam myśleć, a dla zapewnienia sobie zwycięstwa należy zdążać wytrwale do sekularyzacji budżetu, do odłączenia Kościoła od państwa; należy prowadzić dalej konsekwentnie politykę wolności. Jeden tylko jest możliwy warunek pokoju: supremacya państwa nad Kościołem, odebranie Kościołowi wszystkiego co doczesne. Pozagrobowy świat dość pięknym jest krajem: niech nad nim sobie Kościół panuje!“

Mowy przewodców prawicy, oportunistów i skrajnej lewicy, jasno, rzec można brutalnie, nakreśliły plan przyszłych religijnych walk, przeplatanych zgniłym pokojem — bo prawdziwego, trwałego pokoju spodziewać się niestety! w dzisiejszych okolicznościach nie podobna. Niewesoły ten wniosek, co do którego katolicy francuscy, jak widać ze słów *de Mun'a*, żadnych sobie illuzyj nie robią, wystąpił w wyraźniejszych jeszcze barwach, gdyby tego było potrzeba, w przemowach *Ribot'a* i *Goblet'a*. Pierwszy popierał *Ferry'ego*, drugi stanął jako satellita *Clemenceau'a*; obydwaj zaręczali, że wolność i pokój religijny nad życie miłują; ale praktycznie, wspólnie z stronnictwami swemi, jak to w silnych słowach napiętnował poseł *Keller*, ani wolności, ani pokoju Kościołowi i krajowi dać nie chcą, przez radykalizm i sceptycyzm świadomie czy nie świadomie zdążają, jak uczą nas dzieje, do cezaryzmu, a „ucząc

młode pokolenia na moralności *Diderota* i gramatyce *Dacosty* tworzą z nich tyranów, którzy prędzej czy później wypędzą stąd wszystkich prawdziwych przyjaciół prawdziwej wolności“.

Ks. Jan Badeni.

Z Malty.

II.

Valetta, stolica Malty. — Port St. Elmo. — Położenie miasta. — Ruch różnorodnych postaci i cudzoziemców. — Sklepy i ulice. — Domy i gmachy. — Pałac gubernatora. — Gospody dawnych rycerzy. — Inne miasteczka, wieś.

Każdy przyjezdny do Malty, wylądowawszy w głównym porcie musi zaważyć o Valettę. Jest to stolica Malty, rezydencya gubernatora, siedziba wszelkich władz, urzędów, ognisko cywilizacyi, przemysłu i uciech wyspiarzy. Valetta leży na północno-zachodnim brzegu Malty, na półwyspie, oblany z jednej strony portem głównym, z drugiej portem *Maramusetto*. Półwysep ten, zwany z arabska górą Sceberras, wznosi się w swym najwyższym punkcie 200 stóp ponad morze, a liczy około 3000 metrów co do długości na 1200 szerokości. W czas pogodny z wieży kościołów, a nawet z dachów wielu kamienic Valetty można gołym okiem rozoznać śniegiem pokryty szczyt Etny, a w nocy podziwiać grozę jej wulkanicznych wybuchów.

Góra Sceberras była kiedyś własnością rodziny tego imienia, której potomkowie dziś jeszcze znajdują się na Malcie. Byłoby pułkowie, jak wiele innych, na którego krańcu znajdowała się kapliczka pod wezwaniem St. Elmo czyli św. Erazma, patrona żeglarzy, i port, wzniesiony podobno jeszcze przez Arabów. Rycerze maltańscy za przybyciem swoim zrozumieli strategiczną doniosłość tego punktu i w 1488 roku wzniesli tu port nowy na miejscu dawnego w gruzach leżącego, zostawując mu dotychczasowe nazwanie, które się po dziś dzień utrzymało.

Na Malcie do każdej niemal stopy ziemi, do każdego kamienia przywiązana jakaś tradycja, z których najwięcej odnosi się do

czasów rycerskich zakonu Johanitów, żadnego atoli miejsca nie opromieniło takie bohaterstwo, jak właśnie port St. Elmo. W pamiętnym napadzie Turków na Maltę w r. 1665 nie więcej jak 60 członków zakonu z szczupłą załogą, bo liczącą zaledwie 600 ludzi, przeszło przez miesiąc powstrzymywało swą piersią i mieczem całą nawalę turecką. Wszyscy niemal zginęli, ale z tem przeświadczeniem, że śmierć ich konieczną dla ocalenia zakonu i reszty wojowników, — zginęli jak bohaterowie z mieczem w rękę na wyłomie, a nawet ranni wyprosiли sobie u braci, że ich w krzesłach zanieśiono na mury, gdzie z orężem w osłabionej dłoni oczekiwali na przybycie wroga. Do dziś dnia istnieje kapliczka, a w niej ołtarz, przy którym w ostatnią noc przed swą bohaterską śmiercią wysłuchali oni mszy św., a zasiliwszy się Najśw. Sakr. Ołtarza, ponowili swe śluby Bogu, a zwłaszcza przyrzeczenie: zginąć w obronie imienia Chrystusowego, — gdyż o zwycięstwie lub o odsieczy ani myślo być nie mogło.

Po skończonem zwycięstwie W. Mistrz Jan de la Valette, przekonawszy się jeszcze bardziej o konieczności silniejszego ufortyfikowania góry Sceberras, postanowił na niej zbudować miasto i przenieść doń stolicę, którą dotychczas było Notabile, znajdujące się więcej w pośrodku wyspy. Tu też miała być odtąd główna siedziba zakonu, który dotąd mieścił się w Borgo, wąskim półwyspie, leżącym po drugiej stronie wielkiego portu. W tym to celu wszedł La Vallette w układ z właścicielami góry Sceberras, na mocy którego zakon był obowiązany wypłacać i płacił w istocie corocznie pewną sumę potomkom familii Sceberras. Dnia 28 marca 1566 r. położono pierwszy kamień nowego miasta, któremu W. Mistrz pragnął nadać miano: *Umilissima*, najpokorniejsza; atoli nie przyjęło się to imię, gdyż wdzięczność i zgodna wola wszystkich nazwały je od założyciela Valettą. Dzięki swemu położeniu sprzyjającemu kupiectwu i obronnej pozycji rozrastała się Valetta w domy i ludność, która dziś liczy do 25000.

W pierwotnym planie założyciela było zamierzone zniwelowanie góry, tak żeby miasto mogło się rozsiać na płaszczyźnie; fałszywa jednak wieść o nowej wyprawie z Konstantynopola zwróciła czynność ku obronie wyspy, a tem samem przeszkodziła początkom wielkiego dzieła. W skutek tego ulice Valetty są prawdzi-

wymi drabinami, po których spinać się potrzeba niekiedy przez sto lub więcej schodów w górę lub spuszczać na dół. Dla ludzi i zwierząt te ulice są prawdziwą męczarnią, i temu ciągłemu chodzeniu po schodach przypisują lekarze częste wypadki nagłej śmierci i chorób sercowych, którym ulegają mieszkańcy Valetty. Maltańczycy przywykli do tego, ale przybysze, a zwłaszcza wygodni we wszystkim Anglicy nie mają dosyć słów na wyrażenie swej skargi z tego powodu. Oto jak Byron odjeżdżając do swej ojczyzny, żegna Valettę:

Żegnaj mi Valetto z swymi rozkoszami
 Żegnajcie sirocco, słońce i upały
 Miast ulic ze schodów, potworzone skały,
 Po których się drapiąc sypiesz przekleństwami! ¹

Dziesięć ulic w prostej linii przebiega wzdłuż miasto i półwysep, a jedenaście innych krzyżuje się z nimi. Główna ulica, najszersza i najpiękniejsza *Strada Reale* poczyna się od *Porta Reale*, leżącej na południu, a kończy się portem St. Elmo. Przy niej wznoszą się najwspanialsze gmachy, znajdują się najbogatsze sklepy i wystawy, tu też panuje zawsze ruch największy.

W Valecie, a zwłaszcza na *Strada Reale* spotkać możesz ludzi z całej kuli ziemskiej, tak przeróżne postacie przesuwają ci się przed oczyma w powozach lub pieszo idące. Wśród tłumu Anglików i krajowców po europejsku ubranych, uderza co krok czerwony mundur żołnierza angielskiego. Z fantazją założył na bakier małą czapkę, w ustach cygaro, bez broni u boku, tylko z lasseczką w ręku, której nigdy nie używa do podpory, pogwizdując spieszy przez ulice, a z twarzy i postawy widać, że kontent ze świata i siebie. Tam znów Szkot w białej kurtce i spodnicze z ciemno-zielonego sukna, z pękiem włosienia białego, który zwieszony u pasa tłucze mu się po gołych kolanaach; dalej Turek najczęściej w niebieskim stroju, nieraz bogato złotem przetkanym. Czasami majtek grecki, wyschły, z siwą brodą, w wytartym i spłowiałym odzieniu, z którego jedynie pas czerwony zachował jako tako

¹ Adieu ye joys of La Valette
 Adieu scirocco, sun, and sweat,
 Adieu ye cursed streets of stairs
 How surely he who mounts you swears!

swą barwę; lub też Arab, również suchy jak szczypa, z czarną brodą i oczami jak węgiel na woskowej twarzy, cały w bieli, w fantastycznym, szerokim płaszczu i takimże zawoju; obaj jak widma z drugiego świata przesuwają się wśród żyjących tłumów. Dalej znów Maltanki w swych tajemniczych faldetach, obok ladies angielskich, spacerujących rano w stroju na pół męskim, z laseczkami w ręku miasto parasolek, a po *lunch'u* w damskiej toalecie skromnej ale wykwintnej. Nie brak tu nawet Indyan, których bandy w czerwonych fezach, a w białem płóciennem ubraniu włóczące się po ulicach zwiastują, że okręt towarzystwa *Piano* zawinął do portu, którego przybycie zawsze mile wita Valetta. A co krok, to jakiś monsignor, ksiądz, bosy bernardyn, kapucyn lub inny zakonnik; albo też malutki kleryczek, nie mający więcej nad 10 lat, ale w rzymskim kapeluszu i szerokim płaszczu, kroczy na wykłady nie-teologiczne do gymnazyum, czyli jak tu zwą, do lyceum.

Środkiem ulicy takż sam ruch; mijają się dorożki, powozy lub wózki maltańskie na dwóch kołach, mających przynajmniej metr średnicy, pomalowanych zwykle na ceglasto. Jak ludzie na chodnikach, tak tu konie, muły, osły spieszą jedne za drugimi lub krzyżują się bezustannie. W powozach panie angielskie, magnaterya maltańska, oficerowie wyższego stopnia, a w dorożkach po większej części żołnierze lub majtkowie angielscy. Ci ostatni zwłaszcza mają także dziwną pasję do popisywania się konną jazdą. Skoro zawiną do portu, zaraz najmują w Valecie konia, i dalejże produkować się, — a nie pociesniejszego jak majtek na koniu. Zgrabny jak kot na okręcie, na koniu sprawdza nasze polskie przysłowie o psie i płocie. Otóż i wjeżdża taka kalwakata na ulicę z pięciu lub sześciu majtków złożona. Póki konie idą stępo, jako tako, ale kiedy ruszą truchtem, jeźdey pochylają się to na lewo, to na prawo, trzymają się siodła rękami, jak w czasie burzy masztu, a nogami straciwszy strzemiona czepią się brzucha końskiego. Ale im dalej tem gorzej; jeden, drugi na przodzie trzyma się jeszcze dość dobrze, ale reszta nie mogąc sobie dać rady, obejmuje ramionami konie za szyję — a cała ulica wybucha śmiechem, patrząc na to bezpłatne widowisko.

Ówdzie znów o mur opartych kilkudziesięciu dorożkarzy czeka na wezwanie lub rozchodzi się po ulicy i każdemu obcemu

narzuca swe usługi. Przystań na chwilę i spytaj o cenę, dziesięciu cię zaraz otoczy, ten podwyższa cenę, tamten zniża, a wszyscy krzyczą; tymczasem kilku podbiegło do koni i naraz cztery lub pięć dorożek zajeżdża po ciebie, siądziesz w jedną, wszyscy inni wykrzykują coś po maltańsku, a z twarzy ich i tonu mowy można się domyślać, że to nie komplementy.

Białe twarze Europejczyków, czerwone jak krew synów Albionu mieszają się tu ustawicznie z śniadą cerą tubylców i czarną barwą Afrykanów. A przytem jak w wieży Babel dolatują cię słowa z przeróżnych języków: włoski, angielski, francuski, maltański, grecki, turecki, a wreszcie dźwięki, które nie wiesz, do jakiejby mowy należeć mogły, i tylko z twarzy mówiących i z ich stroju klasyfikujesz ich: to Azyata, tamten Afrykanin i t. d.

Jednego tu tylko nie spotkasz żywiołu: naszych obszarpanych, pejsatych braci Mojżeszowego wyznania nie masz tu zupełnie. W. Mistrz zakonu Jan l'Eveque de la Cassiere do tyła był nie-delikatnym, że wszystkim bez pardonu kazał się wynieść z wyspy w r. 1572, a przybywającym wstępu zabronił. Ale zastępują ich tu po części podobni dość do nich z zewnętrznego wyglądu mali chłopcy maltańscy, równie jak oni brudni i obszarpani, sprzedający w pudełkach u szyi zawieszonych mydło i zapalki. Nieco roślejści czatują przy sieniach domów ze szczotkami i stołeczkiem, gotowi każdemu obuwii przywrócić należyty połysk. Inni znów roznoszą na tacach łakocie, lub w koszach kwiaty ułożone w zgrabne bukieciki. A wszystko to zaczepia ustawicznie cudzoziemca, ofiarując swe usługi i towary.

Na *Strada Reale* wystawy kupców są bardzo bogate. Wszystkiego tu dostać można, tak z wyrobów i produktów tutejszych, jak i zagranicznych. Pyszne dywany perskie, materye wschodnie złotem haftowane, emalie, terakoty, naśladowania wszelkich antyków zapelniają sklepy. Z pomiędzy tutejszych wyrobów odznaczają się wystawy jubilerskie, pełne delikatnych i nader artystycznych naczyni, ozdób i biżuterij; dalej koronki z Gozo, śmiało mogące stać obok brabanckich; a wreszcie prześliczne wyroby z kamienia ciągną prawdziwie oczy przechodnia do siebie.

Podobny, ale mniejszy już ruch panuje na innych głównych ulicach, wyjąwszy na *Mercanti*, gdzie się trudno przecisnąć, bo

nie tylko sklepy, ale i chodniki zawałone towarami. Tu sprzedaje się przeważnie wiktuały, jarzyny i owoce w nieskończonej ilości. Rynku Valetta nie posiada, *Strada Mercanti* go zastępuje; stąd też i w niedziele przez trzy godziny od 8—11 wre tu targowica.

Boczne ulice znacznie węższe, tak, że wóz nimi nie przejedzie; na parterach kamienic nie ma sklepów, ale mieszczą się tu rzemieślnicy. Ci najczęściej nie mają szyldów, ale przez wiecznie otwarte drzwi widać rodzaj rzemiosła i czeladź pracującą przy warsztatach. W górze zaś z okien i ganków powiewa cała wystawa bielizny świeżo wypranej i suszącej się na powietrzu.

Po wszystkich zaś rogach ulic bandy małych, obdartych chłopaków bawią się w guziki lub kulki. A nie tylko podrostki, lecz dzieciaki o siedmiu lub ośmiu latach z papierosem lub fajką w ustach. Nikt im tego nie zgani, bo wszyscy Maltańczycy palą namiętnie. To też zdaje mi się, że każdy tutejszy dzieciak, skoro tylko za pomocą ubrania z nijakiego stworzenia przedzierzgnie się w chłopaka, nabywa tem samem prawa do fajki. O tytoń nie trudno, bo na Malcie nie ma nań żadnej opłaty, tani więc jak nigdzie.

Domy w Valecie, jak wszystkie na wyspie budowane, z kamienia i mają po trzy i cztery piętra. Starsze z nich uderzają niezwyczajną grubością murów, a wiele z nich wygląda jak prawdziwe pałace. Wszystkie z dachem płaskim, zakończone galerijką u góry. Przy każdym niemal oknie na piętrze balkon oszklony i pomalowany na żółto lub zielono z czerwonym daszkiem. Jestto tak zwana *logia*, rano zwykle pusta, ale popołudniu zasiadają w niej Maltanki z robótką i przypatrują się ruchowi ulicznemu, w którym same bardzo mało biorą udziału. Logie te także przepełnione bywają przyjaciółmi i znajomymi w czasie festynów ludowych, jak procesyj lub karnawału. Ale wygodne te zresztą logie szpecą nie mało ulice i nadają jej pozór nieregularności.

Z gmachów zasługuje na szczególniejszą uwagę siedziba dawnych wielkich mistrzów, a dziś pałac gubernatora, bokiem przytykający do *Strada Reale*, a którego front wychodzi na plac *St. Giorgio*. Zwiedziwszy pałac dożów w Wenecyi, niezmiernie ciekawy byłem zobaczyć siedlisko wielkich mistrzów. Kto z takim uprzedzeniem zbliża się doń, oszuka się snadno, gdyż brak mu i zewnętrznej wspaniałości i bogactw wewnętrznych.

Imponuje on rozległością; jest to bowiem gmach kwadratowy, wysoki, jednopiętrowy o dwu bramach, silnie zbudowany, ale bez zewnętrznego wykwintu, bardziej podobny do jakiejś twierdzy niżli pałacu. Przeszło trzy wieki jak go zbudował *Eustachy de Monte*, synowiec W. mistrza tegoż imienia, wedle planu nakreślonego przez *Gerolamo Cassar*. Pierwszą połowę zajmują urzędy administracyjne, drugą zamieszkuje gubernator. Przez sień wspaniałą wchodzi się na obszerne marmurowe schody, które wedle dawnego wzoru odbudowane zostały w 1866 roku. Na pierwszym piętrze po lewej stronie apartamenty gubernatora, po prawej sala tak zwana tronowa, dziś *Council Chamber*. Sala niewielka, ozdobiona u góry freskami, ściany zaś jej pokrywają kosztowne gobeliny, sprowadzone przez W. mistrza *D'Espuig* z Belgii. Przedstawiają one sceny polowań z Indyj, Afryki i południowej Ameryki. Tyle pozostało z dawnej spuścizny, reszta urządzenia już jest nowa. Na wzniesieniu stoi złocisto-szkarłatny tron dla gubernatora, mający u góry oparcia rzeźbione herby Anglii, dalej stół otoczony 20 fotelami, wybitymi ponsowym aksamitem dla tyluż członków parlamentu maltańskiego, a w tyle sali do 30 krzeseł takież barwy dla słuchaczy. Wyszedszy stąd, dalej na prawo wiesz długie korytarze, którego ściany wykładane mozaiką z różnobarwnych marmurów. Tu wiszą portrety wielkich mistrzów zakonu, a na dole pod nimi stoją postacie rycerzy zakutych w stal z spuszczoną przyłbicą, z których każdy trzyma w jednej ręce spisek, w drugiej tarczę z rokiem panowania każdego z mistrzów w porządku chronologicznym. Na końcu tego korytarza są drzwi do zbrojowni. Jestto olbrzymia sala mająca 253 stóp długości, a 38 szerokości. Trzydzieści słupów kamiennych, stojących we dwa rzędy pośrodkiem sali, wspiera jej powagę. Po obu zaś stronach ścian, co krok stoją postacie rycerzy w wojennym rynsztunku, tworząc trzy szpalery, ciągnące się przez długość sali. Na ścianach zaś i słupach rozwieszonych jest 40.000 sztuk dawnej broni i przyborów wojennych. Na lewej stronie od wejścia pomiędzy słupami stoi postać zbrojna jednego z mistrzów. Nielada wzrostu musiał on być, kiedy maniak ubrany w jego zbroję dosięga pełnych siedm stóp, a sam hełm jego waży 37 funtów. W pośrodku sali stoi pięć pulpikików, a w nich za szkłem pamiątki zakonu. Pierwszą jest trąba, którą znak był dany, kiedy pierwsi ryce-

rze opuszczali Rodus, by przybyć na Malte w r. 1522. W drugim oryginalny dyplom darowizny, na mocy którego Karol V nadaje wyspę Malte zakonowi; akt spisany na pergaminie z datą 23 marca 1530 r.; dalej pałasz i siekierka stalowa z młotkiem i kawałki roztraskanego pancerza łuskowego. Wszystko to trofea wojenne, zdarte z sławnego korsarza Draguta, który tu poległ w roku 1565. W czwartym znajduje się oryginał bulli Paschalisa II, przyjmującego zakon pod swą opiekę w 1113 r., a wreszcie dwie buławy stalowe W. mistrzów La Vallette i Vignacourt, podobne zupełnie do naszych dawnych regimentarskich. Prawdziwie ciekawym zabytkiem jest tu armatka znaleziona na początku tego wieku na Malcie, niewiadomego pochodzenia. Jest ona długości do półtora metra, średnica zaś jej wynosi $\frac{1}{6}$ metra; zrobiona jest z drzewa i powleczonea twardą masą, która się w kilku miejscach przetarła, okazując gęste zwoje sznura, którymi drzewo dla trwałości opasane zostało. W samym zaś rogu sali stoi niezwyklej wielkości kocioł w formie moździerza. Pojąć nie mogłem, jakiby cel był tego potworu żelaznego o dwu łokciach wysokości, a jednym szerokości u góry. Z napisu dowiedziałem się, że to przyrząd aptekarski z infirmarii W. mistrza do robienia proszków i maści. W przysionku z drugiej strony zbrojowni stoi karetka złocista dawnych mistrzów zakonu, o której powiadają, że jej używał Napoleon I po zdobyciu wyspy.

Wstęp do zbrojowni dotychczas był wolny i bezpłatny. Nowsze rozporządzenie, które weszło w życie od 1 kwietnia b. r., oznaczyło takse 6 pennów wstępu, tylko maltańczycy z rodu i żołnierze angielscy za okazaniem biletu od odpowiedniej władzy wolni są od opłaty.

Otóż to wszystko, co zostało po dawnych panach! Resztę pałacu zajmują apartamenty gubernatora, w których urządzenie już nowe. Znając dochody W. mistrzów i przepych, jakim się otaczali, mimowoli nasuwa się pytanie: gdzie się to wszystko podziało? Złoto i srebro złupili Francuzi w czasie swego krótkiego panowania, najciekawsze zabytki i cenniejsze przedmioty sztuki powędrowały do *British Museum*, resztę zabierali gubernatorowie, co się komu podobało, a przy ich wyjeździe lub po śmierci szło to nieraz na sprzedaż. I tak znalazłem u jednego z Anglików, lu-

bującego się w starożytnościach, kilka przedmiotów należących do W. mistrzów, a nabytych na licytacyach. Była tam szafka misternej roboty z XVI wieku, wykładana słoniową kością z herbami de la Valette, kłęcznik, zegar starożytny, laska i kilka innych drobiazgów, opatrzonych emblematami i cyframi W. mistrzów. Maltańscy nigdy nie dbali o starożytności, z czego korzystając Anglicy wywozili co mogli; to co pozostało, przedstawia się jak bezwartościowe okruchy wielkopańskiej fortuny. W ostatnich dniach mego pobytu odesłali Anglicy kilka starożytnych armatek z *British Museum*, wziętych przez przedostatniego gubernatora, ale reszta utonęła bezpowrotnie w paszczy tego Molocha.

O wiele wspanialszą co do wyglądu zewnętrznego jest dawna gospoda kastylijska. Z sześciu narodowości, z których składał się zakon, Hiszpanie i Portugalczycy byli po Włochach najliczniejsi i najbogatsi. Roczny ich dochód sięgał 15.659 funtów szterlingów. Gmach ten dwupiętrowy stoi przy rogu ulicy Mercanti i ma trzy fronty. Nad wechodową bramą ze strony baraków znajduje się wykuty z marmuru pomnik W. mistrza Pinto, otoczony trofeami wojennymi, w około okien ozdoby kamienne, gzymsy, galerya wierzchnia, wszystko wykonane starannie. Wewnątrz tylko schody zostały po dawnych właścicielach; w salach bogate sztukaterie, malowidła i freski po ścianach zniszczono. Przewieść je do *British Museum* nie było podobna, odnowienie zaś pociągało za sobą wielkie koszty. Dziś zamieszkują go oficerowie angielscy wyższego stopnia.

Z dawnych jeszcze gmachów zasługują na uwagę: gospoda włoska z pomnikiem brązowym W. mistrza Caraffy i dwoma tablicami, opiewającemi jego dwa walne zwycięstwa nad Turkami, gospoda Francyi, stojąca przy ulicy Forni, uniwersytet i lyceum, oba gmachy pojezuickie. Z nowszych prawdziwą ozdobą architektoniczną miasta jest w korynckim stylu teatr, wzniesiony na miejscu dawnej gospody angielskiej, a stojący opodal Porta Reale, dalej bursa kupiecka i kilka innych prywatnych pałaców.

Ale niepokazne nawet z pozoru domy Maltańczyków, wewnątrz dobrze się przedstawiają, zamożniejszych zaś urządzone są z przepychem i wytwornością. W nich schody zasłane dywanami i ubrane kwiatami żywymi, w wysokich i obszernych pokojach

pełno dywanów wschodnich pokrywa ściany i kamienne posadzki, a na kanapach i fotelach zwieszone materye, złotem tkane, naczyń zaś srebrnych, wyrobów zagranicznych, luster, porcelany i t. d. znajdują się tu całe wystawy. Podwórko choć małe, ale kamieniem wyłożone i ozdobione kilku drzewami pomarańczy, a często i ogródek pełen przepysznych kwiatów.

W Valecie życie i urządzenie na stopę wielkomiastrową. Ulice gazem rześcicie oświetlone, podczas gdy resztę wyspy jeśli Pan Bóg nie oświecili, ciemności egipskie zalegają, po miasteczkach bowiem nie ma literalnie ani jednej lampy na ulicach. Hotele, restauracye i kawiarnie urządzone tu na sposób europejski; przytem posiada Valetta operę, trzy teatry, kilkanaście resurs szlacheckich lub kupieckich, ogród publiczny, wodociąg i t. d.

Prócz Valetty, cztery jeszcze miasta noszą tę nazwę urzędowo, albo raczej ze zwyczaju: *Notabile* czyli *Citta Vecchia*, siedm mil ang. na południe odległe od Valetty, a liczące dziś 6150 mieszkańców. Ślad dawnej świetności pozostał w kilku pałacach, które dziś są prywatną własnością, i we fortyfikacyach, które obecnie niszczeją, nie mając donioślejszego znaczenia. Tu znajduje się właściwy kościół katedralny, w którym po przeniesieniu stolicy odbywała się inauguracya W. Mistrza, dziś zaś odbywa tu każdy biskup swój *ingress* po wstąpieniu swem na stolicę Malty. Ale o kościołach później. Dalej miano miasta przysłużyła *Vittoriosie i Senglei*, z których każde leży na osobnym półwyspie naprzeciw Valetty. *Vittoriosia* była pierwotną siedzibą rycerzy Maltańskich i zwała się pierwotnie *Borgo*, po świetnem jednak zwycięstwie odniesionem tu nad Turkami w 1565 r. zmieniła ona swą nazwę na *Città Vittoriosia*. Pamiątkę tego zwycięstwa przypomina statua wzniesiona na placu św. Wawrzyńca. Na samym zaś krańcu półwyspu wznosi się fort Aniola, założony początkowo od Arabów w r. 870, a przekształcony później przez zakon a następnie przez Anglików. W pobliżu jego znajdowały się obszerne więzienia dla jeńców, wykute w skale, dziś w zupełnej ruinie. Ludności liczy *Vittoriosia* 6171. Na sąsiednim półwyspie rozsiada się *Senglea*, nazwana tak od W. Mistrza *Klaudiusza de la Sengle*, który ją ostatecznie obwarował. Tu znajdowała się menażerya i zwierzyniec W. Mistrzów, ale dziś z tego nie masz ani śladu. Od fortu krańcowego, który ma nazwę

św. Michała, zwą ją także wyspą św. Michała, albo w skróceniu *isola*. Mieszkańców liczy 7413. Za temi miasteczkami rozciąga się najliczniejsze po Valecie miasto *Burmola* albo *Conspicua* zwane, liczące 11.218, a zamieszkałe przeważnie przez rękodzielników. W czasach panowania zakonu wznosił się tu arsenał morski dla floty zakonnej, która w największym swym rozkwicie liczyła cztery fregaty i 60 łodzi wojennych. Każde z tych miast posiada po kilka kościołów z dawniejszych czasów.

Trzydzieści dwie inne osady nie mają już przywileju i nazwania miast, ale zwą się *vicolo*. Z wyglądu są to właściwie miasteczka, domy bowiem w nich murowane, jedno lub dwupiętrowe, ulice kamieniem wyłożone. Każde z nich posiada przynajmniej dwa lub kilka kościołów, szkołę, urząd policyjny i pocztowy. Piątra tych domów są zajęte zwykle przez bogatszych i inteligencyę miejscową, parter zaś zamieszkują wyrobnicy i ubożsi rolnicy, mający w pobliżu swe pola, stąd też mieszkania tam zwykle podzielone na pojedyncze pokoje, z których jedne wchód mają z ulicy, drugie z podwórza. W izbach tych najczęściej brak zupełny okien, za to drzwi wieczn ie otwarte służą do wejścia i razem do oświetlenia. Brak ten światła zmusza Maltanki do zasiadania we drzwiach z robótką, albo też i na ulicy, jeśli tylko pogoda na to pozwala. Czynsz roczny za najęcie takiej izby nie przenosi 1 szylinga. Pomieszkание, składające się z izby mieszkalnej, stajni dla muła, małej stodołki, płaci się 2 szyl. i t. d.

Prócz tego rozsypanych jest po wyspie dosyć domków odludnie stojących i zabudowań gospodarskich. Domki te małe i kwadratowe mają zwykle dwie izby, w pośrodku z których jedna jest mieszkalna, druga służy za stajnię dla konia lub muła. Zwiedzałem takie mieszkania rolników; nędza tam mieszka po największej części. Urządzenie w nich nader proste. W środku izby stół nakryty obrusem, na nim trochę naczyń glinianych i szklanych, na ścianie zaś nad nim kilka obrazów świętych, w niżej łóżko i pościel dla całej rodziny, składająca się z garści słomy i kilku kocyków, jedna lub dwie skrzynie na odzież i kilka ławek — otóż i wszystko. Pół izby nadto zajmuje ogromna drewniana machina do robienia dość grubej wełnianej materyi, służącej na odzież dla biedniejszych. W czas tylko zimy i niepogody maltańczycy śpią w izbie, przez lato wolą nocować na świeżem powietrzu, na dachu. Ale muł

lub koń ma za to zawsze wygodne pomieszczenie i zajmuje częstokroć lepszą izbę niż mieszkalna, gdyż on uważa się za pierwszą jakby osobę w rodzinie. Maltańczyk podróżujący, w miejscu popasu zamawia zawsze gospodę dla muła, o siebie się nie troszczy, wyspi się pod gołym niebem na ziemi, ale muł musi mieć dobrą izbę i garść słomy na legowisko. Muł bowiem, to majątek zwykle dla Maltańczyka i przeważny środek do utrzymania i wyżywienia jego i całej rodziny.

Niekiedy spotkać można chatkę nie lepioną nawet, ale jakby jaskinię ułożoną z kamieni, gdzie barłóg ze słomy jedynym sprzętem całego domu. A jednak ci ludzie żyją i pracują dzięki ciepłemu klimatowi i zbyt małym potrzebom osobistym. Biedak bowiem na Malcie utrzyma się niekiedy przez cały tydzień za jednego penna!

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

SZKICE MATEJKI

Z HISTORII CYWILIZACJI W POLSCE.

Jest to właściwością wielkich mistrzów słowa czy pędzla, że się nigdy nie powtarzają w pomysłach, ale za to tembardziej w pewnych właściwościach formy zewnętrznej. Dziś ścisła analiza formy doprowadziła do tego, iż o każdym niemal fragmencie poezji, lub obrazu, powiedzieć możemy, czym jest dziełem, a kto ma oko jako tako wyrobione, ten w każdej galeryi co do malarzy najwybitniejszych zorientuje się szybko, i rzadko się pomyli. Dość wymienić taką trójkę jak Leonardo de Vinci, Rafael i Michał Anioł — a u starszych to jeszcze bardziej uderza — aby widzieć, że ci malarze mają swój niezmiernie odrębny indywidualizm, a choć różnorodnym pomysłem swoim nasztarczyć nie mogą, wszystkie ujęte są w pewną formę jednolitą, a dla tych, którzy jeszcze nie potrafili uchwycić delikatniejszych odcieni, nieraz nawet monotonna. Ta pozorna sprzeczność w twórczości jest jednym z najjaśniejszych dowodów wyższości ducha nad materią, treści nad formą, już nawet w naturalnym porządku tego świata. Bo z jednej strony widać stąd, że forma w ogóle bardziej jest ograniczona niż treść, i wyczerpuje się prędzej, a z drugiej — i to ważniejsze — że najwięksi mistrze formy, do myśli, do ducha i treści nierównie większą przywiązywali wagę, niż do tejszy formy samej. Choć bowiem zdobywali ją bardzo wielką pracą, bez której pierwiastka materialnego opanować nigdy nie można, gdy jednak posiadli pewną ilość typów i kształtów, która im wystarczała do odtwarzania ich po-

myśłów, już na tem poprzestawali, a my im z tego zarzutu pewno czynić nie będziemy.

U Matejki nie może być inaczej, a choć przyznamy, że wśród wybitnych właściwości jego formy, mogą być niektóre rysy mniej ogółowi sympatyczne, to jednak nie wystarcza, aby wytłumaczyć słyszany zbyt często zarzut, iż Matejko się powtarza. A powód tego zarzutu głównie jest w tem, że patrząca publiczność nie zdaje sobie zwykle sprawy, iż to jest cechą wszystkich malarzy, a szczególnie najznakomitszych. Być może także, że ci, którzy dziś dzierżą berło krytyki, na treść mało zważają, i dla tego uderzające bogactwo myśli i niezmierna różnaitość treści w obrazach Matejki baczności ich uchodzi. My w ten błąd nie popadniemy, i wyznamy, że wielką radością i niemalym zachwytem napelnił nas ostatni cyklus szkiców Matejki, który gdyby sam jeden istniał, jużby tego bogactwa myśli i tej różnaitości treści dostatecznym był dowodem.

Jakim sposobem powstał ten cały szereg kompozycji, słyszeliśmy z ust samego Matejki. Miał on namalować jeden tylko obraz symboliczny ufundowania Uniwersytetu krakowskiego, ale idąc w głąb rzeczy, umysł jego rozróżniał coraz wyraźniej w przeszłości elementa, które się na ten fakt dziejowy i na dalsze jego skutki składały. A że tak te przyczyny jak i skutki odnosiły się wszystkie do kultury i cywilizacji w Polsce, więc przedmiot mu się rozogólnił i rozszerzył, i przedstawił mu się jako tej cywilizacji w Polsce historia.

Czy ta historia wytrzyma historyczną krytykę, nie moją rzeczą sądzić, ale w ogóle zdaje mi się, że tak; w szczegółach zaś znać erudycję tak wielką, że i wśród historyków z zawodu nie znalazłoby się wielu, którzyby ją przewyższyli. Chrzest i koronacja, jako dwa fakta pierwotne, przedstawiające dwa czynniki kultury: Kościół i Państwo, których działania w dwóch następnych zdarzeniach dziejowych, w zjeździe Łęczyckim i w odrodzeniu po Lignickim pogromie znajdują swój wyraz; nareszcie dwa prądy: zachodni, który dociera na wschód i we Lwowie zaznacza się budową wspaniałej katedry gotyckiej, i wschodni, który dążąc ku zachodowi, przynosi nam do Częstochowy bizantyńską Matkę Boską, — oto główne momenta poprzedzające założenie Uniwersytetu. Jest jeszcze wśród tych momentów i sprowadzenie żydów do Pol-

ski, o którym nie wspomniałem w swoim porządku, bo zdaje mi się być faktem innego rzędu. Świadczy on, przeciwstawiony ogólnemu prześladowaniu żydów w innych krajach chrześcijańskich, o pewnej wyższości chrześcijańskich uczuć w Polsce, a więc i o pewnym wyższym stopniu cywilizacji; ale gdy się zbiera elementa kultury w Polsce, doniosłość tego czynnika zdaje mi się co najmniej wątpliwa. Wiemy, że Matejko układał sobie do tego szeregu czynników cywilizacyjnych, który nam podał, dodać inny, który miał przedstawiać wszystkie przeszkody cywilizacji w Polsce, a wśród tych, zdaje mi się, że sprowadzenie żydów dałoby się bardzo dobrze umieścić. Korzyść bowiem, jaką kraj otrzymał przez ożywienie handlu, aż nadto była okupiona zagarnięciem zupełnem tego handlu, tak, że się u nas stan kupiecki prawie nie mógł rozwijać; a cóż dopiero powiedzieć o niemoralności, jaką żydzi we wszystkie nasze wprowadzili stosunki. Dziś żydzi są naszą rzeczywistością i niezmierną klęską, a choć zapewne w czasach, gdy równych praw nie mieli, wpływ ich był więcej ograniczony, nie zdaje mi się jednak, aby można naznaczyć w historii kultury naszej chwilę, w którejby dodatnio działali. Nawet sposób przedstawienia tego faktu przez Matejkę, charakter jego doskonale określa. Żydzi torują sobie drogę kosztownymi podarunkami dla królowej i Sieciecha, a biskupi i św. Otto na fakt ten patrzą smutno, bo go jaśniej rozumieją. Gdy dodamy do tego, że na polu duchowem, literatury i sztuki, działania żydów w Polsce właściwie nie było, powtarzamy, że nie zdaje nam się, aby w tej ogólnej myśli, jaką miał Matejko, na ten obraz było miejsce.

Za to po założeniu Uniwersytetu rozwinięte silnie życie cywilizacyjne skreślone jest znowu szerokimi, charakterystycznymi rysami. Najprzód więc chrzest Litwy, dla której głównie Jadwiga chciała mieć księży oświeconych, a w Polsce wychowanych, a potem dwa wieki Uniwersytetu, oba wspaniałe, choć od siebie niezmiernie różne, uosabiają całe duchowe życie narodu. W wieku XV scholastyka, oparta stanowczo na mądrości Kościoła, broni się z jednej strony od Husyckiej herezy, a z drugiej od nieswojskiego a częstokroć płytkiego humanizmu. W w. XVI widać, że się Uniwersytet od cudzoziemskich „nowinek“ nie obronił, a choć jaśniejże znakomitami nazwiskami, rozszedłby się na tysiąc dróg i zatraciłby

przewodnią prawdę Bożą, gdyby nie potężne działanie Kościoła, a w nim szczególnie Jezuitów, którzy gorliwością swoją dokonali częściowego przynajmniej odrodzenia narodu w XVII w. Jako wyraz najwyższy pełnego i rozlewającego się na wszystkie strony, choć nie zawsze na prawdzie opartego życia tej epoki, daje Matejko elekcję Henryka Walezego, na której nowa a liczna warstwa drobniejszej szlachty dochodzi do znaczenia i władzy, ale zarazem uwydatniają się już wyraźnie liczne czynniki upadku. Cały zaś cyklus kończy się obrazem panowania Stanisława Augusta, w którym odrodzenie się polityczne przez konstytucję 3-go maja, i odrodzenie naukowe przez Konarskiego, stanowi stronę dodatnią, i dodaje do dawniejszych nowe elementa kultury w Polsce. Przerwa zaś między elekcją Walezyusza, a panowaniem ostatniego króla, jest w cyklusie Matejki usprawiedliwiona tem, że w tym wielkim okresie czasu, gdy działanie Jezuitów już w życiu Uniwersytetu przedstawionem zostało, nowych właściwie elementów kultury w Polsce nie było.

Oto myśl przewodnia i treść ogólna całego szeregu szkiców. Wiem, że nie wszystkim ona przypadnie do smaku, i że niejedni spierałby się o nią chętnie, ale gdy mowa o dziele sztuki malarzkiej, nie o szczegóły w pojęciu treści, ale o sposób przedstawienia jej, o zalety malarskie przede wszystkim nam chodzi. A te są jak zawsze niepospolite. Przede wszystkim podniósłbym dwie: tło i nastrój każdego szkicu. Tło mnóstwem szczegółów materyalnych, przeważnie stylowych, daje nam zawsze doskonały obraz wieku lub epoki, w której rzecz się odbywa; nastrój zaś daje nam fizyognomię moralną historycznego momentu, który jest w szkicu przedstawiony. Od, nie powiem dzikiego, ale bardzo pierwotnego krajobrazu przy Lednickiem jeziorze, na którego wyspie odbywa się chrzest Polski, aż do wykwintnego salonu królewskiego z końca XVIII wieku, przechodzimy na tych szkicach wszystkie epoki: romańską, gotycką i odrodzenia, z właściwymi sobie odcieniami, odnoszącymi się do Polski, lub do chwili mniejszego lub większego rozwinięcia stylu. Te tła, do których zaliczamy nie tylko architekturę, ale i sprzęty i stroje i broń i wszystko co materyalne, są świadectwem niezmiernej umysłowej pracy i niezmiernej erudycji malarza, i są tem samem nadzwyczaj pouczające dla każdego widza, a bardziej

jeszcze — gdyby zrozumiane były — dla malarzy, którzy częstokroć może z braku wiedzy i z lenistwa w nabyciu jej, gardlują tak głośno za realistycznym kierunkiem w sztuce. Bo do tego kierunku, oprócz daru od Boga, trafego patrzenia na otaczający świat, właściwie nic więcej nie potrzeba. Obok krajobrazu na pierwszym szkicu, obfitującego bardziej we wspaniałe drzewa i wodę niż w mieszkania ludzkie, z malowniczym grodziskiem w oddali, i obok wykwintnego salonu na szkicu ostatnim, urządzonego z najwyższą elegancją i dobrym smakiem, podnieśliśmy szczególnie znakomity romański kapitularz zakonny w zjeździe Łęczyckim, salę renesansową, z polskich zupełnie złożoną motywów, w „złotym wieku“, i widok Lwowa, przy założeniu kamienia węgielnego pod katedrę, jakiś na pół wschodni, a nie dość wyraźny co do charakteru, jak zresztą wszystkie miasta o bardzo mieszanej ludności. We wszystkich zaś tłach bez wyjątku każdy szczegół jest taki, iż w epoce, w którą włożony, mógł rzeczywiście istnieć. Gdzież jest u nas drugi malarz, któryby tę rzecz tak czuł i tak wykonać potrafił!

To samo mistrzostwo znajdujemy i w nastroju pojedynczych szkiców. Na pierwszym krajobraz pełen zieleni, z wielkiem jeziorem, gdzieś w dali z samotnem grodziskiem na wyspie, mówi nam tak, jak mówią nasi historycy, o wielkich, niezaludnionych, lesistych i wodnistych obszarach, a wschodzące słońce rzucając na ziemi cień świeżo zatkniętego krzyża, mówi nam o jutrzence historycznej świeżego narodu. Na drugim obrazie spokojna a potężna postać klęczącego Bolesława, opartego na świętej włóczni, w otoczeniu pełnem bogactwa i przepychu, to najprostsza a najprawdziwsza charakterystyka tej wielkiej w naszych dziejach chwili. Doskonale odbijają od pełnego prostoty tła romańskiego budynku, przesadne, więc fałszywe pozy starego oryentalnego szczepu żydowskiego, i stan rzeczy doskonale tłumaczą. Zjazd Łęczycki zaś, najsympatyczniejsza może i najdoskonalsza kompozycja ze wszystkich, jest tak pełen młodego życia, taki ruchliwy i barwny, a ruch ten tak doskonale równoważony jest i uśmierzany przez kilka potężnych a spokojnych postaci biskupów, że trudno o lepsze pojęcie zebrania różnorodnych młodych rycerskich a burzliwych elementów, z których pod działaniem rozważnych mężów kościelnych wytwarza się organizm przyszłego narodu. Niezrównany co do jednolitości

i potęgi jest nastrój następnego obrazu, który przedstawia pogrom Polski w bitwie Lignickiej. Na środku wielkiej gotyckiej świątyni ustawione trumny poległych znakomitych mężów, przed niemi u stóp ołtarza, przy którym św. Jacek odprawia Mszę św., leży krzyżem św. Jadwiga, przywalona niezmierną boleścią po stracie syna i klęsce narodu. Około niej cały zastęp pobożnych książąt i świętych niewiast królewskiego rodu, i tłum rycerzy, a wszyscy poważni i smutni; mnóstwo świateł gorejących około trumien; zdawałoby się, że to pogrzeb całego narodu, a jednak czuje się jakąś tajemniczą siłę odrodzenia chrześcijańskiego, którego prototypem jest Chrystus Pan, po niewymownej męce i ofiarnej śmierci zmarłych powstały. Wrażenie, jakie ten obraz zostawia patrzącym, nie zatrze się długo, może nigdy w ich pamięci, a że wielką i na te czasy zawiera naukę, obyśmy wszyscy uczyli.

Czy mam opowiadać dalej? Bałbym się znużyć czytelnika, bo takie uwagi dopiero w obec obrazów nabierają znaczenia i życia. Powiem więc tylko, że na wszystkich obrazach ogólna akcja doskonale się charakteryzuje, ale szczególnie wymienić muszę ten obraz, na którym król nasz ostatni rządzi krajem nieszczęśliwym, na wygodnej leżąc sofce w złocistym szlafroku, wśród świetnego dworu, wśród literatów i artystów. W salonie półcień, bo zmrok zapada, z bocznych drzwi wnoszą światło; przed niem idzie Konarski. W rogu grupa wybitniejszych postaci z czteroletniego sejmu. W tej wykwićtności i w tym na wpół sennym nastroju jest jakaś groza, którą potęguje siedząca w ciemnym kącie postać Repnina, zatrzymującego wahadło zegaru. Dużo się już mówiło i pisało na świecie przeciw alegoryom, i rozumiem całe ich wymuszenie i niejasność nawet w literaturze, a cóż dopiero w sztuce plastycznej. Być może, że Matejko w obrazach swoich zbyt nadużywa alegoryi, i że często wkłada w szczegól jakiś myśl, której nikt nie odgadnie, komu on jej sam nie wypowie, — a to z pewnością jest ujemna właściwość jego potężnej muzy. Ale gdy w ogóle ta tendencja da się usprawiedliwić u Matejki dydaktycznym kierunkiem jego utworów, przez które chciałby nam jak najwięcej powiedzieć, to jednak alegorya na szkicu, o którym mówimy, jest tak wyraźna i tak potężnie podnosząca wrażenie ogólne, że zupełnie jest uprawniona.

Pod innym względem ciekawe niezmiernie są dwa obrazy da-

jące nam dwie epoki Uniwersytetu. Zebrać razem wszystkich uczonych jakiejs epoki, czy jakiegoś narodu, i nie być nudnym — nie łatwo. Jeden z najwytworniejszych krytyków sztuki naszego wieku, Jakób Burekhardt, zrobił trafną uwagę, że w licznych tego rodzaju kompozycjach nowoczesnych uczeni tak wyglądają, jak gdyby czekali na obiad. Uchronił się od tego wielki mistrz formy Rafael w stanzach, przedstawiając swoich uczonych w akcyi badania lub nauczania. Zrozumiał to także Matejko i wprowadzając w obu obrazach swoich żywą dyskusyę między uczonymi, podniósł ich znaczenie i wszelkiej monotonności się ustrzegł. W szczegółach można się nie zgadzać z rolą, jaką Matejko, daje pojedynczym postaciom w tej wzajemnej walce, ale co zadziwić musi każdego i zupełnie zyskać uznanie, to, że żadne nazwisko wybitniejsze nie zostało pominięte. Na tych obrazach są wszyscy, którzy w epokach owych w nauce i literaturze mieli jakieś znaczenie, a więc i wielu bardzo takich, o których nigdy nie słyszeli ci, którzy się owymi epokami pod względem kultury specjalnie nie zajmowali. Gdy stojąc przed temi obrazami jeszcze w pracowni Matejki, słuchałem, jak sam je objaśniał, jak podawał nazwiska i krótką charakterystykę pojedynczych postaci, i gdy mu stąd objawiłem zdumienie nad jego erudycyą, odpowiedział mi, że pragnął, aby ci, co po nim te epoki obrabiać będą, z obrazów tych korzystać mogli.

Tu znowu słyszę, jak niektórzy młodszy malarze wołają, że to do malarstwa nie należy. Że to malarstwu nie szkodzi, nie ulega wątpliwości — ale to nie dosyć. Każdy człowiek jest z natury w sobie jednolity, i dopiero refleksya i kultura uczy go rozdzielać w sobie rozmaite władze, aby je lepiej poznać i rozumieć, co jednak, jeżeli nie ma wpaść w stan chorobliwy, jedności jego rdzennej burzyć nie powinno. Otóż ta jedność natury ludzkiej sprawia, że dopiero to człowieka w zupełności zadawalnia, co zadawalnia wszystkie jego władze, jakie ze swej natury zadowolnić może. Więc dzieło malarskie musi przemawiać nietylko do uczucia lub wyobraźni, nietylko cieszyć oko i zmysł estetyczny, ale powinno zająć także rozum.

Stance Rafaela są z pewnością jednym z najznakomitszych utworów sztuki na świecie, a nie wiem, czyby im nie ubyło połowę wartości, gdyby wspaniała ich forma nie służyła tak niepo-

spolitej treści. A choć prawdą jest, że znawca i miłośnik sztuki nawet w bardzo nieudanem lub jednostronnem dziele potrafi odkryć i odczuć pojedyncze rysy artystyczne mniej pospolite, to jednak dla ogółu wykształconej publiczności trzeba w każdym dziele pewnego harmonijnego rozwinięcia wielu, a lepiej jeszcze wszystkich tych elementów, które z natury swojej z tego dzieła do rozmaitych władz duszy przemawiać mogą. A już do końca świata nie zmienimy tego, aby każdy człowiek, przychodzący przed obraz, nie postawił sobie przede wszystkim pytania, co ten obraz przedstawia, i nie zajął się nim tem więcej, im więcej treść go pociąga. Wiem, że są artyści, którzy się o to gniewają i wyrzekają głośno na tak nierozumne wymaganie publiczności, niemniej jednak wymaganie to już powszechnością swoją świadczy, że jest rozumne i że płynie z głębi natury ludzkiej. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek z tych słów moich mógł mi zarzucić, że mniemam, jakoby malarz mniej wykształcony malował zawsze gorzej od uczonego. Takie mniemanie byłoby oczywiście śmiesznem, zawsze jednak pozostanie prawdą, że z dwóch malarzy jednakowo malujących, ten, który szerzej na świat patrzy, i ma treść wyższą, będzie także malarzem nierównie większego w sztuce znaczenia. A gdybyśmy przyjęli najzwyczajszą nawet definicyę, że pięknem jest to, co się podoba patrzącemu, to jeszcze stąd, że patrzącym jest istota rozumna, treść obrazu będzie zawsze jednym z najważniejszych czynników piękna.

Ale wróćmy do Matejki. To cośmy dotąd mówili o całym cyklusie jego szkiców, obudziłyby mogło myśl, że są to luźne, ile możliwości wyczerpujące, bo najważniejsze epizody z historii kultury naszej, że jednak nie ma jednej nici, która je wiąże. Ale tak nie jest, a nic tę znalazł malarz myśliciel właśnie tam, gdzie ona rzeczywiście jest, tj. w katolickim Kościele w ogóle, a w szczególności w całym szeregu zakonów, które w rozmaitych epokach różne, ale zawsze z jedną przewodnią Bożą myślą, w miarę rozkwitu swego i pełności swego życia, były głównymi czynnikami rozwoju naszej cywilizacyi. Więc Benedyktyni, Cystersi, Dominikanie, Franciszkanie, Jezuici i Pijarzy snują się jedni po drugich przez ten szereg kompozycyi, jako wojsko kościelne walczące z tem wszystkim, co wewnątrz i zewnątrz narodu jest nieprzyjacielem prawdy, jako ro-

botnicy na roli Pańskiej wyrwijający chwast i obcinający to wszystko, co zdziczało. To postawienie zakonów w historii, w sposób jaki się im należy, ta afirmacja faktu, który ani dość jest znany ani uznany, jest w najnowszej kompozycji Matejki tem szczególnie, z czego pragnęlibyśmy aby korzystali ci, co nad historią kultury w Polsce pracować będą.

Chrzest Litwy i elekcyja Henryka Walezego mniej może są wybitne, bo choć w pierwszym szkicu krajobraz litewski piękny bardzo, w mnóstwie drobnych postaci zapelniających go, jest pewne zamieszanie, które odrazu rozgmatwać trudno. Drugi szkic wygląda dość dziwnie, bo większa część jego zajęta jest wielkim narniotem, pod którym główna akcja się odbywa. Charakterystycznym jest tu, że na tym szkicu po raz pierwszy widzi się pijanego szlachcica — rys prawdziwie Matejkowski — wiemy bowiem, jak wielką jest skłonność tego artysty do satyry. Podobnym rysem jest na pierwszym szkicu chłop skrobiący się w głowę, a ciągniony do chrztu przez swą żonę. Żal mu bowiem tych innych żon, które opuścić musi. Takich rysów znaleźć można więcej, a są i inne, proste a głębokie, jak np. na pierwszym także szkicu, oryentowanie mającego się budować kościoła w ten sposób, że mnich Benedyktyński nakreśla oś tegoż kościoła, przeorując cień krzyża, rzucony na ziemię przez wschodzące słońce.

Jeżeli nie podałem treści każdego obrazu z osobna, to dla tego, iż sam Matejko to uczynił w wydanym przez siebie „Wyjaśnieniu dwunastu szkiców“. Mnie chodziło tylko o to, by dać czytelnikom *Przeglądu* pewne wyobrażenie o niepospolitych zaletach nowego dzieła mistrza naszego. A będąc bliskim końca, zwracam się jeszcze raz do tego, co mówiłem na samym początku, że szkice tak różne treścią są i kompozycją nadzwyczaj różne, że się Matejko nigdy w dwóch nie powtarza. Najlepiej to widzieć można na dwóch epokach uniwersytetu, bo choć przedmiot prawie ten sam, jednak kompozycja różna zupełnie, a w „złotym wieku“ jest znakomita, tak że ten szkic, co do artystycznej wartości swojej, postawilibyśmy zaraz po zjeździe Łęczyckim, ten zaś ostatni bowiem ze wszystkich najlepszym nam się być zdaje.

Nie mówiliśmy dotąd o głównym środkowym szkicu, założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest to kompozycja symboliczna.

W bogatej komnacie na wspaniałym tronie siedzi królowa Jadwiga, obok niej po jednej stronie Kazimierz Wielki, po drugiej Władysław Jagiello, u stóp tronu arcybiskup Jarosław Skotnicki i Janko z Czarnkowa. Kompozycya symetryczna i dość sztywna, zdaniem naszym nie dorównywająca dawniejszym znakomitym parafrazom pieczęci królewskich, przez Matejkę rysowanym. Ale właśnie ten przymus sztywności w głównym, a chronologicznie pierwszym szkicu przez Matejkę malowanym, sprawił tak silną reakcyę w tej potężnej i bogatej duszy, że dopiero jednym tchem wyrzuconych jedenaście kompozycyj, tryskających życiem, zaspokoić ją mogły. A z tego względu ten środkowy obraz jest nam szczególnie drogi.

Ks. Eustachy Skrochowski.



CHRZEŚCIJAŃSKI POWIEŚCIOPISARZ

PAWEŁ FÉVAL.

(Ciąg dalszy).

II.

Romansopisarz. — Tajemnice Londynu. — Reklama i sława. — Powieści historyczne, awanturyczne, obyczajowe. — Dramaturg i poeta. — Obojętność religijna. — Pobożna żona.

Kilka „powiastek“, „szkiców“, „encyklopedycznych artykułów“ napisanych jeszcze pod wpływem czyhającego na swą ofiarę głodu, na smutnej pamięci poddaszu, a umieszczonych w paru podrzędnych pisemkach, nie przyniosły wprawdzie Févalowi zbyt wiele rozgłosu, a tem mniej grosza; ale co daleko było ważniejszym, otworzyły mu podwoje fejtetonów kilku nie najgorzej płacących, wpływowych, a przynajmniej mających pretensyę do wywierania pewnego wpływu dzienników. Świeżo założony „organ świata eleganckiego“: *La Sylphide* wydrukował na pięknym swym błyszczącym papierze — którego sam widok napawał radością i dumą serce młodego autora — dwie powieści: *Les Chevaliers du Firmament* i *Rollan-pied-de-Fer*. Redaktorzy dzienników: *la Quotidienne* (późniejsza *l'Union*), *la Chronique*, *la Mode*, *la France maritime*, *le Courrier français* przyjmowali teraz Févala w swych biurach z grzecznością i uprzejmością, której przed niewielu miesiącami tak mało pokazywali śladów, owszem zachodzili sami coraz częściej do jego dość już wygodnie a nawet zbyt kownie, ale jeszcze

bez smaku urządzonego mieszkania, a długie swe poufne rozmowy kończyli zazwyczaj prośbą: „Zmiłuj się Pan! dajże nam co prędko; najlepiej o Bretonii i Bretończykach — tak jak to umiesz; tylko nie zwlekaj, bo publiczność się niecierpliwi!“

Istotnie publiczność niecierpliwiła się nie widząc dłuższy czas chciwie wyczekiwanego podpisu *P. Féval*, który zapowiadał jej opowiadanie czasem poetyczne, na rzewną nastrojone nutę, częściej pełne dziwnych awantur, tajemniczej zgrozy; rojące się niewiedzią, a nieraz niemożliwymi postaciami rycerzów i pustelników, czarownic i duchów. Z największą miłością i dla tego najpiękniej i najidealniej malował nasz Bretończyk swoją Bretanię, jej mieszkańców, zwyczaje i piękności. „Kocham Bretanię, zwykł był sam mawiać, czuję, że jestem jej dzieckiem; miło mi też snuć o niej „Opowiadania“¹, powtarzać bajki, nucić piosenki wiernej tej mojej pocziwej piastunki“. Pisząc o katolickiej, monarchistycznej Bretanii, wypełniając łamy monarchistycznych dzienników, jak *la France*; katolickich jak *l'Union catholique*², pozyskał sobie nasz publicysta i powieściopisarz opinię legitymisty, w pewnych kółkach uchodził nawet za ultramontanina. „Przyznać należy, pisze sam o tym pierwszym peryodzie autorskiej swej działalności³, że moje utwory odbijały od wielu innych wyrazistszym kolorytem. Byłem za Ludwika Filipa literackim chrześcijaninem, literackim sojusznikiem Burbonów, ale byłem tem wszystkiem właściwie wtedy tylko, kiedy siedziałem przy biurku; co najwięcej mógłbym się pochwalić, że sama pocziwa moja natura i artystyczne upodobania ciągnęły mnie do zwalczania zalewającej kraj cały mieszczańskiej płaskości i płytkości, której pierwsze symptomy dojrzałe u kuzynów *Duverdieux* napęłniły mnie obrzydzeniem. Bądź co bądź serce i należycie zrozumiane poczucie religijne małą w tem odgrywały rolę. Nie pamiętam, czy choć jeden jedyny raz podziękowałem Bogu z głębokości duszy za wszystkie tak jawne łaski, którymi mię obsypał w rozpaczliwym mem położeniu“.

¹ *Les Contes de Bretagne: La Dame blanche, le Bonhomme Misère, le Joli château des Coquerel.*

² Gazeta ta złała się następnie z *l'Univers*.

³ *Le coup de grâce* p. 262.

Féval był już znanym, czytany, ale jeszcze nie sławnym; drogę do sławy otworzył mu dopiero wydany w r. 1842 dłuższy romans *le Loup blanc*, osnuty na tle minionych walk między Bretanią a Francją. „Znasz *le Loup blanc*? pytał Féval przyjaciela, wicehrabiego *Oskara de Poli* w liście datowanym 20 maja 1881 r. Doczekał się on przynajmniej z 50 wydań, 20 różnych przekładów i prawdziwie niezliczonej liczby przedruków. Wszystkie prowincjonalne dzienniki jednocześnie go drukowały, a wcale spora liczba podała go powtórnie po dziesięciu lub piętnastu latach. Robota paliła mi się wtedy w rękę; przyrządzenie tej potrawki zajęło mi ledwie kilka dni czasu“.

Ostatni fejteton z chciwie czytana powieścią jeszcze się nie okazał, a już dziennikarscy spekulanci zrozumieli, jak wyborny interes mogą zrobić, pozyskując dla siebie takie pióro; dwóch zwłaszcza śmielszej natury postanowiło jednocześnie je dla siebie zagarnąć. Pierwszy stanął w gabinecie młodego pisarza naczelny redaktor jednego z największych paryskich dzienników; biedak, któremu spać nie dawały laury i franki ściągane przez *Constitutionnel'a* za pomocą czerniącego Jezuitów bez miary i litości *Żydą-Tulacza*. Redaktor, opowiadał później sam Féval tę swoją literacko-dziennikarską przygodę¹, przystąpił wprost do interesu:

— „Przychodzę do Pana ze świetną propozycją: zechciej, a zrobisz majątek na Jezuitach“.

I nie czekając odpowiedzi, zaczął mi wyliczać wszystkie dokumenty, troskliwie przez siebie zebrane w celu przypuszczenia ataku na Jezuitów, ataku mogącego liczyć na większe jeszcze powodzenie, niż go doznał Eugeniusz Sue.

— „Patrz, dodał, czyż to nie skarby, żyła złota,.. kopalnia... Nadto ofiaruję...“

Lecz mniejsza o to, co mi ofiarował; to pewna, że nikt rozsądny wiele więcej mi wówczas ofiarować nie mógł. Liczyłem sobie lat 25; byłem próżny, tak próżny, jak rzadko mi się kogo przez całe życie zdarzyło spotkać. Pragnąłem i łaknąłem rozgłosu, huku i huczku koło siebie, który bardzo lojalnie a naiwnie zara-

¹ *Paul Féval. Etudes religieuses, philosophiques, historiques et littéraires. Juillet 1888 p. 404*

zem uważałem za coś identycznego ze sławą. Jezuitów nie znałem, jak tylko z *Provinciales* i *Encyklopedyi*; ochoczo też przyjąłem zaszczytną propozycję, pochlebiając sobie, że potrafię, że muszę prześcignąć Eugeniusza Sue“...

Zaentuzyazmowany przyszłą, niezawodną sławą romansopisarz zabrał się do roboty i przez miesiąc „pracował jak murzyn“. Do gabinetu znoszono mu całe kosze dawnych i nowych pamfletów, ochrzczonych przez przemysłnego spekulanta szumną nazwą „autentycznych, nieocenionych, wszystko ostatecznie, nieubłagane wyjaśniających dokumentów“. Féval wertował, przerzucał, porównywał ze sobą te dokumenty z początku z gorączkowym zapalem, później z coraz większą niechęcią, aż wreszcie pewnego pięknego poranku spakował je starannie do wielkiej skrzyni i odesłał pod adresem dziennikarskiego przedsiębiorcy, wspólnie z otrzymaną z góry pieniężną zaliczką i następującym biletem:

„Nie gniewaj się Pan, ale wyjeżdżam do Bretanii, złożęwszy wprzód kominkowi w ofierze zabazgrane dotąd arkusze naszej książki. Wydało mi się, iż lekkomyślnie a raczej głupio podjąłem się kiepskiej pracy, nie odpowiadającej zupełnie takiemu jak ja żołnierzowi pióra, który choć wyznaje obojętność w kwestiach religijnych, to o literacką uczciwość dba jak o własną żrenicę“.

„Wybacz, że niepotrzebnie może zbyt długo zwlekałem z napisaniem tego listu. Chciałem szczerze wywiązać się z obietnicy, ale szperając i zastanawiając się właśnie nad przysłanymi mi dokumentami, przekonałem się, że oczerniam, za tyle a tyle groszów od wiersza, ludzi niewinnych, co więcej: obywateli ojczyźnie użytecznych, dobrodziejów ludzkości, rycerzów wiedzy, apostołów, bohaterów, świętych, którzy dopuścili się strasznej tej zbrodni, iż wprowadzając w życie nadludzkimi wysiłkami, potem swym i krwią, taką cywilizację, jakiej dzisiejsze czasy podobno niestety! nie znają, zawstydzili wszelkie inne, w innych celach zebrane korporacje. Wyczytałem to w Twoich dokumentach w jednej z dość trafiających mi do przekonania rozpraw *d'Alembert'a*. Szukaj więc kogo innego; na mnie do tego rodzaju prac bądź co bądź odtąd nie rachuj!“

Drugi literacki przedsiębiorca *Antenor Joly*, redaktor odcinka w *Courrier Français*, lepiej obrachował się z przekonaniem, uspo-

sobieniem i talentem *Févala*. I biedny *Joly* gryzł się i chorował z zazdrości, której przyczyną był znowu *Eugeniusz Sue*, a raczej romans jego: *Tajemnice Paryża*, wychodzący od kilku już miesięcy w *Journal des Débats. Kurjer*, pragnąc sprostać rywalowi i odebrać mu choć część przerażająco mnożących się prenumeratorów, obstałował sobie u pewnego demokratycznego pisarza *Tajemnice Londynu*; demokrata, rodem Anglik, *Tajemnice* napisał, ale redakcyja zdecydowała jednomyślnie, że najwytrzymalszy czytelnik nie potrafiłby dotrzeć nie już do dziesiątego, ale do trzeciego tomu bez jawnego narażenia się na *spleen* nieuleczalny. Trzeba było ratować honor i finanse dziennika; lecz kogo wezwać na ratunek, aby przypadkiem lekarstwo gorszem nie było od choroby? *Antenor Joly* głęboko właśnie nad tem się namyślał, gdy wtem wieczorem wpadła mu w ręce powieść *le Loup blanc*; całą noc strawił na czytaniu, a nazajutrz rano, jak można było najraniej dzwonił do pomieszkania *Févala*.

„Nie łatwo nam było z początku się porozumieć¹: *Antenor Joly* głuchy jak pień, to szeptał szeptem muchy, to wrzeszczał na całe gardło. Pomimo tego za pomocą skrawków papieru, których nosił przy sobie obfity zapas, zaczęliśmy się wzajemnie pojmować: on poruszał ustami lub krzyczał, ja pisałem lub gestykulowałem — grzeczny to był człowiek, entuzyasta czystej wody“.

— „Znasz Pan Londyn?“ zapytał *Antenor*². — „Tyle co nie“. — „A literaturę angielską?“ — „Dość gruntownie“. — „Byłem tego pewny. Nie ma wątpliwości, że odpowiesz Pan najdokładniej naszym wymaganiom. Zabieraj się czempredziej do pracy i wygotuj dla *Kuryera* cztery pierwsze rozdziały *Tajemnic Londynu*.“ — „Pan żartujesz, to czyste niepodobieństwo“. — „Dziś przeszła w literaturze era niepodobieństw. Powtarzam, trzeba zacząć... Proszę mi nie odpowiadać. Co Pan teraz piszesz?“ — „Romans: *Towarzysze milczenia*“.

Antenor zbliżył się do biurka, przy którym pracował nasz powieściopisarz, pochwycił kilka świeżo zapisanych éwiartek pa-

¹ *Le coup de grâce*. p. 267.

² *Mercier* „Paul Féval“.

pieru, a przebiegłszy je szybko, gestykulując i śmiejąc się z radością, zakrzyknął:

— Otóż, czego szukamy, bravo! Dziś dać można do drukarni!

— Co takiego? zapytał Féval.

— Nasze *Tajemnice*, *Tajemnice Londynu* mój najdroższy!.. Odgadłeś moją myśl! Zamiast nazwisk francuskich wstawimy angielskie; zamiast wino, napiszemy piwo — i bez wielkich zachodów znajdziemy się w samym środku wielkiej Brytanii. Jutro musi się koniecznie okazać pierwszy fejteton! —

„Nie zgadzałem się z wielu opiniami *Kuryera* i wyznałem to bez ogródki¹. Otrzymałem odpowiedź: „Mieć możesz własne swe zdanie; możesz go bronić na naszych szpaltach, jak i kiedy ci się spodoba“. Nie miałem mi było wstępować poniekąd w ślady innego pisarza, choć znanego i sławnego, pożyczać sobie od niego połowę tytułu. Nie będiesz naśladować *Eugeniusza Sue*, odparł zręczny redaktor-dyplomata, lecz wystąpisz przeciw niemu do walki. Jesteś Bretończykiem i katolikiem, nie lubisz protestantyzmu i Anglii; możesz być dla nich surowym, nietościwym“. Wreszcie nie znałem Londynu, jak tylko z książek; *Antenor* obiecał mi wystarać się o cały stos wiadomości i wyjaśnień, a *Kuryer Francuski* zobowiązał się wziąć na siebie wszelkie koszta prawdziwie książęcej wyprawy do Londynu, przypominającej wyprawę Wilhelma Zdobywcy. Obiecano mi dodać do boku, niby pierwszorzędnemu dyplomacie, cały sztab sekretarzy i pisarzy; adjutanci moi mieli mieć w ręku odpowiednie środki do przekupienia londyńskiej policyi, aby „Wielki Babilon“ nie mógł ukryć przed mym wzrokiem ani jednej z najtajniejszych swych ran.

„Lecz wszystko to pod jednym warunkiem: trzeba było rozpocząć natychmiast; pierwszy rozdział miał się pojawić przed końcem tygodnia.

„Tylko dzieciak nieprzezorny mógł się zgodzić na taką awanturę; na szczęście dla przyszłej mej karyery, byłem wtedy dzieckiem. Chętka splełania figla angielskiemu pawilonowi oszołomiła

¹ *Le coup de grâce* p. 267.

mię; nie raczyłem nawet spoglądać na niebezpieczeństwa lub trudności proponowanego przedsięwzięcia. Zgoda! zawolałem i po chwili podpisałem kontrakt. *Antenor Joly* wyjął z pularesu i wręczył mi więcej banknotów niż dotąd ich kiedykolwiek oczy moje oglądały, a w kwadrans potem zatemperowane pióro pędziło galopem po papierze“.

„Bezwątpienia, i sam szczerze wyznać to muszę, decydując się na taki skok w próżnię, zasługiwałem, jeśli nie na złamanie karku, to co najmniej na wywrócenie bolesnego koziolka; ochroniła mnie od niego gruntowna znajomość pilnie czytanej *Revue Britannique*, i mnóstwa książek, wydawanych współcześnie w Londynie, Edynburgu, Glasgowie. Uwielbiałem sztukę chrześcijańską, padałem na kolana przed *O. Connelem*; żywiłem w głębi serca straszną nienawiść przeciw kalwińskiej bawelnie; niecierpiałem *John Bulla*, kata Irlandczyków; trząsałem się na wspomnienie kupieckiego narodu, zdobywającego świat łokciem. Marsz! marsz! Hurra! naprzód! Zamknąłem oczy, rozpędziłem się i przeskoczyłem rów, dziwiąc się sam nie mało, że cały wyszedł z tej przygody“.

„Czy gorączkowa ta improwizacya, wydana pierwotnie pod głośnym na chwilę pseudonimem: *Sir Francis Trolopp*, miała jaki sens możliwy? Szczerze mówiąc, nie miała go wcale; ale tryskała z niej nieokiełzana siła, młodość, a zwłaszcza Nielitościwa, gryząca i szczypiąca ironia. Sarkazm buchnął płomieniem i narobił wrzawy“...

„Powodzenie było niesłychane; pseudonim mój w kilku tygodniach przeszedł Europę i przepłynął ocean. *Antenor Joly* znosił mi całymi kosztami diatryby i dytyramby na cześć i na pohybel bazgraninie *Sir Francis'a*. Prasa angielska pieniała się ze złości; Amerykanie płąsali z radości i przysyłali nam swe dzienniki z przerażająco olbrzymimi tytułami, po których naksztalt koleców u jeża, piętrzyły się długim rzędem wykrzykniki: *Polityczny wypadek!!! Przerażające rewelacye!!! Ważne odkrycie!!! Anglia zdemaskowana!!!* W kochanej Ameryce brano najzupełniej na seryo osobiistość *Sir Francis'a Trolopp*; wiercono ślepo jego słowom, a nawet najmniej prawdopodobnym żarcikom. Jednocześnie przetłomaczono „Tajemnice Londynu“ na wszystkie możliwe języki; a prze-myślni Belgowie przedrukowawszy moją książkę bez mego pozwolenia, rozrzucili ją po Rossyi w niezliczonej ilości egzemplarzów“.

Tajemnice wyrobiły Févalowi świetną pozycję „w świecie księgarsko-literacko-kupieckim“, — jak się sam ironicznie wyraża; wyborna spekulacya *Kuryera Francuskiego* tak rozogniła umysły, że wszyscy niemal redaktorowie większych paryskich dzienników zarzucali z kolei wędkę na szczęśliwego powieściopisarza, domagając się koniecznie za jakąbądź cenę, dziesięciu przynajmniej tomów nowych „*Tajemnic*“, mniejsza o to: londyńskich, madryckich czy petersburskich. Féval dochował wiary *Antenorowi Joly* i następnego zaraz roku, tym razem własnem już swem nazwiskiem się podpisując, wręczył mu olbrzymi romans, osnuty na tle paryskich stosunków; a gdy *Joly* podjął się redakcyi fejetonu w bardzo naówczas głośniejszej *l'Époque*¹, umieścił w niej „wściekły dramat: *Syn dyabła*, prawdziwy labirynt, złożony z najdziwaczniejszych awantur“. Przemysłny spekulant urządził dla tego utworu niewidzialną dotąd reklamę; w czasie zapust zwłaszcza użyto najrozmaitszych sztuk i sztuczek: monumentalny wóz, oświecony w nocy bengalskiem światłem, przeciągał po ulicach Paryża, wzywając zaciekawioną publiczność do czytania najnowszego arcydzieła; kolosalne afisze, wszystkimi farbami błyszczące obrazy ściągaly mimowoli uwagę przechodzących. „Jedni², — stosownie do dobrego lub złego humoru, głośno klaskali; drudzy nie mniej głośno protestowali. Cała prasa poszła w te ślady; klaskała i protestowała tak głośno, że nazajutrz cały Paryż formalnie szalał za „Epoką“ i „Synem diabelskim“.

Reklama ta, o której sam powieściopisarz dowiedział się wtedy dopiero, gdy już ulice Paryża brzmiały okrzykami na cześć jego wznoszonymi, sprowadziła wprawdzie z jego strony na *Antenora* burzę zbyt słusznych zarzutów, ale zarazem sprowadziła tysiące franków do kieszeni obydwóch, a Févalowi w szczególności, popularyzując jego nazwisko, zapewniła mnóstwo stałych czytelników, wiernych admiratorów. Odtąd przez ćwierć wieku nie wychodziły już, ale — jak jeden z biografów się wyraża — wylatywały z pod jego pióra, pędząc całą siłą pary, coraz inne, małe, wielkie,

¹ Naczelnym redaktorem tego dziennika był *Granier de Cassagnac*, ojciec znanego mowcy parlamentarnego *Pawła de Cassagnac*.

² *Le coup de grâce* p. 278.

olbrzymie, powieści, opowiadania, romanse, powód zaciętych walk dla chciwych rozgłosu i zysku wydawców. Wszystkie te w pierwszym peryodzie życia, „w peryodzie obojętności religijnej“ napisane, na setki liczące się powieści, które już nie tylko dokładniej rozebrać, ale choćby wyliczyć byłoby niełatwym i wprost zbytecznym trudem, podzielić się dadzą, w ślad francuskich krytyków, na trzy główne kategorie: romansów historycznych, awanturnicznych, obyczajowych. Najintrygatniejsze były naturalnie powieści awanturnicze, największe pochwały przynosiły powieści obyczajowe; jak pierwsze, tak drugie osnute były choć nie zawsze to najczęściej na tle historycznym, i dlatego zwłaszcza — w czem zresztą Féval do wyjątków nie należy — nie zawsze łatwo, nieraz niepodobna ściśle określić do której z powyższych kategorii jakiś w szczególności utwór zaliczyć.

Ze względu na powieści historyczno-awanturnicze krytycy porównują nieraz *Févala* z *Aleksandrem Dumasem*. Porównanie to z wielu miar słuszne; tylko kiedy ostatni lubił popisywać się znajomością drobnych szczegółów i faktek opisanej przez siebie epoki, i dokładał starania, aby historia, lub przynajmniej to, co sądził, że jest historią, występowała na pierwszy plan; to *Féval* nie miał pretensyi do uchodzenia za samodzielnego badacza, a raczej *szperacza* dziejów świata; osobnego systematu historycznego sobie nie tworzył, ale natomiast starał się raczej o barwne, z wielką zazwyczaj, rzekłbyś intuicyjnie uchwyconą prawdą oddane malowidło obyczajów i charakterów wieków minionych. Tak pierwsza zaraz z rzędu większych powieści, wspomniana poprzednio: *le Loup blanc* daje nam żywy, wierny obraz walk i sporów, toczących się między Francją a Bretanią po śmierci Ludwika XIV. Bretanio! ojczyzno moja! woła powieściopisarz w uczuciu i w znaczeniu, w którym Mickiewicz Litwę ojczyzną swą nazywał; — ojczyzno droga, jak cię nie kochać? Szczery to zapal, a zapal ten mimowoli i czytającemu się udziela; i on składać gotów niskie hołdy starej bretańskiej szlachcie w obec której *Bourbony* i *Montmorency'owie* ledwie mogą sobie rościć prawo do nazwy szlachciców; żałować gotów, że cudem jakim przenieść się nie może do tych wsi i zamków, które zamieszkują sami bohaterzy, sami szlachcice, jeśli nie prawem krwi, to własnych szlachetnych czynów.

A jak w tej pierwszej „bretańskiej“, tak w całym szeregu następnych powieści, ta sama, może nawet jeszcze większa wierność w oddaniu miejscowego kolorytu, w tworzeniu typów, które jedynie w danym czasie i miejscu istnieć mogły i bezwątpienia istniały. „Otwórz pierwsze lepsze z tych opowiadań, pisze znany francuski krytyk *Edmond Biré*¹, przerzuć np. *Châteaupauvre* i powiedz z ręką na piersiach, czy znałeś poprzednio choć jedną z osób, z którymi cię tutaj *Féval* zaznajamia; czy choć jedną z nich mógłbyś bezkarnie przenieść kilka mil bliżej lub dalej, np. do Normandy lub Wandei? *Balzac*, *Jules Sandeau*, *George Sand* malują wiernie krajobraz; mamy i widzimy przed sobą *Touraine*, jesteśmy w *Marche*, w *Berry*. Ale osoby, którym autorowie kazali mieszkać i ruszać się w tych okolicach, mogłyby śmiało z nich się przenieść; niktby nie zaprotestował, choćby się z nimi spotkał w zupełnie innych stronach Francji. Należałoby tylko zmienić kilka szczegółów w ubraniu i — historia skończona. Przeciwnie, bohaterzy występujący w *Châteaupauvre* muszą koniecznie mieszkać gdzie mieszka, żyć gdzie żyją. Ani stara *Méto*, ani wyrobnik *Gaume*, ani notaryusz *Hervageur*, ani jego żona nie mogą istnieć poza granicami Bretanii“.

W jednym z najlepiej skądinąd ułożonych i przeprowadzonych historycznych romansów *Frère Tranquille*, stanął *Féval* po stronie rewolucji: chwilowy to był, jedyny w tym kierunku wybryk rozigranej fantazyi, której rozum nie potrafił na razie na wodzy utrzymać. Zdradzasz nas, zapominasz o rodzinnych twych tradycjach! zawołali przerażeni monarchiści. Nie! nie zdradzam, odparł powieściopisarz, i jakby dla stwierdzenia tych zapewnień, dla odpokutowania popełnionego błędu podjął propagandę za monarchistycznymi zasadami w dwóch powieściach: *les Deux femmes du roi* i *les Fanfarons du roi*, propagandę posuniętą za daleko, a w każdym razie przedsięwziętą nieostrożnie i za gorączkowo. Króla słuchać należy, dowodzi paradoksalnie nasz autor, zawsze i wszędzie, nawet gdyby był ostatnim lotrem i wydawał nie królewskie, ale zbójeckie rozkazy. Wychodząc z tego założenia oburza się *Féval* na Papieżów, którzy biorąc w obronę uciemnionych poddanych, wyjaśniali uroczyscie, że w danym razie

¹ *Biré* „Paul Féval“. — Studium wydane w *l'Univers*.

nie wiąże ich już przysięga, złożona niegodnemu korony monarsze; natomiast stawia jako ideał doskonałości rodzinę *Szymona de Vasconcellos*, posuwającą niemal do nadludzkiego heroizmu wierność dla monarchistycznej zasady, chociaż przedstawicielem jej jest człowiek zły i podły. Papież, woła skrajny nasz monarchista, wołał do ludów: „Buntujcie się!“; ale wnet, niby instynktownie czując, jak sąd ten jest niesprawiedliwy, cofa go i w gorących słowach podnosi znaczenie trybunału papieskiego, naturalnego a najwyższego na ziemi rozjemcy i sędziego równie królów jak ludów:

„Tylko zła wiara zaprzeczyć może zbawiennym skutkom tego wszystko mogącego wędzidla, które samo jedno utrzymywało w pewnych karbach kaprysy i gwałty na pól barbarzyńskich tyranów. Gdyby nie zbawcze gromy Kościoła, wszystkie trony wieków średnich nurzałyby się były w błocie. Rozum dziwi się cudownej tej potędze broni, ściśle i wyłącznie moralnej, za pomocą której berło św. Piotra tyle głów ukoronowanych przynagliło do pokornego posłuszeństwa. Największa, najoporniejsza pycha gięła się pod ciężarem klątwy; stawianie oporu temu orężowi było niemożliwem. Należało się uznać za zwyciężonego i zgodzić na zadośćuczynienie: wyznać swój błąd stojąc przed bramą kościelną z bosymi nogami, z głową odkrytą“.

Jak zgodzić te słowa z zapatrywaniem wyrażonem o kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście kartek wstecz i naprzód; z zarzutem, iż Kościół podburzał poddanych przeciw prawowitemu monarsze i wprost zachęcał: „Buntujcie się“!? Sam *Féval* nie mógł i nie myślał tej zagadki rozwiązać. Jedynem jej rozwiązaniem, wyznawał otwarcie, nierozumny pośpiech w pisaniu, brak jasno wyrobionych przekonań, szalona wyobraźnia, która wzięwszy na kiel, to na prawo to na lewo ciągnęła rozsądek, a dojrzawszy przez mgłę jakiś punkt niewyraźny, przeobrażała go to w niebo, to w piekło, stosownie do chwilowego humoru i nastroju.

W wesołym, szczęśliwym nastroju rozpoczął *Féval* pisać pół-historyczną, pół-obyczajową powieść *le Bossu* ze smutnych czasów Rejenta; a dobry ten humor na dobre wyszedł równie samej książce, jak autorowi i wydawcy. „Pocziwy *P. Havin*¹, typ słodkiego,

¹ *Le coup de grâce* p. 334.

dobrodusznego faryzeusza, redagował wówczas *le Siècle*, wedle zasad wrzekomo republikańskich, z którymi w gruncie bynajmniej się nie zgadzał. Zażądał odemnie jakiejs powieści; wydałem u niego książkę zrodzoną z dobrego humoru: *le Bossu* z monstrualnem powodzeniem, które mnie samego najbardziej zadziwiło⁴. Istotnie powodzenie było tak wielkie, setki tysięcy egzemplarzów tak szybko po całym świecie się rozeszły, iż odtąd zlakomieni wydawcy zamęzczali formalnie ulubionego autora coraz nowymi prośbami i propozycjami; obsypywali go złotem, byle tylko — z niemałą zresztą szkodą dla swego talentu — na chwilę nawet nie dał spocząć płodnemu pióru. Romanse historyczne zbyt wiele wymagały czasu i przygotowawczych studyów; w awanturnicznych wielotomowych baśniach, kilku ledwie niedokładnymi wspomnieniami historycznymi zabarwionych, mógł puścić wolne wodze wyobraźni i nie mogącemu nadążyć jej pióru, i dlatego, ustępując pewnemu umysłowemu lenistwu, zepsuty pochwałami i niewybrednym smakiem czytelników, puścił się po niedługim czasie przeważnie na to pole, piętrząc niepodobieństwa na niepodobieństwach, gniewając się czasem sam na siebie, jako na wielkiego „literackiego grzesznika“, lecz pomimo tego nie przestając zatwardziales grzeszyć.

Mniej banknotów, mniej sztucznego rozgłosu, ale więcej prawdziwej chwały przyniosła *Févalowi* w pierwszym tym okresie literackiej działalności, powieść obyczajowa. „Dużo, dużo na mych półkach, pisał nasz autor do przyjaciela¹, opowiadań obyczajowych, badających ludzi, analizujących ich charaktery, zaglądających do serca. Prócz *Bouche de fer* i *Drame de la jeunesse*, widzę jeszcze przed sobą *Annette Laïs*, *Aimée*, która mi tyle wawrzynów przyniosła; *la Province à Paris* i oryginalnego, może dziwaczного *Corentin Quimper*“. — „Może się mylę, zwierzał się kiedy indziej, ale zdaje mi się, że niektóre z rzędu obyczajowych mych powieści mają pewną trwalszą wartość, bom kładł w nie nieraz całą duszę, własne uczucia, myśli, pragnienia w nie wlewałem“. Ostatnie te słowa zastosować się szczególnie dadzą do *Drame de la jeunesse*, pół pamiętnika, pół powieści, w której prawda ozłocona poezją, charaktery odmalowane z życia, tok opowiadania to we-

¹ Do *Karola Bueta*. — List cytowany w artykule *O. Mercier*.

soly, żartobliwy, to znowu rzewny, do poważnych myśli zmuszający, składają się na obraz w całym słowa tego znaczeniu piękny „obraz mistrzowski“, jak wyraził się dobry znawca, surowy zazwyczaj krytyk *Juliusz Claretie*. W *Fernandzie*, głównym bohaterze „Dramatu młodości“, fotografuje nam *Féval* samego siebie, kładzie bez litości pod szkło powiększające swe śmieszności i wady; w *Zofii* idealizuje piękność, rozum i cnotę tej, która oddawszy mu swą rękę i serce, była mu całym życiem dobrym aniołem stróżem. Najlepsza to moja powieść, zwykł był mówić sam *Fernand-Féval*, podkreślając wyraz powieść; i w zdaniu tem się nie mylił. „*Tajemnice Londynu*“, „*Syn dyabła*“, „*Czarne suknie*“, „*Kapitan Fantôme*“, nawet słynny „*Garbaty*“, choć nie utonęły w zapomnieniu, to zawdzięczają to głównie cheiwym awantur, żądnym nieprawdopodobieństw, mieszczańskim z ducha, jeśli nie z rodu, rzemieślniczym warstwom; artystycznie w najdrobniejszych szczegółach obrobiony „*Dramat młodości*“, nosi na sobie cechę, po której łatwo odróżnić dzieło wyszłe z ręki mistrza, iż czas nie tylko mu nie odejmuje, lecz dodaje wartości.

Literacka działalność *Févala* obejmowała głównie i na pierwszym miejscu powieść; do dramatu, komedyi wielkiej wagi nie przywiązywał, nudził się przerabiając swe romanse do teatralnego użytku, i dlatego przy przeróbkach tych dobierał sobie zazwyczaj współnika, któremu zostawiał lwią część materalnej pracy. Przekształcony w ten sposób *le Bossu* z pomocą głośnego później *V. Sardou* doczekał się nie małego nawet w Paryżu powodzenia, ściągając do teatru na 250 przedstawień z rzędu zawsze liczną, rozentuzjazmowaną publiczność; ale zarazem stał się przyczyną bardzo niemilej, w dziennikach wytoczonej rozprawy między obu współpracownikami, z których każdy sobie samemu przyznawał wyłączną niemal zasługę autorstwa popularnej sztuki. „Ja dałem plan“ — „A ja go zmieniłem“. — „Ja napisałem trzy czwarte dramatu“ — „A ja te trzy czwarte wrzuciłem do kosza“, — w ten sposób nasi dramaturdzy dysputowali ze sobą w obec rozbawionej tem oryginalnem przedstawieniem publiczności, tem oryginalniejszym, że *Féval* uznawał w gruncie zawsze teatr — nie tylko po, ale i przed swem nawróceniem — za rzecz niemoralną, w wysokim stopniu dla społeczeństwa szkodliwą. Po nawróceniu się, zastosowując praktykę

do teoryi, przestał zupełnie dla teatru pisać; przedtem zawarłszy dziwny kontrakt z sumieniem, wydawał piórem mokrem jeszcze od pisania sztuk teatralnych, surowy sąd o teatrze, głównie o teatrze francuskim, sąd za surowy bezwątpienia i za bezwzględny, miejscami paradoksalny, ale któremu w pewnej mierze trudno odmówić słuszności:¹

„Teatr jest niemoralnym sam z siebie, z swej natury. Potępiam nawet *Esther*, nawet *Athalie*, bo sztuki te przedstawiają ludzi, którzy nie czują tego, co mówią; ludzie ukrywający się pod maską. Stąd teatr jest szkołą kłamstwa... Wiem dobrze, że kiedyś, kiedyś, bardzo już dawno temu sztuka dramatyczna uchodziła za pewnego rodzaju kapłaństwo. Pierwotna scena, mówiąc pierwotnym ludom o narodowych czynach, o religijnych lub patryotycznych uczuciach, była bez wątpienia czemś na kształt szkoły; tragedia grecka, ta pogańska ewangelia streszczała w sobie całą historię i filozofię grecką. My czemś podobnem poszczycić się nie możemy. Nie umiemy wysławiać naszej wiary, opiewać wielkich czynów przodków naszych. Piszemy, ale wtedy, gdy nam kto dyktuje; nawet wielcy nasi tragicy z *Corneill'em* na czele przemawiali cudzymi lub umarłymi językami. A dziś pomimo szlachetnych, wzniosłych wysiłków, którym z całego serca przyklaskuję, czy możemy powiedzieć, że tragedia nasza żyje? Od czasu do czasu geniusz składa lekki pocałunek na ustach tego trupa, który choć trupem, jeszcze cześć mimowolną budzi; porusza się wtedy, przemawia, ale jakby na to tylko, aby za chwilę wrócić do dawnego, wieczystego snu. Próżne marzenia! tragedia zupełnie się już nie obudzi, chyba że cudem gorąco pożądanym wstanie zmartwych pewnego poranku, jako dziecię czasów nowych, chrześcijańskie, francuskie, korząc się przed prawdziwym Bogiem, lub bluźniąc Mu; czerpiąc życie, namiętność, gorączkę we wnętrznościach historii naszej. Czy spełnienie tej nadziei leży w krainie możliwości? Nie wiem. W każdym razie daleko nam do tego“.

Nie pisz do teatru; pisz wiersze, powieści i co chcesz zresztą,

¹ Sąd ten wydał Féval w cytowanej przez Buet'a, a wygłoszonej w teatrze de la Gaité prelekcji o zasadach i kierunkach nowszej szkoły dramatycznej we Francji.

byle nie komedye, zaklinał *Féval* pół żartem, pół na seryo jednego z młodych swych przyjaciół; a gdy zaklęcia nie poskutkowały i „klerykalna“ sztuka teatralnego nowicyusza odniosła niespodziewane tryumfy, to jednak w liście z powinszowaniami i życzeniami większych jeszcze successów, znalazło się ostrzeżenie: „Powiodło ci się, ale ja jestem uparty i upieram się przy swoim; kochając cię z całego serca, dalekobym wolał, abyś był odniósł zwycięstwo na jakiejbądź innej arenie, byle nie na teatralnej. Powiesz: stary baje! Niech baje, ale pewny jestem, że kiedyś później zrozumiesz i ocenisz powodujące mną uczucia“. — Czy jawna ta niechęć do teatru wynikała z tego, że *Féval* nie czuł w sobie wybitniejszych zdolności dramatycznych i zanadto był rozumny, aby mimo względnego powodzenia przywiązywać jaką wartość do scenicznych swych przeróbek? Zapewne i ta okoliczność, jeśli nie przyczyniła się do wyrobienia tego wstrętu, to w każdym razie go umożliwiła; lecz w gruncie rzeczy płynął on z głębszego źródła, z smutnego przekonania, że teatr w dzisiejszych czasach i stosunkach stał się fatalnie szkołą równie złych obyczajów, jak złego smaku, i że niestety! mimo najlepszej woli najbardziej nawet utalentowanych jednostek, zmienić się nie da w świątynię dobrego i piękna. „Dasz dobrą, religijną sztukę, to tylko nauczysz drogi do teatru tych, którzy szczęściem dla siebie, drogi tej dotąd nie znali; dziś klaszczą „Księdzu“¹, za miesiąc klaskać będą awanturnicom *Dumasa*; za dwa miesiące, może za trzy będą się żalić, że scena nie dość realnie odzwierciedla życie etc., etc. Sprowadź ich wtedy na twego uczciwego „Urzędnika“²; zobaczysz jak się będą krzywić, marszczyć, ziewać i solennie sobie obiecywać: Drugi raz nie dam się już złapać“.

Pisz wiersze, radził *Féval*, i sam wiersze pisał: popularne opowiadania, to wesole, to patryotyczne piosnki. Jedna z nich zwłaszcza: „Bierz swą strzelbę, mój Grzegorzu!“ dostawszy się do ust ludu, uchodziła przez pewien czas między literatami francuskimi za wojenną pieśń Wandejczyków w walce podjętej przeciw

¹ *Le Prêtre*, tytuł głośnej w swym czasie sztuki *Buet'a*, biorącej w obronę duchowieństwo i przedstawiającej idealną piękność kapłańskiego powołania.

² Tytuł jednego z późniejszych utworów *Buet'a*.

rewolucyi. Poeta śmiał się z całego serca z tej omyłki, która nie mało mu pochlebiała: „Ja to, ja, protestowałem¹, jestem autorem wielkiego tego poematu, a choć mię lata siwizną okryły, nie brałem przecież udziału w oblężeniu *Saumur*. Miałem dawniej coś nakształt głosu i śpiewałem przy fortepianie ludowe pieśni oryginalne (przezemnie ułożone), z których niektóre przebiegły między r. 1865 a 1866 całą Bretanią wszcz. i wzdłuż. Niezgrabne to były rymy, ale rytm energiczny, myśl jeszcze energiczniejsza, szły widać do serca“.

„Nazywają mię poetą, pisał kiedy indziej;² nie wiem: gniewać się, czy cieszyć? Zresztą zależy to od tego, jakie kto znaczenie przywiązuje do wyrazu: „poeta“. Niektórzy od wielu już lat napisali poezyi nekrolog i leją łzy rzewne nad tą katastrofą... Tymczasem inni mówią, że biedaczka jak żyła, tak żyje. Orfeuszowska gitara nie prowadzi już pagórków do tańca, lecz i dnia dzisiejszego znajduje się w Paryżu niezliczona liczba pseudo-świętyń, poświęconych Molochowi rymu. Bożkowi temu służy zazwyczaj więcej kapłanek niż kapłanów, i z tych to przybytków wychodzą zazwyczaj owe obywatelki wyższe nad swą pleć i ortografię, które w imię Muz chcą zostać wyborczyniami, członkami parlamentu, senatu, akademii... Nie! poezya nie umarła, poezya kwitnie! Mógłbyśmy się założyć, że *intra muros* mamy z górą sto, — a drugie tyle na przedmieściach — nieznanych, tajemniczych kaplic, poświęconych temu gadatliwemu idyocie, którego „poeci francuscy“, „nowocześni wieszcz“, „wieszcz przyszłości“, nazywają na seryo, bynajmniej z samych siebie nie żartując, swoim Apollinem. Ktoś mówiąc o klubach, wydrukował tę głęboką prawdę: „Każdy jakajło wypowiedzieć musi choć jedną mowę“; stosownie do tej zasady rzeczą jest oczywistą, że każde stworzenie, zwiące się człowiekiem, a niezdolne do pisania prozą, czuje potrzebę klecenia i popisywania się wierszami... Rym to dziś wielki biedak, ale obdarzony twardem życiem; choć powiedzą ci, że kona, nie bierz po nim żaloby, bo próżność jest nieśmiertelną“.

Gniewając się aż do przesady na teatr, pisał Féval dla te-

¹ Do Oskara de Poli. — *Buet*. p. 305.

² *Le coup de grâce* p. 155 np.

atrów dramata i komedye; wyśmiewając niełitościwie nowoczesnych poetów, potępiając ich w czambuł, pytając: dlaczego ziemia nosi te niepożyteczne, szkodliwe stworzenia? — sam stawał w ich szeregu. Była to bezwątpienia niekonsenkwenca, spowodowana bodaj czy nie w najznacniejszej części „nieśmiertelną próżnością“, która zdradziecko szeptała: „Czemu masz być sławnym tylko w powieści, kiedy np. rywal twój Wiktor Hugo zbiera wieńce równie w powieści, jak w dramacie i poezyi“? Kiedy Féval został szczerym, gorąco wierzącym chrześcijaninem i badać zaczął tajniki swego serca, postrzegł wnet tę zasadzkę przez próżność na siebie zastawioną, i odtąd w ślad religijnej, pogodził i literacką teorię z praktyką. „Gdybym był całe życie nabożnym, zwykł był mawiać, i całe życie rachunek sumienia wiernie odprawiał, ileżbym był uniknął literackich głupstw, do których mię skusiła arlekińska chęć oklasków, pawia zarozumiałość; prawdziwie *pietas ad omnia utilis*“.

W utworach Févala: w dramacie, poezyi, przedewszystkiem w powieści dużo nieraz plewy, ale nie ma trucizny; są „głupstwa“, jak się sam niedyplomatycznie wyraża, ale głupstwa te nie zmieniają się w zbrodnie przeciw moralności, nie stają nigdy do walki przeciw Bogu i objawionej prawdzie. Jaki w ogóle w tej epoce literackiej działalności naszego powieściopisarza zachodził stosunek w jego życiu i utworach do Boga, do wiary; czy zmarniało zupełnie nasienie chrześcijańskich nauk i przykładów, rzucone w serce w rodzicielskim domu? Sam Féval odpowiada nam na to pytanie, kreśląc obraz ówczesnego stanu umysłu swego i sumienia, pragnień swych i usiłowań; zdejmując niby fotografię swej duszy, tysiącem trosk zamaconej, nie mającej czasu ni chęci w niebo popatrzeć, oświeconej ledwie kilku promykami dawnych wspomnień, machinalnie przechowanych przywyknień:

„Byłem¹, w całym słowa tego znaczeniu, w znaczeniu, które świat mu nadaje, człowiekiem poczytywanym, i nie sędzę, aby mi mógł ktokolwiek zarzucić: „Dopuszciles się grzechu, zbrodni“ tj. czegoś takiego, co świat stempluje nazwą grzechu i zbrodni. Oddawałem innym chętnie rozmaite przysługi, bo doradzała mi to na-

¹ *Le coup de grâce*. p. 279 np.

turalna skłonność, pewnego rodzaju zamilowanie; chętnie wybaczałem innym niewdzięczność, bo znałem głęboką nędzę rodzaju ludzkiego, uważałem za swoje rzemiosło studyować ludzi. Z współzawodnikami starałem się postępować jak przystało na honorowego towarzysza broni; opisujące mnie i krytykujące artykuły przedstawiały mnie jako szlachetnego rycerza pióra“.

„Smutne to było rycerstwo — bez Boga! Smutna cnota biedaków, którzy nie nie widzą poza i ponad obowiązkami, nałożonymi przez prawo społeczne! Gdy teraz przypatruję się z daleka ówczesnym mym uczuciom i czynom, stoję zdziwiony przed dziwną tą próżnią, w której dusza moja się nurzała. Żyłem, aby żyć, aby „przyjemnie żyć“, jak zwykle się mówi. Istotnie żyłem przyjemnie, wygodnie, wytwornie, żeby nie powiedzieć zbytownie; używałem w obfitości zadowolenia, które przynieść są w stanie zwycięstwa odniesione przez miłość własną, zadowolenia z widoku gromadzących się pieniędzy. Chwilami miałem niemal prawo nazwać rozgłos wciąż rosnący koło mego imienia, sławą w miniaturze“.

„Czy byłem szczęśliwy? Obowiązkiem mym mówić szczerze, nie nakładając ani za czarnych, ani za różowych kolorów. Skłamałbym, utrzymując, że byłem szczęśliwy; ale skłamałbym również, rozczulając się nad nieszczęsną swą dolą. W pośród dość grubo ozłoconego literackiego powodzenia, nad którym żadna groźniejsza, burzą ciężarna chmura nie unosiła się, jeden tylko głos mógł moralny mój sen niemile przerwać: głos sumienia, poddającego pod sprawiedliwy sąd dyskretnie spełniane, wrzekomo przyzwoite błędy prywatnego mego życia. Błądziłem roztropnie, prawidłowo, jak i o ile w kółkach naszych towarzyskich jest uznanem, stwierdżonem i przyjętem, że młodzieży błdzić wolno. Znam osoby przesiąknięte filozoficzną roztropnością, które żywią nieufność, a nawet pogardę dla nie umiejących czy nie chcących wyszumieć młodzieńców; osoby te broniąc banalnego swego paradoksu w bardzo uczciwych mieszkańskich salonach, wyrabiają sobie łatwo opinię ludzi dowcipnych, szerokimi poglądami na świat obdarzonych“.

„Co się mnie tyczy, nie należałem wcale do kategorii tych przemądrzałych, nie chcących wyszumieć młodzieńców. Błędy młodości mej, które pokryć tutaj muszą milczeniem, nie trwały tylko dzień jeden: szły za mną wiernie przez długie lata, nie wzbu-

dzając wyrzutów sumienia, bo jeden tylko Bóg nakazać może sumieniu, aby odezwalo się w tych kwestyach, które opinia i prawo głoszą lub lekceważą, — a Bóg w sercu mem nie mieszkał“.

„Na dnie dziecinnych mych wspomnień leżał mgłą przesłonięty obraz Boga; mówiłem nawet bardzo często o Bogu w moich książkach, które mimo wielu głęboko dziś odczutyh usterek, zawsze jeszcze lepsze były od swego twórcy — ale był to jakiś Bóg daleki, w obłokach rozplywający się, Bóg artystyczny, że się tak wyrażę; a kiedy czasami mimowoli myśl ma podnosiła się do prawdziwego Boga matki mej i Karola, rumieniłem się jak ostatni głupiec, odpędzałem dopraszające się wstępu uczucia; perswadowałem sobie, że dorosły mężczyzna nie powinien brać w rękę dziecinnych swych bawidełek: były to dla mnie niby zwiedle, zasuszone kwiaty, odnalezione przypadkiem między kartkami książki dawno nie otwieranej“.

„Gdyby ten Bóg lat mych minionych, Bóg prowincyi mej, Bóg poznany w katechizmie, zechciał mi być udzielać moralnych nauk: „Zastanów się, co czynisz, gdzie idziesz?“ — to sądzę, że całą ówczesną odpowiedzią z mej strony, byłby tylko ów pół-dobroduszny, pół-ironiczny uśmiech, którym najlepsze nawet dziełeczki odpowiadają zbyt często, z niemalą swą szkodą, na przestarzałe rady kochającej babki“.

„Nowe nasze czasy — takie przekonanie wyrobiły mi namiętności — mają prawo do wolności dawniej nieznanej; stare zwyczaje ustępują zwolna kroku, zwłaszcza w Paryżu; moralność katechizmowa, chwalebna zapewne w innych stosunkach, nie znajduje oczywiście zastosowania do ludzi znanych na bulwarach... Dużo upłynąć musiało czasu, dużo przepłynąć bolesnych wypadków, zanim się nauczyłem, że głupkowata ta filozofia jest rodzoną matką, a co najmniej ciotką wszystkich rewolucyj; jest źródłem tych licznych zaraźliwych chorób, które zawsze przed rzuceniem się na lud, zatruwają poprzednio wyższe warstwy społeczne“.

„Prócz lekkomyślnej obojętności bronił mię przeciw wyrzutom sumienia jeszcze inny wał: prawdziwa namiętność, z którą brałem się do pracy. Pielęgnowałem, chuchałem na me zabaweczki, jak gdybym rzeczywiście robił coś wielkiego i pożytecznego; nieraz w publicznych prelekcjach tłumaczyłem z zapalem, zbliżającym się

do wymowy, jak zdaniem mojem, niezmierny, nie dość zrozumiany wpływ wywiera powieść na nasze obyczaje. Niektórzy mówili mi: „Przesadzasz“; nie ja, lecz oni się mylili, bo w tym względzie przesadzić nie podobna. Romans ma w rękę czarodziejski klucz, który mu wszystkie bramy otwiera; dostaje się wszędzie i ma niemal w swej mocy zdziałać tyle dobrego, ile obecnie rodzi złego, zostając w rękę bądź podpalaczy, szaleńców, wyzyskujących ciekawość niedoświadczonych lub znudzonych już życiem i zbrodniami czytelników; bądź wyemancypowanych błaznów obojga płci, podających wolno, ale niechybnie działającą truciznę w owych półzgniłych pasztetach, które przekupnie zaczernionego papieru podciągnęli pod ogólną nazwę: *romansów moralnych*“.

„Pocziwe macierzyńskie dusze, które opiekujecie się rodzinami, lub otwieracie biblioteki dla serc jeszcze nieskalanych, strzeżcie się lepkiego cukru, jeśli nie wiecie, czy i jakie przymieszki w sobie zawiera; strzeżcie się go bardziej od wybuchającej, zniszczenie szerzącej kamfiny. Kamfina nie jest często tak niebezpieczną, jak pomada; obrzydła woń kamfiny ostrzega zdaleka, odrazu młode powonienie, podczas gdy lepka, mile wyglądająca pomada, ciągnie do siebie naiwnych kłamliwą swą wonią. Ale choć woła: „Jestem bezbarwna“, niemniej brudzi wszystko, czego się dotknie“.

„Naturalnie ani we śnie nie przychodzi mi na myśl, aby ówczesne me romanse zaliczyć można do rzędu utworów dobrych, stojących w służbie prawdy. Złe drzewo zrodzić nie może dobrych owoców: sam chodziłem w ciemności, — jakże miałem inne dusze ciągnąć do światła? Mówię tylko i powtarzam, że oddałem się zupełnie pracy wyłącznie literackiej; a praca ta energiczna i cierpliwa, nieustanna, tak mię pochłonęła, że^{na} nic innego, nawet na wyrzuty sumienia czasu nie miałem“.

„Przez długie, długie lata pracowałem tak, wciąż tworząc, myśląc, a nigdy nie mając czasu, aby o sobie samym pomyśleć; nikt mię nie ostrzegł, nie zatrzymał na tej drodze; nie miałem, rozumie się spowiednika, a ci którzy z daleka w rodzinnem mem mieście kochali mię, nie znali tajemnicy wewnętrznego mego życia“...

Tajemnicę tę: czczość dręczącą duszę, brak a zarazem instynktowne pragnienie wyższych ideałów, brak poczekającej, całe życie przenikającej religii, poznała i wedle sił postanowiła mu zapobiec

wierna, prawdziwie z nieba *Févalowi* zesłana towarzyszka życia. Powieściopisarz nasz miał lat około trzydziestu, gdy zapadł w ciężką chorobę, z której ratunek zawdzięczał jedynie ojcowskim staraniom słynnego homeopaty *dra Pénoyée*. Z wdzięczności dla ojca *Féval* pół żartem, pół na seryo, nie „bardzo wiedząc co mówi“, oświadczył się o rękę córki. Odpowiedziano mu, że córka się namyśli; konkurent przyjął tę odpowiedź do wiadomości, a po kilku tygodniach zapomniał zupełnie o swej prośbie, gdy nagle z niemałym przerażeniem posłyszał: „Marynia się zgadza“. — „Na co się zgadza?“ zapytał naiwnie *Féval*, ale jeszcze pytania nie dokończył, a już zrozumiał całą konieczność a zarazem tragiczność sytuacji; wytłumaczył zbyt niemiłym wzruszeniem niemądre pytanie i — postanowił zgodzić się z nieuniknionym losem.

„Kiedy Marynia przysła o dwunastej na śniadanie¹, przypatrzyłem się jej wreszcie dokładniej po raz pierwszy. Nie należała ona do tych, których piękność i przymioty same skaczą do oczu; ale już i w tej pierwszej chwili dostrzegłem jakby odblask czystego złota, przepełniającego jej serce, i stanąłem zdumiony, jak staje i dziwi się podróżnik, który przeszedłszy kilkakrotnie kraj jakiś wszczep i wzdłuż, odkrywa nagle coś, czego dotąd nie widział, o czem nie myślał, nie marzył. Marynia była daleko mniej trusią, niż sądziłem nie znając jej; podobało mi się to, ale już od tej chwili uczułem pewną nieokreśloną bliżej bojaźń, czy w razie przyszłej jakiej walki między nami, wyszedłbym z niej zwycięsko, — a bojaźń ta nie była, przynajmniej nie była pod każdym względem chimerycznem przewidywaniem“.

Istotnie, szczęściem dla *Févala*, z walki, która wnet, w miodowych jeszcze miesiącach rozpoczęła się pomiędzy nim, a kochającą żoną, nie wyszedł on ostatecznie zwycięsko. Walkę tę o duszę danego sobie od Boga towarzysza życia, prowadziła pobożna Marya spokojnie, używając raczej niewidocznej dla oka ludzkiego broni: modlitwy, niż prośb i namów, choć i tego oręża, z taktem, którego prawdziwa miłość ją nauczyła, nie leniła się w stosownej

¹ *Le coup de grâce* p. 319.

chwili używać. Przez długie lata wszelka broń, równie modlitwy, jak przykładu odbijała się, pozornie żadnego nie zostawiając znaku, od twardej zbroi obojętności; dopiero, gdy cierpienie w kawalki zbroję zdruzgotało, pokazało się, jak modlitwa i dobry przykład chrześcijańskiej żony nadwątlily już ją, jak umożliwiły błogie skutki zbawczego ciosu, przygotowały serce na należyte przyjęcie lekarstwa — goryczy, której kto nie doznał ni razu, ten nie dozna słodyczy w niebie.

(Dok. nast.)

Ks. Jan Badeni.



MOHORT, RYCERZ KRESOWY,

W OBEC PÓŹNIEJSZYCH BADAŃ.

(Fragmenty studyum literackiego¹).

Znaj podanie twego rodu,
Wielkie dzieje twojej ziemi.
Win. Pol.

Przed półwiekiem chętnie zwracaliśmy się ku przeszłości, szukając w niej wzorów, ubieraliśmy owe wzory w ideału szaty, roztańczaliśmy dokoła promienie blasków nieziemskich, wśród których starano się zapomnieć o dniach rzeczywistości. Pieśniarze ówczesni wtórowali temu usposobieniu ogółu, odtwarzali przeszłość odzianą w purpurę poezyi i sklaniali głowę w obec majestatu dni minionych. Ogół chętnie ucho dawał owej pieśni, która snuła nić przeszłości i swym oklaskiem zachęcał pieśniarzy do nowych rapsodów, opiewających i rozpamiętywających dni dawno ubiegłe.

„Mohort“, rapsod rycerski Winc. Pola, zalicza się do najcelniejszych ech przeszłości, pełnej niezwyklego majestatu. Uchyła nam ów poemat rąbek zasłony okrywającej przeszłość, stosunkowo bardzo niedawną, ale mniej znaną, mniej poddaną studjom wyczerpującym, niż epoki wieków dawnych. Był twardy a prawdziwie rycerski ludzi, co stali na pograniczu tatarskiem, był tych strażnie samotnych, zgubionych gdzieś wśród bezbrzeżnych stepowych obszarów, dotąd prawie nam nieznany. Historję tego południa, tak nam

¹ Z odczytów publicznych mianych w lutym 1889 r., w Muzeum techniczno-przemysł. krakowskiem.

bliskiego stosunkami, związkami krwi i przestrzenią czerpiemy z obcych dłoni; patrzymy na przeszłość stepowych pograniczy z punktu widzenia innych, i zarówno jak dzieje Niżu są nam obcemi, acz tak blisko nas dotyczą, tak i życie strażnic na tatarskich rubieżach z epoki ostatniej, zarysowuje się naszej myśli w konturach niepewnych, mglistych.

Posiadamy wprawdzie garstkę źródeł, lecz one przeważnie dotąd niewydane (jak *Wróblewskiego* pamiętniczek p. t.: *Moja wojskowość*); posiadamy, a przynajmniej przed niewielu jeszcze laty posiadaliśmy spory zapas tradycyji rozproszonych, ginących, ale niezapisane one, poszły na zagładę.

W obec braku tradycyji i niemożności korzystania ze źródeł, lub ich nieistnienia, ciekawą zaiste jest kwestyą, czy „Mohort“, oparty na podaniach, jak sam autor wskazuje, daje nam wierny zarys tej przeszłości strażnic stepowych, ich życia, rycerskiego animuszu, przyrody ich otaczającej; a wreszcie, czy postać samego „Mohorta“ — bohatera poematu — nie odbiega od rzeczywistości?... Czy owa epoka piastowała w istocie tak posagowe jak Mohort postacie, czy też ich kolebka stała jedynie w wyobraźni utalentowanego pisarza, który nie mogąc wielu rzeczy dojrzeć okiem własnem, wzbijał się ku fantazyi wyżynom na skrzydłach natchnienia, intuicyą odgadywał to, co niedojrzanem było dla jego oka... Przecież poeta sam rzekł:

Na dno życia! Na dno duchem!
W głębi prawda niby w grobie.
Czego nie wziąć okiem, uchem,
To odszukasz tylko w sobie!...

„W sobie“ odszukał Pol bez zaprzeczenia wiele barw do tego wspaniałego obrazu, który nosi nazwę „Mohorta“, „w sobie“, w swej znajomości i miłości przeszłości odnajduje mnóstwo szczegółów, śmiały rysy fantazyi uzupełnia braki, i w ten sposób daje nam obraz posagowej postaci strażnika szlaków tatarskich, który był

Czujny jak zóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posag spokojny...

Zarysowując postać Mohorta, autor pragnął odtworzyć kontury ostatniego rycerza, a w nim, jak się poeta sam wyrażał, „cały majestat starożytnej Rzpltej“.

O ile żywiołu prawdziwego weszło do owego rycerskiego rapsondu, opiewającego Mohorta, będziemy usiłowali tu wskazać.

Tło obrazu tworzy przyroda stepowa pól ukraińnych, które pocie prawie zupełnie znanymi nie były. Wiemy, iż w r. 1834 Pol, posiadając paszport Jana Bentkowskiego, z którym łączyły go bliskie stosunki, zwiedzał Wolyń, Podole i Ukrainę, pod nazwiskiem owego Bentkowskiego;¹ ale w tej ostatniej prowincyi tak daleko nie posuwał się, nie dojeżdżał aż do kończyn łąnów ornych, do między Pól Dzikich, gdzie Mohorta żywot upływał. Niemniej jednak poeta z tego co widział, co zasłyszał za młodu, wybornie znał Ukrainę bliższą, osiedloną i zaludnioną, a ze znanego o nieznanem pojęcie sobie wytwarzał.

Przypadek, tak wielką nieraz rolę odgrywający w życiu ludzkim, przypadek, który nasuwa te lub inne wpływy i wskazuje ścieżki rozwoju dla młodocianych talentów, nasunął bardzo wcześnie wyobraźni młodziutkiego Pola postać starca, dworskiego kozaka na zamku Złoczowskim, rodem z Ukrainy. Swą dumką, bajką ludową, opowieścią tego co widział, lub przeboleł, starzec nęcił ku sobie pachole, przyszłego poetę, pachole, które polubiło go, z nim zaś jego rodzinne okolice. Znacznie później poeta tak go nam zarysowuje:

...Z Ukrainy on był rodem,
 Tesknił po niej jak po raju,
 Bo wiązała go z narodem
 Pieśń od Dniepru i Dunaju.

 I ta jego pieśń ponura,
 To mych pierwszych natchnień matka,
 To mój Homer i Padura!
 I po dziś dzień w duszy jeszcze
 Grają jego pieśni wieszczę...

Poeta nawet w dniach starości jeszcze „słyszał te pieśni wieszczę“, nie dziwną przeto jest rzeczą, iż obrazy przyrody ziem ukraińnych, zagościwszy w jego wyobraźni, pozostały tam nadługo, na zawsze; i później gotowe już jeno obrazy brał jako tło do swych

¹ Patrz: *Winc. Pol, jego młodość i jego otoczenie*; przez K. Estrejchera (w *Przew. nauk. lwow.*, 1881).

poematów. Od czasów owego kozaka ze Złoczowskiego zameczku, „co wieczorem dumy śpiewał, nocą gadki opowiadał“ rozwijała się w Winc. Polu miłość pól i stepów ukraińnych. A ta miłość okolic o wielkich przestworzach, o pięknym nieba lazurze nie jedyną była przyczyną, iż poeta umieścił Mohorta w głębi Ukrainy, na między świata ucywilizowanego; pobudka ku temu była poważną: autor odtwarzał rzeczywistość, patrzył w przeszłość i odwzorowywał ją z całą ścisłością, wedle słów tradycyi; nie napróżno więc mówi poeta, iż postać bohatera z przeszłości doń przyszła gotową.

I gdym się wpatrzył w ową przeszłość ciemną,
Do razu posąg stał niby przedemną...

Dla twórczości mało pola tu zostawało, poeta brał treść już gotową, wytworzoną przez tradycję, którą jedynie ujmował w ramy poematu.

Pójdziemy krok w krok za poetą i wskażemy, o ile ponętny obraz strażnika kresowego posiada żywiołu prawdy, żywiołu rzeczywistości, dalekiej od wszelkich ozdób poetycznych.

Na pierwszych kartach poematu przyrodę odmienną, charakter miejscowości stepowej pragnie autor widzieć już zaraz ku południowi, poza Starym Konstantynowem, poza górną Słuczą. Tu jednak w rzeczywistości jest nieco inaczej. Zmiany w ogólnych cechach miejscowości, jeżeli istnieją to maluczkie; odrębność jeśli się spotyka, chwilowa jedynie; poeta snąć nie zagłębiał się poza Słucz daleko; kilkomilowe przestworza płaskowzgórzy, pól rozwartych, wyżyn oddzielających Słucz od Bohu i Bożku, a więc wyżyn stojących na między dwóch wodozbiorów — morza Czarnego i Bałtyckiego, noszą znamię stepowe, lecz nie ukraińnych stepów; miejscowości tu charakter przejściowy. Poeta zdaje się o tem nie wiedzieć, gdyż już na czumackich szlakach, między Starym-Konstantynowem a wsią Babinem — około znanych powszechnie z przysłowia „Babińskich karczem“ — widzi zupełną odrębność charakteru miejscowości, już mu tam wydaje się, iż wieją wiatry stepowe, iż oko nie ma się na czem oprzeć. W rzeczywistości to tylko oaza stepowa, a nie kraj o tak rdzennie odmiennym charakterze, jak go widzimy na kartach poematu, jak go poeta zarysowuje w następujących słowach:

...Kiedym się wybił na wielkie równiny,
Minawszy nieco Konstantynów-Stary,
Owiał mnie oddech już obcej krainy,
Bo tam, na wschodzie, od wioski Bałtaje
Już ów Tatarski — „Czarny szlak“ nastaje,
I wieją wschodnie wiatry ukraińskie,
I w trawnych stepach buja sobie oko,
I pierś oddycha wolno i szeroko:
Hej! gdzie Rzym? gdzie Krym? gdzie karczmy Babińskie?...

Poeta posiadał w duszy swej wybornie odzwierciedlony obraz przyrody ukraińskiej; już z powyżej przytoczonego ustępu widzimy, iż znanemi mu były cechy krainy mającej „wolny oddech do morza“, ale o granicach jej niedokładne sobie wytworzył pojęcie. Widział je na południu tuż zaraz poza górą Słuczą, gdy tymczasem one znacznie dalej, na skraiskach zachodnich dniewowego wodozbioru legły.

Pomijamy owe maluczkie niedokładności akcesoryów, gdyż nie mamy do czynienia ze studjum z dziedziny geografii, a myśl nasza spieszy ku siedzibie bohatera poematu. Mohort był porucznikiem, dowodzącym małym oddziałem kawalerji nar. w jednej ze stepowych straźnic, które gdzieś po nad Wysią, w okolicy ościennej Taśminie, samotnie wegetowały.

Różnaitymi czasy w różnych miejscowościach biegła owa linia posterunków na południowych państwa kończynach. Bywały chwile dziejowe, za dni hetmanienia Stan. Koniecpolskiego, że posterunki południowe aż na Niżu dopiero spotykały się. Biegły one od Krzemieńczuka, prawym brzegiem Dniepru, w głąb „Pól Dzi-
kich“, równolegle do rzeki, i kończyły się zaledwie u pierwszego „progu“ posterunkiem większym, fortem bardziej zbrojnym i znacznie umiejętniej wzniesionym — był nim słynny w dziejach Kucka, twierdza Rzpłtej. Strażnice z doby Stanisława Koniecpolskiego wznoszono starannie, miały one pozór bardziej obronny, obszar większy i tworzyły rodzaj wcale porządných fortów stepowych. Chociaż od XVII w. zaniechane, później niepoprawiane, w opuszczeniu i zaniedbanju, i dziś mogłyby stać się łupem lemie-sza, który już oborał wszystkie prawie mogiły, wszakże one nie-
tknięte dotąd. Widzieliśmy je, i z ich kształtu i budowy wnosić możemy o ile dokładnym jest ich obraz u Pola, gdy mówi o stra-
żnicy stepowej Mohorta.

Z biegiem lat zmieniły się były stosunki tak dalece, iż cofano się wciąż z „Pól Dzikich“ ku zaludnionej okolicy; opuszczono linię południową, „niżową“, cofnięto się na brzegi Taśminy, i już pan Mohort straż trzymał nad łatwo zbrodzić się dającymi nurtami Wysy, która swą błotnistą falą zdąża do Taśminy. Tam więc, gdzieś w dziczyźnie Czehryńskiej, a taką właśnie dziczyzną była Czehryńska i Złotopolska okolica pod koniec XVIII wieku, tam potrzeba szukać stepowej czatowni Mohorta. Wyraźnie tradycya wskazywała Czehryńskie, jako miejsce pobytu Mohorta, poeta sam o tem powiada, wskazując w poemacie „Czehryńskie bodziaki“, które stały się polem strażniczej służby Mohortowej:

„Ktoby to myślał, ktoby się spodziewał,
 Że gdzieś za światem w bodziakach Czehryńskich,
 Że gdzieś na kresach niegdyś Ukraińskich
 Taki świat dzielny i uroczy bywał...

Stanowisko zajmowane przez owego strażnika pól rodzinnych, podlegających ciągłym inkursjom tatarskim, nazywa poeta „kresami“, stąd też upowszechniło się mniemanie — mylne skądinąd — iż pod wyrazem „kressy“ rozumiano wyłącznie szereg strażnic pogranicznych, iż ten rodzaj obrony krajowej mieniono wyłącznie „kressami“.

W rzeczywistości ma się rzecz nieco inaczej. W dłuższym nieco wywodzie wskażemy jakie przedsiębrano środki w celu zabezpieczenia granic od najść tatarskich. Już za dni Zygm. Augusta szerzyły się na południu tak zwane „trwogi tatarskie“. Pospolicie Tatarzy przed najazdem rozszerzali wieści mylne, iż wkrótce inkursya ma być dokonana; nie wpadano jednak w owym czasie, był to jeno fortel najezdniczy. Taką wiadomość kłamliwą nazywano „trwogami tatarskimi“, ludność bezbronna, wobec tych „trwóg“ chroniła się do lasów lub do zameczków — jeżeli gdzie były — a dopiero po pewnym czasie, gdy wracano z ucieczki do siedzib, gdy spokojniejsi czuli się bezpiecznymi, i oddawać się zaczęli zwykłym gospodarskim pracom, spadał czambuł Tatarzyna niespodzianie, czyli jak w owej epoce wyrażano się „bez wieści“, spadał niepoprzedzony żadnymi „trwogami“, a ludność bezbronną zabierano wtedy jak „grzyby“. Najazd tatarski szedł lawą szeroką; czasem ona na mil kilka wszecz ślad udeptywała, biegł szybko „jako leca

ptaki drapieżne“, płynął wśród bezbrzeżnych stepów „naksztalt fal morskich“, którym nie oprzeć się nie zdoła. Fala pochłaniała bezpowrotnie... Takiemi widziano najazdy w XVI w., takimi i później były. Zabezpieczano się od nich, budując zameczki na szlakach, na zwykłych przejściach hord, które to hordy, jak powszechnie wiadomo, nie prowadziły wojny regularnej, ani też nie czyniły napadów, przypominających sposób wojowania ludów ucywilizowanych, lecz pohaniec spadał niespodzianie na nieprzygotowanych; bo Tatarzyn z krymskich hord, wedle słów Klonowicza, nie był „porządny bojownik, ale złodziej, pędziskot i nocny rozbójnik“. Zameczki ku obronie, chociaż wcześniej urastały na „wyższej“ Ukrainie, za dni ostatniego Jagiellończyka — zbudowano wówczas zameczek Białocerkiewski, staraniem Fryderyka Prońskiego, wojew. kijow., zbudowano i zbrojono Chodorków, Brusilów i inne — nie zdołano jednak zabezpieczyć spokoju i dobrobytu, który nie mógł się rozwinąć... Gdzie nie wystarczały zamki, wały, ostrokoły, uzupełniano obronę stawiając, jako puklerz na straży szlaków — pierś własną. Tam, jak wyrażano się w owych wiekach, „mars zapraszał do tańca pod urwiżywot“; na tych polach krwią przesiąkniętych liczne rody ukraińskie „w marsowych okazyach“ zdobywały i odnawiały swe herbowe klejnoty. Całe szeregi można wyliczyć rodów, które w krwawych zapasach żywot kładły, a sławę zdobywały; szli ojcowie z kilku synami i żaden z potrzeby nie wracał; wnucy wstępowali w dziadów ślady i tak było przez szereg pokoleń. Z rodów owych, dziś już przeważnie wygasłych, na kartach dziejów świecą imiona Aksaków, Turów, Czuryllów, Łosiatyńskich i inne mnogie. Mogiły tylko stepowe mogłyby snuć opowieść długą o bohaterskich walkach tych, co z uczucia obowiązku stali na straży. Byłato „w dziejach ojców wielka karta — w dziejach służby wielka warta“...

Stalej organizacyi obrony pogranicza nie było i wówczas, i później ta obrona w system ujętą nie została, jak w znacznej części wszystkie sprawy nasze publiczne, które na wysiłkach pojedynczych dłoni opierały się. Dążono niekiedy drogą tryumfu, ale jego następstwa losom zostawiano, a wypadków fala o przyszłości wyrokowała.

W różnych epokach były próby tworzenia systematycznych posterunków, które jak już wyżej mówiliśmy, co kilkadziesiąt lat posuwały się coraz bardziej od południa ku północy, od kończyu

i miedz ku środkowi: nacisk hord koczowniczych był coraz widoczniejszy. Koczowiska zdobywały obszary, a świat chrześcijański, świat osiadły, z europejską kulturą ściśle związany, zmniejszał się a kurczył. Za Jagiellonów, zwycięskim łożem konia Witoldowego zapędzano się za czambułami tatarskimi aż pod Oczaków, i jak wierszopis doby Wazów wyrażał się: „pogaństwo strwożone pierchało za morze słone“... Z latami karta losów odwróconą została. Nie marzono nawet o straźnicach i posterunkach w głębi „Dzikich Pól“, ale zastosowując się do okoliczności i potrzeby, strzeżono posterunków w „bodziakach Czehryńskich“, w sitowiacz okalających wybrzeża nad Wysią...

Taki stan rzeczy widział wiek XVIII i lata, które zamykały jego przedostatnie dziesięciolecie, to jest ta chwila, kiedy w jednej z czatowni pełnił służbę stary Mohort.

Szczupłe liczbą chorągwie wojsk koronnych pełniły żołnierską służbę na granicy od „Dzikich Pól“, i nie chcąc tracić czucia z innymi oddziałami swych wojsk, urządziły na całej linii posterunków rodzaj poczty, czyli tak zwane „kressy“. Nie szereg posterunków pogranicznych, konsystujących w stepowych okopach, nazywano „kressą“, bądź „kressami“ — jak chce autor Mohorta — ale komunikacyjną, pocztową linię, którą utrzymywały owe czatownie straźnicze. Nie właściwem przeto i z rzeczywistym stanem rzeczy niezgodnem jest twierdzenie tych, co zapominając, iż gońców rozstawionych na gościńcach, dla szybkiego przewożenia wiadomości, nazywano „kressami“ — przenoszą to miano na linię posterunków i, co gorsza, jednoczą ową nazwę z pojęciem o kończynach kraju i państwa.

Pocztę, urządzoną za pomocą konnych gońców, rozstawionych w pewnym kierunku na wyniosłych miejscowościach, widziano na Ukrainie w XVII w., jeszcze w epoce poprzedzającej Chmielnickiego krwawą dobę¹. Za pomocą tych gońców, czyli poczty, „kressą“ już wówczas nazywanej, komunikował się Kudak, twierdza w stepach, na łaskę losów rzucona, z tak zwaną „włością“,

¹ Patrz: *Dawne drogi i szlaki na praw. brzegu Dniepru*; przez Ed. Rulikowskiego.

tj. okolicą osiadłą, z Ukrainą „wyższą“. Szczególniej dni trwogi i niepokoju od wrogów nie zapominały zaopatrywać się w „kressę“ lub tak zwany „kress“. Na pograniczu wojskowem, ukraiennem, już nie czasowej, ale stałej używano „kressy“¹.

Na takich to „kressach“, w jednej z samotnych chatowni, staje przed nami Mohort. Autor w poemacie wspomina, iż Mohort pochodził z Litwy. Twierdzenie to wsparte ponownem zaręczeniem autora, wypowiedzianem o wiele lat później, iż „nie tylko ów bohaterki strażnik na kresach jest postacią historyczną, autentyczną, lecz nawet nazwisko jego, jest prawdziwem“. Tak pisze jeden z przyjaciół Pola, który pilnie dopytywał się autora o rozwiązanie zagadki, czy postać ta zmyślona, z dziedziny fantazyi powołana do życia na kartach poematu². Nazwisko Mohortów na Litwie było znanem w istocie, i przed laty Mohort jakiś z Litwy na Wołyniu mieszkał. W obec tych twierdzeń autora powinnyby upaść wszelkie przypuszczenia, iż to nie jest postać z natury odwzorowana; lecz moglibyśmy dla sceptyków jeden jeszcze dowód przytoczyć z szeregu dowodów, stwierdzających litewskie pochodzenie Mohorta, a jest nim hart ducha, owa wola twarda, co wytworzyły zeń postać niby ze spiżu ulaną; a tylko na Litwie, przynajmniej najczęściej, możemy odnaleźć dziś jeszcze charaktery, o których rzecz można — iż to „maż dzielny, surowy, — i z jednej sztuki kuty jak ze stali“: takim był Mohort. Ludzie o sile ducha niezłomnej w owych niemieńskich, wilejskich wodozbiorach najczęściej się znajdują, gdzie indziej znacznie rzadziej.

Pol w jednej ze swych prac woła:

Wytrwać, wytrwać — to zadanie!
Choć ci wszystko w poprzek stanie...

Otóż ta wytrwałość, ta „zasługa w sile ducha — i w niezłomnem Bożem trwaniu“, była przymiotem głównym Mohorta;

¹ Wedle ówczesnych przepisów, jeżeli *kressa* odwoziła pakiet bez dopisku *pilno*, wiozła go stępo; z dopiskiem — truchta; z dopiskiem podwójnym (*pilno, pilno*) — klusa; potrójnym — prędkiego galopa. *Edw. Rulikowski*, z pamiętników kresowego żołnierza *Stan. Wróblewskiego*, p. t. *Moja Wojskowość*.

² *S. Buszczyński. Pol i jego pisma*. 1873.

jakiś opór bierny, ale silny, spotyka się i u niego i w tej prowincyi, skąd pochodził, gdzie jest wybitnem znamieniem ludzi.

Drugiem znamieniem ludzi z wodozbiorów niemnowych, ludzi, co pochodzą z puszczy i piaszczystych zagonów, położonych na północy od Prypeci — jest duch wiary głębokiej. Nie brak jej było u Mohorta; chociaż to harmonijne, szczere kojarzenie pocucia obowiązów z wiarą głęboką pospolitem było u rycerstwa naszego z lat dawnych. Uczucie religijne zawsze się wśród naszego rycerstwa spotykało w połączeniu z najszlachetniejszymi uczuciami z dziedziny ziemskich aspiracyj człowieka. Nawet tam gdzie iskry tego uczucia tlały stłumione, lada podmuch skojarzonych z nim uczuć, na pozór innej natury, byle nie egotycznych, wywoływał płomień wzniosłej wiary. Modlitwa, jaką trębacze w okopie odgrywali o świecie, modlitwa, przenosząca myśl każdego z uczestników tej chwili do zagród rodzinnych, przestrzeni dalekich, modlitwa, przypominająca hejnały krakowskie, zalicza się do celniejszych ustępów poematu i zarazem prawdę wiernie oddaje.

Umysły na pozór zdziczałe na pograniczu pogańskiem, okryte pancerzem obojętności, surowe, bo w orężnem rzemiośle urosłe, na dźwięk pieśni bojowo-religijnej roztkliwiała się i tajały pod wpływem orzeźwiającego uczucia wiary.

Z ust nowego przybysza do stepowej czatowni dowiadujemy się o wrażeniu, jakie wywoływała ta modlitwa rycerstwa, rzuconego na miedze chrześcijańskiego świata.

Hejnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków, co zorzy porannej,
Z Maryackiej wieży po nad Polską płacze,
Czystemi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem męskie podniosły się głosy
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i pobojuwiskach
Od pokolenia starej Polski płynął,
I tu dopiero w dniewowych urwiskach,
Na krańcach Polski w Ukrainie ginął!...

Poważnym dowodem, iż iskiei uczucia religijnego na owych zdzieczalych pograniczach nie zdołały wydmuchać wiewhry stepowe i boje z pogaństwem, może być dla nas ten wielki popęd ku szukaniu źródeł wiary, widziany po wsze czasy u Siczowników Zaporozża, którzy — przynajmniej w swej lepszej połowie — przechowywali cześć wielką ku Bogarodzicy. Uczucie religijne na Zaporozżu przejawiało się inaczej, niż na naszych „kressach“, niemniej wszakże przejawiało się i nie ginęło. Przykładów pod tym względem dostarczyć mogą znaczną liczbę dzieje wewnętrzne niżowej, siczowej instytucyi. O typy rycersko-rolnicze, typy surowe w boju, modlitwą zamykające dobę twardej bojowej egzystencji, nie trudno było w Siczy. Dość wskazać bodaj jednego z Siczowników, ostatniego przedstawiciela orężnej niżowej instytucyi, ostatniego Koszowego, Piotra Kalniszewskiego, który, jako Pogrobowiec Siczy, o wiele przeżył byt Zaporozża, a na Archipelagu Białego morza, z cichą modlitwą na ustach, sto dwunastoletnim starcem w naszym już stuleciu żyć przestał. I on wierzył głęboko jak Mohort, i jego podniosłejsze bojowego serca aspiracye jednoczyły się ściśle z uczuciem religijnem. Przejawiało się to uczucie nieco inaczej nad górnym Dnieprem, w Ukrainie, na posterunkach pogranicznych dawnej Rzpltej, a inaczej na Dolnym Dnieprze, na Niżu; niemniej jednak źródłem religijnych uczuć, a zarazem obyczaju oddawania bojęw pod opiekę niebios, był ów duch religijny, który ożywiał nasze społeczeństwo: znaczna część siczowników na Zaporozżu, podobnie jak cała instytucya niżowa, a zarazem i nasze rycerstwo, strzegące pogranicza od południowej ściany Rzpltej, jedną i też samą kolebkę posiadały. Tożsamość pochodzenia i wpływów u jutrzeńki życia, wywoływały usposobienia jednakie w późniejszym życiu, przyczyniały się do tożsamości obyczaju dwóch różnych grup orężnych, chociaż w późniejszym życiu rozwijających się w różnych warunkach.

U Siczowników szczególna cześć Matki Zbawiciela uwydatnia się w sposób pełen prostoty; na pogranicznych czatowniach, w strażnicy Mohortowej hołd tej czci płynie melodyą wzniosłą, pieśnią, przypominającą hejnały krakowskie, które od dni Jadwigi do dziś smutnymi swymi akordami brzmią nad murami starej stolicy.

Podobnie jak w zakresie czci religijnej, tak i w dziedzinie

innych pojęć, uderzającym jest podobieństwo stosunków siczowych do niektórych stosunków, pojęć i obyczaju strażnie naszego ukraińskiego rycerstwa. W poemacie Pola, gdzie wszystko brano z rzeczywistości, a malowano z natury, ta tożsamość oblicza dwóch pierwiastków, napozór tak bardzo różnych, mimowoli uderza i zastanawia.

Przypatrzmy się niektórym wybitniejszym rysom owych podobieństw.

Tam daleko na południu, wśród trzciny i archipelagu wysp niżowych, instytucję siczową nazywano „zakonem“ i była ona nim, lubo czas, okoliczności, sąsiedztwo z Tatarzyzną zwicznęły nieco myśl pierwotną — Sicz zdziczała; na posterunkach „kressowych“... Mohort zapatrywał się również na swe rycerskie posłannictwo jako na zakon, z różnicą tą jednak, iż powołanie rycerza, chociaż modlitwą i zbożnem życiem ubłogosławione, górowało. Mawiał przeto: „Ja Boga chwale, kiedy szablę noszę“...

Chwalił jednak Boga i w inny sposób. Sąsiedni z luką graniczną klasztor zakonu św. Bazylego był dla niego dwa razy do roku miejscem wyjątkowo uroczystych nabożeństw. Jeden z tych dni to św. Szymon — dzień festu — „prażnika“ klasztornego. Dzień Szymona, przypadający w maju 22 now. st. gdy na Niż obfitą falą nadpływała woda z północy, pospolicie w Siczy uroczystą był chwilą, dobą orężnych popisów zuchów stepowych. Tradycja o dniu Szymona dotąd jest na Niżu. Drugą zaś znacznie dłuższą chwilą dewocyi Mohortowej, bo trwającą kilka tygodni co roku, był Wielki post, który on spędzał w murach klasztornych na pewnego rodzaju rekolekcyach... Podobieństwo i tu, chociaż niezupełne, do owych niby „pokut“, rodzaj rekolekcyj, jakie Niżowcy zwykli byli odprawiać. Pokutnicze przebywanie Niżowców w klasztorach Międzygórze (pod Kijowem) lub Samaru (na Niżu), przypominają nam poniekąd rekolekcyje Mohortowe, chociaż z odcieniem owych różnic, co legły między obyczajem kraju pewnej cywilizacji a obyczajem Zaporozża, zdziczałego ku połowie XVIII w.

Prototypem pokutniczych rozmyślań tego ludu orężnego był bez zaprzeczenia nasz obyczaj dawny, zamieniania ku końcowi życia szabli na różaniec, obyczaj posypywania popiołem pokuty burzliwej swej przeszłości... O przykłady głośne nader łatwo. W pamięci powszechnej dotąd przetrwał, zarówno z doby dawnej a po-

myślnej, Zebrzydowski, który smutną ma sławę rokoszową, jak i Mik. Potocki, starosta kaniowski, obaj ludzie gwałtownego animuszu: pierwszy z nich żywot burzliwy zamyka w klasztornych murach, fundowanej przez siebie Kalwarii Zebrzydowskiej, a drugi kończy dnie niczem nieposkramianych wyskoków i fantazyj w celi Poczajowskiego klasztoru.

Różni, niemniej burzliwi Siczownicy wielokroć kończyli swą bojową, nieraz bardzo awanturniczą karierę w monasterze, pokutą. Rzecz dziwna, a jednak prawdziwa, mająca swe źródło w tych usposobieniach psychicznych, które wywołały w piersi różnych duchów burzliwych skrucę często szczerą, acz spóźnioną¹...

¹ Posiadamy charakterystyczne szczegóły, dotyczące się owych *pokut* Zaporozców. W jednej tradycji, zapisanej przed laty przez Michała Grabowskiego, czytamy, iż gdy Zaporoziec dożył do późnego wieku, i nie mógł już dosiąść konia, wówczas resztki życia spędzał na dewocyi, w klasztorze... Zanim jednak przeszedł próg monasterskiej zagrody żegnał się ze światem, tj. urządził pewnego rodzaju karnawał przed zerwaniem ze światem i jego uciechami. Pożegnanie to trwało niekiedy parę tygodni, które trawił wśród dzikich hulańek z przyjaciółmi i miłośnikami uczt gwarnych... Kijów najczęściej był polem owych pożegnań ze światem Zaporozców. Tradycja ludowa mówi: ...„I bywało jak idą ulicą cały naród u wrót. A oni strojni jak w sadzie mak, a konie jak orły grają pod nimi, a złoto i srebro tak błyszczy od słońca, że aż ćmi się w oczach. Tu i bandury, tu i gęśle, tu i śpiewy i płasy, i przeróżne wykretasy. Tak to Zaporoziec ze światem się żegna“... Dalsza naiwna opowieść ludowa tak nam kreśli obraz podróży z miasta (z Kijowa) do Międzygórze (*Meżyhorya*) gdzie się miała rozpocząć dewocya... Dajmy na chwilę powolne ucho tej opowieści, nacechowanej dziwną prostotą, a pełnej zwrotów miejscowej, ludowej mowy... „Siwy, siwy jak gołąb w drogich karmazynach, idąc po przedzie płasza Zaporoziec, a za nim narodu (ludu) moc niezliczona, i na jego rachunek wszystkim dają gorzałkę, wszyscy się wesela“...

„A gdy już przyjdą do monasteru — mówi w dalszym ciągu tradycja ludowa — wtedy Zaporoziec stukną do wrót, a co za wrotami pytają: „Kto to taki?“ — „Zaporoziec“... — „A po coś przyszedł?“... — „Po zbawienie duszy“... Wrota wtedy się otwierają; ot i sam jeden wejdzie, a przyjaciele i naród z muzykantami zostają się za wrotami... Ot już i wszystkiego wyrzekł się Zaporoziec! Zdejmie z siebie pas z czerwconcami i da na cerkiew, zdejmie z siebie pyszny strój kozacki (kontusz, żupan, karabele, pas lity) i włoży natomiast włosiennicę grubą i pocznie z bawiać duszę“... Ta ludowa opowieść jest jedną z kart mało znanych dziejów życia na Niżu, gdzie tyle sił, znoju, myśli, pracy, uzdolnień ludzi naszej krwi, lub naszej kultury wsiąkało w ugor stepowy — i ginęło przed wiekami... — Porów. *Zapiski Etnograficzne z Ukrainy*, przez E. Rulikowskiego. Kraków, 1879.

Mohorta pierś nie potrzebowała zbierać skruchą, bo to życie, poświęcone służbie twardej, na pogranicznych strażnicach, zapelnione pracą obozową, dalekiem było od burzliwych a krwawych ekscesów. Potrzebował on tylko odetchnąć od czasu do czasu wśród otoczenia innego, skupić swą myśl poza sferą wszystkiego co ziemskie. Klasztorna cisza była dla niego tem wytchnieniem, przygotowaniem się do życia innego, wyższego, nieziemskiego...

To już przez cały Wielki Post się bawił,
I włosienicę pokutną przywdziewał,
Długie godziny na modlitwie trawił,
I z księżą razem w chórze pieśni śpiewał;
Bo jako rycerz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W kolej pacierza słuchał, i Alwaru.

Ze słów poety widzimy, iż wśród klasztornej zagrody stary rycerz nie zapominał i o zatrudnieniach właściwych nowemu otoczeniu. Nietylko modlitwą, postem, ale i pracą klasztorną spłacał długi żywota, spłacał własne, spłacał innych społeczne winy, długi dawnych pokoleń przez nikogo niesplacone...

Bo są tacy co nie płacą:
Ani sercem, ani pracą.
Nie zaciężni, nie wysłużni,
Co nikomu nie nie dłuźni!...

Czyniąc z Mohorta ideał rycerza, uposażył go poeta we wszystkie przymioty. Każe mu przeto spłacać długi społeczne — krwią, pracą, poświęceniem, słowem, przykładem, służbą twardą całego życia w znojnym trudzie i czuwaniu. Te przymioty jako barwy wzięte z poetycznej palety wieszczą nie mogą być porównywane z typami, jakie nam Sicz daje, gdyż nic porównań snuje się jedynie wśród pewnej części dziedziny obyczajowej. Nie schodzimy z tej ścieżki porównań, w nich bowiem, naszym zdaniem, tkwi jeden z dowodów, iż poeta niewiele czerpał materiału do Mohorta ze swej poetycznej fantazyi, ale posługiwał się tradycją, a ta była odbiciem rzeczywistości...

Powszechnie znaną jest rzeczą, iż większość Siczowników trawiła żywot nietylko z orężem ale i z plugiem w dłoni. Kto nie

szukał wypoczynku w obejściu zagrody monasteru, ten wypoczywał na futorze z lemieszem w dłoni, przypominając swe pochodzenie rolnicze... W ten sposób roić się zaczęły dziewicze obszary „Pól Dzikich“ mnóstwem futorów i rzucano podwaliny rolnictwa wśród pustyń, co nigdy nie widziały znoju oracza. Uprawa rolna na owych futorach niżowych odrazu stawiała na stopie pewnej doskonałości: ci co uprawiali nowiny siczowe, to najczęściej był lud szlachecki, z bliższych, bądź dalszych okolic Rzpltej, czy też czeladź szlachecka. I jedni i drudzy przynosili z sobą na Niż pewną umiejętność uprawy roli: każdy szlachcic był u nas rolnikiem, a każdy ciura niezłym włodarzem. Plug przeto nasz sięgał dalej niż legła granica wpływu naszego i kultury, docierał ku koczowskiom tatarskich „czabanów“, i tam stawał, gdzie się nie zdołał utrzymać sztandar prastarej Rzpltej.

Jeśli na Niżu siadali ludzie orężni futorami i bawili się uprawą ziemi, tembardziej w „wyższej“ Ukrainie na linii strażnic niejeden towarzysz pancerny imał się pluga. Rolnik od dziada, pradziada, rolnik od wielu pokoleń rycerz kresowy wierzył w to, w co wierzone u nas od wieków, iż roli i jej uprawy a gniazd rodzinnych oburącz trzymać się potrzeba, bo jak w innym swym utworze autor Mohorta powiada:

Biada! Biada tej rodzinie,
Co się ziemi już nie trzyma,
I co wirem życia płynie,
W świat szeroki za oczyma.
Więc jak możesz siadaj rolnie,
Bo bez ziemi i przykmioty
Bardzo trudno i mozolnie
Chować w sercu ojców cnoty...

„Siadał“ tedy pan Mohort „rolnie“; posiadał futor, a w nim gospodarke, lecz nie było tam domu. Tu poeta ani na krok nie odbiega od rzeczywistości; jego rycerz kresowy mógł nie mieć domu, a poprzestawać jedynie na namiocie, nie zapominajmy bowiem, iż stał na straży między graniczną, iż nie powinien był odbiegać zbyt od kopców, których straż od lat wielu była w jego dłoni. Lecz były i inne powody, że szlachcic gospodarujący na Dzikich Polach, lub w głębi ówczesnej, pustkowiem wiejącej Ukrainy, nie posiadał często domu, a na namiocie lub szalasie często

poprzestawał. Pogranicze, bezpośrednio stojące u ściany Tatarskiej, narażone na ciągle najścia nietylko pohańca, ale różnego miana zbójców, nie miało ani chwili spokoju: dom więc stawał tylko tam, gdzie posiadano załogę, bodaj maluczką do obrony, gdzie można było ostrokoły wznieść i z poza nich razić nieprzyjaciela. Na futorach dom mieniono zbytkiem, gdyż lada chwila mógł pójść w perzynę.

Nawet znacznie później, we trzydzieści lat po Mohortowym zgonie, pomimo zupełnej zmiany stosunków na całym Wschodzie europejskim, bez względu, iż po zniknięciu hanatu krymskiego z widowni świata „Dzikie pola“ odzyskały spokój i bezpieczeństwo, jeszcze około r. 1824—1825, na futorach w głębi stepów, poza Kodymą, ku Czarnemu morzu, spotykano zamiast domów — namioty. Takim był futor, nazwiskiem *Lubomila*, blisko ujść Dniestrowych, Karola Marchockiego, na którym, acz gospodarz, (w r. 1825) człowiek wówczas możny, niekiedy przemieszkował — nie było wcale domu, lecz miejsce takowego zastępował namiot, urządzony z całą wygodą i zbytkiem nawet. Takim widział go Antoni Andrzejowski, botanik¹; takim widział Adam Mickiewicz, który pod oponą owego namiotu napisał swój pierwszy sonet na poludniu skreślony — *Stepy Akermanu*.

Gdy tak było jeszcze przy końcu pierwszej ćwierci naszego stulecia, nie dziwny się, iż podczas doby trwóg różnych, Mohort na swym futorze w namiocie przebywał, a cenniejsze swe sprzęty chował u przyjaciół, zakonników św. Bazylego, w sąsiednim klasztorze. Świątynia była opalisadowana, stawić więc mogła czoło i stawiała wszelkim czambułom tatarskim, lub napadom zbójckim.

Okolo roli i ogrodu Mohort, podobnie jak Siczownicy, krzątał się sam, własną ręką pracując.

...Choć stan rycerski nad wszystko mu plużył,
Lubił i rolę, i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko prócz domu;
Ogrodu swego też orać nie dawał
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,
Lecz go sam orał — „Odwykać nie trzeba
Czleku od roli, a wyknąć do domu“!

¹ Patrz *Pamiętniki Detiuka*. (Wilno 1861 r.).

Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał;
 Co wiosnę zorał choć zagonów parę
 Koło futoru — lecz domu nie stawiał:
 Bóg i animusz grzeje starą wiarę!...

Z tego to futoru obfite dary w zbożu składał on najbliższemu klasztorowi. Podobny obyczaj nie mniej był na Niżu. Tam Sicz w imieniu całego bractwa orężnego napełniała różnymi przysmakami, otrzymanymi z Lewantu, bajdaki dniewrowe, i one, w górę falą rzeki, wiozły przyjacielską tę daninę do Miedzogórskiego monasteru, pod Kijów. Mohort toż samo czynił, we własnem imieniu, dla sąsiedniego pobliskiego klasztoru.

Dwie — a czasami — trzy wołowe mazie
 Suto ładowne, szły dla Ojców w darze —
 A na najpierwszej sam siedział na wierzechu,
 I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu;
 A gdy zadzwonił u furty klasztornej,
 To już nie rycerz, lecz kubrak pokorny;
 Odsyłał ludzi do domu w Imię Boże,
 A sam się wpraszał pokory słowami
 Na rekolekcyę — a wozy z wołami,
 I cały zapas zostawał w klasztorze“...

Takich zestawień, któreby wskazały uderzające nieraz podobieństwo rysów obyczajów na strażnicach Rzpltej i na Niżu, wśród bractwa orężnego, moglibyśmy przytaczać całe liczne szeregi. Podobieństwo wielu rysów daje podobieństwo całego oblicza. Jeśli przeto tak wiele sympatycznych rysów spotykamy na Niżu, i to za dni już gaśnięcia jego bytu, w epoce rozprzężenia, tem bardziej też same rysy uwydatniały się w „wyższej“ Ukrainie, na owych lukach pogranicznych, „kędy rycerskie rosły animusze“, gdzie stał porucznik Mohort,

...wojownik z pod znaku
 I wielki strażnik hetmańskiego szlaku.

Żywiol prawdy, żywiol rzeczywistości, mówiącej do nas przez usta tradycyi, poeta wziął jako główny materiał dla odtworzenia ostatniego rycerza starożytniej Rzpltej... Mohort — wcielenie rycerskiego majestatu przeszłości — staje przed nami, nie w postaci bohatera poematu, lecz jako wskrzeszony cień pogrzebanej rzeczywistości...

Poeta składa do grobu ów ideał rycerza doby prastarej w boju pod Boryszkowcami, za dni jutrzeńki nowego porządku rzeczy, gdy o pancernych już i wieść umilkła, gdy hetmani dawni zeszli z pola, a nowi ludzie, i w potocznem życiu, i w obozach wytknąć mieli nowe kierunki, gdy obrona całości z dłoni jednego stanu przejść miała do szerszych, tłumniejszych ciżb społecznych... I ta sytuacja, acz nader szczęśliwa, nie jest sztucznie wytworzona. Los mieć chciał, iż ów czujny „strażnik hetmańskiego szlaku“ stanął pod rozkazami wodzów przyszłości, pod wodzą tych, co w dniach najbliższych mieli stawać pod Zieleńcami, Dubienką, a w nieco dalszej przyszłości szerzej zasłynąć, krwią pisać nową dziejów kartę, pod murami Lipska... los mieć chciał, iż nie tylko w poemacie, ale w rzeczywistości, w tej pierwszej bitwie nowych wodzów ginie najstarszy żołnierz Rzpltej, jedyny przedstawiciel dawnego rycerstwa z pod pancernego znaku, który „pierwsze żołdy czynił“ jeszcze za dni szwedzkiej potrzeby, pod hetmańskim sztandarem. Mohortowy zgon w pamiętnej potyczce na Boryszkowieckiej grobli, iż tam w istocie miał miejsce, świadczy, oprócz innych podań, na których opierał poeta swój utwór, świadczy poważne twierdzenie znanego pisarza, p. Stefana Buszczyńskiego. W jednej z prac o Polu przytoczony pisarz powiada o swej domowej, rodzinnej tradycyi, stwierdzającej autentyczność Mohorta i jego zgonu podczas krwawego Boryszkowieckiego starcia¹.

„Nie będzie od rzeczy dodać tu — czytamy w powołanej pracy p. St. Buszczyńskiego — dla utwierdzenia autentyczności Mohorta, co sam od matki mojej słyszałem... Dziad mój macierzysty, Wojciech Borowicki, major kawalerji narodowej, obywatel z Ukrainy, który również był w bitwie pod Boryszkowcami, opowiadał, iż wtedy zginął tam stuletni starzec, rotmistrz z oddziału stojącego na kresach, w Czehryńskim czy Czerkaskim powiecie. Tylko nazwiska jego nie pamiętała. Gdy przed kilkunastu laty byłem w Boryszkowcach — dodaje tenże pisarz — włościanie pokazywali mi mogiłę poległych... Do owej wskazówki, tylko co przytoczonej, moglibyśmy dorzucić własną rodzinną tradycję, kogoś z bar-

¹ Patrz *Pol i jego pisma*, przez Stefana Buszczyńskiego. Kraków 1873.

dzo mych bliskich, co walczył pod Boryszkowcami i, idąc w tylnej straży, gdy most był spalony, na owej historycznej grobli przesadził z koniem przerwę w ręczym biegu i połączył się ze swymi szeregami, a w kilkanaście lat później, przy tymże wodzu (księciu Józefie) był świadkiem jego pamiętnego pod Lipskiem zgonu w nurtach Elstery. Był to też zarazem świadek zgonu Mohorta. Z tej ostatniej tradycyi, a zarazem i z pamiętników ówczesnych dziejowych widzimy, że opis bitwy Boryszkowieckiej i miejscowości jest najzupełniej historyczny i wierny co do wszystkich szczegółów. Gdy się wczytuje w ów obraz miejscowości budzą się i w mej pamięci wspomnienia widzianych kiedyś w dzieciństwie Boryszkowiec. A budzą się w tej postaci, jak je widzimy w poetycznym obrazie Pola.

Tradycya moja rodzinna wraz z przytoczoną wyżej tradycyą p. S. Buszczyńskiego, wzajemnie się uzupełniając, świadczą, iż obraz zgonu rycerza, który do stu lat i więcej dożył, bo już za dni Karola XII walczył, więc najpóźniej w r. 1709 (tj. miał służby żołnierskiej lat przynajmniej 83), jest obrazem najzupełniej autentycznym. Pol o tej starości późnej mówi:

Miarkując z tego co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północks wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiej wojny był już namiestnikiem
I pięciu królów pamiętał na tronie,
Nie było czleka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rówieśnikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali...

Wiek tak sędziwy, a przytem na koniu, w boju, z szablą w dłoni, rzecz niesłychana za dni naszych¹. Wówczas, zwłaszcza na Niżu rzadkością, a również szczególnym fenomenem nie mienił się taki stan rzeczy. Wiemy skądinąd, iż ostatni Ataman Koszowy

¹ Za dni bardziej dawnej przeszłości takie zjawiska spotykano. Jeden z naddziadów piszącego, *Samuel Surycz* (Wołynianin), prawie stuletnim starcem walczył i legł pod Kirchholmem.

Piotr Kalniszewski, który ociemniałym starcem na archipelagu Białego morza w r. 1803 zgasł, rodził się za dni króla Jana, w r. 1691, i jako starzec przeszło 84-letni jeszcze stał na czele bujnych animuszów Zaporozża, a co ważniejsza miał moc ducha, która i ciało wzmocnić może i unicestwić siłę przygniatającą bardzo późnego wieku¹...

Wytrwaj! wytrwaj u łańcucha,
Bo nie w czynie, a nie w zdaniu,
Lecz zasługa w sile ducha
I w niezłomnem Bżem trwaniu.

Taką siłę ducha posiadał Mohort, i w znacznej części wyrobił ją w sobie życiem surowem, umiarkowanem, życiem, które tylko spełnianie obowiązku miało na celu. Zahartowany tak, żołnierz-obywatel patrzył na życie, jako na twardy obowiązek, jako stanie na placówce obowiązków społecznych, z której to placówki Bóg jeno mógł zdjąć.

A gdy Bóg zdjął go wreszcie z tej placówki, wówczas słusznie, zaiste, nad jego mogiłą zabrzmiał śpiew, niegdyś znany, obozowy — „Czas do domu, czas, — Zabawili nas“². Z placówki życia, wytrwawszy do końca, i wywiązawszy się dobrze z obowiązków, wrócił on zaiste „do domu“, na łono Ojca Przedwiecznego, który go ongi postawił na straży dróg życia; wrócił spokojny tam, dokąd po odpoczynek dawno już mu był czas odejść, ale „zabawiały“ go tu wciąż sprawy ziemi...

Duch ostatniego rycerza doby prastarej, odlatując do krainy cieniów, zostawiał po sobie, jako pamiątkę, przykład wytrwałości, która była przewodnią gwiazdą jego bytu...

Wytrwać — wytrwać — to zadanie!
Choć ci wszystko w poprzek stanie...

Maryan Dubiecki.

¹ Porów. rozpr. p. t. *Pogrobowiec Siczy*, w *Przegl. Powszech.* T. XXI, (1889 r.) str. 341.

² Przed wielu laty miałem możność przysłuchiwania się nucie tego śpiewu, poważnej, zarazem rzewnej. Warto, by nasi miłośnicy muzyki wyszukali ową melodyę i zachowali ją od zagłady. (Przyp. aut.).

MĄDRA KSIĄŻKA O KILKU ROZUMNYCH LUDZIACH.

(Dokończenie).

Jest rzeczą wielce miłą dla recenzenta, krytyka lub biografa, gdy mu wypada analizować, czy niepośledniej wartości dzieło, czy też charakter człowieka obdarzonego prawdziwą inteligencją, oraz duszą zacną; ale o ileż milsze jeszcze jest zadanie, gdy człowiek ów prócz inteligencji, jeszcze i dobre serce posiada. Co atoli stanowi rozkosz nad rozkoszami, to gdy przychodzi opisywać żywot człowieka inteligentnego, zanego, dobrego, a w dodatku jeszcze i szczęśliwego. Tej to właśnie — niestety! zbyt rzadkiej — rozkoszy doznaje ten, któremu wypada o *P. Saint Renè Taillandier* pisać. Od samej kolebki do samego grobu, gwiazda powodzenia — i jemu i pracom jego — przyświecać będzie. Oszczędzone mu zostaną zacięte, krwawe z trudnościami życia walki, które tak często najsilniejsze umysły zużywają i marnują. Przeznaczenie jego spełni się swobodnie, bez zbyt gwałtownych przesileń, bez kolizyi czy to z ludźmi, czy z niefortunnymi okolicznościami. Od urodzenia płynie żywot jego szerokiem korytem dobrodziejstw szczodrej Opatrzności. I tak: rodzinę ma zacną; — staranne, na niewzruszonych oparte zasadach, odbiera wychowanie; — położenie majątkowe nadaje mu ów nieoceniony dla ludzi pracy skarb: swobodę umysłu. Na ławach szkolnych zawsze pierwszy, bo zawsze najpilniejszy przy nauce; przy dorocznem rozdawaniu nagród młodzieńki student odbiera ich najznaczniejszą ilość, bez wzbudzenia wszelako zazdrości kolegów, bo usłużny, dobry, litościwy dla młodszych od

siebie, wierny w przyjaźni, kochany jest od rówieśników, a ceniony przez profesorów, którym chlubę przynosił. Zaledwo mianowany *licencié ès sciences*, już mu ofiarują katedrę literatury francuskiej na wszechnicy w Montpellier. Po kilku latach niepospolite wykłady młodego mistrza zwracają uwagę ówczesnego ministra oświaty, powołują go do Paryża — i niebawem zaszczycony zostaje katedrą w Sorbonie, i to mając zaledwo lat trzydzieści. Nie minie dużo czasu, a „nieśmiertelni“ z niecierpliwością opróżnionego wy-czekiwać będą krzesła, by ulubienica inteligentnej publiczności do grona swego policzyć. Korzysta z uśmiechającej mu się wiernie gwiazdy i chwytą za pióro, chcąc stałość gwiazdy wypróbować; pióro, jakby samo pisało płynnie, zwięźle, wdzięcznie. Nie bez obawy szuka młody autor na pierwsze dzieło swoje wydawcy; od razu wydawca wyrasta jak z pod ziemi, korzystnie podając warunki. Krytyka, dla początkujących zazwyczaj tak sroga, tak nie-litościwa, od pierwszego dnia poznaje się na wartości pisarza i człowieka, obchodząc się z nim *à l'avenant*. Ale bo gruntowna — za młodu zaczerpnięta, a z biegiem lat dopełniona — kultura umy-słu, nigdy u niego nie przynosiła sercu krzywdy. Powodując się rozumem, a zarazem i sercem, wyrabiał w sobie zwolna trzeźwy, wytrawny, ale i pobłażliwy sąd o ludziach. Wrodzona stanowczość woli, wytrwała cierpliwość i sprawiedliwość bez granic, jak bez granic była dobroć jego serca: oto zalety, a raczej cnoty, które nieodmiennie na usługi ludzkości oddawał, starannie unikając wstręt-nych mu starć, lecz mężnie — gdy tego zachodziła potrzeba — stawając w obronie swych zasad i przekonań. Prawdę bystre-m okiem przenikał, nie na to wszakże, by z niej wywodzić ostatecz-ności ponurego pesymizmu; przeciwnie, w każdym duszy ludzkiej objawie odnajdywał stronę dodatnią, i tę analizując, do jednej i tej samej dochodził zawsze konkluzji, jedną i tę samą wskazując drogę: prawdy, życia i światła. „Zasady swe, pisze P. *Montégut*, z najszlachetniejszego, najpłodniejszego czerpał źródła. Sprzeczne, niemal wrogie sobie duchowe i społeczne prądy, u niego spokojnie jednym płynęły korytem. Umiał być odważnym, wiernym zwolen-nikiem wolności, ale zarazem i szczerze wierzącym chrześcijaninem. Nie byłoż to wśród przyświecającego mu stale szczęścia, jedno ze szczęść największych?“ Fundamentalnie zbudowanego filaru wiary

nie naruszyło zgłębianie przeróżnych filozoficznych doktryn, badawczy jego umysł zaciekawiających. Tym, co podziwiali swobodną jego stanowczość w obec najzawilszych duchowych zagadnień, odpowiadał: „że nie może nie przyjść chwila, w której umysł ludzki odnajdzie i przytwierdzi pomost, mający połączyć na wieki wiedzę z wiarą“. Gruntowna nauka, zamięlowanie pracy, umysł z natury ciekawy, lecz i przezorny w badaniu tajemnic ludzkich i społecznych: oto pokarm jaki duszy swej hojnie dostarczał.

W ciągu kilkoletniej profesury w Montpellier, rwąc się do szerszej jeszcze pracy, *St. Renè Taillandier* pisać zaczął i, jak to już powyżej powiedzianem było, od razu ku powodzeniu wiadziomym został. W epoce atmosferą romantyzmu jeszcze przesiąkniętą, najtrzęsliwsze nawet umysły miały się za obowiązane, w szranki karyery literackiej wstępując, na ołtarzu poezji premisyę plodów swych składać. Stosując się do przyjętego zwyczaju, poszedł i *St. Renè Taillandier* za ogólnym przykładem i napisał dziś całkiem już zapomniany poemat *Beatrice*, w którym odważnie i nie bez wdzięku przepowiada ono ostateczne tryumfalne połączenie wiary i wiedzy. Jakkolwiek głęboką cześć dla poezji żywił i cześć tę do śmierci zachował, połapał się wnet młody profesor, że poetą prawdziwym nie jest, i jął się poważniejszej pracy, do czego mu energia, dobra wola i głęboka wiedza, szerokie otwierały wrota. O każdym z mnogich dzieł *P. St. Renè Taillandier* osobnej wzmianki zrobić nie możemy; za dalekoby nas to zaprowadziło; wybrać nam zatem trzeba z pomiędzy nich prace ważniejsze, noszące na sobie wyraźne piętno jego osobistości.

Oddawna zaciekawiony umysłowo - duchowymi ewolucjami, przez jakie od pół wieku przechodził naród niemiecki, młody badacz w stronę Germanii oczy i pióro zwrócił; chcąc zaś, aby zamierzona praca oparta była na dokładnej dyagnozie niemieckiego mózgu i niemieckiej duszy, postanowił zwiedzić i gruntownie zbadać ojczyznę Kanta i Goethego. Nienawistne wspomnienia wojen Napoleonówskich jeszcze się nie były wówczas całkiem zatarły po tamtej stronie Renu, i młody Francuz niemal wszędzie dość chłodnego doznał przyjęcia, co go bynajmniej wszakże od raz powziętego zamiaru nie odstręczyło. Przeciwnie, poznał od razu, że będzie miał mnóstwo ciekawych, całkiem we Francyi nieprzewidzia-

nych wiadomości do udzielenia. Oczekiwanie go nie zawiodło. Pierwszy jego artykuł w *Revue des deux Mondes*, pod tytułem: *Histoire de la jeune Allemagne*, będący początkiem długiej pracy, niemałe wywołał w Paryżu wrażenie. Z poetycznych, nie zawsze z rzeczywistością zgodnych opisów pani de Staël, stanowiących w ówczesnej Francji jedyne niemal źródło wiadomości o Niemcach, nie wiele pozostać się miało; ów rzekomo rozmarzony, rycersko-mistyczny germański naród, *St. Renè Taillandier* jednym śmiałym zamachem z piedestału zrzucił. To, co prześladowanej we Francji, a przez to samo w Niemczech z uniesieniem przyjętej autorce Korynny wydawało się średniowieczną poezją i poszanowaniem tradycji, było urojeniem egzaltowanej, na Francji rozgoryczonej, kobiecej wyobraźni. Każdy Francuz czuł się obowiązany znać i podziwiać książkę P. de Staël *l'Allemagne*, ale żaden nie pytał, czy przed trzydziestoma latami — i to z osobistym uprzedzeniem — opisane Niemcy, pozostały takimi samymi? Czy żadna u nich ważna nie zaszła — przez lat tyle — zmiana? Gdy Henryk Heine o własnych współziomkach w taki wyrażał się sposób, że wszelka illuzya o idealistycznej germańskiej duszy rozwiązać się była powinna, krótkowidzący Paryżanin głową tylko kiwał, w satyrach Heinego widząc jedynie poetyczną fantazyę zbyt złośliwej Muzy. Rzeczywistość wskazywała tymczasem, że przez alembik przebiegłej filozofii przepuszczone, i dawna niemiecka rycerskość i dawna poezya w Oceanie subtelności utonawszy, już na wierzch wypłynąć nie miały; boć chyba rycerską ani poetyczną nie jest dzisiejsza o twardem obliczu Teutonów bogini, od stóp do głów w żelazo okuta, wszechpotęgi Niemiec z bagnietem w rękę broniąca.

Zwolna z dnia na dzień zwiększało się wszakże we Francji grono poważnych myślicieli, z troską na czołe czytających coraz to groźniejsze opisy *P. St. Renè Taillandier*, o przerażających postępach doktryn filozoficznych, z praw logiki i z natury rzeczy do negacyi wszystkiego co nadprzyrodzone dążących, burząc podstawy, na których sumienie i moralność świata stoją. Artykuły, pierwotnie w *Revue des deux Mondes* niemal przez rok cały wychodzące, co im już zapewniało znaczną liczbę inteligentnych czytelników, ukazywały się w osobnej książce w r. 1850 p. t.: *La jeune Allemagne*. Dziś, kartki te przeglądając, nie można nie podziwiać, niemal pro-

roczą bystrość umysłu młodego autora, dostrzegającego w owym przełomie umysłowym Niemiec złowrogi odblask licznych, obecnie przygotowujących się, socyalnych pożarów. Bo któż, koniec końcem, do tych pożarów drevka znosi, jeśli nie pogańska filozofia niemieckich mędrców i godna ojców najmłodsza córka ich — bezwyznaniowość?

Ale czego młody Francuz odgadnąć wówczas jeszcze nie mógł, to, że ten tak zapamiętałe swobód i wolności łaknący naród, ku wszelakim socyalnym i politycznym dążąc reformom, potężny kark przecież zegnije pod potężniejszą jeszcze dłonią człowieka, będącego — z dodatkiem osobistego geniuszu — istnem wcieleniem dawnego ducha Krzyżackich Mistrzów. W miarę jak się rozszerzał widnokrąg badań *P. St. Renè Taillandier*, zwiększał się i materyał do pracy, oraz autora do pracy żądza. W kilka zatem lat po wydaniu powyżej wymienionej książki, wydał dwa grube tomy, p. t. *Études sur la Révolution en Allemagne*. O ile w pierwszym dziele swem zajmował się autor przeważnie duchowym stanem niemieckiego narodu, o tyle w następujących tomach wziął w obroty stan ich polityczny i pierwsze próby czy wybryki Niemców na arenie parlamentarnego życia. W owych czasach, gdzie Francya przodowała i długo jeszcze przodować miała wszystkiemu, co się w Europie działo, Franzuzi, nie wyjąwszy *P. St. Renè Taillandier*, w nadanej niemieckiemu narodowi politycznej wolności widzieli zwycięstwo wolności w ogóle, i zwycięstwo to sobie przypisywali, widząc w Francuzach motorów wszelkich na świecie zmian i postępów. Do tyła zgadzał się młody badacz ze zdaniem kraju, ale tylko do tyła; wyraźnie za to i dobitnie powtarzał wbrew przyjętej we Francyi opinii, że w łonie każdego Niemca niezatarta tkwi pamięć doznanych na początku wieku narodowych upokorzeń, że pamięć ta — czego ogół Francuzów przyznać nie chciał — dużo głębsze ma korzenie w samym narodzie niemieckim niż w rządzie; wreszcie, że w razie wówczas nieprzewidzianego jeszcze między Francją a Niemcami starcia, wrodzona i starannie pieszczona nienawiść potomków Steinów, Blucherów i przewodców Tugendbundu, groźniejszą będzie dla Francyi i stokroć fatalniejszą od wszelkich kombinacyj rządzących niemieckich monarchów: tychże bowiem uczucia i poglądy zmieniać się mogą wraz ze zmianą tronu, gdy plemienna niena-

wieść w żyłach samego narodu krążąc, z pokolenia na pokolenie przechodzi i nabiera z biegiem czasu siły prawdziwej tradycyi. Tę część książki profesora z Montpellier oceniwszy, *P. Montégut* następującemi podnosi ją uwagami. „Autor *Studyów o rewolucyi w Niemczech* ukazał nam więc — i to nie na zbyt dalekim horyzoncie — zawsze do walki i nieładu gotową anarchię, wyłączny, wiecznie zaczepki szukający patryotyzm, a na dnie obrazu niby z pomocą, niby z groźbą: Prusy — to powściągające, to zachęcające, to karzące, lecz ostatecznie używające dla swoich osobistych celów tych samych, co ich anarchia używała, marzeń: jedności narodowej i wszechwładztwa europejskiego. Mądrość przestróg *P. St. Renè Taillandier* i słuszność obaw jego przyszłość aż nadto stwierdziły“.

Prawdziwie niepośledniej wartości rozdziały, tyjące się parlamentu frankfurckiego, „parlamentu wywodzącego ród swój z okrzyków motłochu, z podejrzanego milczenia rządów i z nieładu wypadków“, najlepiej ocenił znawca spraw politycznych, dyplomata *P. Thouvesseł*, twierdząc, że praca *P. St. Renè Taillandier* równa się najważniejszym dokumentom dla przyszłego historyka burzliwych tych lat politycznego przełomu w Niemczech. W jakie dwadzieścia lat później ogłoszona korespondencya Fryderyka Wilhelma IV z Baronem Bunsem stała się dla *P. St. Renè Taillandier* rowym bodźcem do nowej o Niemcach pracy: *Die ans de l'histoire d'Allemagne; origine du Nouvel Empire*, w której historyk o lepsze z psychologiem waleczy. Tom ten świetnie zakończył kilkutomowe, wyczerpujące, z powagą i gruntowną znajomością przedmiotu dzieło o nowoczesnych Niemcach.

Kto długie lata pisał i to z powodzeniem pisał, temu już trudno przychodzi żyć bez pióra. Wydał zatem i *P. St. Renè Taillandier* nową książkę *Ecrivains et poètes Contemporains*, pełną wdzięku i ciepła, broniąc w niej, wbrew ogólnemu wówczas prądowi *des grandes nationalités*, wielce zagrożone *l'amour des petites patries*. Zwycięsko dowodzi w powyższej książce, że miłość kraju, choćby kraj ten mikroskopiczne miał rozmiary, stanowi nie-raz bogate, a zawsze pełne uczucia źródło natchnienia. Wówczas to, na poparcie teoryi swej, zwrócił badania ku Wschodowi, ku licznyim owym narodom, u których właśnie tlił nieugaszonym żarem *l'amour de la petite patrie*. Teorye swoje uzasadniał zwykle

na niezbitych dowodach, a odszukania dowodów nie powierzając nikomu, pospieszył na Wschód w czasie wojny Krymskiej, by się zbliższy przypatrzeć narodom tym i zarazem przekonać, o ile na jego serdeczne sympatyje zasługują. Zbierając z nich wzory, by wróciwszy do kraju obszernie o Słowiańskich plemionach tej części Europy napisać dzieło, nie tracił z oczu rozgrywających się na Wschodzie politycznych wypadków, i pod świeżym tychże wrażeniem uwagi swe i poglądy do *Revue des deux Mondes* przesyłał. Pod tytułem *Allemagne et Russie* wychodził szereg artykułów, z dziwną trzeźwością wskazujących groźne niebezpieczeństwo kielkującej „jedności niemieckiej“, oraz inną jeszcze, nie mniej zdradliwą dla Zachodniej Europy ewentualność, mianowicie: ścisłe połączenie się Rosyi z Niemcami, lub tychże współzawodnictwo. Dla zapobieżenia temu to właśnie północno-wschodniemu wylewowi, stawia autor za jedyną, na potęgę uczuć narodowych i europejskiej sprawiedliwości opartą zaporę, mianowicie: śmiałe wskrzeszenie, oraz wzmocnienie drugorzędnych narodowości, pełnych nieużytej energii, rwących się do niepodległości, i koniec końcem tworzących istny a silny, gdyby go Europa silnym mieć chciała, wał, rozgraniczający Wschód od Zachodu. Za powrotem do Francyi, różnorodnym materiałem do zamierzonej od dawna pracy wzbogacony, autor puszcza w świat szkice oryginalne, malownicze, widocznie *sur le vif* pisane, o Czechach, Węgrach, Bułgarach, a zwłaszcza o Serbach. Szkice te z wielką ciekawością czytowane bywały przez Francuzów, wówczas jeszcze mało co wiedzących o wypadkach i ludziach z tamtego krańca Europy. Dopiero klęski *de l'année terrible*, i wypływająca z niej powódź nieszczęść, doprowadziły Francję do tego, że się zwolna geografii uczyć poczęła, coraz to sroższą praktyką teorię nauki przypłacając.

W szkicach *P. St. Renè Taillandier* o powyżej wymienionych słowiańskich lub madziarskich plemionach, oraz o przeznaczeniu jakie im spełnić wypadnie, musi być wszakże coś niedokładnego, coś, co szwankuje politycznie, skoro autor nie dostrzega w Cesarstwie austriackiem nic innego prócz *une agglomération sans unité, opérée par le jeu des mécanismes politiques*. Zarzuca też *P. Montégut* tę polityczną niedokładność tak zdrowo zwykle rzeczy widzącemu badaczowi, dodając, że tym właśnie nagromadzeniom

bez jedności nieodzownie potrzebny jest rząd jednolity i silny, ku utrzymaniu w porządku plemion, obdarzonych wszystkimi nienawiściami rasom pierwotnym właściwymi, a nie wszystkimi tychże zaś cnotami“. Do zachodniej zaś cywilizacji nie dorosłszy jeszcze dostatecznie, dąsają się na nią, jak się dąsa na pilnych kolegów niedouk w klasie, a dąsanie takie wychodzi na korzyść prozelityzmu rosyjskiego.

Z wszystkich naddunajskich krajów słowiańskiego pochodzenia, Serbia najwymowniej do wyobraźni i serca *P. St. Renè Taillandier* przemawia. Z nieklamaną też sympatją rozpisuje się o tym męznym, nieco wprawdzie jeszcze dzikim ale przytem tak dziwnie łagodnym narodzie, pełnym poezyi, w zupełnej będącej z krajobrazem zgodzie, a przez autora z niezrównanym wdziękiem na gorącym uczynku schwytanej. Swój temperament do temperamentu Serbów nastroiwszy, podziwia z rzadkiem już dziś u pisarzy ciepłem, wytrwałość narodu, męstwo jego, oraz niezrównane, niemal dziecięce przywiązanie do kraju, przywiązanie, w którym zwolennik *de la petite patrie* upatruje w przyszłości przerzucenie Muzułmanów na przeciwny brzeg Bosforu i... ostateczny rozkład Austrii! Gdyby *P. St. Renè Taillandier* był pisał dzieło swe o Serbii po roku 1870, byłoby mu się prawdopodobnie istnienie Austrii pod innymi przedstawiało barwami, i skądinąd tak trzeźwy badacz politycznych kombinacyj, byłby niezawodnie dostrzegł, że każda uncya gruntu dynastyi Habsburgów odebrana, przesuwa się odrazu na szale dynastyi Hohenzollernów, a tam raz się dostawszy, uncya zwolna wzrasta na funt, a z funta na kilogram.

Kiedy już trzymamy *P. St. Renè Taillandier* pod przetakiem krytyki, bardzo skromnej krytyki w porównaniu z mnogo, acz słusznie udzielonymi pochwałami, dodajmy jeszcze, że do grzechu, ciężącego na jego sumieniu względem Austrii, dołączyć wypada jeszcze drugi grzech, dziwnie rażący u katolika, otwarcie zasady swe wypowiadającego. Tak jak w dziedzinie politycznej zachciało mu się z szachownicy świata zdmuchnąć Austryę, tak mu raptem strzeliło do głowy w dziełku *Bohème et Hongrie* wziąć w obronę Jerzego Podiebrada i Hussytów, widząc w nich nie heretyków, ale „przez Rzym źle zrozumianych reformatorów“; w Podiebradzie zaś odnajduje wielkiego twórcę *in spe* Kościoła naro-

dowego, mającego być z czasem bez ujmy dla katolicyzmu alfa i omega swobody religijnej dla świata całego. Dla czego zaś *P. St. Renè Taillandier* mniemał, że taki „Kościół narodowy“ ludzkość uszczęśliwić musi, tego sobie nikt chyba, może i sam autor, nie wytłumaczy, boć zrobione na tem polu doświadczenia nie świetny jakoś wydały rezultat. Podobno najlepiej będzie ten „wybryk fantazyi“ złożyć na karb zbyt stromej ścieżki, po której autor kroczył ku wyżynom egzaltowanej sympatyi dla przeróżnych mniej więcej w jego mniemaniu prześladowanych plemion. Doszedłszy na sam szczyt, dostał zawrotu głowy; stąd bardzo naturalny zaszedł i w poglądach jego chwilowy zamęt.

Z mnogich dzieł *P. St. Renè Taillandier*, których dla braku miejsca wyliczyć wszystkich nie było można, nieco obszerniej powyżej streszczone najlepszą dają charakterystykę autora. Ukończyć ją wypada krótkim ustępem z książki *P. Montégut*: „Tajemnicy niemal nieprzerwanego powodzenia kolegi naszego i przyjaciela, szukać należy w tem, że cały jego żywot zrósł się z pracą, będącą, koniec końcem, najlepszym przewodnikiem na drodze ku szczęściu, oraz najpewniejszą dla umysłu i serca duchową higieną. Zajmując władze umysłowe, nauka ukrywa przed oczami naszymi bieg uciekających lat, hamując zarazem niecierpliwość, tak zwykle skorą do przedwczesnych lub nierozważnych postanowień. Odwracając prąd, z próżniactwa pochodzących, zdrożnych pokus, staje się praca postawą życia familijnego i życia tegoż zabezpieczeniem. Praca wreszcie nieodłączne od ludzkiego żywota próby i nieszczęścia do tych ogranicza, które są nieuniknione, albo też trafem losu spowodowane, trafem, w niefortunne wypadki nieraz, co prawda płodnym, mniej płodnym wszakże od własnej naszej woli“. Ale drugą miał jeszcze na schwycenie szczęścia w duszy przynętę, oraz drugą do zapewnienia swobody podstawę: miał czyste sumienie. Odczytawszy szereg jego dzieł, doznaje się głębokiego przeświadczenia, że z wyjątkiem kilkunastu stronnice, w których uprzedzenie do chwilowego sprowadza go zboczenia, *P. St. Renè Taillandier* powodował się stale najszlachetniejszymi uczuciami, szczerem zamiłowaniem prawdy i gruntowną w duszy sumiennością.

Z podziwieniem, niemal z niedowierzaniem, przychodzi nam, dzieciom pokolenia, do silnych i ostrych przypraw przywykłego,

wierzyć w rozgłosne przed laty dwudziestu i kilku powodzenie dzieł *Maurycego* i *Eugenii de Guérin*, istnych duchowych autobiografij dwóch dusz, zatopionych w kontemplacyi piękności przyrody i tejsze przyrody Stwórcy. „Dziela te, pisze *P. de Montégut*, noszą na sobie cechę właściwą zacnym, dobrym, wyższym pracom, i jako takie, przyczyniły się do wzbogacenia choćby żdzblem jednem zasobów duchowego życia, każdemu z nas ręką Opatrzności udzielonych“. Ani mitologia, ani historia przedstawić nie zdołają w mnogich legendach swych i przykładach równie misternie w promieniach wzajemnego przywiązania dobranych dusz, jak niemi były dusze tych dwojga rodzeństwa. Wywodząc się z prastarej rodziny, której dni już są policzone, krąży w żyłach ich najczystsza krew błękitna, lecz zarazem krew, wyłącznością w doborze wytwornych kolligacyj, przez długie lata czy wieki do ostatnich granic wyrafinowanej subtelności doprowadzona; poza tymi granicami ginąaby już chyba przyszło w przestworach etern. Do takiej subtelności dochodzi się zwykle kosztem zdrowia i sił fizycznych; odznaczają się więc, i brat i siostra, tak dobrze ujemnymi jak i dodatnimi właściwościami szlachetnych, lecz już do grobu chylących się rodzin, mianowicie: potęgą umysłową przy wątłem ciele; dziwną, nad wiek swój rozwiniętą dojrzałością, przy wrodzonej do apatyi pobudzającej melancholii; poddaniem się wyrokom Opatrzności, lecz zarazem i wewnętrznym, chorobliwym jakimś niepokojem. Maurycy — zanim siły młodzieńczego ciała do takiego dorosły były wysilenia — gorączkowe rozwija zalety umysłu, jakby w przewidywaniu, że krótki tylko ma przed sobą żywot. Dosięga wprawdzie zamierzonej duchowej wyższości i wytworności umysłowej, lecz otrzymuje ją nie tylko kosztem sił fizycznych, lecz i kosztem sił charakteru; stanowczość w wykonywaniu powziętych zamiarów zawsze szwankować u niego będzie. Wyrabia się w nim więc marzyciel, poeta, ideolog, filozoficzny mistyk, ale człowiek woli, człowiek czynu, w nieskończoność się cofa. Smutek bardziej filozoficznej niż psychologicznej natury duszę jego ogarniający, zapowiadał zaród fizycznej niemocy, mającej go za młodu do grobu złożyć. Dziennik jego za pośrednictwem kilku niepospolitych ludzi, dawnych *P. de Guérin* przyjaciół, wydany w kilka lat po śmierci autora pod tytułem *Reliquiae*, najwyraźniej świadczy i o wyższo-

ści umysłu Maurycego i o kruchych podstawach jego zdrowia. Sainte Beuve w następujący sposób te jestestwa jego sprzeczności rozbiera. „Było w nim rzeczywiste przeciwieństwo: jedną stroną duszy namiętnie miłował zewnętrzne wspaniałości przyrody, potężną wyobraźnią przyrodę tę mitologicznymi pół-bożkami zaludniając; tymczasem druga strona jego duszy, wpatrzona w siebie, jedynie ujemne dostrzegała własnej istoty pierwiastki. Tego rodzaju melancholiczna, wewnętrzna analiza ścięśniała jakby z umysłu okres jego działania; gubił się sam w tej jakiejś rozpaczliwej pokorze“.

Niemal na równi z nim rozumem, a siłą duszy i mocą charakteru dużo od niego wyższa *Eugenia de Guérin*, ukochanemu temu bratu życie swoje całe poświęca. Bardziej niż skromny posąg, nie odpowiadający bynajmniej wygórowanym zasadom, czy przesadom rasowym, nie dozwoliły jej wyjść za mąż. Pozbawiona tem samem najprawdziwszych pociech i sercowych rozkoszy, do niewieściego powołania należących, nie mogąc zostać ani żoną, ani matką, a gorące to iście kobiece serce rwało się do macierzyństwa, cały nadmiar miłości składa na ołtarzu braterskiego przywiązania. Maurycy będzie celem jej życia i tegoż życia wdziękiem, do niego wszystko stosować będzie: myśli swe, prace, zamiary i nawet dobre uczynki, aby takowe na korzyść jego duszy wyszły, a gdy przyjdzie srogi dla niej dzień śmierci, tego tak potężnie miłowanego brata, stworzy sobie jakiś nadziemski stosunek między zmarłym, dla którego rozpoczęta już wieczność i nią samą jeszcze do ziemi przykutą. Nie tylko więc o nim myśli i mówi, nie tylko za niego najgorętsze szle do Boga modlitwy, ale o nim śmiało powiedzieć można: do niego codziennie godzinami pisuje. Takie jest tło, taki przedmiot *Dziennika P. Eugenii de Guérin*. Niepośledniej koniec końcem musiał być wartości człowiek, mogący wzbudzić tej olbrzymiej miary przywiązanie.

Były wszelako pewne między bratem i siostrą psychologiczne różnice; lecz i te nawet zamiast być powodem sprzeczności, dusze ich jeszcze bardziej ku sobie przyciągały wzajemnie; znali, podziwiali namiętnie, oboje kochali przyrodę, ale u Maurycego miłość ta równała się bałwochwalstwie, gdy u Eugenii było najwyższem dla Stworzyciela czei wynurzeniem. Stąd żywot brata w biernej, bezczynnej nad cudami natury rozplynie się rozkoszy, podczas gdy

siostra, nie mniej od brata na piękności przyrody czuła, czynnem, pracowitem, miłosierdzia pełnem i poświęcenia życiem, bezustanny śpiewa w duszy hymn dziękczynny, jakby z serdecznej potrzeby okazania Bogu wdzięczności za te właśnie wspaniałości, tak szczerą ręką ludziom udzielone. Z urodzenia, z położenia, może i z krwi przodków, obojga rodzeństwa umysł zwraca się do rzewnych, tęsknych, smutnych marzeń; Maurycy nie broni się nigdy przeciwko prądowi tak dobrze odpowiadającemu jego naturze, przeciwnie, poddaje się lada powiewom wiatru, wydobywającego żalosne z duszy jego dźwięki. Inaczej postępuje Eugenia; gdy czuje, że się niebezpieczna, rozstrajająca fala marzeń ku niej zbliża, siłą duszy fale tę odpycha, odważnie rzucając się w najpowszedniejsze domowego życia zajęcia. Umiał to zrozumieć i ślicznie ocenić *P. Montégut* pisząc: „To jedynie w życiu naszym istnieje, co życiu temu sami nadajemy. Panna *de Guérin* dużo życiu nadała: nadała mu duszę swą całą. Stąd ten na pozór próżny i w ciasnych ramach powszednich zajęć ujęty żywot, tyle więcej ma znaczenia od mnogich owych światowych egzystencyj, w których pospolite zabiegi i pospolite troski zacierają wszelkie znaczenie osobistości“. Dla wszystkiego, co pomocy lub pociechy potrzebuje, dla ubogich kalek, opuszczonych dzieci, na ościesz rozwarłe są wrota ku upadkowi chylącego się zameczku w Cayla, mniej wszakże jeszcze szeroko rozwarłe od serca tej, co stojąc na progu, dla każdego ma na ustach łagodne słowo, uprzejmy uśmiech, lub rady na ukojenie smutku.

Pierwszy i za życia jedyny utwór *Maurycego de Guérin* p. t. *le Centaure*, od razu niezmiernego nabrał był rozgłosu, tak przez samą wartość dzieła, jak i w skutek pełnego ciepła i uniesienia artykułu o niem Pani George Sand w *Revue des deux Mondes*. Zobaczymy teraz co o „*Centaurze*“ pisze pierwszorzędny stulecia naszego krytyk i literackich rzeczy znawca, Sainte Beuve. „Prawdziwa mieści się potęga w tem, o kilkunastu zaledwo stronicach poetycznem marzeniu, i trudnoby chyba znaleźć można coś bardziej wydoskonalonego i gruntowniej klasycznego“. Pomysły swe czerpał Maurycy w „galeryi antyków“, w tej świątyni ideałów; w owej skarbnicy starożytnej sztuki do pomysłów swych dobierał

formy i miary. Nie dziw zatem, że i forma i miara nie nie pozostawiały do życzenia.

W lipcu r. 1839, w starem zamczysku praajców na wieki oczy zamknął, fizycznie i moralnie piękny ten, tyle chwały obiecujący młody człowiek. Ubóstwiana i ubóstwiająca go siostra, zaledwo przed pół rokiem poślubiona, wielce zakochana żona; kilku wiernych, serdecznych przyjaciół, do ostatniej chwili otaczali łoże umierającego. Oni to, pod bezpośrednim dozorem *Eugenii de Guérin*, pobożną ręką przyjaźni starannie zebrawszy poglądy, myśli, dorywcze prace, gorączkową ręką Maurycego od czasu do czasu na papier rzucone, z drogocennej pamiątki tej dwu tomowy złożyli dziennik i pod rzewnem mianem *Reliquiae*, we dwa lata po śmierci autora, publiczności udzielili. Zapewnioną została sława temu, co za sławą tęsknił, o niej marzył, lecz czynnie do niej dążyć nie umiał; nie stało mu odwagi, nie stało energii, ale i sił fizycznych nie stało. Wszystko co nie dostawało bratu, zastąpić miała po jego śmierci, jak zastępowała za życia, siostra. Pomimo przygnębiającego, bezmiernego bólu po stracie tego, którego umysł i dusza tak ściśle z jej umysłem i z jej duszą zrosnięte były, bezczynnej nie poddaje się żalości, póki pamięć brata do potomności nie przejdzie umierać nie pragnie; odtąd pamięć ta będzie dla niej bodźcem w pracy, pociechą w smutku, odwagą i siłą, by dotrwać *usque ad finem*.

Gdyby kto był wówczas *Eugenii de Guérin* powiedział, że do sławy brata własną sławą przyczyni się najwięcej, że oboje niemal równocześnie do potomności przejdą, byłaby się skromność jej prawdopodobnie w pierwszej chwili zatrwożyła, ale tylko „w pierwszej chwili“; po namyśle byłaby owszem Bogu dziękowała, że w obec świata połączona będzie pamięć ich, jak za życia połączone były ich serca; jak dziś już na łonie Ojca Przedwiecznego, połączone są te dwie szlachetne, wzniosłe dusze.

A. M. L.

ELEKCYA KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA WAZY

NA TRON MOSKIEWSKI. (1609 – 1611).

(Dokończenie).

Zygmunt, wróciwszy do Warszawy na sejm, przyjęty został nader serdecznie przez obecnych tam panów i lud stolicy. Radość jednak ogółu doszła do szczytu, kiedy bohater Żółkiewski swym wjazdem tryumfalnym poruszył do głębi uczucie narodowej dumy, gdy wioząc cara, zdawał się wskrzeszać wspaniałe klasycznej starożytności przykłady. Wśród tłumów zgromadzonego ludu wjeżdżał orszak hetmański na zamek królewski, na czele jechali pułkownicy i rotmistrze na bogato przybranych koniach, za nimi sześćdziesiąt karet, na ostatek sam hetman Żółkiewski na wspaniałym rydwanie, zaprzężonym w sześć białych rumaków czystej krwi tureckiej, wioząc ród strąconych carów. Sam car przyodziany w złocistą szatę, w wysokiej czapce na głowie, z śladami smutku na twarzy, smętnie uśmiechał się do ludu, wywzajemniając się uprzejmym ukłonem witającym go tłumom. Za hetmanem wieziono w osobnych powozach Sechina, walecznego komendanta Smoleńska, metropolitę Filareta z Golicynem i przedniejszych jeńców. Kozacy zaś hetmańscy i piechota zamykali cały pochód. Stanąwszy przed zamkiem, hetman ujął za rękę strąconego cara i wprowadził go do senatu, a na ten widok wspaniały wszystkie serca silniejszem uderzyły tętnem, lzy trysnęły z oczów wielu, a od okrzyków radosnych gmach się zatrzęsł. Gdy minęła pierwsza chwila wzruszenia, gdy umilkły

długo podnoszone okrzyki, Żółkiewski przystąpił do tronu i przedstawiając królowi dostojnych jeńców, wygłosił jedną z tych wspańiałych mów, właściwych jego talentowi, w których nie wiedzieć co podziwiać, czy szczerłość i prostotę natury żołnierskiej, czy krasomowstwo dorównyujące najpiękniejszym wzorom starożytności.

Skreśliwszy obraz wielkości, która w udziale dostała się Zygmunto-
wemu, przeszedł w ton poważniejszy, a zaznaczając, że szczęście dziwnie nietrwałe i zmiennem bywa, prosił Zygmunta, by miał w pieczy swojej rodzinę Szujskich, tak dotkliwie przez los doświadczonych. Szujscy odprowadzeni zostali do przeznaczonych dla siebie mieszkań, a następnie zawieziono ich do zamku gostyńskiego, gdzie rozciągnięto nad nimi czujność, jednakże z całem uszanowaniem należnem ich dostojności i uprzejmością, na którą przez nieszczęścia swoje zasługiwali. W lat kilka tutaj pomarli; podług jednych z powodu tęsknoty za krajem, wedle innych zaś wersyi klimat nasz miał im nie służyć. Zygmunt kazał z pompą odpowiednią godności zmarłych, przywieść ciała ich do Warszawy i pochować w wybudowanej w tym celu kaplicy na Krakowskiem przedmieściu. Chwilę przedstawienia jeńców Zygmunto-
wemu odmalował królewski nadworny malarz Dolabella. Obrazu tego naparł się później Piotr zwany „Wielkim“ od Augusta II-go i prawdopodobnie zniszczyć go kazał¹.

Nikt zapewne z obecnych na tych świetnych uroczystościach nie przeczuwał, że to samo mocarstwo, którego władca stał jako jeńiec przed Zygmuntem, zagarnie kiedyś pod swe berło znaczną część Rzplty. Tak jak nikt z oklaskujących tryumfy Scypionów nie zamarzył o tem, że za parę wieków plemiona germańskie obalą potęgę światowładnej Romy i stanie tron Odoaków i Alboinów na miejscu, z którego dumnie cezary kierowały losami świata.

Wracamy do sejmu, którego jednak w całym przebiegu przedstawić nie możemy dla braku materyałów, gdyż oprócz fragmentu dyaryusza i luźnych wzmianek w autorach niceśmy doń nie znaleźli. Z tej też przyczyny nie możemy wyczerpująco opowiedzieć przebiegu sprawy wladysławowskiej na sejmie. W izbie poselskiej marszałek

¹ Niemcewicz t. III. str. 14.

witał króla pompatyczną mową, w której folgując wzbudzonemu świetnym tryumfem hetmana zapalowi, popadł w przesadę niezmierną, powiedział bowiem do Zygmunta: „przeszedłeś Miłościwy Panie wielką bogobojnością swoją one Bolesławy, a sprawiedliwością przewyższyłeś Kazimierza“¹.

Aczkolwiek zakrawało to na ironię, boć Zygmunt żadnym czynem wyższej miary panowania swego dotąd nie zaznaczył, a zdobywie Smoleńska chyba tylko przez chorobliwą wyobraźnię do rzędu cudów zaliczone być mogło, to jednak mówca z całą wiarą w szumnych frazesach retorycznych uzasadnia swe zdanie. Zgodniejsze z prawdą były słowa podzięk, które marszałek złożył królowi za jego nadzwyczajną bezinteresowność: „Zapomniałeś Miłościwy Panie o przezacnej krwi swojej, o sławnym dziedzicu twoim, którego wielkie cnoty wszystkiemu światu są znane, a miałeś jedynie na pamięci dobro tej Korony Polskiej, na której panowanie za przejrzeniem a wolą Bożą wyniesiony zostałeś. Niechajże Najwyższy błogosławi cię za to Miłościwy Panie, i niech oddała od Ciebie wszelkie tempestates“. Zaznaczyć tu jednak wypada, że mimo kadzidla spalonego na cześć króla, jednego słowa nie powiedział o carstwie Władysława. Ważniejszą od tej przemowy jest mowa Broniewskiego, generalnego mowcy izby poselskiej; poznać można, jakie zapatrywania panowały w łonie sejmującej szlachty. Broniewski także między innymi objawia zdanie: „Mamy zlecenia wymódz konsylia, aby na potem *sine consensu omnium* nie była wojna podnoszona. *Jus Maiestatis est indicere et inferre bellum, sine consensu* wojny niebezpieczne bywały“². Była to więc nagana dla króla, co dowodzi, że mimo wszelkich entuzjastycznych wybuchów szlachta nie zapomniała Zygmuntowi jego samowolnego kroku. Następnie przechodzi Broniewski do wojny moskiewskiej, wykazując, że traktaty są w tej chwili niepodobieństwem. Dlaczego? Bo najprzód w Moskwie nie ma cara ani żadnej władzy: z kimże więc zawierać układy? Obok anarchii, która nie pozwala zapuszczać się w traktaty, zraża mówcę do nich znane wiarołomstwo Moskali,

¹ Teka Nar. 106. Nr. 45. Cod. 350. Nr. 21.

² Teka Nar. 106 N. 99. Cod. 350. N. 21.

nie zasługujących na żadną wiarę, którzy wszystko przyrzekają a niczego nie dotrzymują. Broniewski radzi wojnę i rozrządza tak prowincjami carstwa, jak gdyby one już były w mocy króla. Powiada, że będzie „siła pożytków dla szlachty, jeśli Król Jegomość na gubernatorów i inszych urzędników będzie posyłał do Moskwy ludzi szlacheckiego urodzenia“. Przedstawia z lubością korzyści, jakich Rzplta dozna, gdy ludzie zacni opatrunek w „tamtej ziemi“ mieć będą. Nie zapomina jednak i o Moskalach. „Niechaj Król Imć tych z pomiędzy Moskwy, którzy mu są przychylni promowuje, niechaj ich wraz z Polaki na urzędy posuwa, a prędko tamten naród poda się na inkszą stronę“. Broniewski hołdował zapatrywaniu, że należy Moskwę przyłączyć do Polski. Zapatrywanie takie spotyka się rzeczywiście, gdzieniegdzie u ludzi podrzędnych, patrzących na wszystko przez pryzmat swych zaściankowych wyobrażeń. To też niepodobna przypuszczać, żeby pod tym względem zdanie Broniewskiego było wyrazem zapatrywań większości izby poselskiej, jest to raczej pogląd osobisty, a i sam mówca nie na seryo widać w to wierzył, skoro po różowych horoskopach powiada z całą trzeźwością, że położenie jest trudne, bo trzeba wojnę prowadzić, która wymaga wielkich kosztów. „My tymczasem nie możemy tylko jeden pobór, który na jeden rok postępujemy“.

Nie znalazłszy we fragmencie dyaryusza żadnego więcej śladu działalności Izby Poselskiej, przechodzimy do senatu, o którego obradach więcej wiadomości przytoczyć możemy. Tu podkanclerzy Kryski, czyniąc propozycję od tronu, mówił zgodnie z instrukcjami rozesłanymi na sejmiki, cośmy powyżej przytoczyli. Nie obeszło się, rzecz naturalna, bez szumnego panegiryku na cześć Zygmunta, któremu mówca składał gorące dzięki, że to, co nieprzyjaciół wydarł Zygmontowi I-emu, dziś odzyskał król i pomścił się krzywd wielkiego dziada swego. Pamiętając, że głosy malkontentów głośno obwiniały króla, znajdując zresztą i na sejmie objaw tego, choćby w mowie Broniewskiego tylko, całego użył kunsztu oratorskiego, by wykazać, że postępowanie króla jedynie dobro Polski miało na celu. Mówił Kryski: „Smolanie i Siewierzanie nie królowi polskiemu, ale obranemu carowi moskiewskiemu przysięgać chcieli, czem samem nas nieopatrnych z prawa własności wyzućby mogli, zadawszy nam to kiedy: jeśliście mieli

jakie prawa, toście je stracili, pozwoliwszy z królem waszym sięgać na hospodara moskiewskiego, — ale jeszcze, któż tak bezpiecznie radzić śmiał, aby słowo I. K. Mci w Rzeczypospolitej dane na wyjeźdźnym odmienić się miały? Rzekło się nie sobie, jedno królowi polskiemu, nie potomstwu, jedno Rzpltej wszystko zyskować. A jakoż to było, mimo króla polskiego inną osobę na skutek tej ekspedycyi *substituere*?¹.

Następnie dowodził Kryski, że i dziś tylko dobro Polski ma król na względzie, jednakże jego zamysły i owoce jego męstwa wymagają koniecznie poparcia narodu. Tu wykazuje mowca, jak wielkie są wydatki, pociesza się jednak tem, że jeśli naród grosza nie poskapi, to nadzwyczajne korzyści, które w przyszłości nań spłyną, sowiecie wynagrodzą poniesione ofiary. Podobnie i w drugiej mowie, którą wygłosił Kryski², siłił się na wzbudzenie ofiarności w szlachcie, lecz skutku to wielkiego nie przyniosło. O ile mowa Kryskiego nie może służyć za wyraz opinii współczesnych, to *votum* wojewody poznańskiego Ostroroga przyjąć można za wyraz opinii pewnych kół senatu i prawdopodobnie wielkopolskiej szlachty, która jak wiemy, składała pobory ochoczo wtenczas, gdy Małopolska, skąpiąc grosza, krzyki na króla podnosiła. Zastrzegamy się jednak, jakobyśmy chcieli przez to wypowiedzieć, że Wielkopolanie sympatyzowali z polityką króla, gdyż jesteśmy tego zdania, że tylko mniejsza była niechęć do wojny moskiewskiej i nie tak gwałtownie się oburzano, że wojna samowolnie została zaczęta. Wojewoda poznański broni na wstępie króla, zwalczając zarzut tych, którzy twierdzą, że wojna rozpoczęta została *tacite*. Powiada, że przecież na przeszłym sejmie była propozycya królewska, a chociaż mimo jej uchwała nie zapadła, to jednak król rozesłał pisma, w których swe cele i zamysły narodowi odsłonił. Z mowy wojewody widać, że rozpoczęcia wojny on za legalne nie uważał, wyraża nawet z tego powodu swe ubolewanie, lecz czyni to bardzo nieznacznie i zręcznie wymijając drażliwe dla tronu kwestye, z całej siły wykazuje, że choć nie uchwałą sejmu, to jednak wojna

¹ Teka Nar. 106. Nr. 46.

² Teka Nar. 106. Nr. 47.

nie była zaczęta *tacite*. Z mowy tej poznać także można, jak liczne były głosy niechętnych i ilu „niegodnych“ podejrzeń był król celem, „co jednak dzisiaj wszystko ustać musi, bo nie wiem, aby miał być kto teraz tak złym, któryby zaciąg ten W. K. Mei ganił, bądź by to byli tacy, którzy o początku, a drudzy *de mediis* sprawy tej mówili, *de fine* trudno, bo ten dobry“¹. Ostroróg nie wspomina ani słowem o królewiczu Władysławie, równie jak Broniewski i Kryski w swych mowach, natomiast prymas Baranowski składa gorące dzięki Zygmuntowi, że jako dobry ojciec nie dał syna „narodowi wiarołomnemu na niechybne jatki“, bo naród moskiewski na żadną nie zasługuje wiarę, gotów każdej chwili do zdrady i morderstwa. W przeciwieństwie do generalnego mowcy izby poselskiej prymas zaleca traktaty, choć równie jak Broniewski żywi nieufność względem Moskali. Wojnę uważa za niemożliwą, bo szlachta przeciwną jest poborom. Inaczej radziłby ją, lecz w obecnem położeniu wprost w możliwość jej nie wierzy². Z tego, cośmy o sejmie powiedzieli widać różnicę poglądów. Jedni radzą traktaty, inni wojnę, ci zarzucają królowi niestosowanie się do praw, lecz ogółem objawia się brak ofiarności i zupełne pomijanie sprawy Władysława. Nie znamy uchwał końcowych sejmu, lecz z ustanowionych poborów widać, że do ofiarności wzbudzić narodu nie zdołano. Szlachta bowiem uchwaliła jeden tylko pobór i to z wyraźnem zastrzeżeniem, że posłuży na zatrzymanie odzyskanych prowincyi.

Sprawę Gabryela Batorego omawiano na sejmie dość obszernie. Charakterystyczną jest jednak rzeczą, że nie zastosowano się do instrukcyi sejmików litewskich. Tam bowiem szlachta żądała z całą stanowczością, aby burzyciele z imienia ogłoszeni zostali. Tymczasem w senacie, mimo szerokich debatów o Gaborowym spisku, unikają starannie najłżejszego wspomnienia o osobistościach, biorących udział w tej machinacyi; ledwie gdzieś zrobili ktoś jaki lekki przycinek szlachcie małopolskiej. Znaczącą jest także rzeczą, że Broniewski, mowca Izby Poselskiej, ani jednego

¹ Teki Nar. 106. Nr. 50. Votum wdy poznańskiego.

² Teki Nar. 106.

słowa nie poświęcił sprawie Gabryela. Senatorów trwożył spiszek ze względu na Portę; zgodnie z poglądami króla, wyrażonemi w instrukcyi, wierzono, że Gabryel jest tylko narzędziem w rękach sultana. Żądano też jednogłośnie, ażeby wyprawić posła do Stambułu i stanowczych od sultana domagać się wyjaśnień¹.

Więcej światła rzuca mowa Jerzego Mniszcha, podejrzewanego o związki z Batorym, skierowana głównie ku odparciu tych podejrzeń. Mniszech, znany z wygórowanej ambicji i nieszczerą wśród współczesnych ciesząc się sławą, obwiniany był teraz, że ta sama pycha, która go rzuciła w objęcia Dymitra, zagnała go także teraz pod sztandar siedmiogrodzkiego despoty. Żył podobno zamiar wydania drugiej swej córki za Gabryela, aby, gdy carstwo Maryny przypadło, umieścić choćby na mniejszym tronie swe dziecko. Otóż pan wojewoda tłumaczy się z tego w następujący sposób: „z Batorym praktykowałam, odmiany życzył w Panach, a taka to moja cnota jako twoja, co kalumniami idziesz, albo nie wiesz jakie ja mam wielkie i znakomite dobrodziejstwa od J. K. Mci Pana mego Miłościwego i Jego sławnych przodków. Wielki to jest węzeł, który mnie związanym czyni do posług J. K. Mci Pana mego miłościwego i jakożbym ja miał na tym placu człowiekiem cnotliwym będąc, zuchwałe imprezy knować. Ale powiadasz, córkę drugą Batoremu chciał dać, albo nie wiesz, iż ma żonę tak ten cnotliwy jako i ty“².

Zdaje się, że obok znanego ogółowi zamilowania pana wojewody do awanturniczych przedsięwzięć i bardzo chaotycznego sumienia, obwiniała go o związki ze spiskowymi ta okoliczność, iż główni koryfeusze kandydatury Gaborowej jak Stanisław Djabeł Stadnicki i Herburt, odwiedzali dom jego bardzo często. Mniszech tłumaczy się z tego i powiada, że tak Stadnicki jak i Herburt bywali w jego domu, bo są z nim spokrewnieni, — wizyty ich jednakże miały zawsze charakter rodzinny i sąsiedzki i nigdy słowa nawet nie mówiono o zamysłach księcia siedmiogrodzkiego.

Nie wiemy, czy po odbytych sejmie wysłano posła do Siedmiogrodu i Porty, ale to wiemy, że sejm niebezpieczeństwa nie zaży-

¹ Teka Nar. 106. Nr. 46, 47, 49, 50.

² Teka Nar. 106. Nr. 53.

wał, skoro w następnym 1612 roku hetman Żółkiewski pisał do Zygmunta: „Nie rad zabawiam się suspicyami, ale kiedy idzie o całość i dobro Rzpltej *licet suspicari*, ja też tego się obawiam, aby Gabor Batorego duchy naszych nie podlegały“¹. Potwierdza więc sejm obawy, które żywił niedawno prymas z narodem, co dowodzi, że król liczył się z zamysłami Siedmiogrodzianina nie tylko podczas oblężenia Smoleńska. Obawy ustały dopiero wtenczas, gdy Gabryel Batory w r. 1613 zginął gwałtowną śmiercią, uwalniając Polskę od obaw a króla i od niepokoju i od poniżenia. Powiedzieliśmy poniżenia, boć forytowanie człowieka tak niegodnego jak Batory, było prawdziwą zniewagą dla syna Jagiellonki. Jeżeli bolejemy nad Stanisławem Augustem, że korona polska była dlań istną cierniową koroną, to nie mniejsze współczucie winniśmy dla Zygmunta. Nie był on co prawda wolnym od błędów, uzasadniał poniekąd brak ufności u narodu, ale przyznać trzeba, że takie objawy anarchii jak rokosz Zebrzydowskiego, takie zbrodnicze zapędy jak forytowanie Batorego, niczem się usprawiedliwić nie dadzą.

Musimy tu wspomnieć, jaką rolę w ciągu przebiegu wojny odgrywał sam kandydat, królewicz Władysław, którego imię rozlegało się od brzegu Wisły aż do ujścia Wołgi, po którym spodziewano się, że dokona tak wielkiego dzieła, bratając dwa narody i obejmując tym sposobem najpotężniejszy tron świata. Władysław urodzony w r. 1595, liczył lat 11 w chwili, gdy Bezobrazow pierwszy ze wszystkich, jacy tę kandydaturę podnosili, zrobił królowi tajemniczą propozycję wyniesienia na tron jego syna. W obec tak młodego wieku na przebieg sprawy wpływu żadnego nie wywierał, był jednak o wypadkach informowany, bo w chwili gdy Żółkiewski zawierał układy z bojarami, dworzanin królewicza Sokołiński, obecny pod Smoleńskiem, uwiadamał go o przebiegu rokowań, kreśląc piórem gładkiego dworaka obraz tej czci ogólnej, jakiej Władysław zażywał wśród Moskali i tej olbrzymiej potęgi, którą Opatrzność w jego ręce składa².

¹ Cod. 361. Nr. 20.

² Teki Nar. 106. Nr. 54.

Podrzedną jest rzeczą, czy ów Sokoliński pisał komplementy, czy też donosił rzeczy prawdziwe. Ponieważ jednak tu chodzi o wykazanie, czy i o ile Władysław miał sympatyę u Moskali, więc musimy o tej kwestyi nieco powiedzieć. W pierwszym rządzie stawiano kandydaturę Władysława dlatego, że lękano się Zygmunta, znając jego gorliwość katolicką, a w dodatku wiedząc, że kandydatura króla, tak powszechnie pomawianego o samowładcze zapędy, napotykałaby na niepokonany opór. Lecz obok tych względów można przypuszczać, że sympatyczne usposobienie Moskali dla Władysława było nowym bodźcem do stawiania jego kandydatury. Karamzyn bowiem mówi, że kiedy w roku 1604 posłowie cara Michał Sołtykow i djak Rady Atanazy Własow¹, przybyli na dwór Zygmunta w celu układów, poznali tu dziewięcioletniego podówczas Władysława w sposób następujący: „Posłowie moskiewscy w dniu swojej odprawy, biesiadując w pałacu królewskim, ujrzeli młodego Władysława syna Zygmunтового, i jakby w przeczuciu przyszłości, zaczęli go całować w ręce: to dziewięcioletnie dziecko, które lat młodzieńczych doszedłszy, pokazuje się tak ważną, działającą osobą w dziejach naszych, witało ich mądrze i łaskawie; powstawszy z miejsca i zdjawszy z siebie kapelusz, poleciło kłaniać się carowi Teodorowi i oświadczyć mu, że pragnie z nim być w szczerzej przyjaźni. Znakomity bojar Sołtykow i djak Rady Własow, który Szczełkołowa w sprawach polityki zastąpił, mogli powziąć w duszy przyjemne wspomnienie o młodym Władysławie, natchnąć wielu Rosyan dobrymi myślami o tym istotnie kochanym królewiczu“².

Taką jedynie rolę odgrywał królewicz, który teraz miał oświadczyć państwu moskiewskie. W jesieni bowiem 1612 r. wyruszył król do carstwa, biorąc ze sobą Władysława. Nie wiadzieć jaki cel był tej wyprawy; czy wierzono, że się jeszcze uda Władysława wprowadzić na tron, na co jednak trudno się godzić, skoro król w trzy tysiące wojska wyruszał, w chwili gdy cała ziemia moskiewska była zrewoltowana i gdy sejm polski, uchwalając pobory, słowa jednego o Władysławie nie wspomniał; czy też

¹ W tłumaczeniu błędnie podano „Wasiliow“.

² Karamzyn t. XI str. 33.

chciano dać odsiecz załodze polskiej, wytrzymującej jedno z najstraszniejszych oblężeń, jakie zna historia, w mieście Moskwie. Orzec to trudno, przypuszczamy jednak, że jak na początku wojny, tak teraz jeszcze bardziej zamierzał król działać wedle okoliczności, a że stolica była w ręku polskim, więc obiecywano sobie może pewne powodzenie na tej zasadzie. Okoliczność, że król wziął do swego boku Władysława, pozwala przypuszczać, że chciał tym sposobem rozdzielić Moskali i nowe jakieś wymusić na nich ustępstwa.

Wyprawa jednak króla pożytku nie przyniosła. Przyczyną tego były nierówne siły: Zygmunt, wypocząwszy kilka dni pod Smoleńskiem, ruszył ku Moskwie, nie doszedł jednak do niej i z pod Wiaźmy powrócił do kraju. Załoga polska, oblężona przez Pożarskiego, jednego z tych ludzi, których obywatelskie cnoty tem żywszem jaśnieją światłem, że ukazują się na tle najstraszniejszego moralnego upadku, jaki był wtedy wśród Moskali, poddała się w r. 1612 w październiku, złożyłwszy dowody nadzwyczajnego męstwa. Mimo zagwarantowania załodze polskiej życia i wolnego powrotu do ojczyzny, mała tylko część wróciła pod rodzinną strzechę; większość padła pod ciosami rozjuszonych Moskali. Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że plama zbrodniczego czynu nie ciąży na bohaterskiej pamięci kniazia Pożarskiego. Ten bowiem dotrzymał słowa, ocalając tych, którzy dostali się w ręce jego oddziałów, mordy natomiast, popełniane przedewszystkiem przez bandy wałęsających się kozaków, działały się mimo jego woli i wiedzy.

W tym mniej więcej czasie pousuwały się z widowni najwybitniejsze w ciągu całej akcji osobistości: Szalbierz (drugi samozwaniec Dymitr) zastrzelony na polowaniu przez chrzczonego Tatarę Urusowa. Maryna Mniszechówna, dostawszy się w ręce Moskali utopioną została pod lodem; jej syn pomimo że miał zaledwie dwa lata uduszony; kozak Zarucki, osobistość głośna, najprzód jurgieitnik Dymitra, później w służbie polskiej, nareszcie znowu pod chorągwią Samozwańca II., a w końcu według muiemania niektórych ożeniony z Maryną, walczący za nią jakby błędny rycerz, schwytyany przez Moskali nad Jaikiem, skonał na palu. W tym czasie umarł także sławny partyzant Jan Piotr Sapieha i przywódca ruchu ludowego Prokop Lapunow, zamordowany przez własnych swych stronników. Po tylu cierpieniach zajaśniała nareszcie dla

Moskwy jutrzeńka lepszej doli. W chwili, gdy wódz szwedzki de la Gardie zajmuje Nowogród i zmusza jego mieszkańców do obrania swym panem królewicza szwedzkiego Karola Filipa, gdy w okolicach Pskowa zjawia się nowy samozwaniec djak Sidor, oczy wielu zwracają się na syna Filaretowego. Minęło jednak blisko dwa lata, zanim rzeczywiście Michał Fiedorowicz zasiadł na tronie. Gdy dnia 21 grudnia 1612 roku ogłoszono uroczyście narodowi wyswobodzenie Moskwy z rąk polskich, powołano równocześnie deputatów z całego narodu w celu osadzenia wakującego tronu.

Przez trzy dni cały naród moskiewski przygotowywał się do wielkiego aktu ścisłym postem, a w cerkwiach zanoszono błagalne modły o szczęśliwy wybór. Mimo jednak religijnego nastroju całego aktu i tylu bolesnych kolei, jakie Moskale przeszli, do jednomyślności było bardzo daleko, a natomiast duch fakcyi wicherzył i burzył umysły. Między bojarami było kilka stronnictw; jedno z nich pragnęło widzieć na tronie Wasyla Golicyna, znanego nam posła pod Smoleńsk, a dziś więźnia w Polsce, w czem dowód, jak silne miał u swych stronników sympaty. Inni mówili o Trubeckim, prócz tych były partye za Worotyńskim i Pożarskim, a nawet znaleźli się tacy, którzy zamierzali o przywróceniu na tron ex-cara Wasyla Szujskiego, przebywającego w tej chwili w Polsce na ustronnym zamku gostyńskim. Ogromna natomiast większość popierała Michała Fiedorowicza Romanowa. W pamięci bowiem wszystkich przechowywało się prześladowanie, na jakie była wystawioną rodzina Romanowych za Borysa, który Fiedora Romanowa, od czasu wstąpienia do klasztoru noszącego imię Filareta, i jego żonę do srogiego wtrącił więzienia. W Filarecie, pozostającym dotąd w niewoli polskiej, widział lud męczennika sprawy narodowej. Nie zapomniano także i o carowej Anastazji z domu Romanowych, wdowie po Iwanie Groźnym, która jedyna z żyjących umiała hamować dzikie wybuchy tygrysyj natury swego małżonka. Z pamięcią o zasługach łagodnej Anastazji łączono wspomnienie o Nikicie Romanowie, słynnym z dobroczynności. Wszystko to przemawiało w oczach ludności za powołaniem do rządów popularnej w kraju rodziny, za oddaniem berła Michałowi Romanowowi. W lutym 1613 roku, gdy archimandryta nowospaski Józef zapytał się zgromadzonych na kremłowskim placu deputatów z wszystkich ziem,

kogo chcą mieć carem, okrzyknęli wszyscy jednomyślnie: Michała Fiedorowicza Romanowa. Szesnastoletni Michał przebywał wówczas wraz z matką swoją z domu Szeremetjow, w jednym z monasterów Kostromy. Gdy tu przybyli wysłańcy elekcyi z powitaniem nowego cara, matka jego świadoma podstępów i mordów, otaczających w kraju tym władzę najwyższą, błagała, zalewając się rzewnymi łzami, by syna jej od tego niebezpiecznego zaszczytu uwolniono. Po długich dopiero naleganiach bojarów zgodziła się z konieczności.

Z tym to nowym carem rozpoczął bój Władysław w r. 1617, gdy car Michał Fiedorowicz obległ Smoleńsk. Wśród zamachu ze strony moskiewskiej na to, co było własnością korony polskiej i co tak obficie zostało krwią polską okupione, powstał zapal do wojny, poczęto nawet mówić o strąceniu z tronu „intruza“ Romanowa a wprowadzeniu nań Władysława. Spóźniony to był już zapal, jednakże nie zdawano sobie z tego sprawy i sejm w 1616 roku uchwalił bardzo chętnie pobory na wojnę i pospolite ruszenie. Głosy tych, którzy marzyli o odzyskaniu carstwa dla Władysława zeszły na drugi plan na sejmie, gdyż dodano ośmiu komisarzy do boku królewicza, między nimi Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana, z wyraźnem poleceniem, aby pilnowali chwili sposobnej do zawarcia pokoju, uważając głównie na korzyści Rzeczypospolitej, a unikając wojny. W kwietniu 1617 roku wyruszył Władysław na wyprawę w chwili dość krytycznej dla Rzeczypospolitej, bo na dwóch przeciwnych punktach krwawe prowadzącej zapasy. Pod Jarugą nad Dniestrem opierał się bohaterski hetman Żółkiewski przemocy Tatarów i Iskendera Baszy, w Inflantach zaś walczył z Szwedami Krzysztof Radziwiłł.

Pokonawszy rozmaite trudności przystąpił nareszcie Władysław do oblężenia Moskwy i aczkolwiek nie powiódł się szturm do murów stolicy, zmusił jednak Moskali do pertraktacyj, zakończonych traktatem w Diwiline na lat 16. Na mocy tego rozejmu otrzymała Polska Smoleńsk, Wieliz, Dorohobuż, Czernihow i Nowogród Siwierski. Straty więc jakie Rzplta poniosła za Kazimierza Jagiellończyka i Zygmunta Starego teraz powetowanymi zostały. Posłowie zaś moskiewscy, internowani dotąd w Malborgu, wrócili do ojczyzny, między nimi ojciec panującego, Filaret, i bohaterski obrońca Smoleńska, Michał Szechin.

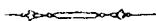
Sprawa jednak jeszcze się zupełnie nie zakończyła, gdyż w roku 1633 wysłał car tegoż Szechina pod Smoleńsk, który bardzo energicznie począł go zdobywać. Nie było jednak dane walecznemu wodzowi zatknąć sztandarów carskich na smoleńskich bastach. Gdyż oto w chwili najkrytyczniejszej dla obleżonej załogi przybywa Władysław, już teraz król polski, i zmusza Szechina do poddania się. Gdy wojska polskie posuwały się podniesione na duchu i zagrzone tym tryumfem naprzód, gdy zajęły Wiazmę, Możajsk i poczęły oblegać miasto Białę, car przystał na wieczysty pokój, podpisany w Polanowie w 1634 roku. Zgodzono się tutaj na zupełne zapomnienie przeszłości: związek braterski i przyjaźń wzajemna miały łączyć obu monarchów, ich następców i obadwa narody. Król Władysław zobowiązał się zwrócić dany akt elekcyi na carstwo, natomiast car Michał rzekł się wszelkich pretensyj do ziemi smoleńskiej, siewierskiej i czernihowskiej, oraz wszelkich pretensyj do Inflant i Kurlandi; wypłacił nadto Polsce dwakroć set tysięcy rubli. Pod względem więc terytoryalnym, osiągnęła teraz Polska więcej niż kiedykolwiek. Jest to jednak niestety punkt zwrotny, od którego poczynsz Rzplta staje w roli odpornej, Moskwa zaś działa zaczepnie, korzystając przedewszystkiem z zawikłań dyzunii i Kozaczyzny. Snać srogo zabość musiały te ustępstwa młodego cara, kiedy tego Michała Szechina, który przez męstwo i moc charakteru był chlubą narodu, kazał stracić za to, że uległ w nierównej walce. Nawet carsławni pisarze oburzają się na ten czyn barbarzyński, chociaż przejęci są myślą, że Bóg inne dał prawa moralności moskiewskim carom niż reszcie śmiertelników.

Reasumując to wszystko, cośmy powiedzieli o sprawie elekcyi, musimy zwrócić jeszcze raz uwagę czytelnika na czynniki zaznaczone na wstępie pracy. Więc najprzód stosunki moskiewskie były tego rodzaju, że na przyrzeczeniach i układach nie można było polegać żadną miarą, stąd więc elekcyja używana przez większość jako środek tylko, a popierana przez małą część narodu, mogła by tylko w takim razie zamienić się w czyn, gdyby Zygmunt miał tyle sił, ile wymagało uspokojenie całej ziemi moskiewskiej. Tymczasem jakeśmy to widzieli, szczupłość wojsk polskich kusić się o to nie dozwalała, a nadto wiemy, że naród polski nie wierzył w możliwość osadzenia Władysława na tronie i żywił przesadne

obawy o swą wolność. Położenie zresztą Polski, zagrożonej od Szwecyi i Turcyi, o czem przekonują cytowane powyżej sejmowe mowy, nadewszystko zaś spisek anarchistów polskich z Gabryełem Batorym nie pozwalał wikłać się w sprawy moskiewskie. Stanowisko więc Zygmunta wśród takich trudności należy mniej surowo sądzić. Prawda, że rozpoczął on wojnę bez uchwały sejmu, prawda że zbyt łatwo dawał wiarę sympatyom moskiewskim, lecz przekonawszy się o rzeczywistości, zmienił zupełnie normę postępowania, i jeśli miał przedtem jakieś osobiste widoki, na początku kampanii, to później zwraca swe siły tylko w celu odzyskania Smoleńska, w czem widział interes Polski. Rozpoczynając kampanię, nie tylko odzyskanie wydartych dziadowi prowincyi miał na celu ale także, o czem i szczupłe znane nam zapiski w Łubińskim i list króla do kardynała Forgaczo dowodzą, uśmiechała mu się myśl propagandy katolickiej w Moskwie i rekuperowania Szwecyi. Gdy się o niemożliwości tego przekonał, wszystkich tych planów zaniechał — i od-tąd celem jego usiłowań jest zdobycie Smoleńska. Stanawszy na takim gruncie, sądził pewnie, że naród poprze go całą siłą. Stało się jednak inaczej, bo Zygmunt zdepopularyzowany przez rokosz, nigdy nie miał tego zaufania, którem darzył naród jego poprzednika, bohaterskiego Stefana.

Tak upadła sprawa, której wspomnienie tkwi bolesnem uczuciem po dzień dzisiejszy w sercach Polaków. Jest czego żałować, bo gdyby ojczyzna nasza stanęła u kolebki cywilizacyjnego rozwoju Moskwy, wówczas innem korytem byłyby popłynęły losy nietylko obu narodów, połączonych wspólnością dynastyi, ale i całej Europy. Polska bowiem acz zawichrzona nierządem i prywatą, przechowała jednak do ostatniej chwili swego istnienia polityczne sumienie. Stało się całkiem przeciwnie, jak dowiódł wiek XVIII, a z jakiej przyczyny, to jest jedną z najsporniejszych, a zarazem najważniejszych kwestyj naszej historyi.

Stanisław Kozłowski.



Ludzie i stosunki w Warszawie.

I.

Chcę pisać o Warszawie na żądanie Wasze. Jest w istocie zawsze wiele do pisania o tej półmilionowej stolicy i sercu wielomilionowego narodu, ale niestety nie mam tej wielko-pańskiej wytworności stylu, tego zacięcia pióra, jaką baronowa X. Y. Z., w swych listach do przyjaciółki towarzystwo warszawskie opisała. Na swój właściwy sposób, pragnę opis baronowej X. Y. Z. uzupełnić ze strony przez nią pominięty; tem bardziej, że w ciągu tych ostatnich pięciu lat wszystko tu gruntownej uległo zmianie na niekorzyść naszą. Pani baronowa, jak na damę wielkiego świata przystało, bardzo złośliwie i bardzo delikatnie przedstawiła nam ze strony przeważnie ujemnej, śmiesznej, tak sfery rządowe z Maryą Andrejewną, Wielkorządczynią Warszawy i Królestwa na czele, jak i świat bankiersko-przemysłowy i dziennikarsko-literacki. Satyry tej skutek jedyny był ten, że Marya Andrejewna jako kobieta, do której pani baronowa zastosowała epiteciki każdą kobietę, nawet po latach sześćdziesięciu, do żywego dojmujące: stara, brzydka i zła, w krótkim czasie zemściła się za złośliwość baronowej na całym społeczeństwie polskim, wysiliwszy ku temu całą potęgę swego demonicznego wpływu. Zaraz też komitet cenzury warszawskiej otrzymał nakaz najsurowszego przestrzegania, aby żadna myśl podnioslejsza, żaden nawet wyraz głębsze znaczenie mieć mogący, w prasie warszawskiej się nie pojawiał.

Cenzurowie Rosyanie, choć przeważnie wychowańcy uniwersytetu petersburskiego i moskiewskiego, zatem ani dziejów naszych, ani literatury polskiej, ani nawet społeczeństwa polskiego, wśród którego od lat najwyżej piętnastu do dwudziestupięciu przebywają, nie znali, ku najzupełniejszemu zadowoleniu Maryi Andrejewny obowiązek swój spełnili. A gdy prezes komitetu cenzury Ryżow starał się gorliwość swych poddanych nieco umiarkować, pomimo bardzo silnych pleców jakie w Petersburgu miał za sobą, dostał w końcu dymisyę. Następca jego p. Jankulio nie do życzenia Maryi Andrejewnie nie zostawia, pod jego bowiem kierunkiem cenzorowie wyśmienicie nawet między wierszami czytać umieją, a naukę tę przypisują dowcipnemu felietoniście *Słowa* p. Ant. Zaleskiemu. Od trzech lat ani katolicko-żydowskie *Kłosa* (redaktorem i wydawcą jest p. Salomon Lewental, kierownikiem zaś dla przyzwoitości i przynęty jest Adam Plug), ani pomnikowej zasługi do niedawna pod sterem przeznacznego Ludwika Jenikego, arey-chrześcijański *Tygodnik Ilustrowany*, zamieniany od lat dwóch na pismo w połowie niby poważne, a w połowie w kronikach swych tygodniowo-miesięcznych, humorystyczne, nie mogą pomieszczać wizerunków, ani opisów kościołów katolickich. Na wszystkich kolejach ani jednego napisu polskiego, we wszystkich ich zarządach językiem wyłącznym i obowiązkowym tylko rosyjski; ze wszystkich posad sądowych, administracyjnych, kolejowych, pocztowych, telegraficznych Polaków całemi setkami, gdy już nie stać na tysiące, usuwają.

Uniwersytet co rok nowymi nabytkami z Moskwy wzbogacany, toż i w Instytucie rolniczo-leśnym w Puławach i we wszystkich gymnazyach. Nauczyciele Polacy z małemi nader wyjątkami przy gymnazyach w Warszawie pozostali, należą do wyrzutków naszego społeczeństwa, bo tacy w polityce spodlenia, jakiej się pp. Hurko i Apuchtin względem nas chwycili, największe usługi i dzisiejszym prądom z Petersburga idącym oddać mogą i w istocie oddają.

To są objawy zemsty potężnej kobiety, umiejącej i mogącej się mścić całe lata.

Po r. 1864 owoczesny namiestnik Berg, aby nas odwrócić od polityki, zachęcał do przemysłu i handlu; chęci takie gorliwie i on sam i jego następca Kotzebue w Petersburgu popierali. Kapita-

łami więc krajowemi powstają koleje: Terespolska, Nadwiślańska, Dąbrowska, Bank Dyskontowy, Handlowy, Towarzystwo ubezpieczeń, Towarzystwo kredytowe miejskie, Tow. wzajemnego kredytu, fabryka stali na Pradze, kilka filij Banku polskiego na prowincyi, kilka zakładów kredytowych, w miastach fabrycznych wiele fabryk żelaznych, kilkanaście cukrowni, przy których czoło inteligencji urzędniczej polskiej, usuwanej gromadnie z urzędów, punkt oparcia znalazło. Tak Berg jak i Kotzebue liczyli się z opinią i z wpływami możnymi kilkudziesięciu jednostek polskich, wysokie w Petersburgu stosunki mających, których żale lub skargi bezpośrednio lub pośrednio do tronu dochodząc, mogły ich działalność kępować.

Po strasznych więc klęskach spowodowanych nie tyle pożogą wojenną i kontrybucjami, ile nie sumiennem, nie w zasadzie ale w sposobie przeprowadzenia, uwłaszczeniu włościan, kraj pozornie podniósł się znakomicie. Gubernie Warszawska, Piotrkowska, Kaliska i Kielecka, zbyt widocznie mnóstwem kominów fabrycznych o tem świadczyły. Ale powtarzam, podniósł się pozornie, bo podniosły się odrazu tylko nowe żywioły kraju, Żydzi i Niemcy — upadło serce jego — upadła szlachta, ten żywioł najofiarniejszy po r. 1830 dla kraju; żywioł, który choć wiele zawinił, ale też i wiele winy swe i dług krajowi spłacał. Masie tego żywiołu, po wydziedziczeniu z $\frac{1}{3}$ części ziemi za bezcen, po ograniczeniu go we wszystkich prawach obywatelskich, a jednocześnie po zdwojeniu ciężarów, zbrakło siły oporu, nauki ogólnej, wiedzy rolniczej. Masa ta zaskoczona, nie przygotowana ani moralnie, ani intelektualnie do warunków bytu tak bezwzględnie narzuconych, obdłużona do $\frac{3}{4}$, wkrótce runęła. Dziedzictwo jej przeszło w ręce arendarzy i pachciarzy, owych pocziwych Abrahamków i Judków, bez których pomocy, do dziś dnia żaden pocziwy i prawowierny szlachcie polski obejść się nie może. Co więc do r. 1871 pozostało na roli, to należało do ziemianstwa naszego zamożnego, wytrawnego, kształcącego swe potomstwo praktycznie, zawodowo. Najstarszy syn dziedzica paro lub kilkofolwarcznego kształcił się na rolnika, czy to w jakiej akademii rolniczej pruskiej, czy też po ukończeniu gimnazjum odbywał kilkoletnią praktykę w dobrach rolniczo-przemysłowych Mielżyńskich, Kwileckich, Potockich, Krasińskich, Repphana i innych, reszta synów szła na inżynierów, lekarzy lub adwokatów.

Ojcowie zaś kapitały swe umieszczali to u Kronenberga, to u Blocha, którzy oprócz dobrych procentów, niejednemu ze swych klientów lub ich synom, nietylko poparciem chwilowem, ale bardzo często wieloletnią wdzięczną, a doniosłą w skutkach pamięcią odpłacali.

Berg więc w celach państwowych zainauguował politykę przemysłowo-handlową, wiedząc doskonale o tem, bo prawie pół wieku wśród nas przepędził, że nietylko odwróci uwagę naszą od swych czynów i gwałtów na nas i na Unitach spełnianych, ale nadto wielu, bardzo wielu ze szlachty zamożnej zdemoralizuje. Znał nas doskonale — i w rachubie swej niestety... nie zawiódł się. Żyd pokoleniami całemi w szacherkach handlowo-przemysłowych zaprawiony, choć powinien był dawno zgnić moralnie, nie tylko nigdy i nigdzie nie upadł zbiorowo, ale w oczach naszych całą Europę chrześcijańską opanował, mimo pogardy, jakiej mu nigdzie i nigdy nie szczędzono, bo żyd, bo jemu wszystko ujdzie i wszystko złotem wszędzie zdobędzie. Wszystkich zdemoralizował, splugawił, sam jednak moralnie we własnych oczach i sumieniu pozostał moralnym, bo on tylko się mścił. Rozbijał, kradł i oszukiwał na wszystkie strony, ale zyskawszy krocie milionów, przewyższał w dobroczynności najpotężniejszych monarchów (Hirsch). Szlachcicowi polskiemu, przynajmniej w początkach tej ery Bergowo-Kotzebuewskiej w Królestwie szacherka ująć bezkarnie nie mogła. To też gdy gorączka szybkiego z bogaceniem się gwałtownie po r. 1871 opanowała naszych rolników przemysłowych, którzy w dobrach swych obok browarów, gorzelni i młynów parowych w pewnych okolicach bez rozumnej potrzeby, łatwy zbyt ich wyrobom zapewniającej, i dystylarnie wódek pozakładali, i w zaprowadzaniu w nich tajnych upustów nie kępowali się, względami na to co się godzi, a co nie przystoi, wnet piękne fortuny marnie się ulotniły pod ciężarem srogich kar akcyzowych, od których choć i żydzi ginęli, przecież i sprytniejsi bywali w obronie, i łatwiej przekupstwem groźne odkrycie ich winy w samem zaraniu zacierać umieli, a nadto raz upadłszy, z łatwością znikali z widowni do Ameryki, by stamtąd po latach wrócić jeśli nie pierwotnie bogatymi, to przynajmniej nie biednymi. Szlachcie polski raz upadłszy, już się nie podnosił; w braku możnowładców polskich, szedł w służbę do

Kronenberga lub Blocha, albo na bruku w najbliższem miasteczku powiatowem osiadał, jeśli nie miał w Warszawie możnych krewnych.

Oprócz tych pracowitych i pomysłowych, w zemście za doznane krzywdy na rządzie, malwersacją gorzelniczą straty swe odbijać pragnących, było wielu próżniaków, ludzi z niepospolitą nauką, wysoce spokrewnionych i szerokie mających stosunki, którzy radziby dla kraju z chlubą dla siebie pracować, na wysokich urządach, gdyby tylko ktoś za nich i dla nich mógł i chciał zarabiać. Niestety urzędy wszystkie państwowe zagarnął rząd dla swoich kreatur i w swoich celach, ci więc panowie przywykli do dostatków i życia nad stan, nie umiając i nie chcąc w wydatkach swych się ograniczyć, stali się istnymi pasożytami kraju. Nie mogąc czepiać się klamek bankierskich lub możnowładców kolejowych, bo ci ani tyle posad sinekuralnych, ani tyle córek na wydaniu dla splendoru potomków hetmańskich i senatorskich nie mieli, a poważnej pracy powierzyć im nie odważali się, czepiali się więc, o ile im tytuł nominalny posiadaczy dóbr ziemskich na to pozwalał, Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które też powoli stało się przytulkiem tych rozbitków moralnych, dopóki nieco ich charakteru i tego przytulku nie pozbawiła. Towarzystwo bowiem ziemskie, szanując swą chwalebłą przeszłość, przez Lubeckich i Kalinowskich zdobytą, mimo moralnego obowiązku popierania tych, na których miliony rubli z kar i oszczędności zebrało, a które rząd przed trzema laty zabrał na cele rusyfikacyjne kraju, nie mogło powagi swej narażać.

Przemysł tedy w Królestwie w ogóle, a w Warszawie w szczególności powstał i rozwinął się niepomiernie, zdobywając dla siebie rynki zbytu na dalekim Wschodzie, ale kapitały weń włożone, ani w $\frac{1}{4}$ części nie były nasze, stwierdza to najnowszy przewrót na najstarszej i najdochoźniejszej kolei naszej warszawsko-wiedeńskiej.

Berg i Kotzebue świetnie przygotowali umysły i serca nasze do przyjęcia rządów Hurki (krótkotrwalej administracji szlacheckiego Albedyńskiego w rachubę brać tu nie mogę). Hurko zastał więc kraj na oko bardzo zamożny, choć w istocie bardzo zubożały; dość było tylko wziąć w rękę wykaz jesienny, lub wiosenny dóbr ziemskich, przez Towarzystwo kredytowe ziemskie na sprzedaż przymusową wystawionych, aby się dowodnie o tem przekonać.

Jako znakomity patriota rosyjski on, syn szlachcica polskiego, gorliwego katolika, fundatora kościoła na Białorusi, w którym się pochować polecił, najżywiej nas nienawidząc, serdecznie pozazdrościł i tego. Pod pozorem więc, że przemysł w Królestwie nie jest polskim, ale w ogóle cudzoziemskim, uderzył w prasie rosyjskiej na alarm, traktując kominy fabryczne, jako fortyfikacje cudzoziemskie. Alarm taki trwał z górą lat dwa. Kupiectwo Moskwy oceniając należyście ten manewr, poparło go w Petersburgu całą siłą swego wpływu. W dwa lata więc po objęciu naczelnej władzy przez Hurkę, nie tylko nie powstał już ani jeden bank, a było ich uplanowanych i do zatwierdzenia ich ustaw podanych kilka, nie tylko nie zbudowano na prowincyi ani jednej większej fabryki z wyjątkiem Warszawy i najbliższej w 2 milowym jej promieniu okolicy, ale wiele cukrowni i fabryk żelaznych i tkackich runęło, a Łódź, Ozorków, Pabianice, a nawet Warszawa zatrzęsły się pod gruzami swych ruin milionowych, dziesiątki tysięcy robotników zostało bez sposobu do życia, fabryka stali w Warszawie, zatrudniająca stale po 5000 robotników, zredukowała ich liczbę do 1000, a w r. 1887 przeniosła się nad Don, fabryka żelaza firmy Lilpop Rau z 4000 uwolniła 3500, — pomijam inne mniejsze. Tak było w Warszawie, tak i na prowincyi. Sąd handlowy sprawami upadłościowymi, a notaryusze protestami weksli firm najsolidniejszych byli tak zarzucani w ciągu ostatnich lat pięciu, że dosłownie cały personal ich choć zdwojony w liczbie w pracy tej smutnej upadał. Fabrykanci Łodzi chcąc przejednać serce wielkorządcy rosyjskiego, zbudowali w r. 1886 wspaniałą cerkiew, a do jej inauguracyi nie tylko wysłali deputacyę do Hurki, ale i do swego dawnego przeciwnika b. gubernatora piotrkowskiego, (Łódź leży w obrębie gub. Piotrkowskiej), generała Kochanowa od lat 6 wielkorządcy litewskiego w Wilnie.

Tymczasem przemysł rosyjski zdobywa dla siebie rynek Warszawy; pewny poparcia otwiera swe sklepy nie tylko na pierwszorzędnych ulicach, jak Krak. Przedmieście, Marszałkowska, Długa, Bielańska, ale nawet w dzielnicy żydowskiej na Nalewkach.

Niedość kacapów, współzawodników w handlu naszym najniebezpieczniejszych, bo dysponujących krociowemi kapitałami, przez rząd i prasę polską za psie pieniądze popieranych i reklamowa-

nych, naszło od r. 1883 kilkanaście tysięcy żydów z różnych centrów handlowych Rosyi środkowej wygnanych, jeszcze gorszych przeciwników naszych, bo wyrabiają w Warszawie tani towar, jak obuwie, meble, odzież męską i żeńską i te pod markami najlepszych warszawskich firm, na rynkach rosyjskich o połowę taniej sprzedają, psując w ten sposób renomę przemysłowi warszawskiemu.

I wśród takich warunków ekonomicznych, grożących zupełną ruiną kraju, prasa rosyjska z *Dziennikiem warszawskim* na czele, nie mogąc już w żaden sposób w innym kierunku dobrodziejstw rządów dzisiejszych moskiewskich uwidocznić, i że się tak wyrażę uzmysławiać ludności polskiej, pragnąc gwałtem odwrócić jej wzrok od ojcowskich rządów najszlachetniejszego z monarchów w Europie Franciszka Józefa, odwołuje się ustawicznie do widma straszliwej nędzy galicyjskiej, a jednocześnie z właściwym sobie cynizmem wskazuje na dawno już zanikły dobrobyt materialny w Królestwie Polskiem, gdzie przecież Polakom, bądź co bądź, dobrze się dzieje.

Z dobrobytem ściśle związany jest sprężysty, a sumienny wymiar sprawiedliwości. Po r. 1883 rząd rosyjski rozdzielił naród polski na kilka kategorii. Z nich panowie, szlachta i duchowieństwo katolickie i mieszczaństwo, jako nie *blahonadiożne* (nie prawomysłne, nie lojalne) były zgóry skazane na odebranie wszystkich praw obywatelskich. Odebrano więc tym warstwom i klasom naszego społeczeństwa szkołę, zniesiono prawa, jakimi się ludność z mocy traktatu wiedeńskiego rządziła, pozbawiano samorządu, odebrano sądownictwo, na którego miejsce wprowadzono rosyjskie. Chłopa tylko jednego zrobiono Benjaminkiem, obdarzano go ziemią za bezcen, którą i tak na lat 60 przedtem byłby miał z dobrej woli sejmu polskiego, gdyby temu wielokrotnie Moskwa nie była się zbrojnie sprzeciwiała, nadano mu samorząd gminny i sąd gminny z wyborów — i ciągle rząd rosyjski w prasie swej znieważając szlachtę i duchowieństwo nasze, milcząc o mieszczaństwie, zawsze pod niebiosa wynosił zalety i wiernopoddanie ludu wiejskiego. Wszakże nie wierząc własnym swym zapewnieniom, i wiedząc z informacyj odbieranych o usposobieniu ludu tego w dobrach Skierniewickich, stanowiących tak zwane *Księstwo Łowickie*, a należących z zaboru, nie z kupna do rodziny carskiej, w których to informacjach urzędowych, wyrażenia ludu takie jak: *Mo-*

skal psia wiara, należą jeszcze do nienajgorszych, nadal ludowi temu w całym Królestwie Polskiem szkołę, bardzo oryginalnie pomyslaną.

Oto od lat 18 nauczycielem, jeśli nie ma prawosławnego feldfebla, może być tylko syn chłopca z niedalekiej okolicy. Taki nauczyciel od 12 roku życia przez lat 6 wychowuje się kosztem rządu w umyślnie na to potworzonych seminarjach nauczycielskich, gdzie inspektor, wszyscy nauczyciele i służba, pochodzą z głębi Rosyi, jeden tylko katecheta, a zarazem kapelan jest miejscowym kapłanem katolickim, obok popa. Przy seminarjum jest kaplica prawosławna. Kapelan katolicki odprawia nabożeństwo w miejscowym kościele, bo seminarja te otwierano w gmachach poklasztornych wiejskich. Młodzież seminarjów tych jest odziewana przyzwoicie, ale po wiejsku, a jak teraz to już po moskiewsku, w czerwonych koszulach, żywiona dobrze, ale niewybrednie, słowem niczem niewykolejana z tej sfery, z jakiej pochodzi i wśród której z ramienia rządu i w jego celach ma po wyjściu z seminarjów działać. Ponieważ jednak i nauczyciele seminarjni i pop wszelki posiew moralny kapelana katolickiego w sercach młodzieży tej tłumią, ponieważ słowa po polsku nie słyszy, z rodziną się nie znosi, pieśni polskiej ani modlitwy w szkole nie słyszy tylko po moskiewsku, a po wyjściu z seminarjum młodzieniec taki wielkością swego zadania tak jest przejęty, że rodzinę swą i wioskę, w której mu szkołę oddano, traktuje z góry jak kanalię, naturalnie wbrew zamiarowi pierwotnemu rządu, więc też w zamian stosowną zapłatę sownie odbiera, a w szkole sam wśród gołych ścian przesiaduje, choć rząd tworząc typ takiego nauczyciela, od zarania jego młodości zrusyfikowanego, oczekiwał wręcz innego z jego strony wpływu na młodzież i jej rodziców.

Po latach więc 25 samorządu i takiej szkoły, pod argusowem okiem komisarzy włościańskich przeżytych, gdy rząd moralnie i szlachtę i mieszczaństwo i duchowieństwo nasze znacznie osłabił, a materyalnie zubożył, postanowił sobie już dziś z chłopem ceregieli nie robić, i z nim w ślepą babkę się nie bawić. Przekonawszy się, że jeszcze w duchowieństwie i w ziemianach naszych chłop ma wielkie zaufanie, że jeszcze obie te sfery mają w gronie swem sporo jednostek szlachetnych, wybieranych stale na sędziów

gminnych a względnie (księża) do poufnego rozstrzygania sporów a godzenia waśni przez lud wzywanych, postanowił ponownie, zupełnie chłopą od dworu oderwać przez zniesienie prawa obieralności sędziów, a zastąpienie ich koronnymi z nominacyi rządu. Aby tego dokonać, należało wprzód dowieść szkodliwości sądów gminnych, ze skarg na niego wywodzonych. Wyższa więc instancya porozumiewszy się wprzód z niższymi, i poleciwszy im dać jednomyślnie opinię nieprzychylną dla sądownictwa gminnego, przesłała im okólnik, w którym za pomocą faktów wymyślonych tendencyjnie, odmalowawszy wadliwość sądownictwa gminnego, zapytuje cynicznie, czy należy pozostawić je w stanie obecnym, kolegialnym (sędzia gminny, zazwyczaj poważny ziemianin okoliczny, i 2-eh ławników zazwyczaj wieśniaków, choć i ziemian wśród nich sporo), czy też wprowadzić zamiast sądów gminnych zbiorowych, jednoosobowe sądy pokoju, z nominacyi rządu.

Choć zadowolenie ludu wiejskiego z rozumnego i pośpiesznego wymiaru sprawiedliwości jest powszechne, bo inteligencya ziemiańska, od r. 1870 zasilona znacznym kontyngensem ludzi, którzy na innych polach pracy majątku się dorobiwszy, na roli szukali i wypoczynku i głębszej zasługi obywatelskiej, chętnie brała udział w sądownictwie, ze znacznym nawet dla siebie uszczerbkiem, bo 300 rs. pensyi rocznej, zaledwie pokryć mogły koszta podróży; choć statystyka mówi również na korzyść sądów gminnych, bo np. gdy sędziowie pokoju państwowi, (przeznaczeni dla miast, zwani urzędownie mirowymi a przez lud ogólnie morowymi) w r. 1884 wykazali zaległości spraw niesądzonych aż 16%, to w tymże roku sędziowie gminni, pomimo nierównie większej pracy liczbowej, zalegli tylko 10%, gdy sędziowie morowi polubownie załatwili tylko 12%, to gminni aż 22%, nakoniec taż statystyka ściśle urzędowa stwierdziła w organie ministeryalnym, kiedy jeszcze nie było zamiaru zniesienia sądów gminnych, że ilość spraw zaskarżonych tj. drogą apelacyi przeszłych do wyższych instancyj w sądach pokoju (rosyjskich) jest dwa razy większą, niż w sądach gminnych (polskich); — pomimo to wszystko, a raczej właśnie dlatego, postanowiono sądów gminnych się pozbyć.

Dobrobyt i wyższy moralny poziom ludu wiejskiego przez sądy gminne utrzymywany, nie dał rządowi spokoju w trosce

o dobro nasze, które zależy na tem, aby nas ogłupić, zubożyć i spodlić, a jednocześnie ciągle głosić o dobrodziejstwach nam wyświadczanych.

Jednocześnie z rzekomym rozkwitem dobrobytu kraju po r. 1864, bo niby chłop zamożniał, a mnóstwo kominów fabrycznych świadczyło o rozwoju przemysłu, — rozwinęła się w Warszawie i na prowincyi prasa polska jak nigdy dotąd, co było naturalnym rozwojem potrzeb, ale tę kwestyę już na przyszły miesiąc zostawimy.

N.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej z archiwum tak zwanego bernadyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. *Dr. Ksawery Liske.* Tom XIII. Lwów 1888. Str. XIV, 729 i 1 n. l.

Rok zaledwie upłynął od czasu wydania XII tomu Aktów grodzkich i ziemskich, a oto niestrudzony wydawca, spełniając swe przyrzeczenie, darzy naszą literaturę nowym zbiorem, w którym się mieszczą zapiski sądów przemyskich i sądu przeworskiego.

Są to najdawniejsze zapiski sądów ziemskich przemyskich od r. 1436 do r. 1468, z znacznymi lukami z lat 1452—1459, (akta z tych lat zaginęły); obok nich pomieszczone są zapiski sądów grodzkich przemyskich, počawszy od r. 1462, a wreszcie najdawniejsze akta ziemskie przeworskie, rozpoczynające się z r. 1437 tj. od chwili, w której jak się szan. wydawca trafnie domyśla, takowe spisywać zaczęto. Akty te należą bezpośrednio do aktów sądowych przemyskich, gdyż w Przeworsku istniała filia tegoż sądu, w której zasiadali albo komornicy, albo sędzia i podsędek przemyscy. Te trzy kategorye aktów wydane są w porządku chronologicznym obok siebie, tak, że razem jedną stanowią całość. Obejmują one 713¹ zapisek. W końcu pomieścił szan. wydawca osobno¹ czwartą kategoryę aktów, mianowicie sądów wiecowych przemys-

¹. Od zap. 7135—7395.

skich z lat 1438, 1443, 1445 do 1448, które były do osobnych ksiąg wpisywane. Są one dla nas tem ciekawsze, ile, że ta kategoria aktów tylko w ziemi przemyskiej się zachowała.

Z zestawienia stosunku liczebnego publikowanych zapisek sądu sanockiego, halickiego i przemyskiego wysnuł szan. wydawca w przedmowie do swej publikacji ciekawy wniosek, że czynność sądów przemyskich była o wiele rozleglejszą, aniżeli czynność sądów halickich i sanockich. Z drugiej strony odznaczają się zapiski przemyskie większą krótkością i zwięzłością od halickich i sanockich. Pod względem metody wprowadził wydawca do tomu obecnego tę zmianę, że jedynie zapiski z r. 1436¹, podaje w dosłownem brzmieniu — resztę zaś ogłasza przeważnie w skróceniu.

Treść ogłoszonych w tomie niniejszym zapisek, którą w głównych zarysach będziemy się starali przedstawić, jest, jak w ogóle treść średniowiecznych zapisek sądowych, bogatą i ciekawą. Zawierają one bowiem, mimo swej pozornej jednostajności, obfity materiał, odnoszący się przeważnie do stosunków prawnych, pozwalający śledzić rozwoju instytucyj prawa polskiego i jego partykularnego ukształtowania. Pod tym względem stanowi tom XIII Aktów grodzkich i ziemskich bogatą skarbnicę, gdyż daje nam obraz ówczesnego życia wewnętrznego ludności ziemi przemyskiej.

Szlachta przemyska robi pod względem wykształcenia swego o wiele korzystniejsze wrażenie, aniżeli np. szlachta halicka. Nie spotykamy się w ziemi przemyskiej z tem, aby np. procesujący się szlachcic przyznał się do tego, że nie umie przeczytać cytacyi sobie doręczonej, jak to się zdarzało w sądach halickich. O wiele rzadsze niż w ziemi halickiej są tu też przypadki, w których sąd zmuszony jest nakładać na strony grzywny za nieprzyzwoite zachowanie się przed jego forum. W ziemi przemyskiej podobne przypadki, jeżeli się takowe w ogóle zdarzają, przedstawiają się raczej jako *poenae pertinaciae et rebellionis*, nakładane za to, że ktoś niezadowolony rozstrzygnięciem sądu, *rebellis a iure discessit*², co raczej wskazywało na pieniaczą zaciekłość stron, aniżeli na brak oglądy.

¹ Do nr. 156.

² Zap. 5158.

Ze spraw toczących się przed sądami widać, że ludność ziemi przemyskiej jest zamożną, szlachta, nawet drobniejsza, posiada w swych rękach znaczne obszary ziemi; rzadkie są tylko wzmianki o *nobiles impossessionati* (gołoty), którzy pozbawieni są własności ziemskiej¹. Z zapiski 5378 dowiadujemy się o istnieniu szlachty zwanej *nobiles servi*, którzy pozostawali do możniejszych w stosunku zawisłości, otrzymywali od takowych dobra ziemskie na wzór niemieckich lenn służbowych (*Dienstlehen*) jako *servitia*, pełnili wzamian za to pewne powinności, mianowicie wojskowe, i podlegali jurysdykcji swoich lennodawców. Do najpotężniejszych rodzin osiadłych w ziemi przemyskiej należą: Tarnowscy, Jarosławscy, Rzeszowscy, Pileccy i Fredrowie. Bardzo ciekawą jest zapiska 1491, z której się dowiadujemy o stosunku wyznaniowym, jaki zachodził między szlachtą polską religii katolickiej, a ruską schyzmatyczną. Oto Fredro z Pleszowic układa się z potężnym bojarem Jaczkim z Bybła, że córka pierwszego Jadwiga ma za 4 lata wyjść za mąż za brata Jaczka, Semka, atoli pod warunkiem, że tenże przed zawarciem małżeństwa pod wadyum 1000 grzywien się ochrzci. Ponieważ pewnem jest, że ów Semko Bybelski nie był wówczas poganinem, tylko wyznania schyzmatycznego, zatem stąd wynika, że w oczach wyznawców wiary katolickiej nie uchodził chrzest schyzmatyczny za ważny, że więc przejście na wiarę katolicką pociągało za sobą konieczność poddania się ceremonii chrztu katolickiego.

W zawieraniu interesów majątkowych jest ludność ziemi przemyskiej bardzo czynną i ruchliwą. Z toczących się przed sądami spraw widać, że stosunki kredytowe były podówczas w ziemi halickiej wcale ożywione, i znaczny był obrót kapitałów. Terminem opłat pieniężnych między ziemianami jest zazwyczaj święto Bożego Narodzenia (gody) tj. czas, w którym rolnik zdołał spieniężyć plody rolnicze i zaopatrzyć się w potrzebne kapitały. Stąd wszelkie podobne interesa jak pożyczki, kupno na kredyt i t. p. zawierane były zazwyczaj z terminem *od god do god*². Interesa pożyczkowe, jak to zauważył szan. wydawca w przedmowie do swego dzieła, za-

¹ Zap. 6993.

² Zap. 2.

wierane bywały, jak widać z wydanych aktów, tylko między ludnością chrześcijańską bez ingerencji Żydów, których zresztą w ziemi halickiej dość często napotykamy. Skutkiem tego są warunki uzyskania kredytu wcale korzystne, procent od kapitałów wypożyczonych nie jest nigdy wyższym nad 10, podczas gdy w niektórych miejscowościach w Polsce, jak np. w Poznaniu już przy końcu XIV w. stopa procentowa pobierana przez Żydów dochodziła do stu kilkudziesięciu. Za to był rygor na wypadek niedopełnienia zobowiązania bardzo surowy. W razie niedotrzymania terminu zapłaty, umawiały się zazwyczaj strony, jakie następstwa mają stąd wyniknąć dla strony wiarołomnej. Następstwa te są często bardzo dotkliwe. Tak np. spotykamy się z wypadkiem, że strona wypożycza od drugiej kwotę 170 grzywien, z obowiązkiem zwrotu na Boże Narodzenie. W razie zwłoki ma dłużnik nazajutrz po terminie zapłaty uiścić wierzycielowi prócz kapitału karę, wynoszącą tyle ile suma wypożyczona. Gdyby i w tym dniu zapłata nie nastąpiła, ma dłużnik trzeciego dnia dobrowolnie na wezwanie wierzyciela zapłacić temuż 1000 grzywien. A gdyby i to nie nastąpiło, natenczas winien dłużnik odstąpić wierzycielowi na własność dwie wsie. Gdyby i tego nie uczynił i dopuścił do tego, iżby go wierzyciel musiał skarżyć, wówczas ma zapłacić temuż tyle razy, ile razy tenże będzie musiał go pozwać, za każdą cytacyę po 100 grzywien¹.

Na zabezpieczenie dopełnienia zobowiązań służyła głównie własność nieruchoma, oddawana w zastaw, i zastaw czynszu pobieranego od chłopów. Zobowiązany odpowiadał też własną osobą za dopełnienie zobowiązania. Tak np. żyd przemyski zobowiązał się dostarczyć w oznaczonym terminie Przedborowi z Koniecpola trzy srebrne łańcuchy, poddając się rygorowi, że w razie niedotrzymania umowy, wolno jest uprawnionemu zabrać nietylko całe jego mienie, ale nadto mocen jest zabrać jego samego wraz z żoną, i zrobić z nimi co mu się podoba². Obok tych środków zabezpieczających wykonanie zobowiązań spotykamy jeszcze inny środek, mianowicie: zastaw czci, znany prawu niemieckiemu. Oto strona niedotrzymująca umowy, zezwala, aby ją uprawniony, któ-

¹ Zap. 2854.² Zap. 2819.

rego spotkał zawód, „lajał *quomodocunque peius et deterius poterit et voluerit*, gdziekolwiek ją spotka, w obec wszystkich ludzi i na każdym miejscu“¹.

Król posiada w ziemi przemyskiej znaczne dobra, które trzymają w dzierżawie osoby prywatne. W szczególności należą do króla bogate żupy solne w Soli, przynoszące, jak wynika z zap., 92.000 grzywnien dochodu. Taż zapiska zawiera ciekawy proces, który prowadzi prokurator królewski przeciw dzierżawcy żup solnych o to, że zniszczył dawne źródło soli, należące do króla, a wykopał sobie nowe, skąd samowładnie czerpał dochody. Obok źródeł solnych w Soli, istnieją takowe też w Jasienicy i Bassowej², prócz tego znajdujemy też wzmianki o kopalniach rudy żelaznej³. Odnośnie do ciężarów publicznych, spełnianych na rzecz panującego, zasługuje na uwagę, że wójtowie obowiązani do służby wojennej, zgłaszając się na wyprawę, mają się zapisać do rejestru prowadzonego przez starostę, co później stanowi dowód uczynienia zadość obowiązkowi⁴. Celem ściągania podatków królewskich istnieje osobny urzędnik *exactor fertonum Regalium*⁵. W aktach sądów grodzkich znajdujemy liczne wzmianki o odmawianiu podatków królewskich przez ludność i o nakładaniu kar za to. Co do stosunków obrotowych i handlowych dowiadujemy się, że w stosunkach kupieckich miano przy zawieraniu interesów wzgląd na obyczaje kupieckie (*mercatorum modus*)⁶, że dalej kupecy utrzymywali w handlach swych księgi (*mercatorum registra*), na które się w razie sporu powoływali⁷. Co do monety obiegowej znajdujemy prócz wzmianek o *communis pecunia* i *media pecunia*, też wzmianki o *floreni Turcorum*⁸, *moneta Hungaricalis*, *Cremniciensis effigiei*⁹ i o szeroških groszach praskich¹⁰, które kursują w obiegu.

Stosunki włościańskie przedstawiają mniej więcej te same właściwości, co w innych ziemiach ruskich. Osady wiejskie osadzone są na prawie polskiem, ruskim, niemieckiem i wołoskiem. Osad na prawie niemieckiem znajdujemy dość znaczny procent,

¹ Zap. 469, 1636, 5011. ² Zap. 2043. ³ Zap. 7, 2431, 2432. ⁴ Zap. 14.
⁵ Zap. 5769. ⁶ Zap. 5339. ⁷ Zap. 6691. ⁸ Zap. 2028. ⁹ Zap. 6229, 6236,
 6849, 7087. ¹⁰ Zap. 3146.

szczególne w dobrach należących do biskupstwa przemyskiego. Ludność wiejska jest stosunkowo wcale zamożną; nie rzadkie są podobne przypadki, że chłop skarży pana o zabór jego dobytku wartości 100 grzywien. Była to suma wcale znaczna, jak na owe czasy, w których można było kupić wołu za jedną grzywnę¹, a konia za 2 grzywny², a trzy wsie sprzedano za 1000 grzywien³. Ludność włościańska jest przeważnie pochodzenia wolnego (*kmethones liberi*), o ludności pochodzenia niewolnego bardzo tylko nieliczne spotykamy wzmianki. W zap. 1196 jest wzmianka o chłopie, *qui habet aratrum*, skądby wynikało, że byli także tacy, którzy nie mieli własnego pług. Czynsz opłacany przez chłopów wynosi przeważnie 1 grzywnę od łanu. Z danin uiszczanych przez nich, zasługuje na uwagę *datio mellis* (przaśniczne)⁴ i *decima screpharum*⁵.

Ze spraw chłopskich, toczących się przed sądami przemyskimi, których w ogóle jest znacznie mniej niż w ziemi halickiej, w obec tego, że sprawy te toczą się w sądach przemyskich przed sądami grodzkimi, których zapiski w znacznej części zaginęły, dowiadujemy się ciekawych szczegółów, odnoszących się do jurydyki patrymonialnej i stosunków, dotyczących stanowiska prawnego włościan w obec swoich panów. Jurydykcyja patrymonialna wykonywana przez panów nad poddanymi, przedstawia się nietylko jako uprawnienie tych ostatnich, ale zarazem jako ich obowiązek. Pan, którego poddany naruszył cudzą sferę prawną, dopuściwszy się jakiego występku, był obowiązany na żądanie obżalowanego wymierzyć temuż sprawiedliwość i winnego ukarać, w przeciwnym bowiem razie mógł obżalowany wystąpić ze skargą przed sądem, który grzywnami do tego przymuszał⁶. W stosunku do pana stanowił poddany jednostkę, której ekonomiczny rozwój leżał o tyle w jego własnym interesie, o ile takowy stanowił dlań siłę roboczą, a opłacając czynsze i uiszczając daniny, był dlań źródłem dochodu. Stąd zdarzyło się nieraz, iż właściciel osady, wychodząc ze stanowiska własnego interesu, chronił swych poddanych przed krzywdą i wyzyskiwaniem ze strony osób trzecich⁷, że występuje są-

¹ Zap. 3933. ² Zap. 4478. ³ Zap. 2623. ⁴ Zap. 3058. ⁵ Zap. 2022.

⁶ Zap. 1567. 3689. ⁷ Zap. 3961.

downie przeciw tenutaryuszom, którzy uciskali jego poddanych i domagali się od nich większych ciężarów i powinności, niż do tego mieli prawo¹. Stąd też pochodziło, że panowie zastępowali swych poddanych w procesach przeciw osobom trzecim², że ręczyli za ich długi i zobowiązania³. W ogóle zaznaczyć wypada, że mimo, iż czas, do którego się odnoszą nasze zapiski, stanowi w ogóle w całej Polsce erę pogorszenia się stosunków chłopskich, gdyż w skutek postanowienia statutu warskiego o wykupnie sołtystw przez panów, nastąpiło uszczuplenie autonomii gmin wiejskich, przecież były na Rusi te stosunki, szczególnie pod względem ekonomicznym, dosyć pomyślne.

Z procesów, odnoszących się do reklinacji włościan, możemy powziąć przekonanie, że w ziemi przemyskiej był popyt za siłami roboczymi równie silny, jak w ziemi halickiej i sanockiej. Widać to stąd, że przed sądami przemyskimi toczą się częste sprawy o bezprawny zabór zbiegów, i że emigracya włościan z jednej osady do drugiej, podlegała tym samym utrudnieniom, co w innych ziemiach ruskich, w szczególności w ziemi halickiej. Włościanin, który rościł sobie prawo do reklinacji (wychodu), musiał często domagać się dopiero uznania tego prawa przez sąd, gdyż pan zazwyczaj takowego sam mu odmawiał, musiał dalej w razie, gdy udowodnił, że prawo to mu przysługiwa, złożyć panu swemu opłatę za wychód (*pecunia reclinacionis*)⁴. Reklinacya taka, będąca niejako wykupieniem się z dotychczasowego stosunku poddańczego, musiała się odbyć przy zachowaniu pewnych formalności, w obecności przepisanych świadków, i mogła nastąpić tylko w stosownym czasie, oznaczonym przez zwyczaj miejscowy⁵. Nareszcie przestrzegano w ziemi przemyskiej, podobnie jak w halickiej, przy reklinacyi chłopców także i tego, aby chłopci nie przesiedlali się z dotychczasowych swych siedzib do innych, na korzystniejszym prawie osadzonych wsi, ale tylko do takiej osady, która rządziła się tem samem prawem, jak ta, którą opuszczał⁶. (Dok. nast.)

Dr. Władysław Margasz.

¹ Zap. 4808. ² Zap. 1033. ³ Zap. 2669. 3556. ⁴ Zap. 5035. ⁵ Zap. 5404. 6460. ⁶ Zap. 5092. 5302.

Widmo przez *Winc. Kosiakiewicza*. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki 1889. Str. 245.

Znany autor „Janka“ puścił znowu w świat pod wspólnym tytułem „Widmo“ nie wielki tomik drobnych nowelek, drukowanych poprzednio po rozmaitych czasopismach. Pochwały i zarzuty, które uczynić można było „Jan-kowi“, powtórzyć należy, zdaniem naszym, i odnośnie do nowo wydanego szeregu powiastek. Autor ma bez wątpienia talent; czyta go się z przyjemnością; niektóre postacie jak np. *Dryblas*, lub *Małego* w powiastce *Środa*, *Zemela* w *Niebieska sukmana*, nakreślone sympatycznie; ale żaden obraz, żadna postać silniej do siebie umysłu nie przykuje, serca nie wzruszy. Starannie to wykonane obrazki, szkoda, że wszystkie malowane na jedną modłę, tą samą, szarawą barwą, po za którą kryje się może jakaś myśl głębsza, ale dopatrzyć się jej trudno. Przejdziesz koło nich, powiesz: dobrze zrobione! i pójdziesz dalej, nie pamiętając nawet, coś widział przed chwilą. Prawda, że i „Janek“ podobne na nas wywarł wrażenie, a jednak jeżeli wierzyć kilku ocenom, któreśmy w gazetach spotkali, stanowić on miał niemal epokę w naszym powieściopisarstwie. Utalentowanemu autorowi życzymy z całego serca, aby pisma jego taką epokę stanowiły; ale właśnie dla tego powiedzieć mu pragniemy bez ogródek, że dotąd przynajmniej, nie bardzo widzimy po czem go odróżnić od całego tłumu, posiadających pewną rutynę i mniejszą lub większą zdolność kolegów po powieściopisańskim piórze.

Odgłosy Szkocyi (z dziewięciu ilustracyami). Napisał *Stan. Belza*. Str. 311. Kraków, G. Gebethner i Spółka 1889.

Znany podróżnik, którego *Jeden miesiąc w Norwegii*; *W Danii i z Danią*; *Za Apeninami*, znalazły chętne uznanie i u krytyków i u czytających, darzy nas znowu pouczającymi, a ciekawymi obrazkami z uroczej Szkocyi, kraju, stosunkowo do swej piękności za mało cenionego, bo za mało znanego. Podróżnik nasz choć nie zbyt długo w Szkocyi bawił, przywiązał się do niej jednak, „ze słowami błogosławieństwa w duszy ją opuścił“; a miłość ta dobrze wpłynęła na malowany pod jej technieniem obraz Szkocyi, czyniąc go barwnym, wlewając weń życie i ciepło. Ale uznanie piękności i dobrych stron zwiedzonego kraju nie zagłuszyło w sercu pamięci i miłości dla dalekiej ojczyzny, a to ciągle zwracanie się myśli i serca od jezior szkockich do Wisły, od wspaniałych zamków, bogatych fabryk, do ubogich naszych dworców, pszenicą zdobnych łąków, nadaje całemu opowiadaniu wdzięk szczególny. Nie brak i głębszych uwag, jak n. p., gdy autor porównuje zimne, protestanckie zbory z katolickimi świątyniami; lub gdy wstępując w progi glazgowskiego uniwersytetu chwali Szkotów, iż nigdy nie ścierpieliby, „aby tak, jak się nieestety dzieje tu i owdzie w Europie, rząd ich posługiwały się chciwał nauką do postronnych, nic z nauką nie mających wspólnego celów“.

Sobą samym zajmuje nas autor mało, tyle tylko ile to do ciągłości opowiadania niezbędnie potrzebne; natomiast wytwornemi, czasem powiedzielibyśmy nawet, że aż za wytwornemi, bo wyszukanemi słowami i zwrotami maluje kraj, jego piękności, zwyczaje i obyczaje. Kto zna choć powierzchownie najnowszą naszą obfitą literaturę „wspomnień“ i „opisów podróży“, ten „Od-

głosom Szkocyi* (tytuł ten najmniej może z całej książki do smaku nam przypada), poczystne w niej, a podobno jedno z najpierwszych przyznać musi miejsce.

X.

Żywoć Leona XIII Papieża, napisany w 1887 r. Przez Ks. Bernarda O'Reilly. Przekład z angielskiego. Nakładem *Przeglądu katolickiego*. Warszawa 1889. Str. 612.

Wspaniały życiorys dziś panującego nam Papieża, napisany po angielsku barwnem piórem O'Reilly, z powodu kapłańskiego jubileuszu Leona XIII, okazał się już w kilku językach, a obecnie dzięki staraniom redakcyi warszawskiego *Przeglądu katolickiego*, leży przed nami w polskim przekładzie. Dr. O'Reilly, jak pisze kardynał *Parocchi* w liście umieszczonym na wstępie edycyi francuskiej, „napisał ten żywot za zachętą, pochwałą i błogosławieństwem Jego Świątobliwości; opierając się na autentycznych, wielkiej wagi dokumentach; z pomocą i pod dyrekcyą osób wysoko położonych w otoczeniu Ojca św.“ Kilka tych słów wyraża lepiej od wszystkich pochwał wielką wagę i znaczenie tej książki, która w ten sposób stała się, rzecz można urzędową biografią dzisiejszego Papieża. Opisawszy dom rodzinny, streściwszy krótko dzieciństwo i młode lata Joachima Wincentego Pecci, prowadzi nas autor z kolei do Benewentu, Perugii, Umbrii, Belgii, Anglii, Francyi, a wszędzie wskazać może i wskazuje błogie, często do dziś dnia trwające skutki działalności gorliwego kapłana, biskupa, nuncjusza, kardynała. Ale dopiero od chwili, w której *Joachim Pecci* został Leonem XIII, otworzyło się przed nim olbrzymie, świat cały obejmujące pole prace; a jak już dotychczas sprostął powierzonym sobie od Boga zadaniu, o tem dowiadujemy się w szeregu rozdziałów, będących historią kościelnych i dyplomatycznych stosunków dzisiejszego Papieża z poszczególnymi ludami i krajami: z Persyą, Chinami, Japonią, Anglią, Irlandyą, Belgią, Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, Niemcami, Francją, Hiszpanią.

Co się tyczy samego układu niniejszego dzieła, to już zagraniczna krytyka wytknęła autorowi kilka błędów, które zresztą nawet nie bardzo uważnemu czytelnikowi same w oczy wpadają. Najglówniejszym bezwątpienia błędem jest brak dostatecznej przejrzystości. W pierwszych rozdziałach trzyma się autor porządku chronologicznego; następnie szereguje zdarzenia i fakty w pewne nie dość ściśle oddzielone i obmyślane grupy, skąd czytelnik poprzednio z przedmiotem nie obznajomiony nie może sobie odrazu zdać sprawy z przebiegu i wzajemnego następstwa tych faktów. Tak np. dopiero po opowiedzeniu smutnych walk z r. 1860, dowiadujemy się o nominacyi na godność kardynalską w r. 1853; po odczytaniu listu królewskiego przeciw dekretowi z 31 października 1860, dochodzimy do przyczyny tego listu, i zaczynamy rozumieć jego znaczenie z datowanego 30 września pisma do komisarza królewskiego, margrabiego *de Pepoli* i t. d. i t. d. Jeszcze trudniej zrozumieć dla czego rozdział XXVIII „Leon XIII i studia wyższe“, a następnie znowu rozdział XXXI: „Leon XIII i złupienie Propagandy“, przerywają nagle ciąg opowiadania o stosunkach Papieża do różnych mocarstw; dla czego oba te rozdziały przed lub po ukończeniu tego działu nie zostały umieszczone.

Również zagraniczna już krytyka wytknęła autorowi pewien panegiryczny, zawsze niemily ton, utrzymując bardzo słusznie, że proste przedstawienie faktów byłoby o wiele wymowniejsze. Istotnie, życie i panowanie Leona XIII dość samo w sobie jest i wielkie i piękne, aby się mogło obejść bez retorycznych, choć bezwątpienia z najgłębszego przekonania płynących ozdób i wykrzykników. Nowy to dowód, jak trudno napisać życiorys kogoś jeszcze żyjącego, kiedy nawet taki pisarz, jak *O'Reilly* nie zdołał się wywiązać z tego zadania w całej pełni, tak przynajmniej, jakby tego wybredna krytyka mogła się domagać.

Tłumaczenie polskie jest wzorowe i szczerą za nie *Przeglądowi katolickiemu* winniśmy wdzięczność. Bezprzykładnie niska cena (1 rubel) ułatwia nabycie tej książki, która mimo pewnych, wytkniętych powyżej literackich, że tak powiemy usterek, niemalej jest ceny, i dla każdego katolickiego domu pożądanym będzie nabytkiem.

B.

O Matusi Małgorzacie, obrazki z życia świątobliwej Małgorzaty Bosko.
Przekład z włoskiego. Kraków 1889. Str. 203.

Komż nie znana wspaniała świętością i spełnionemi dziełami, postać zmarłego 31 stycznia 1888 r. założyciela Salezjanów, ks. Jana Bosko; któż, rozczytawszy się w życiu tego opatrznosciowego męża, nie zwrócił znowu uwagi na wspierającą go na każdym kroku w ciężkiem zadaniu, krzepiącą w smutkach pobożną jego matkę Małgorzatę? Była to kobieta prawdziwie wedle serca Bożego, skromna, miłosierna, najlepsza żona i najlepsza matka, która jak słusznie tłumacz w przedmowie się wyraża: „wychowując syna swego prawdziwie po chrześcijańsku, położyła niejako podstawę do jego systemu wychowawczego“. Niemalą też winniśmy wdzięczność tłumaczowi, że nas zapoznał z tem tak pięknem, a pouczającym życiem, które odpowiedział jest na ważne pytania: Czemu dzisiejszy sposób wychowania tak nieodpowiednie do pracy i nakładów, a nieraz tak cierpkie przynosi owoce; czy w wychowaniu — jak sądzą niektórzy i jak samemu tłumaczowi z bardzo poważnych ust słyszeć się zdarzyło — trzeba będzie koniecznie powrócić do zarzuconego dziś środka — do kija? Tłumacz obiecuje nas niezadługo obdarzyć przekładem kilku książeczek, które wyszły z pod pióra samego ks. Bosco — jeżeli, jak dodaje „ogół polski przyjmie dobrze tę książeczkę: *O matusi Małgorzacie*“. O tem chyba wątpić nie można i dla tego już z góry dziękujemy mu za przyobiecana, a tak pożądaną seryę pobożnych żywocików, które we Włoszech i tylu innych krajach tyle już zrobiły dobrego.

O nadzorze domowym młodzieży szkolnej. Rzecz czytana na walnem zgromadzeniu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie.
Przez X. *Dr. Alojzego Jougana*, odbitka z „Muzeum“.

Jeżeli kiedy i gdzie, to dziś i u nas, w chwili, w której kwestya wychowania i wykształcenia młodzieży, tak żywo wszystkich zajmuje, broszura Ks. *Jougana* jest na czasie. Już z pierwszych stronnice widzimy, że mamy do czynienia z doświadczonym pedagogiem, który zżył się z młodzieżą, pragnie jej dobra, ceni jej przymioty, ale również zna jej wady. Wady te sprowadza autor

do trzech głównych źródeł: obojętności w wierze, niedołęstwa woli, zaniedbywania obowiązków szkolnych, objawiającego się brakiem zupełnym pilności, lub nauką powierzchowną, połowiczną, a wszystkiemu temu złemu winno znowu głównie zaniedbanie wychowania. Większa bowiem część rodziców zmuszoną jest powierzyć dzieci swe ludziom, którzy najczęściej w ścisłym tego słowa znaczeniu rodzinie oddającej im dziecko na stancję zupełnie są obcy. Zwykle utrzymujący młodzież najmniejszego nie mają wyobrażenia o prowadzeniu dzieci i kształceniu ich charakteru, a przyjmuje je na to tylko, by albo przy nich się utrzymać, albo nawet sporo zarobić. Młodzież zaś uboższa niemająca żadnych zasobów pieniężnych, zmuszoną jest mieszkać u stróżów, lub ludzi biednych, zwykle pod moralnym względem dość nisko stojących. I pierwsi i drudzy naturalnem następstwem najszkodliwszy wpływ wywierają na młodzież, mianowicie jeżeli z młodszymi równocześnie mieszkają starsi, wdrażający zwykle pierwszych w wszelkie tajniki zepsucia moralnego.

Braki te powinna usunąć szkoła i na niej dotychczas polegał obowiązek naprawiania tego, co złe stancje zepsuły. Jednak szkoła, mająca kształcić umysł, mimo dobrej woli nie zawsze naprawić może błędy w wychowaniu młodzieży przez innych popełnione. Należy zatem domowe wychowanie młodzieży poddać nadzorowi, nie pozwalając rodzicom umieszczać dzieci, gdzie się im podoba, ale tam tylko, gdzie wskaże dyrektor mający mieć spis rodzin znacznych i uczciwych, którymby dziecko śmiało powierzyć można; należy w zetknięciu z rodzicami, lub wychowującymi dzieci, czy to w murach szkolnych, gdzie dość licznie po każdej schodzą się konferencyi, czy poza murami szkolnymi, delikatnie podsuwać im myśli, zmierzające do naprawy wychowania.

Najlepszym do tego środkiem są zdaniem autora bursy i internaty. Jednak i szkoła ze swej strony nie tylko umysł, ale i serce ucznia ma kształcić, bo wychowawcą młodzieży nie tylko jest katecheta, ale każdy bez wyjątku profesor, który przez odpowiednie traktowanie przedmiotu, może być równie, jak katecheta, apostołem moralności i życia chrześcijańskiego. W praktycznych wnioskach wreszcie zawarł autor w skróceniu wszystkie uwagi, w ciągu pracy wyliczone. Ważne to wnioski, pełne doniosłości myśli, na które zwrócićbyśmy szczerze pragnęli uwagę, jak najszerszych kół naszego społeczeństwa.

X. W. D.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Biblische Chronologie und Zeitrechnung der Hebräer. Von Dr. *Eduard Mahler*. Motto: *E pur si muove!* Wien C. Konegen 1887, in 8, s. 204.

Untersuchung einer im Buche „Nahum“ auf den Untergang Nives bezogenen Finsterniss. *Tenże.* (Odbitka z *Sitz. d. kais. Akad. d. Wissensch.* wiedeńskiego. Tom 93, cz. II).

Chronologia biblijna należy do nauk, w których najwięcej dowcip naukowy ćwiczyć się może; a jeżeli gdzie, to tutaj szczególnie zastosować można słowa *mundum tradidit disputationi eorum*. (Eccle. III. 11). Tu można tworzyć systemata, przypuszczenia i t. p. bez liku. Nie wystarcza komu skromna przestrzeń kilku tysięcy lat od stworzenia świata, — może sobie nawet milionów pozwolić, żeby w nich pomieścić rozmaite epoki paleontologiczne. Z chwila, gdy człowiek opuścił raj, tj. gdy go stamtąd wyrzucono, swoboda pod względem chronologii ścieśnia się coraz więcej. Milionów już niema do dyspozycji; można jednak od Adama poczynając, a kończąc na Noem, szafować tysiącami; od Noego do Mojżesza, pełnemi setkami; później dziesiątkami (od Salomona do niewoli babilońskiej i później), a jeszcze później już tylko jednostkami. I to nie dogmatyka te ograniczenia naznacza, lecz synchronizm dziejów powszechnych i krytyka historyczna.

To też w chronologii biblijnej może więcej niż gdzieindziej jest systematów. Już Des Vignoles (*Chronologie de l'histoire sainte*) w r. 1738 znalazł ich około 200. Później naturalnie, jeszcze nieco przybyło.

Właściwie mówiąc, są to nie systematy, a hipotezy, co do oznaczenia daty wypadków ważniejszych, według których regulują się inne. System jest, można powiedzieć, jeden. Mamy w Piśmie św. kolejną sukcesję patryarchów od Adama do Abrahama, która nam pozwala obliczyć, ile lat upłynęło między pierwszym, a drugim. Adam np. w 130 roku życia zrodził Setha; Seth w 105 roku życia zrodził Enosa; Enos w 90 r. życia zrodził Kainana i t. d. Po Abrahamie już nie ma takich wskazówek; są jednak inne.

Tak np. wiemy z listu do Galatów III. 17, że między przymierzem, które Bóg dał Abrahamowi (Gen. XV.), a ogłoszeniem zakonu

na górze Synaj, upłynęło lat 430. Powszechnie i nie bez podstawy, przyjmują chronologowie, że połowę tej cyfry (lat 215) należy odciąć na czas przebywania Izraelitów w Egipcie; więc r. 215 przed exodem jest datą wejścia do Egiptu. Od exodu: do rządów Jessego upłynęło lat 300 (Jud. XI. 25); do końca rządów Samuela lat 450 (Act. XIII. 20); do Salomona zaś lat 480, (III. Reg. VI. 1), i t. d. Nie są to cyfry ścisłe; zawsze jednak pozwalają zorientować się w datach, byle mieć datę wyjścia.

Gdybyśmy ją zdobyli i na pewno oznaczyli, mielibyśmy zarazem określoną datę mnóstwa faktów drobniejszych; bo i te w Piśmie św. są podobnie oznaczone jak epoki wyżej wymienione.

Mojżesz np. w 40 roku życia opuścił dwór króla egipskiego (Act. VII. 23), w 80-tym wyprowadził swój naród z Egiptu, w 120-tym umarł; w rok niespełna Jozue wprowadził żydów do Chanaanu. Mielibyśmy więc datę narodzenia i śmierci Mojżesza i t. d.

Ale w tem właśnie sęk i najtwardszy do zgryzienia orzech, żeby oznaczyć: kiedy Izraelici wyszli z Egiptu?

Pomimo wszystkich mniej, lub ściślej naukowych wywodów data *quaestionis* nie jest oznaczona; przynajmniej żadne oznaczenie nie może się poszczycić nawet moralną pewnością. Co się który z chronologów porwie na to zadanie, przychodzi do przeświadczenia, (on sam tylko!) że jego rozwiązanie jest jedynie prawdziwem, jedynie pewnem, pewnością, jaką najściślejśza nauka dać może, i na tem się cała rzecz kończy. Nazajutrz zjawia się drugi badacz, krytykuje poprzednika; z równą pewnością stawia swoje rozwiązanie, i znów znika i t. d.

Nie szukając dalekich czasów, przed laty około 40, uczony egiptolog, Gustaw Seyffarth stanowczo twierdził, że datą exodu jest rok 1867 przed Chr. i to popierał astronomicznymi wywodami (ob. jego *Chronologia Veterum, Berichtigungen der röm. griech. etc. Zeitrechnung*, 1885, strzeszczenie dawniejszych jego badań); podczas gdy egiptologowie przyjscie 19-tej dynastyi w Egipcie do władzy¹ naznaczają w r. 1585, 1473, 1395, 1230 przed Chr. i t. p. Dziś Seyffarth poszedł w zapomnienie i nikt nań prawie nie zważa.

¹ Powszechna jest zgoda; że Izraelici wyszli z Egiptu za panowania dynastyi 19-tej.

W ostatnich latach Eisenlohr (*Der grosse Papyrus Harris*, 1872) utrzymywał, że za r. 1340, jako datę exodu, ma dokument egipski, współczesny Mojżeszowi. I on też poszedł w zapomnienie, prędzej niż się spodziewał.

Dziś przychodzi nam do rzędu planów chronologicznych do rzucić opinię Mahlera.

„Opinię“?... Nie... — zastrzega z góry Mahler; — Ja, — mówi, — podaję datę nieomylną: „*ist das von mir für den Auszug der Israeliten aus Aegypten aufgestellte Datum ein unumstösslich sicheres geworden*“ (Bibl. chron. 23).

To datum jest: 27 marzec (14 Nisan) roku juliańskiego 1334 (1335) przed Chr. Dowód: bo 13 marca t. r. było w północnym Egipcie, jak tablice astronomiczne pokazują, całkowite zaćmienie słońca i to zaćmienie jest też zapisane w Exodzie X. 21. Za tem idzie, że przymierze dane Abrahamowi (Gen. XV.), odnieść trzeba do 1764 r. przed Chr. Data jest pewną nie tylko dla tego, że tralecy liczy lat 430 między owem przymierzem, a exodem, ale więcej jeszcze dla tego, że astronomia ją potwierdza. Jakim sposobem? — spyta exegeta. Takim, — odpowiada Mahler, — że Gen. XV. opowiada o zaćmieniu słońca, które towarzyszyło przymierz; a tablice astronomiczne wykazują, że właśnie 10 paźdz. 1763 (1764) było całkowite zaćmienie słońca, które w najwyższej fazie dochodziło do 11.5 cali dla ziemi Chanaan, tak iż można było w dzień widać gwiazdy. Według Mahlera, były jeszcze zaćmienia słońca: a) kiedy Jakób udawał się do Labana, 17 lut. 1600 r., b) kiedy wracał stamtąd, 30 maja 1580; c) kiedy Jozue wyrzekł: *Sol contra Gabaon ne movearis, et luna contra vallem Ajalon*, 31 stycz. 1295. O pierwszym zaćmieniu świadczy Gen. XXVIII. 11; o drugim Gen. XXXII. 32; o trzecim Joz. X. 12.

Przechodząc do czasów królewskich historii św., autor znów upatruje zaćmienia: w cofnięciu cienia na zegarze Ezechiasza (Izaj. XXXVIII. 8. IV. Reg. XX.), 17 czerw. 678; — w Izaj. XVI. 3. d. 11 stycz. 688 r. i t. d. Wypisawszy daty, jakie znajdują się w rachunkach astronomicznych, autor bierze na pomoc wskazówki chronologiczne biblijne, kombinuje je z datami astronomicznymi i ustanawia chronologię całego okresu dziejów, od przymierza Abra-

hamowego aż do niewoli babilońskiej. Chronologię przed-Abrahamową nie zajmuje się wcale.

W drugiej części *Bibl. Chronol.* (s. 63—204) znajduje czytelnik wiadomości o obecnym kalendarzu żydowskim i jego dziejach, oraz tablice różnego rodzaju do tegoż kalendarza, lecz i dla chronologów nie są bez interesu. Taką jest treść książki Mahler'a, p. t. *Bibl. Chronologie*.

Widzieliśmy, co on o swoim obrachunku trzyma: że jego data eksodu jest *unumstösslich sicheres*. Pozazdrościć takiej pewności siebie w takiej nauce jak chronologia biblijna, jeżeli się rzecz naukowo traktuje, pewność jest dotychczas nie znana. Można tylko mówić: „w przybliżeniu“, lub „prawdopodobnie“, albo „najprawdopodobniej“ (to ostatnie nie da się zastosować nigdy do niektórych dat) „około r.“, lub t. p.

Kto dalej idzie, dopuszcza się... jakby to nazwać?... krańcowej subiektywności. Nadto zdradzał gruntowną, nie... naukę, ale niezajomość poprzedniej literatury w tej materii (cf. co mówiliśmy wyżej o Seyffarce). Do takiego przypuszczenia upoważnia sam Mahler. Przyznaje się on bowiem, że np. o okresie gwiazdy Syrjusz, (obejmuje lat 1461) która była znaną starożytnym Egipcyanom pod nazwą *Sothis*, dowiedział się dopiero wtedy, gdy książka jego była w druku!! „*Es war nach Vollendung des Werkes, der Druck war schon im besten Gange, da ist es mir gelungen, meine Untersuchungen auch von anderen... Gesichtspunkten aus zu beleuchten, und ich will hier die bezüglichen Betrachtungen folgen lassen*“ — mówi autor (s. 56) i podaje o okresie *Sothisa* wiadomości.

Trudno mi było uwierzyć, żeby ten, który tak odważnie, nie obawiając się (jak zaraz obaczymy) *Faustballu* — który z taką pewnością wojuje rachunkami astronomicznymi, nie wiedział o tem, co w dziedzinie egiptologii elementarną jest i oklepaną wiadomością, i co zresztą nie z egiptologii, lecz z astronomii, lub z podręczników chronologicznych powinno mu być wiadomem. Jednakże w obec powyższych własnych słów autora wątpić nie wolno.

Subiektywność swoją posuwa M. aż do śmieszności. Jest on np. najmocniej przekonany, że pierwszy występuje ze swą metodą; że występuje w imię „postępu“, w imię „wiedzy“; że spotka opo-

zyceę silną, która go, jeśli nie na męczeństwo, przynajmniej na... bokswanie (Faustball) skaże! (obacz przedmowę w *Bibl. Chron.* s. XI, XII). Za przykładem więc panegirystów dawniejszych, którzy epilog jakiś złośliwemu Zoilowi rzucali w twarz, nasz autor zastrzega się, że jest nieuleknionym wobec *Schiele Augenmancher Theologen* (s. XI).

Walka to Don Quichotté'a z wiatrakami.

P. Mahler ani *Schiele Augen*, ani *Faust-ball'u* niech się nie spodziewa za swoje *Idee* od teologów. Z góry powiedzieliśmy, że co do pierwszych epok świata można szafować tysiącami, później setkami lat. Mahler pozwala sobie różnić się np. od Seyffartha o 500, od innych o 400, o 200, o 100 lat.

Niech się różni. Dla każdego teologa jest to rzeczą obojętną. Dziś patrzę na jego projekt prostem okiem obojętnem, jutro wcale nie.

Wiem, że kto inny przyjdzie i jeszcze lepiej udowodni inną datę, którą również do wiadomości przyjmujemy, ale nie do dogmatów naukowych. Za co więc miałby mu kto pięściami grozić?

Za r. 1334 jako datę Eksodu?... Z pewnością nie. Za „idee“ jego?... Także nie.

„Idee“ jego, jak i system, nie są wcale nowymi. Mahler jest racjonalista; Pismo św. poczytuje za dokument historyczny, wiarogodny, ale je przekręca i nie wierzy. Czy to nowość? — Żadna. Jest to nielogiczność, wrodzona racjonalistom, a Mahler mógłby chyba od nich dostać „pięścią“, gdyby się przeciw owej nielogiczności oświadczył. Skoro się zaś nie oświadcza, — obawa *Faustballu* próżna. Zobaczymy tę nielogiczność w całej pełni niżej.

Mahler rozumuje w ten sposób:

a) zaćmienie słońca centralne dla dolnego Egiptu było 13 mar. 1334 r. przed Chr.

b) Do tego zaćmienia odnosi się opowiadanie Exodi X. 21...

c) Wniosek stąd: Więc Izraelici wyszli z Egiptu w r. 1334, w 2 tygodnie po zaćmieniu, tj. 27 marca, jak o tem świadczy i Exod I. c. i talmuldyczne tradycje.

Nie myślimy wcale przeczyć pierwszego punktu; wierzymy nawet, że tak było. Ale czy między tem zaćmieniem a opowiadaniem Exod. I. c. jest jaki związek synchronistyczny — na wniosek

zgoda — jeżeli nie, — wniosek błędny, a przeto data nie jest *unumstösslich sicher*.

Jakiż jest związek między zaćmieniem, które według tablic astronomicznych wypadło 13 mar. 133 r., a Exodus X. 21...?

Tekst biblijny mówi: „I rzekł Pan do Mojżesza: Wyciągni „rękę twą ku niebu, i niech będą ciemności na ziemi egipskiej tak „gęste, żeby się ich można było dotykać. *I wyciągnął Mojżesz „rękę ku niebu i stały się ciemności* straszliwe po wszystkiej ziemi „egipskiej *przez trzy dni*. Żaden nie widział brata swego, ani się „ruszył z miejsca, na którym był. *A gdziekolwiek mieszkali syno- „wie Izraela, była światłość*“.

Tekst jest jasny. Choćbyśmy nie wiedzieć w jaki sposób dzielili go i wykręcali, zawsze wypadnie, iż autor chciał przedstawić:

a) że ciemności przyszły nagle *za wyciągnięciem ręki przez Mojżesza*;

b) że były nadzwyczajne, bo ludzie nie mogli widzieć się wzajemnie;

c) że trwały *te ciemności przez trzy dni* i przerwały wszelką komunikację między ludźmi;

d) że ogarniały Egipt, przynajmniej północny, gdzie Mojżesz rokował z Faraonem; a jednak nie ogarniały mieszkań Izraela.

Jaki tu związek z zaćmieniem słońca?

a) Zaćmienie nie przychodzi *odrazu*, ani *za wyciągnięciem ręki*, i Mahler'owi gdyby wyciągnął rękę z chwilą, jak się rozpoczyna zaćmienie, pierwiejby ręka pewno zwiśla, niżby przyszły ciemności *zupełne*.

b) Chociaż słońce *całkowicie* zasłoniętem zostanie, ciemności nigdy nie bywają tak grube, iżby człowiek nie mógł widzieć człowieka. Historia nie zna tak wielkich ciemności; żyją też ludzie, którzy pamiętają całkowite zaćmienia (1852, 1887), a ciemności takich nie widzieli.

c) Wprost niemożliwem jest wierzyć, żeby *zaćmienie* trwało aż trzy dni.

d) Zaćmienie słońca nie czyniłoby żadnej różnicy między miejscami zamieszkanymi przez żydów, a miejscami zamieszkanymi przez Egipcyan.

Autor więc Pentateuchu opowiada o jakichś nadzwyczajnych

ciemnościach, ale nie o zaćmieniu; M. przeto niesłusznie go przytacza na poparcie zaćmienia z 13 marca 1334, i z tablicą astronomiczną wjeżdża do Exodus X. 21...

Na tem moglibyśmy zakończyć całą rozprawę z autorem, gdyby on był poprzestał na prostem twierdzeniu, iż jego zdaniem, zaćmienie słońca z d. 13 marca 1334 r. jest identycznym faktem, opisanym przez autora Pentateuchu.

Lecz M. nie poprzestając na wyrażeniu swej opinii co do identyczności, posuwa się dalej. Uduje, że całe opowiadanie Exodus X. 21... przyjmuje na seryo, literalnie; że uznaje je za rzetelne w szczegółach, ale tłumaczy tak, aby cudowność usunąć. W cud nie wierzy i w autora Pentateuchu wmawia, jakoby opisywał nie więcej, prócz całkowitego zaćmienia słońca.

Ciemności więc, według Mahler'a, spadły na Egipt 13 marca 1334, ale one pochodziły z zaćmienia.

— Przecież powie każdy człowiek logiczny — zaćmienie nie trwa przez trzy dni, ani nie sprawia tak wielkich ciemności, żeby człowiek nie widział człowieka; ani nieczyich domów nie oszczędza, jak owe ciemności egipskie! Więc chyba autor Pentateuchu nie mówi prawdy; chyba udaje!

— Nie, — odpowiada Mahler; wszystko, co mówi Exodus X. 21... jest prawdą, tylko trzeba wziąć na delikatny rozum.

I tak: Exodus mówi o ciemnościach, że przez trzy dni „za-
den nie widział brata swego, ani się ruszył (hebr. *ani wstał*)
z miejsca, na którym był“. To nie znaczy, żeby ciemności trwały przez trzy dni; lecz że zaćmienie, które było całkowitem, tak okropnym strachem przejęło ludność, iż nikt nie śmiał się ruszać i przestrach trzymał wszystkich w domu przez *trzy dni* (zapewne też pochorowali się w skutek przestrachu i dla tego nie mogli opuszczać domu); dla tego przestali się widywać ludzie przez ten czas.

Dla historyi nie jest obce takie przerażenie, tłumaczy M. (s. 8—9). Wiadomo, że raz gdy wojska lydyjskie i medyjskie stanęły naprzeciw siebie nad rzeką Halys, niedaleko Cezarei kappadockiej gotowe do boju, przyszło zaćmienie całkowite słońca (cali 11, 87 dla Cezarei, ob. naszego autora *Untersuchung...* s. 3, 7.) Wojska tak się przeraziły, że odeszła ich ochota do boju i wo-

dzowie musieli się pogodzić. Działo się to 28 maja r. 584 (585) przed Chr. Czy przez trzy dni trwały skutki przestרחu, jak w Egipcie? — tego autor nie wyjaśnia. „A gdziekolwiek mieszkali „synowie Izraelowi, była światłość“ — mówi tekst biblijny.

M. tłumaczy (*Bibl. Chron.* s. 9), że w ziemi Gessen, gdzie mieszkali Izraelici, zaćmienie wynosiło tylko 11 cali, więc tarcza słoneczna, chociaż nie wiele, była widzialna.

Tym sposobem M. niby nie ubliża Biblii, bo przyznaje jej przynajmniej wartość dokumentu wiarogodnego, ale to tylko w teorii, faktycznie zaś i wiarogodność obala i egzegezą swoją przeciw logice grzeszy i z tego powodu sam z sobą pozostaje w sprzeczności.

My, przyjmując opowiadanie Pentateuchu, jako całkowicie prawdziwe, widzimy w Exodzie X. 21, ciemności zesłane nadprzyrodzonym sposobem przez Boga czyli cud. Twierdzimy, że autor chciał przedstawić i przedstawił fakt, jako cudowny, jak widać z jego słów.

I każdy kto uznaje Pentateuch za księgę, choćby historyczną tylko, ale poważną i wiarogodną, kto się na nią powołuje, jako na dokument historyczny (tak czyni Mahler), przyznać powinien, że Mojżesz opisując ciemności owe, chciał opisać nie zaćmienie, lecz cud.

Niech sobie Mahler wierzy w cuda, lub nie wierzy; to jego rzecz osobista. Nie tylko *Faustballu*, ale nawet argumentu żadnego nie użyję przeciw niemu. Nie rozprawiamy tu o cudach.

Również nie będziemy dowodzili, że Mojżesz jest autorem Pentateuchu i że ta księga, jak wszystkie księgi kanoniczne, ma boską powagę.

Czy Mahler to uznaje, lub nie uznaje, do rzeczy nie należy. Księgi św. ani od wierzących, ani od racjonalistów otrzymały powagę swoją; one z tą powagą przyszły do nas; nasze więc uznawanie nic im nie doda, nieuznawanie nic nie ujmie.

Mówmy po racjonalnemu. Czy Pentateuch jest księgą historyczną i wiarogodną? Czy autor jego opowiada na seryo, jako historyk? Czy opowiadanie Exodu X. 21, jest historyczne?

Mahler tem samem, — że rachunek astronomiczny wtrąca i nim objaśnia ciemności egipskie, — uznaje, iż Pentateuch przy-

najmniej w danem miejscu jest świadectwem historycznem; uznaje nadto rzetelność co do szczegółów. A w tem właśnie spoczywa największa jego nielogiczność.

Przypatrzmy się temu lepiej. Według Mahlera, autor Penta-teuchu opisuje fakt rzeczywiście, ciemności egipskie.

Dajmy, że to zaćmienie. Jeżeli tedy w chwili exodu było zaćmienie słońca, nie ciemności nadzwyczajne, nie wspólnego z zaćmieniem nie mające, to wypada, że Mojżesz niczem innem nie był, tylko prostym kuglarzem.

Wie on, jako dobry astronom, że zaćmienie nastąpi; zapowiada przeto, iż za wyciągnięciem ręki ciemności straszliwe opadną Egipt.

Gdy chwila zaćmienia nadeszła, on z zegarkiem (czemuż na ten anachronizm nie pozwolić sobie?) wychodzi z domu, staje przed Faraonem i mówi: „Najjaśniejszy Panie! skoro nie chcesz nas wypuścić, ciemności pochwyć i W. K. Mość i całe królestwo!“ Tu wyciąga rękę w chwili właśnie, gdy cała tarcza słoneczna zaszła.

Według Mahlera nie można sobie inaczej przedstawiać owej chwili. Niech tak będzie!

Przypomnijmy sobie jednak, co było na kilka tygodni pierwszej, przed owem mniemanem zaćmieniem, kiedy Mojżesz z Aaronem pierwszy raz stanęli przed I. K. Mością: rzucili laskę i obrócili się w węża.

Czy myślicie, że Faraon zdetonował się? Bynajmniej. — „Kuglarze... — odrzekł, — ja wam lepsze sztuczki pokażę! Zawołaj mi tu Jannesa i Jambesa!“

Nadworni czarownicy i magowie stanęli. Król nie pyta: czy potrafcie to samo zrobić? — bo z góry jest przekonany, że zrobią co będzie polecane. Mówi więc: „Pokażcie taką sztukę, jak te dwa żydki!“

Czarownicy rzeczywiście porzucali swoje laski i obróciły się w smoki (zapewne w rodzaju jaszczurek latających).

Mojżesz i Aaron ze strachu byliby uciekli, lecz ich wąż wybawił z kłopotu; pożarł smoki. (Exod. VII. 8—12).

Nie długo potem, kiedy za uderzeniem laski Mojżeszowej powstały mszyce (Exod. VIII. 16...) Faraon kazał nadwornym czarownikom to samo uczynić. Oni jednak nie mogąc tego dokazać

jęli tłumaczyć, że to cud. *Digitus Dei est hic*. Wtedy Faraon, jako racjonalista, krzyknie na nich: „Osły jesteście! Nie znacie „nie fizyki, ani chemii i tłumaczycie cudem!... Precz mi z oczu! „Ja nie znam żadnego Pana Boga!“

Tego „pożegnania“ wprawdzie nie ma w Pentateuchu, ale wypływa ono z natury rzeczy, z systemu racjonalistycznego, na którym stajemy razem z Mahlerem. Autor Pentateuchu opuścił je, bo do rzeczy nie należy.

Odpowiedź jednak: „nie znam żadnego Pana Boga“ — jest ściśle historyczną (ob. Exod. V. 1—2), równie jak i akcyje: z wężem, smokami, mszycami. Opowiada o nich ta sama księga, na której świadectwo powołuje się Mahler, aplikując zaćmienie słońca do Exod. X. 21...

Mahler więc przyznać musi, że Faraona nie można było wcale wywieść w pole. Czarownicy nadworni przyznawali cud, a on pozostał niewzruszony! „I zatwardziało serce Faraonowe, i nie posłuchał ich“ (Exod. VIII. 19). Pana Boga nie uznawał, w interwencyę nadprzyrodzoną nie wierzył. Był to czystej wody racjonalista. Czyż w obec tego Mojżesz śmiałyby udawać zaćmienie za ciemności cudowne?

Mojżesz był biegłym astronomem, mówią racjonałiści. My się z nimi najzupełniej zgadzamy pod tym względem; dodamy jeszcze, że i wiedzę astronomiczną i inne, otrzymał na dworze królewskim, od mistrzów Egipcyan, nie z natchnienia Bożego. Jeżeli tedy Mojżesz wiedział, że dnia 13 marca o pewnej godzinie nastąpi zaćmienie słońca, to wiedział nie skądinąd, tylko od mistrzów swoich, uczonych Egipcyan. A czy sądzicie, że ci mistrzowie mniej umieli od swego ucznia? Mahler przynajmniej nie może ich posądzać o to, skoro, jak sam przyznaje, o okresie gwiazdy Syryusza dowiedział się po wydrukowaniu połowy swej książki; podczas gdy Egipcyanie znali ten okres na kilka tysięcy lat przed Mahlerem, przed jego *Biblische Chronologie*!!... w której *unumstösslich sicheres Datum* exodu ustanowił! Ktoby zresztą odmawiał Egipcyanom głębokiej wiedzy w astronomii, w matematyce, mechanice i in., narażałby się na *Faustball*, nie od *manche Theologen*, ale od egip-tologów, od inżynierów i t. p., którzy na miejscu badali pomniki egipskie. Wszysey oni podziwiają budowniczych i artystów egip-

skich; odzywają się nie inaczej, jak z uwielbieniem o ścisłości w obliczaniu, o symetrii wymiarów, o przezorności, z jaką brali w rachubę wszelkie ewentualności możliwe, o pokonywaniu mechanicznych trudności i t. p., a to właśnie w czasach poprzedzających epokę wyjścia Izraelitów, nie w czasach po-Mojżeszowych.

Przy takich koniunkturach czy możliwe jest udawanie zaćmienia słońca za ciemności cudowne?

Możliwe byłoby jako tako w obec ciemnego ludu, który nie słyszał, iż nastąpi zaćmienie. Lecz Mojżesz z Faraonem ciągle ma do czynienia.

Według exegezy Mahlera tedy Mojżesz staje przed Faraonem w chwili, gdy zaćmienie ma się rozpocząć, wyciąga rękę i udaje, że na jego rozkaz ciemności przychodzą.

Znając już Faraona, jako niedowiarka i racjonalistę, wiedząc że na dworze swoim posiadał urzędowych czarowników, czytelnik może naprzd przewidzieć odpowiedź J. K. Mości. Przy wielkiem wysilaniu się na zimną krew i na grzeczność mógłby tylko odezwać się w te mniej więcej słowa:

„Mój Mošku! Za nadto pozwalasz sobie drwić ze mnie. Wszak wiesz, że astrologowie moi dawno przepowiedzieli to zaćmienie, a ty udajesz, że sam sprowadzasz ciemności. Patrz przecie; widzisz, jak one już znikają“ (bo tymczasem tarcza słoneczna już się odsłania.) To byłaby najlaskawsza odpowiedź i najmniej spodziewana; prędzej należało się spodziewać, że Faraon ucieknie się do *Faustballu*. Że się nie uciekł to chyba cudo. Cud cierpliwości, do jakiej samowładni despoci wschodni nie są zdolni.

Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, zamiast odpowiedzi, której należało się spodziewać, bo ona logicznie wypada z toku rzeczy, Faraon przestraszył się okropnie; lud egipski jeszcze bardziej. Mahler to przyznaje i słusznie popiera tekstem biblijnym, najmniejszej w tem przesady nie widząc, żeby przestach trzymał wszystkich aż przez trzy dni w domu. Owszem na dowód, że takie przerażenie jest wiarogodnem, przytacza fakt nad rzeką Halys.

Zaćmienie jednakże nie jest dostatecznem, do wytłumaczenia trzechniowego rzekomego strachu.

Nad rzeką Halys prawdopodobnie astronomów nie było; zaćmienie więc dla wojska i wodzów było niespodzianem; stąd poszło

przerażenie. W Egipcie rzecz inna. Skoro Mojżesz wiedział, iż zaćmienie przyjdzie, to pierwaj i lepiej od Mojżesza wiedzieli astrologowie nadworni Faraona. Tego Mahler nie może zaprzeczyć, jeżeli chce, żebyśmy przez ciemności rozumieli zaćmienie. A choćbyśmy pozwolili nawet: że Mojżesz był lepszym astronomem od astrologów Faraonowych; bo on obliczył czas zaćmienia, którego astrologowie się nie spodziewali; nie naprawimy sytuacji i przestraszu trzechdniowego nie usprawiedliwimy.

Zmieni się tylko nieco odpowiedź Faraona. Zamiast: *Mój Mośku i t. d.*, Jego Kr. Mość zostaje zdumiony głęboką wiedzą astronomiczną interpellanta swego; woła hof-astrologów i poczynaj im prawić grzecznie (niegrzecznie byłoby pościnać ich): że są głupimi osłami, że nie nie umieją, że ich rozpędzi na 4 wiatry i t. p., skoro nie ostrzegli o mającem nastąpić zaćmieniu.

Zanim się ta perora skończyła, zaćmienie przejść musiało. Z natury rzeczy wynika i zdrowy rozum nie może inaczej myśleć, jak tylko, że z przejściem zaćmienia zaczął ustępować strach. Faraon się udobruchał i zapewne odprawił Mojżesza. Odpowiedź, którąśmy przytoczyli wyżej: „*Mój Mośku! zanadto pozwalasz sobie drwić*“ i t. d., trzeba zmodyfikować w ten sposób: „*Dzielny, z ciebie astronom, panie Mojżeszu! Te... (tu wskazuje na hof-astrologów) osły nie nie umieją. Gdyby nie twoja wiedza, nie uszłyby ci plazem drwiny, których się dopuściłeś, udając zaćmienie za jakieś ciemności cudowne. Ubieraj się precz!*“ Wszak taki przebieg jest naturalny i jedynie racjonalny, wśród okoliczności przytoczonych, jeżeli nie chcemy ciemności egipskich uznać za cudowne zjawisko, ale razem z Mahlerem tłumaczymy je zaćmieniem. Tymczasem Mahler każe nam wierzyć, że po zaćmieniu strach nie ustąpił wcale, owszem przez trzy dni trzymał wszystkich Egipcyan w domu!

A czy to nie jest cud? Czy jest możliwem, mówiąc po ludzku, po racjonalnem, żeby po zaćmieniu słońca tak zgłupiał Faraon, zgłupieli astrologowie, zgłupieli wszyscy Egipcyanie w całym kraju, iż przez trzy dni nie śmieli wychodzić z domów swoich? Moglibyśmy pozwolić, że z przestraszu zachorowało, owszem nawet na śmierć się zastraszyło tysiące ludzi, ale takiego strachu, żeby aż przez trzy dni trzymał ludzi na uwięzi, nikt do głowy przy-

puścić nie może, chyba by uwierzył w cud. Jeżeli przeto owe ciemności, które zalały Egipt po wyciągnięciu ręki przez Mojżesza nie były cudem i to cudem trwającym przez trzy dni, to musimy przyjąć cud inny, a z tłumaczeniem racjonalistycznym zgodny: że na słowo człowieka-kuglarza, (innej roli w racjonalistycznym systemie nie można Mojżeszowi naznaczyć), udającego, że sprowadza ciemności cudowne, wszyscy w całym kraju, pomimo, iż zaćmienie przeszło, pozostawali przez trzy dni pod wpływem niewypowiedzianego i nigdy niepraktykowanego strachu (przynajmniej historia nie przechowała nam podobnego faktu)!

Czy to nie cud? Niech sobie weń wierzy Mahler, nasz rozum teologiczny musi, jak od oszukaństwa odwracać się od niego.

Racjonalistycznie zaś rzecz uważając, nie możemy inaczej sądzić, tylko, że jak Mojżesz drwił z Faraona, gdy (według Mahlera) udawał zaćmienie za cudowne ciemności, tak Mahler drwi z nas, utrzymując, iż rzekome szarlataństwo Mojżesza sprawiło taki cudowny skutek, trzechdniowy strach, ogarniający wszystkich ludzi całego kraju.

Wszystkich?... Nie; bo „nasi“ nic się nie bali; dla „naszych“ była jasność. Tak twierdzi Exod. X, 23 i Mahler przyznaje. Tłumaczy on, że jeżeli geodezyjne centrum zaćmienia było w Egipcie dolnym, to w ziemi Gessen w najwyższej fazie zaćmienia to samo dochodziło do cali 11 (*Bibl. Chron.* s. 9); więc słońce nie było zupełnie zaćmione i Żydowie mogli nie mieć obawy takiej, jaka gojów opanowała.

I tu tłumaczenie nie jest zadowalniające.

Mahler wie, że podczas przymierza Abrahamowego, 10 X 1763, zaćmienie w ziemi Chanaan dochodziło do cali 11.5 (*ibid.* str. 11); zaćmienie nad Halys, do cali 11.87 dla Cezarei. A przecież Abraham widział gwiazdy wszystkie, jak w noc najlepszą; nad Halys wojsko, odważnych rycerzy odbiegła ochota do boju! Skąd więc „naszym“ taka odwaga się wzięła? 11-calowe zaćmienie nie jest tu dostateczne. Trzeba albo przyjąć, że ciemności egipskie były cudem, jak chce literalnie Exodus X, 21 i dlatego także przez cud nie dotykały ziemi Gessen; albo zupełnie odrzucić nawet zaćmienie i wcale na Pentateuch się nie powoływać. To jest jedyne racjonalne wyjście ze wszystkich trudności, jakie racyona-

listyczna egzegeza nagromadza; jedyna logiczna konsekwencya, do której ten system doprowadzić winien. Wymaga tego i racjonalna krytyka historyczna.

Pentateuch i inne księgi św. albo są dokumentem przynajmniej historycznym, który nas doszedł w całości, bez skażenia co do treści — albo nie.

Jeżeli tak, bierzmy świadectwo tego dokumentu, jak ono jest, nie wykręcajmy, podsuwając mu swoje subiektywne pojęcia, np. w danem miejscu nie podsuwajmy zaćmienia, dla tego że w cuda wierzyć nie chcemy.

Jeżeli zaś twierdzenia ksiąg św. uważamy za przeciwne zdrowemu rozumowi (właściwie racjonalizmowi) np. w miejscach gdzie jest mowa o cudach, — to uznajmy przynajmniej te miejsca nie zasługujące na wiarę i nie powołujmy się wcale na nie. *Sint, ut sunt, aut non sint.*

W danym wypadku, jeżeli przyznajemy, że autor Pentateuchu jest historykiem poważnym i na wiarę zasługuje, gdy opowiada o ciemnościach, o przestraszu Egipcyan i o jasności w miejscach, w których przebywali żydzi (Mahler to wszystko przyznaje), przyznajmy także, że on to wszystko poczytuje za cud. Jeżeli zaś tego przekonania autorowi Pentateuchu odmawiamy, to konsekwentnie musimy twierdzić:

1) że sam nie wierząc w cud, udaje zaćmienie za cud; więc żartuje z czytelnika, nie mówi poważnie, jeszcze więcej szydzi;

2) gdy według tłumaczenia Mahlera, opowiada o strachu przez trzy dni;

3) gdy każe mieszkańcom Izraelitów pozostawać w jasności i bez przestraszu.

A czy takie żartowanie z powagą historyka licuje? Czy można powoływać się na świadectwo, o którym wiemy, że go na serio brać nie można?

Niechaj więc Mahler wierzy sobie, iż podczas exodu było w Egipcie zaćmienie słońca; niechaj je popiera rachunkami astronomicznymi; ale w takim razie na Pentateuch niechaj nie zwraca uwagi. Ten bowiem, mówiąc z jego racjonalistycznego stanowiska, prawi rzeczy nieprawdopodobne; i w tem opowiadaniu traci wartość historyczną; według zaś nas, którzy wierzymy w interwencję

Bożą, — mówi — o cudach, i we wszystkich szczegółach na bezwzględna wiarę zasługuje, której racjonalistyczna exegeza nie obali.

Przechodzimy do drugiej pracy Mahlera: *Untersuchung* etc.

Rok zburzenia Niniwy jest niepewny. Przebiegnijmy kolejno wypadki, jak je przedstawiają historycy klasyczni i wschodni: Herodot, Xenofon, Ktezjasz, Berossus.

Przeciw Niniwie wyprawił się Fraortes, król Medów (panował 655 – 634 przed Chr.), biblijny Artaxad (Judith I. 1.), lecz zginął pod jej murami. Niniwa trzymała się mocno. Syn Fraortesa Cyaxares, chcąc pomścić śmierć ojca, obległ stolicę asyryjską w początkach swego panowania, więc około r. 630, lecz nie dopiął celu. Państwo jego, co do obszaru większe od asyryjskiego, rozciągało się bowiem za Tygrem i dotykało trzech mórz: Perskiego, Kaspijskiego i Czarneho, obejmując Persyę, Medyę, Armenię, Kappadocyę, najechali Scytowie. Cyaxares musiał zaniechać oblężenia i bronić się przeciw najeźdźnikom, którzy podobno przez 28 lat trzymali w szachu prawie wszystkie jego siły. Wreszcie Scytowie przeszli, czy sfołgowali, tak iż Cyaxares mógł z innymi nieprzyjaciółmi prowadzić wojnę. Od północno-wschodniej strony zaczepionym on został przez Alyatesa, króla lydyjskiego; musiał więc podążyć do Kappadocyi, żeby wyprzeć stamtąd Lydów. Nie daleko od miasta Mazaki (późniejszej Cezarei kappadockiej), nad rz. Halys (Kisil Irmak) stanął ze swoim wojskiem naprzeciw obozu nieprzyjacielskiego. Bitwa miała się wnet rozpocząć; lecz przyszło zaćmienie słońca, według Herodota tak silne, że dzień zdawał się być nocą. Przerażenie ogarnęło wszystkich; żołnierzy opuścił zapal wojowniczy i wodzowie musieli sobie podać ręce.

Do zgody przyłączył się Nabopolassar, wielkorządca Babilonii.

Babylonia podówczas należała do monarchii assyryjskiej, lecz dążyła do wybicia się z pod tego jarzma. Nabopolassar oddawna nad tem pracował i wszystko przygotowywał w cichości; wiedząc, jaką nienawiścią Cyaxares pałał ku Niniwie, postanowił z niej korzystać do swego celu i teraz gdy miał ręce wolne, wciągnąć go wraz z królem lydyjskim do wojny przeciw Asyrii.

Stała tedy między trzema królami koalicja. Nabopolassar, żeby ją umocnić, syna swego Nabuchodonozora ożenił z córką Cya-

xaresa Amytą (Amytis). W rok po spotkaniu nad Halys nastąpiło oblężenie Niniwy. Trwało ono, według Ktezjasza, przez 3 lata i zakończyło się zdobyciem i zupełnem zniszczeniem światowładnej stolicy. Takim porządkiem szły wypadki. Idzie teraz o naznaczenie każdemu właściwej daty.

Ptolomeuszowy kanon królów babilońskich jest do dziś dnia dobrą pod tym względem wskazówką; ani znane skądinąd wiadomości, ani najnowsze odkrycia nie osłabiły jego wartości (ob. *Delattre, Le peuple et l'empire des Mèdes*, Bruxelles 1883, s. 180). Opierając się jedynie na astronomicznych obliczeniach, chronologowie dotychczas powszechnie utrzymują, że zaćmienie słońca, nad rz. Halys było 30 wrześ. juliańskiego roku 609, (rzeczywiście 610) przed Chr., i według niego oznaczają daty. Więc utrzymują, że oblężenie Niniwy nie nastąpiło wcześniej, jak na wiosnę r. jul. 608 (609), a skończyło się po 3 latach tj. r. jul. 605 (606) całkowitem jej zburzeniem.

Tak wypada z rachunków astronomicznych. Kombinacye synchronistyczne, jakie można wyprowadzić z opowiadań historyków, albo mało, albo wcale od powyższego rezultatu się nie różnią: z nich bowiem wypływa, że Niniwa zdobytą została między r. 610, a 595, (ob. *Delattre*, l. c. 183), niektórzy zaś utrzymują, że r. 620. Kombinacye te usiłuje obalić Mahler i na ich miejsce stawia nową także na rachunkach astronomicznych opartą.

Twierdzi on, że zaćmienie nad Halys 30 wrześ. 610 r. nie może być brane za podstawę; jest one zbyt małym, żeby dzień wydawał się nocą, jak opowiada Herodot; więc i na wojsku nie mogło uczynić takiego wrażenia, żeby je ochota do walki odbiegła. W największej swej fazie zaćmienie r. 610 nad Halys i w Cezarei mogło wynosić cali 8.1. Większe, bo prawie całkowite dla tychże miejscowości było zaćmienie 28 maja r. jul. 584 (585), dochodzące w najwyższej fazie do cali 11.87; wtedy rzeczywiście dzień musiał się wydać nocą i przerazić wojsko, innego, tak wielkiego dla Cezarei nie było między latami 630, a 562.

Według tego właśnie zaćmienia z r. 585 Mahler każe obliczać datę zdobycia Niniwy. I tak: jeżeli zaćmienie nad Halys było w maju 585 r., to oblężenie Niniwy mogło się zacząć z wiosną r. 584; że zaś trwało lat trzy, przeto skończyło się na wiosnę r. 581.

I tu znów w rachunkach astronomicznych znajduje Mahler poparcie.

Prorok Nahum, przepowiadając upadek Niniwy, mówi (I. 8): „I w powodzi zalewającej dokonanie uczyni miejsca jej (Niniwy), a nieprzyjaciół swych ciemnościami prześladować będzie“ (według hebr.).

Exegeci przez „powódź zalewającą“ rozumieją powszechnie najazd nieprzyjacielski, a przez „ciemności“, klęski; czyli: że Niniwa zalana zostanie przez wojska obce, jakby przez powódź, i że spadną na nią klęski, jakby ciemności nocne. Mahler i „powódź“ i „ciemności“ bierze w literalnem bezpośredniem znaczeniu: że wylew Tygru przyczyni się do zburzenia stolicy i że towarzyszyć mu będzie zaćmienie słońca. Rzeczywiście też w wykazach astronomicznych znajduje się 16 marca r. jul. 580 (581) zaćmienie dla Niniwy cali 7.78, a dla Cezarei nad Halys 6.75. Że zaś to zjawisko natury wypada w cztery lata, po zaćmieniu nad Halys, i że zostawia trzy lata na oblężenie stolicy asyryjskiej, jak chce Ktezasz, więc Mahler do niego odnosi proroctwo Nahuma i naznacza rok 581, jako termin ostatecznego zburzenia Niniwy, zamiast 620 do 595.

Przedstawiwszy rozumowania autora, zobaczmy co o nich trzymać należy. Ze strony dogmatycznej obojętną jest dla nas rzecz, czy Niniwa upadła wcześniej lub później. Nie może też egzegeta mieć za złe tłumaczenia literalnie „powodzi“ i „ciemności“ u Nahuma, jak tłumaczy Mahler. Rachunków i wykazów astronomicznych, któremi autor popiera swoje twierdzenia, i w których pokazuje: kiedy, gdzie, jak długo trwało i jak wielkie było zaćmienie (dla lepszego uprzyśtępnienia dołączone dwie tablice litografowane) — nie kwestyonujemy wcale. Ale czy chronologowie i historycy zgodzą się na przyjęcie rezultatu podanego przez Mahlera, wątpliwy bardzo.

Dotychczasowa rachuba przedstawia wiele trudności. Tak np. według Beroza Chaldejczyka Niniwa zdobytą została przez Nabopolassara i „Azdahaga satrapę Medyi“. Nabopolassar † między r. 607—605. Azdahag widocznie znaczy Astyagesa, który nad Medyą panował 594—560. Więc daty nie zgadzają się. Dla ich pogodzenia historycy muszą Berozowi przypisać omyłkę i wmawiają,

że Azdahag znaczy Cyaxaresa (+ 595) poprzednika Astyagesowego, nie samego Astyagesa.

Mniej trudności przedstawia podanie księgi Tobiasza (XIV. 15 w greckim tekście). Według niej: Tobiasz młodszy doczekał się zburzenia Niniwy, którą zdobyli Nabuchodonozor i Ἀσώρηρος, czyli Asswerus. U Daniela proroka i w księdze Estery pod imieniem Asswera rozumie się nie kto inny, tylko Astyages król Medów (ob. *Encykl. Kośc.* art. Asswer), więc przyjąć należy że i u Tobiasza Ἀσώρηρος znaczy także Astyagesa. Tu już nie ma tej trudności co w podaniu Beroza: Nabuchodonozor objął tron w r. 607—605 i panował przez lat 43; Astyages panował od 594—560. Więc jeżeli poprawiać Beroza, to należałoby Azdahaga zostawić, a za Nabopolassara wstawić Nabuchodonozora, co tem łatwiej przychodzi uczynić, że w kanonie Ptolomeuszowym imię ojca (Nabopolassar), różni się tylko o jedną literę od imienia syna (Nabopolassar-Nabuchodonozor). Tym sposobem przez przyjęcie tekstu Tobiaszowego usunęłaby się sprzeczność. Lecz na nieszczęście pierwotny tekst księgi Tobiasza zaginął; zostały tylko przekłady, które między sobą znacznie się różnią: np. w Wulgacie nie ma tej zapiski, jaką przytoczyliśmy z tekstu greckiego o wzięciu Niniwy. Z tego powodu nie może ona kwestyi rozstrzygnąć.

Mahler tych, ani innych trudności nie usuwa; owszem u niego przybywa jeszcze nowa. Rzeczą jest pewną, że już w r. 594 Cyaxares nie żył, a królem Medów był Astyages. Mahler zaś każe Cyaxaresowi jeszcze w r. 581 prowadzić wojska i to razem z Nabopolassarem, zmarłym więcej niż przed 20 laty.

Dotychczas ustalona chronologia mogłaby się zgodzić na pewne ustępstwa; mogłaby np. panowanie Cyaxaresa i Astyagesa posunąć o lat 10 naprzód (624—584 zamiast 634—594 dla Cyaxaresa; 584—550 zamiast 594—560 dla Astyagesa), ale to jeszcze nie wystarczy dla hipotezy Mahlera; jeszcze Cyaxares nie mógłby oblegać Niniwy w r. 584—581. Nabopolassarowi zaś nawet i 10 lat nie może przyłożyć znana chronologia; posuwać bowiem śmierć jego choćby do r. 600 (zamiast 607 lub 605) byłoby rażącym pogwałceniem ówczesnego synchronizmu. Musimy więc pozostać przy dotychczasowych datach zburzenia Niniwy, tj. wybierać między latami 620 a 595.

X. W. K.

Des Heil. Petrus Aufenthalt, Episkopat und Tod zu Rom, das geschichtliche Fundament des Primates der Römischen Bischöfe. Eine historisch-apologetische Studie. Von *Wilhelm Esser* Dr. Theol. et Philos. Breslau. Goerlichs Buchhandlung 1885. (Str. IX; 174).

Na pamiątkę jubileuszu kapłańskiego Ojca św. Leona XIII, piękna myśl powziął autor niniejszego dziełka, podać krótko a treściwie wiadomości odnoszące się do pobytu św. Piotra w Rzymie, jego tam biskupstwa i śmierci męczeńskiej. Boć każdemu wiadomo jak zacięte kontrowersye wywiązały się co do tych faktów, nie po stronie katolickich pisarzy, lecz racyonalistów: protestantów, którzy chcieliby wykazać w pseudo-naukowy sposób niedorzeczność katolików, gdy powołują się na księcia Apostolów, jako pierwszego biskupa rzymskiego, a temsamem tendencyjnie chcieliby podkopać prymat rzymskich Papieży. Jakkolwiek w ubiegłym dziesiątku lat wiele już o tem pisano, i posiadamy wyjaśnienie tych historyczno-archeologicznych kwestyj nie tylko w broszurach, ale i w obszernych dziełach pisarzy katolickich, sposobność nowa nadarzyła się autorowi poruszenia tej kwestyi, chociaż nie nowej, lecz w nowej formie, zresztą już zupełnie rozwiązanej.

Zasługą jest autora, że umiał skorzystać z dzieł poprzedzających go pisarzy, i że podał treściwie ważniejsze dowody przez nich przytoczone; dał też i ocenę zarzutów głośniejszych pisarzy przeciwnego obozu, tak, że po przeczytaniu tej książki, jasne można wyrobić sobie zdanie o przebiegu całej kontrowersyi.

Ks. Esser dzieli swą książkę na dwie główne części, a raczej na dwa zagadnienia gruntowną odpowiedź podaje: „Czy św. Piotr był w Rzymie i czy tamże umarł“, „czy św. Piotr był biskupem rzymskim, i czy nim aż do śmierci pozostał“. W pierwszej części po przedstawieniu zupełnie ogólnem całej kwestyi, zastanawia się nad wiarygodnością świadectw, które przemawiają przeciw pobytowi św. Piotra w Rzymie, poczem następują dowody uboczne i wprost stwierdzające pobyt św. Piotra w wiecznem mieście. Ze świadectw najdawniejszych przytacza św. Klemensa rzymskiego, św. Ignacego antyocheńskiego, biskupa i męczennika, dalej Papiasa biskupa z Hierapolis, św. Ireneusza i innych pisarzy z II-go i III-go wieku, wreszcie dowody z Pisma św. Najsilniej może przedstawia autor dowody z pomników, które przeszłość dzisiejszym czasom w spuściznie pozostawiła: a więc kościoły, więzienie Mamertyńskie, Via Appia, katakumby, sarkofagi, stare naczynia bogaty do tego dały mu materiał. Widocznie, że autor w czasie swego pobytu na studyach w Rzymie, umiał skorzystać ze sposobności naocznego przekonania się o tem, co może już i skądinąd wiedział, a w niniejszej książce treściwie podał.

W drugiej części historycznie udowadnia, że św. Piotr jako biskup rzymski umęczonym został, i ile lat tą stolicą biskupią zawiadował.

W ogóle jest to gruntowna akademicka rozprawa, mogąca interesować przedewszystkiem tych, którzy znajdują się między protestantami i potrzebują gruntowniejszych wiadomości w tej materii, aby odeprzeć możliwe zarzuty i samemu się w wierze utwierdzić. Szkoda tylko, że ton dowodzenia i forma zewnętrzna ułożenia treści, nuży czytelnika tej skądinąd zajmującej i bogatej w treść książki.

Ks. M. C.

La Revolution française à propos du centenaire de 1789. Par *Mr. Freppel*, évêque d'Angers, député du Finistère. Chez A. Roger et F. Chernoviz. Paris. VI; 155.

W stóletnią rocznicę wielkiej rewolucyi, gdy Francya przygotowała się do jej uroczystego obchodu, znakomity biskup Freppel, z całą powagą swego charakteru kapłańskiego i z całą bystrością swego talentu, podaje światu publiczną a zdrową ocenę owej tyle sławionej rewolucyi, wykazuje jej wpływy na naród francuski i ogólny rozwój cywilizacyi. W przekonaniu autora rewolucya francuska to nie prosta zmiana formy rządu, „ale nauka czyli zbiór rozmaitych nauk na polu religijnem, filozoficznem, politycznem i społecznem“, to „zastosowanie zasad racjonalizmu do stosunków cywilnych i socyalnych“, to „naród chrześcijański chrztu pozbawiony, co odrzucił wiarę w swoją historię i tradycję, a pragnie wytworzyć społeczność poza ewangelią na podstawach czystego rozumu“. Co dobrego rewolucya uczyniła dla Francyi? Czy rozwiązała choć jedno z zagadnień, jakie sobie założyła w swoich początkach? Czy urzeczywistniła swoje maksymy wolności, równości i braterstwa? W odpowiedzi na te pytania wykazuje sz. autor obecny nierząd swojego kraju, nienawiść stronnictw, smutny stan wyrobników, upadek nauk, zgola straszne zacołanie, zamiast spodziewanego postępu. Do czego to wszystko doprowadzi? „W ostatniem stóleciu, powiada uczony biskup, istniał na wschodzie Europy naród mężny i rycerski. Bóg dał mu wszystkie cechy narodu wielkiego. Rozum i odwaga zlały się tu w zapal wiary, co się nie cofał przed żadną ofiarą... Naród ten był przedmurzem chrześcijaństwa, zasłaniając je swym mieczem w godzinach niebezpieczeństwa, a wznosił się do takiej potęgi pod berłem Władysławów i Zygmunatów Augustów, iż można pytać się było, gdzie się skończy jego przeznaczenie. Lecz błąd wewnętrzny zagrażał tej Francyi Północy: a były nim nierząd i nienawiść stronnictw. Zamiast złączyć swe siły, Polska traciła je w walkach bezowocnych, nie więc dziwnego, że ich nie znalazła przeciw połączonym wrogom. Napróżno powstawali z jej łona bohaterowie od Sobieskich aż do Kościuszków, by powstrzymać upadek ojczyzny, bo nie ma tak silnego heroizmu, co zdołałby osłabić owe słowa Ewangelii: *Każde królestwo w sobie rozdzielone upadnie*. Po dziesięciu wiekach chwały i sławy Polska upadła, a upadła raczej pod ciężarem własnych swych błędów, niż pod ciosami chciwych łupieżców“. By i Francya nie uległa temu smutnemu losowi, autor podaje w końcu swego dzieła siedm rad zbawiennych, a z tych najważniejsze są: przywrócenie dekalogu i praw Ewangelii w państwie, rodzinie i szkole, powrót do narodowej monarchii, wyzwolenie wszechnie i akademij z pod wpływu państwa. Ostatnia rada rozleglejsze posiada znaczenie, bo dotyczy militaryzmu, tego dziecka rewolucyi, co dziś pod nazwą zbrojnego pokoju trapi Europę. Zażęganie tego licha widzi autor w powrocie Alzacyi i Lotaryngii pod panowanie Francyi. Lecz czy to powstrzyma niebezpieczeństwo grożące środkowej Europie z Północy? Zdaje się, że autor wyszedł w tej mierze trochę zanadto z punktu widzenia swego patriotyzmu. Mimo to jednak dziełko jego, chciwie czytane, jak widać z ośmnastu wydań w ciągu trzech miesięcy, otworzy oczy nie jednemu z gorących wielbicieli wielkiej rewolucyi,

a dalby Bóg, by Francya pouczona smutnym naszym przykładem, usłuchała rad swego biskupa.

E. W.

Le divorce de Napoléon. Par Welschinger. Plou et Nourrit 1889.

Nemezys historyczna, ścigająca od pewnego czasu pamięć Napoleona, coraz to nowe wydaje owoce. Po Tainie, który żadnej wielkości, nawet wojennej, nie raczył zostawić przedmiotowi swego anatomicznego badania, widoczną przesadą podkopując znaczenie swych wniosków i twierdzeń, znalazło się pełno badaczy pochwytyjących, nie już cały wizerunek dziejowy, lecz ten lub ów moment historyczny, ten lub ów rys charakteru czy życia. I tak nieodżałowany Forneron, przystąpił do historii emigracji, aby wyjaśnić dokumentnie krwawą małośćkowość i bezlitośną drażliwość nowoczesnego Cezara, który nie zaznał rozkoszy przebaczenia, nie posiadał wielkodusznej wspańiałości, i krocie ofiar więził, ścigał, męczył, w mniemaniu, iż przez to ustali swe panowanie. P. Welschinger trzyma się podobnej metody, nie kusi się o portret cesarza, ani o historyografię jego przeznaczeń. Chwyta go na gorącym uczynku niesprawiedliwości, i popełnioną winę studjuje na wszystkie strony, wskazany moment bada, rozjaśnia, pogłębia. Tak niedawno uczynił z sądownym morderstwem księcia d'Enghien, tak obecnie robi z inną ciemną plamą ciężącą na pamięci Napoleona, z historią jego rozwodu. Kwestya to dziś tem ciekawsza w obec nowego francuskiego prawodawstwa, które Boży i ludzki podkopuje porządek, legalizując rozluźnienie węzłów rodzinnych. Dotychczas rozwód cesarski nie znalazł był szczegółowego historyka. Thiers nie powiedział o nim ostatniego słowa, a nawet pobałamucił świadectwa. Hrabia d'Haussonville kreśląc pięciotomową swą pracę o stosunku Kościoła do pierwszego cesarstwa, nie mógł jak przynależy wyczerpnąć owej zawilej sprawy. Rząd drugiego cesarstwa nie lubił zbyt ciekawości, lękał się niedyskrecyi kompromitujących, zaczęło archiwa państwowe zawały się przed autorem cennej książki zatytułowanej: *L'Eglise et le premier Empire*. Szczęśliwszy od swego poprzednika, Henryk Welschinger dotarł do wszystkich źródeł i odbudował szczegółowo przebieg rozwodu Napoleona z dobrą Józefiną.

Wiadomo, iż zawarty między niemi w r. 1796 związek ograniczał się na cywilnym kontrakcie. Gdy w r. 1804 Pius VII przybył do Paryża, Józefina wyznała przed nim, iż małżeństwo jej nie było kościelnem błogosławieństwem zatwierdzone. Na to Papież oświadczył stanowczo, iż jeżeli Napoleon nie ureguluje sprawy natychmiast, niepodobna będzie Głowie Kościoła uczestniczyć w uroczystościach koronacyjnych. Cesarz burzył się i srożył, wszelako uleść musiał, i w wigilię koronacji, o 4-tej godzinie popołudniu, wuj jego kardynał Fesch, pobłogosławił w salonach Tuileryjskiego pałacu zapóźniony ślub swego siostrzeńca.

Gniewy cesarza głównie były wywołane nurtującą już wówczas w jego umyśle intencją rozwodu. W miarę jak rósł w potęgę, rosła i jego ambicya, marzył o dynastycznym ustaleniu swej wielkości. Niebawem ją czułą towarzyszkę swych skromnych początków przygotowywać do swoich zamiarów, główny kładąc nacisk na rację stanu, i pomyślność Francyi. Józefina zemdliała, gdy po raz pierwszy usłyszała co ją czeka, niebawem z przygodną uległością

na wszystko, gotowa się poświęcić dla szczęścia niewdzięcznego małżonka i ojczyzny. Z końcem r. 1809 Senat rozwiązał śluby cesarskie, nie troszcząc się bynajmniej o kościelne zdanie w tej mierze.

Tymczasem gdy przyszło do rokowań z Austrią o rękę arcyksiężniczki Maryi Ludwiki, ojciec tej ostatniej odpowiedział, iż o niczem słyszeć nie chce, dopóki Kościół rozwodu nie zatwierdzi. Prawdziwy stąd wywiązał się kłopot. W sprawie osób ukoronowanych ostatecznie Papież jeden rozstrzyga. A tymczasem Pius VII znajdował się uwięziony w Savonie. Nie wypadało ani do niego się odnieść, ani bez niego się obywać. Kanonista nadworny wymyślił półśrodek załatwienia sprawy, a mianowicie radził udać się do władz dycezalnych, którym wedle konkordatu przysługiwało prawo rozstrzygania spraw małżeńskich swych owieczek. Wiedzano, iż oporu z tamtej strony nie należało się spodziewać. Co dopiero, na skinienie cesarskie, konsystorz paryski zerwał śluby księcia Hieronima z amerykańką, Elżbietą Patterson.

Przywołano tedy oficjałów paryskich, aby im rzecz przedstawić, i umotywować rozwód brakiem świadków przy ceremonii ślubnej i nieobecności miejscowego proboszcza parafii nowożeńców. Obaj dostojnicy kościelni zażądali odpisu aktu ślubnego. Odpowiedziano im, że takowy nie istnieje i w istocie, jedna tylko Józefina na własne prośby otrzymała od kardynała Fescha pisane świadectwo ślubnego obrzędu, który nigdzie do ksiąg kościelnych wciągniętym nie został. Trzeba się udać do Papieża, rzekli jednogłośnie członkowie konsystorza, albo w ostatnim razie poradzić się kardynałów przebywających w Paryżu. Odrzucono stanowczo obie ewentualności, nie uznając powagi kardynałów, a nie chcąc zanosić prośby do własnego więźnia. Zresztą nie było się na czem oprzeć. Kardynał Fesch zaopatrzył się był we wszystkie możliwe dyspensy, zanim przystąpił do spełnienia ślubnego obrzędu. Upadał tedy zarzut nieobecności proboszcza i brak świadków. Wymyślono na prędce inny powód nieważności, a mianowicie brak zezwolenia ze strony cesarza! Niestety! znalazło się dwóch kardynałów i pięciu biskupów, którzy przyznali konsystorzowi paryskiemu prawo rozstrzygania sprawy rozwodowej, i zarazem stwierdzili, iż jeśli nie będzie można prawnie udowodnić zezwolenia cesarskiego na akt ślubny, tenże za nieważny uchodzić musi. Słabną dusze pod wpływem samowładzy i wśród atmosfery dworskiej. Urzędowy dokument niebawem wyluszczył, że cesarz tylko z grzeczności dał się namówić do kroku uprzedzającego ceremonię koronacyi, że ustąpił żonie w mniemaniu, iż poddaje się wymaganiom okolicznościami spowodowanej konieczności, która w niczem przyszłości krępować nie mogła i nie miała. Na takiej to argumentacyi ostatecznie oparto wyrok rozwodowy, i konsystorz paryski nie sromął się na dniu 14 stycznia ogłosić unieważnienie pierwszego małżeństwa cesarskiego. W kilka miesięcy później, dwór austriacki zadowolniający się tak wątpliwej wartości i ważności aktem, zezwolił na śluby arcyksiężniczki Maryi Ludwiki z Napoleonem. Trzynastu kardynałów z pośród dwudziestu siedmiu, wstrzymało się od uczestniczenia w obrzędzie. Wściekłość Cesara nie znalazła granic, odjął im pensye, rozpędził na wygnanie, zabronił używania czerwonych sutan i oznak swej godności, nareszcie od Papieża zażądał solennego Brewe, potępiającego zachowanie się owych trzynastu ksiąząt Kościoła. Pius VII oczywiście odmówił, co pogorszyło jego własny ucisk i więzienne niedole.

Tak się zakończyła owa głośna sprawa, która miała tylko wykazać marność ludzkich zabiegów. Napoleon zdeptał prawidła religii i prawa honoru, złamał wiarę przyrzeczoną czulej małżonce, wzgardził jej łzami i rozpaczą. I do czegoż go to zawiodło? nie ustalił tronu, nie zatrzymał berła, nie założył dynastyi. Upragniony syn i spadkobierca, dla którego zgwałcił ludzkie i Boże prawa, nie odziedziczył po ojcu korony, i umarł po dwudziestu latach bezużytecznego i marnego życia. Nic nie zostało się z rozvodu cesarskiego, nic okrom pamięci popełnionej winy. Tak to Opatrzność pohańbia pychę i obrachunki ludzkiej roztropności.

P. Welschinger sumiennem zebraniem odnośnych dokumentów, rzucił nowe a pełne światło na tę ciemną sprawę, która uwydatnia raz więcej przekleństwo zawisłe nad tymi, którzy gwałcą odwieczne Boże przykazania i podkopują ustanowiony od Boga i Kościoła ustrój rodzinny.

M.



Rozmaitości.

Filozofia św. Tomasza z Akwinu.

Odkąd Bulla Jego Świątobliwości Leona XIII. *Aeterni Patris* zwróciła naukę filozofii katolickiej na właściwe tory, opierając ją na nauce Doktora Anielskiego, w wielu krajach obudził się żywy ruch na tem polu, czego dowodem szereg dzieł poważnych, zwłaszcza w języku łacińskim, niemieckim, francuskim i włoskim. U nas w Polsce z niw ściśle naukowych filozofia, jak zawsze tak i teraz najmniej bywa uprawiana. Na palcach policzyłby można dzieła filozoficzne, jakie się w ostatnim dziesiątku lat pojawiły, a niejedno z nich jeszcze trzebaby odrzucić, jako niezgodne z duchem wiary i przeciwne nauce Kościoła św., który jest jedynym stróżem prawdy na tym świecie. Filozofii zaś w duchu św. Tomasza, poprostu nie posiadamy dotąd. To też z niemłą pociechą ujrzeliśmy w nr. 13 *Duszpastyra*, że znalazł się kapłan, który postanowił tę lukę zapłacić, i podać naukę św. Tomasza w popularnym, a jednak gruntownym wykładzie. Jak pojmuje on swoje zadanie i jak się bierze do traktowania rzeczy, najlepiej przekona ustęp: „O stosunku filozofii do objawienia“, który tu podajemy w polskim przekładzie:

Prawda absolutna jest tylko jedna. Jedno jest tylko ostateczne i najwyższe źródło całej prawdy, mianowicie Bóg jako prawda istotna i przedwie-

czna. Prawda rozumu i prawda objawienia pochodzą z jednego źródła przedwiecznej prawdy. Rzeczywista sprzeczność między jakąś prawdą objawioną a niewątpliwym pewnikiem rozumowym, byłaby sprzecznością przedwiecznej i istotnej prawdy samej z sobą — co jest absurdem. Sprzeczność więc taka może być tylko pozorną: tj. albo mniemana prawda rozumowa, nie jest nią rzeczywiście, albo mniemana prawda objawiona nie jest Boskiego pochodzenia. Trzeba tu uważać na istotną różnicę, jaka zachodzi właśnie ze względu na źródło poznania w tych dwóch sferach: rozumu i objawienia. Prawdy objawione pochodzą bezpośrednio od Boga, prawdy zaś rozumu — pośrednio. A że Bóg jest nieomylny, rozum zaś ludzki podległy błędowi, więc prawda pochodząca bezpośrednio od Boga musi być uważaną za normę absolutną, bez względu na to czy ją człowiek może pojąć i zrozumieć, obowiązkiem przeto jest dla rozumu poddać się bezwarunkowo powadze Boskiej; jeśli tylko wykluczona jest wszelka rozumna wątpliwość, czy mamy przed sobą prawdę rzeczywiście objawioną.

Ze względu na to rozum, w przypadku pozornej sprzeczności z objawieniem powinien wyznaczyć, iż błąd jest po jego stronie, a wyjaśnienie tej pozornej sprzeczności pozostawić dalszym i głębszym badaniom, — lub jeśli do nich nie ma sposobów, powiedzieć na teraz: *non liquet*.

Powtóre nie może rozum przykładać do właściwych tajemnic objawienia swojej ograniczonej wiary, i zrozumienie tychże czynić zawisłem od pojęć i wyobrażeń dlań dostępnych. Pokażmy to na przykładzie. Pojęcia znajdujące się w tajemnicach: Trójcy i Wcielenia nie mogą być określane według danych, leżących w ludzkiej świadomości, lecz według wymagań dogmatu. Do Trójcy nie można przykładać miary duchowego życia człowieka, jej rozumienia nie można czynić zawisłem od filozoficznej „konstrukcji świadomości“.

Zamiar chwalebny i życzyć tylko autorowi możemy, żeby dobrym chęciom odpowiedział należyty skutek, żeby w jego dziele widniał św. Tomasz z całą jasnością zrozumienia i podziału kwestyj, z całą nieprzepartą siłą argumentacji, słowem św. Tomasz obdarzony anielskim rozumem. Dlatego też ośmielamy się zwrócić uwagę szan. autora, że zdaje się nam, iż zanadto przecenia on dziejącą metodę naukową z pewną ujmą dla scholastycznej.

W wstępie bowiem powiada autor: „Teraźniejsza artylerya „nie tyle przewyższa średniowieczną balistykę, ile współczesne metody naukowe górują nad sylogizmem i ograniczonymi obserwacyami upłynionych wieków“ — zresztą nie chcemy przesądzać i czekamy niecierpliwie samego dzieła.

Rozumiemy to dobrze, że w piśmie peryodycznym, jakim jest *Duszpasterz*, całej swej pracy, autor publikować nie jest w stanie. Oby więc znalazł łaskawego nakładcę, któryby jego książkę pozwoił jak najprędzej ujrzeć światło dzienne.

O kulcie św. Józefa. Już na Soborze Watykańskim wielu biskupów, kardynałów i generałów Zakonu wniosło prośbę do rządzącego podówczas Kościołem Piusa IX, o podniesienie kultu św. Józefa, do czego przychylając się Pius IX dekretem kongregacyi obrzędów r. 1870, ogłosił św. Józefa patronem całego Kościoła katolickiego.

W dzisiejszych czasach myśl dawniejsza na nowo odżyła, czego dowodem dzieła poważnej treści, w których autorowie omawiają ze strony dogmatycznej kult należny się św. Józefowi, z tej przyczyny, że on po Najświętszej Dziewicy Maryi najbliższy brał udział w dziele naszego odkupienia, będąc opiekunem i stróżem Najśw. Rodziny. Dość wspomnieć o dwutomowym dziele ks. Vitali *Vita e glorie di San Giuseppe* wydanem w Rzymie poraz wtóry r. 1885, które jako najlepsze zdobyło sobie premium na konkursie z funduszu margrab. *Mereghi* r. 1882, i świeżo wydana książka czysto dogmatycznej treści ks. Mariani w Paryżu *De Cultu Sancti Josephi Sponsi Mariae ac Jesu Parentis amplificando, Dissertationes theologicae*. To ostatnie dzieło szczególnie przyczyniło się do obudzenia na nowo myśli, poruszonej przed Soborem Watykańskim, a jak gruntownie i jasno jest napisane, może za dowód posłużyć fakt, że zaledwie ukazało się z druku, już autor otrzymał liczne listy pochwalne od znakomitych uczonych biskupów i kardynałów. Prócz tego pojawiło się wiele innych dziełek i broszur pisanych w tej materii. Najprzew. ks. Mikołaj Józef Camilli, zarówno gorliwy biskup z Jass jak i wielki czciciel swego patrona, w zeszłym roku łącząc się z wielu biskupami, nie poprzestał na krótkim liście pochwalnym do ks. Mariani'ego, lecz w obszernej broszurze podnosi myśli zawarte w jego dziele. W przystępnie a gruntownie napisanej broszurze, pragnie ks. biskup Camilli razem z autorem wyżej przytoczonego dzieła:

1) ażeby imię św. Józefa było używane we Mszy św. w czterech modlitwach *Confiteor*, *Suscipe Sancta Trinitas*, *Communicantes* i *Libera nos*, nadto, aby w kulcie publicznym św. Józef był wzywany zaraz po Najśw. Maryi Pannie.

2) Ażeby kult św. Józefowi publicznie przez Kościół oddawany, był kultem *Summae-duliae*, albo *Proto-duliae*, podobnie jak kult oddawany Najśw. Dziewicy jest kultem *Hiper-duliae*.

Postulaty swe motywuje ks. biskup wielu argumentami, rozwiązując zarazem trudności, jakie mogłyby zachodzić w ich wprowadzeniu w życie. Przyznać należy, że szczególnie za drugim postulatem, który zresztą większej jest jak pierwszy doniosłości, przemawiają nawet obok wewnętrznych i zewnętrzne bardzo ważne powody. I tak już Pius IX ustanawiając uroczystość opieki św. Józefa, mówi przez kongregację obrzędów, że do tego powód znajduje „we wzniosłej godności, jaką udzielił Bóg swemu najwierniejszemu słudze, dla której św. Józef zawsze po Najśw Dziewicy Matce Bożej a jego oblubienicy przez Kościół najbardziej był czczony i chwalony“. Gdyby więc kongregacya chciała dziś wysłuchać prośby postulanta, nie innego nie uczyni, jak tylko zatwierdzi to, co innemi słowy przed 19 laty sama wypowiedziała.

Przemawiają również za tym postulatem prośby 43 przełożonych generalnych najrozmaitszych zakonów i poczet 153 biskupów, między którymi najznakomitszych kardynałów imiona czytamy.

Czy te pragnienia tylu biskupów i uczonych mężów będą uwzględnione, czas okaże; w każdym razie ruch ten naukowy około czci św. Józefa, jest bardzo zajmującym i dowodem ciągłego życia i rozwoju nauk dogmatyczno-liturgicznych.

Ks. M. C.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Allokucya papieska. — Wrażenie nią wywarłe. — Kwestya wyjazdu z Rzymu
Ojca św. — Walka kulturalna w W. Ks. Badeńskim.

Odpowiedzią katolików całego świata na niecną manifestację z pomnikiem apostaty *G. Bruno*, były przebłagalne nabożeństwa, procesye, protesty po dziś dzień jeszcze do Watykanu napływające; odpowiedzią katolików rzymskich było uroczyste nabożeństwo i wspaniała illuminacya w dzień św. Piotra i Pawła, najwspanialsza podobno właśnie na *Campo dei Fiori*; odpowiedzią wreszcie Papieża był „nadzwyczajny sekretny“ konsystorz zebrany w dniu 30 czerwca i ogłoszona na nim niezmiernej wagi allokucya. Sam już fakt zebrania konsystorza tajnego, fakt zawsze niezmiernie rzadki a za obecnego papieża po raz pierwszy miejsce mający, dał powód do żywego zaniepokojenia w najwyższych również rządowych, jak dyplomatycznych sferach; a zaniepokojenie to wzrosło bardziej jeszcze, i przedarło się nawet do sfer czysto finansowych, gdy rozeszła się pogłoska, że na konsystorzu radzono zupełnie na seryo o wyjeździe Papieża z Rzymu i gdy ogłoszona w dziennikach allokucya Ojca św. pogłoskę tę w pewnej mierze zdawała się stwierdzać. Istotnie czuć ze słów Papieża, że wypadki z ostatnich kilkunastu dni, uroczyste odsłonięcie pomnika *G. Bruno*, udzielenie sankcyi królewskiej osławionemu kodeksowi karnemu,

harda mowa *Crispiego*, który wprost domagał się w senacie, aby Papież ugiął się przed wolą rządu włoskiego i zdał się na jego łaskę i wspaniałomyślność; — że wszystkie te w twarz rzucone obelgi, wyczerpały dotychczasową cierpliwość Papieża i zmusiły go do zastanowienia się nad użyciem innej silniejszej broni, w tej zbyt długo już ciągnącej się walce.

Niegodziwe sekty, mówił Papież, jak gdyby nie dość jeszcze przez tyle lat spowodowały ruin, postanowiły samych siebie przewyższyć w śmiałości, i w jednym z najuroczystszych dla chrześcijana dni stawiają publicznie pomnik, celem przekazania potomności nieposłusznego w obec Kościoła ducha; pragnąc równocześnie okazać, że postanowiono rozpocząć walkę z imieniem katolickiem na śmierć i życie. Że do tego dążą, mianowicie główni autorowie i popieracze dzieła, za tem rzecz sama przemawia. Wywyższają zaszczytami człowieka, który dwukrotnie zbiegł ze swego obozu, któremu sądownie dowiedziono, że jest heretykiem, którego zawziętość przeciwko Kościołowi doszła do ostatecznych granic. Co więcej, właśnie dla tych powodów uznali go za godnego zaszczytów: wiadomo bowiem, że prawdziwych zasług w nim nie było. Nie odznaczał się nadzwyczajną wiedzą: toć własne pisma jego oskarżają go, jako panteistę i zwolennika grubego materializmu, zawikłanego w zwyczajne błędy, nie będącego często z samym sobą w zgodzie. Nie było w nim ozdób cnót, gdy przeciwko jego moralności świadczą w obec potomności największe niegodziwości i najwyższe zepsucie, do jakiego człowieka doprowadzić mogą nie poskramiane namiętności. Nie odznaczyły go czyny głośne, wielkie około ojczyzny zasługi: umiał on udawać, kłamać, dbać egoistycznie o siebie samego, nie znoślił cudzego zdania, był pochlebcą — słowem był to człowiek niegodziwego serca i przewrotnego umysłu.

Tak smutne dzieło przygotowywano niezmiernie długo i z wszelkiemi szczegółami nie tylko z wiedzą rządu, lecz nadto za jego jawną i wyraźną zachętą i z jego poparciem. Bolesne to i zdawałoby się niemożliwe, a jednak stwierdzić to trzeba, że z tego dostojnego miasta, w którym Bóg umieścił mieszkanie Namiestnika swego, wychodzi przykład buntującej się przeciwko Bogu myśli ludzkiej, i że tam, skąd świat niezamącone prawdy ewangelii i zbawienne rady czerpać przywykł, w skutek niegodziwego przewrotu zbrodnicze błędy i herezya bezkarnie święcą się pomnikami. Do tego nas przywiodły czasy, że wstrętne spustoszenie widzieliśmy na miejscu świętem.

W tak niegodnem położeniu, ponieważ chrześcijańskiej rzeczypolitej rząd wraz ze strażą i opieką nad wiarą powierzony nam został, oświadczamy, że obrażone zostało niecznie miasto i pogwałcona haniebnie świętość wiary chrześcijańskiej i przed całym światem katolickim przez skargi nasze i oburzenie świętokradzki odkrywamy występki.

Z krzywdy tej atoli dadzą się wyciągnąć pożyteczne nauki. Coraz bowiem jaśniejszą staje się rzeczą, że nieprzyjazne żywioły nie uspokoiły się po upadku władzy doczesnej Papiestwa, lecz jako do ostatecznego celu zmierzają do czegoś innego, to jest do zniweczenia powagi Papieży i do zburzenia wiary

chrześcijańskiej. Dalej wynika stąd, czy przy naszych rewindykacjach praw Apostolskiej Stolicy kierowaliśmy się ludzkimi względami, czy też raczej względami na wolność Apostolskiego urzędu, na godność Papieństwa, a nawet na prawdziwe dobro Włoch. Wreszcie z tego zwrotu rzeczy można się dostatecznie przekonać, jaką wartość mają tak liczne i tak wielkie przyrzeczenia, jakimi Nas z początku tak hojnie darzono, i co się z nimi stało. Po tych objawach czci, jakimi otaczano Papieża, nastąpiły powoli obelgi i obrazy najgorszego rodzaju. Największą ze wszystkich, sterczącą dumnie przed wszystkimi oczyma i w zupełnej jawności i przeznaczoną dla przyszłości, jest pomnik, wystawiony owemu niemoralnemu, upadłemu człowiekowi. To miasto zaś o którym twierdzili, że pozostanie na zawsze pełną sławy i bezpieczną stolicą Papieża, ma, wedle ich życzenia, stać się stolicą nowej bezbożności, w której rozumowi ludzkiemu ma być jako bóstwu, oddawana cześć rozpustna i bezrozumna.

Rozważcie przeto, czcigodni Bracia, jaka Nam pozostaje jeszcze wolność i powaga w wykonywaniu apostolskiego urzędu.

Nawet co do własnej Naszej osoby nie jesteśmy wolni od obawy i niebezpieczeństwa. Wszystkim bowiem wiadomo, jaki jest cel machinacji sekty, i że sekciarze korzystając z pomysłnych czasów, wzmagają się codziennie prawie co do liczby i bezczelności, i zdecydowani są stanowczo nie przedzej spocząć, dopóki nie doprowadzą rzeczy do ostatecznej katastrofy.

Jakkolwiek tedy w sprawie, z powodu której dziś podnosimy skargę, sekciarzom tym jedynie ze względów utylityrnych nie udzielono tej wolności, by swe nieczne zamiary także za pomocą jawnego gwałtu przeprowadzić mogli, to jednak nikt nie zaprzeczy, że kiedyś przy szczęśliwej sposobności posunąć się i to tej zbrodni, tem więcej, że znajdujemy się w ręku takich ludzi, którzy się nie wahają oskarżać Nas publicznie o wrogi i nieprzejednane usposobienie względem Włoch. Niemniej należy się obawiać, że do każdej zbrodni gotowa bezczelność upadłych ludzi i ich rozpущzone żądze nie zawsze tak samo powstrzymać się dadzą, zwłaszcza, gdyby nadejść miały cięższe i ruchliwsze czasy, czy to z powodu wewnętrznych zaburzeń i przewrotu politycznych stosunków, czy to z powodu zmiennych i nieszczęśliwych wypadków wojny. W ten sposób staje się coraz widoczniejszym, w jakim położeniu znajduje się ostatecznie Głowa Kościoła, pasterz i nauczyciel katolickiego świata.

Wrażenie wywarte allokucją, której sam ton, niezwykle dotąd w ustach Leona XIII, naprowadzał na myśl, że pogłoska o wyjeździe jego z Rzymu nie jest bezpodstawną, było niezmiernie. Organa Crispiego wybuchły oburzeniem; *Opinione* i *l'Italie* oskarżyły wprost Ojca św. o wzniecanie nienawiści przeciw Włochom, o dobrowolne rozszerzanie przepaści między Papieństwem a Zjednoczonymi Włochami. „Nie nam, ale kongresom katolickim niech Papież przypisze, wołała *Opinione*, że uroczystość odsłonięcia pomnika *G. Bruno* przybrała tak wielkie i Kościołowi wrogie rozmiary... Papież walcząc z prawem narodowym, bardziej jeszcze szkodzi re-

ligii niż ojczyźnie, choć jak jednej, tak drugiej nie małą krzywdę wyrządza“. „Leon XIII. dowodzi znowu *Riforma*, wciąż polemizując z racją i bez racji, traci na powadze jako Papież; traci miarę, jako człowiek“... Otóż i wszystko, na co się w odpowiedzi swej zdobyły dzienniki Crispiego: nie wchodząc w jądro kwestyi, zewnętrznej tylko formy dotykają i przeciw niej rzucają zatrute pociski. Słusznie karzą je za to radykalne nawet organa, jak np. medyolańska *Lombardia*.

„Żle, źle się bawicie, ostrzega i prosi wroga ta Kościołowi gazeta; jeżeli p. Crispi trwać będzie upornie w swej pompacyjnej, samemi pozorami i próżnością najeżonej polityce; to doprowadzi tylko ostatecznie do postawienia na nowo przed światem kwestyi rzymskiej, do nadania jej międzynarodowej cechy“.

Czego *Lombardia* dopiero się obawia, to prasa wszystkich innych krajów zastanawiając się nad allokucją, uważa za fakt dawno spełniony, żadnej wątpliwości nie podlegający. Równie w Niemczech, jak w Anglii, we Francyi, jak w Szwajcaryi zgodzono się jednomyślnie, że słowa papieskie otwierają nową, najostrzejszą fazę w smutnej historii „kwestyi rzymskiej“, a zarazem zapytano, to z współczuciem, to z ironią, czy mądrze Włochy zrobiły dopuszczając do tej pełnej niebezpieczeństw fazy, czy ona im sławę i pożytek przyniesie? „Prawdopodobnie, pisze ministeryalny *Temps*, najzagorzalsi nawet stronnicy obecnego rządu włoskiego, nie zdobędą się na powinszowania dla ukochanego męża stanu, który za pomocą kodeksu karnego p. *Zanardello*, za pomocą tysięcznych obelg, wreszcie za pomocą manifestacyj, urządzanych pod samemi watykańskimi oknami, doprowadził do stanu rzeczy, w którym największy, najzręczniejszy Papież-polityk rzucić musiał rodzaj klątwy; w którym kwestya opuszczenia Rzymu przez Papiestwo, staje na porządku dziennym i staje się przyczyną popłochu na giełdzie. Gospodarz Crispiego w Friedrichsruhe powinien go być przecież nauczyć, na własnem opierając się doświadczeniu, że najpotężniejsze mocarstwa nigdy ostatecznie nie wychodziły dobrze na wszelkiego rodzaju kulturkampfach i wojnach z Papiestwem“. Nie mniej surowy sąd wydają w świetle ostatniej allokucyi o postępowaniu Crispiego tak gladstonowska *Daily News*, jak niechętna katolicyzmowi *Gazeta Frankfurcka*, jak czysto protestanckie: *Journal de Genève* i Ga-

zette de Lousanne. Ostatni z tych dzienników nazywa uroczystości przy odsłonięciu pomnika *G. Bruno*, „antykatolicką maskaradą“ i stwierdza bez ogródek, że „dojście Crispiego do władzy, stało się sygnałem do coraz zaciętszej walki, między państwem a Kościołem“. Urzędowa prasa niemiecka przytaczając allokucyę, nie bierze bynajmniej w obronę włoskiego sojusznika; nie przeczy, podobnie jak przeczyć nie odważa się nawet żydowska prasa wiedeńska, że Papież najzupełniejszą ma racyę i że położenie jego w Rzymie stało się od pewnego czasu wprost niemożliwem; ale pyta tylko: czy wyjazd Papieża nie przyniesie szkody katolickim interesom? „Nie troszczcie się zbytnie o to, odpowiadają słusznie katolickie, zwłaszcza rzymskie dzienniki. Leon XIII, jeżeli istotnie powziął, lub powziąć zamierza tak doniosłe postanowienie, nie uczyni tego bez dojrzałego namysłu, bez jawnej konieczności. Dziś, za parę nawet może tygodni, nie jeszcze w tej mierze stanowczego prawdopodobnie na jaw nie wyjdzie; ale skąd wiecie, czy Papież dziś już nie otrzymał wiarogodnych jakich wiadomości o prawdopodobnej wojnie, mogącej wybuchnąć w najbliższych miesiącach; czy nie został wprost wezwany przez jaki rząd katolicki, do poszukiwania sobie na ten wypadek schronienia bezpieczniejszego od Rzymu? Bardzo nawet zazwyczaj ostrożny i dyplomatyczny *Moniteur de Rome* stawia to pytanie i zapisuje skrętnie wszystkie pogłoski o wyjeździe Papieża, nie biorąc wprawdzie odpowiedzialności za te pogłoski, ale też bynajmniej im nie przecząc. Bądź co bądź zaprzeczć nie podobna, że ciężarna w nieobliczalne następstwa kwestya wyjazdu Papieża z Rzymu, leży obecnie na ostrzu noża, że jeżeli przed paru jeszcze miesiącami, jak wyraziło się jedno z najpoważniejszych pism angielskich, kwestya ta należała do dziedziny teorii, to od dnia 9 czerwca stała się w wysokim stopniu żywotną i praktyczną, zajmuje nie mało dyplomatów i rządy.

Jako miejsce, do którego Papież przeniósłby w danym razie swą siedzibę, podają obecnie powszechnie Hiszpanię, a w szczególności Walencyę lub wyspę Majorkę. Główną podstawę tych domysłów stanowi memoriał biskupa Barcełońskiego *Cutolà y Albosa*, w którym tenże w imieniu własnem i wszystkich wiernych swej diecezji uprasza królowę rejentkę, aby użyła odpowiednich środków dla zapewnienia Papieżowi osobistego bezpieczeństwa i haniebnie

przez rząd włoski gwałconej wolności. „Gdyby jednak rząd W. Kr. Mości, czytamy dalej w memoryale, nie był w stanie jąć się w tej mierze środków dość energicznych, do przeprowadzenia w życie tych pragnień naszych; natenczas prosiłbym się ośmielił, aby W. Kr. Mość ofiarowała J. Świątobliwości, w imieniu całej katolickiej Hiszpanii, godny dowód gorącej miłości, jaką katolicy hiszpańscy żywią dla wspólnego swego ojca; mianowicie, gdyby Papież w wysokiej swej mądrości postanowił opuścić miasto, w którym nie odbiera szacunku i względów, do których ma prawo, znalazłby z pewnością w prawowiernej naszej hiszpańskiej ojczyźnie miliony katolików, któreby go przyjęły z miłością i poważaniem należnem, najlepszemu, najczcigodniejszemu Ojcu. Gdziekolwiekby Ojciec św. siedzibę sobie między nami obrał, czy dajmy na to, u nas w Barcelonie, czy gdzie indziej; wszędzie niewzruszona wierność i głęboka miłość Hiszpanów, wiernych, przywiązanych do ojca swojego synów, wynagrodziłaby mu i osłodziła gorycz wygnania“.

Z słowami temi zgadzają się najzupełniej organa dwóch mężów stanu, którzy od wielu lat, jako uznani przewodcy dwóch najgłówniejszych stronnictw rządzą kolejno losami Hiszpanii: *Sagasty* i *Canovasa del Castillo*. Organ pierwszego *Correo Espanol* nie sądzi, aby Papież zdecydował się na opuszczenie Watykanu przed wybuchnięciem wojny europejskiej, w której i Włochy udziałby wzięły; ale jeśli do tego przyjśćby miało, dodaje zaraz, nigdzie Ojciec św. nie znajdzie dla siebie właściwszego schronienia, niż u nas; nigdzie należna mu wolność i niezależność, na której ciągle szarpanie w Rzymie zbyt słusznie się skarży, większą cześć niż u nas, nie mogłaby być otoczoną. Goręcej jeszcze przemawia gazeta, przyznającego się bądź co bądź zawsze jawnie i otwarcie do szczerze katolickich zasad Canovasa. „Nie ma się co ludzić, pisze *Epoca*, kwestya rzymska zawsze do rozwikłania nie łatwa, dziś coraz bardziej się wikła, coraz natarczywiej domaga się stanowczego rozwiązania. Rozwiązanie to nastąpić musi, a jeżeli niebawem nie nastąpi w sposób jedynie logiczny, zupełny, sprawiedliwy, natenczas przyjść może łatwo do innego rozwiązania, które choć przejęłoby Hiszpanów, jako katolików, smutkiem głębokim i bardzo głębokim; to z drugiej strony przyniosłoby im nie

małą radość, może nieco egoistyczną, ale w każdym razie z samej natury rzeczy płynącą“.

Hiszpania przyjełaby z otwartymi rękami Ojca św., rozumiejąc dobrze, jak wielkie nie tylko moralne, ale i materyalne korzyści dostojny ten gość by jej zapewnił; natomiast Crispi ze zwykłą sobie fanfaronadą zapewnić miał podobno jakiegoś dziennikarza, że widziałby z pewną przyjemnością odjeżdżającego Papieża, kazałby mu oddawać królewskie honory aż do granicy Włoch, a następnie umyśliłby sobie od wszystkiego ręce, kontent, że pozbył się ambarrasu. Jeżeli te słowa Crispiego są autentyczne, piszą ze zrozumiałem oburzeniem, wszystkie nie zostające w służbie rządowej dzienniki włoskie, to pierwszy nasz minister nie mógł sam sobie smutniejszego wystawić świadectwa. Zdaje się jednak, że jeśli nawet rzeczywiście Crispi nie dość ważąc zwyczajem swym, wyrzeczone przez siebie słowa, dał się unieść najtajniejszym marzeniom dawnych lat swych pod chorągwią Garibaldeggo spędzonych; to wróciwszy do równowagi, starał się czempredziej popelniony błąd naprawić. Istotnie wszystkie monarchistyczne dzienniki, a na pierwszym miejscu *Riforma*, starają się w długich artykułach przekonać Papieża, że z Rzymu wyjeżdżać nie powinien, bo nigdzie mu z pewnością nie będzie lepiej i bezpieczniej. Owszem dyplomaci włoscy w Madrycie pracują podobno gorliwie, aby rząd hiszpański odradzał Papieżowi opuszczenie Wiecznego Miasta; rządowe włoskie agencye dowodzą wciąż nowymi argumentami, że nawet w razie wojny we Włoszech, nie zagraża Watykanowi najmniejsze niebezpieczeństwo. Dziwna to rzeczywiście polityka i taktyka: robić wszystko co możliwe i niemożliwe dla wypędzenia Papieża z Rzymu, tworzyć jakby umyślnie w tym celu barbarzyński kodeks karny, kazać pisać swym gazetom o możliwym zniesieniu praw gwarancyjnych, wołać głośno na wszystkie tony: I owszem! Niech Papież wyjeżdża, a jednocześnie obawiać się wyjazdu tego jak ognia!...

Jeżeli w Niemczech, w ogóle mówiąc, poprawiły się od lat paru stosunki Kościoła katolickiego, to jednak dużo tam jeszcze w niejednym względzie i w niejednym kraju pozostaje do zrobienia. Głośny memoriał biskupów bawarskich odkrył niedawno temu głębokie, a niezagojone po dziś rany zadane w czasie walki kulturnej Kościołowi katolickiemu w Bawaryi; obecnie gazety kato-

lickie ze smutkiem stwierdzają na podstawie cyfr i dokumentów, że i w wielkiem Księstwie Badeńskiem nie tylko nie lepiej, ale gorzej może jeszcze się dzieje. Kraj to katolicki, bo na 1,004.276 katolików, liczy tylko 569.979 wszelkiego rodzaju heretyków i sekciarzy, a pomimo tego z nadzwyczajną, niepojętą niemal sztuką obmyślanej geometrii wyborezej, nie może się absolutnie w parlamencie zdobyć na katolicką większość. W skutek tego, jak gorzko uskarża się *Der Badische Beobachter*, sprawozdania parlamentarne z ostatnich lat kilkunastu, przepełnione są mowami o rzeczach specyalnie kościelnych, mowami wymierzonymi wprost przeciw Kościołowi katolickiemu, a bardzo znaczna część praw w tej „nowej erze“ zrodzonych wkracza w dziedzinę religii. Przez lat mniej więcej dwadzieścia niższa izba parlamentu badeńskiego, niczem, rzeczby można innem nie zajmowała się, nic innego nie miała na sercu, prócz wygłaszania piorunujących mów przeciw katolickiemu Kościołowi i wojowania z nim coraz nowemi prawami. Ostatni sejm okazał niestety! że dawny duch kulturkampfowski pokutuje po dziś dzień, jak pokutował przed 10 lub 15 latami między liberalną, większością sejmową...“ Zgubne muszą być skutki tej gospodarki, kiedy Ojciec św. tak zazwyczaj oględny, nie zawahał się przyjmując roku zeszłego pielgrzymów jerozolimskich z W. Ks. Badeńskiego, rzec do nich bez ogródki: „Zupełnie nie jestem zadowolony ze stosunków kościelnych u was panujących; przesiąknięte są one liberalnym duchem; zle mieliście wybory; szkoda wielka, że zakony doprosić się nie mogą powrotu do waszego kraju“.

Ks. Jan Badeni.

Rezultaty angielskich stowarzyszeń robotniczych zwanych „*Trade Unions*“¹.

Literatura tych stowarzyszeń wzbogaca się bardzo od kilku lat. Mamy obecnie przed oczyma dziewięć małych broszurek, zawierających sprawozdania z rocznych kongresów, odprawianych przez

¹ Z *Moniteur de Rome*.

Trades Unions od 1880 do 1888 r. Wyznajemy bez ogródki, że były one dla nas istnem objawieniem. O historii i organizacyi stowarzyszeń robotników angielskich, pisało wielu autorów z wielką znajomością rzeczy i w sposób zajmujący, między innymi Hrabia Paryża, pp. Humbert, Valleroux, Corte i inni. P. Crompton w nader zajmującym dziełku: *Arbitration and Conciliation* (O sądach polubownych i rozjemczych), wykazał wpływ ich często dobroczynny na trybunały polubowne i sądy rozjemcze, zaprowadzone przez pp. Kettle i Mundella. Lecz o dawniejszej historii *Trades Unions* wiedzieliśmy bardzo mało; a jednak wielce to pouczająca historia.

Widocznem jest, że angielskie stowarzyszenia robotników oddalają się coraz bardziej od tego, co było pierwotnym celem ich założenia: tj. zakładanie żelaznych funduszów dla wspierania strejków. Nie tylko fundusze ich bywają już przeważnie obracane na utrzymanie różnych instytucyj zabezpieczenia, jak np. kas wsparcia w razie choroby, kas przytułkowych i t. d. ale i usiłowania ich w celu polepszenia losu klas roboczych przybrały całkiem inny charakter. Środki gwałtowne wykluczone są z ich programu; środki pokojowe wchodzą coraz bardziej w użycie. Nie buntują się już, ale przedkładają żądania swoje; a żądań tych nie stawiają na oślep, lecz żądają tego, co wiedzą, że mogą otrzymać, uwzględniając potrzeby przemysłu i ekonomicznych stosunków. Fachowe wykształcenie robotników uczyniło olbrzymi postęp w Anglii od dwudziestu pięciu lat; deklamacye i nieprzyjazne wycieczki przeciw „niegodziwemu kapitałowi“ wyszły już z mody. Mówcy z kontynentu, którzy zwykli tą bronią wojować, nie mieliby powodzenia w stowarzyszeniach Wielkiej Brytanii. W roku 1880 doroczny kongres *Trades Unions* odbywał się w Dublinie, a prezydent czyniąc aluzję do obaw, które się objawiły, przemówił w te słowa: „Kongres ten nie przybył do Irlandyi, aby wojować z kapitałem. Gdybym myślał, że tak będzie, nie byłbym tu obecny“! Przemówienie to przyjęte zostało hucznymi oklaskami.

Na kongresach robotniczych w Anglii, można dziś słyszeć gruntowne, spokojne i poważne dyskusye nad projektami praw i norm interesów socyalnych. Kiedy prawo jakie, dotyczące pracy, weszło w życie od pewnego czasu, odczytują na zebraniach sprawozdania o sposobie, jakim to prawo funkcjonuje i jak należałoby

je zmodyfikować. Jeżeli bil jaki zostaje przedłożony w Parlamencie, ukazuje się też bezzwłocznie na porządku dziennym kongresu, który go rozbiera, krytykuje i ulepsza w najdrobniejszych szczegółach. A ulepszenia te, opracowane w ten sposób przez samych robotników, były nieraz przyjęte przez Parlament. Można powiedzieć, że w większej części obecne prawodawstwo pracy w Anglii, jest dziełem samych robotników. Łatwo pojąć, jak skuteczne muszą być prawa w ten sposób przygotowane. Darmo Parlament tworzyłby dobre prawa; aby były skuteczne, muszą ci, których to obchodzi, ocenić ich doniosłość i potrzebę. Ten postulat urzeczywistnił się w Anglii, ponieważ robotnicy, zamiast napróżno tracić czas na czczych deklamacjach, starają się obeznać z prawodawstwem. Nikt się nie domyśla powszechnie, z jakim wytrwałym zapalem oddają się tym studyom.

W r. 1880, główną kwestyą — a było ich wiele innych na porządku dziennym — była kwestya odpowiedzialności patronów pod względem przypadków, mogących spotkać robotnika. Prawodawstwo angielskie w tym przedmiocie pochodziło od Karola II. Było ono bardzo wadliwe i niedostateczne. I tak patron czyli przedsiębiorca obowiązany był zapłacić odszkodowanie pieniężne robotnikowi, który poniósł szwank na zdrowiu, ale w takim tylko razie, kiedy sam patron był osobiście tego obrażenia przyczyną; jeżeli zaś zawinił inżynier jego lub dozorca i spowodował ów wypadek, patron nie był obowiązany do odszkodowania. Skutek był taki, że w drobnym przemyśle, gdzie patron pracuje razem z robotnikami swymi, robotnicy otrzymywali odszkodowanie w razie wypadku; w większym zaś przemyśle, gdzie patron przebywa w biurze, nie mieli robotnicy prawa do niczego. Powstawała z tego anomalia nie do uwierzenia: na mocy prawa zwyczajnego, obcy, zwiedzający fabrykę lub przechodzący koło niej ulicą, otrzymywał zadośćuczynienie w razie wypadku, podczas gdy robotnik fabryczny nie dostawał najmniejszego odszkodowania w podobnym razie.

Od roku 1874, Związek robotników kolei żelaznych zajął się tą kwestyą. W roku 1875 rozprawiał nad nią kongres Glasgowski; a odtąd co roku była ona na porządku dziennym i obrabiano ją wszechstronnie. Nareszcie w roku 1880 nowe prawo w tej mierze zostało uchwalone; wszakże nie odpowiadało jeszcze słusznym życzeniom ro-

botników. Poddawano więc je krytyce na zgromadzeniach, wykazywano punkta, wymagające ulepszeń, i występywano z tem co roku, w latach 1881, 1882, 1883, 1884, 1885, 1886, 1887 — aż do chwili, kiedy kilku członków Parlamentu przedłożyło odpowiedni bil, a w ciągu dyskusyi rząd zastąpił go własnym projektem. Robotnicy angielscy okazali przy tej sposobności zadziwiającą wytrwałość i rozumienie interesów. Przy każdym punkcie, nad którym rozprawiano w Parlamencie, przedkładali sprawozdania, noty ministrom, urzędnikom, wpływowym członkom izby. Domagają się audyencyi, przedkładają swój system, wyłuszczają swoje argumenty; wiedzą doskonale czego chcą; informacye mają dokładne i szczegółowe; propagandę rozwijają nieustanną, niczem się zniechęcić ani znużyć nie dają.

Na każdym takim kongresie rozbiera się też mnóstwo innych kwestyj. I tak np. skonstatowano, że paki wełny sprowadzanej z Oceanu, zawierają krew i inne nieczystości organiczne, które rozkładając się, sprowadzają zakaźne choroby. Okoliczność ta dała powód do sformułowania nowego wniosku. Pękania kotłów parowych sprawiają wiele nieszczęść; robotnicy domagają się zatem obowiązkowego nadzoru kotłów. Zajmują się oni uregulowaniem pracy i czynią obserwacye nad sprawozdaniami inspektorów. Kwestya spółek pracy stanowi przedmiot rozprawy. Ustawę tyczącą patentów wynalazków, osadzili robotnicy za zbyt uciążliwą; wymaga ona płacenia zbyt wysokich taks; żądają więc zniżenia taks i zasięgają w tej mierze opinii Izb handlowych; badają prawo amerykańskie o własności przemysłowej. Sądownictwo jest też szerokiem polem do licznych wniosków; robotnicy chcieliby uzyskać kodyfikacyę praw karnych i tych, które się odnoszą do mniejszych uszkodzeń. Prawa organizujące sądy przysięgłych, wymagają ich zdaniem modyfikacyi, i trzeba by ustawę summarycznego sądu, istniejącą tylko dla Anglii, rozciągnąć także na Irlandyę i Szkocyę i t. d.

Ale troskliwość Kongresu rozciąga się nie tylko do stosunków prawodawczych; nie zaniedbuje on niczego, co tylko ma bliższy lub dalszy związek z interesami *Trades Unions*. Szkoły zakładane przez Kościół anglikański używały pewnej książki, wyrażającej się niekorzystnie o *Trades Unions*. Jeden zwłaszcza ustęp

najbardziej rażący zawierał: „że osoby, należące do związków robotniczych, wchodzą same pod jarzmo tyranów; że ci nie pozwalają im używać według upodobania zdolności umysłowych, sił i zręczności; że wszelkie nieposłuszeństwo względem hersztów bywa surowo karane, a nieraz i śmierć za sobą pociąga. Otóż delegaci *Trades Unions* udali się do arcybiskupa Kanterburskiego, przedłożyli mu swe uwagi i uzyskali od niego nie tylko zapewnienie, że książka ta nie będzie więcej drukowaną, ale też wycofanie wszystkich egzemplarzy, będących w obiegu. Ale też robotnicy ci objawiają publicznie religijne swe uczucia. „Podobało się miłościwej Opatrzności, mówi prezydent Kongresu Dublińskiego, że tego roku chleb był tańszym, niż lat poprzednich, i myślimy, że taż Opatrzność zapewne chciała, by ten Kongres przyszedł do skutku, w celu polepszenia losu ludności pracującej królestwa“. W dalszym ciągu p. Ingram oświadcza co następuje: „Bez własności, nie może istnieć ani silna do pracy podnieta, ani wytrwałość w pracy, ani przezorna oszczędność. Niezależność zaś w używaniu kapitału jest również potrzebną jak i posiadanie tegoż. Nie może być armii bez oficerów i bez wojska, a organizacja przemysłowa jest równie godziwą i słuszną w zasadzie, jak organizacja wojskowa. Istnienie klasy kapitalistów i zachowanie jej niezawisłości potrzebnem jest dla dobra ogółu“.

Krótki ten ustęp niezrównanym jest pod względem zwięzłości i dosadności. Stoi on za cały wykład o ekonomii politycznej.

Z Malty.

III.

Rząd na Malcie. — Gubernatorowie. — Starania o nadanie konstytucyi. — Izby rządzące. — Wyborcy i deputowani. — Radość z powodu ogłoszenia konstytucyi. — Usposobienie partyj i stronnictw. — Posiedzenia parlamentu. — Ministerstwo maltańskie. — Finanse. — Pensye. — Export — import. — Zbiory. — Rolnictwo. — Owoce. — Uprawa roli. — Życie rolnika. — Klasy w ludności.

Wypami Malta, Gozo etc. rządzi w imieniu Jej Król. Mości, władczyni wielkiej Brytanii, gubernator wojskowy, którym

bywa zwykle jeden z wyższych generałów armii, zasłużonych w kraju. Takim to dostaje się gubernatorstwo na Malcie, jako *panis bene meritus*. Od czasu zajęcia wyspy pod berło angielskie, siedemnastu takich wielkorządców przesunęło się na gubernatorstwie, z których wielu długie lata sprawowali tu rządy, inni zwłaszcza w ostatnim lat dziesiątku dość często się mieniali. Imiona ich z datą przybycia i latami rządów, wyryte są na marmurowej tablicy u wejścia na pierwsze piętro palacu W. Mistrzów.

Każdy taki gubernator posiadał absolutną władzę, był to sobie mały królik w całym tego słowa znaczeniu, mimo to nie byli satrapi w rodzaju Bergów, Dretlenów, Kochanowów, ale każdy z nich był to Anglik cywilizowany, ludzki i rozumny. Inna rzecz, czy rządy ich były pomyślne dla wyspy; co do tego sami Anglicy przyznają, że gubernatorowie ich w tym względzie nie wiele sobie zadawali pracy. Im więcej leżało na sercu wykształcenie wojska, utrzymanie portów i fortyfikacyj w dobrym stanie, niż dobrobyt mieszkańców, rozwój handlu, oświata ludu etc. Wyszczególnił się jednak stanowiąc wyjątek w tej mierze John Gaspard le Merchant, gubernator od 1858 do 1864. Za jego rządów i z jego inicjatywy podjęto wiele robót publicznych i reform administracyjnych dokonano. On to rozszerzył port główny, ulepszył wodociąg, i t. d. Maltańczycy przez cały czas panowania angielskiego, zadowoleni byli z ich rządów i prawdę mówiąc nie mieli przyczyny narzekać. Napis znajdujący się na odwachu głównym na prost palacu gubernatorskiego:

*Magnae et Invictae Britanniae
Europae Vox et Melitensium Amor
Has Insulas Confirmant.*

był istotnie wyrazem ich uczuć, a nie błagą w rodzaju adresów do cara. Przyzwyczajeni byli Maltańczycy oddawna, bo jak pamięć ludzka i historia sięga, do obcych rządów. Po dwuwiekowem z górą panowaniu zakonu, które podniosło wyspę pod każdym względem, krótkie, ale despotyczne rządy Francyi, gwałcących ich uczucia religijne i przywileje odwieczne, pozwoliły im ocenić zmianę i powrót do dobrych dawnych czasów, odkąd Anglicy przybyli, jako nowi panowie wyspy.

Zrazu rząd ten był wojskowo-biokracyjny i składał się z samych Anglików bez najmniejszego udziału krajowców, z czasem jednak następowały zmiany. I tak w roku 1835 ustanowiono pierwszą radę rządzącą, do której obok czterech członków officialnych weszło trzech krajowców. W następnym zaraz roku zjechało tu dwóch komisarzy królewskich na zbadanie żądań mieszkańców, w skutek czego nastąpiły nowe zmiany, zwłaszcza w miejscowej administracji. Zniesiono wówczas cenzurę, zorganizowano opłaty cłowe i instytucje miłosierne, kilka synekur zniesiono, krajowcom przyznano prawo do piastowania wielu urzędów publicznych, szkoły na koszt rządowy otwarto, przytem zmiany radykalne nastąpiły w sądowniczej procedurze i policyi, którą na wzór angielskiej urządzono.

Ale powoli i te zmiany nie zadowalniały Maltańczyków. Podobnie jak ta żaba w bajce, co widząc, że konia kuja, podniosła nogę, tak i oni zapragnęli konstytucyi i parlamentu, podobnie jak się rzecz ma w Anglii. Nuż tedy ślać prośby i deputacye do tronu: dajcie nam konstytucyę, dojrzelіśmy politycznie, sami możemy się rządzić. Ale rząd w to nie wierzył, i uważał ich zawsze za małoletnich, o życzeniach ich rad był wiedzieć, wiele z nich zadawałniał, ale usamowolnić ich nie myślał. Po wielu naleganiach atoli, stworzył im w r. 1863 radę nową rządzącą, w której skład wchodziło dziesięciu wojskowych, a ośmiu przedstawicieli ludu. Rzecz naturalna, że przewaga była po stronie Anglików, za gubernatorem stało jak jeden mąż dziesięciu i zawsze przegłosowali krajowców. Usiłowania rządu w ostatnim dziesiątku lat, w celu zaprowadzenia języka angielskiego roznamiętniły ludność, to też od r. 1880 sypały się coraz liczniejsze zażalenia, i szły coraz gęstsze deputacye do Londynu. Mimo ciągłych odmów nie wyczerpała się stałość Maltańczyków, a brakło jej wreszcie synom Albionu. Po pięcioletnim walnym szturmie, wyszedł dekret z dnia 12 grudnia 1887, dający maleńkiej wyspie Malcie łącznie z Gozo i Komino to, o co daremnie kolaczą przez lat wiele Szkocya i Irlandya — dano im konstytucyę w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Targu dobiła ostatecznie z ministrem kolonialnym, ostatnia deputacya złożona z dwóch adwokatów, z których jednego zważ tu Parnellem Maltańskim.

Na mocy tego dekretu powstały: „Izba prawodawcza“, *the*

Council of Government, parlament maltański, który tu nosi nazwę *Consiglio legislativo* i „Rada wykonawcza“ *the executive Council*, coś w rodzaju ministerstwa *Consiglio esecutivo*.

Izba prawodawcza składa się z dwudziestu jeden członków, tj. gubernatora jako prezydenta, sześciu członków oficjalnych i czternastu przedstawicieli ludu. Liczbę członków oficjalnych stanowią: sekretarz gubernatora, adwokat koronny i czterech innych piastujących urząd państwowy, a którymi obecnie są: jeden z głównych jenerałów, audytor generalny, superintendent prac publicznych i kontrolor instytucji miłosiernych, które tu pod opieką rządu zostają.

Prócz dekretu z grudnia 1887 r., który przypisał krajowców do udziału w rządzie, wyszedł drugi w dniu 19 marca następnego roku, dzielący wyspę na 10 okręgów wyborczych (9 na Malcie i Gozo), resztę zaś dopełniającą liczbę 14 mają dostarczyć pojedyncze stany: 1) Duchowieństwo, 2) magnateria tutejsza, 3) laureaci uniwersytetu, 4) bursa kupiecka. Wyborów atoli pierwszych dokonano dawnym systemem przez *scrutin de liste*, podział bowiem na okręgi wyborcze nie przyszedł jeszcze do skutku.

Wedle tego dekretu, każdy może być zarejestrowanym w księgi wyborcze i mieć prawo głosowania, kto posiada obywatelstwo angielskie, przekroczył 21 rok życia i zdolnym jest do zasiadania na ławie przysięgłych; albo kto płaci rocznego najmu 6 funt. szter. lub też tyle pobiera za wydzierżawienie własnej posiadłości. Innych kwalifikacji się nie wymaga, to też przy ostatnich wyborach na 10.627 wyborców, 7000 było nieumiejących ani pisać, ani czytać.

Aby zaś zostać deputowanym, potrzeba coś więcej, jak być wyborcą. Taki musi udowodnić, że posiada czystego majątku, nieczem nie obciążonego, przynajmniej 100 funt. szt., albo, że płaci rocznego najmu 10 funt., albo za wikt i mieszkanie co najmniej 40 funt., lub wreszcie przynajmniej za samo mieszkanie 10 funt. Czterej zaś deputowani z pojedynczych stanów, muszą się wykazać dochodem rocznych 60 funt. szt., albo płaceniem renty rocznej w tej wysokości za dzierżawę.

Ogłoszenie konstytucji przyjęto z nadzwyczajnym entuzjazmem i radością. W najbliższą niedzielę urządzono pochód, na który

zebrały się wszystkie miasteczka i osady, każda z choragwią na czele do Valetty, która wystąpiła odświętnie, kamienice przybrano we flagi, okna przystrojono dywanami i zielenią. Kilkudzieścio-tysięczny tłum ruszył od Porta Reale na plac S. Giorgio przed pałac gubernatora. Tu odbyło się kilka mówek, ale ma się rozumieć w języku maltańskim. Anglicy byli trochę w strachu, czy nie będzie jakiej demonstracyi przeciw gubernatorowi, poza którego plecami wywalczone konstytucye. Tymczasem po skończeniu mów, naraz opadły kapelusze i zabrzmiał hymn: *God save the Queen*, i w tejże chwili ukazał się na ganku gubernator w pełnym uniformie jeneralskim, witając najuprzejmiej ludność i kłaniając się na wszystkie strony. Po skończonym hymnie, zabrzmiały wiwaty na cześć gubernatora i cały tłum w największym porządku ruszył dalej przez Valettę, żeby uczestniczyć w ogniach sztucznych i illuminacyi, którymi się tu kończy każdy obchód uroczysty.

Wybory pierwsze nie obeszły się bez krzyków, szkalowań po gazetach i przekupstw. Z urny wyszli wyłącznie mieszkańcy Valetty; zrazu nie zważano na to, ale z czasem spostrzeżono, że zaufający zawodzą oczekiwania ogółu, mając głównie dobro Valetty na oku, to też skarg na nich pełno dziś po dziennikach.

W początku jedno uczucie wszystkich ożywiało i łączyło: „dobro kraju pod każdym względem!“ ale z czasem i to hasło spowszedniało, zarysowały się stronnictwa i pierwotna zgoda ustała. Ale partye te i stronnictwa nie są jak gdzieindziej, wpływem przekonań religijnych lub politycznych, lecz są one więcej prywatnej natury. Nie ma między nimi liberalów skrajnych i umiarkowanych, ale wszyscy są konserwatyści, tylko jedni popierają p. X. drudzy p. Y. Nie ma tu wreszcie rządowców, rząd bowiem stoi zupełnie na uboczu, tak dalece, że w kwestyach skarbu ani gubernator, ani żaden z członków oficjalnych nie ma głosu. Anglicy dali im konstytucyę i czekają co z tego będzie, czyli jak się wyraził jeden z najwyższych dygnitarzy: mają teraz powróż, mogą się zadzierzgnąć i powiesić.

Czynność swą rozpoczął parlament w październiku zeszłego roku, odbywając swe sesye raz w tydzień, w pałacu gubernatorskim, w dawnej sali audyencyonalnej W. Mistrzów. Sesye są publiczne, ale dla szczupłości miejsca, 30 tylko z publiczności może

z uzyskanym biletem, przysłuchać się talentom krasomówczym swoich rodaków. Odbywają się one przeważnie w języku włoskim, to też gubernator i wielu z członków oficjalnych siedzą na nich, jak na tureckim kazaniu, a *vice versa*, kiedy gubernator przemawia, pouczony przez sekretarza o co rzecz idzie, niejeden z członków parlamentu słyszy słowa, ale o sens musi się dopytać chyba u sąsiada. Uchwalone prawa z sankcją gubernatora, ogłasza miesięczna gazeta urzędowa, gubernatorowi jednak przysłuża *veto* przeciw uchwalonemu przez większość głosów prawu, a wtedy rzecz cała musi się obić o tron. Prace swe rozpoczął parlament rewizją praw dotychczasowych; — i z wielkiej chmury mały deszcz — po wielkich debatach zmodyfikowano kilka paragrafów, dotyczących się urodzin, śmierci i separacyi małżonków.

Ministerstwo maltańskie czyli rada wykonawcza składa się z najstarszego generała, sześciu członków oficjalnych parlamentu, których nominuje J. Król. Mość, i nadto z trzech, przez gubernatora wybranych z liczby owych 14 deputowanych. Każdy z tych trzech pobiera rocznej pensyi 300 funt. szt. i tak długo jest członkiem rady wykonawczej, jak długo piastuje mandat poselski, wszystkim zaś członkom tej izby przysłuża tytuł: *onorevole*. Posiedzenia swoje odbywają oni w tejże samej sali, gdzie i parlament obraduje, ale bez udziału publiczności. Dwa razy co roku, obowiązany jest sekretarz gubernialny przesłać do tronu szczegółowy raport o czynnościach ubiegłego półroczu.

Finanse państwowe Malty jak dotychczas, są w stanie kwitnym, jakkolwiek wiele podatków u nas znanych, tutaj wcale nie istnieje. I tak nie masz tu gruntowego ani budynkowego, zarobkowy dosięga tylko kilka klas ludzi zawodowych, jak adwokatów i lekarzy, a z kupieckich przeważnie grocerzystów. Skarb zasila się głównie z dochodów cłowych, które przy znacznym imporcie poważną czynią rubrykę, rocznie do 150.000 funt. szt. Podatek zarobkowy i dochód z posiadłości rządowych, które tu trzecią część wyspy wynoszą, to drugie źródło; pierwszy przynosi do 25.000 drugi przeszło 15.000; dalej procent od kapitału ulokowanego w skarbie angielskim 14.000, poczta przeszło 8.000 funt. szt. rocznie, i inne pomniejsze, jak dochód z kwarantanny, pozwolenia i grzywny i t. d. Ale najlepiej się przekonać na cyfrach:

W roku 1885	dochodu	213.311	rozochodu	226.345
" "	1886	"	223.753	" 221.407
" "	1887	"	219.185	" 239.187
" "	1888	"	263.789	" 225.906 funt. szt.

Rok 1887 był nieszczęśliwy dla Malty, a to z powodu cholery, na którą wyłożył rząd do 15.000 funt. szt., za to rok przeszły wynagrodził sownie wydatki lat poprzednich.

Najglówniejszym wydatkiem skarbu są tu bezprzecznie pensye. I tak gubernator pobiera rocznej pensyi 5000 funt. szter., z tych 3000 ze skarbu Malty; wicegubernator i sekretarz Gubernium 1600; asystent sekretaryatu rządowego 400; główny rządowy lekarz 450; asystent sekretaryatu w Gozo 350; superintendent portu 400; superintendent policyi 400; adwokat koronny 600; naczelnik sądu 1000; naczelnicy innych wydziałów, jak dyrektor wychowania publicznego, naczelnik robót publicznych, naczelnik poczty 500. Lekarze obwodowi dzielący się na dwie klasy, pobierają w pierwszej klasie od 80—140 funt. szt. z dodatkiem co dwa lata 10 funt.; w drugiej 50—70, z dodatkiem co drugi rok 5 funt.

Urzednicy dzielą się na cztery klasy. Pierwszej klasy pobierają 190—250 z rocznym dodatkiem 10 f.; w drugiej od 130 do 180 z dodatkiem 5 f. corocznie; w trzeciej 90—120 z dod. 5 f.; w czwartej 60—80 z dod. 4 f. sz., zostający w praktyce i nadliczbowi 60 rocznie, pisarze i dyurniści dziennie 2 szyl, 6 penn. Na utrzymanie wojska płaci Malta corocznie do skarbu koronnego 5000 f. sz.

Malta, jakkolwiek Anglicy w raportach urzędowych, almanachach i jej opisach, przyznają, że jest *high cultivated*, mimo to w obec przeludnienia, jakie tu panuje, sama wyżywić się nie zdoła. A nietylko więcej tu gęb, jak chleba, ale i brak wielu artykułów do życia codziennego niezbędnych. Tego dostarczają tu prócz Anglii inne kraje. I tak bydło a zwłaszcza woły nadsyła Odessa; nierogaciznę i baraninę Odessa, północna Afryka i Włochy; naftę po części Ameryka, po części Rosya; węgiel Anglia; Włochy, drzewo na opał i wyrób; drobiu wreszcie dostarcza Turcya.

Ale, aby mieć dokładne wyobrażenie o imporcie tutejszym, oto statystyka jego z roku 1887:

Piwa	baryl ¹		48.936
Spirytusu	"		19.860
Octu	"		1.131
Wina lepszego	"		1.743
" podlejszego	"		208.339
Oliwy	"		61.661
Pszenicy	salm		101.642
Zboża różnego	"		35.568
Różnych nasion	"		43.603
Ryżu	"		5.524
Kartofli	"		61.661
Mąki	kafiz		27.753
Nafty	skrzynek		49.978
Węgla kamiennego	ton		379.518
" drzewianego	salm		37.175
Drzewa opałowego	kantar		57.942
Wołów	sztuk		15.469
Koni	"		478
Nierogacizny	"		3.328
Baranów	"		4.385
Drobiu	"		40.949

Wiele z tych artykułów, jak mięso, piwo, a po części spirytus, konsumują prawie wyłącznie Anglicy, których tu prócz wojska i floty, jest przeszło 1500. W zamożniejszych tylko familiach maltańskich znajduje się mięso na stole, niższe klasy i lud nie kosztuje go nieraz przez całe życie.

Eksport o wiele mniejszy i ogranicza się głównie do produktów rolnych i owoców. W tymże samym roku wywieziono z Malty:

Kartofli	kantar		218.986
Czosnku	"		271
Cebuli	"		50.686
Cebulki	"		426

¹ Baryla = $9\frac{3}{4}$ gallonów cesarskich. — Salma = 1 quarter Kantara = 175 liber angielskich. — Kafiza = $11\frac{1}{2}$ gall. cesars.

Kukurydzy	kantar	. . .	4.840
Cytryn	tuzinów	. . .	16.680
Pomarańcz	„	. . .	260.030
Mandarynek	„	. . .	7.390
Bawelnianej materyi	kan ¹	. . .	10.396

Oto i wszystko, czem Malta może się podzielić z innymi krajami, resztę: Maciek zrobił, Maciek zjadł — konsumuje się w kraju. A zbiory tu wcale piękne, jeśli tylko nie ma nadzwyczajnej posuchy, i dwa razy do roku. Pierwszy bywa w maju i ten zwie się zimowy, zwykle jest on obfitszy; drugi zaś w listopadzie, często dla zbytnej posuchy niedopisuje, ale za to kartofle w tym czasie bywają smaczniejsze i droższe. Ze zboża sięją tu głównie żyto, przenieć i jęczmień, ten ostatni przeważnie dla koni i bydła i to w szczególniejszy sposób. Na roli, która zwykle nie bywa wielką, kopią dolki, jeden przy drugim i w te wysypują po garstce jęczmienia. Kiedy podrośnie, wrywają go razem z korzeniami, otrzepawszy wprzód pilnie ziemię i świeży we wiązках idzie na targ lub dla własnego bydła. Każdy Maltańczyk mający konia, muła lub osła, trzyma zawsze na koźle pęk takiego jęczmienia, którym żywi swe bydle przez cały dzień, dając mu od czasu do czasu po parę ździebeł. Na roli zaś w ten sposób oczyszczonej, sadzą zwykle kartofle lub jarzyny, nie sprawiając jej zupełnie, nie kopiąc powtórnie, ani orząc.

Prócz zbóż i kukurydzy, hodują tu wszelkie rodzaje jarzyn i ogrodowizny, a zwłaszcza kalafior, kalarepę, selery, salate, groch i kapustę; marchew im nie dopisuje, to też sadzą jej mało. Bobu sięją dosyć, ale ten uchodzi tu za owoc, gdyż jedzą go zielony w strączkach, trochę tylko zostawiając na nasienie.

Często wśród zielonych pól i ogrodów warzywnych uderza oko przechodnia łan bujnej zieleni, wznoszącej się kilka stóp ponad ziemię, a okrytej prześliznym szkarłatnym kwiatem. Co to? spytasz mimowoli. To *sulla* rodzaj naszej konieczyny, z paszy dla bydła to artykuł najdroższy i najstaranniejszej uprawy wymagający, a dający raz tylko plon do roku. Tej, kiedy zielona, nie zrywają, chyba

¹ Kanna coś więcej jak 2 yardy prawie dwa metry.

w największej potrzebie, ale skoszoną suszą, a wtedy mała wiązka kosztuje 7 pennów.

Z owoców, gruszek, jablek, śliwek nie ma tu wcale, dostarcza ich Sycylia i bywają bez porównania gorsze od naszych. Tutejsze owoce to pomarańcze, cytryny, granaty, figi, owoce kaktusów tak zwane figi indyjskie, nespole i melony. Winograd hodują, ale jako owoc. Tłoczenie wina nie opłaciłoby się w obec wina sycylijskiego, którego litr kosztuje 1 penna. Z pomarańcz, poszukiwane są zwłaszcza za granicą, tak zwane mandarynki i „krwawe“, wynikające z połączenia pomarańczy z granatem. Poziomki nasze leśne dość często spotkać można po ogrodach.

Uprawa roli dzieje się tu w sposób bardzo jeszcze prymitywny. Narzędziem rolniczym to zwykle motyka, której żelazo dłuższe i węższe od naszej, a bardziej ostro zakończone. Niektórzy mają i plugi, ale konstrukcyi u nas niewidzianej, takimi orano chyba przed potopem świata. Plug tutejszy składa się z kawałka drzewa kwadratowego na łokieć długiego, którego koniec ociosany i spłaszczony, okuty jest żelazem i ostro zakończony. W ten wbite są dwa grube drążki, na przodzie jeden, przy którym wałka do zaprzęgu, drugi wygięty z tyłu do trzymania i kierowania. Nieraz myślałem sobie, coby też powiedział nasz Maciek, lub Wasylko, gdyby mu taki plug pokazać. Ot poskrobałby się w głowę, splunął na ziemię i spytał: „Z przeproszeniem w. pana, a na co to zwierzę“? A cóż dopiero gdyby się przypatrzył, jak oni nim manewrują. Każdy nasz mazur, gdyby ujrzał parobka swego tak plug prowadzącego, przyskoczyłby doń z pasyą i grzmotnąłby go w kark „że mu ziemię tylko ryćka, a nie rusza gruntu“ — ale z drugiej strony i to prawda, że nasz plug utykałby tu co chwila na skale i po jednym użyciu zniszczyłby się do szcztetu. Do żniwa służy sierp, jak u nas, ale młocka ta odbywa się tu jeszcze starotestamentnym sposobem, muł lub krowa póty depta po zbożu, póki się nasienie nie wyluszczy.

Ale i to przyznać potrzeba, że rolnik maltański starannie pielęgnuje swe pole. Od świtu on jest w pracy. Na wsiach lud wstaje o trzeciej z rana, o pół do czwartej idzie na mszę św., a potem do pola, z którego nie wraca, aż nad wieczorem. Dzień schodzi mu za plewieniem i okopywaniem, stąd też każda rola wy-

gląda tu czysto, nie masz na niej najmniejszego chwasta, lub kąkolu. Rolnik wychodząc z domu, bierze swój posiłek z sobą i śniada po raz pierwszy około dziewiątej, po raz wtóry około dwunastej. Chleb, kawałek owczego sera i garstka bobu świeżego lub inny owoc, oto pożywienie jego przez cały dzień. Około piątej kończy on swe roboty i powraca do domu na obiad, który składa się z jarzyn gotowanych, chleba z oliwkami i wina. Po wieczerzy mówią zwykle różaniec, a potem zaraz idą spać. Zmianę w jego życiu jednostajnem przynosi niedziela, którą rozpoczyna rauną, jak zwykle mszą św., a potem przepędza ją na pogadance przed kościołem, domem, lub też na ulicy. Popołudniu zwłaszcza w święta lub uroczystości familijne schodzą się krewni i przyjaciele razem na ucztę, która w takim razie składa się prócz chleba, oliwek i wina, ze *stufatto*. Stufatto jest to mieszanina wszelkiego rodzaju jarzyn ze sporą ilością cebuli, a dla zapachu z hojnym naddatkiem pieprzowej mięty i liści laurowych. Widelców i łyżek nie używają oni przytem wcale, pięć palców od Boga danych, zastępują im wszelkie narzędzia w tej mierze przez ludzi wymyślone.

Ale sama rola nie wyżywiłaby rolnika i jego zwykle dość licznej rodziny. Gospodarz mający konia lub muła, rusza zwykle na zarobek, najmując się do zwózki kamieni na budowle, w porcie do przewożenia towarów lub też wiezie jarzynę i owoce z roli zebrane na sprzedaż do miasta i przedmieść. W tym celu wybierają się zwykle gromadnie i wyruszają około północy z domu długim szeregiem wózków. Jadą oni zwykle wolno, kończąc na drodze rozpoczęty w domu spoczynek; pierwszy jedynie woźnica obowiązany jest czuwać, co mu się nie zawsze udaje, to też zdarzyło się nieraz, że jakiś psotnik zawrócił pierwszego muła i cała kalwakata przed świtem rozbudziła się przed swoim domem, nie wiedząc co się z nimi stało.

Wedle spisu ludności z roku 1887 klasa rolnicza liczy 15.990, wynosi więc dziesiątą część ludności. Daleko liczniejszą jest klasa przemysłowców, ta bowiem liczy 31.125 i obejmuje wszelkie rodzaje rękodziel i gałęzie przemysłu. Z rękodziel najwyżej stoją: złotnictwo i wszelkie wyroby jubilerskie, wyrób koronek, kamieniarstwo i wyroby różne z terakoty. Fabryk posiada Malta dwie: jedna zajmuje się wyrobem cygar i tytoniu, którego liście zwożą

tu ze wszystkich stron, a przedewszystkiem z Turcyi, Grecyi i Egiptu, druga zaś jest zajęta wyrobem zapalek na sposób szwedzkich. Tu należą także rybacy, a tych sporo jest na Malcie — morze to ich żywioł. Rano ledwo świt, a morze roi się od łódek rybackich, którzy puszczają się na daleką nawet przestrzeń i w czas tylko największej burzy, nie widać ich na morzu.

Liczną jest równie klasa kupiecka, liczy ona bowiem 21,636. Obejmuje ona prócz kupców na wielką skalę, ogromną liczbę grocerzystów i trafikantów tytoniu, których pełno tak w Valetcie jak i po miasteczkach i osadach, w połączeniu zwykle ze sprzedażą wiktuałów. Najciekawszą atoli jest klasa *incantatorów*. Tylu i tak wykonujących swój zawód, nie ma na całym południu. Przez boczne ulice Valetty a wszystkie drogi miasteczek i osad ciągnie przez cały dzień, najwięcej zaś rano, pełno wózków obładowanych różnym towarem: ten z jarzynami, tamten z węglami, inny z wyrobami blacharskimi, szklannymi i naftą, inny znów z płótnem i materiałami na odzież. Prócz tego przebiega ulice mnóstwo pieszych z koszem na głowie lub w ręce, w którym znajdują się oliwki, ryby lub owoce, a każdy co kilka kroków ogłasza swój towar i nie śpiewa jak mówi jego nazwanie, ale najczęściej wyje zachrypłym głosem. Nieraz łączą się te wrzaski w chór tak piekielny i denerwujący, że uciekałem z Valetty czempredzej a w pokoju zamykałem okna lub biegłem nad morze, byle tego nie słyszeć. Zresztą tu zawsze krzyk na ulicach, nie ma incantatorów, to wrzeszczy koziarz, a ten kilka razy na dzień, rano zbiera kozy po domach, ogłasza więc swe przybycie, w południe je przypędza z paszy i oddaje właścicielom; nie mającymi zaś kozy, na poczekaniu pochwyce pierwszą lepszą ze swoich kóz i przykucnąwszy na ziemi, do szklanki lub garnuszka udoi mleka. Po południu zbiera znów kozy na paszę, a koło piątej godziny następuje oddanie i doraźna sprzedaż mleka ze zwykłym akompaniamentem, drażniącym nerwy i uszy cudzoziemca, nie przywykłego do podobnych inkantacyj.

Najliczniejszą jest klasa wyrobników i w różny sposób zarobkujących. Do niej liczą się wioślarze, których łódkami okryte są tu brzegi obu portów. Łodzie ich obszerne i długie, w których zmieści się wygodnie 7—9 ludzi, steruje zwykle dwóch wioślarzy. Prócz maltańskiego języka, umieją oni zwykle trochę po angielsku.

Każdy z nich musi mieć taryfę, stosunkowo niską do ich pracy, za godzinę płaci się jednego szylinga, którą oni w braku zarobku sami zniżają, ofiarując swe usługi. Podobnie rzecz się ma z fiakrami, których tu przeszło dwa tysiące w samej Valecie. Wszystko jednokonki o czterech siedzeniach, z wierzchu zaś daszek wsparty na czterech słupkach, które można połączyć w razie deszczu lub upału firankami z ceraty. Zarobku głównie nastroczają im cudzoziemcy i Anglicy, ale za wiele ich w stosunku do tutejszych potrzeb, to też cudzoziemca zaczepia tu fiakier co kilka minut i idąc za nim nieraz dość długo prosi się, by mu dać coś zarobić. Kilka tysięcy ludzi ma znów stały zarobek przy składach węgla, które tu obok portu istnieją. Ciągłe masami z Anglii go przywożą, ale też i ciągle okręty przybywające z różnych stron świata zaopatrują się tu w ten artykuł. Inni pracują w porcie. W braku zarobku wielu najmuje się do tłuczenia kamieni i za cały dzień ciężkiej pracy wśród palącego żaru dostaje 6 pennów.

Klasa urzędników i ludzi zawodowych, liczy 4631. Samych lekarzy jest tu 114; jak się tu oni utrzymać mogą, to zagadka, której wyjaśnić nie umiem. Zważywszy tutejszą biedę, i to, że Maltańczycy nie zwykli chorować, taksa przepisana od rządu nader tu niska. I tak za wizytę wśród dnia, poczynawszy od wschodu słońca do zachodu, należy się 1 szyling, profesorowi zaś uniwersytetu 5 szyl., za założenie katetra 5 szyl., za szczepienie ospy 2 sz., za otworzenie wrzodu 3 penny! W lepszym już od nich położeniu są adwokaci, których tu także spora liczba bo 121, gdyż Maltańczycy pochopni są do procesów i zawsze w gazetach znajduje się długa lista różnych terminów. Dalej notaryuszów 64, kapitanów okrętowych, z których największa część jest w tem samym położeniu, co oficerowie z ostatnich naszych czasów z agreżą i bez agreży, z kompanią i bez kompanii, takich to kapitanów okrętowych jest tu 63, architektów 59, i t. d. — słowem ludzi zawodu naukowego jak na Malcie jest — zawiele. Ale z drugiej strony faktem jest, że żyją i rzadko który z nich myśli o przeniesieniu się gdzieindziej.

Ludzi prowadzących życie domowe jest 34.272. Tu zaliczyć trzeba magnateryę maltańską. Są to nieliczni potomkowie starych rodzin, których przodkowie zaszczytzeni zostali tytułem markizów, hrabiów lub baronów przez mistrzów zakonu lub panujących.

Wszystkich familij takich jest 28, między niemi 8 z tytułem markizów, 10 hrabiów i tyleż baronów. Majątek ich głównie polega w kapitałach i domach, a choć mają swe palace w Valecie, mieszkają zwykle po za nią w wilach pysznie wewnątrz i zewnątrz urządzonych. Trzymają oni powozy i konie, któremi wyjeżdżają wieczorem długim szeregiem nad morze, miasto kóz trzymają krowy, na co chudopacholka ani półpanka tu nie stać, synów kształcą często w Anglii, mają przeznaczone dni recepcyi zwykle jeden dzień w tygodniu, a w ogóle życie prowadzą na sposób angielskich panów. Prócz nich jest tu pewna liczba takich co z tytułem w kieszeni, dzięki zabiegom i pracy z lat młodszych, mogą prowadzić życie niezawisłe i wykwintne.

Ale takich szczęśliwców, co mogą spożywać dary Boże *in dulci otio*, nie potrzebując się oglądać za urzędem lub spekulacyą, bardzo tu niewiele. W ogóle najbogatsi są tu kupcy, speculanci, a zwłaszcza dostawcy różnych artykułów dla wojska. Maltańczycy żyją z pracy i zarobku, którego im nastręczają sporo Anglicy i cudzoziemcy. Pięć do sześciu tysięcy okrętów zawija tu rocznie do portu, a z tych przeszło trzy tysiące bywa okrętów kupieckich, a każdy tu w czasie swego pobytu coś grosza zostawi, zwłaszcza angielskie. Stąd też ile razy zawinie nad wieczorem okręt angielski do portu, jadący do Indyj lub z nich powracający, sklepy w Valecie zostają otwarte do północy, a łódkarze i fiakry mają sowity wówczas zarobek. A stały dochód jaki daje wojsko i flota, toż przecie niemałe źródło zarobku i spekulacyi dla mieszkańców Malty. Dzięki tylko zapobiegliwości własnej i tym sprzyjającym okolicznościom może się 160-tysięczna ludność utrzymać na tak niewdzięcznym skrawku ziemi, jakim jest Malta.

Czują to Maltańczycy dobrze, czem dla nich jest Anglia, a choć nieraz pozornie ciężą do Włoch, przyznając się do jednego pochodzenia z nimi i forsując w urzędach i życiu publicznem język włoski, to jednak w zaufaniu przyznają, że za żadną cenę nie chcieliby się dostać pod rękę Crispiego i jemu podobnych. Owszem niektórzy nawet jak słyszałem, nie bardzo byli radzi z konstytucyi, przeczuwając, że mogą się zmienić czasy i kiedyś miasto konserwatywnych pochwycą rząd liberali, a gwałcąc ich odwieczne tra-

dycye religijne i narodowe, wywróćą ten porządek i ciszę, jakie tu od wieków panują.

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujący list:

W pracy: „Kilka słów o Genezie Pedagogii“ spowodowanej moją Genezą Pedagogii zarzuca mi ks. Gadowski antikościelne stanowisko. Jest to nieporozumienie wynikłe stąd, że szanowny oponent identyfikując niejako scholastykę z Kościołem, czytał „Kościół“ wszędzie tam, gdzie ja napisałem „scholastyka“. Zwracam uwagę, że scholastyka — to nie zawsze św. Tomasz.

Rozprawa moja szkicuje dzieje Pedagogii od średnich wieków do Erazma Rotterdamczyka, upatrując w tych czasach genezę naszej, dzisiejszej europejskiej pedagogii. Co było przedtem, do mnie nie należy, bo wolno każdemu obrać sobie do opracowania okres dowolny, i dziwi mię wielce upatrywanie „złej woli“ w tem, że dopiero z średnimi wiekami zaczynam.

Szanowny oponent sądził, że moja rozprawa napisana jest na podstawie poglądów Raumera i Schmidta. Tak nie jest. Rozprawa ta nie przytacza żadnych nowych faktów, którychby nie znano już za czasów Schmidta, ale poglądy są całkiem inne, i dla tego właśnie ją napisałem, że poglądy Raumera i Schmidta na historję pedagogii i jej podział uważam za mylne. Wszystkie poglądy w pracy mej wyrażone, są moją duchową własnością, boć to są sprawy i zagadnienia przezemnie — o ile wiem — po raz pierwszy podniesione! Jedyne wyjątek stanowi opis stosunków włoskich, oparty na arcydziele Burckhardta: *Die Cultur der Renaissance in Italien*, które też dwukrotnie wymienilem.

Co do tych trzech punktów chciałem wytłumaczyć się przed szanownymi czytelnikami *Przeglądu powszechnego* i upraszam szanowną Redakcyę o łaskawe umieszczenie tego listu.

Dziękuję ks. Gadowskiemu, że mię przedstawił licznemu gronu czytelników tego *Przeglądu*, a On za złe mi nie weźmie, że poprawię pomyłkę w wymienieniu mojego stanowiska. Przedewszystkiem antikościelnym pisarzem nie jestem i nie będę.

Z poważaniem
Dr. Feliks Koneczny.

BISKUPSTWA I KLASZTORY POLSKIE

W X i XI WIEKU.

Dzieje początkowe każdego narodu przedstawiają liczne kwestye ciemne i zawile, nad rozjaśnieniem i rozwikłaniem których nieraz całe generacye usilnie pracują; i naszym dziejom ich nie brak, a jedną z najciemniejszych, ale zarazem i najciekawszych tego rodzaju kwestyj, jest zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce, oraz co ściśle z tym faktem się łączy, organizacya, którą sobie dla dopięcia swych celów stworzył Kościół w kraju dla wiary Chrystusowej co dopiero zdobył. Pochodzi to stąd, że współczesne źródła zagraniczne tylko nawiasowo i przypadkowo o nie potrącają, a krajowe, o ile istniały, prawie wszystkie zaginęły. Późniejsi autorowie, a mianowicie Długosz, podają dużo imion i dat, które jednak z mętnej wypływając tradycyi, nie we wszystkim zasługują na wiarę, albo jako produkt fantazyi, łączącej dowolnie odezwane podania i dopełniającej według własnego widzimisię to, czego źródła nie dopowiedziały, balamucą tylko i w błąd wprowadzają. Póki Długosza nie było można kontrolować, jego podanie o dwóch stolicach arcybiskupich w Krakowie i w Gnieźnie i o siedmiu biskupstwach polskich w Poznaniu, Wrocławiu, Kołobrzegu, Płocku, Wrocławku, Chełmnie, Lubuszu i Kamieniu, założonych to przez Mieszka I, to przez Bolesława Chrobrego, miało prawo obywatelskie w nauce, choć wcześniej już spostrzeżono, że zawiera fakta sprzeciwiające się innym świadectwom, których wiarogodność jest bez skazy.

Obok niego występuje starsza od niego kronika wielkopolska z twierdzeniem, że Bolesław Chrobry założył katedry gnieźnieńską, płocką, krakowską, wrocławską i lubuską; założenie zaś dyecezyi kujawskiej przypisuje ona jedna Mieszkowi II. Są to wiadomości, które jak nieomal wszystkie samodzielne zapiski tej kroniki, mieszczą w sobie więcej bałamuctw, aniżeli prawdy. Tylko o założeniu biskupstwa poznańskiego, podaje ona na podstawie roczników wiadomość prawdziwą.

Kronika mistrza Wincentego poucza nas tylko ogólnikowo, że Bolesław I *geminam metropolim instituerit et debitas suffraganeorum dioeceses utrique deputaverit ipsarumque dioecesium distinctiones certis limitibus insculpserit*.

Roczniki Traski i małopolskie przypisują założenie kościołów i klasztorów, biskupstw i probostw, oraz ich dotację znów Mieszkowi I. Inne roczniki i katalogi podają do historyi biskupstw bardzo ciekawe szczegóły, ale o ich założeniu nie mówią.

Wszystkie te wiadomości, o ile nie są naturalną kombinacją ich autorów, polegają przeważnie na jednym źródle, na najdawniejszej kronice naszej tj. kronice t. zw. Marcina Galla, tylko że je każdy autor na swój sposób tłumaczył i stósownie do stosunków swego czasu objaśnił, a tylko kronika wielkopolska podaje wiadomość skądinąd nieznaną o założeniu biskupstwa wrocławskiego.

Chcąc zatem pisać o pierwotnem założeniu biskupstw w Polsce, musimy się przedewszystkiem opierać na autorach współczesnych niemieckich, mianowicie na kronice Tytmara, biskupa merseburgskiego i na Gallu, który żył w czasie, gdzie jeszcze coś pewnego wiadano o dziejach Mieszka I. i Bolesława Wielkiego, a choć jego wiadomości są skąpe i bez ścisłych dat, to jednak zawierają cenne wskazówki, mogące niejednen szczegół wyświecić. I roczniki wielkopolskie podają niektóre szczegóły mogące nas interesować.

Na tych to źródłach opierali się także ci uczeni, którzy w ostatnich czasach pierwsi zabrali się do krytycznego opracowania tych stosunków, którym niniejsza rozprawka jest poświęcona, a mianowicie prof. Dr. Antoni Małecki, który im poświęcił obszerniejszą rozprawę w *Przewodniku naukowym i literackim* z roku 1875 pod tytułem: „Kościelne stosunki w pierwotnej Polsce“

i ś. p. ks. Korytkowski w wstępie do swego dzieła „Arcybiskupi gnieźnieńscy“. Największą zasługę na tem polu położył niewątpliwie prof. Malecki, który zburzywszy liczne błędy tradycyi, starał się pierwotne dzieje Kościoła polskiego na nowo odbudować na silniejszych aniżeli dotąd podstawach i to mu się w wielu razach szczęśliwie udało. Jeżeli pomimo to, pracę tę na nowo podejmuję, to dla tego, że od roku 1875 pod niejednym względem zmieniły się nasze zapatrywania, a pomniki nowo ogłoszone, pozwalają nam o niejednej kwestyi inaczej sądzić, aniżeli to przedtem było możliwem.

Z Mieczysławem I. Polska dotąd zachodniej Europie wcale nie znana, występuje na arenie dziejów świata. Cesarstwo rzymsko-niemieckie odgrywające od czasów Karola Wielkiego pierwszą rolę w Europie, jako największa ówczesna potęga świecka, dążyło naturalnym biegiem rzeczy do rozszerzenia swych granic. Gdy sobie słońdowało Czechy i wielką część Słowian nadłabskich, zbliżyła się chwila, gdzie potęga jego miała się dać uczuć i Polakom. Miało to miejsce w roku 963, w którym Wichman, krewny cesarza Ottona I, awanturnik i junak, jakich mało, borykał się z Słowianami pomiędzy Łabą i Odrą. Posuwając się naprzód natrafił na Słowian, których Licicavici nazywano tj. Lechami; w dwóch potyczkach zwyciężył ich króla Mieszka, zabił brata jego i odniósł lupy niemale.

W tym samym roku, ale trochę później, wyprawił się margrabia Gero z wojną do ziem słowiańskich Selpuli i Łużyc i do krain leżących między Sprową i Odrą, które podbił. Posuwając się dalej, przekroczył granice państwa polskiego i zniewolił Mieczysława do poddania się władzy cesarskiej i do płacenia haraczu od ziem aż po ujście Warty, co się, jak prof. Malecki słusznie zauważył, odnieść może tylko do posiadłości polskich na lewym brzegu Odry około ujścia Warty leżących.

Kłęski doznane w tak krótkim czasie przekonały Mieczysława, że i jemu grozi ten sam los, któremu już wiele szczepów słowiańskich uległo. Obdarzony jednak, jak widać, większą bystrością polityczną, postanowił wejść w stosunki z Czechami i oświadczyć się o rękę księżniczki Dobrawy, córki Bolesława I, księcia czeskiego, raz aby na wszelkie wypadki zapewnić sobie pomoc po-

bratymczego narodu, powtóre, aby przez dobrowolne przyjęcie chrztu zabezpieczyć się dostatecznie od zaczepek margrabiów niemieckich. Prosząc bowiem o rękę księżniczki chrześcijanki, wiedział z góry, że ją otrzyma tylko wtedy, gdy sam zobowiąże się zostać chrześcijaninem.

I tak się stało; ślub odbył się roku 965, a w roku następnym przyjął Mieczysław chrzest, rozumie się samo przez się, że razem z znakomitszymi swymi panami. Za przykładem księcia poszedł wnet naród, jak Tytmar, biskup merseburgski, w swej kronice zapewnia, a oboje księstwo przykładali się gorliwie do rozszerzenia nowej wiary¹.

Aby starania ich mogły mieć pożądaný skutek, na to było przedewszystkiem potrzeba księży i tej organizacyi, która Kościół czyni tak silnym. W tym celu założono naprzód biskupstwo w Poznaniu, a już roku 968 zasiadł Jordan na stolicy biskupiej; roczniki bowiem wielkopolskie podają zgodnie, że tegoż roku *Jordanus primus episcopus Posnanienis ordinatus est*.

Ponieważ biskupstwo poznańskie należało, jak na pewno wiemy, do archidiecezyi magdeburgskiej, zatem nie ulega żadnej wątpliwości, że Niemcy dostarczyły i biskupa i potrzebnego duchowieństwa. A gdy w dzień Bożego Narodzenia r. 970 Adalbert, arcybiskup magdeburgski, konsekrował Bożona merseburgskiego, Burcharda misieńskiego, Hugona ciecickiego biskupów, którzy w imieniu swoim i swoich następców ślubowali uległość metropolie, dołączono do ich grona biskupów Tytmara braniborskiego i Jordana poznańskiego². Być może, że Jordan przy tym akcie był obecnym.

Roku zaś 973 zwiedził, jak się zdaje, metropolita podległą sobie dyecezyę poznańską³.

Biskupstwo poznańskie, póki samo jedno było, obejmowało naturalnie całą ówczesną Polskę. Rozumie się samo przez się, że błogą działalność rozwinać mogło tylko w stronach najbliższych; że im dalsze ziemie, tem mniej miały sposobności korzystania z bło-

¹ Thietmar IV, 35.

² Thietmar II, 14.

³ Mon. Pol. hist. V. str. 878.

gosławieństw, które Kościół daje. To było i musiało być powodem, że jeszcze za Mieczysława założono drugie biskupstwo i to w Krakowie.

Do niedawna mniemano, że za panowania Mieszka, ziemia krakowska, czyli jak ją wielu mojem zdaniem błędnie nazywa, Chrobacya należała do państwa czeskiego i do biskupstwa praskiego. Wiadomość tę, którą czeski historyk Kosmas nam podaje, wysnuł tenże z dokumentu fundacyjnego biskupstwa praskiego, który, jak dziś powszechnie wiadomo, został około r. 1086 podrobiony i służyć miał samolubnym i ambitnym celom stolicy praskiej. Nie ma zatem żadnego powodu mniemać, jakoby ziemia krakowska wówczas jeszcze nie należała do dzierżaw polskich. Temu sprzeciwia się nie tylko tradycja przez historyków naszych nam przekazana, ale i fakt, że roku 981 Włodzimirz, książę kijowski, odebrał Lechom Przemyśl, Czerwień i inne grody, które książęta polscy tylko zdobyć mogli posiadając ziemię krakowską i sandomierską.

Skoro Polska czyli Wielkopolska miała stolicę biskupią w Poznaniu, słusznem i naturalnem było, aby Kraków jako stolica drugiej połowy państwa również miał swego biskupa.

Że zaś Mieczysław, a nie Bolesław założył krakowskie biskupstwo, wniesć można śmiało ze słów kronikarza naszego Galla, który dość wyraźnie przypisuje ostatniemu tylko założenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i biskupstw wrocławskiego i kołobrzecznego, (*ipse namque Selenciam* (tj. Szląsk), *Pomoranium et Prusiam usque adeo vel in perfidia resistentes contrivit vel conversas in fide solidavit, quod ecclesias ibi magnificas et episcopos per apostolicum, immo apostolicus per eum ordinavit*).

Ale mamy nadto inną jeszcze wskazówkę, że biskupstwo krakowskie założone zostało przez Mieczysława i to około r. 984.

W początkach roku 984 po śmierci cesarza Ottona II zaszleż dnia 7 grudnia 983, opuścił Henryk, książę bawarski, Utrecht, (Traiectum), gdzie pozbawiony wolności bawił pod dozorem biskupa Poppona¹. Tego Poppona nazywa Annalista Saxo biskupem utrech-

¹ Thietmar III, 15 i IV, 1.

skim, ale wiadomość ta polega na złem zrozumieniu tekstu Tytmarowego. W Utrechcie bowiem siedział wówczas na stolicy biskupiej Volkmar 977—991, a w Leodyum czasem Traiectum ad Mosam zwanem, był biskupem Notker 972—1007. Nie było w ogóle w owym czasie na całym obszarze państwa niemieckiego żadnego biskupa tegoż imienia, albowiem Poppo, biskup herbolitański, umarł, jak uczony wydawca kroniki Tytmara Lappenberg podaje¹, krótko przed Ottonem II. Ale choćby jeszcze żył, nie mogłoby być o nim mowy, bo nie byłby bawił daleko od swej dyecezyi w stolicy innego biskupa, aby dostojnego więźnia dozorować; mógłby to uczynić w własnej dyecezyi i w własnej stolicy; wszystkie te okoliczności spowodowały już Lappenberga do wyrażenia domysłu, że tu mowa o Popponie, biskupie krakowskim. Domysł ten zdaje mi się być bardzo trafny, mianowicie gdy przypuszczamy, że Poppo był dopiero nominowany, że przeznaczonej sobie dyecezyi jeszcze nie objął; wtedy też zrozumiemy, dla czego występuje tylko jako *episcopus* bez przymiotnika oznaczającego dyecezę. Po nominacji bawiąc jeszcze w Niemczech, zbierał niewątpliwie duchownych świeckich i zakonnych, aby mu towarzyszyli do Polski, bo bez nich nie mogło być w owym czasie mowy o jakimkolwiek skutecznem działaniu.

Gdyby więc tak było, a nie ma żadnych dowodów temu stanowczo się sprzeciwiających, potwierdziłoby to tylko nasze zdanie wysnute z słów Galla, a zarazem fakt, który właściwie z natury rzeczy sam wypływa.

Choć los nienawistny nie przechował nam żadnej notatki o wyposażeniu tych dwóch dyecezyj, któraby wskazywała zarazem i ich rozgraniczenie, to jednak skład ówczesnego państwa polskiego z jednej strony, a posag arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, które powstało właśnie na terytoryach tych dwóch dyecezyi, pozwalają nam z jak największą dokładnością oznaczyć ziemie w skład ich wchodzące.

Z góry zatem przypuścić należy, jakto z resztą inaczej być nie może, że biskupstwo krakowskie składało się przedewszystkiem z ziem krakowskiej i sandomierskiej wraz z Lubelszczyzną; oprócz

¹ Mon. Germ. hist. Script. III, 767, przypisek.

tego należały wówczas do niego według posagu metropolii gnieźnieńskiej¹ kasztelanie: sieradzka, spicimirska, rozpierska, łączycka i wolborska czyli późniejsze województwa: sieradzkie i łączyckie. Dyecezya krakowska obejmowała zatem to, co później nazywano Małopolską z wykluczeniem naturalnie województw ruskich.

Z tego wynika, że w skład dyecezyi poznańskiej wchodziła cała Wielkopolska wraz z Kujawami i Mazowszem, co się ściślej nawet da wykazać. Przedewszystkiem zatem należała do niej ziemia poznańska cała w ówczesnych granicach; dalej według bulli papieskiej z roku 1136, która właśnie zawiera uposażenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, kasztelanie gnieźnieńska, ostrowska, lekneńska, nakielska, łędzka, kaliska, czezramska i rudzka czyli późniejsze województwo gnieźnieńsko-kaliskie i ziemia rudzka czyli wieluńska. Że zaś i Kujawy i Mazowsze do niej należeć musiały, wynika stąd, że archidyaconat warszawski czyli pierwotnie czerski, rozciągający się po obu brzegach Wisły, aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej był jej częścią, co się wytłumaczyć da tylko w ten sposób, że to były ostatnie szczątki pozostałe przy Poznaniu po założeniu arcybiskupstwa i biskupstw plockiego i kujawskiego.

Póki nie istniało biskupstwo wrocławskie, obydwie dyecezye sięgały zapewne do Odry, ówczesnej granicy państwowej. Północno-zachodnia zaś granica biskupstwa poznańskiego około ujścia Warty była wtedy już jak i w czasach późniejszych bardzo chwiejna, raz mniejsza, raz rozleglejsza, stosownie do tego, czy książęta polscy robili zdobycze, lub czy takowe tracili.

To jest wszystko, co o zasługach Mieczysława I. względem Kościoła wiemy; umarł książę w wieku podeszłym po 29-letnim panowaniu błogiem dla kraju i społeczeństwa dnia 11 lub według innych 25 maja roku 992. Z synów jego jeden został zakonnikiem we Włoszech, gdzie przyjął imię Lambert.

Po Mieszku wstąpił na tron wielki jego syn Bolesław. Podczas gdy Mieczysław stawszy się lennikiem cesarzy niemieckich i chrześcianinem, bez oporu znosił nad sobą władzę państwa nie-

¹ Kodeks dypl. Wielkopolski I, nr. 7. Zdanie nasze uzasadnimy bliżej mówiąc o arcybiskupstwie gnieźnieńskim.

mieckiego i bez szemrania oddał swoje dyecezye w zależność od niemieckiego arcybiskupstwa magdeburgskiego, Bolesław genialniejszy od ojca, oraz woli silniejszej i wznioślejszej myśli, całe swe życie poświęcił zadaniu, aby siebie i kraj swój oswobodzić z pod zwierzchniej władzy cesarskiej i metropolity magdeburgskiego, co mu się także w całości udało.

Mówiliśmy już poprzednio, że za Mieczysława Szląsk tylko do Odry należał do państwa polskiego, zaodrzańska część jego z Wrocławiem była w posiadaniu Czechów; wynika to z wojny, którą Mieczysław roku 990 z Czechami prowadził. Tegoż roku bowiem odebrał im Mieczysław miasto Niemcy, położone nad drogą z Wrocławia do Nisy i stał się panem całego Szląska górnego. Potwierdza to także okoliczność, że dalsza walka toczyła się już odtąd w słowiańskich okolicach bardziej na północ położonych, gdzie Bolesław, książę czeski, z Łutycami się połączył, podczas gdy Mieszkowi w pomoc śpieszyli arcybiskup magdeburgski Gizeler i hrabiowie sascy. Gdy ciż podstępnie dostali się w ręce Bolesława czeskiego, żądał tenże, aby Mieszko za uwolnienie ich zwrócił mu kraj zabrany, *si regnum sibi ablatum redderet*, tj. niewątpliwie Szląsk górny. Ponieważ Gall przypisuje zdobycie Szląska Bolesławowi Chrobremu, przypuścić należy, że Bolesław właśnie nad górną Odrą dowodził, podczas gdy ojciec jego walczył nad środkową.

Tenże Gall donosi nam również, że Bolesław zdobył Pomorze; kiedy to się stało, o tem żadne wieści nas nie doszły. Roku 1000 Pomorze było już dość dawno w jego ręku, a roku 997 stanowił Gdańsk północną granicę państwa. Podbicie zatem Pomorza nastąpiło niewątpliwie już zaraz w początkach jego panowania, jeżeli Bolesław go nie zdobył jeszcze za życia ojca; albowiem już roku 994 był w stosunkach z królem szwedzkim Erykiem, za którego wydał swą siostrę Kunildę; prędko owdowiawszy, powtórnie poszła za mąż za Swena, króla duńskiego, któremu roku 998 wielkiego Kanuta wydała na świat.

Rozumie się przez się, że zawiązanie stosunków z krajami zamorskimi mogło mieć miejsce wtedy dopiero, gdy Bolesław był w posiadaniu brzegów morskich.

Aby w tych krajach nowo zdobytych tj. w Szląsku i na Pomorzu władzę swą silnie ugruntować, postanowił oprzeć ją na chrze-

ścijaństwie i duchowieństwie i w tym celu założył, jak Gall opowiada i Tytmar bliżej to określa, biskupstwa w Wrocławiu dla Szlaska, a w Kołobrzegu dla Pomorza. Pierwszym biskupem wrocławskim był Jan bliżej nieznany; kołobrzeskim zaś Reinbern, Niemiec z ziemi heskiej; był to człowiek uczony, który zostawszy biskupem gorliwie burzył świątynie pogańskie, a morze nieczystymi duchami zamieszkałe oczyścił, wrzuciwszy do niego cztery kamienie świętym olejem pomazane i wodą święconą pokropione.

O granicach pomorskiego biskupstwa nie nie wiemy, nie ulega jednak wątpliwości, że wschodnią jego granicą była Wisła.

O granicach biskupstwa wrocławskiego i jego wyposażeniu daje nam wiadomość bulla papieża Hadryana z dnia 23 kwietnia 1155, która się niestety nie przechowała w oryginale, lecz w odpisie skaleczonym i w wielu miejscach niezrozumiałym; nie ulega bowiem wątpliwości, że w nim opuszczono kilka wierszy, których brak zrozumienie tekstu dziś bardzo utrudnia. Jak w Płocku i w Gnieźnie, spisano i tutaj posag pierwotnej fundacyi¹ i to niewątpliwie tak szczegółowo jak w tamtych stolicach; bulla jednak te szczegóły opuściła i ogólnikowo się wyrażając podaje, jako bliższe objaśnienia tylko: *terras quoque cultas et incultas, servos et ancillas et caetera, quae iuste et legitime eidem ecclesiae pertinent* w kasztelaniach poprzednio wymienionych. Potem po wyrazach *forum de Trebnice, quod Circuice translatum est*, następują późniejsze nadania przeważnie osób prywatnych, z drugiej połowy XI i z pierwszej XII wieku; ustęp zaś końcowy *villas ecclesiae beati Johannis*, jest znów częstką pierwotnej fundacyi i zawiera dobra rozrzucone po całej dyecezyi. Tak wyjaśniwszy treść bulli, możemy już przystąpić do szczegółowego określenia tegoż posagu i zarazem granic dyecezyi; stanowiły je kasztelanie Ryczyn (między Brzegiem a Olawą), Cieszyn, Grodzice i Goleszyce w dzisiejszym Szlasku austriackim, Odmuchów, Grodzice, Warta, Niemcy,

¹ O znaczeniu zapisek tego rodzaju w dokumentach i bullach najdawniejszych mówiłem obszerniej w rozprawach: Dokument Konrada Mazowieckiego z r. 1203 (Przewodnik nauk. i lit. 1887, str. 249—294) i „Einige Bemerkungen über die ältesten polnischen Urkunden in Zeitschrift des Vereins für Geschichte u. Alterthum Schlesiens“. T. XXII. str. 151—166.

Grądzyn lub Gramolin, Grodzice, Strzygoń, Świny czyli Świdnica, Wlan, Godzinice, Sobolewsk, Głogów, Sierock i Milicz, w których biskupstwo posiadało liczne dobra; z nich jednak nadano biskupstwu w całości tylko kasztelanję odmuchowską i milicką — *ad usus fratrum supradictae ecclesiae deputatum cum pertinentiis*, targ w Trzebnicy — że przeniesiono go stąd do Cerekwicy, jest zapewne późniejszy dopisek — oraz 27 dóbr po całym kraju rozrzuconych.

Granica zatem zaczyna się już od Cieszyna tj. od granicy biskupstwa krakowskiego i ciągnie się wzdłuż granicy czeskiej — Goleszyce tj. Opawa z okolicą należała jeszcze do Polski i do biskupstwa wrocławskiego — aż do Wlanu nad rzeką Bóbr, skąd dalsza granica była otwarta; w XIII wieku stanowi ją rzeka Bóbr aż do miejsca, gdzie wpada do Odry; od wschodu graniczyło biskupstwo wrocławskie z dyecezyą poznańską wzdłuż rzeki Odry aż pod Głogów, ale z biegiem czasu, wskutek przewagi książąt śląskich, granica zmienia się tu na korzyść wrocławskiej, a na niekorzyść poznańskiej dyecezyi. W dalszym ciągu była granica mniej więcej tą samą co dziś.

Miał zatem Bolesław już w pierwszych latach swego panowania w obszernych granicach swego państwa cztery wielkie dyecezye, które były w zależności od arcybiskupstwa magdeburgskiego. Rozluźnić ten związek, który go przykuł do obcej stolicy metropolitalnej i zniszczyć go, uważał Bolesław za pierwsze zadanie w początku swego panowania. Przysłużył mu się w tem wypadek, z którego zręcznie umiał korzystać.

Dnia bowiem 23 kwietnia roku 997 zmarł śmiercią męczeńską pod razami dzikich Prusaków św. Wojciech, były biskup praski i uwielbiony przyjaciel cesarza Ottona III. Zwłoki jego wykupił Bolesław z rąk pogańskich i umieścił je naprzód w Trzemesznie, skąd je dnia 6 listopada przeniesiono uroczystie do Gniezna i złożono w tamtejszej bazylice niegdyś jeszcze przez Mieszka wystawionej. Towarzyszami św. męczennika w owej nieszczęśliwej wyprawie do Prus byli Gaudenty czyli Radzym, brat jego przyrodni, i Benedykt, którzy szczęśliwie uszli do Polski. W Gnieźnie zatem u zwłok św. Wojciecha, postanowił Bolesław utworzyć arcybiskupstwo, któreby obejmowało całe jego rozległe państwo, a na arcy-

biskupa upatrzył sobie Gaudentego, który jako nieodłączny towarzysz św. Wojciecha, również dobrze był znany w Rzymie i na dworze cesarskim. Przedewszystkiem chodziło o to, aby Papieża pozyskać dla tych planów, i w tym celu wysłał Gaudentego do Rzymu. Układy były pomyślne, bo już roku 999 Gaudenty występuje jako arcybiskup tytularny *sancti Adalberti martyris*.

Ponieważ cesarz Otton postanowił odbyć pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha, ułożono, aby utworzenie arcybiskupstwa i intronizacya nowego arcybiskupa odbyły się podczas pobytu jego w Gnieźnie.

Bolesław przyjmował roku 1000 wysokiego gościa nad granicą swego państwa w Ilwie w ziemi Dzedoszyce (Diedesici) i towarzyszył mu osobiście do Gniezna, gdzie biskup poznański Unger go powitał i do grobu Świętego zaprowadził.

Stało się tu w Gnieźnie według woli Bolesława; choć Unger się sprzeciwiał¹, ustanowiono arcybiskupstwo, które objął Gaudenty a jemu poddano jako sufraganów Reinberna kołobrzeskiego, Poppona krakowskiego i Jana wrocławskiego biskupów; Unger jednak i nadal miał należeć do arcybiskupstwa magdeburgskiego (*eidemque (Radymo) subiciens Reinbernum Salsae Colbergiensis ecclesiae episcopum, Popponem Cracuaensem, Johannem Wrotislaviensem, Vungero Poznaniensi excepto*). Z słów Tytmara tu przytoczonych wynika jak najwyraźniej, że nie mówił o utworzeniu tychże biskupstw, lecz o podporządkowaniu ich pod nowe arcybiskupstwo. Według *Annales Magdeburgenses* miał się i arcybiskup magdeburski oświadczyć przeciw utworzeniu nowej metropolii a następcy jego jeszcze w XII wieku rościli pretensye do suprematu kościelnego nad całą Polską.

Dla relikwii św. Wojciecha ufundował cesarz w Gnieźnie ołtarz, a Bolesław obdarzywszy go ręką św. Wojciecha, którą tenże potem złożył w Rzymie w kościele św. Bartłomieja, odprowadził go aż do Magdeburga, gdzie dnia 31 marca wspólnie obchodzili święta wielkanocne.

¹ *Sine consensu tamen praefati praesulis (Ungeri), cuius dioecesi omnis haec regio subiecta est. Thietmar IV, 28.*

Ustanawiając arcybiskupstwo, musiano naturalnie ściśle określić jego granice, zwłaszcza, że nie podniesiono na tę godność jednego z istniejących już biskupów; utworzenie zatem archidiecezyi mogło się stać tylko kosztem jednego albo kilku biskupów, albowiem położenie jej powinno było być takim, aby arcybiskup swemu wysokiemu zadaniu mógł zadość uczynić.

O uposażeniu arcybiskupstwa i jego granicach podaje ciekawe wiadomości bulla papieża Innocentego II z roku 1136, w której się przechowała zapiska o fundacyi w tekście pierwotnym. Tekst ten rozpada się na trzy części, z których ostatnia poprzedzona słowami bulli *Adicimus itaque, ut nemini fas sit ecclesiam beati Adalberti* etc. zdaje się być późniejszego pochodzenia. Pierwsza część zapiski zaczyna się od słów: *de Gnezden, de Ostrow, de Lencno, de Nakel usque ad fluvium Plitviza, de Landa, de Calis, de Chezram, de Ruda plenarias decimationes annone, mellis et ferri, tabernarum, placitorum, pellicularum mardurinarum et vulpinarium* etc., poczem następuje szczegółowe wyliczenie wszystkich wiosek z ich mieszkańcami, prowincyi czyli kasztelanii żnińskiej, która jak wiadomo, była własnością arcybiskupa, oraz innych włości nadanych arcybiskupowi.

Druga część zaczyna się jak pierwsza: *Item de castello Ziraz, Spitimir, Malogost, Rozpra, Lunciz, Voibor, Sarnovo, Skrin plenarias decimationes annone, mellis, ferri, pellium vulpinarium et mardurinarum, de placito, de tabernis* etc.

Nie można wątpić, że w tych dwóch oddzielnych zapiskach mieszczą się dwa akta oddzielne odnoszące się do fundacyi, że pierwsza z nich zawiera ziemie odebrane biskupstwu poznańskiemu a mianowicie gnieźnieńską, ostrowską, lekneńską, nakielską, lędzką, kaliską, czesramską i rudzką czyli wieluńską, oraz, że druga obejmuje ziemie odebrane biskupstwu krakowskiemu, a mianowicie sieradzką, spicimirską, małogoską, rozpierską, łączycką, wolborską, żarnowską i skrzyńską, z których to kasztelanij wielkopolskich i małopolskich utworzono arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Toż zatem obejmowało od pierwszej chwili założenia późniejsze województwa gnieźnieńsko-kaliskie, łączyckie i sieradzkie, oraz część województwa sandomirskiego, czyli późniejszy archidyaconat kurzelowski.

Prócz tego wyznaczono arcybiskupowi posiadłości w obrębie

dyecezyi poznańskiej pod Śremem i na Kujawach, oraz Łowicz — kasztelanę łowicką otrzymali arcybiskupi dopiero w XIII wieku — w dyecezyi krakowskiej liczne włości i Milicz w dyecezyi wrocławskiej; tylko w biskupstwie kołobrzesckiem nie nadano mu żadnych dóbr zapewne dlatego, że stosunki były jeszcze zanadto niepewne. Z tego wszystkiego wynika, że arcybiskupstwo było tak położone, że się bezpośrednio stykało z wszystkimi polskimi dyecezyami, od północy z kołobrzeską, od zachodu i wschodu z poznańską, a na południu z krakowską i wrocławską, a posiadłości w tamtych dyecezyach położone, pozwoliły arcybiskupowi wszędzie spełnić swe obowiązki bez oglądania się na czyją pomoc.

W obec życzliwości okazywanej Bolesławowi przez cesarza Ottona III trudno mu było oponować przeciw postanowieniu, aby biskupstwo poznańskie i nadal miało zostać pod Magdeburgiem, choć to wcale nie licowało z jego wielkimi planami. Gdy zaś po śmierci Ottona stosunki te się zmieniły i gdy za Henryka II ciągle trwała wojna otwarta pomiędzy Polską a Niemcami, uważał Bolesław chwilę za stosowną, aby i ten zamiśl w życie wprowadzić. Było to roku 1007, w początkach drugiej wojny z Henrykiem, że Bolesław odzyskawszy w krótkim czasie wszystkie ziemie roku 1005 w pokoju poznańskim utracone, śmiałą i bezwzględną ręką rozciął węzeł łączący jego i kraj polski z metropolią magdeburgską, zwłaszcza, że arcybiskup Tagino sam na czele Sasów przeciw niemu walczył. Poświadcza to Tytmar wyraźnie, mówiąc: VI, 24: *et fraternitatem, quam in Christo cum Parthenopolitanis prius coniunxerat, hostili asperitate dirupit*. Był to niewątpliwie gwałt, gwałt naruszający to, co naczelnicy świata, papież i cesarz niegdyś ustanowili. Henryka mógł Bolesław sobie lekceważyć, bo byli w otwartej wojnie z sobą, i praw jego nie szanować; ale z Papieżem była sprawa trudniejsza; odłączając z własnego popędu bez odniesienia się do Głowy Kościoła i bez jej pozwolenia dyecezyę poznańską od magdeburgskiej stolicy, naruszył Bolesław prawa i powagę kuryi rzymskiej, a Kościół nie daruje i darować nie może takich występków; karą zaś bywa klątwa rzucona na cały kraj należący do winowajcy. Klątwę taką rzucił na Polskę Gaudenty arcybiskup gnieźnieński, jak o tem świadczy Gall, a odłączenie biskupstwa poznańskiego było niewątpliwie tą przyczyną Gallowi nieznaną,

która ją wywołała, i to na rozkaz stolicy apostolskiej¹. W całym panowaniu Bolesława dość dobrze nam znanem, nie znajdujemy żadnych innych okoliczności, któreby stosunek jego do Kościoła zamącić i klątwę nań sprowadzić mogły.

Jakie było urządzenie kapituł przy ówczesnych biskupach, nie wiemy. Zwyczajem było wówczas jeszcze w Niemczech powoływać na stolicę biskupie zakonników i opatów. I nasi biskupi byli zapewne zakonnikami; wiemy to napewno o Gaudenty, który razem z świętym Wojciechem wstąpił do klasztoru św. Bonifacgo i Aleksego w Rzymie; wiemy to także o Ungerze, którego Tytmar nazywa *Poznaniensis coenobii pastor, consacerdos et suffraganeus (Thaginonis, archiepiscopi Magdeburgensis)*. Unger był zatem, jak później Aaron, zarazem biskupem i opatem. Stąd wniesć można, że kapituły i u nas miały przeważnie jeszcze charakter zakonny.

Bolesławowi Wielkiemu przypisują inni jeszcze założenie biskupstw kujawskiego, płockiego i lubuskiego, to jednak są późniejsze fundacye, o których poniżej pomówimy.

O imionach arcybiskupów i biskupów naszych z pierwszych czasów chrześcijaństwa posiadamy lepsze wiadomości aniżeli z późniejszych.

Pierwszym biskupem poznańskim był, jak już nadmieniliśmy, Jordan, który swą dycezyą rządził od roku 968—984². O działalności jego nie posiadamy wiadomości; z Tytmara tylko wiemy, że gorliwie wraz z księstwem przykładał się do rozszerzenia wiary. Wieś Biskupin pod Żninem jest jego fundacya³. Jego następcą

¹ Gall I, 10: *quod Gaudentius sancti Adalberti frater et successor, occasione qua nescio, dicitur eam (terram) anathemate percussisse.*

² Według Tytmara VI, 43 przypada śmierć jego na rok 983; ale Tytmar mówiąc, że Unger zmarł dnia 9 czerwca r. 1012 piastował swą godność przez 30 lat, nie chciał niewątpliwie podać rokiem ścisłej daty; jego słowa nie znaczą nic więcej jak „około 30 lat“. Wiadomość zaś gnieźnieńska lub raczej poznańska, (Mon. P. histor. III, str. 42), która podaje rok 984 niesprzeczny bynajmniej z twierdzeniem Tytmara, zasługuje na wszelką wiarę, bo może być zaczerpniętą tylko z współczesnych zapisek. Żadne inne źródło go nie zna i także Długoszowi był nieznany.

³ Biskupin nazywa się w zapisce o posagu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego z roku 1000 „Stari Biskupici“, co nic innego oznaczyć nie może jak

był Unger, który 30 lat po swojej ordynacyi życia dokończył dnia 9 czerwca roku 1012. Po nim nastąpił prawdopodobnie Roman, który umarł roku 1030¹.

Pierwszym biskupem krakowskim był Poppo, niewątpliwie Niemiec z pochodzenia, który swoje biskupstwo objął około r. 984; roku 1000 jeszcze żył; kiedy umarł, niewiadomo; jego następcą był jak się zdaje Lambert, który umarł roku 1030; do jego imienia przyczepiło się podanie, jakoby przez Mieszka wysłany był do Rzymu po koronę królewską, i z tego powodu kładą go katalogi biskupów krakowskich (III—V) mylnie przed Popponem. Po Lambertcie nastąpił na stolicę biskupią Rachelin. Co katalogi nasze podają o Prohorze i Prokulfie jest bajką. Biskup zaś Goppo czyli Gompo, który według nich był następcą Poppona, wcale nie istniał, bo to imię zostało skorumpowane z źle odczytanego Poppo. Wskazuje na to nie tylko rażące podobieństwo tych dwóch imion, ale oprócz tego ta okoliczność, że według katalogów I i II jeden i drugi po ośm lat, według katalogów zaś III—V, każdy z nich dziewięć lat był biskupem. Ostatnie katalogi podają pod Popponem wiadomość o założeniu klasztorów świętokrzyskiego i sieciechowskiego. Tę samą wiadomość znalazł katalog V także pod Gopponem i tam ją powtórzył. To wszystko, zdaje mi się, wystarczy, aby wykazać, że Poppo i Goppo jest jedną i tą samą osobą.

O biskupstwie wrocławskim przechowała się nam tylko ta jedna wiadomość, że roku 1000 był biskupem Jan. Długosz go nie zna, natomiast podaje na czele swego katalogu cały szereg imion, które w niczem na wiarę nie zasługują.

Kołobrzесьkie biskupstwo, którego pierwszym i ostatnim pasterzem był Reinbern, nie trwało długo; Pomorzanie zrzuciwszy

tylko to, że stary biskup tj. poprzednik żyjącego jeszcze Ungera, a więc Jordan, tu swych ludzi osadził.

¹ Rocznik kapitulny: *Romanus et Lambertus episcopi obierunt.* Po nieważ Lambert może być tylko biskupem krakowskim, Roman mógłby być albo poznańskim albo wrocławskim biskupem; że zaś wszystkie wiadomości o arcybiskupach i biskupach pochodzą niewątpliwie z źródła gnieźnieńskiego, wolę przypuścić, że draga wiadomość odnosi się do miejscowości najbliższej, do Poznania.

z siebie jarzmo polskie, zburzyli nową fundacyę kościelną i biskupa wygnali. Stało to się prawdopodobnie około roku 1004. Pod tym rokiem bowiem wspomina Tytmar o *capellanus Reinberni praesulis*¹, który się u Bolesława znajduje w Pradze. Przypuścić zatem można, że kapelan Reinberna tam bawił, albo w nadzwyczajnej jakiejś misyi swego biskupa, albo w jego towarzystwie. To ostatnie, zdaje mi się, odpowiada najwięcej prawdzie i okolicznościom. Reinbern już nie powrócił do Kołobrzegu; gdy Bolesław około r. 1008 córkę swą wydał za mąż za Świętopelka, syna Włodzimierza, księcia kijowskiego, Reinbern jej towarzyszył do Kijowa, gdzie później posadzony o knowania na rzecz Bolesława, w więzieniu życia dokończył.

Pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim był Radzym czyli Gaudenty, który napisał żywot św. Wojciecha, przyrodniego brata swego, niesłusznie w ostatnich czasach przysadzony zakonnikowi Kanaparyuszowi w Rzymie². Katalogi kładą jego śmierć pod rokiem 1006; żył jednak, jak przedtem już nadmieniliśmy, jeszcze roku 1007. Jego następcą był Hipolit, który umarł roku 1027; po nim nastąpił Bosuta.

Nadmienić jeszcze wypada, że za Hipolita dnia 26 kwietnia roku 1018 zgorzał w Gnieźnie kościół katedralny z wszelkimi zabudowaniami mieszkalnemi³; jest to pierwszy nam znany z licznych pożarów, które go w biegu wieków nawiedzały.

Dla utrwalenia chrześcijaństwa w narodzie co dopiero nawróconym, biskup sam z nielicznem duchowieństwem świeckiem nie mógł wystarczyć, bo potrzeby i wymagania były za wielkie. Na ten cel potrzeba było klasztorów, któreby zakładane w rozmaitych miejscach obszernego państwa, dzielnie mogły wspierać usiłowania biskupów. Nie ulega wątpliwości, że w Polsce Bolesławowej musiało ich być nie mało; znamy jednak tylko bardzo szczupłą liczbę takowych.

¹ Thiet. VI, 8 i VII, 52.

² Ob. rozprawę moją: Jan Kanaparyusz, zakonnik włoski, czy Gaudenty, arcybiskup gnieźnieński, autorem najdawniejszego żywota św. Wojciecha w *Przewodniku nauk. i lit.* 1884, str. 1—10.

³ Thietmar, VIII, 8.

Najdawniejszym klasztorem, o którym wiemy, zdaje się być Trzemeszno, w którym osiedli kanonicy regularni laterańscy; pierwszym ich proboszczem był według kroniki trzemeszańskiej Bernardus Doroacensis z Włoch północnych. Roku 997 klasztor już istniał, bo w nim złożono zwłoki św. Wojciecha¹, zanim je przeniesiono do bazyliki gnieźnieńskiej.

Gdy cesarz Otto III roku 1000 gościł w Gnieźnie, to *in monasterio Gneznensi* uczcił naszego Bolesława, kładąc własny dyadem na jego głowę. Więc i w Gnieźnie istniał klasztor.

Jeszcze o trzecim klasztorze położonym w archidiecezyi gnieźnieńskiej wiemy; jest to klasztor pod wezwaniem najświętszej panny Maryi *in castro Lancicie*, wyposażony stu niewolnikami i wioskami do nich należącymi. Wspomina o nim jako już istniejącym zapis fundacyjny arcybiskupstwa gnieźnieńskiego z r. 1000.

W dyecezyi poznańskiej istniał wówczas już klasztor w Międzyrzeczu niedaleko zachodniej granicy Wielkopolski z opatem na czele. W nim przebywał Henryk, król niemiecki, dnia 22 września roku 1005, gdy z wojskiem swem ciągnął na Poznań. Zakonników w klasztorze nie zastał, schronili się widać przed nieprzyjacielem; pomimo to miał Henryk staranie, aby klasztor i mieszkanie zakonników nie doznały szkody. Z Międzyrzecza pochodzi także, jak prof. Wilhelm Giesebrecht przypuszcza, owa *passio* s. Adalberti, którą ś. p. August Bielowski pierwszy w Monachium odkrył i w I tomie Mon. Pol. hist. ogłosił.

Już około roku 997 Bolesław nosząc się z myślą utworzenia samodzielnego kościoła polskiego, sprowadzał do swego kraju zakonników z Włoch; pomiędzy nimi byli owi św. pustelnicy zwani zwykle pięciu braćmi Polakami, którzy niedaleko Poznania, w dyecezyi Ungera, osiedli na puszczy, gdzie roku 1003 ponieśli śmierć męczeńską. Obok nich wznosił się i klasztor, który również wojsko Henrykowe roku 1005 nawiedziło. Miejsce to, gdzie święci zmarli, otrzymało później nazwę Kazimierz². Żywot ich opisał św. Bruno,

¹ *De sancto Adalberto episcopo* cap. 18 (Mon. Pol. hist. III, p. 220): *ad cenobium Cheremusen.*

² Ob. Mon. Pol. hist. V, str. 878—880.

odkrył go i wydał Dr. Kade w drugim wydaniu XV tomu Mon. Germ. hist. Ciała św. męczenników porwali Czesi i przenieśli do Bolesławia.

I w Poznaniu samym było coenobium, którego pasterzem i przełożonym był biskup Unger, o czem przedtem już wspomnieliśmy.

Między Babim Mostem, a Wschową w obrębie dyecezyi poznańskiej leży miejscowość, którą *liber inventarius* biskupstwa poznańskiego z roku 1510 nazywa *Antiquum Claustrum*; po polsku nazywa się dziś Kaszczorek, ale po niemiecku *Alt Kloster*. Ponieważ i najdawniejsze dokumenta nie o tem nie wiedzą, jakoby tutaj kiedykolwiek istniał jakiś klasztor, nazwa zaś sama na takowy wskazuje, przypuścić należy, że tutaj była jakaś fundacya Bolesława I lub ojca jego, która w czasie rozruchów po śmierci Mieszka II. przepadła.

I ziemia krakowska posiadała już wówczas klasztor. W towarzystwie Bolesława spotykamy opata, który od niego posłował do cesarza¹. Tytmar nadaje mu imię Tuni (*Tuni nomine*)²; być może, że to imię, choć imię bardzo rzadkie; być jednak może, że właśnie dla tego, że to jest imię, Tytmar źle zrozumiał, gdy mu mówiono o opacie de Tyny (Tyniec jest formą zdrobniałą), że zatem należy przypuścić, że tu mowa o opacie tynieckim, bo nie ulega wątpliwości, że jak pod Gnieznem klasztor trzemeszeński, jak pod Poznaniem klasztor kazimirski, tak i pod Krakowem był klasztor oddzielny, którym mógł być tylko Tyniec. I podrobiony dokument kardynała Idziego mieszczący w sobie starodawne zapiski klasztoru tynieckiego, wspomina o królu Bolesławie jako o dobrodzieju tegoż klasztoru. Sądzimy zatem, że klasztor tyniecki już istniał za panowania Bolesława i że założony został zapewne razem z biskupstwem krakowskiem.

W ziemi sandomierskiej istniał także już klasztor benedyktyński na Łysej górze; choć wiadomości o założeniu jego są sprzeczne, to jednak dla mnie jest decydującą tradycya klasztorna, według

¹ Thietmar VII, 13 i VIII, 16.

² Förstemann: *Altdeutsches Namenbuch* kładzie Tuni-Duni; ale to imię znane mu tylko z Tytmara. Jest zatem wątpliwość, czy takowe w ogóle kiedyś istniało.

której Emeryk, syn Stefana świętego, króla węgierskiego, zbłądziwszy na polowaniu i dostawszy się do klasztoru, zakonnikom podarował krzyż z relikwiami, od którego klasztor przybrał swą nazwę. Tradycja ta opiera się niewątpliwie na fakcie rzeczywistym, o którym zakonnicy z nekrologu własnego dobrze mogli wiedzieć, albowiem bajka nie czepiłaby się księcia zagranicznego, o którymby gdyby nie zdarzenie rzeczywiście zaszło, na Łysej górze zapewne nawet nie wiedzieli, lecz wybrałaby sobie osobę lepiej znaną albo przypisywałaby nabycie krzyża jakiemuś zdarzeniu cudownemu. Memu wykładowi nie sprzeciwiają się bynajmniej wiadomości przez katalogi biskupów krakowskich podane, albowiem najdokładniejszy ich tekst w V katalogu wręcz moje zdanie potwierdza, mówiąc: *Wojslaus in Lysiecz Calvomonte claustrum dudum erectum aliquibus villis et prediis dotavit et ditavit*. Tenże Wojśław żył za Władysława Hermana. Zapiska samodzielna kroniki wielkopolskiej (rozdz. 30), że Bolesław Krzywousty *fundavit abbatiam in loco castri Calvi montis* i klasztor sieciechowski, pochodzi z tego samego źródła, co wiadomości katalogów wspomnianych, które ją, o ile jest balamutną, tłumaczą.

Że i w biskupstwie wrocławskim nie brakło klasztorów, przypuścić z góry należy; przechowała się jednak wiadomość tylko o jednym, o opactwie św. Marcina, które istniało niegdyś w Wrocławiu tuż obok katedry. Wspomina o niem zapiska posagowa tegoż biskupstwa w bulli papieskiej z roku 1155.

Nadmienić jeszcze należy, że na Mazowszu w Płocku aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej istniał klasztor benedyktyński obok kościoła św. Wojciecha na zamku, o którego założeniu nie przechowała się żadna wiadomość, być zatem może, że i jego początki sięgają czasów, o których tutaj mówimy. (Dok. nast.)

Dr. Wojciech Kętrzyński.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Wiadomość o szczęśliwie dokonanym wyborze nowego rektora w osobie ks. dra Piotrkowity, najważniejszego tego i głównego, jak dotąd, naszego ks. Leonarda przeciwnika, błogiem tylko — jak się spodziewać — przejąć mogła zadowoleniem ks. Wisneczanina. Od dwóch już lat lekceważony i odpychany przez kolegów, żyjąc jakby w odosobnieniu i stroniąc od właściwego tak w Uniwersytecie, jak w kolegiacie św. Floryańskiej życia, swobodniej teraz i lżej trochę odetchnął, a przyszłość najbliższa w ponętniejszych o wiele przedstawiała mu się teraz barwach. Wszak jeżeli mógł być dotychczas pewne żywić wątpliwości, uczuł już w tej chwili na prawdę, że kolega jego szkolny, ks. Fridel, i niemniej pocziwy dr. Procopiades sprawę całą na jego korzyść wcale poważnie i stanowczo w swoje pochwycili ręce, że więc, dzięki ich porozumieniu i zabiegom, w najbliższych już tygodniach tak krzywe i przykre swoje do tej pory położenie na lepsze zmienić potrafi i resztki żywota ziemskiego, jak na kustosza kolegiackiego przystało, w sposób przyzwoity i spokojnie będzie mógł spędzić. Górą nasza! — radował się zatem 63-letni starzec — doktorat św. teologii jakby miał już w kieszeni, uwolniony więc od grzechu pierworodnego, z jakim kustodyi dobił się św. Floryańskiej, i zrównany pod każdym względem z wszystkimi innymi kolegami starszymi, nie będzie już potrzebował, jak sobie tuszył, słuchać przytyków: Tyś nie doktor

św. teologii a jedno bakałarz! Czy przytem synowi z Wisnki kmieccemu własny jego robak wewnętrzny, sumieniem zwany, nie robił jakich w skrytości wyrzutów, że na śliską trochę pod koniec życia puszczając się drogę, w sposób nie ze wszystkim może odpowiedny wychodził z roli urodzonego wobec Uniwersytetu i kolegiaty rzecznika w pierwszym rzędzie spraw najbliższych swoich krewnych i powinowatych wisneckich, w drugim zaś i innych kmieci kolegiackich, którym także w najbliższym już czasie przejście z pod łagodnych prokuratora kolegiackiego rządów pod arbitralną dzierżawców szlacheckich władzę groziło¹, któż na pytanie to odpowiedzieć zdolny? Niezbadane są pod tym względem skryte serc ludzkich tajniki!...

Niemniejsze również zadowolenie wewnętrzne sprawić musiał ostateczny wyboru wynik, choć z góry poufnie ułożony i na pewno przewidziany, także obydwom obecnym kustosza naszego protektorom, drom Fridlowi i Procopiadesowi, każdemu z nich naturalnie dla innych powodów i względów. Kanonik katedralny i podkanclerzy uniwersytecki, jak zawsze, dla wszystkich uniżony i skromny, kontent był, że znowu z zaparciem się własnych korzyści² „ad majorem Dei gloriam“ tak stanowczy krok naprzód powiodło mu się uczynić do pojednania dwóch zacierzwionych przeciwników, z których jeden szkolnym jego był kolegą, i że przez stanowcze obydwóch pogodzenie usunie niebawem wszelkie dotychczasowe na wydziale teologicznym i w kolegiacie św. Floryańskiej nieporozumienia i gorszące kwasy. Były zaś astrolog uniwersytecki a obecnie już profesor św. teologii, dziekan i prokurator kolegiacki, nie potrzebował się już tak mocno trapić, że przyjdzie mu może rzec się wkrótce na zawsze wprowadzenia w życie na wielki kamień przez niego obmyślonych i obliczonych finansowo-ekonomicznych planów wypuszczenia wszystkich większych i dalszych dóbr św.

¹ Dzierżawić majątności ziemskie mogła wówczas tylko urodzona szlachta.

² Piastowanie podkanclerstwa uniwersyteckiego nie wykluczało bynajmniej przyjęcia i wypełniania obowiązków rektora Almae matris. Trafiało się to nie raz już przedtem, a ostatnim razem w latach 1531 i 1532, gdy należący do wydziału teologicznego ówczesny kanonik katedralny, ks. dr. Biel, i wicekanclerzem był Uniwersytetu i po raz 8 już, 9 i 10 jego rektorem. Muczkowski, Liber promot., str. 184 i nn.; Pauli, Codex, IV 186.

Floryańskich w dzierżawę, w czem niemalą i dla siebie i dla kolegiaty upatrywał w przyszłości dogodność i korzyść. Z duszą i kośćcami pocziwy i o dobre imienia Uniwersytetu krakowskiego zachowanie zawsze dbały, utwierdzony w tem zresztą przez pocziwego także Fridla, liczyć mógł, jak mu się zdawało, na pewne, że sprawa tak wisneckich jak i innych św. Floryańskich kmieci w łagodny da się zabezpieczyć sposób: najprzód w ustnych z arendarzem Sochą i innymi szlacheckiego pochodzenia dzierżawcami umowach, a gdyby to pożądanego nie odnosiło skutku, choćby w zastrzeżeniach na piśmie, w ugodach i kontraktach, jakie z nimi kolegiata zawierać będzie¹. W każdym razie w tej chwili już urodzony spraw kmiecyh w kolegiacie rzecznik, nasz kustosz i bakałarz św. teologii, ks. Leonard, mając już przez załagodzenie krzywdy dra Prosińskiego zapewniony egzaminu i promocyą doktorską, stał wobec wszystkich tych jego planów jakby ubezwładniony, i nie było przyczyny wątpić, że po słuszności, odpłacając się pięknem za nadobne, „niewoli egipskiej“, na którą może nawet trochę zbyt zapatrywał się czarno, szorstko i na ostrzu miecza stawać więcej nie będzie.

Kontenci tylko z ostatecznego wyborów wyniku mogli być wręście także i wszyscy inni zwyczajni i nadzwyczajni profesorowie, jako też docenci, cursorowie i magistrowie wszystkich wydziałów, niewykluczając nawet artystycznego, przedewszystkiem zaś członkowie fakultetów teologicznego i kanonicznego. Toć bądź co bądź, wyrządzone² przez wybory wrześniowe r. 1541, a potem przez wybory na proboszcza św. Mikołajskiego krzywda drowi Prosińskiemu w części przynajmniej, i to w sposób przyzwoity i godny przez nich samych wynagrodzoną teraz została. A już najbardziej ze wszystkich radować się teraz powinni byli doktorowie i bakałarze wydziału teologicznego. Skoro już bowiem bezwarunkowo na fakultet ten zbliżyła się była kolej, żeby z jego grona nowy na półroczne zimowe z r. 1543 na 1544 wypłynął był Magnificus, drowie zaś Fridel i Procopiades od przyjęcia zaszczytnego tego

¹ W dalszym ciągu zastrzeżenia te poznamy bliżej.

² Wbrew zresztą ich woli i chęciom.

i intratnego wymówili się urzędu, któryż z ówczesnych teologów po berło miał sięgnąć rektorskie? Przecież o tem, żeby na tak ważną tę i wpływową godność nielubianego wynieść ks. kustosza, który zresztą był jeszcze tylko bakałarzem św. teologii, mowy nawet być nie mogło, a najpierwszym po nim, i to z tytułem dra św. teologii, był właśnie ks. Piotrkowczyk. Jakoż tylko jeden z nich, nadworny biskupa krakowskiego i arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Gamrata, teolog i kapelan, dr. Kościańczyk, w jesieni r. 1541 jedyny, jak się zdaje, i główny ówczesnego proboszcza olkuskiego, ks. Wisneczanina, i w kancelaryi biskupiej i na posiedzeniach całego Uniwersytetu, protektor i obrońca, na wiadomość o tem, co teraz nastąpiło, wielce mógł być niezadowolniony. Jak dotąd przynajmniej radował się nie pomalu, że przed dwoma laty, wbrew zdaniu i woli innych kolegów, powiodło mu się szczęśliwie na kustosza św. Floryańskiego wpchnąć kandydata, który tylko bakałarzem był św. teologii, a tu obecnie, zaledwie już po upływie dwulecia, przedwczesne jego obliczanie w niwecz prawie się obracało. Niestety a może i na szczęście, co zresztą od tego zależy, jak kto na przebieg całej tej sprawy zapatrywać się będzie, nasz Kościańczyk, uchodząc przed kilkoma tygodniami w towarzystwie chlebowdawcy swego, ks. prymasa, przed grasującą w Małopolsce zarazą w okolice nadgoplańskie, bawił podczas wyborów rektorskich w październiku r. 1543, razem z arcybiskupem w Gnieźnie¹, i nie był po prostu w stanie ani wyborowi ks. Prosińskiego skutecznie w jakikolwiek zapobiedz sposób, ani choćby otworzyć oczu miejskiego i kmiecego rodu kolegom, o co tu właściwie chodzi i co po za tymi rozgrywa się wyborami, nad którymi złowrogo zaciężyla była, nie dla każdego może jeszcze w tej chwili, dająca się dostrzec Wisnka-Wistka, a z których jako nieodzowne następstwo w najbliższym już czasie przyszła kmieci kolegiackich dola lub niedola wyłonić się miała.

Ze wszystkich jednakowoż najbardziej i szczerze powinien był z wyboru być zadowolony główny jego, choć nie przez wszystkich młodszych kolegów przewidziany przedtem i upatrzony bohater,

¹ Teki Naruszewicza z r. 1543, akt z dnia 20 października r. t., nr. 54.

kanonik św. Floryański, ks. dr. Prosiński. Wszak z licznych jego z fakultetu teologicznego poprzedników na pierwszorzędnem tem i wysokiem Almae matris stanowisku prawie żaden, dobrze już od całego stulecia, nie mógł się być tem poszczycić, żeby od chwili uzyskania stopnia magistra filozofii, już po upływie zaledwie 25-letniej na wydziale artystycznym a potem teologicznym ciągłej i nieprzerwanej służby¹, ni stąd ni zowąd aż rektorskiego dobić się był zdołał berła. Próżny też i nadęty, goniący za pozorami i pozorami tylko żyjąc, którego cały artyzm wrodzony stanowiła spora w głębie powierzchownej swady doza, a jedyną umiejętność, jak na godnego szkoły Skotystów wychowanka przystało, sypanie przy łada sposobności bez związku i ładu gęstych i tylko mechanicznie ze sobą powiązanych ustępów z Pisma św., przedwcześnie zresztą i niezasłużenie zwierzchnikiem najwyższej w państwie instytucji naukowej obrany, rozparł się teraz z całą nadętością na rektorskim Uniwersytetu Jagiellońskiego tronie, a w próżności swojej nie wiedział nawet zrazu, co z osobą swoją począć i jak się zachować, żeby godnie wysokim nowego stanowiska swego odpowiedzieć obowiązkom. Niczem też wobec niego wszyscy dawniejsi, od króla Jagielly Odnowiciela począwszy, Almae matris rektorowie, w ką przed nim i wszyscy późniejsi jego następcy! Od chwili, gdy w czasie wyborów starożytne berła uniwersyteckie winny mu, jako nowemu Uniwersytetu reprezentantowi, po trzykroć oddały były pokłon, i gdy na palcu jego niemniej starożytny spoczął złoty pierścień rektorski, a obok niego na stole pieczy jego powierzone leżały pieczęci uniwersyteckie, od chwili nakoniec, gdy zawsze w urzędowaniu widział tuż obok siebie stojącego lub poważnie przed osobą swoją z wzniesionem do góry berłem kroczącego Sapiencyę starszego, stracił formalnie równowagę umysłową i coś w mózgownicy jakby mu się poprzecinaczało. Dla niego obecnie wszelkie dotychczasowe, jakie Almae matris rektor przybierać mógł i przybierał tytuły, jak „Reverendissimus“ i „Magnificus“, już nie wystarczały, wszystko to wydało mu się teraz godności jego i władzy

¹ Nasz Piotrkowita — jak sobie przypominamy — został magistrem w pierwszych dniach stycznia r. 1518, czynnym zaś był na wydziale artystycznym już od Wielkanocy r. t.

nie ze wszystkim odpowiednem, nazywać się zatem kazał i rad słyszał, gdy mu tytułu tego nieszczędzono: Uniwersytetu krakowskiego „rektorem i monarchą“, albo „rektorem czyli monarchą“¹, czego ani przedtem żaden z poprzedników jego nie považył się był uczynić, ani też żaden z jego następców nigdy już potem nie wznowiał.

Ale co ciekawsza i co większe nierównie budzi podziwienie, szczęście przytem niezwykle, jak i dotychczas, choć, jak się niżej pokaże, nie tak już bezwarunkowo i niekoniecznie we wszystkich już sprawach, nowemu dostojnikowi naszemu i szczególniejszemu ślepej Fortuny wybrańcy i ulubieńcowi towarzyszyć i nadal nie przestało. Po upływie więc półrocza zimowego, jak przewidywać i spodziewać się można było, obrali go koledzy, bo taki już w tej mierze od dawna ustalił się był porządek i zwyczaj, ponownie na półrocze letnie r. 1544, a zaraz potem jeszcze po raz trzeci na półrocze zimowe z r. 1544 na 1545 swoim rektorem, tak że najwyższe to dostojęństwo i najpierwszy ten urząd uniwersytecki nieprzerwanie aż do wiosny r. 1545 po trzykroć w rękach naszego spoczywały Piotrkowczyka², i mimo wszelkich jego stron słabych i ujemnych, dla wyjątkowego przypadku, jaki się właśnie za jego wydarzył był rządów, poczesniejsze mu, niż każdemu innemu z w. XVI Almae matris rektorowi u potomności zapewniły miejsce. Któż z nas bowiem dzisiaj z dziwniejszem jakimś nie wspomina wzruszeniem o rektorze Uniwersytetu krakowskiego z lata r. 1544, o kanoniku św. Floryańskim i drze i profesorze św. teologii, ks. Janie z Piotrkowa?

A wcale wyjątkowej i już nawet, jak na owe czasy, trochę niezwykłej natury sprawił to wypadek, na który za dni naszych dopiero baczniejszą nieco zwrócono uwagę. W pierwszych mianowicie tygodniach za drugiego już jego panowania, prawdopodobnie pod koniec maja lub na początku czerwca r. 1544, już po ukoń-

¹ Acta rect., II 174: „s. theologie professor, dr. Ioannes a Piotrkow, monarcha et rector Vniuersitatis“, i tuż zaraz niżej: „rector seu monarcha Studij generalis Cracouiensis“.

² Następcą jego na półrocze letnie r. 1545 obrany został, po raz czwarty już, profesor prawa i ówczesny proboszcz św. Mikołajski, ks. dr. Jan Sanoćzanin. Pauli, Codex, IV 186 i n.

czeniu wszelkich w polu robót wiosennych, jawiło się przed Jagiellońskim urzędem rektorskim, zgrabnie ówczesnym zwyczajem ziemiańskim w krótką karwatkę i szerokie szarawary¹ przebrane 14-letnie z pod Radomia w Sandomierskiem herbu Korwin pacholę szlacheckie, z prośbą uniżoną o przyjęcie go łaskawe w poczet słuchaczyw wydziału artystycznego². Przestraszone już przedtem trochę widokiem surowych w biretach i księskich rewerendach miejskiego i kmiecego rodu filozofii magistrów³, przed którymi złożyć obowiązane było dowody, że biegle już czytać i pisać po łacinie umie, przestraszone również widokiem w najrozmaitszego koloru i kroju odzież lichu poumieranych, trochę brudnych, trochę nieoczesanych, trochę poobdzieranych, trochę też i bosych i także miejskiego przeważnie i kmiecego pochodzenia ubogich żaków i młodszych pauprów szkolnych, którzy w czasie popisywania się jego znajomością łaciny ciekawie z pode łbów przyszłemu koledze swemu i towarzyszowi zaglądali w gębę⁴, stanawszy teraz w kancelaryi uniwersyteckiej, bodaj czy nie straciło do reszty odwagi, patrząc na dumną kanonika św. Floryańskiego na stoleu rektorskim postać, obok którego niemniej groźny z wniosieniem do góry berłem starszy stał Sapiencya.

— Urodzony w Sycynie Jan, syn Piotra, dziedzica na Baryczu, Czarnolesie, Konarach, Rudzie, Sycynie i Woli szeleżnej — nieśmiało powiadało zatem pacholę, za którego plecyma dotychczas-

¹ Krótka bez poły „karwatka“ i szerokie spodnie, zwane „szarawary“ lub „sarawary“, codzienne w XVI w. stanowiły ubranie męskie. „Ociec nierad się wyda synowi na ubiory, sprawiwszy mu sarawary a karwatkę“, pisze n. p. Gliczner w „Książkach o wychowaniu dzieci“ z r. 1558, a współczesny mu oo. Bernardynów kronikarz bezimienny żali się pod r. 1556 w Monumentach Poloniae histor., V 379, że mnich Józef Pleszowita odstąpiwszy wiary katolickiej: „caruatkam et saravari, abjecto habitu ordinis, induit“.

² Wielkanoc r. 1544 była 13 kwietnia, wpisywać się wszakże w poczet uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego można było wówczas kiedykolwiek każdego dnia, nawet pod koniec kursu szkolnego.

³ Dziekanem wydziału filozoficznego w lecie r. 1544 był małomieszczanin Michał Głównensis de Głowno. Liber dilig., str. 262 i nn., 411 i n.

⁴ Wszelkie popisy a więc i egzamina wstępne odbywały się na wydziale artystycznym zawsze publicznie; każdemu też żakowi służyło prawo przyjść wtenczas na salę, i przysłuchiwać się tak stawianym przez magistrów pytanom, jak i dawanym na nie odpowiedziom.

sowy stał jego „paedagogus“ czyli „praeceptor“ domowy¹, młodszy magister krakowski i od kilku już miesięcy fakultetu filozoficznego extraneus, kmiecego pochodzenia Jan Sylvius z Sieciechowa² — po cichu wygłosiło też rodowe ojca swego nazwisko, oświadczając zarazem, że ukończyło już rok 13 życia, że czytać już i pisać po łacinie umie, i że tytułem wstępnego zwyczajami i prawem wymagane czesne uścić jest gotowe.

Szlachecki właściciela na sześciu wioskach 14-letni syn, w całym znaczeniu bene natus et possessionatus, wpraszający się o przyjęcie między uczniów uniwersyteckich, to wcale nadzwyczajne już dla owoczesnych Almae matris rektorów zjawisko, którym w owych latach samych już tylko mieszczan, małomieszczan, wiarę kmiecią i całkiem drobną i ubogą szlachtę w Metrykę uniwersytecką wpisywać dane było³. Majętniejsza na kilku wioskach szlachta rodowa, przy zupełnem już wówczas i samego króla i rządzącej nawą państwową możnej oligarchii szlacheckiej zobojętnieniu dla żywotnych spraw stworzonej niegdyś przez Kazimierza W. a przez Jadwigę i króla Jagiellę z niemalym wysiłkiem odnowionej instytucji naukowej⁴, na piękne już w tym okresie warcholąc na sejmach i zjazdach w sprawach religijnych i politycznych, jakby już żadnego innego nad sobą nie czuła w państwie czynnika wyższego, przy łada sposobności poniewierać już tylko umiała majestat królewski i obdzierać go z jego znaczenia, powagi, wpływu i dochodów. Bogatsza szlachta rodowa stanowczo też już w owych latach gardziła Uniwersytetem krakowskim i stroniła od niego, profesorowie jego i magistrowie byli już dla niej tylko „plebeji“ i „personae con-

¹ Małecki w Przeglądzie polskim z sierpnia r. 1884, str. 193 i nn.

² Magistrem był Sylvius już od stycznia r. 1539, jako extraneus wszakże na wydziale artystycznym dopiero od 16 stycznia r. 1544 czytał Terencyusa Hecyram, od Wielkanocy zaś, w półroczu letniem t. r., Jana de Sacrobusto Sphaeram materialem. Muczkowski, Liber promot., str. 196; Liber dilig., str. 503 i n.

³ O wydawnictwie Liber dilig., str. 20.

⁴ Że dany r. 1535 przez Zygmunta I doktorom i magistrów krakowskim przywilej na szlachectwo zakrawał tylko na niegodny majestatu królewskiego żart, za co jednak nie króla, ale najbliższych jego doradców winić należy, wyżej już miałem sposobność zaznaczyć.

temptibiles“¹, jej dzieci klęła już po prostu w zęby — nie taimy zresztą, że w wielkim pogrążona upadku — szkolna w kraju nauka, a czyż miała na to pozwolić, ażeby synów swoich powierzać zakładowi, gdzie za pierwsze lepsze przewinienie jakiś tam mieszczuk czy też wyleganiec kmiecy przed swój t. zw. powoływać ich mógł sąd rektorski i po słuszości wymierzać im karę? Dla majątniejszych zatem synów szlacheckich już nie stolica państwa, nie Kraków, był wówczas owem miejscem upragnionem, do którego, jak to jeszcze niegdyś w ciągu w. XV było, po ukończeniu nauki domowej po wyższą podążali byli wiedzę, nie były niem nawet w całej owej, co przedtem, rozciągłości ani Włochy południowe, ani ona najstarsza córa kościoła, zachodnia Francya. Meką tą i Medyną dla nich, za wolą ich ojców, którzy wstąpić już tylko i odrazę dla prastarej szkoły Jagiellońskiej na ustach i w sercu mieli, były teraz głośna Wittemberga i niemniej głośny Lipsk, jako też inne dobrze już w odszczepieństwie religijnem pogrążone Uniwersytety niemieckie, był i sąsiedni na Szląsku Goldberg akatolicki, dokąd spragnieni „nowinek religijnych“, tłumnie już w owych latach się garnęli². Ale nie tylko już pogardzać umieli ich ojcowie starożytną krajową szkołą główną, ale i znęcać się nad należącymi do niej profesorami i żakami, i w dzień jasny dopuszczać się na nich zwykłych bezpraw i gwałtów³. Zbliżał się już nawet czas niedaleki, kiedyto głośno i publicznie, udając, jakoby im wiele na „reformacyi“ Uniwersytetu zależało było, na sejmie do króla wołać mieli,

¹ O wydawnictwie Liber dilig., str. 13 i 20.

² W r. 1534 zakazał był wprawdzie Zygmunt Stary wysyłać młodzież na naukę do podejrzanych o herezyą szkół zagranicznych, w szczególności zaś do Wittembergi, Lipska i Goldbergu, a w marcu r. 1540 nowym mandatem zakaz ten nawet wcale surowo był obostrzył; ale już na sejmie w kwietniu r. 1543 rozzuchwalona szlachta można, której na powadze majestatu królewskiego nic już wtenczas nie zależało, wymogła na królu, że cały ten zakaz jako bezskuteczny po prostu odwołał i unieważnił. Zakrzewski, Początek i wzrost reformacyi, str. 37 i nn., 234 i nn.

³ W lecie r. 1548 zapisał się był w poczet uczniów Uniwersytetu krakowskiego małomieszczanin „Iohannes Valentini de Bochnija Cracou. diocesis“, niedługo jednak bawił tu na nauce. „Huic — dopisał niebawem obok jego nazwiska dr. Procopiades — Nobilis quidam ad Lapides (= na Skalce albo u kamieniołomów na Krzemionkach) concussit caput vsque ad dissolutionem cerebri et vite“! Metrica studiosorum, II 222.

że Alma mater „w taką się jaskinię łotrowską obróciła, że ludzie stateczni chronią się synów swych tam dawać, bo więcej złych aniź dobrych uczą się obyczajów“¹.

Szlachecki tedy właściciela na sześciu wioskach podrostek, co się zowie bene natus et possessionatus, w lecie r. 1544 przed Jagiellońskim urzędem rektorskim! Zmieszać to tylko mogło niepomału nadętego na bursach, kolegiach, koloniach, różnych szkołach pomniejszych i niektórych kolegiatach i probostwach „monarchę“ krakowskiego, choć ani nie przeczuwał, że stoi w tej chwili przed nim największy w najbliższym już czasie w. XVI poeta polski. Zmieszany też spojrzawszy na nieśmiałe pacholę i towarzyszącego mu pedagoga, raczył łaskawie powstać z tronu, a złożywszy kornie do modlitwy ręce, niepewnym po łacinie odmówił głosem: „Luce xj². In illo tempore loquente Ihesu ad turbas, extollens vocem quedam mulier de turba, dixit ad Ihesum: Beatus uenter, „qui te portauit et vbera, que suxisti. At ille dixit: Quinymo „beati etc“.

I wskazawszy zaraz potem synowi szlacheckiemu rozłożoną na stole Metrykę pergaminową³ i poleciwszy mu na niej właśnie w miejscu, gdzie się znajdował w odpisie odmówiony przez niego wyjątek z ewangelii św. Łukasza, położyć dwa prawej ręki palce, za młodszym Sapiencyą uniwersyteckim, który się natychmiast do stołu zbliżył, pomału i wiernie wyraz po wyrazie powtarzać prosił:

„Ego Ioannes Petri de Sycyna — trzymając dwa prawej ręki palce na rozłożonej Metryce uniwersyteckiej i patrząc bojaźliwie w twarz rektorowi i stojącemu tuż obok niego w groźnej postawie z wzniesionem do góry berłem rektorskim starszemu Sapiencyi, cedziło więc za młodszym Sapiencyą pacholę szlacheckie pierwszą swoją w życiu przysięgę — iuro vobis domino rectori et vestris „successoribus, canonice intrantibus, obedienciam in omnibus licitis „et honestis. Et quod bonum Vniuersitatis Studij Cracouiensis „promouebo pro posse meo, ad quemcunque statum deuenero. Et „quod propriam iniuriam per me non vindicabo vindicta reali, ut-

¹ Na sejmie r. 1563. Działyński, *Źródłopisma*, II 121; Tarnowski, *Studia do historyi literatury polskiej w. XVI*, str. 245.

² Lucae XI 27 i n.; *Metrica stud.*, II 3.

³ Obecnie rękopis bibl. Jag. pod nrem 259, *Katalog rękop.*, I 95 i n.

„pote wlneratione, mutilacione aut armorum strepitu, sed super hoc „officium rectoris implorabo. Item quod opinionem Hvs, heretici „dampnati, similiter Luteri et sequacium eius, non seruabo. Sic me „Deus adiuuet et hec sancta Dei ewangelia“. Po odebraniu zaś od niego podług starożytnej tej roty przysięgi na wierność Kościołowi i obowiązującym ustawom uniwersyteckim¹, i po otrzymaniu trzech groszy tytułem wstępnego, własnoręcznie zaraz wpisał do tej Metryki²: „Ioannes Kochanowskj Petri de Syczynow³ diocesis Cracouiensis 3 grossos“⁴. Pomimo wrodzonej wszakże swady i odwagi w wysokim stopniu niezwykłym tym wypadkiem, jak się zdaje, pomieszany być musiał i roztargniony, dlatego też w pośpiechu czy przez nieuwagę nazwę miejscowości „Sycyna“ przekreślił na „Syczynów“, poczem i Kochanowskiemu młodemu i towarzyszącemu mu preceptorowi domowemu z powagą się skłoniwszy, obydwóch pożegnał⁵.

¹ Dosłownie podług tej samej roty, z wyłączeniem tylko wyrazów „similiter Luteri et sequacium eius“, przysięgał 29 kwietnia r. 1494 nasz Leonard z Wisnki przed rektorem ówczesnym, ks. Sacranem. Pauli, Album studiosorum, I 11.

² Metrica stud., II 202.

³ „de Syczynow“, tak!

⁴ sc. solvit.

⁵ Pytanie, czyj to wpływ mógł być sprawić, ojca Piotra, czy też bogobojnej matki, Anny h. Odrowąż z Białaczowa, że młodzutki Jan Kochanowski w lecie r. 1544 udał się był na dalszą naukę do Uniwersytetu krakowskiego, dotychczas niewyjaśnione. Mojem zdaniem przypisać to raczej należy poważnym przedstawieniom i wpływowi mgra Sylviusa z Sieciechowa, którego też prośbom ulegając rodzice, ostatecznie zgodzili się na to, żeby syna swego do Krakowa wyprawić, prawdopodobnie już po ukończeniu wszelkich w polu robót wiosennych, raniej więcej około Zielonych świątek, które t. r. na dzień 1 czerwca przypadły były. Nasz Sieciechowita — jak to już dr. Malecki wykazał — był przedtem domowym w Sycynie Kochanowskiego nauczycielem, i jemu to przedewszystkiem zawdzięczać miał przysły nasz poeta pierwsze rozbudzenie i zaszczepienie zamiłowania do świata klasycznego. Czy pedagogiem tym był już od początku r. 1539, t. j. od czasu, gdy został mgrem nauk wyzwolonych, wiadomo, ale był nim, w co niema przyczyny wątpić, do późnej jesieni r. 1543, a należał w każdym razie do lepszych swego czasu magistrów krakowskich, kiedy po kilkuletniej niebytności w Krakowie, za powrotem swoim w styczniu r. 1544 do murów Almae matris, jako extraneus wykłady na wydziale artystycznym od Terencyusa Hecyry rozpoczął. Sylvius miał zresztą osobiste w tem widoki, żeby pupila swego Jasia do Krakowa zwabić, niemając bowiem jako extraneus albo żadnych zgola dochodów, albo bardzo nieznaczne, spodziewać się mógł przecież, że starzy Kochanowscy powierzając mu syna w opiekę, obydwom wystarczające w Krakowie zapewnienie utrzymania.

I nie bez pewnego — jak mówimy — wzruszenia zwykliśmy już dzisiaj o tym właśnie wypadku i szczególniejszem tem wspominać szczęściu, które ówczesnego spotkało Almae matris rektora: największy nasz w. XVI poeta, Jan Kochanowski, w lecie r. 1544 jako 14-letni chłopiec wpisał się w poczet uczniów Uniwersytetu krakowskiego i w ręce ówczesnego rektora, właśnie w ręce naszego ks. Prosińskiego, do niedawna jeszcze najzaciętszego ks. Leonarda z Wisuki nieprzyjaciela i przeciwnika, pierwszą w życiu swoim wykonał przysięgę! Niestety cały ten wypadek, nie bez pewnego zresztą, co przyznać trzeba, uroku, przemijającym tylko i wcale przelotnem, bez żadnych dalszych następstw znaczniejszych i dla samego poety i dla Uniwersytetu krakowskiego, pozostał wydarzeniem, jakby tylko dla ponownego i tem wybitniejszego stwierdzenia, że ówczesna Alma mater Jagiellońska skutkiem bezgranicznej lekkomyślności i pożałowania godnego niedbalstwa ze strony ówczesnych rządów oligarchicznych w dziwną jakąś przekształciwszy się chorobliwą oazę odosobnioną, ówczesnym narodu potrzebom umysłowym zgoła już nie odpowiadała. A i dla „monarszych“ ks. Piotrkowczyka uroszczeń przypadkowym zbiegiem wydarzył się chyba tylko na to, ażeby mu dla tego właśnie tytułu, gdyż ani nauką swoją ani osobistym charakterem wcale na to sobie nie był zasłużył, poczesniejsze nieco u potomności dostało się wspomnienie. Już w kilka tygodni później bowiem, pod koniec czerwca lub w pierwszych dniach lipca, gdy gorętsza nastała była pora, albo jak wtedy mawiano „kanikuła“, rozeszła się po mieście i najbliższych jego okolicach złowroga wiadomość, że zaraza, która roku zeszłego tyle porwała była ofiar, na nowo w całej swojej pojawiła się grozie. Wieść na szczęście okazała się niebawem potem i fałszywą i przesadzoną, w pierwszej jednakowoż chwili wystarczała, żeby smutne swoje i na stosunkach miejskich i uniwersyteckich wybić piętno. Wielu też młodszych magistrów czempredzej dla tego powodu opuściło Kraków, ażeby się na dalszą naukę, jak powiadali, udać do Włoch ¹, w rzeczywistości zaś ażeby podążyć do bliż-

¹ „Hic defectus magistrorum erat ratione pestis ac discessionis in Italiam“, zanotował w *Liber dilig.*, str. 265 i 539, w jesieni r. 1544 ówczesny wydziału filozoficznego dziekan, kmiecego pochodzenia Jan Arundineus z Trzciany,

szych o wiele Uniwersytetów niemieckich, dokąd dobrze już od roku wolna na oścież otworem wszystkim stała droga¹. Opuściło naturalnie niezwłocznie i to w pierwszym rządzie stolicę państwa wszystko, co tylko możniejsze było i potrzebne po temu posiadało środki, ażeby sobie zdala od zapowietrznego miejsca bezpieczniej-sze zapewnić schronienie. Opuścił więc także Uniwersytet Jagielloński, już po kilkutygodniowym zaledwie w nim pobycie, i młodziutki Jaś Kochanowski, zabrany stąd co rychlej, bodaj nawet czy nie podczas samych żniw, przez rodziców na wieś do domu, ażeby już nigdy później dla dopełnienia wyższej nauki do Krakowa niepowrócić. Musiał zresztą tego dobrego widocznie mieć już dosyć: kilkutygodniowy w murach uniwersyteckich pobyt, przysłuchanie się kilku lub kilkunastu oschłym, drobiazgowym i nużącym z jego katedr artystycznych „de via communi Scotisantium“ wykładom, jako też bliższe przypatrzenie się miejskiego i kmiecego pochodzenia „magistrom-prostakom“² i ówczesnym żakom ubogim, którzy dnia każdego po skończonej nauce, żyjąc łaską bożą i miłosierdziem ludzi dobrych, cały czas wolny albo po kościołach i klasztorach się wysługiwali, albo biegając z garnkami po prośbie, mieszkanie najetniejszych nachodzili patrycyuszów miejskich, mogły i powinny były aż nadto wystarczyć, ażeby zamożniejszych rodziców podrostrka szlacheckiego do takiego zakładu szkolnego ze wszystkim zniechęcić, a nawet pewną ku niemu zaszczyć w nim odrazę.

Opuścił tedy na zawsze Uniwersytet Jagielloński, już w czasie kanikuły r. 1544, przyszły poeta polski, zwłaszcza że i taka

co się właśnie do pogłosek o rzekomej owej z lata r. 1544 zarazy i do skutków, jakie za sobą pociągnęły były, odnosiło.

¹ Od uchwał sejmu krakowskiego z kwietnia r. 1543, o czem wyżej.

² Takie o ówczesnych profesorach krakowskich panowało w możniejszych sferach szlacheckich zdanie, jak to sam Kochanowski w swoim „Satyrze“ z r. 1563/4 poświadcza, w jednym miejscu, gdzie nam jakie takie o Uniwersytecie krakowskim zachował wspomnienie i gdzie w następujące do szlachty odzywa się słowa:

Tego baczyć nie mogę, dla której przyczyny
Wolicie do Włoch albo do Niemiec ślać syny,
Mając swe szkoły doma, gdzie przedtem jeźdzali
Cudzoziemcy, którzy się nauką parali.
Zdadzą się wam podobno „prostacy mistrzowie“...

w tem już przestraszonych rodziców jego wola być musiała¹. Jakkolwiek bądź wszakże dla naszego ks. Prosińskiego urosła stąd właśnie, choć wcale na to nie pracował a tylko ślepy tak to już

¹ Pytanie, jak długo Kochanowski w Krakowie na naukach mógł bawić, także dotychczas nie jest wyjaśnione. Według jednych musiał tu przebywać aż do wyjścia żaków z Krakowa w r. 1549, według innych do śmierci ojca w r. 1547, według innych na koniec tylko do r. 1545, gdy „nowa zaraza rozprószenie ludności z Krakowa spowodowała“. Najnowszy zaś jego biograf, hr. Tarnowski, w cytowanych wyżej Studyach, str. 28 i nn., zestawivszy wszystkie te sprzeczne ze sobą poglądy, nie rozwiązuje ich wprawdzie, ale też nie bez przyczyny zapytuje, dlaczego „żadnego z nauczycieli i żadnego z kolegów nie wspomina Kochanowski w swoich dziełach“, dlaczego „żadne wspomnienie tego pobytu w Krakowie nie przechowało się w pismach“ jego, „milczenie — dodaje — trudne do pojęcia, gdy każdy rad zwykle swoje lata szkolne wspomina“. Jak sądzię, Kochanowski wówczas ani kilku nawet tygodni w Krakowie bawić nie mógł, a stało się to w rzeczy samej dla „zarazy“, tylko nie w r. 1545, gdyż tej wtenczas tam nie było, lecz dla rzekomej zarazy w ciągu lata r. 1544. Gdy bowiem wszystko, co możniejsze, z miasta się rozpraszało, niedziw więc, że i starzy Kochanowscy także syna swego czem prędzej na wieś zabrali, żeby go już z powrotem nigdy do Krakowa na naukę nieposłać, tem bardziej, że i uzdolniony i wrażliwy ich Janek, prawdopodobnie najmniejszego więcej do „mistrzów-prostaków“ nie musiał zdradzać pociągu. Sylvius zresztą opierać się jego wyjazdowi nie czuł już także potrzeby, właśnie bowiem w ciągu tego półrocza został był członkiem kolegium mniejszego, gotował się przymtem do przyjęcia święceń kapłańskich, a jako collegiatus Collegii minoris, mając jakie takie już zapewnione dochody, nie potrzebował już tak bardzo oglądać się na Kochanowskich. Czy zaś przy tej sposobności rodzice, zabierając Jasia do domu, ażeby dalszego jego nieprzerywać wykształcenia, nie zabrali dla niego z Krakowa także którego z młodszych i zdolniejszych magistrów, takiego mianowicie, który także miał ochotę „discedere in Italiam“ lub gdzieindziej za granicę, i czy go w towarzystwie nowego tego pedagoga już w r. 1545 nie wyprawili do Włoch, w braku wyraźniejszych danych orzec się nie daje. Liber promotionum z lat 1541—1561, niestety — jak wiadomo — nie istnieje, pełnego wykazu wszystkich z tego okresu magistrów nie mamy, znamy tylko tych, co jako extranei, collegae minores i majores w tych latach na wydziale artystycznym czynni byli, a już zgola nieznani są ci w szczególności, co w lecie r. 1544, na wieść o wybuchu zarazy opuszczając Kraków, „in Italiam“ i w inne zagraniczne podążyli strony, dokąd właśnie teraz wszystkim droga stała otworem. Bądź co bądź pobyt Kochanowskiego w murach Uniwersytetu Jagiellońskiego do tego stopnia krótkim i chwilowym tylko być musiał, że potem, po kilkuletniej we Włoszech i Francji nauce, oprócz chyba owej wzmianki o „mistrzach-prostakach“, żadnego wyraźniejszego w pamięci jego śladu i wspomnienia zachować nie mógł. W późniejszych latach zapomniał był nawet nasz poeta na uroczystą, jaką za uniwersyteckim Sapiencją w ręce rektora Prosińskiego wykonał był przysięgę. Wprawdzie kościolowi do końca życia pozostał wiernym,

zrządził był przypadek, niepospolita chwala, że właśnie za drugiego jego rektorstwa tak niezwykle spotkał był Uniwersytet krakowski zaszczyt, że do rzędu swoich na wydziale filozoficznym uczniów największego naszego z w. XVI zaliczał poetę. Jakoż ręka, którą w jesieni r. 1543 podał był dr. Piotrkowita do zgody swemu przeciwnikowi, ks. Wisneczaninowi, co to przed dwoma laty, we wrześniu r. 1541, po różnych krętych zabiegach sprzątnął mu był kustodyą św. Floryańską z przed nosa, a nałożoną na nią cenę stanowiło właśnie dostojenstwo rektorskie, w szczęśliwą przez niego wyciągnięta porę, wcale pomyślne dla jego próżności przyniosła owoce, a i przeciwnik jego i pośredniczący między nimi, nie bez własnych niestety widoków i nie bez ubocznego ze względu na kolegiacką Wisnkę wyrachowania, drowie Fridel i Procopiades, w przeświadczeniu przynajmniej swoim, żałować tego nie potrzebowali. Wszystko, jak im się zdawało, po ich szło myśli i podług przewidzianego przez nich obliczenia, a i doktorat ks. Leonarda teologiczny, co właśnie odwrotną owej zgody stanowiło cenę, za którą już z góry dobili byli targu, poszedł, bo pójść musiał, jak z płatka. Wprawdzie kustosz kolegiacki, co dobrze wszystkim wiadomą było rzeczą, nie tegim był sobie teologiem, ale na takie drobnostki wcale się już wówczas nieoglądano, nauka, jej postęp i inne tym podobne hasła szczytne, pod którymi Alma mater, nito z pochodnią wyższej w ręku oświaty, powinna była naprzód kroczyć, i co nawet pierwszym jej było obowiązkiem i głównem zadaniem, dawno już do odłożonych na bok w archiwum uniwersyteckiem zużytych i przestarzałych należały rupieci i gratów, i najmniejszego już nawet dla tej przyczyny wyższym w państwie czynnikom nie sprawiały ani bólu ani choćby tylko zawrotu głowy. Wszak król Jegomość czyniąc zadość poważnym przybocznych doradców swoich namowom i przedstawieniom, zapewnił był już od lat kilku¹ wszy-

katolicy nie mieli powodu uważać go za swego przeciwnika, ale też zachowanie się jego z drugiej strony, zgodne zresztą z duchem czasu, było tego rodzaju, że i akatolicy go poniekąd za swego poczytywać mogli. Węgierski w „Slavonia reformata“, str. 454, wyraźnie zalicza Jana Kochanowskiego do rzędu pisarzy, których nazywa: „celebres in Polonia scriptores, pontificii an evangelici?, certe de religione evangelica non male persuasi“.

¹ Znany już nam z poprzedzających uwag przywilejem z 11 sier-

stkim starszym doktorom i magistrum krakowskim, a prawie wszyscy, jak już wiemy, święconymi byli kapłanami, szlachectwo polskie i miłościwie je nawet, ku wielkiej niewątpliwie trefnisia swego Stańczyka radości, rozciągnąć także na ich „ex legitimo matrimonio“ potomstwo raczył. I czegoż tu jeszcze więcej potrzeba było?

Jak zresztą, o ile pomyślnie lub też chropawo, ks. Wisneczaninowi szły te rygoroza doktorskie, bliżej i szczegółowo roztoczyć naturalnie się nie daje. Tyle więc tylko o nich w ogólnym zarysie powiedzieć można, że wedle zwyczaju odbyły się w części już w połowie grudnia r. 1543, w części zaś w pierwszych dniach i w połowie stycznia r. 1544, że czynny w nich, jak zwykle, wzięli udział w pierwszym rzędzie wszyscy doktorowie, w drugim bakałarze i cursorowie fakultetu teologicznego, bierny zaś wszyscy zwyczajni i nadzwyczajni wydziału tego słuchacze¹, i że razem z nim składał je także, o czem go już dawniej drowie Fridel i Procopiades uprzedzili byli, Bożogrobiec miechowski i cursor fakultetu teologicznego, usłużny i gładki szlacheckiego pochodzenia mnich o. Leonard Altipolita-Słoneczewski², wielki królowej Bony i jej frauceymeru ulubieniec, istny późniejszych z połowy w. XVIII sfrancuziałych Pabusiów prototyp.

Czy też przypadkowo dobrze już sobie stary i siwy kustosz ks. Leonard, który albo już był przekroczył, albo właśnie co kończył 63-ci rok życia, przy zadawanych przez starszych doktorów, a przez młodszych stanowiskiem bakałarzy i cursorów bliżej rozwi-

pnia r. 1535, podpisanym także przez ówczesnego biskupa krakowskiego i podkanclerzego koronnego, ks. Piotra Tomickiego. Pauli, Codex, IV 138 i nn.

¹ Zwyczajnymi byli słuchacze, którzy skończyli byli wydział artystyczny z stopniem magistrów filozofii, za nadzwyczajnych zaś uchodzili wszyscy zakonnicy i księża świeccy, którym także, choć nie słuchali przedtem nigdy wykładów artystycznych, w poczet uczniów fakultetu teologicznego wpisywać się i z przedmiotów teologicznych doktoryzować się wolno było. Wszyscy też zawsze obowiązani byli przysłuchiwać się egzaminom na tym wydziale bakałarskim i doktorskim.

² Rękopis bibl. Jag. 2579, k. 29: „1544. Leonardus a Vjjsnka, Leonardus a Vjjsogrod, religiosus sepulchri Domini in Mijechow“, z dopiskiem późniejszym pióra dra Procopiadesa przy nazwisku ostatniem: „1546 episcopus Camenecensis factus“. Całe to miejsce, z tego właśnie rękopisu, mylnie św. p. Szujski przedrukował w Statutach, str. 22: „Leonardus a Vysoka? Leonardus a Vyssogrod, religiosus sepulchri Domini in Myechow, 1544“.

janych i omawianych pytaniach od czasu do czasu, czego się właśnie przedtem dziekan i prokurator św. Floryański, ks. Procopiades ze Szadka, mocno obawiał, nie zapominał rzeczywiście języka w gębie, niewiadomo, choć rzecz to bardzo prawdopodobna, jak z drugiej strony prawdopodobna także, że dzielniej o wiele trzymać się musiał od niego, zdolniejszy i młodszy jego kolega i towarzysz, mnich o. Leonard. Od czegoż przecie dobrze już od półrocz¹ pełnił obowiązki stałego w maryackim kościele kaznodziei, a od kilku już lat z całą zwinnością komnaty wycierał fraucymeru królewskiego? Na swadzie i obrotności, obok zdolności, których mu zaprzeczyć nie można, z pewnością zbywać mu nie musiało, a przy takich zaletach nawet najbardziej wygadanych egzaminatorów ówczesnych i teologów obawiać się nie potrzebował.

Szły więc jako tako rygoroza doktorskie, bo po prostu iść już tak musiały, a wszystko dzięki krętaństwu i zakulisowym szacherkom, pod jakimi się już, przy zupełnym braku wszelkich haśł naukowych, wówczas odbywały. Wygadany rektor, ks. Piotrkowczyk, który przy łada sposobności ex abrupto na każde wydarzenie, jakby z rogu obfitości mechanicznie ze sobą powiązane cytować umiał z Pisma św. wyjątki, sowiecie berłem rektorskiem zapłacony, albo w przyzwoity teraz milczał sposób, albo też z ochotą od chwili do chwili zakłopotanemu bakałarzowi, któremu bądź co bądź biretu zachciało się doktorskiego, przychodził w pomoc. Podążali obydwom, co łatwo przypuścić, z przykładną w sukces gotowością i starsi stanowiskiem Fridel i Procopiades, którym wiele także na tem zależało, ażeby bezwarunkowo sprawę doktoratu dla ks. Wisneczanina przeforsować, a wobec tak zgodnie postępującej trójki cóż tu już poradzić mógł dr. Napachanieczyk, co młodszy od niego bakałarz i „theologus“, ks. Koźmińczyk, co wreście i inni bakałarze i cursorowie, którzy bądź co bądź we własnym interesie na starszych oglądać się musieli profesorów i z większą przeciwko ich woli i zdaniu występować opozycją ochoty mieć nie mogli?².

¹ Od czerwca r. 1543.

² Najzdolniejszy ze wszystkich fakultetu teologicznego profesorów, ks. dr. Kościańczyk, jako nadworny prymasa Gamrata teolog i kapelan, prawdo-

Jakoż weale pomyślnie, choć z wolna i pomału, jak tego zwyczaj wymagał, toczyły się ściśle te z zakresu nauk teologicznych rygoroza, a tem skuteczniej tylko na ostateczny ich wynik dodatny wpłynąć mógł, ściśle zresztą z głównym naszym kandydatem, ks. Wisneczaninem, związany wypadek, który w tym mniej więcej czasie w murach św. Floryańskiej zaszedł kolegiaty, a na który już od dawna interesowane czekały osoby. Właśnie bowiem w tych dniach, albo pod sam koniec grudnia r. 1543, albo w pierwszych tygodniach r. 1544, zjawił się w Krakowie dotychczasowy Wisnki kolegiackiej dzierżawca, szlachcic Socha, który postępowaniem swoim tak fatalnie, czego ani nawet nie przeczuwał, na bieg spraw uniwersyteckich był wpłynął, a zjawił się w tym celu, ażeby kontrakt dzierżawny, który mu albo już był upłynął albo też upływał, na dalsze trzylecie z kolegiatą odnowić¹. Jaka też między nim z jednej, a dziekanem i prokuratorem św. Floryańskim z drugiej strony rozegrać się mogła przy tej sposobności scena, łatwo się domyślić. Łatwowierny wprawdzie, jak każdy astrolog, ale niemniej przytem poczciwy i zacny Alkabicius polski w todzie profesora św. teologii, nie obwijał z pewnością w bawelnę ciężkich, jakie miał mu poczynić, wyrzutów, tak co do wymagania niebываłych w Wisnce dotychczas od mieszkańców tamtejszych robocizn i powinności, jak i co do nieludzkiego obchodzenia się z królewskimi niegdyś, obecnie zaś, już prawie od 150 lat, własnymi św. Floryana kmieciami. Zrywać z nim jednak nie myślał bynajmniej ani też cofać się z ekonomiczno-finansowej drogi, na którą przedstawieniami i namowami swoimi stanowczo już kolegiatę był sprowadził, zwłaszcza gdy i słowom poczciwego zawierzył był Fridla, że byle So-sze wszystko należycie przedłożył, sprawa cała niechybnie, bez uciekania się do środków rozpaczliwych, w łagodny da się naprawić i zabezpieczyć sposób. Nie zerwał więc z nim układów i dla tego

podobnie w tym czasie, w grudniu r. 1543 i w styczniu r. 1544, w Krakowie się nie znajdował; nie powiodło mi się przymajmniej żadnych wyraźniejszych odszukać śladów, żeby tu w tych miesiącach był bawił.

¹ Dzierżawił Wisnkę — jak sobie przypominamy — w r. 1539 i 1540 na próbę, od stycznia zaś r. 1541 wziął ją był warendę na trzy lata, do końca r. 1543.

jeszcze widocznie powodu, że przedsiębiorczy i obrotny szlacheć-dzierżawca, choć może nieprzygotowany wcale na takie zajście, do tyła niewątpliwie posiadał rozumu i znajomości osób i rzeczy, ażeby z całej tej przeprawy obronną niejako wyjść ręką.

Co do wymagania zatem od kmieci wisneckich niebywałych tam przedtem, za łagodnych rządów prokuratorskich robocizn i powinności, mógł chyba tylko zauważyć, że ani na włos niczego od nich więcej ani nie żądał, ani żądać nie będzie, jak tylko dopełnienia obowiązków, jakie już wszędzie szlachta na kmieci swoich nałożyła była¹. Na taką obronę mógł naturalnie mieszczuk Procopiades ze Szadka, który z wiejskiem i rolnem gospodarstwem, istną dla siebie terra incognita, nigdy w życiu swoim nie miał nic do czynienia, wielkie tylko zrobić oczy, i tem bardziej zaufać Sosze, gdy i drugą połową nieźle na prędcie obmyślanej obrony swojej za serce tylko powinien go być ująć. Co do złego obchodzenia się bowiem z Wisneczaniami, na śmiało mógł mu być szlacheć-dzierżawca powiedzieć, że co do jego osoby, gdyż sam stale przemieszkował w Brzeźnicy, a tylko od czasu do czasu do Wisnki zaglądał, wszystko to wierutne bajki.

— A toć on katolik, nie żaden Herod — oświadczał dziekanowi św. Floryańskiemu — żeby na obrazę bożą rozbijał niewiniątka. Jeżeli zaś — dodawał — z ramienia jego postanowiony w Wisnce „urzędnik“ w gorączce zapomniał się chwilowo i temu lub owemu kmieciowi tamtejszemu trochę poturbował plece lub natarł uszu, toć zabroni, z pewnością zabroni mu stanowczo, żeby tego na przyszłość nie ważył się czynić, już choćby przez sam wzgląd na tak godną i zacną parentelę, jaka po mieczu i po kądzieli wisneckich łączy kmieci, z tak wysoko w uniwersyteckiej i św. Floryańskiej hierarchii położonym luminarzem i potentatem, jak kustosz ks. Leonard.

Po takich też zastrzeżeniach ustnych i po takim, jak mu się zdawało, zabezpieczeniu na przyszłość od ucisku, zniewag i poniewierki kmieci kolegiackich, wypuścił dr. Procopiades w dzierżawę burgrabiemu brzeźnickiemu Wisnkę ponownie na dalsze trzy lata,

¹ Lubomirski, Ludność rolnicza w Polsce, str. 19 i n.; Waligóra, Stanowisko włościan w Polsce, str. 72 i nn.

od początku stycznia r. 1544 do końca grudnia r. 1546¹, i tem śmielej już obecnie, gdy kustosz św. Floryański przeszkód już w tem nie stawiał mu dalszych, napierał teraz ze swojej strony na przyspieszenie dla niego i dla jego kolegi i towarzysza na ławie egzaminacyjnej także reszty rygorozów² i uroczystego dla obydwóch aktu promocyjnego. Jakoż niebawem, albo w ostatnich dniach stycznia, albo w pierwszych miesiąca lutego r. 1544 zbliżyła się na koniec ta tyle przez trzech głównych i zgodnie postępujących egzaminatorów, Fridla, Procopiadesa i Prosińskiego, jak i przez obydwóch kandydatów, bakalarza ks. Wisneczanina i cursora o. Altipolite, upragniona pora, a co się dotąd niejako tylko w obrębie samego odbywało fakultetu teologicznego pod przewodnictwem jego dziekana³, w obecności i przy współudziale zwyczajnych jego i nadzwyczajnych profesorów, jako też docentów, niemniej też w obecności zwyczajnych i nadzwyczajnych wydziału tego słuchaczy, którzy wstęp na rygorozę zawsze mieli wolny, przeniosło się teraz w szersze i w całym znaczeniu właściwe sfery uniwersyteckie, w ostatecznym bowiem akcie promocyjnym wzięli już teraz z urzędu udział nie tylko główni Uniwersytetu reprezentanci, jego rektor i podkanclerzy, ale i wszystkie inne jego fakultety, jurydyczny, medyczny i artystyczny, razem ze wszystkimi wydziałów tych profesorami i magistrami i razem ze wszystkimi swoimi słuchaczami i żakami.

W oznaczony dzień zatem, gdy już wszystkie egzamina szcześliwie do końca dobiegły były, w uroczystym poprowadzono pochodzie, pod wieczór w czasie nieszpornym, obydwóch chwili bieżącej bohaterów, kustosza kolegiackiego, ks. Leonarda, i Bożogrobeca i proboszcza od św. Jadwigi, o. Leonarda, przy radosnym odgłosie nastrojonych przez młodszych i starszych pauprów trąb i pi-

¹ Za jak wysoką cenę roczną, niewiadomo; dopiero bowiem w późniejszych latach z dalszych rachunków św. Floryańskich, o których niżej, dowiadujemy się, ile rocznego za Wisnę czynszu płacił Socha.

² Było ich kilka razem, ile jednakowoż i w jakim szły porządku, trudno z dochowanych źródeł wyrozumić.

³ Kto nim był w półroczu zimowym z r. 1543 na 1544, także nie jest wiadomo; prawdopodobnie dr. Napachauńczyk, lub który z ówczesnych doktorów-mnichów.

szczałek¹, z największej w Collegium majus sali, zwanej „lectorium Theologorum“, do położonego po drugiej stronie ulicy uniwersyteckiego św. Anny kościoła. Na czele pochodu kroczyli przede wszystkim w świątecznych togach i biretach nadęty „monarcha“ Piotrkowczyk i skromny wicekanclerz Fridel, poprzedzeni przez starszego i młodszego Sapiencyę z wniesionymi do góry berłami, rektorskiem i podkanclerskiem. Tuż za nimi postępował cały senat uniwersytecki, dziekani wszystkich czterech jego wydziałów, teologicznego, jurydycznego², medycznego³ i filozoficznego⁴, razem z fakultetów tych doradcami czyli konsyliarzami⁵. Bezpośrednio zaś za senatem świątecznie przebrani, nie bez szczerego ukontentowania wewnętrznego, szli obydwaj nasi kandydaci, 63-letni ks. Wisneczanin i o wiele latami młodszy od niego Słoneczewski⁶, a dalej za nimi wszysecy już inni wszystkich wydziałów doktorowie, baka-larze, cursorowie i magistrowie, pomieszani z zaproszonymi na akt ten uroczysty przez obydwóch kandydatów przyjaciółmi, dobrymi znajomymi i gośćmi. Pochód zamykała od końca i z boków tłumnie cisnąca się na niezwykłą tę i nie tak często powtarzającą się uroczystość żadna, jak zawsze, widowisk i uowości młodzież uniwersytecka.

Po zajęciu też przez rektora i wicekanclerza przygotowanego dla nich tronu powitani teraz zostali wszysecy przybyli przedewszy-

¹ Szujski, Statuta, str. 10 i nn.

² Również i dziekan fakultetu jurydycznego z tego półrocza z nazwiska nie jest znany.

³ „Decanus facultatis phisice“ w zimie z r. 1543 na 1544 był według Acta rector., II 160 z 7 lutego t. r., dr. med. Adam Brzezińczyk, kolegą zaś jego na tym wydziale czyli drugim profesorem medycyny dr. Szymon Szamotulczyk. Obydwaj widocznie właśnie co dopiero do fakultetu weszli byli, pier-wszy po drze Wieliciusie, który, jak się pokazuje, nie tylko z rektorstwa ustąpił ale i z katedry profesorskiej, drugi po drze Łowiczanie. Powtarzana skądinąd wiadomość, jakoby Szamotulczyk już w r. 1542, t. j. zaraz po śmierci dra Noskowskiego, objął był katedrę na wydziale lekarskim, zdaje się polegać na jakimś nieporozumieniu.

⁴ Mieszczanin Piotr Poznanita. Liber dilig., str. 260 i 475.

⁵ „conciliarii“. Szujski u. s. i rękopis bibl. Jag. nr. 2579, za którymi idziemy.

⁶ + w r. 1563, źródła milczą wszakże o tem, żeby później doczekał się był starości; prawdopodobnie w styczniu r. 1544 liczył sobie mało co więcej nad 40 lat.

stkiem uroczyście w towarzystwie organów kościelnych odśpiewaniem „Veni Creator“, poczem dwaj akty całego promotorowie wstąpiwszy na przysposobione dla nich na podwyższeniu katedry i wezwawszy łaski Trójcy św. na pomoc¹, oświadczyli najprzód kolegom-profesorom, magistrum, młodzieży szkolnej i licznie zebranym gościom, że właśnie odbywa się publicznie ostateczny akt promocyjny ks. Leonarda z Wisnki i o. Leonarda z Wyszogrodu, którzy po złożeniu prawem przepisanych egzaminów ścisłych życzą sobie, ażeby ich zaliczono „inter doctores theologiae Universitatis Cracoviensis“. A zwróciwszy się zaraz do obydwóch, przypomnieli im przede wszystkim, jakie jeszcze przejść mają formalności i co jeszcze egzaminatorom i innym osobom, o ile jeszcze tego nie byli dopełnili, za promocyą uiścić są obowiązani, i zaraz każdemu z nich z osobna po trzy z zakresu nauk teologicznych zadali kwestye, które, jak tego Statuta fakultetu wymagały, musiały być: „prima expectativa, secunda aulica, tertia altercative“, wzywając równocześnie obydwóch, ażeby na wszystkie te pytania z obecnymi św. teologii dramami i bakałarzami w publiczną wdali się dysputę.

Była to wszakże czeza tylko i zwykła w obecności całego Uniwersytetu odegrana formalność, zwłaszcza gdy te same Statuta z góry już wyraźnie zastrzegały, że promotorowie obowiązani są zawsze kwestye do dysputy publicznej obmyślać „specificie ac nude“, a inni teologowie winni tylko „magis honoris, quam vexationis causa“ kandydatom oponować. Jakoż poprzednio już, jak to zazwyczaj się działo, treściwie i należycie przez interesowanych ogadane, poszły w dyspucie publicznej wcale gładko, i chyba o tyle tylko przedłużyć się nieco mogły, że było ich razem aż sześć, po trzy dla każdego.

Z kolei wystąpił teraz jeden z młodszych żaków szkolnych, co do którego Statuta, obawiając się widocznie, żeby nim nie był przypadkowo który z obszarpanych pauprów, wcale charakterystycznie się domagały, żeby „dobrze i przyzwoicie“ był ubrany², i wygłosił, czego się już przedtem był wyuczył, treściwy wiersz łaciń-

¹ „post invocationem ss. Trinitatis“.

² „bene ac ornate vestitus“.

ski na pochwałę Almae matris Jagiellońskiej¹, poczem każdy z promotorów w krótkich słowach skreśliwszy kandydata swego biegu życia i wyliczywszy wszystkie cnót jego, zdolności i charakteru zalety, podziękował Bogu w ich imieniu za zaszczyt, jakiego dostąpić mają, i zakończył przemowę swoją oświadczeniem wszem wobec i każdemu z osobna, że nazajutrz rano w tym samym kościele nastąpi zamknięcie aktu, a w szczególności odebranie od kandydatów przysięgi, wręczenie im pierścieni doktorskich i biretów i przyznanie obydwom tytułu i stopni doktorów św. teologii.

W tym samym więc porządku, jak przyszedli byli, przy odgłosie radośnie brzmiących trąb i piszczałek², wyszli teraz wszyscy z kościoła, ażeby nazajutrz przed południem w oznaczonej godzinie w podobnym pochodzie uroczystym ponownie obydwóch z Collegium majus wprowadzić do kościoła św. Anny, gdzie przedewszystkiem znowu nabożne wszystkich powitało „Veni Creator“! Po jego zaś zakończeniu i po krótkiej ze strony obydwóch promotorów przemowie wykonali teraz nasi kandydaci najprzód przysięgę w ich ręce na wierność Kościołowi i na pilne zachowanie i strzeżenie praw i zwyczajów fakultetu teologicznego:

„Ego Leonardus — przysięgał więc głośno każdy z nich z osobna, klęcząc przed swoim promotorem i trzymając dwa prawej ręki palce do góry — iuro obedienciam s. Romanę ecclesię „et fidei catholicam pro posse tueri ac defendere, reuerenciamque „magistris s. theologie exhibere, ac fidele testimonium de promotione in s. theologia dare. Sic me Deus adiuuet“.

W klęczącej też postaci otrzymał teraz każdy z nich od swego promotora: przygotowany dla obydwóch pierścień doktorski, pocałunek pokoju i przygotowany biret doktorski, które im wręczając każdy z promotorów, jak tego Statuta wymagały³, w te do swego kandydata przemówił słowa:

¹ „carmen in laudem Academiae“.

² „tubis cantantibus“.

³ Tak powyższą rotę przysięgi, jak przytoczone niżej cztery formuły łacińskie, przy wręczaniu kandydatom pierścienia, składaniu na ich czołe pocałunku, wkładaniu im biretów, i ostateczną promocyjną, nie zawierają Statutu wydziału teologicznego w wydaniu św. p. Szujskiego; przytaczam je wiernie podług rękopisu bibl. Jag. 2579.

Przy wkładaniu im na palce pierścienia: „Et ego — powiedział — imprimis desponso te s. nostri ecclesię catholicę ac ss. „theologię, quam tibi hodie, quasi virginem castam, sponsam fęderas, quam et annuli subarracione perpetuam vitę sociam et inseperabilem comitem adipisceris, vt fide confortatus stes miles strenuus in defensione et ampliacione eiusdem contra impios illius „hostes“.

Składając na ich czole pocałunek pokoju: „Do tibi — mówił — osculum pacis in signum amoris et dilectionis, quam ad „Deum et proximos tuos habere debeas“.

Wkładając wręście na ich głowę biret doktorski: „Impono — dodawał promotor — capiti tuo insigne doctorale, vt fulgeas et „luceas omnibus hominibus in professione veritatis et puritate „vitę“.

Po wiernem więc przepisanych tych formalności dopełnieniu, zesłzi natychmiast obydwaj promotorowie z katedry, którą zajmowali, nasi zaś kandydaci powstawszy równocześnie z miejsca, zbliżyli się teraz do tronu, na którym obok rektora siedział zastępcą biskupa krakowskiego i urodzonego Almae matris kanclerza, kanonik katedralny, Kleparzanin ks. Fridel, a przyklękawszy zaraz z pokorą u stóp jego, oczekiwali w milczeniu, aż z rąk jego ostatecznego niejako w nowej godności swojej, nie otrzymają zatwierdzenia i błogosławieństwa na dalszą drogę życia. W błogiem też przeświadczeniu, że i tym razem znowu dobry „ad maiorem Dei gloriam“ spełnia czyn i obowiązek, z wyrazem łagodności i zadowolenia na twarzy powstał z powagą ks. podkanclerzy ze swego stolca a nadając im tytuły doktorskie i błogosławiąc obydwóch:

„Auctoritate Omnipotentis Dei — mówił do nich — ac priuilegiorum, a Sede apostolica Vniuersitati nostrę et facultati „theologicę concessorum, nunc mihi per Reuerendissimum dnum „cancellarium nostrum comissa, creo vos in magistros et doctores „s. theologię, dans vobis cum nomine auctoritatem legendi, disputandi, glossandi, interpretandi et iam iam in eadem incipiendi. „In nomine Patris † et Filii † et Spiritus s. † Amen“.

A odwróciwszy się do obecnych profesorów, magistrów, młodzieży szkolnej i zgromadzonych gości, wszystkim oświadczył, że odbydwaj kandydaci, dotychczasowy bakalarz św. teologii, ks. Le-

onard z Wisnki, i dotychczasowy cursor wydziału teologicznego, o. Leonard z Wyszogrodu¹, zostali już „inter doctores theologiae Universitatis Cracoviensis connumerati“, i że na przyszłość, co także zaraz nastąpi, już w charakterze św. teologii doktorów katedry profesorskie zajmować i z nich przemawiać i nauczać będą.

Z porządku zatem wystąpił teraz znowu jeden z porządniej ubranych słuchaczy uniwersyteckich, ażeby krótką i zwięzłą wygłosić mowę na pochwałę nauk teologicznych², poczem każdy z kandydatów, najprzód starszy a potem młodszy Leonard, wezwany przez podkanclerzego, wszedł na katedrę, na której dotąd promotorowie ich siedzieli, i na zadany, lecz z góry już poprzednio poufnie sobie z zakresu nauk teologicznych udzielony temat, dłuższą „per notabilia, conclusiones et corollaria“ miał przemowę, którą zakończył wynurzeniem w tkliwych wyrazach serdecznego podziękowania w pierwszym rzędzie ks. podkanclerzemu i rektorowi Uniwersytetu, w drugim promotorom swoim i egzaminatorom, w trzecim młodszy z wydziału teologicznego kolegom i wszystkim wszystkim fakultetów doktorom, magistrum i bakałarzom, a wreszcie także i wszystkim żakom i pauprom, jako też obecnym gościom, tamtych za łaskawe względy i trudy, tym zaś za zaszczyt niezwykły, jaki im obecnością swoją przy tak uroczystym dla nich akcie wyświadczyć raczyli.

Na znak też ten donośne i radosne w kościele w towarzystwie organów zabrzmiało „Te Deum laudamus“, po którego odśpiewaniu w tym samym porządku, przy odgłosie trąb i piszczałek, rozpoczął się uroczysty powrót do Collegium majus, gdzie znowu gorące nastąpiły życzenia wzajemne i serdeczne podziękowania, jako też rozdawanie przez obydwóch osobom interesowanym należących się im jeszcze podług prawa i zwyczaju bogatych darów w suknie, rękawicach i innych kosztownościach, niemniej też uiszczanie należące się im reszty opłat pieniężnych i danin obowiązkowych,

¹ Żaden nie dochował się ślad, żeby Słoneczewski przed uzyskaniem doktoratu został był poprzednio, jak tego pozornie Statuta wymagały, bakałarzem lub licencyjatem nauk teologicznych, i z tego stopnia dopiero posunął się był na doktora św. teologii.

² „a puero subordinato et bene ac ornate vestito recitatur oratio de laudibus theologiae“.

a wreście także i wspaniale i suto zastawiona dla wszystkich przez obydwóch doktorów nowych uczta¹, która wśród libacyj, ożywionej rozmowy i gęstych Vivatów do późnego przeciągnęła się wieczora. Jakoż spożywając obficie i bogato zastawione dary boże i popijając je, jak się godziło, niemniej często wychylaną „mal-maską“, „hipokrasem“² i innymi winami wybornymi, na co przecież ks. Wisneczanina i kolegę jego stać było, rozczulali się teraz wszyscy niepomalu i co chwila, obłapiając całowali, zaczęm prawdopodobnie i „monarcha“ krakowski i kustosz św. Floryański, nabrawszy ochoty, czule padli sobie w objęcia i po raz niewiedzieć już który przyrzekali sobie, jako niechybnie wszystkie dotychczasowe krzywdy i urazy, rzeczywiste i urojone, wzajemnie sobie w wieczną puszczaają niepamięć.

Uroczystość zakończyła się ku ogólnemu wszystkich zadowoleniu, gdyż tylko mieszkający w kolegiacie z ks. kustoszem dwaj bliscy powinowaci, swak jego i kumoter, nie mogli, jak się zdaje, tak bardzo tem wszystkiem być zbudowani. Trudno im prawdopodobnie było pojąć, po co tego wszystkiego i na co potrzeba było ich ujkowi, kiedy już miał kustodyą św. Floryańską, której nikt mu nie odbierał, a tu na różne te taksy i wygórowane opłaty, na te dary i libacye aż tyle z dobrego schowku na marne pójść musiało „żółtobrzuszków“³.

(C. d. n.).

Dr. Władysław Wisłocki.

¹ „refectio vel prandium, a novis doctoribus appositum“.

² Wino rozkoszne z pod miasta Napoli di Malvasia w Morei i t. zw. vinum Hippocraticum. Linde w Słowniku.

³ = dukatów.



BARTOSZ Z WISSEMBURGA.

(SZKIC HISTORYCZNY).

I.

Stary i możny był ród panów na Wissemburgu¹. Jeżeli wolno wierzyć heraldykom szląskim, to miał on pochodzić aż gdzieś z Alzacyi², z młodszej niezawodnie linii i zaliczał się w poczet wysokiej szlachty niemieckiej³. Już wcześniej, bo jeszcze podobno w XII wieku mieli się przesiedlić Wissemburgi z Alzacyi do Szląska, i tu niezawodnie założyli gród i osadę Wezimburg, dzisiejsze Wiesenberg w obwodzie lignickim⁴. W XIII wieku spotykamy ich bardzo często na Szląsku, gdzie piastują najwyższe godności i urzędy. Znakiem ich herbowym był pierwotnie wół o rozłożystych rogach. Herb taki posiadały na Szląsku tylko dwie rodziny Ketliczów i Wissemburgów, którym wśród najstarszej znamienitej szlachty poczestne należało się miejsce⁵. Członkowie tego

¹ Ród ten zowie się rodem Wissemburgów, Wiszembemburgów, Wizemburgów, Wizenburgów, etc.

² Pochodzić mieli z Wissemburga z Alzacyi. Patrz Sinapius: *Schlesische Curiositäten*. B. I. s. 1032.

³ Mieroszowski: *Kilka słów o heraldyce polskiej*. Str. 32.

⁴ Knie: *Übersicht der Dörfer, Flecken u. Städte d. Prov. Schlesien*.

⁵ Friedensburg: *Schlesiens Münzwesen in Mittelalter* w *Cod. diplom.* Silez. B. III. Th. 2 str. 118.

rodu dzielni i wierni swym książętom, mieli zachowanie u wszystkich. Szczególniejszym blaskiem sławy okrył się w r. 1227 Peregryn z Wissemburga, powiernik i wysoki urzędnik księcia Henryka Brodatego. Zasłonił on bowiem pana swego w Gąsawie przed zamachem księcia Świętopełka¹. Zginął wprawdzie Peregryn pod ciosami nieprzyjaciół — lecz poświęcenie jego znalazło przynajmniej pogrobową nagrodę w tych licznych dobrach i posiadłościach, których im wdzięczny za uratowanie życia książę bynajmniej nie szczędził. Żaden już jednak z potomków Peregrynowych na Szląsku, nie zdobył sobie tak świetnego rozgłosu, jak ich mężny protoplasta. Siedzieli wprawdzie na wysokich urzędach i piastowali wybitne godności tak duchowne jak i świeckie, lecz żywszego udziału w sprawach publicznych nie brali².

Ze Szląska przeszli Wissemburgi do Czech³ i do Polski⁴. W Polsce spotykamy ich już za Łokietka. Osiedli w Wielkopolsce i rozmnożyli się licznie. Tu nastała dla nich jakby nowa era. Ruchliwi, czynni, hardzi i odważni, zapisali się wydatnie na kartach naszych dziejów. Szybko dobili się znaczenia i zaszczytów i byli w tak wielkiem poważaniu i zachowaniu, iż cała szlachta Wielkopolska uważała ich za swych przedstawicieli i przewodników. Jednak wraz z potęgą domu rosła także w potomkach Peregrynowych duma, zuchwałość i duch buntowniczy, który prowadził ich nieraz do stawienia oporu królom polskim, nawet z orężem w dłoni. Jeden z członków tego rodu, słynny Maćko Borkowicz⁵,

¹ Smolka: Henryk Brodaty str. 38.

² Zbędną by było rzeczą wyliczanie licznych członków rodu Wissemburgów, zwłaszcza że nawet między najwybitniejszymi z nich i najczęściej spotykanymi w aktach, stopnia pokrewieństwa wykazać nie można.

³ Petra Žitawského kronika Zbraslavská w Fontes rer. Bohemic. t. IV. fasc. I. str. 87, także kronika Františka Pražského w Font. rer. Boh. t. IV. fasc. 4 i 5, str. 365.

⁴ W pamiętniku towarz. przyjaciół nauk pozn. t. IX. str. 47 rozprawa p. t. „Wspólności rodowe, tworzenie się herbów i nazwiska familijne w Polsce“.

⁵ Ze Maćko Borkowicz należał do rodu Wissemburgów, świadectwem na to herb jego „Wissemburg“. (Kod. wielkop. IV. sigill. XLVIII). — Piekosiński (Rozpr. i spraw. wyd. hist. Akad. t. XVI, str. 79) wywodzi ród jego od Borków, zdaniem jednak naszym ród Borków nie ma nic wspólnego z Maćkiem Borkowiczem, herby bowiem Wissemburgów a Borków są zupełnie odmienne.

nie wahał się wystąpić z opozycją przeciw tak potężnemu i energicznemu królowi jak Kazimierz Wielki, a Bartosz z Wissemburga opierał się zbrojnie rozkazom króla Ludwika i stanął do walki z margrabią Zygmuntem. Właśnie tym to Bartoszem z Wissemburga wypadnie się nam zająć w niniejszej rozprawce¹.

Ojcem Bartosza był, jak podaje kronikarz Janko², Peregryn z Chotela³, zwany także Chotelskim od posiadłości tego nazwiska, położonej niedaleko Brześcia w ziemi Kujawskiej. Prócz tej jedynej wzmianki kronikarza wielkopolskiego, nie posiadamy o Peregrynie żadnej innej wiadomości. Wnosić jeno można, że właśnie w Chotelu znajdowało się rodzinne gniazdo Wissemburgów⁴ po przeniesieniu się ich do Polski, i że tu oprócz Chotela musiało do nich należeć także pobliskie Sokołowo, bo występujący później w opowiadaniu naszym Bartosz z Sokołowa, miał być wedle Janka wujem naszego Bartosza, a więc bratem Peregryna⁵. Czy posia-

¹ Szczupła ilość dat nie dozwoli nam ujrzeć w całej pełni życia tego sympatycznego Wielkopolanina, jednak i te daty razem zebrane wystarczą może, że bodaj w ogólnym zarysie potrafimy sobie odtworzyć obraz ruchliwego życia jego.

² Janko: Kronika rozdz. 39.

³ Wuttke w Städtebuch d. Landes Posen. str. 265 jest zdania, że „Peregrinus“, nie oznacza imienia ojca Bartosza, lecz znaczy „przybysz“.

⁴ Nie wiem z jakiej racji i na czym się opierając wywiedli heraldycy nasi (Niesiecki, Paprocki, Starowski i inni) a za nimi Szajnocha (Jadwiga i Jagiello) Dzieła VI. str. 4. Wissemburgów z miasta Więcborga położonego w dawnej Krainie w północnej Wielkopolsce na pograniczu Brandenburgskim. Więcborg nosi miano w aktach ówczesnych średniowiecznych: Wanczburg, Wancborg, Wanczbork, a nigdy Wisenburg. Dzisiejsza nazwa tego miasteczka jest: Vandsburg. Pochodzących z Wanczburga nazywano Wanczborskimi, jak np. owego Mikołaja występującego r. 1390 za Jagielly (Kod. wielkop. III. nr. 1904, str. 629) a nigdy Wissemburskimi. Zdaniem przeto mojem należy odrzucić bezpodstawne twierdzenie heraldyków naszych, zwłaszcza, iż nie znajdujemy nic na poparcie ich twierdzenia.

⁵ Janko: kronika rozdz. 33. — Janko nazywa właściwie Bartosza z Sokołowa „avunculus“, a Bartosza z Wissemburga „nepos“, na innem miejscu nazywa znowu Bartosza z Sokołowa „bratem Bartosza z Wissemburga“. Pomyłka kronikarza i niedokładność da się w ten sposób wytłumaczyć i zrezyfikować, jeśli do słowa kronikarza „avunculus“ dodamy opuszczone „fratris“, bo „avunculus fratris“ znaczy wnuk. Szajnocha (Jadwiga i Jagiello) Dzieła t. V. str. 104), zmylony niedokładnością kronikarza, zrobił obu Bartoszków braćmi.

dłość owa rodzinna Chotel, spadła po śmierci ojca na Bartosza — rozstrzygać nie podobna. Zdaje się jednak, że Bartosz nie był jej panem, gdyż nie ma wypadku, aby był gdzie wspomnianym lub podpisanym jako właściciel Chotela, gdy tymczasem nazwiska różnych innych posiadłości, których był posiadaczem, są często przyczepione do jego imienia. Prócz posiadłości w Koronie, powiększonych później znacznie hojnością króla Kazimierza Wielkiego i księcia Ziemowita Mazowieckiego, którym Wissemburg liczne oddał usługi, posiadał także dobra na Szląsku. Niestety mamy tylko wskazówki, że dobra te musiały być znaczne, wymienić ich jednak po nazwisku nie umiemy. To jednak wiemy stanowczo, iż posiadłość Czindal¹, położona w obwodzie Brzegskim, należała do naszego Bartosza², i że on do szląskiej „szlachty“ (Landadel) się liczył³.

Wiadomości nasze o rodzeństwie jego są również nadzwyczaj skąpe. Z aktów dowiedzieć mogliśmy się jeno tyle, że miał dwóch braci Heinczona i Potha⁴, o których zresztą zupełnie bliższych wiadomości nie posiadamy. Zdaje się jednak, że losy ich były związane ściśle z losem naszego Wissemburga⁵.

Pierwszy raz spotykamy się z naszym Bartoszem w dokumencie z r. 1369, i wtedy występuje on już jako właściciel i posiadacz dóbr Nabyszyce i dobrze jest zapisany u króla Kazimierza z powodu „ważnych, licznych i niezwykłych przysług“, które królowi temu wyświadczył. Hojny władca nie omieszkiał nagrodzić Bartosza za wierne służby. W Chęcinie d. 4 listopada 1369 r.⁶ w obecności Wierzbity, starosty i kasztelana poznańskiego, Wilczka, kasztelana sandomierskiego, Janka z Czarnkowa, podkanclerzego królestwa i innych dostojników, darował król dziedzicowi Naby-

¹ Czindal dzisiejsze Zindel patrz Knie: Übersicht der Dörfer, Flecken u. Städte d. Prov. Schlesien.

² Klose: Vom Bresslau. B. II. Th. 2. s. 402.

³ Bresslauer Rechnungsbuch w Cod. dipl. Silez. III, str. 121.

⁴ Lubomirski: Kodeks mazowiecki nr. CVII i CX.

⁵ Domysł ten popieram tem, iż w cytowanych aktach mazowieckich Ziemowit obdarzał dobrami Bartosza i „braci jego“. Widać więc z tego, że i ci musieli pozostawać w usługach Ziemowita wraz z Bartoszem.

⁶ Kod. wielkopolski T. III, nr. 1618.

szyc miasteczko Kozminek, z czterema wsiami, a mianowicie: Osuchowem, Chodupkami, Nakwasinem i Złotnikami, położonymi w obwodzie Kaliskim. Pan Bartosz otrzymał od króla prawo niezwykle, gdyż mógł sobie zakładać lennictwa wszędy i wzdłuż koło Kozminka na obszarze czterech mil kwadratowych¹. Nadto otrzymał rozmaite przywileje, jako to: że on i spadkobiercy jego mogli sobie z otrzymanymi posiadłościami stosownie do swej woli postąpić, mogli je sprzedawać, zamienić, darować, zastawić i t. p.; dalej, otrzymali prawo sądzenia i wymierzania wszystkich kar względem swych poddanych, nie wyłączając kary śmierci. Poddani Bartosza byli wyłącznie tylko jego wyrokom podlegli, on zaś sam pozostawał pod bezpośrednią jurysdykcyą króla. Nadto przysługiwało Wissemburgowi prawo ściągania podatków, mianowicie: poboru, poradnego, przewodu i podworowego. Przywilejów dotyczących cel nie pominął również hojny władca. Za szczególniejszy dowód łaskowości ze strony króla Kazimierza poczytać należy przyznana mu wolność polowania, nie tylko we własnych dobrach, ale „gdziekolwiekby zechciał“. Z aktu tego nadającego tyle przywilejów, widzimy: że zasługi pana Bartosza musiały być niepośledniego znaczenia. Przywileje te czyniły go prawie zupełnie udzielnym panem podległym jedynie królowi. Jakiego jednak rodzaju były te „liczne przysługi“, w skutek których nasz Wissemburg na tak wielką łaskę królewską zasłużył — nie wiemy. Zachęcony hojnością króla musiał niezawodnie pozostać dalej w usługach jego, i być może, że odeń jeszcze w nagrodę miasto Kozmin i Złotę² otrzymał.

II.

Śmierć króla Kazimierza (5 listop. 1370 r.) spowodowała nie małe zmiany w stosunkach Polski. Z nowym władcą nastąpiły nowe

¹ Patrz Piekosiński: „O dynastycznym szlachte polskiej pochodzeniu“ str. 33.

² Kiedy Bartosz mógł nabyć te posiadłości — trudno dociec, najprawdopodobniej jeszcze za Kazimierza. Janko wspomina o nich dopiero pod rokiem 1382, w czasie wyprawy Zygmunta Luksemburga na Bartosza i przy zdobywaniu Kalisza przez Wissemburga także pod r. 1382.

czasy. Dawnych urzędników i powierników króla usunięto, a powołano nowych. Rej teraz wodzili panowie małopolsey, a do stóp tronu nie przypuszczali byle kogo, lecz tylko swoich krewniaków i powinowatych, lub w ogóle ludzi, związanych z ich własnymi sprawami. Tak usunięto Przecława z Gołuchowa, generalnego starostę Wielkopolski, tak otrzymał dymissyą Janko z Czarnkowa, syn wójta Bogumiła¹, podkanclerzy zmarłego króla i wielu innych, a na ich miejsce wysunęli się Różyce, Kurozwęccy, Melsztyni, Leliwici i t. d. Mimo tego niepomyślnego obrotu stosunków, jakiemu ulegli dawni urzędnicy i zaufani zgasłego króla, udało się panu Bartoszewi wyjść bez szwanku. Co więcej umiał sobie nawet pozyskać przychyłność Władysława, księcia Opolskiego, owego sławnego doradcy i powiernika króla Ludwika. Za wstawieniem się tego księcia — jak podają² — otrzymał gród i starostwo Odolanowskie. W posiadaniu tego grodu spotykamy go już d. 19 grudnia 1372 r.; podpisuje się *Bartossius de Odolano* i obecny jest przy wystawianiu pewnego dokumentu przez Mikołaja podkomorzego kaliskiego we wsi Jankowie³.

Nowy stan rzeczy w Polsce, nie musiał wielce zrażać Bartosza do Ludwika i matki jego Elżbiety, przeciwnie, mimo że był Wielkopolaninem stał wiernie przy tronie i dworowi służył. W jak krótkim czasie potrafił sobie zjednać łaskę i przychyłność matki regentki, świadczy to, iż w r. 1374 był starostą kujawskim wraz z wujem swoim Bartoszem z Sokołowa. W lipcu tegoż roku przybywał na krakowskim dworze Elżbiety i wtedy po raz pierwszy widzimy go na tej godności⁴. Starostować miał na Kujawach — jak podaje Janko⁵ — za opłatą 800 grzywien rocznie, co naturalnie w porównaniu z dochodami ciągniętymi z zarządzania tą ziemią, stanowiło nadzwyczaj niską sumę. Miara pod jak korzystnymi warunkami starostował pan Bartosz w ziemi kujawskiej, jest fakt, iż w r. 1377 Piotr Mołocha z Mołochowa dał za to starostwo 2000 grzywien.

¹ Theiner: Mon. Pol. et Lith. I. str. 639, nro. DCCCLX i 629 nro DCCCXLIV. (odkrycie prof. Wojciechowskiego).

² Janko: Kronika rozdz. 39.

³ Kod. wielkop. III. str. 391. nro 1678.

⁴ Ryszczewski i Muczk.: Kod. dypl. Pol. II. cz. 2, str. 756.

⁵ Janko: rozdz. 33.

To korzystne wypuszczenie starostwa panu Bartoszowi przypisać należy jedynie temu, iż cieszył się wielką przychylnością dworu. O rządach obu Bartoszków, pisze naoczny świadek¹ w ten sposób: „Ziemie ową dzierżyli szczęśliwie... owi dzielni rycerze, prawdziwi, prawi i mężni obrońcy jej, pokoju i porządków przestrzegacze, rozbójów i kradzieży energiczni prześladowcy“. Sumiennem sprawowaniem obowiązków i surowem przestrzeganiem praw zjednał sobie pan Bartosz umysły braci szlachty. Młodemu staroście otwierało się coraz szersze pole do wysługiwania się dworowi, do pozyskiwania sobie jego łaski. A w parze z tem szła z drugiej strony wielka mnogość przyjaciół, niezwykła popularność i zachowanie. Szczęśliwy zbieg okoliczności zdawał się pomagać mu w jego zamysłach i w szybkim wyniesieniu się nad innych.

Zdarzyło się właśnie w jesieni r. 1373, że słynny mnich i rycerz zarazem książę Władysław Biały², zachęcony namową kilku ze szlachty kujawskiej, którzy go jako Piastowicza, najbliższego krewniaka króla Kazimierza, widzieć chcieli na tronie, przybył do Polski. Rozgoryczenie przeciw Ludwikowi popchnęło ich do tego kroku. Władysław Biały zawołany awanturnik, zamienił kapiec i krzyż na oręż i wsparty pomocą kilku panów brandenburskich, zasilony pieniędzmi Krzyżaków, zajął Złotoryę. Zaś Ulryk von Osten, sprzymierzeniec jego po nieudalym zamachu na Raciąż, zawładnął Gniewkowem, położonym w Bartoszewej ziemi kujawskiej. Sprawa księcia wróżyła powrodozenie, zwłaszcza, że wielka część szlachty wielkopolskiej, rada Piastowiczowi, po jego stanęła stronie. Prócz Gniewkowa i Złotoryi posiadał wkrótce Władysław: Włocławek i Szarlej. Sędziwój z Szubina wysłany celem poskromienia pretendenta do korony i wyrzucenia go z granic Polski, nie mógł podołać zadaniu z powodu szczupłych sił. By energiczniej wystąpić, zwołał Sędziwój ku pomocy starostę sieradzkiego Jaśka Kmitę. Mając przeważne siły, przygotowywano się do napadu na nieprzyjaciela.

¹ Janko: Kronika rozdz. 33.

² Najbardziej wyczerpującą monografię o Władysławie Białym napisał Leniek w *Przewod. nauk. i liter.* rok 1887.

W oznaczonym miejscu mieli się połączyć obaj starostowie, jednak Władysław Biały śmiałym napadem na tabory Jaśka, osłabił ich tak znacznie, że widzieli się zmuszonymi wezwać jeszcze na pomoc obu starostów kujawskich. Obaj Bartosze przybyli z swymi hufcami. Bartosz i Jaśko połączywszy swe siły, zabiegli drogę księciu Władysławowi pod Gniewkowem. Szczęście sprzyjało im, książę nie mógł się oprzeć, pobity ledwo „samoczwart“ schronił się do Złotoryi. Nie spoczął jednak Bartosz i Jaśko po tej wygranej, lecz ścigali rozbitego w puch nieprzyjaciela aż pod Toruń¹. Przegrana nie zachwiała atoli w sercu byłego mnicha z Dijonu nadziei odzyskania korony, a przynajmniej księstwa Gniewkowskiego. Łupieskich napadów nie zaniechał, owszem rabując, niszcząc i paląc, niepokoił całą Wielkopolskę. Dotychczasowe wyprawy starostów, by go z granic Polski wyrzucić, prowadzone bez energii i najmniejszych sił zbrojnych, nie odnosiły rezultatów. Brak należytego i sprężystego wystąpienia przeciw księciu Białemu znajduje jednak w tem swoje usprawiedliwienie, iż podówczas uwaga wszystkich zwróconą była na daleko ważniejsze sprawy: na zjazdy koszyckie. Atoli na Zielone Świątki r. 1376 miało przyjść do rozstrzygającej walki. W tym też celu połączyli swe siły Sędziwój, Jaśko i Bartosz, a nadto nadeignął im z pomocą Kazimierz, książę szczeciński, Fryderyk von Wedel i Bartosz z Sokołowa. Po należytem przygotowaniu się przystąpiono do oblężenia Złotoryi.

Zdarzyło się dawniej, iż na jednej z wycieczek schwytał był książę Władysław, niejakiego Hanka poddanego Bartosza, właściciela młynów brzeskich, doskonałego mistrza w stawianiu machin. Na jego jednak zaręczenie, iż na każde wezwanie się stawia, uwolnił go. Teraz w czasie oblężenia Złotoryi posłał po niego, i kazał mu przybyć natychmiast do siebie, bez ociągania się. W ciężkiej tej chwili nie wiedział Hanko co robić i udał się do starosty swego pana Bartosza z prośbą o poradę. Pan starosta mógł mu być powiedzieć, by nie usłuchał rozkazu, i zdolności jego na swoją korzyść obrócić. Atoli dalekim był od tego pan Bartosz; znając się na przepisach szyku rycerskiego, odrzekł zakłopotanemu

¹ Janko: Kron. rozdz. 20. — Długosz: Histor. T. IV. str. 334.

młynarzowi, by wykonał to, do czego się zobowiązał, i pozostawił go własnemu przekonaniu. Hanko więc udał się do Złotoryi, by budować księciu Białemu „sztuką i przemysłem działa i statki wojenne, którymiby rażono najbardziej oblegające wojsko“¹. Ale Hanko obawiał się, by mu potem nie poczytano tego za zdradę, iż wspiera nieprzyjaciela, postanowił przeto podstępem wydać zamek w ręce oblegających. Przez tajemnego posłańca uwiadomił Sędziwoja, iż mu Złotoryę otworzy i klucze od bram miasta przysśle. Sędziwój uradowany tem, a nadto zazdrosny, by nie dzielić zasługi pokonania Władysława ani z ks. Kazimierzem Szczecińskim, ani z Bartoszem, nie przypuszczając żadnego z nich do tajemnicy, postanowił plan ten sam na własną rękę spełnić. W zamku tymczasem wpadł Władysław Biały na ślad zdrady, a ponieważ poszlaki wskazywały na Hankę, przeto wziął go na tortury, a ten męczony wyśpiewał wszystko. Chwycił się teraz książę podstępu — Sędziwój niespodziewanie miał za zazdrość swoją odpokutować. Zięć Hanki zaniósł na rozkaz księcia klucze staroście wielkopolskiemu i umówił się o czas, w którym starosta miał wejść na zamek. Sędziwój zebrawszy nocą swą „drużynę“, mając pod rozkazami Fryderyka Wedela, ruszył na zamek. Otwarto bramę, już 26 ludzi weszło do wnętrza, wtem żołnierze księcia spuszczaają żelazną kratę obciążoną dwoma ogromnymi kamieniami. Ta spadając zabija Fryderyka Wedel i kilku innych; ci zaś, którzy już byli w zamku, popadli w moc księcia. Ze wstydem odstąpił Sędziwój od bramy grodu, a na drugi dzień kazał przypuścić szturm. Znowu jednak bezskutecznie, poniósł znaczne straty, a nadto Kazimierz Szczeciński ugodzony kamieniem, wkrótce życie zakończył (2 stycz. 1377). Wojna i oblężenie ciągnęło się dalej. Miał jednak jeszcze pan Bartosz odegrać w tej wojnie wybitniejszą rolę. Osaczony ze wszech stron książę, wiedział iż jeśli ~~by~~ ^{nie} do poddania zamku zmuszonym nie zostanie, to głód zmusi go do tego. Nie pozostało mu przeto nic innego jak nawiązać rokowania pokojowe. A właśnie bawił podówczas w obozie starościńskim kanclerz Zawisza, książę nawiązał z nim przeto rokowania. Po długich targach na zapewnienie Sędziwoja i Bartosza, że król winę mu daruje,

¹ Długosz: *Histor.* IV. str. 336.

oświadczył, iż poddaje zamek jedynie staroście Bartoszowi, pod warunkiem, że gdyby król do zgody skłonić się nie dał, w takim razie pan Bartosz zajęty zamek wyda mu na powrót¹. Rycerska postać Bartosza musiała obudzić niezwykłą sympatyę w Piastowiczu, skoro zamek jedynie jemu oddawał. Nadto chcąc okazać panu Bartoszowi, że go uznaje godnym siebie współzawodnikiem, stósownie do spaczonych pojęć szyku rycerskiego, wyzwał go na pojedynek. Broń przed godnym nieprzyjacielem miała być złożoną z honorem! Bartosz, który niezawodnie znał się także doskonale na przepisach rycerskich, przyjął wyzwanie. Stanęli więc obaj konno i zbrojno pod murami Złotoryi, by skruszyć kopie w obliczu wojsk. „Książę Władysław dawszy rumakowi ostrogi, pomknął z kopią przeciw staroście, a starosta pomknął z kopią przeciw księżęciu i uderzyli w gwałtownym pędzie o siebie, i książę otrzymał od Bartosza ciężką ranę w prawe ramię“². Po wyleczeniu się księcia z tej rany, dał mu Bartosz odpowiednią sumę na podróż do króla Ludwika na Węgry, a nawet wedle kronikarza krzyżackiego miał mu sam na dwór królewski wraz z wujem swoim towarzyszyć (w marcu 1377)³. Tam wreszcie przyszło do zgody, Ludwik uwolniony został od współzawodnika, a Polska od awanturniczego księcia, który chętnie dopuszczał się łupiestw i rabunków⁴.

Pokonaniem Władysława oddał pan Bartosz nie małą przysługę dworowi. Dwór był obowiązany teraz do wdzięczności względem starosty, który dla dobra sprawy Andegawenów nie wahał się życia swego narazić i gonić na ostre z tak awanturnicznym księciem. Urósł też pan Bartosz nie mało w powagę i w poważanie wśród swoich herbowników i całej szlachty wielkopolskiej, która chociaż początkowo tak gorąco miała się sprawy księcia, jednak poznawszy jego niedołęstwo umysłowe i srogość, wzdychała następnie, by go się pozbyć jak najprędzej. Pan Bartosz stał się teraz w Wielkopolsce najwybitniejszą i najbardziej wpływową oso-

¹ Annales Thor. w Script. rer. Pruss. III. s. 103.

² Janko: Kron. rozdz. 21. Szajnocha: Dzieła (Jadw. i Jag). V, str. 256.

³ Annal. Thor. w Script. rer. Pruss. III, str. 103.

⁴ Opowiadanie wedle Janka rozdz. 20 i 21 i wedle Długosza IV str. 336, 337 i 338.

bistością; wiedział o tem i sam starosta, wiedział też o tem co ważniejsza cały dwór, sama Elżbieta i sam król Ludwik Węgierski. Niezawodnie spodziewał się Bartosz nagrody lub przynajmniej uznania i pochwały, stało się jednak przeciwnie. Zwycięstwo jakie odniósł nad księciem Białym, dla niego było dotkliwą porażką. Dwór węgierski i krakowski poinformowany doskonale o wszystkich sprawach, wiedział dobrze z kim ma do czynienia. Bartosz, który urósł w taką moc i w taką powagę wśród burzliwej braci wielkopolskiej, niezadowolony, mógł być kiedyś niebezpiecznym. To też postanowiono zawczasu go usunąć i zrobić nieszkodliwym. Ludwik węgierski, przybywszy w r. 1377 w lecie do Polski celem podjęcia wyprawy przeciw Litwie, usunął obu Bartoszków ze starostwa Kujawskiego¹. A zasłonięto się tem, że Piotr Mołocha z Mołochowa ofiarowywał dworowi wyższą sumę za owo starostwo, bo aż 2000 grzywien rocznie. Rozporządzenie królewskie nie mile musiało dotknąć całą szlachtę wielkopolską, która i tak już wielce była podrażnioną układami koszyckimi, jakoteż zamianowaniem Domara z Pierchna generalnym starostą. Jak niekorzystne musiało to uczynić wrażenie, wyczytać można ze słów współczesnego świadka, który rządy obu Bartoszków w Kujawach chwali niewymownie².

Bartosz otrzymawszy zamiast nagrody, uwolnienie od rządów starościńskich, doznawszy niespodzianie takiej niewdzięczności, stał się teraz z gorącego stronnika dworu, zaciętym jego przeciwnikiem. Oburzony do żywego, a przytem dumny i ambitny, postanowił oddać wet za wet. Za głównego swego wroga, którego podejrzewał, iż tenże mu się w ten sposób przysłużył, uważał Władysława ks. Opolskiego, który podówczas mianowany został namiestnikiem Polski. Były starosta urażony, gotował zemstę i niezawodnie brał udział w zjazdach szlachty wielkopolskiej przeciw Opolczykowi i tam protestował przeciw niemu. Co więcej, posunął

¹ Wszystko przemawia za tem, że to się stało r. 1377 w czasie pobytu króla w Polsce; Janko mówi o tem pod r. 1376, i przypisuje usunięcie Bartoszków ze starostwa Elżbiecie. Data Janka jest niezawodnie fałszywą, bo Bartosz usunięty, nie byłby niezawodnie wojował dalej z księciem Władysławem, nie byłby następnie sam osobiście jeździł do Ludwika. Data przeto u Długosza, który cały fakt zamieszcza pod r. 1377 jest znacznie prawdopodobniejszą.

² Janko: Kron. rozdz. 33.

się nawet do tego, iż chwycił za oręż. Zbrojno najeżdżał ziemie wielkorządcy, zwłaszcza szląskie i tam wyrządzał spustoszenia i szkody. Najwięcej ucierpiało książęce miasto Oleśna (Rosenberg). Jednak walka z dworem nie mogła wpłynąć na polepszenie sprawy jego. Czuł to Bartosz i dlatego ochłonawszy z pierwszego oburzenia, postanowił zaniechać napadów i zawrzeć zgodę z księciem wielkorządcą. Szkoda mu było utracić Odolanowa, Kozmina, Kozminka i innych posiadłości. Udał się przeto do Krzepic na dwór Opolczyka i tam 1 kwietnia 1378 roku w obec wysłanników duchowieństwa, którzy w sprawie poradnego do księcia przybyli, zawarł rozejm. Zawieszenie broni miało trwać do Trójcy św. tj. do dnia 5 czerwca, zaś na Zielone Świątki (2 maja) zobowiązani byli sędziowie polubowni na zjeździe w Kaliszu wszelkie szkody i krzywdy wyrządzone oszacować, i sprawę finalnie załatwić¹. O ostatecznym sposobie załagodzenia tego sporu, nie jesteśmy niestety przez kronikarzy powiadomieni. Zdaje się jednak, że zgoda zawarta została, bo nie znajdujemy nigdzie wzmianki, by pan Bartosz po upływie zawieszenia broni walkę na nowo podjął.

W r. 1379 czy 1380 w miesiącu sierpniu spełnił pan Bartosz czyn, który dał powód kronikarzom i historykom do wyrzeczenia surowego nań sądu. W owym czasie przeciągał w pobliżu ziem pana na Odolanowie zbrojny poczet rycerzy francuskich, złożony z 59 ludzi. Dążyli oni do ziem Zakonu na wyprawę przeciw Litwie. Bartosz pozwolił sobie przytrzymać ich i oświadczył, że tylko za złożeniem 27.000 zł. „dobrej i sprawiedliwej wagi złota“ puści ich na wolność². Ujęci rycerze udali się z prośbą do Mistra Winryka von Kniprode, by raczył żadaną sumę im pożyczyć. Wielki Mistrz, z którym król francuski Karol V niedawno co zawarł układ celem prowadzenia handlu bez przeszkód i bezpiecznego odbywania podróży³, przychylił się do ich prośby „z powodu szczególniejszej czci dla najjaśniejszego księcia Karola króla Fran-

¹ Janko: rozdz. 39.

² Patrz Szajnocha Dzieła (Jadwiga i Jagiello) t. VI, nr. do str. 8, (str. 292 i nast.).

³ Voigt: Col. dipl. Pruss. III. s. 187. nro CXXXIX.

cyi i innych jasnych panów¹ i wyżej wzmiankowaną sumę złożył Bartoszowi, jako okup. Uwolnieni rycerze poświadczyli w sierpniu 1380 r.², że są dłużni wielkiemu mistrzowi sumę 27.000 zł., a zarazem wnieśli skargę na Bartosza przed króla Ludwika. To miało być powodem, jak podają, który skłonił króla do nakazania zbrojnej wyprawy generalnemu staroście Wielkopolski Domaratowi przeciw Bartoszowi pod gród Odolanów³. Król nawet sam przybył do Polski, ustanowił regencyę i nakazał wyprawę. Zdaje się, że głębsze były powody, które skłoniły króla do podjęcia wojny przeciw możnemu staroście. Musiał on tam dobrze podburzać i podjudzać bracią szlachtę wielkopolską przeciw całemu dworowi; a więc król chcąc się pozbyć tak ruchliwego i wpływowego nieprzyjaciela, postanowił go złamać. Wielka w tym celu gotowała się wyprawa przeciw panu Bartoszowi. „Wszyscy starostowie ziem polskich“⁴ zebraли się około 8 września 1381 r. i ruszyli pod Odolanów. Bartosz nie uląkł się sił przeważnych, owszem stawil mężny opór. Dnia 11 września w sam dzień św. Prota i Jacentego przyszło do spotkania we wsiach duchownych należących do dyecezyi gnieźnieńskiej i lubuskiej. Na czyją stronę przechyliła się szala zwycięstwa, nie wiadomo. Współczesny świadek mileczy o tem, a Długosz źle usposobiony dla Bartosza, owego „zuchwalecy i napastnika“ twierdzi, iż został pobity. Cała jednak wyprawa spelzła na niczem, a raczej jedynie na zniszczeniu i spustoszeniu okolicy i wsi należących do kapituły gnieźnieńskiej. Odolanowa nie dobywano wcale, obie strony zjechały się w Skarbimierzycach i poczęły traktować o rozejm. Wybrano 8 sędziów polubownych, którzy mieli posiadłości Bartosza w Polsce oszacować. Starosta miał się zrzec swych dóbr za zapłatą sumy, jaką sąd polubowny mu przyznaczy, oszacowawszy jego ziemie. Odolanów miał być wydany starostom, a król miał Bartoszowi pieniądze wypłacać ratami, straciwszy tę kwotę, jaką zabrał rycerzom francuskim. Układ ten potrzebował potwier-

¹ Kod. wielkop. III. str. 497, nro. 1779.

² Wedle wydawców Kodeksu wielkop. loc. cit.

³ Długosz IV, str. 367.

⁴ Janko: 39.

dzenia królewskiego¹. „Ugoda ta, — jak opowiada współcześnie żyjący świadek, — prawdopodobnie wedle zdania niektórych roztropnych, nie mogła przyjść do skutku, mówiono, że królowi wielce się nie podobała i że nie dotrzymał jej jako ubliżającej i niegodnej majestatu królewskiego“. Cała więc wyprawa Domarata spełzła na niczem, pan Bartosz utrzymał się przy swoim, Odolanowa i dóbr okolicznych nie pozbawiono go.

Na tem jednak nie zakończono sprawy, przeciwnie niepotwierdzenie przez króla ugody zawartej przez starostów, kazało prowadzić dalej wojnę przeciw Bartoszowi. Tegoż jednak roku było już za późno wyprawiać się przeciw niemu, musiano się wstrzymać aż do następnego. Tak energiczne wystąpienie przeciw staroście Odolanowa, naprowadza Szujskiego² na domysł, zresztą nieusprawiedliwiony, że już wtedy musiał pan Bartosz jakieś nieprzyjazne knuć zamiary z Mazowszem przeciw królowi.

Nadszedł r. 1382, atoli znowu na razie nie można było podjąć kroków nieprzyjacielskich przeciw Wissemburgowi, król bowiem dla załatwienia najżywotniejszych interesów i spraw swego domu, zwołał zjazd panów polskich do Zwolenia w dzień 25 lipca. Tu przedstawił swego dezygnowanego następcę Zygmunta Luksemburga, kazał panom hold mu złożyć i wreszcie wysłał do Polski na poskromienie Bartosza. Bartosz tymczasem, widząc, że tak prędko nie rozpoczną się kroki nieprzyjacielskie, wyjechał na Śląsk dla załatwienia niektórych spraw. W Brzegu d. 11 lipca załatwił przed sądem wraz z bratem swoim Heinczonem sprawę finansową ze Żydem Mołkiem³, poczem wrócił do Polski.

Tymczasem hufce panów Małopolskich, połączone z wojskiem Zygmunta, ruszyły gdzieś z końcem sierpnia przeciw Bartoszowi,

¹ Nasuwa się pytanie, czy Bartosz rzeczywiście Odolanów wydał. Janko (cap 39) pokręcił nieco sprawę, mówi bowiem najpierw, że Bartosz gród wydał, a posiadłości jego przyłączone zostały do „stołu królewskiego“. Ale nieco dalej opowiada, że królowi ugoda ta nie podobała się i że jej nie dotrzymał. Zdaje się więc, że Bartosz został w posiadaniu Odolanowa. Upewnia nas o tem jeszcze i to, że wojna prowadzoną była w przyszłym roku także pod Odolanowem, a Bartosz był panem jego.

² Szujski: Ludw. weg. i czasy bezkr. Roztrz. i opow. histor. str. 119.

³ Cod. dipl. Silez. IX, str. 64, nro. 449.

który nie wahał stawić czoła przeważającym siłom. Luksemburg zdobył Kozmin, następnie Kozminek i Nabierzyce. Okolicę pustoszone do koła nie oszczędzając nawet dóbr duchownych. Do rozstrzygającej walki miało przyjść pod Odolanowem, gdzie się gromadziły wojska. W drugim tygodniu września przystąpił Zygmunt, Sędziwój i Domarat do oblężenia tego grodu. Niezawodnie musiałby być dumny Wiszemburezyk uchylić czoła przed Luksemburgiem, szczęśliwie jednak okoliczności przysły mu w pomoc i wybawiły z kłopotu. Do obozu zleciała nagła wieść, że król Ludwik rozstał się z tym światem. Śmierć króla zmuszała teraz Zygmunta i trzech jego doradców tj. arcybiskupa Bodzantę, Sędziwoja i Domarata do zaniechania na razie walki z Bartoszem. Trzeba się było przede wszystkim postarać, by Polska przyjęła Zygmunta za pana, by mu hołd złożyła. Zatrzymano więc na chwilę w tajemnicy wieść o śmierci króla, a z Bartoszem nawiązano rokowania. Szybko ułożono warunki rozejmu. Z obu stron wybrać miano sędziów polubownych, ci mieli oszacować dobra Bartosza, Zygmunt zaś miał spłacić należną starości sumę¹. Wiszemburg przyjął warunki, i oczekiwał w pokoju dalszych wypadków. (C. d. n.)

Ernest T. Breiter.

¹ Wedle opowiadania Janka rozdz. 61.

O STANIE WNĘTRZA ZIEMI.

Nikt nie był świadkiem stworzenia ziemi, nikt też nie zajrzał do jej wnętrza. Najdawniejsze wspomnienia historyczne przedstawiają ziemię w takim stanie, w jakim dziś się znajduje. Najgłębsze szyby w kopalniach dochodzą zaledwie do jednej pięciotysięcznej promienia ziemi¹. Cóż więc dziwnego, że zamiast wiadomości o wewnętrznym ustroju ziemi i o sposobie jej powstania, mamy przypuszczenia; zamiast dowiedzionych teoryj, niepewne hipotezy. Zdawałoby się więc, że pod nagłówkiem niniejszego artykułu, należałoby tylko napisać „nie nie wiemy i nie dowiedzieć się nie możemy“. Jednakże, gdybyśmy zawsze tak postępowali, ilekroć znajdujemy się w obec jakiejś trudnej kwestyi, wszelkie postępy wiedzy byłyby niemożliwe. Przeciwnie starając się poznać rzeczy przedtem nieznane, po wielu błędach i omyłkach dochodzimy do niektórych pewnych wiadomości. I w danej kwestyi wiele bładzono, a jednak zrobiono już pierwszy krok, ku bliższemu jej zbadaniu. Istnieją bowiem pewne wskazówki o stanie wnętrza ziemi i sposobie jej powstania, a wolno żywić nadzieję, że będą w przyszłości powiększone i dopełnione. Oba pytania stoją w bliskim między sobą związku. Wiadomości dotyczące jednego z nich mogą jednocześnie posłużyć do odpowiedzi na drugie. W obecnej chwili rzecz przedstawia się tak: co do sposobu powstania ziemi, mamy tylko

¹ Oprócz jednego szybu: Schlagdebach pod Lipskiem 1700 metrów, tj. więcej jak $\frac{1}{1000}$ promienia ziemi.

niektóre prawdopodobne hipotezy; co do wewnętrznego jej ustroju, znamy niektóre, acz nieliczne fakty.

Laplace tłumaczy powstanie słonecznego systemu w następujący sposób: Pierwotnie istniała wielka chaotyczna masa gazów i rozżarzonych par, wirująca około pewnej osi. Naturalnym kształtem takiej masy będzie sferoida tj. ciało podobne do kuli, ale spłaszczone u biegunów osi obrotu, albowiem w skutek przyciągania masa starałaby się przybrać kształt kuli, a w skutek siły odśrodkowej, najmniejszej u biegunów, największej na równiku, musi wytworzyć się wydęcie w okolicach tego ostatniego. Lecz ta sferoida znajdująca się w przestrzeni międzyświatowej, jak wiadomo bardzo zimnej¹, traciła przez promieniowanie ciepło, zaczęła się kurczyć i zmniejszać. A jakież z tego kurczenia się następstwa? Energia² obrotowa sferoidy jest wielkością stałą. Składa się ze sumy iloczynów trzech czynników: masy cząsteczek, ich odległości od osi obrotu i prędkości³. Masa jest stałą, jeżeli więc odległości cząsteczek ulegają zmniejszeniu, to prędkość musi się odpowiednio powiększyć. Lecz z prędkością powiększa się i siła odśrodkowa; a zatem ta ostatnia przy pewnej krytycznej prędkości, może wiać przewagę nad przyciąganiem, stąd na równiku, gdzie siła odśrodkowa jest największa, odrywa się pierścień materii i wiruje około pozostałej centralnej sferoidy; ale sam znów, oziębiając się i kurcząc, rozrywa się na części, zbiega w jedną lub więcej sferoid, które krążą naokoło centralnej masy w kierunku jej obrotu. Kilkakrotne powtórzenie się tego procesu na głównej masie i na drugorzędnych już od niej oderwanych sferoidach wystarcza, aby wytworzyć cały system słoneczny z jego planetami, satellitami i asteroidami.

Rozliczne fakty z dziedziny astronomii potwierdzają tę hipotezę. Dość zwrócić uwagę na dwa powszechnie znane, a mianowi-

¹ Pouillet obliczał temperaturę tej przestrzeni na -140° C., kilka lat temu Prölich robił nowe pomiary i obliczenia, znalazł cyfry -131° , -127° C.

² Energia „energy“ na wzór angielskich fizyków zamiast dawniej używanego wyrażenia: siła żywa — które jest mniej odpowiednie, gdy się mówi o martwej materii.

³ Algebraicznie $\frac{1}{2} \sum m r^2 \omega^2$.

cie na pierścienie Saturna i jednostajność kierunku obrotu niemal wszystkich planet naokoło słońca.

Obok hipotezy Laplace'a istnieje druga utworzona przez Marschalla w pierwszych latach bieżącego stulecia, a niedawno wznowiona przez Nordenskiölda. Przypuszczają oni, że ziemia jest zlepkiem meteorytów i pyłów kosmicznych, które skupiły się naokoło jakiegoś małego ciała pierwotnie zajmującego pozycję ziemi wśród planet. Ta hipoteza sama w sobie nie jest pozbawiona pewnego prawdopodobieństwa, ale można jej zrobić następujący zarzut. Wiemy, że meteoryty są drobnymi ciałkami i rzadko spadają na ziemię, atoli wówczas gdy ziemia była znacznie mniejszą, jej siła przyciągania była również mniejszą, a zatem deszcz meteorytów musiał być wówczas jeszcze rzadszym niż za dni dzisiejszych. Przy spadnięciu każdego meteorytu w skutek uderzenia, wywiązuje się pewna ilość ciepła, jednakże te ilości ciepła, które ziemia corocznie zyskuje przez uderzenia spadających meteorytów, są tak nieznaczne, że ani trochę nie przyczyniają się do podniesienia jej temperatury. Wtedy, gdy ten deszcz meteorytów był jeszcze rzadszym, powiększenie temperatury w skutek ich spadania było jeszcze mniejsze. Skądże więc powstała wysoka wewnętrzna ciepłota ziemi? — Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się uciekać do różnych nieprawdopodobnych przypuszczeń. Albo trzeba powiedzieć, że wówczas gdy ziemia tworzyła się z meteorytów, przez jej orbitę przechodziły całe roje meteorytów, albo trzeba uciec się do wewnętrznych chemicznych procesów. Lecz tu nowa trudność pojawia się natychmiast. Trzeba dowieść, że chemiczne procesy nie tylko istniały, ale że przytem mogły wytwarzać dostatecznie wielkie zasoby ciepła.

Atoli nie należy sądzić, aby meteoryty miały być zupełnie wykluczone z pomiędzy szeregu materiałów użytych na budowę słonecznego systemu. Badania Lockyera i innych fizyków zajmujących się analizą spektralną, okazały, że w mgławicach znajdują się meteoryty i w ogóle drobne ciała stałe rozżarzone do wysokiej temperatury. Na podstawie tego można przypuszczać, że w mgławicy, z której utworzył się nasz system planetarny, również znajdowały się takie drobne ciała stałe.

Zdaje się także, że hipoteza Laplace'a ulegnie pewnej mody-

fikacyi w innym kierunku. Najnowsze badania W. Thomsona, G. H. Darwina i H. Poincaré'go nad równowagą ciał ciekłych wirujących w próżni okazują, że prawdopodobnie satelit oddziela się od głównego ciała nie tylko przez oderwanie się pierścienia, ale raczej przez rozpadnięcie się masy na dwie nierówne części. Wszakże te badania, należące do najtrudniejszych zagadnień fizyki matematycznej, nie są bynajmniej ukończone, a właściwie dotyczą dotąd tylko cieczy jednorodnej. W obec tego należy powstrzymać się z wydaniem ostatecznego sądu o tej kwestyi.

Hypoteza Laplace'a przedstawia jeszcze tę dogodność, że dobrze się zgadza z faktami, znanymi z fizyki ziemi i geologii. Badania nad średnią gęstością ziemi dowodzą, że ziemia jest ciałem bardzo ciężkiem. Jej waga wynosi pięć i pół razy tyle, co waga kuli wodnej mającej te same, jak ziemia rozmiary. Newton w swoich *Principia* powiada, że gęstość ziemi wynosi zapewne pięć do sześciu razy tyle, co gęstość wody. Nie znalazł on żadnych odnośnych pomiarów, tylko wprost odgadł tę cyfrę, którą późniejsze pomiary w zupełności sprawdziły. Najwięcej można ufać tym, które były robione metodą Cavendisha¹, albowiem wyklucza ona wpływ miejscowych czynników (np. gęstości skał okolicznego gruntu). Cały szereg uczonych używał tej metody, a rezultaty przez nich otrzymane, wszystkie wahają się około cyfry $5\frac{1}{2}$. Lecz ponieważ gęstość zewnętrznych pokładów dochodzi zaledwo do połowy tej cyfry, więc bezpośrednio nasuwa się wniosek, że w głębi ziemi znajdują się pokłady złożone z daleko cięższych materyałów.

Ten wniosek doskonale stwierdza hipotezę Laplace'a. W ciekłej masie złożonej z różnorodnych płynów, jeżeli tylko prędkość wirowego obrotu nie jest nazbyt wielką, najcięższe płyny muszą skupić się naokoło środka, na zewnątrz zaś pozostaną lżejsze materyały. Faktycznie zaś, prędkość wirowego obrotu ziemi jest rzeczywiście niewielka, czego najlepszym dowodem jest stosunkowo małe spłaszczenie ziemi, wynoszące około $\frac{1}{290}$.

Hypoteza Laplace'a wywodzi początek ziemi od gazowej, a później płynnej sferoidy. Oczywiście temperatura tej sferoidy musiała

¹ Także bardzo dokładną jest metoda Jolly'ego. Tu używa się dla oznaczenia wagi ziemi — zwykłych szalek — podczas gdy metoda Cavendisha wymaga zbudowania tak zwanej wagi skręceń (*balance de torsion*).

być bardzo wysoką, albowiem metale i minerały, skały takie jak granity, gneissy, łupki, oliwiny topnieją tylko przy bardzo wysokich temperaturach. Z kolei nasuwa się więc przypuszczenie, że ślady tej wysokiej temperatury mogły dotąd pozostać. Z drugiej strony codzienne doświadczenie wskazuje, że we wnętrzu ziemi ciepłota jest o wiele wyższą, niż na jej powierzchni. Gorące źródła i wulkany są tego dowodem. Naprowadzają nawet na dość ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że wewnątrz ziemi jest, jak się pospolicie wyrażają: ognisto-płynne.

Co sądzić należy w obec dzisiejszego stanu nauki o tem ostatniem przypuszczeniu? Czy są za tem stanowcze jakie dowody?

Istnienie gorących źródeł nie może być uważane jako poważny argument na korzyść wyżej wspomnianej hipotezy. Ostatecznie są to zjawiska miejscowe i nie wymagające istnienia rozległych gorących pokładów. Nadto temperatura tych źródeł rzadko kiedy przekracza punkt wrzenia. Nie potrzeba wysokiej wewnętrznej ciepłoty dla ogrzania wody do 60° C lub 80° C. Te temperatury są nazbyt dalekie od tego gorąca, które topi metale i kamienie.

Daleko poważniejszy jest argument z wulkanów. Lawa wypływająca z wulkanów nie może być wprawdzie nazwana rzeczywiście cieczą; jestto masa ciastowato-ciekła, ale w każdym razie płynna. Jej temperatura przewyższa zwykle 1000° C. Zdawałoby się więc, że w głębokości 50 do 60 kilometrów pod powierzchnią ziemi, zaczynają się już sfery roztopionej lawy, posiadającej wyżej podaną temperaturę. Zapuszczając się głębiej, znaleźlibyśmy jeszcze wyższe temperatury. Jednakże to wcale jeszcze nie dowodzi, aby na kilkadziesiąt kilometrów pod powierzchnią zaczynało się ognistopłynne jądro i sięgało aż do samego środka ziemi. Bardzo być może, że lawy przechodzą w stan płynny, li tylko dzięki zbiegowi specjalnych okoliczności. Mamy zaś wszelkie prawo sądzić, że taki zbieg okoliczności właśnie istnieje w wypadku wulkanów. Dość jest spojrzeć na kartę obu półkuli naszej ziemi, aby się przekonać, że wszystkie czynne wulkany znajdują się albo tuż u morskiego wybrzeża, albo w niewielkiej kilku lub kilkunastomilowej odległości od morza. Jestto fakt nieulegający wątpliwości, a godny zastanowienia. Z drugiej strony powszechnie wiadomo, że działalność wulkanów nie polega głównie na wyrzucaniu lawy. Przeciwnie wybu-

chy lawy są zjawiskiem stosunkowo rzadkiem. Niektóre wulkany od setek lat nie wydały ani jednego potoku lawy, pomimo tego, że są w ciągłej działalności. Największe wybuchy składają się głównie z wulkanicznych popiołów. Ale każdy wulkan stale i zawsze wyrzuca ze siebie ogromne masy pary wodnej.

Straszna katastrofa na wysepce Krakatana przed parą laty polegała także na gwałtownym wybuchu pary wodnej. Lawa wcale się nie pokazała. Para wodna wysadziła w powietrze większą część wulkanicznego stożka, który wyleciawszy na kilkanaście kilometrów w górę, potem ogromnemi bryłami i drobnemi okruciami spadł do morza. Te ogromne masy nagle wpadające w wodę, wywołały silną falę, która zrobiła okropne spustoszenia na wybrzeżu Jawy. Niejednokrotnie już zauważono, że najstraszniejsze wulkany np. Amerykański Aconcagua, Cosequina, wydają tylko parę i popioły. Wreszcie przekonano się, że emanacye wulkanów po wybuchu zawierają sole, znajdujące się w wodzie morskiej¹.

Wszystkie te fakty naprowadziły na domysł, że motorem ożywiającym działalność wulkanów jest prężność pary wodnej. Woda morska przez szczeliny i szpary w pokładach przenika w głębsze sfery wnętrza ziemi. Osobliwie ułatwionem jest to przenikanie u wybrzeży kontynentów. Przez samo wzniesienie kontynentu musi utworzyć się szereg szczelin wzdłuż i wpoprzek wybrzeży. Przytem wybrzeżom morskim częstokroć towarzyszą łańcuchy gór, a wiemy jak połamaniami i pogiętami są pokłady w górach. Jeżeli woda morska przez te szczeliny dostanie się do wysoko rozgrzanych okolic, oczywiście musi zamienić się w parę i sprowadzić wybuch. Te wybuchy są tem gwałtowniejsze i straszniejsze, że zapewne kipienie wody w tych podziemiach nie odbywa się w warunkach zwyczajnych. Pod olbrzymiemi ciśnieniami górnych pokładów — sto stopni Celsjusza nie wystarczy na przeprowadzenie wody w parę. Trzeba o wiele wyższych temperatur, ale gdy te straszliwie rozgrzane i naprężone pary utorują sobie wreszcie drogę na zewnątrz, wybuch jest tem silniejszy. Wszakże niektóre wulkany wyrzucają także roztopioną lawę, należy więc jeszcze zdać sobie sprawę w jaki

¹ Osobliwie ważnemi są obserwacye p. Fouqué na Santorinie.

sposób może nastąpić to roztopienie. Wszystkie ciała rozszerzające się przy przechodzeniu ze stanu stałego w płynny, a do takich należą i lawy, pod silnem ciśnieniem potrzebują większego ciepła do stopienia. Wciąż powiększając ciśnienie można temperaturę ciała podnieść o kilkaset stopni powyżej zwykłej temperatury topnienia, a ciało pozostanie stałem. I lawy w głębi ziemi pod ogromnemi ciśnieniami wierzchnich warstw zapewne pozostają w stanie stałym, dopiero wtedy, gdy prężność pary wodnej zrównoważy ciśnienie górnych warstw, przechodzą w stan płynny.

Cała liczna szkoła wulkanistów między innymi: Daubrie, Fouqué, przypisuje zjawiska wulkaniczne, działalności pary wodnej. Widzimy więc, że te zjawiska mogą być rozmaicie tłumaczone. Co więcej, ci wulkaniści, którzy należą do szkoły Daubrie'ego, mają nawet za sobą niektóre niezaprzeczone fakty wielce popierające ich teorię np. wyżej wspomniane wybuchy par. W obec tego nie można uważać istnienia wulkanów za dostateczny argument na korzyść hipotezy ognisto-płynnego jądra. Natomiast istnieje jeszcze inny, nad którym musimy się z kolei zastanowić. We wszystkich kopalniach, bez względu na to, czy znajdują się w pobliżu morza, czy w środku kontynentu, w głębokich szybach i galeryach temperatura jest w ogóle podwyższona.

Zmiany temperatury w ciągu różnych pól roku dotyczą tylko bardzo cienkiej zewnętrznej powłoki. W umiarkowanej strefie w głębokości 25 do 30 metrów znajduje się tak zwana neutralna sfera, w której temperatura w ciągu całego roku jest stała i mniej więcej taka jak średnia roczna temperatura danego miejsca na powierzchni ziemi. Warto przytoczyć interesujący przykład. W roku 1783 Lavoisier zawiesił w piwnicy paryskiego obserwatorium astronomicznego termometr, który od owego czasu aż do dzisiejszego dnia stale pokazuje 11.6° C. Ten termometr znajduje się na głębokości 27.6 metrów. Poniżej neutralnej sfery temperatura zaczyna się powiększać. Jej wzrost zależy od wielu czynników; od natury skał i ich zdolności do przewodzenia ciepła, od sąsiedztwa gorących źródeł i t. d. Prawie w każdej kopalni prędkość tego wzrostu jest inna. Np. w kopalniach Minas Geraes w Brazylii trzeba średnio zagłębić się o 86 metrów, aby znaleźć podwyższenia temperatury o jeden stopień Celsiusza. Natomiast w kopalniach w Korn-

wallii średnio, trzeba się zagłębić tylko o 19 metrów. W słynnych kopalniach Comstock w Sierra Nevada (Stany Zjednoczone) natrafiono na nadzwyczaj bogatą srebronośną żyłę. Doprowadzono szyb i galerye do głębokości 600 metrów, ale dalsze pogłębienie okazało się niemożliwem, pomimo tego że żyła stawała się coraz bogatszą i zachęcała do dalszej eksploatacyi. Temperatura skał wynosi tu 47° C., a powietrza, pomimo tego, że starano się doprowadzić świeże z powierzchni ziemi 40° C. Robotnicy nie mogą tu dłużej wytrzymać jak 10 minut, a wypadki nagłej śmierci wśród roboty bardzo często się przytrafiały. Porównanie termometrycznych obserwacyj w różnych szybach pokazało, że średnia temperatura podnosi się o jeden stopień Celsjusza na każde 32—35 metrów zagłębienia.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że na podstawie tego doświadczenia bardzo łatwo obliczyć temperaturę w głębi ziemi, podzieliwszy odległość danego punktu od powierzchni (wyrażoną w metrach) na 35 lub 32. Jednakże taki rachunek byłby zupełnie fałszywy. Ciepło rozszerza się wewnątrz ciał wedle praw o wiele więcej zawilych. Matematyczna teoria ciepła dowodzi, że jeżeli jakieś kuliste ciało stygnie wpośród zimniejszej przestrzeni, to w zewnętrznych warstwach spadek temperatury od miejsca do miejsca jest bardzo szybki, a im dalej posuwamy się ku środkowi ciała, tem ten spadek jest powolniejszy. Co więcej, te różnice spadku temperatury są tem większe, im większem jest dane ciało. Tj. przenosząc ten rezultat teoryi do realnego przykładu ziemi, możemy powiedzieć, że jeżeli w zewnętrznych warstwach dość jest zagłębić się o jakie 35 metrów, aby znaleźć temperaturę skał wyższą o jeden stopień, to w głębszych warstwach trzeba by przejść większą przestrzeń i to tem większą im więcej zbliżymy się do środka ziemi¹.

¹ Rezultaty matematycznej teoryi ciepła zostały stwierdzone przez doświadczenie Bischofa. Ten uczony mierzył temperatury wewnątrz wielkiej bazaltowej kuli wprzód stopionej, a potem stygnącej na wolnem powietrzu. Kula miała średnicę o długości $27\frac{1}{4}$ cala. We 48 godzin po stopieniu temperatura wynosiła 191.9° C., o $4\frac{1}{2}$ cali od środka 170° C., o $6\frac{3}{4}$ cala 156.1° C., o 9 cali 137.2° C., tj. na pierwszych $4\frac{1}{2}$ calach od środka temperatura zmniejszyła się o 21.9° C., na dalszych $4\frac{1}{2}$ calach o 32.8° C. Nawet na przestrzeni $2\frac{1}{4}$ cala jest widoczna różnica, a mianowicie od $4\frac{1}{2}$ do $6\frac{3}{4}$ cala, różnica 13.9° C., od $6\frac{3}{4}$ do 9 różnica 18.9° C.

W. Thomson w pracy swojej p. t.: „O oziębianiu się ziemi“ zastosował matematyczną teorię stygnięcia do wypadku ziemi. Nie możemy powtarzać wywodów znakomitego angielskiego fizyka. Dość będzie zauważyć, że wedle jego obliczeń w sto milionów lat (licząc od chwili gdy zaczęło się stygnięcie) w głębokości 250 kilometrów temperatura będzie się podnosić o jeden stopień dopiero po zagłębieniu się o 800 metrów, a w okolicach środkowych na znacznych przestrzeniach temperatura będzie stała.

Jednakże nie należy sądzić, aby te liczby były zupełnie pewne. Przytaczamy je tylko dla lepszego objaśnienia wyżej podanych twierdzeń. Przy pomocy matematycznej teorii ciepła moglibyśmy zupełnie ściśle obliczać temperatury każdego miejsca wewnątrz ziemi o każdym czasie, gdybyśmy wiedzieli trzy rzeczy. Pierwszą, ile lat ziemia stygnie, drugą, jaką była początkowa temperatura, trzecią, jaką jest natura pokładów znajdujących się we wnętrzu. Ale właśnie nie znamy tych trzech warunków. W skutek tego najdowcipniejsze domysły mogą tylko przybliżyć się do prawdy, a nigdy nie będziemy mogli osądzić, który właśnie domysł jest najtrafniejszym. Matematyczna teoria ciepła nie może więc dostarczyć ścisłych i pewnych liczb, ale stanowczo poucza, że wewnętrzne temperatury wynoszące po kilka milionów lub kilkaset tysięcy stopni są zgola niemożliwe, że w okolicach bliższych środka temperatura jest prawie jednostajną, bliżej powierzchni spada coraz to więcej, a nareszcie w zewnętrznych warstwach spada względnie bardzo szybko.

W ogóle wnikając w szczegóły matematycznej teorii ciepła można wyciągnąć wiele prawdopodobnych i ciekawych wniosków. Dość zastanowić się nad powyżej wspomnianem prawem spadku temperatury, aby dojść do pewnego zapatrywania, które ma zresztą wielu zwolenników. Postarajmy się rozważyć kombinację dwóch sprzecznych czynników: ciepła i ciśnienia. Pierwsze stara się przeprowadzić ciała stale w stan ciekły; drugie przeszkadza temu procesowi. Ciśnienia we wnętrzu ziemi są ogromne. Zöpprit i Roche obliczają, że w centrum dochodzą do trzech milionów atmosfer. Jestto cyfra olbrzymia, prawie przechodząca nasze pojęcie. Oczywiście jest rzeczą, że ciśnienia powiększają się z głębokością, lecz prawo wzrostu ciśnienia jest inne, niż prawo wzrostu temperatury.

Cisnienie wzrasta z głębokością w sposób o wiele więcej równomierny niż ciepło. Te ostatnie, jak zauważyliśmy, wzrasta z początku szybko, potem coraz powolniej. W zewnętrznych warstwach ciśnienia są stosunkowo małe, ale temperatury niskie, więc skały pozostają w stanie stałym. Głębiej, ciśnienia są większe, lecz temperatury wysokie i być może o tyle równoważą ciśnienia, że skały znajdują się w stanie pewnego rozmiękczenia. Lecz w jeszcze głębszych sferach ciśnienia muszą wziąć przewagę nad bardzo powoli zwiększającą się ciepłotą i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ciała znajdują się w jakimś stanie zbliżonym do stanu stałego. Nie możemy powiedzieć, że są w stanie stałym, bo choć wiemy, że nie mogą być ciekłe, jednakże nie umiemy sobie wyobrazić, jakim może być rzeczywisty stan ciała, znajdującego się pod ciśnieniem miliona lub dwóch milionów atmosfer. Żadne ludzkie środki nie potrafią wytworzyć podobnego ciśnienia, a wiemy, że najtwardsze skały i metale podlegają zmiążdżeniu pod ciśnieniem kilkunastu tysięcy atmosfer. Ciśnienia dochodzące do paru milionów atmosfer, nie mogą być sztucznie odtworzone w pracowniach fizycznych.

Twierdzenie, że stan wnętrza ziemi jest raczej do stanu stałego, niż jakiego innego zbliżony, opiera się na niektórych argumentach zapożyczonych od astronomii i fizyki ziemi, zupełnie nie zależnych od geologicznych danych. Właściwie znamy dwa takie argumenty, z których pierwszy nie jest bez zarzutu, drugi natomiast jest wysoce przekonującym.

Pierwszy był podany przez angielskiego astronoma Hopkinsa. W. Thomson po raz drugi przerabiał te rachunki. Treść dowodzenia jest następująca. Wśród ruchów ziemi istnieje pewna perturbacja, zwana nutacją, spowodowana przez dwie przyczyny.

Pierwszą przyczyną jest wydęcie ziemi na równiku, drugą, ta okoliczność, że księżyc obiega ziemię nie w płaszczyźnie jej równika, ale w pewnej innej, tworzącej z pierwszą kąt. Księżyc silniej przyciąga tę stronę równikowej wydętości, która właśnie naprzeciw niego się znajduje; na drugą stronę działa słabiej. To przyciąganie stara się wyruszyć ziemię z jej pozycji i postawić ją tak, aby równik ziemi i droga księżycy znalazły się w jednej płaszczyźnie. Jestto działanie nazbyt słabe, aby mogło zmienić pozycję ziemi, zawsze jednak dostateczne, aby zmusić ją do pewnego

przechylenia. W chwili, gdy księżyc znajduje się w płaszczyźnie ziemskiego równika, oczywiście nie ma żadnego przechylenia, ale skoro tylko pocznie wznosić się nad, albo zniżać pod tę płaszczyznę, to oddziaływanie wzrasta i wytwarza pewne niewielkie oscylacje, które właśnie nazywamy nutacją. Zarazem widoczną jest rzeczą, że gdyby ziemia była ściśle kulistym ciałem, albo księżyc obiegał ją w płaszczyźnie równika, nutacja nie mogłaby mieć miejsca.

W skutek nutacji ziemską oś biegunowa powinna by opisywać pewne małe kółka na sklepieniu niebios, ale z powodu jednoczesnego postępowego ruchu ziemi kreśli właściwie wężykowatą linię wijącą się naokoło rzutu drogi ziemskiej. Choć nutacja nie jest bardzo wybitnym ruchem, wszakże peryodycznie zmienia pozycje ziemi w obec innych gwiazd, a w skutek tego, właśnie na podstawie zmian w pozycjach gwiazd, daje się dokładnie obliczyć.

Otóż Hopkins teraz tak rozumuje. Jeżeli ziemia jest ciałem stałym i sztywnym, to przyciąganie księżycy działa na nią tak, jak na każde stałe ciało, tj. mniej więcej jednolicie poruszając całą masą prawie odrazu. Ale jeżeli ziemia jest ciekłą kulą obleczoną tylko w ciekłą twardą skorupę, to przyciąganie księżycy będzie inaczej oddziaływać. Ogromne wewnętrzne masy law nie zostaną odrazu poruszone. Wszak w skutek bezwładności cząsteczek wody, księżyc wywołuje falę przyływu dopiero w pewien czas po przejściu przez południk. Tak samo ciekłe wewnętrzne masy wchodziłyby w ruch po kolei, poczynając od najwyższych sfer, a kończąc na najgłębszych. W skutek tego opóźnienia wewnętrznych mas i tarcia ich o zewnętrzną skorupę, w całym kołysaniu się ziemi byłoby pewne ociąganie się, opóźnienie.

Hopkins poddał analizie spostrzeżenia nad nutacją i doszedł do wniosku, że ziemia, albo jest cała złożona ze stałych materiałów, albo też posiada stałą skorupę o grubości wynoszącej co najmniej 1270 kilometrów, albowiem, gdyby skorupa miała taką lub większą grubość, to opóźnienie pochodzące z reakcyi wewnętrznego jądra byłoby już za małe, abyśmy mogli spostrzedz je i wykazać. Różnice byłyby tak małe, że łatwo możnaby je pomieszać z błędami obserwacyi.

Delaunay zrobił następujący zarzut wywodom Hopkinsa.

Oddziaływanie księżyca wywołujące nutację jest bardzo powolne. Cały proces odbywa się w ciągu jednego księżycowego miesiąca. A zatem bardzo być może, że księżyc wprawia całą masę ziemską w ruch prawie jednocześnie. Na poparcie swego zarzutu Delaunay przytacza następujące doświadczenie. Jeżeli będziemy powoli obracać balon szklanny napęczniony wodą, to woda będzie się poruszać wraz z balonem; tylko przy prędkim obrocie balon ześlizguje się po wodzie i zostawia ją w spoczynku. Jednakże ten zarzut nie jest przekonywający. Przedewszystkiem należy zauważyć, co zresztą sam Delaunay przyznaje, że nawet przy powolnym obrocie, wewnętrzne części cieczy podlegają opóźnieniu.

Powtóre, jeżeli oddziaływanie księżyca jest powolne, to z drugiej strony owo morze law byłoby tak głębokie, że najbliższe opóźnienia kolejnych warstw — ostatecznie zesumowałyby się na znaczny efekt.

W każdym razie zarzut Delaunay'a osłabia nieco doniosłość twierdzenia Hopkinsa, zmusza do powtórzenia wywodu i analizy z uwzględnieniem wewnętrznego tarcia cieczy i wielu innych okoliczności, których nie znamy — bo nie wiemy jakie ciecze są we wnętrzu ziemi i w jakim stanie się znajdują.

Lecz istnieje inny dowód, również na fizycznym zjawisku oparty. Został on dopiero przed niewiele laty przez sir W. Thomsona podany, a matematycznie opracowany przez jego ucznia G. H. Darwina.

Wskazanie tego faktu czyni największy zaszczyt wielkiemu angielskiemu fizykowi, bo choć rzecz sama w sobie wydaje się prostą i naturalną, jednak jak wiele innych prostych i naturalnych rzeczy, dotąd uchodziła baczności fizyków.

Oto treść dowodu Thomsona:

Wiemy, że przyciąganie księżyca i słońca wywołuje fale przypływu w oceanach ziemskich, a oczywiście jest rzeczą, że to przyciąganie nie ogranicza swego wpływu na wodach morza, ale odnosi się i do cząsteczek samej masy ziemi. Gdyby ziemia była ściśle, absolutnie sztywnem i niepodatnem ciałem, to przyciąganie księżyca i słońca nie mogłoby zmieniać jej kształtu; jeżeli jest ciałem niezupełnie sztywnem, to pewna lekka zmiana kształtu musi się objawić; wreszcie gdyby wewnątrz jej składało się z płynnych mas,

to ta zmiana kształtu, albo inaczej mówiąc, fala przyptywu w podziemnym oceanie musiałaby być o wiele znaczniejszą.

Wysokość fali przyptywu powiększa się wraz z głębokością oceanu. W niezmiernie głębokim oceanie law fala przyptywu byłaby bardzo znaczną, podnosiłaby zewnętrzną skorupę i neutralizowała przyptyw w wodnych oceanach.

Weale nie trudno przekonać się rachunkiem, że fala przyptywu w podziemnym oceanie byłaby silniejszą aniżeli w oceanach zewnętrznych. W takim razie podnoszenie się dna morskiego w czasie przechodu księżyca przez południk, musiałoby zupełnie zneutralizować przyptyw morski i na miejsce przyptywu mielibyśmy w oceanach zewnętrznych, odpływ i „vice versa“.

Codziennie doświadczenie dowodzi, że tak nie jest, bo fala przyptywu postępuje wprost za księżycem.

Już stąd można wnosić, że wewnątrz ziemi nie może być w stanie ciekłym. Ale Thomson i G. H. Darwin nie zadowolnili się tym połowicznym rezultatem i starali się znaleźć, czy istnieje przyptyw mas ziemskich, (a właściwie deformacja) i czy na podstawie tych obliczeń nie można wyciągnąć pewnych wniosków o stanie wnętrza ziemi.

Już powyżej zauważyliśmy, że tylko ciało absolutnie sztywne nie ulegałoby żadnej deformacji pod wpływem przyciągania. Ale w naturze nie masz takich ciał. W ogóle więc musimy wnosić, że deformacja, albo innemi słowy, przyptyw wewnętrznych mas ziemi istnieje.

Ale i taka deformacja nie może pozostać bez wpływu na przyptywy morskie. Jeżeli wody oceanów się podnoszą, a jednocześnie podnosi się i dno, to pierwsze podniesienie będzie do pewnego stopnia zmniejszone przez drugie. Należy więc najpierw teoretycznie obliczyć, jaką powinna być wysokość przyptywu w razie, gdyby masa ziemi była absolutnie sztywną, następnie rezultaty rachunku porównać z rzeczywistą wysokością obserwowanych przyptywów.

Do takiego porównania nie można było użyć europejskich obserwacyj. U wybrzeży naszego lądu przyptywy są wysoce zmodyfikowane przez miejscowe warunki. Np. w kanale La Manche fala przyptywu musi wciskać się w coraz to węższe przestrzenie

i w następstwie coraz to wyżej się podnosi. W innych miejscach przypyły nazbyt się spazniają i t. d.

Dlatego użyto do porównania spostrzeżeń z portów indyjskich i niektórych oceanicznych wysp, gdzie lokalne warunki nie mogą zmienić naturalnej wysokości przypywu.

Analiza tych spostrzeżeń okazała, że rzeczywisty przypyw jest w ogóle mniejszy od teoretycznego, że zatem fala ziemskiego przypywu istnieje, ale jest bardzo nieznaczna, tak nieznaczna, że gdybyśmy sporządzili dwie kule tej wielkości co ziemia: jedną ze szkła, a drugą ze stali, to przypyw naturalnej ziemskiej kuli zajmowałby miejsce pośrednie między przypywami tamtych sztucznych kul.

Stąd wniosek, że w obec atrakcyi księżyca ziemia zachowuje się tak, jak ciało sztywne sporządzone z materiału mającego elastyczność pośrednią między elastycznością szkła i stali. W każdym razie więc nie zachowuje się tak jak ciało złożone z płynów, a obleczone tylko w cienką twardą skorupę.

Na tem miejscu nie od rzeczy będzie zrobić pewną uwagę. Już niejednokrotnie próbowano ustanowić pewien związek między trzęsieniami ziemi, a ruchami księżyca. W ostatnich czasach Falb był bardzo ruchliwym i hałaśliwym apostołem tego pomysłu. W ocenę jego teoryi nie warto się wdawać, najlepszym przeciw niej argumentem są własne przepowiednie Falba, głoszone po dziennikach, a zapowiadające na ten i ten dzień straszne burze i wielkie trzęsienia ziemi, które się potem nie sprawdzają. Aleć są także sumienni badacze jak np. Perrey, który od trzydziestu lat skrzętnie notuje wszystkie trzęsienia ziemi. Perrey rzeczywiście okazał, że w czasie syzygiów trzęsienia ziemi bywają nieco częstszymi niż w czasie opozycyi. Przewaga jest bardzo mała 1 do 2 procentów na sto, ale jest.

Wedle teoryi Thomsona fala ziemskiego przypywu, gdy księżyc i słońce działają w jednym kierunku, musi być silniejsza, niżli w czasie opozycyi, gdy ich działania wzajemnie się neutralizują. Natomiast pomyślmy sobie, jak niemiłym byłoby nasze położenie, gdyby skorupa ziemska była cienką, a ocean law sięgał aż do samego środka. Przypyw i odpływ tego oceanu byłby o wiele silniejszy niż przypyw morski. Zewnętrzna skorupa musiałaby się

uginąć, trzęsienia byłyby o wiele częstszem, powszechniejszem, a nawet groźniejszym zjawiskiem niż obecnie.

Widzieliśmy, że pierwszy z tych dowodów nie jest bez zarzutu, atoli drugi jest bardzo przekonującym. Musimy na nim polegać, albowiem jestto dowód fizyczny, podlegający matematycznemu obliczeniu. Dowody używane w geologii zazwyczaj nie mają tej zalety. Nie możemy ani ocenić rzeczywistej doniosłości danej przyczyny, ani wyznaczyć granic błędu. Tymczasem dowód Thomsona jest ścisły, a błędy obliczenia są zawarte w pewnych oznaczonych granicach. Oczywiście jest rzeczą, że takiemu dowodowi należy dać pierwszeństwo. Opierając się na nim, że w obec reakcyi księżycy ziemia zachowuje się tak, jakby była ciałem sztywnem i stałym.

Wreszcie należy wspomnieć nowe dowody na korzyść hipotezy ognistopłynnego jądra, podane przez znakomitego współczesnego astronoma p. Faye. Powtórzmy je pomimo tego, że są słabe; ale jest to rzecz stosunkowo nowa, a wreszcie ma za sobą powagę autora. Faye zastanawia się nad figurą ziemi i utrzymuje, że pomimo nierówności jej powierzchni, pomiary geodetyczne i doświadczenia z prędkością ruchów wahadła takie dają rezultaty, jakby powierzchnia ziemi była powierzchnią ellipsoidy obrotowej. Jeżeli więc geometryczna figura ziemi nie jest regularną, a poziom przedstawia się wszędzie jako regularna figura, to nie można tego inaczej objaśnić, jak przez pewien specjalny rozkład wewnętrznych mas. A mianowicie, gdybyśmy wykroili dwa jednakowe stożki, jeden wśród kontynentu, drugi na środku oceanu, sięgające do samego środka ziemi, drugi stożek będzie oczywiście krótszy od pierwszego. Jeżeli zaś na zewnętrznej powierzchni obu stożków przyciąganie jest jednakowe, to musimy przypuścić, że w krótszym stożku znajduje się więcej materji tj. w jakiejś części tego stożka, materia musi być gęstszą niżli w drugim stożku.

Faye twierdzi, że w tym krótszym podmorskim stożku twarda skorupa jest grubsza. Stożek będzie więc zawierał więcej materji, bo w ogóle ciała składające ziemską skorupę kurczą się przy oziębianiu i w stanie stałym zajmują mniejszą przestrzeń, ale za to są cięższe niż w stanie ciekłym. Teraz atoli nasuwa się pytanie, dlaczego twarda skorupa jest grubsza pod oceanami, a cieńsza pod

kontynentami? Na to Faye odpowiada, że woda na dnie oceanów jest w ogóle bardzo zimna¹, i ona to sprawiła większe oziębienie w okolicach podmorskich, a względnie i stwardnienie skorupy do większej głębokości.

Rzeczywiście zimne wody płynące od obu biegunów, jako cięższe spadają na dno i rozprzestrzeniają wszędzie, nawet pod równikiem zimne temperatury w najniższych warstwach oceanów.

Atoli inny francuski uczony: Lapparent wystąpił z bardzo poważnymi i słusznymi argumentami przeciwko tym wywodom Faye'a. Powiada np., że przy znanem nadzwyczaj złem przewodnictwie cieplnem, pokładów tworzących zewnętrzną ziemską skorupę, zimne wody oceanów mogą tylko bardzo nieznacznie oddziaływać na temperaturę głębszych pokładów. Ich wpływ mógłby się objawić dopiero po wielu milionach lat. Tymczasem bardzo być może, że nawet w niedawnej geologicznej przeszłości układ lądów i mórz w podbiegunowych okolicach był wcale odmienny od dzisiejszego. W takim zaś razie wcale nie wiemy, czy zimne polarne wody miały swobodną komunikację z wielkimi oceanami. Przypomina, że ślady bogatej mioceniczej flory na Spitzbergu i w innych podbiegunowych ziemiach dowodzą, że klimat tych okolic w niebardzo odległej geologicznej przeszłości był o wiele cieplejszym. Lapparent przytacza wiele innych zarzutów. Wszystkie są słuszne i poważne, ale jak wszelkie tego rodzaju, zarzuty niekoniecznie rozstrzygające. Natomiast wskazuje bardzo ważny błąd w samym założeniu, na którym Faye oparł dalsze swoje wywody.

A mianowicie na wstępie Faye powiada, że poziom jest taki, jakby ziemia miała kształt ellipsoidy obrotowej. Tymczasem wcale tak nie jest. Doświadczenia z przyspieszeniem ruchu wahadła, robione na wśródooceanicznych wyspach dowiodły, że rzeczywisty poziom znacznie różni się od idealnego poziomu ellipsoidy. Zboczenia dochodzą do kilkuset metrów. Na wyspie św. Heleny poziom zniża się o przeszło 800 metrów, a na wyspach Boniu w pobliżu Japonii więcej jak o 1300 metrów. Lapparent czyni więc uwagę, że

¹ Doświadczenia z termometrem robione przez członków wyprawy na okrętach „Challenger“ albo „Tuscarora“ dowiodły, że na dnie oceanów woda ma temperaturę 0° C., a nawet —1° C., lub —2° C.

p. Faye widocznie nie czyta prac niemieckich geodetów, którzy długo i szeroko omawiają ten przedmiot.

Lapparent nawet jeszcze zanadto łagodnie obszedł się ze swoim przeciwnikiem, albowiem pierwsze doświadczenia z wahadłem, które wykazały zboczenia poziomu na wyspach, datują od wielu lat. Pierwsi, którzy się tem zajmowali, byli anglik Sabine i francuzi Freycinet i Duperrey. O tych ostatnich Faye powinien był w każdym razie coś wiedzieć. Zdaje się, że ten zarzut jest dostateczny, aby obalić wywody Faye'a.

Na rozbiórze jego hipotezy kończymy niniejszy artykuł, nie dla tego, aby już nic więcej nie można było powiedzieć; ale ponieważ zdaje się, że to co było dotąd przytoczone, wystarcza do okazania, że hipoteza ognistopłynnego wnętrza nie daje się w całości utrzymać, że o stanie wnętrza ziemi nie stanowczego nie wiemy, jak tylko to, że wysoka ciepłota warstw znajdujących się w pobliżu powierzchni, może być dostatecznie uzasadnioną bez wprowadzania temperatur liczonych na setki tysięcy stopni dla środkowych części ziemi, a z drugiej strony, że zachowanie się ziemi w niektórych zjawiskach przyrody jest takie, jakby była raczej ciałem stałym i sztywnym, aniżeli ciekłym.

M. P. Rudzki.



CHRZEŚCIJAŃSKI POWIEŚCIOPISARZ

PAWEŁ FÉVAL.

(Dokończenie).

III.

Sława i majątek. — Bankructwo. — Wpływ chrześcijańskiej żony. — Druga Komunia. — Dawni a nowi przyjaciele. — Chrześcijańska działalność i powieści.

Minęły, jeśli nie u nas, to w każdym razie za granicą, dawno już czasy, w których z nazwiskiem „literat“ łączył się z samej niejako swej istoty przymiotnik „chudy“, a na zapytanie, co literat, czy poeta porabia, jak mu się wiedzie, brzmiała nieomylnie odpowiedź: „Biedę klepie“! Dawny okrzyk poetów: „Precz marne złoto, zbliż się luba sławo“! nie ma dziś praktycznego zastosowania; luba sława nabrała praktyczności, a wiedząc, kiedy będzie rzeczywiście miłym gościem w domu, nie wchodzi doń zazwyczaj bez należycie wypchanego trzосу. Nie inaczej też weszła do domu Févala. Utwory jego pióra, zwłaszcza powieści, rozechodzące się w dzieśiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy po całym świecie, zjednały mu, jeśli nie sławę, to w każdym razie rozgłos do pojęcia sławy bardzo zbliżony. Rodzice dawali swym córkom imiona heroin z romansów Févala, sprytni przemysłowcy ogłaszali swe towary pod nazwiskami Féwalowskich bohaterów. — Co trudniejsza i co zazwyczaj w przeciwstawieniu do prostego rozgłosu służy za patent literackiej sławy, rozszedł się ów rozgłos i przeniknął w ciasne

koło literatów i krytyków z profesyi. Długie lata, przez całe panowanie Napoleona III, gazety i dzienniki „kłaniały mu się całym lanem“, nie szczędząc, raczej nadużywając reklam i pochwał, składając z kolei na pół-azyatyckie hołdy. *Towarzystwo literackie*¹ obrało *Févala* kilkanaście razy z rzędu swym prezesem; *Towarzystwo autorów dramatycznych*² wiceprezesem. Cesarz lubiący się bawić w mecenaśa, zaprosił słynnego powieściopisarza na kilka dni do *Compiègne* i wspólnie z cesarzową nie szczędził mu względów i komplementów, a niezadługo potem zawiesił mu na piersiach krzyż kawalera, a następnie odznakę oficera legii honorowej. Wszystkie te wysokie ordery i względy *Féval* przyjmował, bo zwłaszcza jako prezes *Towarzystwa literackiego* nie mógł ich nie przyjmować z podziękowaniem; po cichu za to w rozmowach i listach do zaufanych przyjaciół, żartował nielitościwie, nie bez pewnej fanfaronady, z której nigdy otrząść się nie mógł, z wszystkich tych honorów „wielkich bez wątpienia, smacznych i delikatnych, ale od których jeszcze większe, smaczniejsze i delikatniejsze są cesarskie obiady. Zaręczam ci, że warto dla jednego takiego obiadu, do *Compiègne* się pofatygować“... „Ileż to powodzeń, wołał rozentuzymowany *Juliusz Claretie* na grobie powieściopisarza, co za szalona popularność, ile oklasków, ile pełnych zapалу okrzyków, powinszowań bez końca, bez miary“!...

A ile złota z oklaskami temi przy płynęło! W poufalech pogadankach z przyjaciółmi przyznawał się *Féval*, że oszczędził dla dzieci około 600.000 fr.: „Nie przyszło mi to z resztą z trudnością, dodawał, bo księgarze płacą mi roczny haracz, wynoszący najmniej 80.000 fr.; wydając na dom, na wychowanie dzieci do 50.000, zawsze jeszcze ładna sumka wędruje pod klucz“. „A czemuż, zapytał jeden z przyjaciół w parę lat po ukończeniu wojny francusko-pruskiej, nie podwajasz rozumnie spekulacyami, nie potrajasz twych dochodów, czy sądzisz, żeś tego dzieciom swym nie winien?“ Pytanie to utkwilo, jak grot jadowity w sercu *Févala*; jednocześnie drobne jakieś niepowodzenie literackie roznerwiło go:

¹ *Société des gens de lettres.*

² *Société des auteurs dramatiques.*

„A nuż, rzekł sam do siebie w chwili melancholicznego nastroju, gwiazda moja gaśnie; nuż wydawcy i publiczność odemnie się odwróć?” — „Obawiając się urojonej tej katastrofy¹, drżąc o przyszłość rodziny, o wychowanie ośmiorga mych dzieci, przypatrzyłem się po raz pierwszy od bardzo dawnego czasu uważnie memu budżetowi, a ten paroksyzm roztropności doprowadził mię, jak zwykł doprowadzać ludzi nie znających się na interesach, do prawdziwie szalonego wybryku“.

Wybrykiem tym było sprzedanie renty francuskiej, a zakupienie „pewnych, jak zapewniali wytrawni finansjeści, a podwajających niemal dotychczasowe dochody“ losów tureckich. „Kiedy otrzymałem² od agenta bankowego należący mi się pakiet obligacyj, doznałem uczucia mimowolnego, a głębokiego szacunku dla tego papierzanego skarbu. Tyle piętrzyło się przedemą otomańskich losów, takie były piękne, świeże, polyskujące, że patrząc na nie czułem, jakby się coś we mnie nadymało, rosło; powiedziałem sobie: Jesteś bogaty, masz wszelkie prawo do Wertheimowskiej kasy. Nasienie padło na dobrą ziemię, delikatna roślinka skapstwa puściła korzenie; sprowadziłem mularza i kazałem mu wybić dziurę w murze na projektowaną kasę, którą nie myślałem wcale przed byle kim się chwalić. Mularz spełnił polecenie, kasę sam wybrałem; ale i mularz i ja niepotrzebnieśmy się trudzili“.

„Tego samego dnia, którego spodziewałem się ujrzeć u siebie drogą sercu kasę, dostałem następującą depeszę: „Sprzedaj wszystkie papiery tureckie. Ambasador rosyjski doradził sułtanowi zbankrutować“. Zapomniałem nazwisko tego ambasadora tak rzeczywiście rosyjskiego, który przeniknąwszy się politycznymi tradycjami Piotra W., znakomicie ducha ich zrozumiał. Car szachrując niby Grek rodowity, rozpoczynał krwawą komedję wojny wschodniej...“

„Popędziłem na giełdę, ale nie popędziłem dość szybko; telegraf paplał bez chwili wytchnienia między Konstantynopolem a Paryżem. Kraj mamony był dla mnie krajem nieznanym; długo, krążąc tędy i owędy szukałem napróżno mego faktora, a gdy go

¹ *Le coup de grâce* p. 346.

² *Tamże* p. 349.

wreszcie dopadłem, każdy z mych luidorów, zeszedł do wartości dziesięciu franków.

„Czy sprzedać?” zapytał faktor.

„Nie chodziło już teraz o odcięcie sobie ramienia dla wyratowania życia, ale poprostu o rozplatanie, jak kucharz rozplataje gołębia, zanim go wsadzi na rożen. Ogrom grożącej straty przeraził mię; postanowiłem się poradzić osób wysoko położonych: wyleciałem z giełdy jak waryat. Polityczne znakomitości przyjęły mię grzecznie i dały kilka wręcz sobie przeciwnych rad; otrzymałem nader ciekawe informacye o polityce tureckiej, a jeden z współczesnych potentatów poddał mi myśl napisania ciekawego romansu o uczciwości rosyjskiej dyplomacyi. Właśnie miałem czas myśleć o romansie! Cały dzień wahałem się, co zrobić i zrobiłem jedną tylko roztropną rzecz, pisząc do fabryki: Proszę zamówionej kasy nie przesyłać“.

„Nazajutrz ta sama historia: Ja się wahałem, a papiery tureckie spadały. Trzeciego dnia wróciłem do domu z pewnością, że jestem człowiekiem doszczętnie zrujnowanym. Schowałem sobie na pamiątkę i prawdopodobnie leżą jeszcze na dnie szafy wspaniałe me tureckie z wielkim smakiem wymalowane papiery, zdobne przepysznie wyciśniętymi pieczęciami...“

„Zamknąłem się w gabinecie; zacząłem rozmyślać, pytać się: „Co robić?” — Był to dzień wakacyjny, dzieci śmiały się, biegały; wesołe ich krzyki napępniały dom cały... Znałem nędzę, wiedziałem co to znaczy nie mieć kawałka chleba, ale wtedy byłem sam jeden, kiedym konał na ulicy *de la Cerisaie*, nie otaczało mię ośmioro dzieci... Drogie te, najdroższe istotki, równą miłością przezemnie ukochane, nie dawały mi nigdy uczuć samotności; z daleka jak z bliska czułem je zawsze koło siebie; one dodawały mi odwagi, natchnienia, życia!“

„Jezu! Zbawicielu mój, dzięki Ci składam z głębi duszy! Złym byłem; do wdzięczności się nie poczuwałem. Próżność mię oślepiła: zdawało mi się, że wszystko czem mię wzbogaciłeś i uszczęśliwiłeś, słusznie mi się należy, ponieważ żyłem pocziwie jako pracowity robotnik, dobry ojciec, dobry mąż wedle sądu tego świata... Jezu! mój mistrzu i królu, spuściłeś na mnie ten smutek, bo bez niego nie poznałbym błogosławionej Twej ręki... Znajdą

się tacy, którzy nie dojrzą cudownego działania miłosierdzia Twego w tej godzinie, w tym punkcie zwrotnym życia mego. Powiedzą mi, jak tyłu mówiło mi i mówi: „Po coś się miał nawracać, kiedyś zawsze żył pocziwie?” — Czy żył pocziwie ten, którego Bóg tyloma darami obsypał, a który do tego dnia nie uronił ani jednej lzy, całując gwoździe Ukrzyżowanego? Czy można być pocziwym, płacąc największemu swemu dobroczyńcy niewdzięcznością apatyczną, samolubną obojętnością?...

„W nieciekawej mej historyi nie ma miejsca na dramat. Nie-jeden zaśmieje się i pomyśli: „Płaska to jeremjada, jak żydowskie bankructwo!” Istotnie na samym dnie tego wszystkiego leży tylko trochę pieniędzy utraconych przez zbankrutowanego biedaka, ale każdy otrzymuje ranę stosowną do swej siły lub słabości. Św. Pawła piorun rzucił o ziemię; mnie już powalił jeden jęk, jedna łza“.

„Cały prawie dzień przepędziłem samotnie w gabinecie, badając, przypatrując się nowemu memu położeniu, szukając możliwego jakiegoś wyjścia. Godziny płynęły a ja siedziałem wciąż na tem samem miejscu, przed tym samym stolikiem z rękami złożonymi na kolanach. Na godzinę mniej więcej przed obiadem, pomyślałem z pewnym wstydem: Jak można tak tracić ducha? — przeszedłem się parę razy po pokoju, powtarzając głośno:

„Ostatecznie przecież ja sam zarobiłem te pieniądze i ja je straciłem. Nic nikomu winien nie jestem... Muszę rozpocząć na nowo i basta; pracować będę więcej, a mniej będę wybrednym. Publiczność nie ocenia naszych literackich wysiłków; lubi, kiedy pióro pędzi, co może wyskoczyć. W trzech latach odbiję sobie dzisiejszą przegraną...”

„Zawołano mię na obiad; powiedziałem: „Na mnie dziś nie czekać!” i usiadłem napowrót oszołomiony, jakby pod nowym ciosem ciężkiej maczugi. Po pół godziny żona weszła i zapytała:

— „Czyś nie zdrów?”

Milczałem; zwątpienie ogarnęło mię na nowo, silniejsze, straszniejsze jeszcze niż przedtem. Żona usiadła koło mnie i wzięła mię za rękę.

— „Więc to prawda?” — wyszepnęła ze słodyczą.

Nie wiedziałem o czem mówi, ale czułem konieczną potrzebę otworzenia zboląłego serca.

— „Prawda!“ — odparłem.

— „Chcą porobić zmiany w ostatnim rękopisie? Wielka historia! Dasz go gdzieindziej. A teraz chodź na obiad; dzieci posmutniały“.

Wzięłem ją za ręce i spuściłem oczy. Przestraszyła się. — „Co ci takiego?“ — zawołała.

Powiedziałem jej wszystko. Marynia słyszała już poprzednio o spadaniu papierów tureckich, ale nie brała tego zbyt do serca; teraz zbladła, z ust jej wydobył się niewyraźny okrzyk: „Dzieci!...“

„Nie dokończyła swej myśli; przez chwilę trwało milczenie, potem ześlizgnęła się na kolana i zapytała: „Nie pomodlisz się ze mną?“

„Głos jej pełen łez wzruszył mię; nie pokazałem tego i odparłem: „Dlaczegożby nie?“ dodając sam dla siebie: „Jeśli to nie pomoże, to nie może zaszkodzić“. Zaczęła natychmiast odmawiać: *Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech!* Podniosłem się z siedzenia i mimowolnie złożyłem ręce. Słowa: *Ojcze nasz*, tak dobrze z dziecinnych lat mi znajome, wywarły na mój umysł bardzo żywe, trudne do określenia wrażenie; zdawało mi się jakbym je słyszał, a przynajmniej jakbym je po raz pierwszy rozumieć zaczynał. Chciałem odpowiedzieć: *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*, ale pamięć zawiodła, słowa mi się pomieszały, wydobyć ich nie mogłem. Natomiast odpowiedziałem płynnie na *Zdrowaś Maryo!* ponieważ — milczeniem tego pominąć nie wolno — zwracałem się każdego wieczora przed zaśnięciem do Matki Bożej, mówiąc *Zdrowaś Maryo!* i *Pod Twoją obronę*, co prawda, bardzo nieuważnie, byle nie złamać obietnicy danej niegdyś Karolowi i matce. Nakoniec odmówiła: *Ave verum* i *Salve Regina* po łacinie; przy *Salve Regina* klęknąłem. Dzięki Ci o Maryo! o Matko — Dziewico“!

„Marynia uściśnęła mię wciąż klęcząc, a twarz jej rozpromieniona zadowoleniem, zraniła mię do głębi. Czy przeczuciem zrozumiała tajemnicę miłosierdzia Bożego? Co się mnie tyczy nie miałem wyobrażenia dokąd idę, a w obec jej uśmiechu rzekłbyś tryumfalnego, żałowałem, że nieco za daleko posunął nieodpowiednią pobłażliwość. Cóż robić, pocieszałem się, bądź co bądź, dość

stosunkowo tanim kosztem kupilem sobie zupełne przebaczenie za tureckie bankructwo“...

... „Nie pierwszy to raz Marynia usiłowała wziąć mię za rękę i do Boga poprowadzić. Przez lat blisko dwadzieścia pracowała nad tem dziełem, które wzięła sobie za zadanie życia, a pracowała z cierpliwością, roztropnością, dyskretyą, której słowo ludzkie nigdy dostatecznie nie określi i nie wyrazi, bo praca ta domaga się bezustannych wysiłków cichych, delikatnych, z których w pewnej mierze nie się na zewnątrz nie wydobywa. Jeden niezgrabny krok zepsuć może długoletnie starania, najmniejsza nieprzezorność burzy nieraz mozolnie zbudowaną wieżę; w iluż to rodzinach najlepsze zamiary wydają, niestety! pożalowania godne wyniki“.

„Anioły domowego ogniska, kobiety spełniające w rodzinie Boże posłannictwo, uzbrojone być muszą w dar przekonywania, w doskonale zaparcie się samych siebie, w cnotę umiarkowania, w wszystkie te ciche, domowe cnoty, które choć nie noszą bezwątpienia tego samego stępla, co zdobywcza potęga apostoła, podobną mają w sobie moc, a bodaj czy nie trudniej nabyć ich i zwycięsko niemi wojować... Z jakąż czcią, z jaką miłością mówićby należało o błogosławionej tej walce, o tem arcydziele niewieściej dyplomacyi, którem kobieta gładzi i odpokutowuje w ślady matki Jezusowej winę Ewy; rzuca nasienie lepszej przyszłości na wyschły step, dziś tylko ruinami kwitnący! Trudne jej zadanie, często niebezpieczne, czasem do wykonania niepodobne; kochające kobiety idą naprzód bez lęku, z zapalem bez utrudzenia i rzadko tylko która opuszcza zniechęcona to tajemnicze pole walki, na którem ponoszą klęski każdej godziny, dnia każdego, poczynawszy od wilii ślubu, aż do chwili późnego zwycięstwa, wieńczącego wreszcie siwy ich włos aureolą szczęścia“.

„Piękny to, wzruszający obraz; nie wiem, czy możnaby napisać jaką bardziej poruszającą, wymowniejszą powieść nad książkę zawierającą w sobie prosty opis tej pokojowej walki, toczącej się w samem wnętrzu rodzinnego ogniska; walki, w której nagrodą heroicznych a pokornych czynów kobiety, matki, jest dusza umiowanego ojca, są zarazem zazwyczaj wszystkie dusze drogich sercu dzieci. Prawda, że literackie to przedsięwzięcie zwalczyć by mu-

siało mnóstwo trudności, niemal tyle, ile zwalczyć ich musi święta amazonka, która idąc do boju dla tego, aby ocalić swego przeciwnika, musi sama dla jego dobra w stal pierś przyodzierać. Jak opowiedzieć tę walkę, w której najlżejszy atak ściśle jest wzbroniony? Modlitwa najlepszą bronią, ale nawet tej broni zbyt okazywać nie trzeba. Szatan otacza oblężonego kołem swych czarodziejskich sztuczek i zaklęć; obrona równie niewidoczna jak atak, niemniej jest baczna i czujna. Wszystko, co można by nazwać zbytkiem pobożności, zwraca swe ostrze przeciw pobożności; obluda wała swem technieniem najśliczniejszy nawet kwiat wyrosły na tym ziemskim padole — kwiat miłości“.

„Czy opowiadam tu własne swe dzieje? Niezupełnie może: z religią nie walczyłem, żądałem tylko od niej, żeby mnie zostawiła w spokoju. Z żoną żyłem w najzupełniejszej zgodzie; z biegiem czasu szacunek dołączył się do głębokiego przywiązania, jakie dla niej żywiłem. W wykonywaniu praktyk religijnych zostawiałem jej najzupełniejszą wolność; zaledwie czasami i to nigdy w obecności dzieci, dokuczałem jej w tym względzie żartobliwymi, choć nie jadłowitymi pociskami... Zresztą mogła ze mną rozmawiać o religii, kiedy chciała; wiedziałem, że pozwolenia tego nie nadużyje, czując instynktownie, żeby się to na nic nie zdało. Nieraz przecież utrzymywałem, że w gruncie oboje w to samo wierzymy, tylko że ja wierzę gruntowniej, rozumniej. Pobożne praktyki, dodawałem, zmniejszają do niepoznania wzniosłe wyobrażenie, jakie mam o Bogu. Wy sobie tworzycie jakiegoś dziecinnego Boga; mój wielki Bóg nie wdaje się w takie drobnostki i przez głos sumienia mnie zapewnia, że się ich ode mnie ani myśli domagać“.

„Wrzekoma ta protestacya w obronie Boga jest najgorszym symptomatem, wskazującym, że choroba bardzo ciężka, uzdrowienie trudne. Zdaje mi się, że samo nawet niedowiarstwo bezporównania mniej jest upornem, niż to techórzowstwo, to dobrowolne łudzenie się ludzi uczciwych i poczciwych, o którym już poprzednio mówiłem, a które nosi techniczną nazwę indyferentyzmu. Indyferentyzm, to wrzód toczący nasze umysły, to owo trujące niedoleństwo, które umożliwiło — wszystkie rewolucye, wszystkie brudy hańbiące Francję. Obojętny śpi bezpiecznie; dopiero w chwili nieszczęścia spostrzega, że obojętność złym jest domownikiem, że go

nie obroni przed rozpaczą, przed wszelkiego rodzaju buntami. Jedynie chrześcijańska rezygnacya, córka nadprzyrodzonych cnót posłuszeństwa i miłości, osiągnąć może zwycięskie męstwo, zrozumieć może szczęście kryjące się w ofierze“.

„Nigdy nikt nie posiadał mniej odemnie tego nadprzyrodzonego męstwa; upadłem na duchu i podnieść się nie mogłem; zbierałem okrucuch po okrucuchu coraz nowej boleści, przypatrywałem mu się; widziałem nieprzyjaciół i ciekawych tłoczących się koło byłej, upadłej wielkości... Wszedłem nagle do kategorii nieszczęśliwych, których każdy się obawia; ludzie roztropni, a sprytni zdaleka omijać mię odtąd będą na ulicach. Długi szereg mych znajomych przesunął się przed mem okiem, jakby w jakimś tyfusowym śnie: jedni — strach wspomnieć! — cedzili słowa żalu; drudzy wykrzykiwali twarz do nienaturalnego uśmiechu; inni, ni stąd ni zowąd zaczynali się zwierzać z pieniężnymi swymi kłopotami; inni wreszcie odwracali bez ceremonii głowę i udając zamyślonych przechodzili z pośpiechem, niby mię nie widząc... Nie pamiętam straszniejszej chwili w całym długim mem życiu...”

„Żona odprowadziwszy dzieci do konwikt, wróciła do domu kilka minut przed dziewiątą, zajęła dawne swe miejsce i spróbowała wrócić do przerwanej rozmowy... Uścisnęła mię i rzekła: „Żyje Bóg, który widzi ranę twego serca... Jeśli kiedy, to teraz potrzeba ci Boga“.

„Nic nie odpowiedziałem, bo sama myśl o dyspacie religijnej w tej chwili przejmowała mię strachem do szpiku kości. Wiedziałem, że nie uniknę ataku... żona tryumfowała już, pragnęła widocznie skorzystać z mej finansowej przegranej, aby wymusić na mnie religijną kapitulacyę. Zbłądziłem klękając przed chwilą, teraz żalowałem tej słabości.

„Masz racyę, rzekłem w gorzkim, niemal szyderskim tonie — czuję potrzebę Boga, okropnie czuję; dziś bardziej jeszcze niż wczoraj, jeśli to możliwa. Zgadzaemy się ze sobą najzupełniej; roztropnieś zrobiła, wybierając tę chwilę bolesną, ale odpowiednią. Zastanowię się, rozbiore swe życie, zaglądnę w najgłębsze szczeliny sumienia... Zgadzaam się nawet z tobą, że Bóg ostrzegł mię w swem miłosierdziu; chcę szczerze odpowiedzieć Jego wezwaniu, ależ do tego potrzeba trochę czasu. Czyś się zastanowiła, że po-

cząwszy od dziś, będę musiał pracować dla siebie i dla dzieci na chleb powszedni z dnia na dzień w całym słowa tego znaczeniu?... Gdybym się nawrócił, tobym się nawrócił zupełnie; zmieniłbym musiał sposób pisania! Pióro moje powinno was wszystkich wyżywić; a gdzież, jak, w czym, pracować można i zarabiać w dzisiejszych stosunkach piórem nawróconem?"

Przez czas pewien trwały jeszcze te zapasy łaski Bożej z naturą, zbyt długą obojętnością we wierze do boju zahartowaną; to łaska, to znowu w naturę zmieniona oziębłość na szali walki przeważała. Czego nie dokonały serdeczne prośby żony, przeciw którym *Féval* zawczasu potrójnym puklerzem pierś obwarowywał, tego dopełnić miała — modlitwą podobno kochającej małżonki sprowadzona — niedługa rozmowa z liberalno-katolickim baronem X. Przekonania barona, będące w innym, ozdobniejszym wydaniu, drugim tomem liberalnych przekonań, smutnie w pamięci naszego powieściopisarza zapisanego kuzyna *Ernesta Duverdieux*, stały przed *Févałem* niby karykatura wyznawanych dotąd przez siebie samego zasad; właściwie mówiąc, zasady te przedstawiły się w całej swej nagości, przejmując duszę patrzącego dreszczem wstrętu, „drażniąc dyabelka przeciwieństwa, którym Bóg posługiwał się czasami, aby mię popchnąć do dobrego mimo i wbrew mej woli“.

Baron, człowiek w podeszłym wieku, ozdobiony kilku orderami, senator z czasów cesarstwa, dowiedział się z przerażeniem o ruinie przyjaciela, ale z większym jeszcze przerażeniem posłyszał, że tenże bije się z myślami, czy nie przejść stanowczo i jawnie w szeregi wierzących i praktykujących katolików.

„Przyjacielu!¹ kocham cię szczerze, i dlatego muszę cię ostrzedz. Dotąd szedłeś rozumnie, dobrym krokiem na dobrej drodze; nie straće teraz równowagi, żebyś sobie głowy nie rozbił. Nie jesteś stworzony na fanatyka; najmniejszego podobieństwa do św. Pawła dopatrzeć w tobie nie mogę... Pomyśl tylko, jesteś zrujnowany i ukryć tego naturalnie nie potrafisz; czyż zmiana frontu w takich właśnie okolicznościach nie nastręczy odpowiedniej materii do mnóstwa domysłów, ploteczek. Katolicyzm jest zagrożony, czuje wojnę w powietrzu, rekrutuje więc zewsząd żołnierzy;

¹ *Le coup de grâce* p. 400 np.

„Ja tymczasem pędziłem wedle danego sobie rozkazu; zdawało mi się, że'm lekki jak piórko, że długie korytarze same przedemną się rozstępują, a pierś z wielkiego jakiegoś ciężaru zwolniona, jakby po długiej chorobie, po raz pierwszy swobodnie odetchnęła. Dawne kajdany opadły, myśl swobodnie wleciała w przestworza, uśmiechałem się do obrazu Karola — mówiłem mu z uniesieniem: „Kocham Boga! Chcę kochać Boga!“ Całą drogę prześniłem rozkosznie; musiałem się wstrzymywać, żeby nie zwierzać się przechodniom z odniesionego zwycięstwa“.

„W domu nie czekano już na mnie. Biedną, drogą żonę zbliżającą się z trwożnem zapytaniem, pochwyciłem w ramiona i krzyknąłem jej do ucha: „Stało się! Kocham Boga, służyć będę Bogu!“

„Co to był za rozkoszny wieczór! Nie wiem, kto bardziej tryumfował: ja, czy Marynia, rozpromieniona niespodziewaną tą dla siebie wieścią, bo po rannej rozmowie straciła już wszelką nadzieję, — śmiała się i płakała zarazem; powtarzała raz po raz, a teraz już nie byłem w stanie o to się gniewać: „Błogosławiona, o! błogosławiona ruina!“ Wieczorem wspólnie po raz pierwszy odmówiliśmy pacierz i pożegnałem żonę, bo chciałem się zabrać do gruntownego rachunku sumienia“.

„Jakże różna była ta noc od nocy poprzedniej! Czułem miłosiernego Jezusa koło siebie i z pogodną wiarą polecałem mu przyszłość naszych dzieci. Nie mówiłem jeszcze: „Błogosławiona ruina!“ bom sobie dokładnie nie zdawał sprawy z niezbędnej konieczności ciosu, ale przyjmowałem go chętnie bez wysiłku; — nie w duchu rezygnacyi, bo rezygnacya suponuje poprzednią walkę ze sobą samym, a ja nie walczyłem; napelniał mię jakiś nadprzyrodzony spokój; nie widziałem, nie czułem doznanego nieszczęścia... Nazajutrz 24 grudnia 1874 w wilię Bożego urodzenia, żona moja, najstarsza córka i ja, wyszliśmy z domu wczesnym rankiem i piechotą, zdążając w milczeniu przez puste Pola Elizejskie, odbyliśmy pielgrzymkę na ulicę *de Sèvres*. Była to moja druga Komunia św.; od pierwszej Komunii ubiegło już przeszło lat czterdzieści“.

„Odtąd — zapisywał Féval tego samego pamiętnego dnia, powzięte po Komunii św. postanowienia, — odtąd dla Boga tylko chcę żyć i pracować; nie napiszę ani jednej kartki, ani jednego wiersza, któryby nie był dla Boga. Najuboższy nawet spłacić może

dług zaciągnięty u Boskiego Miłosierdzia, oddając się zupełnie, bez zastrzeżeń. Tak oddam się Bogu, sobie nic nie zachowam. Słaby jestem, głupi jestem; ale pióro umoczę w krwi serdecznej, z serca oczyszczonego płynącej i od dziś dnia aż do godziny śmierci śpiewać będę pieśń dziękczynną“...

„Spędziłem dni kilka modląc się i rozmyślając, a tymczasem pióro spoczywało. Nie tailem się przed nikim, jakie mię spotkało szczęście, ale nie rozgłaszałem go; a marzyłem i pragnałem cichą pracą zarobić na chleb powszedni dla swoich. Tymczasem wracało natarczywie dawne pytanie: „Jak i gdzie pracować?“ Spytałem o radę nowych przewodników mego życia, ale i oni w tym względzie nie wiele więcej odemnie wiedzieli. Powiedziano mi: obowiązkiem twoim jest zdeptać próżność; zrezygnować się z góry na przykrości, na odmowy. W teorii zgodziłem się chętnie na te prawdy, ale od teorii do praktyki długa droga, może jeszcze dłuższa niż od puhara do ust“.

„Powiedziano mi, że powołanie katolickiego powieściopisarza jest wielkie i wzniosłe, że powieści, które jak każdy przyznać musi, tyle niestety rodzą złego, zaprządz można i należy w służbę wiary i cnoty. W tym względzie trudno mi było przełamać dawne przesady. Odparłem, że o ile wiem, romanse katolickie, z bardzo nielicznymi, znakomitymi wyjątkami, są przerażająco nudne, często niepożyteczne, czasem nawet śliskie, a może i wprost szkodliwe, zwłaszcza romanse pisane przez panie i nieprzeliczony zastęp panien. Być może, odpowiedziano mi ze zhytkiem pobłażliwości; ale w takim razie masz przed sobą tem większe i wdzięczniejsze zadanie: na nowe, szersze tory podniesiesz, popchniesz katolicką powieść“.

„Powiedziano mi jeszcze, że największej części dawnych moich książek, nie, a przynajmniej bardzo mało — w ogóle mówiąc — możnaby zarzucić, i że oddać by nawet były w stanie pewną przysługę chrześcijańskiemu społeczeństwu, gdybym się tylko zechciał zdecydować na lekkie ich przerobienie. Lekka ta praca, do której jednak bardzo sumiennie i uważnie wziąć się należało, pochłonęła mi już pięć lat, w czasie których nie pozwoliłem sobie chwili wytchnienia; pomimo tego nie doszedłem do kresu, a choć duchowni moi przewodnicy pochwał mi nie szczędzą, nie śmiem

sobie powiedzieć, że na nie zasłużyłem. Bez wątpienia wszystko złe usunąłem z mych książek; ale czy zostało w nich co dobrego?”

Za surowy to sąd. Nie łatwą zapewne jest rzeczą poddać potwórnemu odlewowi utwory, wykończone przed latami w innych okolicznościach, w innym usposobieniu; żądać prawie niepodobna, aby przy takim przetworzeniu dokonanem z poczucia obowiązku ale bez wpływu artystycznego natchnienia, nie wystąpiły na jaw pewne rysy i braki; pomimo tego, pomimo nieuchronnych tych rysów i braków, *Féval* wywiązał się, rzecby można, po mistrzowsku z wziętego na swe barki, przegniatającego ciężaru. Liczne, po dziś dzień wciąż ponawiające się edycje „przejrzanych i poprawionych powieści,” świadczą najlepiej, że piękne to, chrześcijańskie przedsięwzięcie, po ludzku nawet mówiąc, nie zrobiło *fasca*, z którego zawczasu cieszyli się dawni „liberalni” przyjaciele, które przyjęto zbyt łatwo jako dogmat w encyklopedycznych artykułach poświęconych *Févalowi*, w jego nekrologach, nawet w pogrzebowych mowach. Artysta, poeta cierpieć musiał nie mało zasiadłszy do surowego sądu nad własnymi swymi dziełami; mażąc i zmieniając Nielitościwie każdy wiersz, każde słowo, któreby mogło zamącić serce lub wyobraźnię czytającego; wiedząc przy tem doskonale, że zmiany te ostatecznie raczej mu ujmą, niż dodadzą literackiej sławy. „Mniejsza o to, odpowiadał *Féval* tym, którzy mimo pochwał i poparcia dobrze myślących w imię artyzmu i słowy usilowali go sprowadzić z rozpoczętej drogi; najprzód i przedewszystkiem jestem chrześcijaninem, a obowiązkiem chrześcijanina jest nie dawać innym zgorszenia, dane choćby mimowoli zgorszenie wedle możności naprawić. To moja pokuta za dawne grzechy; zresztą nie wiele ludzie stracą, że nie będą czytać, lub mniej chętnie będą czytać parę moich powieści; wiele by stracili, a ja straciłbym najwięcej, gdybym temi powieściami zabrudził ich dusze“.

Poprawa dawnych utworów kosztowała *Féval'a* bardzo wiele czasu, więcej jeszcze uciążliwej, a jak Henryk *de Bornier* słusznie się wyraził, „heroicznej, męczeńskiej pracy“. „Bóg, pisał nasz powieściopisarz do jednego z przyjaciół¹, napelnił mię orgja pracowania i błogosławi widocznie, ponad wszelką nadzieję mym

¹ *Paul Féval par V. Mercier. — „Etudes“.* Aout. p. 576.

wysiłkom“. Istotnie, z wiosną 1881 r. stało już na półkach księgarskich trzydzieści tomów „oczyszczonych“ powieści, a obok nich gromadziły się w licznym szeregu, niby dając stanowczą odpowiedź na pytanie: Czy możliwą jest religijna powieść? — nowe opowiadania, z pewnością najznakomitsze jakie kiedykolwiek wyszły z pod płodnego pióra naszego pisarza, zapewniające mu już nie przelotny zysk i rozgłos, ale stałą sławę, wielkimi głoskami zapisane imię w dziejach literatury.

„Zazwyczej, zauważa *de Pontmartin*¹, skoro słynny jaki pisarz doszedł do progów wieku podeszłego, skoro wydał wiele tomów, a publiczność wie już doskonale, czego, w jakich ramach, w jakim rodzaju i w jakim tonie może się od niego spodziewać, nie wychodzi z po za tego koła, i nieraz w niem się obracając, choć już sześćdziesiątkę przekroczył, daje dowody niewyczerpanego jeszcze talentu, umysłowej świeżości. Co nad wyraz jest trudnem, to zmiana metody, wprowadzenie mile zdziwionych czytelników na zupełnie odmienne, a niemniej, może bardziej jeszcze czarujące drogi. Tego cudu dokonała wiara u autora rzewnych, oryginalnych: *Les étapes d'une conversion*“.

Cykl ten będący pewnym rodzajem w powieściowy sposób osnutego pamiętnika, składa się z dawniej napisanego niby wstępu: „Dramat młodości“ i czterech opowiadań pod odrębnymi tytułami: „Śmierć Ojca“, „Piotr Blot“, „Pierwsza Komunia“, „Uderzenie łaski“²; opowiadań malujących cztery „etapy“, przez które Bóg duszę *Févala* do poznania i pokochania siebie doprowadził. „Opowiedzieć wam pragnę, kreśli *Féval* ogólny program „Etapów“, historię pewnego dobrze mi znanego rozumu i serca. Bohater mój, zanim zwrócił oczy swe do Boga, stracił znaczną część życia na przypatrywaniu się ludziom dla zrobienia majątku, dla zyskania sławy... Ale nasze radości i boleści, tryumfy i klęski zbliżają nas, mimo wiedzy naszej do Boga. Nie my zdążamy ku nawróceniu, ale nawrócenie idzie ku nam. Chciałem zaznaczyć różne stacye mojego nawrócenia się; odrysować etap po etapie, tajemniczą tę drogę,

¹ *Nouveaux Samedis*. Paris 1878.

² *La mort du Père, Pierre Blot; la Première Communion; le Coup de grâce*.

którą łaska Boża zdąży naprzeciw biednej duszy ludzkiej. Oto plan mej książki...”

Plan ten spełniony został w najdrobniejszych szczegółach ręką mistrza, który znalazł wreszcie godną siebie ideę, zrozumiał jakie arcydzieło przeznaczonem mu jest po sobie zostawić. Jeden z najlepszych krytyków francuskich z ostatnich czasów, zmarły przed paru miesiącami *Barbey d'Aurevilly*, który dotąd upatrywał w *Févalu* tylko płodnego „fabrykanta fejtetonów”; zmienił radykalnie zdanie natychmiast po ukazaniu się pierwszych rozdziałów „Etapów”: „To już nie bajeczka, wołał z entuzjazmem, ale prawda przedzierająca się przez powieściową osłonę; prawda poruszająca silniej, niż największy talent poruszyć jest zdolny; utwor odkrywający tym, co rozumieją wielkość i piękność życia, coś więcej niż geniusz pisarza, bo malujący jego serce”. „Nigdy i nigdzie, zauważy biograf *Févala*¹, mówiąc o „Etapach”, serce ludzkie nie zostało podane sumienniejszej analizie, *Balzac* analizował namiętności potężne, błyszczące, wrzące i grzmące; *Féval* kładzie duszę pod mikroskop, obserwuje ją w najtajniejszych zakątkach, najgłębszych szczelinach. Nic nie uchodzi jego uwadze, chwytą w przelocie mknące jak strzała wrażenie; fotografuje delikatne, mieniające się w siedem barw tęczy uczucie”. Z niemniejszym zapalem, ze szczerą wdzięcznością i radością powitał „Etapy” surowy zazwyczaj krytyk, jeden z najpierwszych pionierów chrześcijańskiej powieści *Ludwik Veuillot*:

„Brat — pisał w serdecznym liście — ma prawo powinnować swemu bratu... Napisałeś rzecz piękną, prawdziwą, wzruszającą, prześliczną. Wiedziałem, że masz talent nie mały; ale teraz dopiero w całej pełni pokazałeś do czego jesteś zdolny. Nową sławę sobie zyskujesz o wiele lepszą, piękniejszą od dotychczasowej; teraz dopiero wydasz arcydzieła. Cieszę się z tego i Bogu dziękuję; Bóg tylko chce i może tak wzbogacać rozbitków”.

„Fikcyja uczyniła z *Pawła Féval'a* zajmującego bazarza; prawda stworzy zeń pisarza prawdziwie wielkiego”. Przepowiednia ta wypowiedziana przez *de Pontmartin'a* niebawem po publicznem a zupełnem zwróceniu się *Févala* do odwiecznej Prawdy, weszła

¹ *Paul Féval par Charles Buët* p. 254 np.

w życie w „Etapach,” w cennem opowiadaniu *Chateaupauvre*, a nie mniej, jeśli nie bardziej w polemiczno-historycznych broszurach i książkach¹, któremi „gorący ten neofita, odmlodzony uderzeniem łaski na drodze do Damaszku walczył na wszystkie strony, śpieszył z odsieczą na każdy punkt silniej zagrożony przez nowoczesną bezbożność”. Drogiej swej oczywiście, wiedzionej systematycznie przez garstkę energicznych sekciarzów na bezdroża poganizmu, chciał Féval, jako zachętę, wzór i pociechę w trudnej chwili przedstawić w jednym obrazie dawne chrześcijańskie, z chrześcijańskiej idei swą siłę i piękność czerpiące dzieje Francyi, *gesta Dei per Francos*. Żywioł nadprzyrodzony, cudowne działanie Boże, wciąż łączy się najściślej i wiąże prześlicznie z wszystkimi ważniejszymi zdarzeniami narodowego życia i historii francuskiej: oto teza, którą gorący chrześcijanin i patriota przeprowadza wymownie w *les Merveilles du mont Saint-Michel*. Francya ma sobie zlecone od Boga szczególne posłannictwo w dziejach świata; spełniali chwalebnie to posłannictwo: zwycięzca Saracenów Karol Martel; Filip August; św. Ludwik, typ sprawiedliwych monarchów; Bertrand du Guesclin, typ chrześcijańskich bohaterów; Joanna d'Arc; przeszli wielcy ci bohaterzy, niestety! bezdzietni; ale jeden pozostał, książę ludu wybranego w nowym zakonie, książę i tarcza Francyi, Archaniół Michał; on, opiekun Kościoła, nie opuści kraju, którego losy tak ściśle związane z losami Kościoła całego.

Czy to nie zbyt, niezdrowy mistycyzm, zapytali niektórzy surowi krytycy; nie messyanistyczny jakiś powiew szepejący o narodzie, odkupicielu i nauczycielu ludów, najczystszy, promienistym?... „Jestem katolikiem i niczem mniej, ani więcej, tłumaczył się jasno sam Féval przyjacielowi zdającemu mu sprawę z tych zapytań². Czyż to mistyka, starać się odkryć wedle historycznych i teologicznych danych, rąbek z zasłony, ukrywającej przed naszymi oczami myśl Bożą działająca w świecie całym, w historii?” Stanowczą odpowiedź dało brewe Leona XIII, w którym Ojciec św. dziękował chrześcijańskiemu pisarzowi za mistrzowskie

¹ *Nouveaux Samedis par M. de Pontmartin*. Paris 1878.

² Do K. Buet'a 21 września 1879 r.

jego dzieło i zachęcał do dalszej, nieustraszonej walki za prawdę, w imię prawdy.

Jeśli gdzie i kiedy, to w tym zwłaszcza czasie we Francji, nieliczni rycerze występujący w obronie wiary i ohydnie zdeptanej wolności, mnożyć się niejako musieli, odpierając ataki, śpiesząc z pomocą na najbardziej zagrożone punkta. Gdy rząd nadużywając swej władzy wywołał z zapomnienia dawno nieistniejące, w gruncie rzeczy zniesione prawa i posługując się niemi rozpędził Jezuitów i wiele innych wrzekomo nieuznanych zakonów; wtedy Féval podjął rzuconą rękawicę, i w energicznej, z szlachetnem oburzeniem skreślonej książce *Jezuici*¹, napiętnował nieczne czyny prześladowców, skreślił kochającym piórem wspaniały obraz prac, walk, męczeństw i zwycięstw odniesionych w przeciągu trzech wieków przez Towarzystwo Jezusowe. Wedle pierwotnego planu, książka ta miała być tylko szkicem, przedmową do wielkiego dzieła: „Powszechna historia Jezuitów“; obrazu tego Féval nie zdażył namalować, ale i szkicem spłacił hojnie dług wdzięczności, do którego się poczuwał dla „kierowników swej duszy, dla nauczycieli swych dzieci, przedewszystkiem dla prześladowanych dla imienia Chrystusowego“.

„Francya się budzi“, „Stare kłamstwa“, „Precz z rozwodami!“ — oto tytuły kilku następnych wojennych rozpraw i broszur. Ostatnia z rzędu: „Precz z rozwodami“, wymierzona przeciw obrzydliwej broszurze *Dumas'a* syna, miała być w myśli autora i rzeczywiście stała się² „polemiczną rozprawą dawnego romansopisarza i dramatycznego autora, rozprawą interesującą, zaciekawiającą, a jednocześnie poważną“. Ostatnie te przymioty w wyższym jeszcze stopniu widoczne są już nie w polemicznej, ale raczej, rzecby można, kaznodziejskiej, w najlepszym tego słowa znaczeniu broszurze: *Le Denier du Sacré-Coeur*. Féval od pierwszej chwili zupełnego zwrócenia się do Boga, zapłonął najgorętszem nabożeństwem do N. Serca Jezusowego; nową swą siedzibę założył u stóp *Montmartre*, aby móżdź codzien odbyć pobożną pielgrzymkę do bazyliki N. Serca; w każdej nowej książce wtrącić musiał choć słów kilka na cześć „Serca Bożego, które mi osładza wszystkie

¹ *Jésuites*. Paris. 18 édition. 1885, p. 358.

² Do *K. Buet'a*. — *Paul Féval par Ch. Buet* p. 196.

troski, które niestety! nie dość kocham, a indyczą głupią próżnością codziennie obrażam“¹. Miłość ta głęboka, gorąca; wdzięczność bez granic przebija z każdej stronicy tej odezwy raczej niż broszury wołającej głośno, jak wołał już nie tylko piórem sam Féval na ogólnem zgromadzeniu katolików w konferencyi o *Montmartre i służbie narodowym*: „Ojciec nasz, który jesteś w niebie, spojrzysz na wymowny kamień, noszący napis: *Cordi sacratissimo Jesu, Gallia poenitens et devota*“²; zwróć oczy na ukrzyżowane Serce Jezusowe, które przebacza pokutującej Francyi; — Francya do nóg Twych się korzy: *Gallia poenitens, Gallia devota*...“

Krótką rozprawą *le Denier du Sacré-Coeur* przyniosła autorowi w przeciągu trzech lat 72.000 fr. czystego dochodu, a cały ten dochód, aż do ostatniego szelągka przeszedł w ręce komitetu zajmującego się budową bazyliki N. Serca. Ten jeden fakt wystarczającą daje odpowiedź złośliwym krytykom, którzy okiem swem i szkiełkiem martwe tylko widząc prawdy, praw żywych nie znając, nie mogli zrozumieć nawrócenia Févala i nazywali je „spekulacją“, interesem obrachowanym na zapelnienie wypróżnionej kieszeni, groszem dobrodusznych czytelników katolickich. Ale to tylko jeden fakt, a cały ich szereg przed nami stoi. Oryginalny „spekulant“ zabierając się do oczyszczenia dawnych swych powieści wykupił od wydawców swych: *Hachette'a, Dentu, Calmann'a Lévy*, pozostające w handlu egzemplarze około dwustu romansów, a zdarłszy z nich okładki, pomieszawszy stronnice, sprzedał tę papierową wieżę Babel na torebki fabrykantom tabaki. Nie zbyt wiele naturalnie pieniędzy z tego źródła przypłynęło, ale i to niepoczciwie zyskane pieniądze, żartował sobie Féval i przeznaczył je na jałmużny. Dla ubogich, dla chorych, zwłaszcza dla nieszczęśliwych, którzy lepszego w młodości zaznawszy losu, wstydziła się rękę wyciągać o pomoc, dla dobroczynnych zakładów, szło zawsze hojne, książęce wsparcie ze skromnego domku u stóp bazyliki Najśl. Serca; sam jeden tylko wydawca *Palmé* posyłał z polecenia Févala regularnie co miesiąc, ukrywając starannie nazwisko dobroczyńcy, 2.000 fr., na rzecz jakiegoś chrześcijańskiego dzieła. W ostatnich latach

¹ Do *L. Bloy*. List cytowany przez *Buet'a* p. 136.

² Najświętszemu Sercu Jezusowemu, Francya pokutująca i nabożna.

życia sprzedał lubujący się w wykwintności i przepychu powieściopisarz wspaniałe, wzbudzające podziw makaty, które zdobyły prywatny jego gabinet; a otrzymane z sprzedaży tej 10.000 fr. rozdał natychmiast między ubogich. „Czy to nie zbyttnia hojność, czy rodziny tem nie krzywdzisz?” zapytał go ktoś ze znajomych. „Nie, odparł Féval, bo makaty te kupilem za 900 fr. i jedynie działając w interesie ubogich, odważyć się mogłem na wyciągnięcie z nich tak lichwiarskiego zysku“.

Złożywszy Bogu ofiarę z swych książek, z autorskiej swej sławy; sypiąc hojnie dla miłości Boga między potrzebujących mozolnie zarobiony grosz; nie cofnął się szczerze nawrócony chrześcijanin przed cięższymi jeszcze dla serca krzyżami, które Bóg na barki jego nałożył. Najstarsza, najbardziej może ukochana córka Józefina, idąc za głosem powołania wstąpiła do zakonu; ojciec odczuł boleśnie ten cios, dla natury tak dotkliwy, ale podnosząc oczy do góry, nadprzyrodzonymi pobudkami się krzepiąc, podziękował Bogu z całego serca. „W domu naszym, zwierzał się przyjacielowi¹, panuje wielkie wzruszenie, słodkie i gorzkie zarazem: wielka boleść, wielkie szczęście! Córka moja oddaje się Bogu, opuszcza nas... Była mi ona droga; świat, ludzie powiedzieliby, że była mi konieczną. Serce Jezusowe zabrało ją za pośrednictwem św. Marcina, w czasie naszej pielgrzymki do Tours; niech będzie błogosławione!“ „Dzięki Bogu! dzięki Bogu!“² Niech nas Bóg odłącza, odrywa coraz i coraz bardziej od wszystkiego tu na ziemi; tak uczymy się umierać. *Te Deum laudamus!*“

Po Józefinie przybrała się jej siostra w biały welon Szarytki, dwóch synów wstąpiło do klasztoru, a ledwie habit zakonny na siebie włożyli, opuścić musieli Francję; w niewiele miesięcy później Féval odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku ciało wiernej swej małżonki, dobrego Anioła Stróża, który tyle lat nad nim czuwał, modlitwą, przykładem cnót codziennych drogę do Boga mu utorował; przedtem jeszcze powtórna katastrofa finansowa zagabiła część grosza z takim nad siły trudem dla dzieci zbieranego. Po każdym z tych ciosów pobożny chrześcijanin powtarzał

¹ Do *L. Bloy* 20 października 1879. — *Buet* p. 154.

² Do *K. Bueta*. — p. 114.

z Jobem: „Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Jego błogosławione!“ silna dusza ugiąć się nie dała, ale ciało wyniszczone długoletnią pracą, ugięło się pod tym nawalem nieszczęść i odmówiło dalszej służby. W r. 1882 pierwszy atak apopleksyi uniemożliwił dalszą pracę; następne ataki prowadziły coraz szybszym krokiem słynnego niegdyś, zapomnianego teraz pisarza do grobu, aż go zaprowadziły 8 marca 1887 r.

„*Paweł Féval*, wołał prezes towarzystwa literackiego, *Juljusz Claretie* w pogrzebowej mowie, *Paweł Féval* domagał się pod koniec życia jedynie zapomnienia, błagał tylko o spokój... Spokój ten osiągnąłeś już teraz, wywalczyłeś go sobie chwalebnie, choć nie bez smutków, nie bez boleści. Spokój masz, zapomnienia nie żądasz! Dopokąd stać będziemy współbracia, twoi i przyjaciele na naszych posterunkach, czcząc twe imię, chowając twą pamięć, dotąd upragnionego, umiłowanego przez ciebie zapomnienia nie otrzymasz, bo niewdzięcznikami być nie chcemy; o tylu zbyt szybko pędzących godzinach, które spędziliśmy nad twymi książkami, zapomnieć, choćbyśmy chcieli — nie możemy!...“

Zapewnienie wiecznej pamięci i sławy wygłosił *Claretie*, jakby gorzką ironią losu, w obec zaledwie 150 osób, zebranych koło grobu tego, któremu przed laty urządzano w Paryżu tryumfalne pochody, którego imię w kilkuset książkach, w niezliczonej liczbie przekładów i pochwał brzmiało po świecie całym. Jeśli do kogo, to zwłaszcza do *Féval'a* w paru ostatnich latach życia stosują się słowa poety: „żywcem pogrzebany“; na wiadomość o jego zgonie pytano się z zdziwieniem, pytali się przyjaciele z czasów szczęśliwszych, dawniejsi i nowsi nawet wielbiciel: To on żył dotychczas? Śmierć dopiero rozdarła w części tę zaslonę zapomnienia, otaczającą samą osobę powieściopisarza; na utwory jego zasłona ta nigdy nie zapadła, a na niektóre z nich i w przyszłości nie zapadnie. *Féval* nie mylił się utrzymując, wbrew chwilowym pozorom, że właśnie z chrześcijańskiej idei zrodzone, chrześcijańskim duchem natchnione opowiadania, jedno przetrwają próbę czasu i zmienionych okoliczności. „*Tajemnice Londynu*“, „*Człowiek żelazny*“, „*Królewscy fanfaroni*“, coraz mniej znajdują czytelników, w wykształceńszych warstwach nie znajdują ich wcale; natomiast kilka książek i broszur napisanych po nawróceniu się do Boga, kilka po-

wieści, a na pierwszym miejscu „Etapy“, stoją i przez wiele jeszcze lat, może i wieków stać będą niby pomnik nad wszelki spiż trwalszy, na którym złotymi literami wyryty napis przypomina cudowne drogi miłosierdzia Bożego; uczy, że może być, jaką ma być, z jakich źródeł może czerpać natchnienie chrześcijańska powieść.

Czy możliwą jest taka powieść; czy marzyć można o tem, żeby powieść stała się jedną ze strón odzywających się na cześć Najwyższego Piękna; aby i ona wespół z naturą, z nauką, z poezją opowiadała jedną piękność jednego Boga? Nieco więcej jeszcze takich pisarzy, takich utworów, jak utwory *Féval'a* z ostatnich czasów literackiej jego działalności; a piękne marzenia o katolickiej powieści, przynależnem jej stanowisku i wpływie przejdą w kraj rzeczywistości.

Ks. Jan Budeni.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej z archiwum tak zwanego bernadyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stańnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. *Dr. Ksawery Liske*. Tom XIII. Lwów 1888. Str. XIV, 729 i 1 n. l. (Dokończenie).

Prócz tego tom XIII Aktów grodzkich i ziemskich zawiera ważne materyały odnoszące się do stosunków prawnych w ziemi przemyskiej. O niechto nam obecnie pokrótce pomówić wypada.

Organizacya sądowa polska, choć wprowadzona w r. 1435, nie przyjęła się w Przemyśle podobnie jak w Sanoku i Haliczu od razu. Dowodem tego okoliczność, podniesiona w przedmowie przez wydawcę, że n. p. posiedzenia sądów ziemskich nie odbywają się początkowo w terminach przepisanych, tak, że potrzeba było całego szeregu lat, zanim sądownictwo to w zupełności zrównało się pod tym względem z polskiem.

Wiadomości o składzie sądów przemyskich nie są tak dokładne, jak wiadomości o składzie sądów sanockich i halickich, gdzie z największą ścisłością można było śledzić każdorazową zmianę, która zaszła co do osób piastujących poszczególne urzędy, i prawie na dzień oznaczyć, kiedy ta zmiana nastąpiła. Pochodziło to stąd, że pisarze przemyscy, którzy zresztą odznaczają się o wiele większem wykształceniem i używają języka o wiele czystszeo i poprawniejszego od pisarzy sanockich i halickich, spisywali akta sądowe w sposób o tyle wygodny, że zazwyczaj podawali tylko daty ro-

wieści, a na pierwszym miejscu „Etapy“, stoją i przez wiele jeszcze lat, może i wieków stać będą niby pomnik nad wszelki spiż trwalszy, na którym złotymi literami wryty napis przypomina cudowne drogi miłosierdzia Bożego; uczy, że może być, jaką ma być, z jakich źródeł może czerpać natchnienie chrześcijańska powieść.

Czy możliwą jest taka powieść; czy marzyć można o tem, żeby powieść stała się jedną ze strón odzywających się na cześć Najwyższego Piękną; aby i ona wespół z naturą, z nauką, z poezją opowiadała jedną piękność jednego Boga? Nieco więcej jeszcze takich pisarzów, takich utworów, jak utwory *Féval'a* z ostatnich czasów literackiej jego działalności; a piękne marzenia o katolickiej powieści, przynależnem jej stanowisku i wpływie przejdą w kraj rzeczywistości.

Ks. Jan Budeni.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej z archiwum tak zwanego bernadyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. *Dr. Ksawery Liske.* Tom XIII. Lwów 1888. Str. XIV, 729 i 1 n. l. (Dokończenie).

Prócz tego tom XIII Aktów grodzkich i ziemskich zawiera ważne materyały odnoszące się do stosunków prawnych w ziemi przemyskiej. O nichto nam obecnie pokrótce pomówić wypada.

Organizacya sądowa polska, choć wprowadzona w r. 1435, nie przyjęła się w Przemyśle podobnie jak w Sanoku i Haliczu od razu. Dowodem tego okoliczność, podniesiona w przedmowie przez wydawcę, że n. p. posiedzenia sądów ziemskich nie odbywają się początkowo w terminach przepisanych, tak, że potrzeba było całego szeregu lat, zanim sądownictwo to w zupełności zrównało się pod tym względem z polskiem.

Wiadomości o składzie sądów przemyskich nie są tak dokładne, jak wiadomości o składzie sądów sanockich i halickich, gdzie z największą ścisłością można było śledzić każdorazową zmianę, która zaszła co do osób piastujących poszczególne urzędy, i prawie na dzień oznaczyć, kiedy ta zmiana nastąpiła. Pochodziło to stąd, że pisarze przemyscy, którzy zresztą odznaczają się o wiele większem wykształceniem i używają języka o wiele czystszej i poprawniejszej od pisarzy sanockich i halickich, spisywali akta sądowe w sposób o tyle wygodny, że zazwyczaj podawali tylko daty ro-

czków bez podania nazwisk obecnych urzędników i assessorów. Jeżeli w skutek tego nie można z aktów przemyskich stworzyć tak dokładnego rejestru urzędników i dygnitarzy przemyskich, jak z aktów sanockich i halickich, to za to zawierają akta przemyskie bardzo ciekawe szczegóły, uzupełniające nasze wiadomości, odnoszące się do sądowej i administracyjnej organizacyi Rusi Czerwonej. I tak znajdujemy w naszym zbiorze liczne wzmianki, odnoszące się do zjazdu w Mościskach (*convencio in Mosciska*), na której reprezentanci całej Rusi Czerwonej rozstrzygają sprawy sporne w najwyższej instancyi¹. Zjazd ten, będący najwyższym organem autonomicznym szlachty ruskiej i jak się zdaje poprzednikiem późniejszego sejmiku wiszyńskiego, nosi miano *conventio generalis*, prawdopodobnie w przeciwstawieniu do sejmików partykularnych, odbywających się w każdej ziemi z osobna. Znajdujemy też w r. 1463² wzmiankę o sejmiku wiszyńskim.

Dalej dowiadujemy się ze zbioru naszego nowych szczegółów, odnoszących się do podziału Rusi Czerwonej na powiaty. I tak jest tam mowa o istnieniu powiatu stryjskiego (*districtus Striensis*)³, drohobyskiego⁴, łańcuckiego⁵, przeworskiego⁶, grodeckiego⁷, samborskiego⁸, jarosławskiego (zwanego *ambitus Iaroslaviensis*)⁹, wreszcie leżańskiego¹⁰. Z materyałów zawartych w zbiorze naszym wysnuć można dalej wnioski o sądowej organizacyi tychże powiatów. I tak najpierw widać z nich, jakto trafnie wydawca w przedmowie zauważał, że nie na czele każdego powiatu stał osobny starosta. Tak n. p. powiat przeworski stoi pod względem sądownictwa grodzkiego pod władzą starosty przemyskiego, ma zaś tylko swój sąd ziemski, będący filią sądu przemyskiego, w której zasiadali sędzia i podsędek przemyscy. Sąd ten ma osobnego woźnego¹¹, który jest pomocnikiem woźnego przemyskiego i pełni zarazem funkcye woźnego dla powiatu jarosławskiego¹². Natomiast powiaty stryjski, grodecki i samborski podlegają juryzdykcyi osobnych starostów, czego dowodem tak zbiór niniejszy, jak i poprzednie tomy naszego wydawni-

¹ Zap. 273. 328. 803. 2897 i t. d. ² Zap. 5252. ³ Zap. 2494. ⁴ Zap. 2686.

⁵ Zap. 3018. ⁶ Zap. 3254. ⁷ Zap. 3713. ⁸ Zap. 3716. ⁹ Zap. 4266. ¹⁰ Zap. 5347. ¹¹ Zap. 3254. ¹² Zap. 4266.

ctwa. W zbiorze niniejszym występuje starosta grodecki¹, sędzia samborski² i woźny samborski³, sędzia gródecki (*Iudex castrī Grodecensis*)⁴, a wreszcie sędzia stryjski (*Iudex castrī in Striy*)⁵. W powiecie drohobyckim spotykamy się z woźnym drohobyckim⁶, co dowodzi także istnienia odrębnego sądownictwa w tymże powiecie, nie wiadomo jednak jakie było to sądownictwo. Ciekawą co do zakresu działania tego woźnego jest wymieniona zapiska, z której dowiadujemy się, że strona *obligavit se dare intromissionem realem per ministerialem Drohobicensem, si Premisliensis defuerit*. Z zapiski tej wynikałoby, że czynność woźnego drohobyckiego była tylko pomocniczą w stosunku do juryzdykei woźnego przemyskiego. W Jarosławiu nareszcie spotykamy się nie tylko z Bobolą, wojewodą jarosławskim⁷, lecz także z woźnym jarosławskim⁸, czytamy wreszcie o: *ius castrī Iaroslaviensis*⁹. O juryzdycei grodu jarosławskiego dowiadujemy się¹⁰, że Jan Jarosławski, uwalniając Jana Gołuchowskiego ze stosunku lenno-służbowego, zastrzega sobie nad nim juryzdykę (*ius pro se reservat*), warując, iż tenże wraz ze swymi potomkami ma nadal odpowiadać przed grodem jarosławskim, tak jak od dawna dziać się zwykło. Stąd wypływa, że juryzdykę ta grodu jarosławskiego wykonywaną była z ramienia właścicieli Jarosławia, gdyż ów Jan Gołuchowski, jako *nobilis servus* Jarosławskiego, podlegał jego osobistej juryzdycei, tego bowiem wymagał stosunek lenno-służbowy, a właśnie tę juryzdykę reprezentowało, jak widać z nazej zapiski, *ius castrī Iaroslaviensis*. Trafnie domyśla się wydawca genezy tego sądu. Jarosław był niegdyś, jak się zdaje, królewsczyzną, czego domyślać się każe okoliczność, że w r. 1425 występuje Spytek z Tarnowa jako starosta jarosławski. Wydawca sądzi, że Tarnowscy trzymali prawdopodobnie Jarosław jako królewsczyznę w zastawie, a ów Spytek używa tytułu *capitaneus* zamiast *tenutarius*, jak to się często wówczas działo. Wkrótce potem atoli musiał Jarosław przejść na wyłączną własność tej rodziny, co stąd wynika, że w czasie, do którego się

¹ Zap. 2403. ² Zap. 3586. ³ Zap. 3716. ⁴ Zap. 4980. ⁵ Zap. 5024.

⁶ Zap. 2822. ⁷ Zap. 5369. ⁸ Zap. 436. ⁹ Zap. 3036. ¹⁰ Zap. 1414.

akta przemyskie odnoszą, nie widać bynajmniej, aby miejscowość ta nie była rodzinną własnością tego szczepu Tarnowskich, który osiadł w ziemi przemyskiej. Tak więc stracił Jarosław charakter królewskiej, zatrzymał jednak sądownictwo grodzkie, tak, jak za dawnych czasów. Jurydykę, którą dawniej spełniał tenutaryusz, lub jego zastępcy w imieniu króla, sprawuje obecnie ustanowiony przez właścicieli wojewoda jarosławski z ich ramienia i w ich imieniu.

Ze zbioru naszego dowiadujemy się jeszcze o innych, nieznanych dotąd sądach grodzkich, wykonujących samoistną jurydykę. I tak strona zapozwana przed sąd grodzki przemyski zasłania się zarzutem, że: *habet agere pro maiori in Skala coram dom. Wnu-czkone Capitaneo Skaliensi*, co wskazuje na to dowodnie, że w Skale istniał podówczas odrębny sąd grodzki¹. Spotykamy się też ze starostą krzepickim², który jak się zdaje wykonywał też samoistną jurydykę.

Przebieg spraw, toczących się przed sądami, rzuca niejedno światło na ówczesne postępowanie sądowe. Tok postępowania tak w ciągu procesu rozpoznawczego jak egzekucyjnego, znamionuje się pewną ociężałością; wyroki sądowe mimo, iż je egzekwują *sub forti brachio Regali*, nie zawsze zapewniają zrealizowanie prawa, którego strony sporujące w procesie dochodziły. Brak rażności ówczesnego postępowania powoduje głównie pochopność stron do przewlekania procesów. Sprawa wytoczona przed *forum* sądowe, rzadko tylko kończy się na jednym terminie, zazwyczaj upływa ich kilka bezskutecznie, zanim nastąpi rozstrzygnięcie sporu. Pominąwszy wypadki, w których np. strona pozwana korzysta z prawa przysługującego jej do żądania dylacji z powodu choroby, która ją rzeczywiście nawiedziła (*ob infirmitatem*), albo, że np. dla powodzi lub innych przeszkód stanąć na terminie nie może, albo wreszcie z powodu, że równocześnie ma przed innym sądem termin w sprawie ważniejszej (*pro maiori*), spotykamy też nie rzadkie przypadki, w których strony żądają dylacji zupełnie bezpodstawnie, zmyślają nieistniejące przeszkody jedynie w tym celu, aby spór

¹ Zap. 5929.² Zap. 2450.

przewlec i uchylić się przed wymiarem sprawiedliwości. Stąd pochodziło, że strony, którym zależało na szybkim zrealizowaniu swych uprawnień w drodze sporu, umawiały się wyraźnie, że na wypadek wyniknąć mogących sporów, strona zapozwana nie może się zasłaniać inną przyczyną do żądań dylacyi, jak tylko *vera infirmitate*, lub że bezwarunkowo winna odpowiadać zaraz na pierwszym terminie¹, gdyż powód *stat circa primum terminum iuxta contractum*² i może na pierwszym terminie zaskarżyć zaoczność. Środkami, zmierzającymi do ubezwładnienia pozwu, były też często zarzuty niewłaściwości sądu. Strona zapozwana przed sąd ziemski zasłaniała się zarzutem, że podlega sądowi królewskiemu³ lub innej władzy, że sprawa wytoczona przed sąd grodzki, należy do jurydyceki ziemstwa lub sądów wiecowych⁴. W skutek tych często bezpodstawnych zarzutów wytwarzały się spory uboczne, których sąd nie umiał nieraz sam rozstrzygnąć i udawał się z zapytaniem do wyższej instancji, a sprawa główna niepotrzebnie się przewlekła. Aby tego uniknąć, musiały strony w drodze umowy postanawiać między sobą, iż w razie sporu ma pozwany poddać się każdemu sądowi, przed który go powód cytował⁵. Jeżeli się nadto zważy, że nieraz się zdarzało, iż terminy musiano odraczać z powodu tego, iż za wiele spraw na takowe wyznaczono (*propter brevitatem temporis*)⁶, z powodu nieobecności sędziego, który się w sądzie nie jawił⁷, lub wreszcie dla lepszego poinformowania się przez sąd o sprawie (*propter meliorem informationem*)⁸, i dla innych podobnych przyczyn, zrozumiemy łatwo, że strona dochodząca praw swoich w drodze oporu, musiała nieraz długo czekać na wymiar sprawiedliwości. Stąd wołał niejeden zdać się na układ pojednawczy (*amicabilis compositio*), sąd polubowny, aniżeli szukać w sądach sprawiedliwości⁹. Ciekawą przyczynę nieodbycia się roczku zawiera zap. DXCVIII, który *non celebrabatur propter differentiam Iudicis et Notarii terrestrium, nec non propter Palatinum terrestrem, qui nondum fuit notus terrae*. Podobnie ciekawą jest też wzmianka o odroczeniu terminu sądu wiecowego

¹ Zap. 1544. ² Zap. 1593. ³ Zap. 1060. ⁴ Zap. 1708. ⁵ Zap. 1202. 1206. ⁶ Zap. 4367. ⁷ Zap. 5240. 5271. ⁸ Zap. 7078. ⁹ Zap. 3468. 3470.

z powodu tego, że obecni na takowym powzięli niezgodną uchwałę; jedni oświadczyli się za jednym, a drudzy za drugim zapatrywaniem¹.

Odnosnie do postępowania dowodowego na uwagę zasługuje okoliczność, że wypisy udzielane z ksiąg sądowych nie zawsze stanowiły dowód zupełny. Strona, która się powoływała na taki wypis, jako na dokument na publiczną wiarę zasługujący, na zarzut przeciwnika, że wypis ten nie zgadza się z osnową ksiąg oryginalnych (*non esse concordem cum actis*)², musiała udowadniać zgodność jego z tymi ostatnimi (*libro literam expurgare*)³, co na żądanie sąd z urzędu konstatawał⁴. Spotykamy się jednak także z przypadkiem, że pozwany nie tylko czyni zarzut, iż dokument znajdujący się w ręku powoda jest niezgodny z aktami sądowymi, ale nadto, że odnośny ustęp w księdze sądowej został sfalszowany, że sędzia rozmyślnie wydał z księgi fałszywy wypis. Ciekawa ta sprawa oparła się aż o sejm w Wiślicy, szkoda, że nie wiemy jak ją rozstrzygnięto. Znajdujemy też wypadek, że strona obwiniona o fałszerstwo na czyjaś niekorzyść oczyszcza się wraz z siedmiu świadkami przysięgą, „że nie przyjęła do domu swego kleryka i nie kazała mu fałszować dokumentu”⁵.

Co do skutecznienia inskrypcyj w księgach sądowych, ciekawy jest przypadek, w którym sąd odmawia żądaniu wpisu⁶.

Z innych szczegółów zasługuje na uwagę wzmianka o odroczeniu sporu o posiadanie dóbr królewskich aż do dojścia króla do pełnoletności⁷; o ofiarowaniu w sporze królowi przysięgi do złożenia⁸, o osobnej rocie przysięgi, wykonywanej przez ludność ruską wyznania schyzmatycznego (*iuramentum more Ruthenorum prestitum*), którą ciż składali nie w sądzie, lecz koło cerkwi, przy zachowaniu ceremonij, w akcie wyszczególnionych⁹.

Charakterystyczne są też szczegóły, odnoszące się do postępowania egzekucyjnego. Spotykamy się z częstymi przypadkami udaremnienia grabieży, dokonywanej przez woźnego, zabierania mu

¹ Zap. 7362. ² Zap. 3117. ³ Zap. 3788. ⁴ Zap. 3771. ⁵ Zap. 803.

⁶ Zap. 7000. ⁷ Zap. 7203. ⁸ Zap. 12. ⁹ Zap. 2097. 5034.

przemocą zagrabionych przedmiotów¹, ukrywania mienia przed grabieżą, tak, że częstokroć musiał woźny kilkakrotnie przedsiębrać bezskutecznie czynności egzekucyjne, zanim udało mu się takowe do skutku doprowadzić².

Z zakresu prawa familijnego ciekawą jest wiadomość o wykonywaniu przez ojca jurydykeyi nad synem³, i przez męża nad żoną, jako nad tą, która *comedit panem mariti*⁴. Była to zatem ta sama władza, którą wykonywał pan domu nad swymi domownikami.

Ze spraw, toczących się przed sądami, zajmującą jest ta, którą zawiera zapiska 1113. Oto król Władysław Warneńczyk przez marszałka nadwornego Andrzeja Tęczyńskiego oskarża Teodora Buczackiego o to, że *familiarem suum ad Regem Hungarie in legationibus tangentibus nos et coronam direxit*. Zdaje się, że rozchodzi się tutaj o tajemne stosunki i knowania z obcym monarchą, wymierzone przeciw królowi.

Na uwagę zasługują też nieliczne zapiski herbowe i sprawy dotyczące wyvodu szlachectwa. Środkiem dowodnym, za pomocą którego strony na wypadek zaprzeczenia szlachectwa stwierdzają rycerskie swe pochodzenie, są zaprzysiężone zeznania świadków, a mianowicie dwóch z rodu ojca, dwóch z rodu matki, a dwóch obcych *de clenodio alieno*⁵. Także spotykamy wypadek, w którym strona udowadnia szlacheckie swe pochodzenie dokumentem publicznym, mianowicie wyrokiem innego sądu⁶. Na uwagę zasługuje też wzmianka⁷ o nieznanym dotychczas proklamacyach, mianowicie: *de clamatione Sudcowicz alias de media rotha cum sagitta; de proclamatione Bibel et de herbo Cossy, luna et crux*.

Statutów uchwalanych przez szlachtę ziemi przemyskiej zawiera zbiór nasz bardzo mało. Najciekawszy z nich jest statut z r. 1437, uchwalony na wiecu, który się odbył tego roku, który postanawia, że rezygnacye dóbr dziedzicznych winny się odbywać w sądach wiecowych⁸.

Pod względem historycznym ważne są dwa dokumenty kró-

¹ Zap. 2572. 2582. 2600. ² Zap. 3931. ³ Zap. 4612. ⁴ Zap. 4979.

⁵ Zap. 21. ⁶ Zap. 3839. ⁷ Zap. 1116 i 2576. ⁸ Zap. 7230.

lewskie z roku 1464, wpisane do aktów grodzkich przemyskich¹, które dowodzą, że w październiku i listopadzie r. 1469 odbył się walny sejm w Piotrkowie. Stwierdzenie tej okoliczności jest doniosłe ze względu na hipotezę powstania memoryału Ostroroga.

Równie ciekawą jest ostatnia w zbiorze naszym umieszczona zapiska², w której znajdujemy zajmujące daty, odnoszące się do stanu archiwum przemyskiego w r. 1506. Oto król polecił Maciejowi Drzewickiemu, ówczesnemu biskupowi przemyskiemu i podkanclerzemu koronnemu, i Janowi Tarnowskiemu, wojew. ruskiemu odbyć rewizję ksiąg sądu przemyskiego. Wykonawszy to polecenie umieścił biskup przemyski na ostatniej stronie I. t. aktów ziemskich własnoręczne potwierdzenie, że: *conspeximus revidimusque libros seu acta terr., nova et antiqua, ad abolendum omnem suspicionem, et tradimus libros ipsos in manus officialium iud. terr. Prem. et Notarii terr.* Oraz konstatuje, że archiwum ówczesne zawierało 6 dawnych ksiąg, a 4 nowe.

Taką jest w głównych zarysach bogata treść wydanych w XIII t. Aktów gr. i ziemskich zapisek przemyskich. Korzystanie z tych cennych materyałów ułatwił wydawca, umieszczając przy końcu zbioru, jak w tomach poprzednich, trzy indeksy: jeden nazw, osób i miejscowości, drugi wyrazów polskich i trzeci rzeczowy, ułożony przez prof. dra Oswalda Balzera.

Dr. Władysław Margasz.

Kazania na uroczystości i niektóre święta Najświętszej Panny Maryi. Napiisał Ks. Józef Pelczar, Doktor Teologii i św. Kanonów, Profesor p. z. Teol. past. przy Uniw. Jagiell., Kanonik katedr. krakowski, Assesor kurii biskupiej. Kraków. Nakładem autora. 1889.

Niniejszy zbiór obejmuje 27 kazań, zostały one wygłoszone przez autora przeważnie w katedrach krakowskiej i przemyskiej, a stąd i zastosowane do potrzeb duchowych miast większych. Na każdą uroczystość znajduje się tu po kilka kazań, i tak na Wniebowzięcie i Narodzenie N. P. Maryi po trzy, na uroczystość Niepokalanego Poczęcia i Zwiastowania po cztery, a na Oczyszczenie N. P. Maryi pięć kazań. Dalej mamy tu na Różaniec dwie mowy, na inne zaś święta jak Nawiedzenia, Szkaplerza, Imienia i siedmiu Boleści po jednym kazaniu. Co do treści, kilka z nich jest treści dogmatycznej, inne po większej części moralne, lub panegiryczne. W końcu dołączył autor kazanie

¹ Zap. 5727 i 5728.

² Zap. 7395.

okolicznościowe, wygłoszone przy złożeniu koron przed obrazem N. Pauny w Starejwsi w 1887 r.

Co do samego wykładu, autor wprawdzie nie wyszczególnia się oryginalnością i świeżością pomysłów. Założenia i tematy jego kazań są dość powszednie, jakie napotkać można w każdym niemal podręczniku. Ale o to autora winić nie możemy, na Skargów, Bourdalou'w, Segneri'ch, Golianów składają się wieki. Za to w opracowaniu znać znajomość Pisma św. i Ojców Kościoła i niezwykle odczytanie się w ascetach i nauczycielach życia duchowego. W samem przeprowadzeniu rzeczy więcej świeżości, która się ujawnia w dobrze dobranych i ułożonych tekstach i przykładach, czerpanych z Pisma św., żywotów Świętych i historii powszechnej. Przytem wykład kazań jasny, przystępny, dowodzenie rzeczy gruntowne, a do tego każda myśl i każde zdanie wypowiedziane językiem barwnym i potoczystym sprawiły, że kazania te mile i z pożytkiem słuchane były nawet przez wybrednych słuchaczy, a dla kapłanów i kaznodziej mogą służyć za łatwe i dobre przygotowanie się do kazań na odpowiednie uroczystości, lub też za materiał do kazań majowych i to nie tylko po miastach większych, ale i po wioskach z małą zmianą stylu i wyrażań. Nadto przed każdym kazaniem umieścił autor szkic — dla bieglejszych w kaznodziejstwie wystarczy on za przygotowanie — dla początkujących jest on wielkiej wartości, nauczy ich bowiem rozkładu materii, sposobu dowodzenia i logicznego związku myśli i przeprowadzenia założonego tematu.

Wydanie samo staranne, teksty pisma św. odznaczone *kursywą*, do cytatu z Ojców Kościoła i mistrzów duchownych podane miejsce w przypisku, słowem wszystko składa się na piękny i wartościowy dar dla kapłanów.

Z. B.

Kartka z dziejów Kościoła katolickiego w Polsce rosyjskiej. Opisał według źródeł wiarogodnych X. Y. Z. II. Biskupstwo Wileńskie. Kraków 1889.

Druga to monografia, która wychodzi z pod tego samego pióra. W pierwszej przedstawił nam autor stan dyecezyi mińskiej. teraz przyszła kolej na biskupstwo Wileńskie.

Dziółko to nie jest bynajmniej książką do zwykłego czytania, ale raczej mozolnie zebrany materiał do historii tych biskupstw. Pracę swą rozpoczyna autor historycznym: opisem dyecezyi Wileńskiej, który w najogólniejszych rysach szkicuje jej dzieje. Wyliczając szereg biskupów, zaznacza tylko datę wstąpienia każdego na stolicę i rok śmierci, nie wdając się zupełnie w jego działalność, dłużej jedynie zatrzymał się przy ostatnim z kolei, przy żyjącym dziś na wygnaniu Najprz. Ks. Karolu Hryniewieckim. Zeszkicowawszy życie jego przed objęciem steru dyecezyi, dokładniej opisuje jego krótką, bo zaledwie rok trwającą działalność, którą zakończyło zesłanie do Wielska w gubernii Wołogodzkiej, gdzie się po dziś dzień znajduje. W przedmowie sam autor powiada, że z umysłu ogranicza tę stronę do najciemniejszych ram, stąd też opis wypadków z ostatnich czasów, rzeczy zupełnie świeżych i w pamięci wszystkich dobrze tkwiących, wydaje się nam zupełnie zbędny.

Głównem zadaniem, jakie sobie autor założył, była statystyka, aby na danych oparty czytelnik mógł dokładnie ocenić cały ogrom spustoszenia i klęsk,

jaki spadł na tę biedną dzielnicę dawnej Polski, zostającą od wieku pod rządami carów północy.

Po wstępnych wiadomościach o ludności, duchowieństwie tak katolickim, jak prawosławnem, a wreszcie stanie oświaty, przechodzi autor 24 dekanatów składających dzisiejszą diecezję wileńską. Cyfry czerpał autor z rubrycel diecezjalnych z ostatnich lat trzydziestu, ze sprawozdań komitetów statystycznych, gubernialnych i wydawnictw statystycznych sztabu generalnego. Suche wyliczanie cyfer przerywają opisy rozmaitych wypadków, które umieszczał *Kraj* petersburski w swoich korespondencyach. Sądu własnego o poziomie tak umysłowym, jak moralnym parafii, powiatu, lub gubernii autor nie daje, ale zapożycza go od ludzi światłych, lub z pism publicznych warszawskich, znanych ze sumiennego przedstawiania rzeczy.

Kończy autor swą pracę ogólnem zestawieniem, z którego poznać smutny stan dzisiejszej diecezji wileńskiej. W okresie bowiem 26-letnim katolików przybyło 283.100, ale jednocześnie ubyło 112 kościołów i 237 księży — tymczasem prawosławie rozwieliżyło się tam nad miarę — samych cerkwi przybyło 518! Biedna nieszczęśliwa nasza Litwa, kiedyż zaświeci nad nią zmiłowanie Boże!

Z.

Ormianie w Polsce, ich historia, prawa i przywileje Przez Ks. Dra Tadeusza Gromnickiego, prof. Uniw. Jagieł. Warszawa 1889.

Praca niniejsza, broszura obszerna, o nader zbitym druku, jest przedrukiem z XVII tomu Encyklopedyi kościelnej. Dzieli się ona na trzynaście rozdziałów, z których sześć pierwszych zajmuje się historią Ormian w Polsce, sześć innych przywilejami, jakie uzyskali i prawami jakimi się rządźili, ostatni zaś rozdział traktuje o obrządku i ceremoniach religijnych.

Rozprawę swą rozpoczyna autor od oznaczenia czasu, w którym zaczął się napływ Ormian do Rusi i wbrew twierdzeniu ogółu autorów, podających jedynaste stulecie, stawia wiek trzynasty, jako datę prawdopodobniejszą rozpoczęcia ich wędrówki na Ruś, dokąd przybyli nie odrazu, ale powoli w miarę wstrząśnień politycznych w dawniejszych swych siedzibach i w miarę, jak ich przyciągał handel w Polsce.

Co do przekonań religijnych, trudno określić, czy więcej ich było w dyzunii, czy też w połączeniu z Kościołem katolickim. Nie brak dowodów na poparcie jednego lub drugiego twierdzenia, kwestyę tę więc nierozstrzygniętą pozostawia autor. Wyliczywszy dalej błędy religijne i szereg biskupów, rządzących w Polsce, o ile w tym chaosie rozmaitych podań co do ich imion i dat można się zorientować, przychodzi do najciekawszej części tj. do opowiedzenia faktu, przyłączenia się Ormian do Kościoła katolickiego. Unii dokonywa Mikołaj Torosiewicz, arcybiskup lwowski, mąż bynajmniej nie o ryśach Apostoła, ale człowiek chwiejny, rzecby można bez wiary, a życia rozwiązłego; to też przystępuje on do Unii nie z przekonania, ale zmuszony okolicznościami, gdyż inaczej nie utrzymałby się na stolicy biskupiej. A zjednoczywszy się z Rzymem, nie przestaje się łączyć z dyzunitami i psuć dzieła własnego. Ale opatrzniciowie przysyłanie Teatynów do Polski, i zajęcie się ich powierzoną im przez Rzym misją, dokonało Unii. Rozdział szósty

kreśli po krótkce dzieje ormian-unitów od końca XVII-go wieku aż do naszych czasów.

Z przywilejów, które królowie Ormianom nadawali widać, że im się dobrze działo w Polsce. Przywileje te były nieraz kamieniem obrażenia i nie-mało wywołały sporów zwłaszcza we Lwowie, które się opierały aż o tron królewski. Niejedną sprawę przegrali Ormianie, ale więcej obróciło się na ich korzyść, w obec faworów, jakich doznawali od królów polskich, a zwłaszcza Władysława IV, Jana Kazimierza i Jana III, którego idea było wskreszyć na Wschodzie, niepodległe państwo Ormian.

Przeszedłszy historję innych osad poza Lwowem, podaje autor kodeks praw ormiańskich, dalej przywileje handlowe w Polsce, w których pełno ciekawych się zawiera szczegółów. Dokładny opis obrządków i ich liturgii kończy książkę.

Rzecz cała opracowana starannie i źródłowo, a choć stosunkowo w ciasnych ramach zamknięta, daje dostateczny obraz dziejów Ormian w Polsce.

Z. B.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die christliche Erziehung. Dargestellt im Auftrag des hl. Karl Borromäus von Kardinal Silvio Antoniano. Aus dem italienischen übersetzt von F. X. Kunz. Freiburg. Herder 1888.

Niniejszy tom rozpoczyna całą bibliotekę pedagogiczną, która obejmie dzieła najslawniejszych mistrzów wychowania od najdawniejszych czasów aż po dziś dzień. Rocznie mają się ukazać z druku dwa lub trzy tomy, z których każdy ma tworzyć całość odrębną.

W Niemczech nie pierwsze to dzieło tego rodzaju. Przed kilkoma laty rozpoczęto w Berlinie druk: *Monumenta Germaniae pedagogica*. Zdawałoby się na razie, że to coś podobnego — tymczasem różnica między jednym i drugim jest ogromna. Pierwsze stają na gruncie ściśle historycznym, cytują autorów językiem, w jakim swe dzieła pisali, a ograniczają się tylko na Niemcach, tymczasem obecny zbiór ma na oku bardziej praktyczny cel, obrachowany jest na szersze koło czytelników, stąd dzieła autorów podawać będzie w tłumaczeniu niemieckim, a nieoglądając się na żadną narodowość, czerpać będzie zarówno ze wszystkich, sięgając aż do najodleglejszych czasów Kościoła. Jakiej zaś doniosłości i jakiego znaczenia nabierze ta publikacya, nie trudno dociec. Dziś zwłaszcza,

kiedy państwa rugują Kościół ze szkół, jako zaporę w prawdziwym wykształceniu, obecna publikacya okaże jak Kościół od zara-
nia swego pracował nad ukształceniem ludów, jak ceniąc postę-
p i oświatę, gorliwie zajmował się wyrobieniem władz umysłowych
i rozszerzeniem wszelkich zdobyczy wiedzy. Przez takie wyjaśnie-
nie rzeczy, wiele uprzedzeń upadnie a nie jedno, co uchodzi za
zdobycz nowożytną, okaże się, że było rzeczą dobrze znaną w ubie-
głych już wiekach.

Wydawnictwo rozpoczyna się dziełem kardynała Silvio An-
toniano. Opis życia jego podany przez wydawcę pokazuje, że to
był mąż, który jednoczył w sobie obok znakomitego talentu nie-
zwyczajną pilność, gruntowną wiedzę z wielkiem doświadczeniem,
a wreszcie wszechstronne wykształcenie z głęboką pobożnością
i cnotą. Sam będąc przekonany o ważności dobrego wychowania,
zachęcony został do przelania swoich myśli przez św. Karola Bo-
romeusza, z którym wiązała go ścisła przyjaźń. Dzieło jego po raz
pierwszy wyszło w Weronie 1584 r. po włosku. Czytano je i za-
lecano nader w owym czasie, a i dziś warte tego w zupełności.

Dzieło rozpada się na trzy części. Pierwsza zajmuje się wy-
chowaniem samych rodziców, ukształceniem ich na wychowawców
dzieci w ogólności; trzecia poświęcona wychowaniu dzieci, w po-
środku jako rzecz najważniejsza, znajduje się zbiór prawd religij-
nych, które powinny kierować zarówno postępowaniem rodziców
jak i dzieci, bez których nie mają wychowania i prawdziwego wy-
kształcenia. Tu więc obok wielu innych prawd znajduje się zwięzłe
wytlumaczenie składu apostolskiego, dziesięciu przykazań Bożych
i nauka o Sakramentach, słowem prawdy, które są podstawą wie-
dzy, normą prawego postępowania, bodźcem i siłą do wszelkiego
czynu i działania.

Rozpoczynając pierwszą część, podnosi autor godność i świę-
tość małżeństwa, którego owocem są dzieci, a przypominając słowa
Zbawiciela, że dobre drzewo dobre owoce niesie, pokazuje jak
wzorowe małżeństwa są fundamentem, na którym spoczywają na-
dzieje należytego wychowania dzieci i szczęśliwej przyszłości.

Dalej kładzie nacisk na ważność obowiązku dobrego wycho-
wania dzieci, którego, gdy rodzice nie dopełniają sumiennie, stają

się ciężko winnymi w obec siebie samych, swych dzieci, swej rodziny, potomności, winnymi w obec ojczyzny, nieba i Boga.

Mówiąc o tem, na kim głównie ciąży ten obowiązek wychowania, na ojcu czy też na matce, tak się odzywa:

„Dzieje się często, że kiedy jakaś praca zlecona jest kilku osobom, jeden spuszcza się na drugiego, tak, że w końcu nic „z tego zrobionem nie jest, co miało być dokonaniem wspólnie... „Wychowanie dzieci należy zarówno do ojca jak i matki. Skoro „oni zgodnie postępować muszą w wszystkich sprawach domowych, „to tembardziej w tem, co jest rzeczą największej doniosłości. „Jednak dodać należy, że stosownie do wieku i płci dzieci, większy „dział wychowania przypada to ojcu to matce...”

Szczególny nacisk kładzie autor na dobry przykład, który dzieciom mają dawać tak rodzice jak i wszyscy domownicy, gdyż dzieci z natury skłonne są do naśladowania i czynią rade to, co widzą u drugich. Trzeba więc zastosować się do wieku i pojęcia dzieci. W nauczaniu ich innej rutyny ma się trzymać ojciec, niż nauczyciel w szkole. Mówiąc zaś o urządzeniu wewnętrznem mieszkania: „Zdumiewa się, mówi on, niekiedy człowiek, kiedy wstąpi do „pałaców lub domów chrześcijańskich. Gdziekolwiek rzucić okiem, „nigdzie nie masz znaku, że to mieszkanie rodziny chrześcijańskiej, „owszem każdy raczej powie, że to dom jakiegoś poganina“.

„Nie ma zakazu wzbraniającego chrześcijanom posiadania „wspaniałych domów, winnic i ogrodów, stosownie do ich stanu „i zamożności, ale z drugiej strony przecież rzeczą jest słuszną, „ażeby z domu chrześcijańskiego tchnął duch cnoty i pobożności“.

W jednym z późniejszych rozdziałów porusza kwestyę, która w naszych czasach wielokroć omawianą bywa. Oto co mówi o stosunku zwierzchności świeckiej do Kościoła:

„Koniecznem jest, aby w kwestyi wychowania dzieci, zarówno „jak w wszystkich innych dotyczących się ogólnego dobrobytu, pa- „nowała jedność i zgoda pomiędzy świecką a duchowną zwierzch- „nością. Świecka władza powinna pamiętać na to, że ma wspierać „duchowną, podobnie jak lewa ręka pomaga prawej, we wszystkich „czynnościach dla dobra całego ciała. Im więcej władza świecka „zgadza się z duchowną, im więcej ją wspiera i uwzględnia, tem „bardziej przyczynia się do utrzymania państwa. Skoro bowiem

„Kościół św. używa swej powagi i środków na to tylko, aby stosownie do celu swego wykształcił dobrych chrześcijan, przez to samo wyrabia i dobrych obywateli, jakich domaga się państwo. W świętym rzymsko-katolickim Kościele.... prawy obywatel i prawy człowiek, to jedno i to samo“.

Nie małej doniosłości jest to, co autor mówi o błędach młodzieńczego wieku, o środkach, jakimi tymże zapobiegać. Z kwestyj pedagogicznych to jedna z najważniejszych, warto posłuchać sądu tak znakomitej powagi, jaką jest autor:

„Najbardziej ogólne i zwyczajne środki na pokonanie występków młodzieńczego wieku są: bojaźń Boża, cześć należna dla rodziców i nauczycieli, którzy są zastępcami Boga, w chwalebne działaniu, w dobrych przykładach, w obcowaniu z cnotliwymi ludźmi, a nawet w karaniu cielesnem. Ponieważ ten ostatni środek nadaje się do dziecięcego wieku, konieczną rzeczą wydaje mi się trochę dłużej nad tem zastanowić“.

„Aby zachować publiczny spokój i ład w państwie, nieodzowne jest użycie raz nagród to znów kar, tamtych by zachęcić do cnoty, tych by odstraszyć od występków. To samo koniecznem jest i w każdej rodzinie, która jest państwem na małą skalę. To też zaprzeczyć się nie da, że ojciec jako głowa domu ma prawo i obowiązek użyć niekiedy różgi, czy to aby dzieci od złego powstrzymać, lub też zmusić do dobrego. Pismo święte uczy nas tego na wielu miejscach... doświadczenie przekonywa nas aż nadto, że w pewnych warunkach i w znaczniejszych wykroczeniach, kara cielesna działa na dzieci bardzo zbawiennie. A mimo to ileż to jest rodziców takich, co posuwają swą pobłażliwość do tego stopnia, że ani sami swych dzieci nie karzą, ani nie ścierpią, by nauczyciele lub inni najlżejszą im karę wymierzili. Pismo św. pokazuje nam smutny koniec życia arcykapłana Helego i jego dwóch synów — następstwo, jakie za sobą pociąga zbytne rozpieszczenie... Za wielką pobłażliwość i łagodność tego arcykapłana, mówi Chryzostom św., stała się przyczyną zguby jego samego i jego synów“.

„Ale są znów rodzice, co w skutek swego gwałtownego charakteru w drugą krańcowość wpadają. Najlżejsze błędy ich dzie-

„tek pobudzają ich do takiego gniewu, że w zapamiętaniu okładają „swe dzieci takimi i tylu razami, jakby to były zwierzęta...”

Przypomina więc dalej autor rodzicom, że takie kary mają być w mierze zadawane, dziecko ma wiedzieć, czemu odbiera karę, aby wiedziało, że kara nie jest niesprawiedliwą, ale zasłużoną. Kara jest lekarstwem, a więc jako taka ma być użyta pod miarą i w danym czasie, nie za często, gdyż i lekarstwo za często użyte, zwykle żadnego a często nawet szkodliwy skutek wywiera. W końcu przechodząc różne występki i wykroczenia dzieci, pokazuje, że najczęściej przyczyną ich bywa niewiedomość albo słabość, a te rzeczy karać w ten sposób byłoby niesprawiedliwością. Dalej traktuje on o wypadkach, w których kara cielesna ma być użyta i o sposobie, w jaki ma być wykonywana i kończy:

„Życzeniem przeto jest mojem, aby rodzice jak najrzadziej „używali kar cielesnych, a szczególnie gdy dzieci ich mają wrodzoną szlachetność i otwartą naturę. Trzeba bowiem zważyć, że „kary domowe inny cel mają niż te, które zwierchność wymierza. „Tej ostatniej wystarcza, aby przez kary zabezpieczyć powagę „prawu i utrzymać spokój publiczny; rodzicom zaś chodzić powinno, aby przez karanie dzieci wewnętrznie poprawić i odmienić, „wpoić w nich miłość do enoty, a nienawiść do występku. Bojaźń „Boża i poznanie piękności enoty a szkarady występku, oto najdzielniejsze środki dobrego wychowania i nieraz wyrzuty sumienia, jeśli się umie obudzić je w sumieniu dziecka, sprawiają „większy ból duszy, niż różga ciała. Cześć wreszcie dla rodziców „ma być bodźcem i hamulcem dla dzieci, do czynienia dobrego „a powściągnięcia się od występku. Dziecko powinno mieć takie „uszanowanie dla ojca, żeby jedno jego surowe spojrzenie, lub niezadowolenie malujące się na twarzy ojca było dla dziecka dotkliwą „karą, a przeciwnie aby największą radość i najlepszą nagrodę „w tem upatrywało, kiedy potrafi ojca swego zadowolnić swem postępowaniem“.

Na niemniejszą uwagę zasługuje wszystko co autor mówi o szkołach i wyborze dobrych nauczycieli, o sposobie ich postępowania i nauczania z poręczonymi sobie wychowañcami, o książkach z których uczyć i które czytać powinny, w końcu nie pomija zabaw i rozrywek koniecznych. Niejedno choć nie licuje już do dzi-

siejszych czasów, daje przynajmniej ciekawy obraz obyczajów i sposobu życia w XVI. wieku.

Polecać tej książki po zacytowaniu wielu miejsc dosłownie, nie widzimy potrzeby. Rodzice, nauczyciele, wychowawcy znajdą tu niejedno, co ich może pouczyć, wzbogacić ich doświadczenie i ułatwić to trudne zadanie, jakim jest wychowanie dzieci.

X.

Vie de madame de La Tour Neuwillars. (1571—1616). Par le père du Sault S. J. Nantes, Forest et Grimand. 1889.

Dla cudzoziemców w ogólności, a zwłaszcza dla nas Polaków, identyfikowanie Paryża z Francją, zamyka nam oczy na wszelki ruch umysłowy, którego odgłosy skąd inąd, jak z stolicy płyną. Znany wydawców paryskich, rozchwytyjemy ich nakłady, nie bacząc wcale na falę publikacyj prowincjonalnych, które nieraz zasługiwałyby na bliższą uwagę i zastanowienie. Jeden Alfred Mame z Tours pobożnemi wydawnictwami przebija się niekiedy przez ciżbę paryskich księgarzy i książek. Lugduńska firma Pérussel ogłoszeniem korespondencji hrabiego Józefa de Maistra dała się poznać szerszym kołom zagranicznym. Ale inne miasta i inne firmy daremnie mnożą starannie opracowane i drukowane płody ducha, giną one nieznane nikomu, okrom czytelnikom najbliższej prowincyi, choć niejednokrotnie, zasługiwałyby na większy rozgłos i szersze uznanie. Taką to książkę, wydaną w wandejskiej nad Loarą stolicy, warto dziś polecić i wyróżnić osobnem wspomnieniem. Właściwie nie jestto nowość księgarska, ale biografia spisana niegdyś przez pobożnego zakonnika, tak znikła z półek bibliotecznych, iż bodaj jedyńy zachowany egzemplarz w prywatnym księgozbiorze uczonego p. de Brémond d'Ars należał już do białych kruków bibliograficznych. Właściciel postanowił wznowić pamięć świętobliwej pani, i odświeżyć karty starej biografii mnóstwem objaśnień ciekawych. Tak urosła księga polecona przez pięciu biskupów francuskich, a oceniona przez poważnych krytyków.

Pierwotny tytuł mianował życie Zuzanny de la Tours Neuwillars zwierciadłem doskonałości dla niewiast żyjących w stanie małżeńskim. Takich to zwierciadeł Francją najwięcej nam dostarcza. Gdy inne narody chrześcijańskie chlubią się przedewszystkiem męczennikami i dziewicami, Francją po dziś dzień przedstawia nam doskonale wzory cnót domowych i rodzinnych. Może gdzie indziej podobnie ich nie braknie, tylko ona im zaginać bez holdu nie daje. Cokolwiek bądź św. Joanna Franciszka Chantal nie jest samotnym przykładem, towarzyszy jej orszak żon i matek wedle zakonu Bożego, a w tym wspańiałym ku niebu pochodzie, piękne zaiste i poczesne miejsce zajmuje nieznana dotąd i nie uczczona, jak przynależy postać pani de Neuwillars.

Literackie i estetyczne studia kobiet z XVII. wieku przyzwyczaiły nas do typu dworskich piękności, które po burzliwym życiu zawiły do klasztornych przystani. Bohaterki Fron dy wytworzyły osobne pojęcie kobiety w owej epoce i może nie rozczulilibyśmy się tak chętnie nad umartwioną pokutą świętobliwych w owym czasie zakonnic, gdyby nie pamięć ich młodości, gdyby

droga ku doskonałości nie wiodła ich zrazu przez królewskie komnaty. Nie wystawiamy sobie innych z tego okresu postaci, jeno takie, które przysypały popiołem głowy zrazu wieńczone różami, lub nawet koroną, choćby przelotnie i to lewą ręką na ich skroniach złożoną. Tymczasem oto typ całkiem odmienny, pani która nie wyjrzała po za obręb dalekiej prowincyi, nie bawiła się dworskimi, ani politycznymi intrygami, nie ubiegała o łaskę monarchy, a zamknąwszy się w surowych ramach życia rodzinnego, przedstawia nam wzór niewiasty mężnej wedle Zakonu Pańskiego. Rodzice jej, snąc nie byli mocno w wierze utwierdzeni, skoro bowiem powiał wiatr „nowinek“ i t. zw. reformacyi, wraz z przyjaciółmi i sasiadami dali się uwikłać nauce nęcącej ciekawych swą nowością, a dogadzającej wszystkim rozkielznaną swobodą. Predykanci zawładnęli domem i rodziną. Wychowana w kacerskich błędach, Zuzanna wydana została za młodego hugenotę, Jana de Neuvillars, któremu chętnie oddała wraz z ręką i serce. Spokojna i szczęśliwa przyszłość zdawała się przed nią otwierać, gdy nagle Bóg do jej serca zapukał ognistemi słowy Zbawiciela, który nie przyszedł na świat, aby mieć pokój, lecz miecz, ilekroć chodzi o zdobycie Prawdy. Młoda mężatka miała ciotkę zakonnica, u której chowała się młodsza jej siostra. Stąd Zuzanna często zachodziła do rozmownicy Benedyktynki w Limoges, i niebawem nowych nabrała stąd pojęć i przekonań. Teść i małżonek dziwili się częstym jej do siostry wycieczkom, nie przewidując atoli, że ostatecznie z nich powróci katoliczką. Nie zdradzała się przed nimi z dusznym swym niepokojem, uczęszczała acz niechętnie do zborów. Wczesnym tylko rankiem w niedziele i święta wynagradzała sobie natomiast owo przymusowe nabożeństwo. Wstępowała bowiem ukradkiem na najwyższe zamku swego piętro, aby stamtąd okiem ścigać zdążających do kościoła wiernych. Kiedy znikali w oddali, towarzyszyła im sercem aż do stopni ołtarza. Wtedy to już Bóg ją obdarzył wyjątkowym darem modlitwy myślniej. A tymczasem duszę jej rozrywała niepewność, cierpiała męki wewnętrzne, ostatecznie jednak zwyciężyła doczesne obawy i niepokoje, potajemnie składając wyznanie wiary w Limoges. Za powrotem atoli do domu wyjawiała natychmiast rodzinie swe nawrócenie. Rozpoczął się najcięższy okres w jej życiu. Kacerstwo, podobnie jak rewolucya, upominając się o wolność dla siebie, nigdy jej drugim nie przyznaje. Teść i małżonek zaczęli okrutnie prześladować Zuzannę. Prześladowanie to różne przybierało kształty, gwałtowne na przemian i podstępne. To groźbą i poniewieraniem próbowano złamać stałość Zuzanny, to znów przystępowano do układów, malujących dosadnie ówczesne zamęcenie sumienia. Teść bowiem żądał od synowej zobowiązania, iż raz tylko w rok słuchać będzie Mszy św., i nie będzie zważać na niektóre posty, na wzór sąsiadek, „którym to nie przeszkadzało być dobrymi katoliczkami“. Zuzanna oczywiście takiego połowicznego kompromisu z sumieniem nie chciała przyjąć, owszem, spisała akt darowizny, na mocy którego odstępowała rodzinie męzowskiej wszystkie dobra ziemskie, byle jej dozwolono swobodnie wyznawać swą wiarę. Nic atoli nie zdołało ulagodzić zawziętości jej otoczenia, a mąż tak daleko posunął swój kalwiński fanatyzm, że nieszczęśliwa ofiara przemyślała już o schronieniu się w jakim klasztorze, byle ująć prześladowaniu coraz sroższemu.

Tę właśnie chwilę rozpaczną Opatrzność wybrała, aby ucisk służebnicy swojej w radość i pokój zamienić. Pięć lat mijało odkąd została żoną Jana de

Neuwillars, a dotąd związek ten nie został ubłogosławionym potomstwem. W tem urodzenie syna, a następnie kilkorga innych dzieci odmieniło postać rzeczy. Pani de Neuwillars gorąco zawsze miłowała tego małżonka, który nią gardził i poniewierał z pobudek religijnego fanatyzmu. Cnotą i miłością ostatecznie potrafiła go złagodzić i pomyślniejsze dnie snuć się dla niej zaczęły, a choć nie danem jej było za życia pozyskać duszy męża dla Prawdy, wyprosiła mu tę łaskę po własnem zejściu. Szczęśliwszą była w obec innych członków rodziny, których po kolei zdobywała dla wiary przodków. Ale to apostolstwo domowe jej nie wystarczało, wybiegała za własne progi, aby nieść pomoc i pociechę ubogim i cierpiącym, chętnie zdążała do miejsc świętych, a zwłaszcza ciągnęła serca modlitwą, podnosiła się na wyżyny kontemplacji. Zaliczyć ją można do poprzedniczek Maryi Małgorzaty w tklivem do Serca Jezusowego nabożeństwie. Zbawiciel cieszył ją nadprzyrodzonymi łaskami i darami, dotrzymując mianowicie w obec niej przyrzeczenia danego czcicielom swego boskiego Serca, którym obiecał pokój wśród rodziny ustalić. Pokój ten błysnął w pełni dla świętobliwej pani, danem jej było po katolicku wychować synów, i zamacane stosunki rodzinne nawiązką miłości ściętnić. Otrzymywała te łaski korną modlitwą, którą najchętniej przeciągała na wieżycy swego zamku pod błękitnym niebiosz stropem, ginąc w zachwycie w obec cudów stworzenia, które duszę jej do miłości Stworzyciela podnosiły.

„Święta Zuzanna,“ jak po dziś dzień ją mianuje lud okoliczny, odtworzyła w swem życiu najwyższe przykłady doskonałości chrześcijańskiej w stanie małżeńskim. Proste opowiadanie jej biografa wskazuje do jakiego stopnia bohaterstwa i świętości dojść może poczucie prostych powinności domowych, przemienione i spotegowane nabożeństwem i miłością do Najśladszego Serca Zbawiciela. Żyjąc wśród świata, umiała zakonnej przestrzegać surowości, bez uszczerbku powszednich obowiązków, którym doskonale sprostała. I oto na sześćdziesiąt lat przed wybraną Oblubienicą Chrystusową z Paray le Monial, Zuzanna de Neuwillars zasłużyła sobie usłyszeć z ust Pana następne słowa: „Oto Serce moje, znajdziesz w niem przeobficie wszystko, czego zapragniesz“.

M.

Etudes morales sur les grands écrivains latins. Par l'abbé M. Morlais, professeur à la Faculté libre des Lettres de Toulouse, in 12, XIII—360 p., Lyon Vitte et Perussel 1889.

Jak sam tytuł wskazuje nie jest to historia literatury rzymskiej, lecz studyum nad dziełami najznakomitszych pisarzy rzymskich: Cyserona, Horacego, Wirgilego, Lukrecyusza, Tytusa-Liwiusza i Tacyta.

Głównym celem autora jest wykazać moralną wartość dzieł wyżej wymienionych pisarzy. Ks. Morlais przez długie lata wykładał literaturę łacińską na Fakultecie Theologicznym w Tuluzie, niemniej dobrym jest filozofem; dzieło więc jego ma bardzo wiele zalet, a najgłówniejsza z nich ta, że autor, lubo przyznaje pisarzom łacińskim wielki wpływ na cywilizację, to jednak wpływu tego nie przecenia, jak to często spotykamy nawet w znakomitych tego rodzaju dziełach, owszem, w każdym prawie rozdziale wspomina, że jedynym najważniejszym czynnikiem w podniesieniu cywilizacji było zawsze i po wsze czasy będzie Chrześcijaństwo z Ewangelią; przez co zwyczajne dzieło

literatury nabiera znaczenia prawdziwej apologii. Sama ocena dzieł rzymskich pisarzy nie pozostawia do życzenia; z prawdziwą przyjemnością czytelnik idzie za autorem, który mu ukazuje piękno, podziwia je, ale zarazem nie daje mu ośnić się wewnętrznym polem, po za którym ukazuje mu błędy tej *insanientis sapientiae*.

Szkoda tylko, że autor tak nietrafnie uporządkował traktowaną materią. Sam to wyznaje, gdy mówi, że: *cet ordre est un peu arbitraire*. I rzeczywiście; Lukrecyusz na przykład, który tak wiele wywarł wpływu na Horacego i Wirgiliusza, przynajmniej na ich pierwsze dzieła, powinien zajmować pierwsze miejsce w dziele Ks. Morlais. Następnie ażeby od dzieł Lukrecyusza przejść do dzieł Tytusa-Liwiusza, autor porównywa ich z sobą, gdy tymczasem paralela byłaby logiczniejszą między Wirgiliuszem i Tytusem Liwiuszem.

Na stronie 168. i następnych autor wyklada filozofię Epikura podług trzech listów tegoż, przechowanych przez Diogenesa Laërcjusza; metoda wykładu w istocie znakomita, lecz autor mógłby zaznaczyć *Volumina herculanensia*, zawierające cenny materiał περί φύσεως Epicura. Wszak tem dziełem najwięcej się posługiwał Lukrecyusz w swoim: *de rerum Natura*. Z tego porównania czytelnik dowiedziałby się, że jeżeli Lukrecyusz tłumaczy niekiedy swego mistrza, to też temu mistrzowi zawdzięcza plan swego dzieła oraz ducha, który ożywia jego poezję.

Adam Marczewski.

S. Peter, Bishop of Rome, or the roman Episcopate of the Prince of the Apostles, by the Reverend T. Livius. London, Burus and Oates. 1888.

Kwestya biskupstwa św. Piotra w Rzymie nigdy może nie była poruszoną z takim życiem, jak w obecnych czasach.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa nie znały jej zupełnie; nikt nie wątpił, że św. Piotr był pierwszym biskupem Rzymu, przyznawali to jednoznacznie chrześcijanie i pogaństwo.

Dopiero protestantyzm, a następnie racjonalizm usiłował tę powszechną Kościoła katolickiego tradycję do rzędu legend zaliczyć. Katolicy uczeni zwycięsko zbijali zarzuty czynione w tej materji przez przeciwników, a nowe dzieło T. Liwiusza p. t. *S. Peter, Bishop of Rome* kwestyę biskupstwa w Rzymie Księcia Apostołów stawia w rzędzie najprawdziwszych faktów historycznych.

Autor unika polemiki, o ile to możebne w dziele tego rodzaju; trzyma się ściśle pola historycznego; nie wyłącza jednak dowodów teologicznych, o ile te potrzebne mu są do wyświecenia bronionej prawdy.

Cale dzieło dzieli się na trzy części:

W pierwszej autor przytacza liczne świadectwa historyczne pisarzy kościelnych pierwszych czterech wieków chrześcijaństwa, odnoszących się do biskupstwa św. Piotra w Rzymie; powołuje się nawet na świadectwa pogan i protestantów, którzy o św. Piotrze, jako biskupie Rzymu liczne robią wzmianki. Krótka, lecz bardzo treściwa historia 10-ciu pierwszych następców św. Piotra zamyka część pierwszą.

Druga część dzieła jest archeologiczna. T. Liwiusz zebrał wszystkie pamiatki z cmentarzów i katakomb rzymskich odnoszące się do biskupstwa św. Piotra w tem mieście. Dwa całe rozdziały są poświęcone katedrze i palliuszowi św. Piotra. Wiadomości te są po większej części czerpane z dzieła p. t.: *Roma Sotterranea*.

Trzecia część już prawie wyłącznie jest samodzielną pracą autora; choć nie brak w niej cytat i długich ustępów czerpanych z dzieł pisarzy kościelnych, co o tej samej lub pokrewnej materii szeroko traktowali; naprzykład jeden rozdział w tej części jest prawie dosłownie tłumaczony z publikacyi *Guilleux'a* p. t.: *Venue de Saint Pierre à Rome*. W tej części autor udowadnia stałość tradycyi Kościoła katolickiego co do biskupstwa św. Piotra w Rzymie; wykazuje następstwa niepospolitej wagi dla całego Kościoła z tej tradycyi płynące; wyświeśla naturę prymatu Księcia Apostołów, który go wyróżnia godnością i urzędem od innych Apostołów; nakoniec skreśla stosunek św. Piotra do św. Pawła i charakteryzuje ich wspólną pracę w Rzymie.

Całe dzieło zamyka się gruntownem, a zarazem bardzo treściwem i jasnem zbiciem różnorodnych twierdzeń racjonalistów niemieckich i angielskich usiłujących zaprzeczyć św. Piotrowi i Jego następcom prymatu w Kościele katolickim.

Nie da się zaprzeczyć, że autor dla wyjaśnienia podjętego zadania użył wszystkich argumentów, jakich mu dostarcza historia, archeologia, teologia i tradycja, szkoda tylko, że argumentów tych nie ujął w pewien system; czytelnikowi trudno się na razie zorientować, co właściwie autor chce tym lub innym udowodnić argumentem.

Z tem wszystkiem wyznać należy, że autor dziełem swem oddaje światu uczonemu niepospolitą usługę, a sobie wystawia świadectwo równie głębokiej, jak wszechstronnej znajomości przedmiotu, który traktuje.

Adam Marczewski.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła

Kwestya wyjazdu Papieża z Rzymu. — Obleżenie Watykanu. — Zaproszenia miast hiszpańskich. — Kulturkampf bawarski. — Kongres katolików bawarskich w Neustadt. — Uchwały kongresu katolików francuskich.

Raz poruszona kwestya wyjazdu Papieża z Rzymu zajmowała głównie przez cały ubiegły miesiąc opinię całego świata, stała się zwłaszcza we Włoszech i dla włoskiego rządu, źródłem bardzo ciężkich obaw i niepokojów, była wszędzie głównym tematem dziennikarskich rozpraw i polemik. Papież wyjechać nie może i nie powinien, nigdzie Papieżowi tak dobrze nie będzie, jak w Rzymie; nigdzie w równej mierze praw swych nie będzie miał zagwarantowanych; dowodziły w długich artykułach gazety, które dopiero co wołały: Precz z ustawami gwarancyjnemi! a które ledwie kilka tygodni wstecz, z okazji odsłonięcia pomnika nolańskiego apostaty wyprawiały same i zachęcały do wyprawiania najobrzydliwszych orgji pod oknami Watykanu. Wymownym okazem tej zmiany frontu i bojaźni panującej w kołach rządowych, aby Leon XIII. istotnie wiecznego miasta nie opuścił, jest szereg artykułów ogłoszonych w organie Crispiego *Riforma*, mających na celu okazać, że wyjazd z Rzymu przyniósłby Papiestwu niepowetowaną klęskę, stałby się dlań początkiem mo-

ralnej ruiny; wymowniej jeszcze dowodzą tej bojaźni środki przedsięwzięte dla strzeżenia Watykanu; jawnie rzucane groźby, że Papież „niepatryjotycznego“ swego kroku łatwo będzie mógł pożałować. Faktem jest, że straż koło Watykanu została w ostatnich tygodniach podwojoną; liczne posterunki wojskowe i policyjne krążą wciąż w zatyberyjskiej dzielnicy, a nawet przygotowano już, jak zaręcza *Osservatore Romano* dwa powozy, dla ewentualnego odstawienia do Rzymu uciekającego więźnia watykańskiego. Organ papieski energicznie protestuje przeciw temu postępowaniu i istotnie daleko rzeczy zająć musiały, kiedy ambasadorowie uwierzytelnieni przy Watykanie, jeśli wierzyć można dokładnie zazwyczaj poinformowanej *Liberté*, zażądali u swych rządów instrukcyi, jak mają sobie postępować w obec zaprowadzonego przez rząd włoski formalnego oblężenia watykańskich pałaców.

Oblężenie to i zirytowane artykuły gazet rządowych okazują najlepiej, czy i o ile szczeremi były poprzednie słowa Crispiego: „Niech Papież wyjedzie, dla Włoch zjednoczonych będzie to tylko z korzyścią!“ Prawda, że właśnie w ostatnim czasie, w obec poruszanej kwestyi opuszczenia Rzymu przez Papieża, opinia wszystkich krajów i wszystkich odcieni zajęła się żywo pytaniem: „Co Papieństwo, a co Włochy na kroku tym stracićby musiały?“ a jednocześnie odpowiedź na to pytanie wszystkich organów stronnictwymi względami nie zaślepionych, nawet awanturniczemu Crispiemu dać musiała do myślenia. „Rzecz to niezawodna, wyznaje liberalna *Perseveranza*, że wieść o możliwym wyjeździe Papieża wywołała bardzo silne wrażenie i że wszystkie wielkie dzienniki europejskie nad nią się zastanawiają i żywo o niej rozprawiają. Niech sobie gazety włoskie powtarzają, niech sobie pochlebiają: kwestya rzymska, położenie Papieża nie grzeje, ani nie ziębi zagranicznych rządów; fakty słowom tym wręcz sprzeciwiające się, okazują, że rządy bynajmniej sobie nie lekceważą wpływów i żądań katolickich swych poddanych i że głos papieski znajduje echo i zrozumienie między katolikami po za granicą włoską“. „Ucieczka Papieża zauważa ze swej strony sympatyzująca z ministeryum Crispiego *Nazione*, postawiłaby Włochy nad przepaścią, której głębokości nie znamy, ale nad przepaścią w każdym razie niebezpieczną. Obowiązkiem rządu jest zapobiedz temu niebezpieczeństwu, polożyć raz wreszcie koniec

religijnym waśniom w Rzymie; okazać, że Papież, jako władca duchowny, nigdzie tyle co w Rzymie, mieć nie może wolności“. Z włoskimi tymi głosami zgadzają się, a w dosadności wyrażenia o wiele je jeszcze przewyższają najbardziej rozpowszechnione gazety angielskie, urzędowe dzienniki rosyjskie, francuskie, a nawet tureckie. „Niech Włochy pamiętają, ostrzega w obszernym artykule *Daily Telegraph*, że zniewaga wyrządzona Papieżowi ściągnie na nie trwałą niechęć wielu ludów, a nie wiedzieć, czy nie ściągnie wojennej zemsty nie jednego katolickiego państwa, niech pamiętają nadto, że nie sami wyłącznie katolicy czczą panującego obecnie Papieża“. „Być może, czytamy w urzędowej *République Française*, że Papież wyjeżdżając na Baleary lub Malte, odważyłby się na grę w wysokim stopniu hazardową; ale to pewna, że i Włochy nie mało by na tej grze straciły. Nieszczęściem polityka Crispiego, jak każdy widzi i przyznać musi, gwałtownie właśnie do tej gry popycha. Polityka ta zapomina raz po raz o czi winnej rzymskiemu gościowi, a nie raz staje się groźną dla sprawy pokoju, dla pokoju, który głowa chrześcijaństwa powinien, wedle dawnej tradycji, ze wszystkich swych sił, strzedz i bronić“... „Wyjazd Papieża, pisze bez ogródki *Journal des Debats*, byłby dla Rzymu, już nie tylko z moralnych, ale i z materyalnych względów rzeczywistą katastrofą; dwór kwirynalski i ministerjum dobrze to czują, i może aż za wyraźnie z temi swemi uczuciami się zdradzają“. Konstantynopoliński organ ministerjum spraw zagranicznych *la Turquie*, dowodzi w dłuższej na historycznych datach opartej rozprawie „nieprzedawnionych, nienaruszalnych praw i przywilejów Papiestwa“; rosyjski *Nord* stwierdza, że „Crispi poddając postępowaniem swem Ojcu św. myśl opuszczenia Rzymu, smutną wyświadcza swemu krajowi usługę;“ tę samą myśl, choć w grzeczniejszych wyrazach, zawiera organ Carnota: *la Paix*. Istotnie „smutna to usługa“ a niewinnić jej nie zdołają również „smutne“ artykuły peszteńskich, wiedeńskich i berlińskich gazet urzędowych, które z miłości dla sprzymierzonych Włoch radeby z czasem przekonać Papieża, że nigdy i nigdzie tak dobrze mu nie będzie, jak pod ojcowską opieką króla Humberta i jego wszechwładnego ministra. W Wiedniu doszło do tego, że półurzędowy *Wiener Tagblatt* odważył się umieścić artykuł pełen zjadliwych wycieczek przeciw Papieżowi; pro-

kurator skonfiskował wprawdzie odnośny numer, ale zawsze zapytać należy z niepokojem, jak tego rodzaju artykuł, i to wychodzący z pod pióra stałego współpracownika wolnomularza *Chiavacci* dostać się mógł do łamów rządowego pisma? ¹ Berliński urząd telegraficzny nie dozwolił znowu na przesłanie do Papieża dwóch depesz od związków katolickich: *Unitas* i *Stowarzyszenie Piusowe*, protestujących przeciw zaborowi Rzymu. Czyż w obec takich faktów dziwić się można, że wielu katolików z pewną niechęcią spogląda na potrójne przymierze; czy zbyt śmiało wydaje się przypuszczenie licznych dzienników i polityków, że Włochy przystąpiły do tego przymierza, skądinąd bardzo dla siebie niekorzystnego jedynie, a przynajmniej przeważnie ze względu na kwestyę rzymską?

Jako miejsce, na którym Papież zmuszony do tego wojną lub nowymi prześladowczymi krokami rządu włoskiego, rozbiłby chwilowo namiot pielgrzymi, wymieniają wciąż główne Hiszpanję, a w szczególności Walencję, Aranjuez, lub jedną z wysp Balearskich. Nie brak naturalnie i innych czasem dość oryginalnych planów i pomysłów. Tak np. protestanckie pismo londyńskie *Contemporary Review* radzi Papieżowi zupełnie na seryo, opuścić czemprędzej niewdzięczny Rzym, a przenieść swą stolicę do Chicago, lub New-Yorku. Język francuski i włoski, rozumuje wymieniony *Przegląd*, zmienia się niebawem w miejscowe tylko dyalekta, podczas gdy język angielski najbardziej jest rozpowszechnionym na całym świecie, do nas przyszłość należy; trzeba więc, aby Papież

¹ Ciekawą ilustracją do stosunku żydowskich pism wiedeńskich, a niestety! i paru pism wychodzących w języku polskim, bezkarnie obrażających i wyszydających głowę Kościoła katolickiego, stanowi ostrzeżenie przesłane w ostatnich dniach przez konstantynopolitański urząd prasowy, do redakcyi pisma *Arevelk*. Ostrzeżenie to wydrukowane w półurzędowym *Stambul* brzmi, jak następuje:

„Z uwagi, że dziennik *Arevelk* w artykułach rozbierających kwestyę religijne, wyraża się w nieodpowiedni sposób o Papieżu;

Następnie z uwagi, że wydawca wymienionego dziennika wielokrotnie już otrzymał napomnienie, aby religijnych punktów spornych nie poddawał pod publiczną dyskusyę:

Udziela się dziennikowi *Arevelk* po raz ostatni napomnienie, a w razie dalszych tego rodzaju wykroczeń, wydawnictwo tego dziennika zostanie zawieszonem!*

stał się Anglikiem lub Amerykaninem, a tak prześladowanie, pod którem obecnie jęczy Papiestwo przyczyni się tylko do większej jego chwały do rozszerzenia jego wpływu. Śmiała to myśl, ale która dzisiaj nie obrana jest jeszcze, bądź co bądź, z cechy fantastyczności; natomiast ewentualne przesiedlenie się Ojca św. do jednego z miast lub wysp hiszpańskich coraz bardziej zyskuje na prawdopodobieństwie. Lud hiszpański przyjąłby bez najmniejszego wątpienia Papieża z czcią i winną miłością; dowodem tego jednomyślna uchwała rady miejskiej w Sewilli, błagająca Ojca św., aby w murach starożytnego tego, a wiernego sobie grodu raczył przyjąć gościnność; również jak podobne uchwały wielu innych miast i miasteczek hiszpańskich; jak entuzjastyczny artykuł wychodzącego w Majorce dziennika *las Instituciones*, usiłujący okazać wszystkim możliwe korzyści, które przemawiają za wybraniem stolicy wysp Balearskich na papieską rezydencją; jak wreszcie artykuły organów wszystkich głównych stronnictw hiszpańskich, które rzeczą w Hiszpanii zwłaszcza niepraktykowaną, w tym bodają czy nie jedynym względzie dwóch zdań nie mają.

W obec tego ruchu, obejmującego coraz szersze warstwy ludności, rząd hiszpański w widocznym, a niemalym jest kłopotcie: z jednej strony nie chce i nie może obrazić Papieża, a współ z nim całego ludu hiszpańskiego; z drugiej strony obawia się wyrzutów, ustępuje przed naciskiem trzech sprzymierzonych mocarstw. Pewnym wyrazem tego kłopotu jest telegram gubernatora Sewillskiego zakazujący radzie miejskiej zajmować się kwestyą udzielenia Papieżowi gościnności; jest dalej okólnik gubernatora Nawarskiego, w którym tenże zaleca wszystkim radom miejskim w Nawarze, a w szczególności radzie miejskiej Pampelońskiej, aby nie szły za przykładem Sewilli, gdyż „zajmując się wyjazdem Papieża z Rzymu, przekroczyłyby zakres swych atrybucyj, i weszłyby w koło międzynarodowych kwestyj, do czego najmniejszego nie mają prawa“. Jak widać z tych odezw, rząd obawiał się i postanowił przeszkodzić pewnego rodzaju plebiscytowi na korzyść Papieża; nie myślał jednak i nie chciał bynajmniej okazywać Ojcu św. niechęci, i dawać mu do zrozumienia, aby gdzieindziej szukał gościnności, jakto dowodzić usiłowały liberalne włoskie dzienniki. „Tłumaczenie to nie ma po prostu za grosz sensu, odpowiada słusznie na te twier-

dzenia wiedeńska półurzędowa *Korespondencya polityczna*. Rząd hiszpański nie mógł wyrzec swego zdania o udzieleniu przytułku Ojcu św. dla prostej przyczyny, że nie zrobiono mu w tym względzie konkretnych i formalnych propozycji. Następnie cała ta sprawa obraca się z samej swej istoty w zakresie dyplomatycznym i międzynarodowym i dotyczy wyłącznie nie municypów, ale samegoż rządu. Tak i w ten sposób rozumieć tylko można i należy telegram gubernatora Sewillskiego“.

Wielkiej używający sympatii u protestantów i wolnomularzów, minister bawarski *von Lütz* usiłował dowieść w odpowiedzi na memoriał biskupów bawarskich, że żądania tychże „stoją w sprzeczności z międzywyznaniowem prawodawstwem, ugruntowanym na równouprawnieniu wszystkich wyznań“. Obecnie monachijski *Fremdenblatt* kreśli ciekawy, a raczej oburzający obraz tego równouprawnienia panującego w katolickiej Bawarii. Wedle urzędowego spisu ludności z r. 1885 liczy Bawarya przeszło 70% katolików, 28% protestantów a 1% żydów; tymczasem na sześciu ministrów, trzech jest protestantami, a *Lütz* katolik z nazwiska, wychowuje swe dzieci w wyznaniu protestanckiem. W samymże Monachium mieszka 84% katolików, 13% protestantów, 1·5 żydów; i znowu burmistrz stolicy jest protestantem. Do ludowych szkół monachijskich uczęszcza 86% dzieci katolickich, 12% protestanckich, 2% żydowskich; naczelny dyrektor szkół w Monachium jest oczywiście protestantem.

Wymowne te fakty i cyfry zdolne nam są wytłumaczyć rozgoryczenie bawarskich katolików przeciw rządzącej koteryi; wyjaśniają skargi bawarskich dzienników katolickich: „U nas *Kulturkampf* sroży się w najlepsze“. Skargi te, a zarazem głośnie wezwanie do obrony zagrożonych, najświętszych interesów dla każdego chrześcijanina, odezwało się również silnym echem na obradującym w ostatnich dniach lipca katolickim kongresie w *Neustadt*. Kongres ten, liczący około 8000 uczestników otworzył prezes *Dr. Sieben* wspianą przemową o obowiązkach katolików bawarskich w trudnych dzisiejszych czasach, prawach i obowiązkach określo-

nych mistrzowską ręką Leona XIII w encyklice do biskupów bawarskich. Dziś, rzeczy zaszły tak daleko, że nie tylko biskupi, ale i cały lud katolicki musi głos podnieść i wyrazić swe niezadowolenie z panujących u nas stosunków religijnych. Wszyscy bawarscy katolicy, zakończył mówca, stanąć powinni do walki z hasłem: „Z Papieżem i biskupami, za prawa świętego naszego Kościoła i dla dobra państwa!“ Szczególnie ważną była mowa profesora *Schaedlera*, wymierzona wprost przeciw odpowiedzi danej przez rząd na memoriał bawarskich biskupów. Odpowiedź tę potępił zresztą surowo sam Ojciec św. w liście do arcybiskupa monachijskiego z 28 marca b. r. dziwiąc się, że „w urzędowym dokumencie znaleźć się mogły ustępy niezgodne z nauką katolicką, stojące w sprzeczności z najświętszemi, zawsze i wiernie wyznawanemi zasadami Kościoła o wzajemnych prawach i obowiązkach władzy duchownej i świeckiej“.

Istotnie *von Lütz* tłumaczył *Schaedler* swym słuchaczom, nie tającym znaków oburzenia dla takiej bezczelności czy religijnej nieświadomości — śmiało twierdzić, że władza państwowa i wynikające z niej królewskie *placet* rozściaga się i do kwestyj ściśle kościelnych, wchodzących w zakres wiary i moralności. Nowa to, w Bawarii nieznaną dotąd i niesłychaną pretensya, bo właśnie art. 4. paragrafu IX. edyktu religijnego, na którym *von Lütz* się opiera, najwyraźniej opiewa: Władzy świeckiej nie wolno mieszać się do rzeczy czysto kościelnych, odnoszących się do wiary i moralności... Również cytowany przez *von Lütza* par. 58. mówi jedynie o „prawach i innego rodzaju nakazach“, które wymagają królewskiego *placet*, a nie o „kościelnych dogmatach i naukach“. Bawarscy biskupi nazywają bardzo słusznie osławione *placet* „starym zabytkiem, dawno minionych czasów“, bo czyż w obec panującej dziś wolności prasy, nie straciło ono wszelkiego znaczenia i wartości? Dlaczegoż więc rząd tak bardzo dba o ten muzealny zabytek? Dlatego, bo z godnym lepszej sprawy uporem pielęgnuje wątłą, oranżeryjną roślinkę, zowiącą się „Starokatolicyzmem“. *Doellinger* powiedział kiedyś: „Setki księży, a setki tysięcy świeckich ze mną się zgadza“. Wierutne to kłamstwo, bo wedle ostatniego sprawozdania urzędowego z r. 1878, liczono w całych Niemczech, i to wedle źródeł starokatolickich, około 50.000 tych sek-

ciarzów. W sprawozdaniu z roku 1880 nazwa „staro-katolików“ zniknęła, gdyż *Reinkens* polecił swym zwolennikom zapisywać się pod rubryką: „katolicy“. Rząd bawarski zawsze sprzyjał i protegował najnowszych tych heretyków...; dla tego tenże sam *von Lütz*, który wyznał w sejmie bawarskim, że w zasadzie jest przeciwnikiem królewskiego *placet*, i oświadczył najformalniej w świecie, że państwo decydować nie jest w stanie, czy kto jest lub nie jest członkiem jakiejś religii; tenże sam *von Lütz* traktuje zawsze i urzędowo uważa staro-katolików za katolików, a policya bawarska nakazuje proboszczom dzwonić przy pogrzebach starokatolików i siłą, wyłamując bramy, wprowadza ich do kościołów... Cóż więc ostatecznie dał nam rząd, jaka jest pozytywna treść jego odpowiedzi? Odnosnie do kwestyi szkolnej otrzymaliśmy parę obietnic, ale wypełnienie tych obietnic zależy wyłącznie od łaskawości ministra wyznań, tak, że ostatecznie trzy tylko otrzymaliśmy ustępstwa: 1) Państwowi komisarze nie będą nadal brać udziału w kapitułarnych obradach duchowieństwa. 2) Dziekani nie potrzebują odtąd starać się o potwierdzenie w swym urzędzie od władzy świeckiej. 3) Komisarze państwowi nie będą uczestniczyć przy wyborach przełożonych i przy składaniu ślubów zakonnych. Oto na czem wyczerpał się róg rządowej obfitości!“

„Czyż na tem poprzestaniemy, pytał mowca na końcu swego interesującego, ale rzeczywiście smutnego wykładu, co zrobimy, czego żądamy? Żądamy wolności i niezależności dla Kościoła; zarzucają nam, że pragnęlibyśmy wdrzeć się w cudze prawa; kłamstwo to i fałsz! Domagamy się tego samego tylko, czego domagają się nasi biskupi, a domagamy się jako katolicy i jako obywatele, którym konstytucya zabezpiecza zupełną wolność sumienia. Chcemy i żądamy, aby nie obchodzono się z nami gorzej niż z obywatelami, należącymi do innych wyznań!... Chcemy zachowywania konkordatu, całego konkordatu i nie innego prócz konkordatu!“

Po innych jeszcze mowach i ożywionych rozprawach, w których zalecano zwłaszcza staranie o wzrost i rozszerzenie katolickiej prasy, kongres uchwalił dwa następne wnioski:

1) Ośm tysięcy katolików, mieszkańców Palatynatu, zebranych w *Neustadt*, wyrażają wszystkim biskupom bawarskim, a w szczególności biskupowi

swemu dycezyalnemu, najgłębsze swe podziękowanie za podjętą przez nich obronę praw Kościoła; wyrażają żal i boleść, że rząd królewski odepchnął w najgłówniejszych punktach, te skargi oparte na tekście konstytucyi; domagają się, jako obywatele bawarscy, lojalnego zastosowywania konkordatu zawartego między Bawaryą a Stolicą Apostolską; wyrażają jednocześnie silną nadzieję, że katolicycy deputowani do obydwóch izb sejmowych użyją wszelkich środków konstytucyą dozwolonych, aby zniewolić rząd do zadośćuczynienia żądaniom przez biskupów postawionym.

2) Zgromadzeni protestują z oburzeniem przeciw zniewadze wymierzonej Papieżowi przez wrogów Kościoła z okazji odsłonięcia pomnika *G. Bruno*; w sprawie tej widzą nowy dowód, w jak bolesnem położeniu Stolica św. się znajduje i potwierdzają się w przekonaniu, że jedynie niezależna władza doczesna zabezpieczyć może Papieżowi zupełną wolność.

W innym rodzaju, ale również bardzo ważne, tem ważniejsze, że do praktycznych szczegółów schodzące rezolucye powziął ostatni kongres katolików francuskich. Oto najgłówniejsze, a zarazem najbardziej cechujące dzisiejsze stosunki we Francyi, z uchwalonych rezolucyj:

W miastach, w których zakazano procesyj Bożego Ciała, katolicy uciec się powinni do wszelkich legalnych środków w celu zniesienia tego zakazu.

Należy wszystkimi siłami rozszerzać bractwa męskie, ustanowione na cześć Najśw. Sakramentu.

Obowiązkiem katolików jest bronić z jak największą troskliwością wszystkie osoby ze swego otoczenia, a przedewszystkiem robotników i ubogich przed pressą wolnomyślnych stowarzyszeń; niech usiłują przyprowadzić tych biedaków do odwołania gwałtem wymuszonych zobowiązań; niech walczą wszelkimi środkami prawnymi z nikczemnikami, usiłującymi pozbawić chrześcijańskiego pogrzebu tych, którzy przed śmiercią okazali pragnienie szczerego nawrócenia się do Boga.

Katolicy francuscy starać się mają popierać fundacyę klasztoru Trapiistów, jako zakonu w szczególny sposób francuskiego; winni również zwracać swą uwagę i dawać dowody uczynnej miłości misyom dominikańskim i jezuitom na Wschodzie, tembardziej, że misye te walczyć muszą przeciw propagandzie angielskiej, amerykańskiej, niemieckiej i rosyjskiej i że z taką odwagą utrzymują w odległych tych krajach rozgłos imienia i honor Francyi.

Katolicy, stosownie do rad udzielonych przez bardzo wielu najprzewielebniejszych Biskupów, unikać winni, wedle możności, w ceremoniach religijnych, a w szczególności przy ślubach i pogrzebach muzyki świeckiej, zbyt licznych bukietów i wieńców nie odpowiadających powadze miejsca świętego

Korzystać należy z zorganizowanej już po departamentach służby kolporterskiej, dla rozszerzania katolickiej prasy codziennej i tygodniowej i dla propagowania innych dobrych publikacyj, a w szczególności kalendarzy...

Wszyscy chrześcijanie mają obowiązek starać się o uzyskanie od towa-

rzystw kolei żelaznych winnej czci dla kościelnych przepisów o spoczynku niedzielnym.

Niechaj chrześcijańscy akcyonariusze, złączywszy swe starania, wymódlą usiłując powstrzymanie przez całą niedzielę ruchu kolejowego na liniach ubocznych i zakaz wszelkich prac, które mogą być odłożonemi na dzień następny.

Adwokaci i prawnicy katolicy dziś już przygotowują się mają do wzięcia udziału w międzynarodowym kongresie zwołanym do Paryża, pracując w szczególności nad memoryałem, opartym na gruntownem studyum istniejącego u nas prawodawstwa, a wykazującym, że niepodobna jest wyznaczyć inny jaki dzień niż niedzielę, na spoczynek tygodniowy.

Przepisy prawa z 1874 r., które zapewniają dzieciom pracującym po fabrykach, spoczynek niedzielny i wolność spełniania obowiązków religijnych, zachowane być powinny w nowem prawie, które niebawem poddane ma być izbom do uchwalenia.

Katolicy mają obowiązek pamiętać o długu zaciągniętym względem dusz tych, którzy za nich umierają; dlatego muszą dolożyć możliwego starania, aby setki tysięcy marynarzy i żołnierzy obdarzeni zostali taką przynajmniej wolnością w wykonywaniu przepisów swej religii, jaka jest użyzoną nielicznej garstce żołnierzy żydowskich.

Wreszcie katolicy francuscy wyrażają życzenie, aby stowarzyszenie „Modlitwy i grobów“ prowadziło dalej z pomocą stowarzyszenia „Żołnierzy i marynarzów“ rozpoczęte przez siebie dzieło i stawiało mianowicie na polach bitw w Tonkinie, odpowiednie pomniki, zapewniając duszom poległych tamże żołnierzy i marynarzów, skuteczną pomoc przez Msze i modlitwy.

Ks. Jan Badeni.

Dwa kongresy socjalistyczne w Paryżu.

Większa i mniejsza polityka: zbrojenia się mocarstw, zjazdy monarchów, burzliwe posiedzenia parlamentów i sejmów, rzadko tylko kiedy pozwalają gazetom i umysłom zwrócić uwagę, na wciąż w tej lub innej formie rosnący i objawiający się ruch socjalistyczny. Odbyte w ostatnich paru tygodniach w Paryżu dwa „międzynarodowe kongresy robotników“ — jak je urzędowo nazywano — a w gruncie rzeczy dwa „międzynarodowe kongresy socjalistów“, pozwalają nam bliżej nieco przypatrzeć się temu ruchowi, a w ogóle całemu socjalistycznemu obozowi, jego organizacyi, jawnie przynajmniej głoszonym dążnościom i wewnętrznym waśniom.

Wewnętrzne te właśnie objawiły się najwidoczniej w tem, że zebrani w Paryżu socjaliści podzielili się odrazu na dwa stronnictwa, z których każde zupełnie odrębnie obradowało, tak, że z wszelką słuszością mówić można i wszystkie gazety mówiły nie o „kongresie“, ale o „dwóch socjalistycznych kongresach“. Nie brakło wprawdzie na chęciach złączenia dwóch tych gałęzi z jednego pnia wyrosłych; wszystkie jednak usiłowania w tym celu głównie przez włoskich delegatów podjęte, spęzły na niczem: oba niechętne sobie stronnictwa złączyły się dopiero przy pożegnalnej uczcie w sali paryskiej rady miejskiej. Pierwsze z tych stronnictw, daje samo sobie nazwę „possibilistów“ czyli „oportunistów“; drugie uznaje za duchownego swego ojca *Karola Marksa*, i dla tego zwie się stronnictwem „Marksistów“ lub „kollektywistów“. Obie partie zgadzają się ze sobą w głównym celu: radykalnem zmienieniu dzisiejszej organizacyi społecznej, ale różnią się odnośnie do środków, jakich w tym celu użyć należy. I jedni i drudzy marzą o zawładnięciu przez społeczeństwo jako takie całego kapitału w ziemi i w pieniądzach; innemi słowami, o zniesieniu wszelkiej własności prywatnej, ekspropriacyi posiadających na korzyść nieposiadających. Ale kiedy Marksisci marzą o państwie jako jedynym panu wszelkiej własności i brutalną siłą gotowi są program swój w życie wprowadzić; to federalistycznie usposobieni „Possibiliści“ woleliby oddać własność w ręce gmin, występują jawnie przeciw użyciu jakichbądź gwałtownych środków, a natomiast zalecają tylko działanie na opinię i wprowadzanie jak najwięcej swych stronników do parlamentów, aby sami zastępcy ludu, prawnie i spokojnie socjalistyczne zasady w życie wprowadzili.

Głębokie to różnice; nie dziw, że przedstawiciele obu wymienionych kierunków nie czują do siebie głębokiej sympatyj, że na paryskiej arenie wszelkich używali sposobów i fortelów, aby zaćmić przeciwników i liczbą, i wymową, i powagą uczestników. Liczbą zwyciężyli „Oportuniści“; było ich 590, gdy „Marksistów“ doliczono się tylko 369, choć z drugiej strony ciekawym jest symptomem, że w czasie samychże obrad, objawił się silny prąd na korzyść kierunku skrajniejszego. Z czterech sekt dzielących między siebie socjalistów francuskich, dwie przyłączyły się do Marksistów,

dwie do Possibilistów; między pierwszymi przeważał zresztą wpływ niemiecki, między drugimi francuski, choć co do materyalnej liczby uczestników Francuzi górowali jak na jednym, tak na drugim kongresie. Główną przyczyną tej przewagi było, że największa część robotniczych, mniej lub bardziej socyalistycznie zabarwionych stowarzyszeń angielskich postanowiła nie brać udziału w paryskim kongresie; na pierwszym miejscu świecił nieobecnością „Wydział parlamentarny“, pod którego zarządem pozostają głośnie, a tak szeroko rozgałęzione *Trade's Unions*¹.

Wszystkich delegatów zagranicznych uczestniczących w obradach kongresu Possibilistów było 87; z tych: 42 Anglików, przedstawicieli 274.643 robotników; 8 Belgów, wysłanych od 150 związków robotniczych; 3 Portugalczyków, wysłanych przez 28.847 robotników; 2 Duńczyków, przedstawicieli 7 izb syndykalnych i 20.200 robotników; 4 Amerykanów, przedstawicieli 48.000 robotników; 2 Holendrów, wybranych przez 73 syndykaty i 45 związków; 7 Austriaków i Węgrów, przedstawicieli 76 syndykatów i 18 kólek; 12 Włochów, 5 Hiszpanów, jeden Polak² i jeden Szwajcar. 503 delegatów francuskich przedstawiało 158 izb syndykalnych i 79 związków i kólek robotniczych. O wiele silniej wystąpił żywioł zagraniczny na kongresie Marksistów: sami niemieccy przewodocy *Bebel* i *Liebknecht* przyprowadzili ze sobą zwarty hufiec z 80 swych najściślejszych przyjaciół; inne narodowości: Holandia, Belgia, Włochy, Rosya, Norwegia, Rumunia, a nawet Brazylia dostarczyły 107 uczestników. Jawnymi wodzami całego tego stronnictwa byli prócz wymienionych już Niemców, dwaj Francuzi: *Camelinat* i *Boulé*; Włoch poseł do parlamentu *Costa*; Belgijczyk *Anseele*, Holenderczyk *Domela Nieuvenhuys*; słowem cały sztab rewolucyjnych sekt europejskich.

Parę pierwszych sesyj poświęcono na rozprawy o konieczności zlania się w jedno obydwóch socyalistycznych obozów, na po-

¹ Por. *Przegląd powsz.* ze Sierpnia b. r. str. 590. np.

² Nazwiska tego Polaka odszukać nie mogliśmy w żadnem ze sprawozdań, które mamy pod ręką.

selstwa Possibilistów do Marksistów, a Marksistów do Possibilistów; poselstwa i rozprawy, które ostatecznie do żadnego rezultatu nie doprowadziły. W ogóle mówiąc, zagraniczni goście pragnęli szczerze dojść, jeśli nie do pokoju, to przynajmniej do jakiegoś *modus vivendi*; niektórzy z nich, zwłaszcza Włosi, przybyli nawet z wyraźnem poleceniem wzięcia udziału w obydwóch kongresach. *Costa, Cipriani*, Anglik *Besant* wygłosili gorące mowy o konieczności zgody; mówców oklaskiwano, ale też na oklaskach i na wspólnej uczcie pożegnalnej wszystko się skończyło. Nie wiele na razie praktyczniejsze, ale o wiele ważniejsze i ciekawsze były długie mowy, dające nieraz bardzo smutny obraz losu i życia robotników w różnych krajach Europy. Ostatecznie kongres Possibilistów uchwalił następujące rezolucye:

- 1) Międzynarodowe prawo ograniczyć powinno czas pracy na najwyżej ośm godzin dziennie.
- 2) Ma byćznaczony jeden dzień na odpoczynek tygodniowo, z wykluczeniem również pracy w dniu świąteczne.
- 3) Zniesioną ma być praca nocna, o ile to możliwa dla mężczyzn, a absolutnie dla kobiet i dzieci.
- 4) Nie wolno używać do pracy dzieci przed czternastym rokiem życia; aż do osmnastego roku mają dzieci pozostawać pod szczególną opieką.
- 5) Dla wszystkich powinna być zaprowadzona nauka ogólna, zupełna, techniczna i profesjonalna.
- 6) Dodatkowe godziny pracy wynosić mogą najwyżej cztery godziny na dobę, a za pracę w tym czasie należy się podwójną zapłatą.
- 7) Urzędnicy fabryczni odpowiadają za wszelkie nieszczęśliwe wypadki przed sądami cywilnymi i kryminalnymi.
- 8) Sami robotnicy mają mieć prawo wybierania pewnej liczby nadzorców, płatnych przez państwo lub gminę, a opatrzonych władzą wchodzenia i zwiedzania w każdym czasie rękodzielni, fabryk lub sklepów i odwiedzania czeladników w własnem tychże pomieszkaniu.
- 9) Samiż robotnicy zakładać powinni rękodzielnie z pomocą subwencyi państwowej lub miejskiej.

10) Praca w domach robót przymusowych i w więzieniach ma być uregulowaną na tych samych warunkach, co praca wolna; robotnikami tego rodzaju posługiwać się należy, o ile to jest możliwem, w robotach publicznych, na wielką skalę przedsięwziętych.

11) Żadnemu robotnikowi zagranicznemu nie wolno przyjąć pracy, a pracodawcy nie wolno godzić robotników zagranicznych za płacę niższą od płacy ustanowionej przez syndykat odnośnego rzemiosła.

12) Rząd ściśle winien określić najniższą zapłatę w każdej okolicy, stosownie do ceny przedmiotów do życia niezbędnych.

13) Wszystkie prawa wymierzone przeciw międzynarodowej organizacji robotników mają być zniesione.

14) Kobiety zrównane być winny z mężczyznami w zapłacie i w przyjmowaniu do pracy, której mogą podolać.

Rezolucye przyjęte przez Marksistów brzmią w wielu punktach identycznie. I oni domagają się wyznaczenia jednego dnia tygodniowo na spoczynek; ograniczenia pracy dorosłych na 8 godzin dziennie, a pracy dzieci od lat 14 do 18, na 6 godzin; zupełnego zakazu używania do pracy dzieci nie liczących lat 14; zakazu pracy nocnej o ile to jest możliwem; określenia przez państwo najniższej zapłaty, jednakowej dla robotników obojej płci; ustanowienia wybieralnych przez robotników, a płatnych przez państwo inspektorów, których obowiązkiem byłoby czuwać nad ściśłem wypełnianiem powyższych rezolucyj, a w ogóle bronienie interesów klas pracujących. Nadto Marksieści żądają międzynarodowego prawodawstwa regulującego pracę, które broniąc bytu i wolności robotników, zabezpieczałoby zarazem przed zbyt częstemi bezrobociami i bankructwami.

Myśli poruszone przez oba kongresy, zwłaszcza projekt międzynarodowego prawodawstwa regulującego pracę, nie pierwszy raz stanął na porządku dziennym. Jeszcze w r. 1872. rozesłał gabinet madrycki okólnik, w którym wykazując postępy socjalizmu wzywał inne państwa do przedsięwzięcia wspólnych kroków w celu zajęcia się losem klas pracujących, a tak zatamowania grożącego niebezpieczeństwa w samym źródle. Anglia odpowiedziała zimno, że istniejące w jej krajach związki robotników nie z socjalizmem nie

mają wspólnego, i że dla tego w tę sprawę mieszać się nie myśli; natomiast Austria i Prusy, okazały gotowość do podjęcia jakichś kroków w tej mierze, zwołano nawet do Berlina osobną komisję, ale komisya ta po paru posiedzeniach rozeszła się nie robiwszy. W ośm lat później r. 1880. weszła związkowa Rada Szwajcarska w rokowania z znaczniejszymi państwami europejskimi w celu ułożenia i wprowadzenia wspólnego prawodawstwa, zdążającego głównie do jednakowego ograniczenia czasu pracy po fabrykach całego świata. Odnośne propozycje natrafiły na opór Berlina i Londynu, a opór ten przerwał na razie rokowania. Dopiero w czerwcu roku 1888 wystąpiła Szwajcarya, na wielokrotne usilne nalegania z bardzo wielu stron ponownie z projektem międzynarodowej konferencji, która uregulowałaby przynajmniej w najgłówniejszych rysach międzynarodową opiekę nad robotnikami. Wszystkie państwa z wyjątkiem Rosyi i Niemiec przyrzekły w konferencji tej wziąć udział, inna kwestya, czy i kiedy przyjdzie ona do skutku! Może uchwały zgromadzonych w Paryżu socyalistów zniewolą rządy do gruntowniejszego i szybszego zajęcia się tą sprawą, a w ogóle całą sprawą socyalną, tem bardziej, że wiele rezolucyj uchwalonych przez oba paryskie kongresy znajduje się niemal dosłownie w programie podanym rządowi do rozwagi przez związkowy rząd szwajcarski. Nie na wszystkie, rzecz prosta, ale na niejedną z tych rezolucyj każdy zgodzić się musi; w nie jednym punkcie np. w żądaniu niedzielnego spoczynku, lub ograniczenia pracy nocnej, pracy kobiet i dzieci, uczestnicy paryskich kongresów wymagają tego tylko, co nakazuje samóŹ prawo BoŹe, co Kościół i nauka Chrystusowa wszystkim pracującym w dawnych wiekach zabezpieczała. Sformułowane przez kongresy życzenia sã stosunkowo dość skromne, rewolucyjnymi mrzonkami w ogóle mało lub wcale nie zabarwione; czy skromność ta pochodzi ze względów zasadniczych, czy taktycznych, o to na razie nie ma potrzeby się sprzeczać; w każdym razie żądania te podane przez tak licznych delegatów, reprezentujących całe masy robotników, zmuszają do wielkiej wagi pytania: czy nie ostatni to już czas, aby państwa i całe społeczeństwo zastanowiło się na seryo nad życzeniami temi i wzięło w sprawiedliwą, a zarazem skuteczną obronę pracę przed kapita-

łem, uregulowało na bardziej, niż dzisiaj, chrześcijańskich zasadach stosunek pracujących do pracodawców, dla dobra i jednych i drugich, dla bezpieczeństwa mianowicie tych ostatnich.

Zabytki historyczne odnoszące się do południowych Słowian¹.

I. Sprawozdanie Monsigniora Urbana Cerri z r. 1680.

Illyria. Według starożytnych pisarzy „Illyricum“ obejmuje potężny płat Europy mieszczący w sobie Węgry, Siedmiogród i Wołoszczyznę, Moldawią (Multany) i Bośnią, Bułgarię, Albanią, Dalmacją i wiele innych prowincyj. Rozpoczynamy tedy od owej części Węgier, którą zajmują Turcy. Cesarzowi przysługuje niezaprzeczone prawo mianowania na biskupstwa, prawo to udzielone od Sylwestra św. Stefanowi królowi, a później jeszcze hojniej rozszerzone zostało dla króla Władysława przez Urbana II. Wielu elektów (obраних na biskupstwo) bawi od dawnych czasów na dworze nie troszcząc się wcale o swe dyecezye zadowoleni z czczego tylko tytułu, począwszy od arcybiskupa Strygońskiego, pralata bardzo gorliwego i biskupa Agryi; wiele oni zdziałali dla rozszerzenia wiary pomiędzy buntowniczymi heretykami, obecnie wśród Turków są bezczynnymi.

Kościół *Belgradzki* zależy od kollacyi Stolicy Apostolskiej, a Kongregacya wybiera biskupa, któremu daje w zarząd dyecezyą *Syrmijską*, a prócz tego z tytułem Wikaryusza Apostolskiego pieczę o innych dyecezyach, (w których nie rezyduje biskup), zamkniętych rzekami Drawą, Dunajem i Cisą, aż po Temeszwar. Kiedy w tem to ostatnim mieście była w r. 1672 wizyta biskupa, było tam około 600 katolików, między nimi zaś wielu Niemców (Rakuzan), którzy tam posiadają kościół dobrze zaopatrzony w przy-

¹ Sądźmy, iż jest na czasie ogłoszenie w polskim języku niektórych zabytków historycznych, odnoszących się do południowych Słowian: są to sprawozdania składane Propagandzie przez wizytatorów tych prowincyj. Zabytki te mało, albo całkiem nieznane pochodzą z rzymskiej biblioteki Corsinich.

bory kościelne, a obsługiwany przez dwu Franciszkanów, którym też dostarczają pożywienia, jak niemniej biskupowi, kiedy z wizytą pasterską przybywa; nie ma tu bowiem ani pomieszkania ani dochodów. Roku zeszłego udzieliła kongregacya na naprawę spalonego pomieszkania pięćset pezzów; otrzymano bowiem na to pozwolenie od fanatycznych Turków, co jest prawdziwą osobliwością i przeciw ich zwyczajowi. Okolica Syrmijska, (która jest pod administracyą wzwyż wspomnianego Wikaryusza Apostolskiego) obejmuje, prócz miasta, 12 wsi albo parafij z 22.600 katolikami powierzonymi duchownej pieczy 8 Braci Mniejszych *ab Observantia*, i 4 księży świeckich, wliczając w to i samego Wikaryusza Generalnego; teraz mianował im cesarz biskupa, ale go nie przyjęła kongregacya. W innych biskupstwach podległych temu Wikaryatowi Apostolskiemu znajduje się przeszło 26 tysięcy katolików obsługiwanych jedynie przez Franciszkanów bośniackich. Przed dwoma laty obmyślił ś. p. Klemens X. (r. 1678), pasterza dla tego biskupstwa w osobie Brata *Mateusza Bernarowicza* z zakonu *ab Observantia*, młodzieńca pięknych obyczajów, i po którym spodziewano się wielkich owoców w tych stronach przy wpływie i pomocy jego zakonnych Braci; ponieważ jednak nie miał jeszcze prawem przepisanego wieku po elekcyi zawieszono konsekracyą; i tak teraz obecnie piastuje godność Wikaryusza Apostolskiego Br. *Jan di Derventa*, Obserwant. Zdaje się wszelako, że tak rozległa dyecezya, i to pomiędzy niewiernymi, potrzebuje osobnego pasterza; ponieważ kongregacya nie chce się mieszać do tego, przeto biskupi nominowani od cesarza wtrącają się, pomimo tego, iż nie rezydują.

Jest jeszcze w tamtych stronach Węgier hrabstwo Spiskie, składające się z 16 ziemstw wraz z niektórymi włościami, a należy do Rzeczypospolitej polskiej. Obecnie zostaje ono pod zarządem tak zwanego starosty, którym jest teraz Lubomirski. Ponieważ w trzynastu wzmiankowanych obwodach herezyą zupełnie zarażonych, nie wolno było wyznawać wiary katolickiej, przeto za staraniem Mons. Pignatellogo, obecnie nuncjusza w Polsce, użył król Kazimierz swej gorliwości i powagi, aby tamże przyjęto misyonarzy; co się też i stało. I tak są tam teraz Ojcowie Paulini, Pijarzy, a za wpływem, staraniem i pomocą arcybiskupa Strygoń-

skiego udało się doprowadzić do tego, że wypędzono heretyckich predykantów.

Bośnia była w dawnych czasach częścią Dalmacyi, i z tą razem przypadła w spuściźnie królom węgierskim; później w r. 1463 dostała się pod panowanie Ottomańskie, będąc zdobytą przez Mahometa II. Od tego czasu stolicą Bośni jest Serajewo, miasto bardzo ludne, jakkolwiek bez murów, rezydencya baszy i miejsce zborne różnych narodowości z przyczyny ożywionego handlu. Katolików będzie około tysiąca, i ci utrzymują własnym kosztem kilku kapłanów, dla administrowania Sakramentów. We wielu okolicach królestwa są Bracia Mniejsi *ab Observantia*, którzy tam posiadają 18 klasztorów; jestto najbogatsza prowincya św. Franciszka, lecz razem najbardziej rozprzężona, a do tego stopnia stoją na złej stopie z duchowieństwem świeckiem, iż by nie utracić dochodów tych probostw, z których utrzymują klasztory, wszystkie rozkazy z Rzymu byłyby próżne do wprowadzenia kleru świeckiego, i wznieciłyby pewnie prześladowanie tureckie przeciw temuż klerowi. Cierpi się zatem to złe, by ujść większego złego. Kongregacya wyznaczyła niektóre miejsca we Włoszech, gdzieby pewna liczba tych zakonników mogła pobierać nauki, by z naukowym zasobem wróciwszy do prowincyi, uczyć mogli nowicyuszów, a król hiszpański daje im z cła od win w Neapolu dochód na odzienie. Między nimi mieszka biskup z tegoż zakonu; był on niedawno temu w Rzymie. Między nim jednak a Braciami nie ma tej zgody, jaka dawniej panowała za jego poprzedników i raz on, to znów oni udają się ze skargami do trybunałów tureckich, które oczywiście nie mogą znaleźć lepszej nad to sposobności do wyciskania pieniędzy z ruiną klasztorów; to też niektóre z nich stoją opuszczone, obdluzzone i pozostawiane dla takich przyczyn. Jakkolwiek kongregacya rozstrzygnęła wszystkie ich spory: wszelako biskup nie jest zadowolony jeszcze, będąc tego zdania, iż jego jurysdykcyja zbyt jest ograniczona. Został on biskupem z nominacyi cesarza, jako króla węgierskiego, chociaż to biskupstwo wcale nie należy do owych dziesięciu założonych od św. Stefana, pierwszego króla Węgier; ma 100 realów rocznej pensyi ze skarbu węgierskiego, przyczem jeszcze ma dochód z probostw i od klasztorów: żyje bez wielkich potrzeb.

Prowincya *św. Saby*, leżąca na wschód, jest rozległa i jest tam pewna liczba wiernych, lecz najwięcej jest w dyecezyach Maskarskiej i Trebińskiej, które mają swego pasterza, równie jak i Skardońska otrzymująca 200 szkudów od kongregacyi; przebywa tam kilku Braci dla obsługi parafialnej.

• *Bulgarya*. Św. kongregacya utrzymuje tutaj arcybiskupa Sofii lub Sardyki, który opiekuje się i Wołoszczyzną. Niema tu innego duchowieństwa prócz Braci Mniejszych, Obserwantów bułgarskich, którzy jakkolwiek nieliczni, ale lepszego ducha, więcej przynoszą pożytku niż Bośniacy, mają staranie o parafii, a kongregacya dostarcza im utrzymania, jak niemniej i nauczycielowi; i oni również mają pewne miejsca we Włoszech dla pobierania nauk. Przed niewiele laty spaliła się świątynia, a Bracia tak sobie z Portą zdolali poradzić, że przy pomocy rezydentów (pełnomocników) katolickich ksiąząt za tysiąc szkudów uzyskali pozwolenie odbudowania kościoła, wbrew prawom tureckim.

Wzmiankowani zakonicy utrzymują jeszcze missyę i w dolnych Węgrzech, a kiedy się trafi dobry przełożony, to prawdziwie wielką nosą pomoc tym Chrześcijanom. Jest tam wiele miejsc zamieszkałych przez Chrześcijan katolików a zwłaszcza *Kiprowaz* (*Kiprowacz?*), okolica dość wielka z pewną liczbą włości licząca około 4000 katolików. Posiada kościół a szczęśliwym trafem wierni mogą go według potrzeby naprawiać; co ztąd pochodzi, że należą do owych ziem, z których dochody są własnością obecnej matki Sultana, której cieszą się względami. Sultanka dla pokazania swych względów i w chęci zrobienia im przyjemności, broni ich przed zwykłymi uciskami i zdzierstwami tureckimi, nie omieszkując przytem inne także wyjednywać im przywileje.

Tracya. W biskupstwie Nikopolitańskim znajdują się Paulianiści, szczątki zwolenników Pawła z Samosaty, którzy nie mieli Sakramentów, byli wielkimi nieprzyjaciółmi Krzyża, a nawróceni zostali przez Brata Piotra Deodota, arcybiskupa Sofii. Dla nich utrzymuje kongregacya kilku kapłanów płatnych, prócz biskupa, który niedawno temu umarł; obrano następcę jego O. Antoniego Stefani, Minorytę *ab Observantia*. Kościół tego miasta nadzwyczajnym cieszy się przywilejem, mianowicie, że nigdy zawalić się

nie może: będąc wyciosanym w ogromnej skale tufiastej i jest bardzo starożytny.

Serbia mało posiada katolików, i są rozrzućeni po wielu miejscowościach, o których wspomina poprzednia wizyta biskupia. Było ich wprzód więcej, ale wielu porzuciło wiarę świętą, by ująć w ten sposób prześladowań i kontrybucyi tureckich. Jest tu 8 parafij a ich proboszczów utrzymuje kongregacya; kapłani, by mōdź duszpasterzowaniu zadość uczynić, zmuszeni są ustawicznie być w podrōży. Głową prowincyi, arcybiskupem Skopijskim jest Mons-Bogdani, starzec 80 letni; pralat ten nie był dość czynny, a teraz właśnie udawał się z prośbą do Waszej Świątobliwości, by raczyła przyjąć jego dymissyą, a zastąpić go jego kuzynem, biskupem Skadarskim; ponieważ uzyskał łaskę żadaną, jest nadzieja, że ten krewniak jego lepiej zarządzać będzie owym kościołem. Roku 1674, kongregacya dość dobrze załagodziła spory wynikłe w dyecezyi, zmieniając nieczynnych proboszczów i zaopatrując kościoły w różne przybory, o których wielkim braku przekonał się i doniōśł Wizytator Apostolski.

Nie mogę nie oddać zasłużonych pochwał w tym względzie Niemcom (Rakuzanom), którzy wielkie oddają katolicyzmowi przysługi we wspomnianych co. dopiero prowincyach Bośni, Bułgaryi, Serbii i innych sąsiednich. Między przywilejami bowiem, jakie mają od Sułtana, któremu roczny opłacają trybut, jest i ten, że mogą mieć we wzmiankowanych prowincyach wiele kolonij; w tych zaś posiadając kościoły, mają publiczną służbę Bożą katolicką przez kapłanów utrzymywanych od gminy tak dla nich samych, jak też i dla cudzoziemców; a tak jest w Ruszczuku, Belgradzie, Sylistryi, Prowato, Adrianopolu, Sofii, Prokupii i Nowym Bazarze, gdzie nie tylko katolicy wyjęci są od wielu opłat i zdzierstw tureckich, ale i od owych danin, jakie na mocy przywileju danego przez Portę wyciskają biskupi schyzmatycey.

Albania była krōlestwem całkiem katolickiem, ale po śmierci sławnego Skanderbega, który z taką chwałą berło tego kraju piastował, wpadła w ręce Turków; zkad większa część mieszkańców przyjęła mahometanizm; a daj Boże, by się ustawicznie tenże nie wzmagał, bo całe prawie miejscowości przechodzą do Turków. Są w tem krōlestwie 2 arcybiskupstwa i 4 biskupstwa utrzymywane

przez kongregacyą. *Antivari* jest arcybiskupstwem, w którym licza 377 domów katolickich a 2270 dusz; rezyduje jako arcybiskup ks. Andrzej Zmajewicz, dawny alumn kolegium, człowiek niezrównanej cnoty i świętobliwości życia, na którego kongregacya najzupełniej się spuszcza w sprawach albańskich. *Durazzo*, także arcybiskupstwo, ma około 1060 domów katolickich, a dusz 13,650; arcybiskupem jest ks. Gerard Galata; ale mało o nim dobrych relacyj, gdyż jest zbyt gwałtowny i nie dosyć czynny *Alessio*, jest biskupstwem i dzieli się na górne i dolne t. j. na góry i płaszczyny; będzie tam z jakich 900 domów katolickich a 7000 dusz. O biskupie tamtejszym Jerzym Vladaguim mało także dobrych nowin: bo zbyt jest cheiwy, nie dba o udzielanie nauki chrześcijańskiej i już wiele razy podarł się z Turkami, budując sobie dom obronny w parafii św. Mikołaja, który mu oni co dopiero nie dawno temu spalili. *Pullati*, biskupstwo liczy 586 katolickich domów a 4,500 dusz. Jej biskup znajduje się w zamku św. Anioła od wielu lat, nie za co innego, jak tylko dlatego, iż był niespokojny i wątpliwej wiary; kongregacya daje mu na utrzymanie 10 szkodów miesięcznie; dyecezyą zaś poddano administracyi biskupa z Sappe. *Skutari* (Skadar) jest biskupstwem. Jest tam 2164 katolickich domów, z 20,260 dusz a biskupem jest ks. Piotr Bogdanicz, bratanek wyżej wzmiankowanego arcybiskupa Skopijskiego (a w tej to dyecezyi przebywa plemię Klementyńskie, które zamieszkując góry, swobodnie wyznaje katolicyzm bez obawy Turków); ponieważ tenże postąpił na arcybiskupstwo Skopii, przeto zastępcą obrany został ks. Dominik Bubicz... Biskupstwo *Sappijskie* ma 1075 katolickich domów a 9,230 dusz; biskup tutejszy ks. Stefan Gaspari, alumn tego kolegium, był wizytatorem Albanii w r. 1671.

Prócz wzmiankowanych biskupów, rozdzieliła kongregacya po parafiach wiele świeckich księży, dając im przywileje misyonarzy i utrzymanie. Tamże urządziła jeszcze misyą Reformatorów w liczbie 13 kapłanów, rozrzuconych po wsiach, aby udzielali śś. Sakramentów tym biednym duszom, a prócz wzmiankowanych misyonarzy (wprost od kongregacyi zawisłych) są tam jeszcze 3 klasztory Obserwantów pod zwierzchnictwem prowincyała. By zaradzić wielu niedostatkom misyonarzy i biskupów Albańskich, był roku 1671 wysłany jako wizytator wyżej wspomniany ks. Gaspari, który później

został biskupem Poppijskim. Ten nie tylko zaopatrzył wiele kościołów w przybory kościelne, z których je odarto, ale też usunął także jużto z parafii już to z missyi tych, którzy byli niedbali i rozwięzli, dawszy razem napomnienie listowne tym biskupom, którzy tego potrzebowali. Dla zapobieżenia zaś nieuctwu kapłanów założyła kongregacya kolegium w Fermo, gdzie alumnowie wyuczywszy się potrzebnych języków i teologii moralnej, wracają do domu. Drugie takie kolegium znajduje się w Loreto pod zarządem OO. Jezuitów.

Cimarra. Na pograniczu Albanii jest jeszcze prowincya Cimarra, której mieszkańcy są Grecy unicy; obsiadłszy góry nie wiele boją się Turków, a kongregacya utrzymuje dla nich biskupa, w Musaccia dając mu roczną pensyą; obecnie dla słabości swej prosi on o pozwolenie wyjazdu. Jest tam również od kongregacyi utrzymywany i nauczyciel dla dzieci.

Ochryda ma swego patriarchę czyli arcybiskupa greckiego, Giustiniana. Był on niegdyś schyzmatykiem, lecz z mnóstwem swych współwyznawców przyjął wiarę katolicką, a za czasów ś. p. Aleksandra VII i na jego wezwanie przybywszy do Rzymu, był odeń wielce łaskawie przyjęty. Rezydował tu dawniej i łaciński arcybiskup; ponieważ jednak nie wiele było tutaj katolików, przeto administracyę ich oddano arcybiskupowi skopijskiemu jako najbliższemu.

Dalmacya. Dalmacya i Horwacya, które zazwyczaj razem pod nazwą Sławonii spotykamy, różnym podlegają panom w różnych swych częściach; i tak wschodnio-południowe części są pod Turkiem, nadmorskie należą do Rzplty. Weneckiej, a północne są pod panowaniem cesarza. W posiadłościach austryackich i weneckich są biskupi, których niektóre dyecezye rozciągają się aż w granice posiadłości tureckich, a nowy biskup z Nory udaje się z prośbą, by mógł dostać misyonarzy, którzyby nieśli pomoc tym biednym chrześcijanom jęczącym pod otomańskim jarzmem. Kongregacya utrzymuje w Kotorze (Cattaro) kapłana świeckiego dla nauczania Serbów obrządku greckiego przychodzących tam z Czarnogóry i drugiego znów dla Morlachów w dyecezyi Spalatto. Przed wojną wenecką były tam 3 hospicya misyonarzy Reformatów w Perasto, Lustrizzy i Rozie, którzy nieśli wielką pomoc tym wiernym, lecz zostały

opuszczone, a wszystek sprzęt zniesiono do szpitala w Kotorze i już więcej nie wrócili po skończonej wojnie. Stąd też część ta Dalmacyi, podległa Turkom wiele cierpi mając tylko jednego księdza w Perasto, który przebiegając pomieędzy nimi, za ledwie kilka razy do roku może im udzielać Sakramentów. By więc nie zostawić w opuszczeniu tych wiernych, wypadłoby przywrócić znów misję, w czem możnaby się pisemnie udać po informację i zdanie do arcybiskupa z Antivari, który już został opatem w Perasto. Ostatnimi czasy był w Rzymie ks. Rois, biskup z Tina albo Tinio, (w sławońskim narzeczu zwane Knin), mianowany od cesarza jako króla Węgier, który zdał prawdziwą relację ze stanu swojej dyecezyi rozciągającej się aż po Sebeniko a nigdy dość nie zwiedzanej przez jego poprzedników. Powiada, że tam będzie z jakie 8 000 i więcej jeszcze katolików, obsługiwanych jedynie przez 4 lub 5 Minorytów obserwantów z klasztoru Wisowackiego będącego w dyecezyi Skardońskiej; udawał się też z uniżoną prośbą do Waszej Świątobliwości o jakie zarządzenie potrzebom tych dusz, co mu wszystko łaskawie udzielone zostało.

Uskokowie. (Plemię) Ludy zwane Uskokami albo Wołochami, obrządku grecko-schyzmatyckiego, którzy żyli pod panowaniem tureckim, schroniwszy się w wielkiej liczbie zeszłego wieku na pograniczach Węgier podległych cesarzowi, już nieraz otrzymywali kapłanów greckiego obrządku od Stolicy Apostolskiej dokładającej wszelkich starań dla pozyskania ich w czasach, kiedy jeszcze nie istniała kongregacya. Wszelako gdy pomimo tego szli uparczywie za błędami schizmy, na rozkaz Klemensa VIII, a na prośby cesarza, wyświęcono na biskupa niejakiego Szymona; ten jednak choć dobrym był katolikiem, ale z przyczyny swego nieuctwa żadnego nie przyniósł pożytku. Po jego śmierci polecał cesarz Stolicy Apostolskiej na biskupa dla Uskoków najprzód owego Sawę Stanisicza, a potem Gabryela Miakiza; obaj byli wyświęceni przez schyzmatyckiego patriarchę na biskupów Świdnickich, potem jednak zupełnie wyznanie wiary św. uczyniwszy poddali się Stolicy Apostolskiej; ale i mimo tego nie zostali od niej potwierdzeni, a ostatni powróciwszy w te strony poczał się mieszać w rozruchy obecne na Węgrzech i przez cesarza został uwięziony, a potem wygnany z królestwa.

Na przedstawienia jednak biskupa Zagrzebskiego około roku 1672, który opisał oplakany stan duszny tych ludzi przebywających w jego dyecezyi i prosił kongregacyą o potwierdzenie nominacyi cesarskiej na biskupstwo Świdnickie w osobie ks. Pawła Zorczyca mnicha Bazylińskiego, dobrego katolika: sprawę tę połączoną z wieloma trudnościami przedstawił Mons. nuncyusz Jego Cesarz. Mości. Zachodzą wszelako nie małe kłopoty, bo w aktach konsystoryalnych nie ma wzmianki o erekeyi takiego biskupstwa, a jeśli była, to była mowa o Świdnicy w Serbii, a przeto nie należącej do kościołów węgierskich. Prócz tego, jako należąca do kościoła łacińskiego nie powinna być oddawana Grekowi; ani też niemniej nie należałoby pozwalać, żeby biskup grecki był Wikaryuszem innego biskupa, nawet łacińskiego. Nakoniec tak załatwiono tę sprawę, że aby nie zasmucić cesarza, a pocieszyć biskupa z Zagrzebia i przynieść jakąś pomoc owym schyzmatykom, postanowiono przychylić się do prośby dając nominatorowi tytuł biskupa z Marcy z poleceniem, by po otrzymaniu święceń z rąk arcybiskupa greckiego rezydującego w Rzymie objął pasterzowanie nad Uskokami, jako Wikaryusz Apostolski. Wystosowane tedy zostały w tym celu dwa odpowiednie *Brevia* i przesłane do rezydencji z wiatykiem, aparatami kościelnymi i innymi podarunkami od kongregacyi; po przybyciu jednak na miejsca nie dał żadnej wiadomości o stanie rzeczy, jakiby powinien był nastąpić. Wypadałoby zatem napisać koniecznie do Mons. Nuncjusza wiedeńskiego, by się postarał o wiadomości potrzebne i tychże udzielił.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnic.

SZKICE MATEJKI z historyi cywilizacyi w Polsce. Przez Ks. <i>Eustachego Skrochowskiego</i>	457
LUDZIE I STOSUNKI W WARSZAWIE	536

Artykuły naukowe i literackie.

UŻYTEK OLIWY PRZECIWKO BURZY MORSKIEJ. Przez <i>Dra Daniela Wierzbickiego</i>	391
CHRZEŚCIJAŃSKI POWIEŚCIOPISARZ PAWEŁ FÉVAL. Przez Ks. <i>Jana Budeniego T. J.</i>	305, 467, 686
Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO. Wisnka- Wistka, św. Floryan, Ks. Dr. Wyszuka i Mar- cin Bielski. Przez <i>Dr. Władysława Wisłoc- kiego</i> (c. d.)	324, 628
ELEKCJA KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA WAZY na tron moskiewski 1609—1611. Przez <i>Stanisława Ko- złowskiego</i> (dok.)	342, 522
MĄDRA KSIAŻKA O KILKU ROZUMNYCH LUDZIACH. Przez <i>A. M. L.</i>	361, 509
KILKA SŁÓW O GENEZIE PEDAGOGII. Przez Ks. <i>Ga- dowskiego</i> (dok.)	375

MOHORT, RYCERZ KRESOWY, w obec późniejszych ba- dań. (Fragmenty studium literackiego). Przez <i>Ma- ryana Dubieckiego</i>	489
BISKUPSTWA I KLASZKORY POLSKIE w X i XI wieku. Przez <i>Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego</i>	609
BARTOSZ z WISSEMBURGA. (Szkic historyczny). Przez <i>Ernesta T. Breitera</i>	654
O STANIE WNĘTRZA ZIEMI. Przez <i>M. P. Rudskiego</i>	669

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

ZARYS DZIEJÓW MALARSTWA OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW DO KOŃCA XVIII STULECIA. Napisał <i>Antoni Narkiewicz Jodko</i> . Poprzedzony pobieżnym rzutem oka na historię i cywiliza- cję narodów starożytnych i mniej znanych ludów współ- czesnych, z uwzględnieniem przeważnie ich rozwoju w roz- maitych gałęziach sztuki. (<i>Stanisław Tomkowicz</i>)	405
ZDANIE SPRAWY I WNIOSKI W PRZEDMIOCIE BUDOWY WODO- CIĄGU REGULICKIEGO. Opracowane przez Komisję wodo- ciągową, z pięcioma tablicami chromolitografowanymi	411
DZIEJE POLSKI do najnowszych czasów treściwie opowiedziane. Przez <i>Maryana z nad Dniepru</i>	413
AKTA GRODZKIE I ZIEMSKIE z CZASÓW RZECZYPOSPOLITEJ POL- SKIEJ, z archiwum tak zwanego bernadyńskiego we Lwo- wie, z skutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. <i>Dr.</i> <i>Ksawery Liske</i> . Tom XIII. (<i>Dr. Władysław Margasz</i>)	546, 709
WIDMO. Przez <i>Winc. Kosiakiewicza</i>	553
ODGŁOŚY SZKOCYI (z dziewięciu ilustracyami.) Napisał <i>Stan.</i> <i>Belzu</i>	553
ŻYWOT LEONA XIII PAPIEŻA, napisany w 1887 r. Przez <i>Ks. Ber- narda O'Reilly</i>	554
O MATUSI MAŁGORZACIE. obrazy z życia świątobliwej Małgo- rzaty Bosko.	555
O NADZORZE DOMOWYM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ. Przez <i>Ks. Dr.</i> <i>Alojzego Jougana</i>	555
KAZANIA NA UROCZYSTOŚCI I NIEKTÓRE ŚWIĘTA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY MARYI. Napisał <i>Ks. Józef Pelczar</i>	716
KARTKA z DZIEJÓW KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO w POLSCE ROSYJ- SKIEJ. Opisał według źródeł wiarogodnych <i>X. Y. Z.</i>	717
ORMIANIE w POLSCE, ICH HISTORIA, PRAWA I PRZYWILEJE. Przez <i>Ks. Dr. Tadeusza Gromnickiego</i>	718

Z piśmiennictwa zagranicznego:

JOSEPH OTHMAR CARDINAL RAUSCHER, Fürstenbischof von Wien. Sein Leben und Wirken. Von <i>Dr. Coelestin Wolfs- gruber</i> , Benedictiner zu den Schotten in Wien. (<i>Ks. Dr.</i> <i>Józef Pelczar</i>).	414
--	-----

BIBLISCHE CHRONOLOGIE UND ZEITRECHNUNG DER HEBRÄER. Von <i>Dr. Eduard Mahler</i> i UNTERSUCHUNG EINER IM BUCH „NAHUM“ auf den Untergang Ninives bezogenen Finsterniss. <i>Tenže</i>	557
DES HEIL. PETRUS AUFENTHALT, EPISKOPAT UND TOD ZU ROM, das geschichtliche Fundament des Primates der Römischen Bischöfe. Von <i>Wilhelm Esser</i> Dr. Theol. et Philos.	575
LA REVOLUTION FRANÇAISE à propos du centenaire de 1789. Par <i>Mr. Freppel</i>	576
LE DIVORCE DE NAPOLEON. Par <i>Welschinger</i>	577
DIE CHRISTLICHE ERZIEHUNG. Dargestellt im Auftrag des hl. Karl Borromäus von Kardinal Silvio Antoniano. Aus dem italienischen übersetzt von <i>F. X. Kunz</i>	719
VIE DE MADAME DE LA TOUR NEUVILLARS. (1571—1616). Par le père du <i>Sault S. J.</i>	724
ETUDES MORALES SUR LES GRANDS ÉCRIVAINS LATINS. Par l'abbé <i>M. Morlais</i> , professeur à la Faculté libre des Lettres de Toulouse. (<i>Adam Marczewski</i>).	726
S. PETER, BISHOP OF ROME, or the roman Episcopate of the Prince of the Apostles, by the Reverend <i>T. Livius</i> . (<i>Adam Marczewski</i>)	727
Rozmaitości	579

Sprawozdanie z ruchu religijnego, nauko- wego i społecznego.

Lipiec.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Pomnik Giordana Bruno. — Jego życie i pisma. — Allokucya papieska. — Deputacye i mowy. — Oburzenie protestantów i liberalów. — Protesty katoli- ków. — Rozprawy w parlamencie francuskim o zniesieniu ambasady watykańskiej. — Programowa mowa Ferry'ego. — Odpowiedź hr. de Mun, Clemenceau, Gobleta i Kellera. Przez <i>Ks. Jana Bałeniego T. J.</i>	433
Z MALTY: II. Valetta, stolica Malty. — Port St. Elmo. — Położenie miasta. — Ruch różnorodnych postaci i cudzo- ziemców. — Sklepy i ulice. — Domy i gmachy. — Pałac gubernatora. — Gospody dawnych rycerzy. — Inne mia- stecka, wsie. Przez <i>Ks. Zdzisława Bartkiewicza T. J.</i>	445

Sierpień.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Allokucya papieska. — Wrażenie nią wy- warne. — Kwestya wyjazdu z Rzymu Ojca św. — Walka kulturalna w W. Ks. Bałeniskiem. Przez <i>Ks. Jana Bałe- niego T. J.</i>	583
REZULTATY ANGIELSKICH STOWARZYSZEŃ ROBOTNICZYCH ZWA- NYCH „TRADES UNIONS“	590

Z MALTY: III. Rząd na Malcie. — Gubernatorowie. — Starania o nadanie konstytucyi. — Izby rządzące. — Wyborcy i deputowani. — Radość z powodu ogłoszenia konstytucyi. — Uspokojenie partyj i stronnictw. — Posiedzenia parlamentu. — Ministerstwo maltańskie. — Finanse — Pensye. — Export. — Import. — Zbiory. — Rolnictwo — Owoce. — Uprawa roli. — Życie rolnika. — Klasy w ludności. Przez <i>Ks. Zdzisława Bartkiewicza T. J.</i>	594
KORESPONDENCYA REDAKCYI	608

Wrzesień.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Kwestya wyjazdu Pappieża z Rzymu. — Oblężenie Watykanu. — Zaproszenia miast hiszpańskich. — Kulturkampf bawarski. — Kongres katolików bawarskich w Neustadt. — Uchwały kongresu katolików francuskich. Przez <i>Ks. Juna Badeniego T. J.</i>	729
DWA KONGRESY SOCYALISTYCZNE W PARYŻU	738
ZAPISKI HISTORYCZNE ODNOSZĄCE SIĘ DO POŁUDNIOWYCH SŁOWIAN	744